

Wouk Herman - Nie przerywajcie karnawału

Tom

Całość w tomach

Zakład Nagrań i Wydawnictw
Związku Niewidomych
Warszawa 2000

Przełożył Łukasz Nicpan

Tłoczono pismem punktowym dla
niewidomych w Drukarni Zakładu
Nagrań i Wydawnictw Związku
Niewidomych,

Warszawa, ul. Konwiktorska 9

Przedruk: z wydawnictwa
„Alfa-Wero”,

Warszawa 1997

Korekty dokonały
U. Maksimowicz
i K. Markiewicz

`tt
Część I

Część pierwsza

Największy cwaniak
w Nowym Jorku

Za panowania Brytyjczyków wyspę nazywano Kinją. Obecnie figuruje na mapach i w przewodnikach po Karaibach jako Amerigo, lecz jej mieszkańcy nadal używają starej nazwy Kinja.

Flaga brytyjska przez blisko dwieście lat powiewała nad tym uroczym zielonym pagórkiem wśród błękitnych wód oceanu. Wcześniej wyspa należała do Danii, jeszcze wcześniej do Francji, a pierwotnie do kanibali. Do zmian flag dochodziło po wymianie ognia i dymu między armatami okrętów żaglowych a działami starego kamiennego fortu. Gwizdały w powietrzu kule, oddziały napastników szturmowały mury, toczono potyczki, czasami ktoś ginął. Od ponad stu lat jednakże działa fortu milczały. Stany Zjednoczone weszły w posiadanie wyspy w sposób pokojowy, w roku 1940, kiedy panowie Roosevelt i Churchill dokonali wymiany starych niszczycieli na posiadłości karaibskie. Amerykanom dostała się tym sposobem nie tylko baza okrętów podwodnych w Zatoce Rekinów (która obecnie, oddana na powrót we władanie prosu olbrzymiemu i chwastom, obraca się z wolną w ruinę: pomosty zapadają się i butwieją, a hangary rdzewiejąc chylą się ku ziemi), ale i cała wyspa. Szczegóły tej transakcji były i pozostały dla mieszkańców niejasne, zbytnio zresztą ich nie interesowały.

Keen-ja to krótka, śpiewna wersja lokalna oficjalnej angielskiej nazwy: Wyspa Króla Jerzego Trzeciego - niezbyt, co oczywiste, odpowiedniej dla posiadłości amerykańskiej, toteż ktoś w ministerstwie spraw wewnętrznych Stanów Zjednoczonych postanowił zmienić ją na Amerigo. Nowej nazwy używa się głównie na drukach urzędowych oraz w szkole. Uczniowie posłusznie wyliczają zdarzenia z historii Amerigo i skrobą wypracowania na jej temat, ale na ulicach i placach zabaw nazywają swą ojczyznę Kinją, siebie samych zaś Kinjanami. Na całych Karaibach o wyspiarzu-tubylcu nie mówi się zresztą inaczej jak: „Kinjunin”. Mieszkaniec Indii Zachodnich nie jest w zasadzie wrogo nastawiony do przemian, ale też nie zdradza przesadnego zaufania do nich. Ta postawa wynika z życiowej mądrości, którą wpaja klimat wiecznego lata. Uczy ona, że pomimo zgiełkowej ludzkiej krzątaniny dzień dzisiejszy nie różni się od jutra, a jutro będzie podobne do dnia dzisiejszego. Uczy, że istnienie jest kołem wiecznego powrotu, z którego nie ma ucieczki. Uczy wreszcie, że jedyną korzyścią, jaką człowiek może osiągnąć z życia, jest nacieszenie się jego urokami, zanim na zawsze odejdzie z tego świata, niewiele się w nim rozeznawszy; cała sztuka polega więc na tym, by się niczym zbytnio nie przejmować i przyjemnie spędzać czas w ciepłych promieniach słońca. Biali ludzie, którzy szarogęszą się ostatnio na Karaibach i w południowym skwarze ubijają interesy, równają spychaczami ziemię pod pasy startowe lotnisk, wznoszą hotele, zakładają przystanie jachtowe, otwierają banki, nocne kluby i sklepy z pamiątkami, są w oczach tubylców jedynie przemijającą plagą, niczym więcej. Pojawiali się już wcześniej, a potem znikali.

Przed wiekami przybyli tu licznie na białych żaglowcach, wyróżnili Bogu ducha winnych kanibali, wycięli w pień bujne gaje mahoniowców, porastające wyspy od czasów potopu, i posadzili na ich miejsce trzcinę cukrową. Na cukrze można było wówczas zbić majątek, a trzcina rosła wyłącznie w ciepłych krajach. Drewna zrąbanych mahoniowców biali używali do wyrobu melasy. Nastąpiła epoka cukrowni i wielkich kamiennych rezydencji na plantacjach. Z Afryki zwożono otepiałych od morskiej choroby niewolników, przodków dzisiejszych Kinjan. Różowe, oziębłe połowice bogatych plantatorów mieszkały w Anglii, a gorące czarne nałożnice pod bokiem. Potem pojawił się burak cukrowy, który może rosnać również na północy, i czarne niewolnictwo straciło rację bytu. Łańcuch wysp zaiskrzył się serią bankructw i rebelii. Skończyły się lata tłuste. Plantatorzy zwinęli manatki i opuścili archipelag. Pałace na plantacjach popadły w ruinę. Obecnie tubylcy poszywają blaszanymi dachami tę lub ową niszę w masywnych niegdyś murach i w tych załomach mieszkają.

Mieszkańcy Indii Zachodnich zachodzą w głowę, co tym razem zmusi szalonych białych ludzi do wyjazdu. Może potężne trzęsienie ziemi (cały ten łańcuch zatopionych gór spoczywa przecież na dygotliwym obszarze ziemskiej skorupy), może wielka oceaniczna fala, może straszliwy huragan, może epidemia uśpionej dotychczas choroby tropikalnej, może wreszcie przypadkowa ostateczna eksplozja mruczącego groźnie kotła, w jakim biali warzą jakieś ingrediencje na swojej północy, wybuch, który sprawi, że resztki ich pozostałych na Karaibach pobratymców czmychną do... dokądże tym razem? Na Tasmanię? Na Ziemię Ognistą? Gdyby pewnego dnia przestały przybywać okręty i samoloty, biali - w odróżnieniu od krajowców - nie zdołaliby przeżyć na diecie z samych langust, owoców mango, iguan i orzechów kokosowych.

Tymczasem Amerigo się amerykanizuje - na swój, co prawda, sposób. Tubylcom szczerze przypadły do gustu nowe wolne dni - Święto Dziękczynienia, Czwarty Lipca, urodziny prezydenta itd. - przydane do dawnych świąt angielskich oraz licznych świąt religijnych, z których żadnego nie znieśli. Kalendarz dni roboczych zeszczuplał tak pokaźnie, że nie obciążałby nawet sparciałej kieszeni. Napływ gotówki sprawia, że stopa życiowa zaczyna się podnosić. Większość Kinjan przyjmuje tę erupcję amerykańskiej przedsiębiorczości na Karaibach z entuzjazmem. Dla nich oznacza ona jedynie nowy, nieszkodliwy i, wedle wszelkich oznak, nie kończący się karnawał.

2

W listopadowy ranek 1959 roku na zalane oślepiającym słońcem nabrzeże wyszło ulicą Księcia Walii dwóch mężczyzn.

- Pasaty, co? - ryczał

okazalszy z nich, błądzący jak ostryga, łysy tłuścioch w czarnym jedwabnym garniturze, który wyglądał jak psu z gardła wyciągnięty. - Proszę, jesteśmy nad wodą i gdzie masz te swoje cholerne pasaty, hę? Jakoś ich nie czuję, Norman! Ta

parszywa wyspa to jeden wielki, buchający żarem piec! Piekło, w którym rosna palmy! Czym, u Boga Ojca, ma biały człowiek oddychać w tej dziurze?! Grubas trzymał w jednej ręce puszkę z piwem, w drugiej cygaro, a gestykulował obiema, siejąc popiołem i rozchlapując piwo.

Drugi z mężczyzn, niższy, szczuplejszy i opalony na brąz, o szpakowatych, starannie uczesanych włosach i pociągłej twarzy człowieka na progu wieku średniego (wyglądał na jakieś czterdzieści pięć lat) szeptał coś prosząco do rozkrzyczanego towarzysza, starając się go udobruchać. Miał na sobie granatowy lniany blezer, luźne szare spodnie, rozpiętą pod szyją turkusową koszulę i szaro-żółtą jedwabną apaszkę.

Jego strój był jak żywcem wycięty z kolorowych reklam, zamieszczanych w magazynie „Holiday”. Dopiero po jakimś czasie człowiek dowiaduje się, że na Karaibach podobnie się noszą jedynie turyści i homoseksualiści. Drobnym mężczyzną należał niewątpliwie do elegantów pierwszej wody, ale jego ubiór zdradzał nowicjusza, który pierwszy raz w życiu bawi w Indiach Zachodnich. Łysy tłuścioch ryczał dalej:

- Dobra, dobra, wiem, że znalazłem się w bajecznym miejscu! W najbardziej niezwykłej dziurze, do jakiej kiedykolwiek mnie diabli zanieśli. No i gdzie tu masz, do czorta, ten cholerny klub?

- Mówiono mi, że widać go z nabrzeża... Ach, Lester, rozejrzyj się tylko wokół siebie! Spójrz, w jakim otoczeniu się znalazłeś!

Zupełnie, jakbyśmy się przenieśli w inne stulecie. Popatrz na ten kościół! Musi mieć co najmniej dwieście lat. Założę się, że te mury mierzą ponad dwa metry grubości. Miały zapewne chronić przed huraganami...

- Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby któryś dmuchnął - ryknął łysol - i trochę ten piekarnik ostudził. Co za podłe piwsko! Siki świętej Weroniki! - Ze wstrętem odrzucił od siebie puszkę, która potoczyła się z brzękiem po brukowanym placu, bryzgając bursztynowym płynem. - Czy oni tu nawet lodówek nie mają? Wiesz co, założę się, że nie mają! Pewnie chłodzą piwo w powiewach tych twoich zasranych pasatów!

Niższy z mężczyzn rozglądał się wokół siebie z miną dziecka, które dopiero przed chwilą weszło na przyjęcie urodzinowe.

**Przyglądał się przycumowanym
wzdłuż nabrzeża niezgrabnym
staroświeckim szkunerom ze
zwiniętymi czerwonymi żaglami,
miejscowym kobietom w pstrych
sukienkach i czarnoskórym
marynarzom w obdartych mundurach**

- targującymi się zapamiętałe o cenę bananów, orzechów kokosowych, jakichś dziwnych brunatnych korzeni kolosalnych rozmiarów, worków węgla drzewnego i sznurów kolorowych jak tęcza ryb - ogromnemu czworobokowi fortu z czerwonej cegły oraz jego zabytkowym, beczynnym obecnie działom, wieńczącym zwróconą ku morzu, pochyłą ścianę warowni, pomnikowi Ameriga Vespucciego, ogrodzonemu płotkiem i niemal całkowicie skrytemu w pomarańczowych, fioletowych i różowych kwiatkach bugenwilli, stojącym rzędem po obu stronach

Uliczki Królowej domom z podcieniami, których tynkowane fasady o żywych kolorach wyblakły na słońcu do bledości pastelii, staremu szaremu kościołowi z kamienia, wreszcie bielonej wapnem ceglanej ruinie po budowlu wzniesionej w georgiańskim stylu, mieszczącej gospodę „Pod Sir Francisem Drake’iem”.

- Tu jest bosko! - obwieścił nagle tonem nie znośnym sprzeciwu. - To najpiękniejszy zakątek, jaki w życiu widziałem! Jeśli jesteś odmiennego zdania, powinieneś się wybrać do psychiatry.

Patio gospody - stary ceglany dziedziniec ocieniony dwoma gigantycznymi mahoniowcami - ciągnęło się wzdłuż jednego boku placu aż do samego nabrzeża. Jedynymi ludźmi przebywającymi tam w danej chwili byli państwo Tilsonowie. Ich wygląd - schludnie ubrani, czerwoni, piegowaci, żyłaści i wysuszeni - znamionował białych, którzy od dawna mieszkają w tropikach. Nieruchomi i milczący, z rzadka tylko mrugający powiekami, przypominali jaszczurki. Siedzieli właśnie nad pierwszym kieliszkiem białego rumu z tonikiem, a zwyczajowo wypijali trzy. Usłyszawszy zachwyty niższego mężczyzny, Tom Tilson zwrócił powoli ku żonie pobielałą głowę o różowej twarzy i powiedział:
- Z Nowego Jorku. Obaj.

Pani Tilson przytaknęła.

- W listopadzie, pomyśleć tylko! Ta wyspa ma, na co zasłużyła!

Starsi państwo nie odezwali się już ani słowem, przyglądali się tylko przybyszom z jakimś wrogim zainteresowaniem. Do pary mężczyzn podszedł tymczasem wysoki kolorowy chłopak w znoszonych spodniach i wystrzępionej koszuli i zdjął z głowy płaski słonkowy kapelusz o szerokim rondzie, ozdobiony czerwonymi i żółtymi wstążkami.

- Pan Pejpmam?

Niższy z mężczyzn uśmiechnął się z wyraźną ulgą.

- Paperman. Norman Paperman.

- Jesztem przewoźnik sz „Rafy Mew”.

Przedstawwszy się, chłopak poprowadził obu przyjezdnych do starej łódki o wygiętym ku górze grzebieniastym dziobie i długim obłym a płytkim kadłubie gondoli, który urywał się jednak nieoczekiwanie, po czym łódź przybierała kształt zwyczajnej nędznej krypy wiosłowej o kwadratowo ściętej rufie i twardych, nie wyściełanych ławeczkach.

Grubas obrzucił ów korab sceptycznym spojrzeniem.

- Czy ta łajba jest aby bezpieczna?

- Jeszpieczna.

Gondolier odebrał dwie walizki z rąk młodocianego czarnego tragarza, który się właśnie przywłókł za swymi klientami.

- Dokąd płyniemy? - zapytał Norman Paperman, wchodząc na pokład łodzi. - Gdzie się mieści klub?

Przewoźnik wskazał kciukiem port.

- Czam.

Po drugiej stronie basenu portowego, na wysokości skośnej bryły czerwonego fortu, oddzielona od niego szeroką na kilkaset metrów zielonkawą płycizną, widniała mała, ozdobiona pióropuszcami palm wysepka. Pomiędzy drzewami Paperman dojrzał zbudowany bez ładu i składu biały budynek. Mężczyzna o imieniu Lester wszedł do karłowatej gondoli, która zanurzyła się o dobrych kilkanaście centymetrów głębiej i zakołysała. Grubas zaklął i zatrzepotał w popłochu rękami. Przewoźnik doskoczył i podtrzymał go za łokieć, a wtedy Lester klapnął z hukiem na ławeczkę obok swego towarzysza.

- Chryste Panie, ta łajba jest bardziej wywrotna od kajaka!... Więc to ten biały budynek? - Przewoźnik przytaknął ruchem głowy i napał na wiosło. - Absurd! Dlaczego nie zbudują tu mostu?

- Uważam, że to ma swój urok - powiedział Paperman. - Mała przejażdżka łodzią...

- A niech szlag trafi takie uroki! - Lester otarł tłustą twarz i łysą stożkowatą czaszkę.

- Najlepszy sposób na odstraszenie klientów.

Przewoźnik silnymi pociągnięciami wiosła popychał łódź w stronę cementowej przystani małej wysepki.

Spomiędzy porastających ją palm i hibiskusów wyłoniła się wysoka i barczysta kobieta z szopą pomarańczowych włosów na głowie. Miała na sobie żółtą bluzkę i białe szorty. Stanowczym męskim krokiem przecięła szmaragdowy trawnik i po obsadzonej kwiatami ścieżce weszła na molo, tu się zatrzymała i pomachała ręką.

- Witam panów! Jestem Amy Ball! - zawołała. - Witam na hafie.

- Dzień dobry! Czy możemy wylądować bez okazywania paszportów? - odkrzyknął Paperman.

Śmiech pani Ball, choć cokolwiek barytonowy, zabrzmiał całkiem przyjemnie. Paperman wyskoczył z łódki, wsparłszy się na krzepkiej piegowatej ręce, która podała mu rosła niewiasta. Następnie oboje, przy pomocy przewoźnika, pomogli wygramolić się z gondoli tłuszciochowi.

- To jest właśnie pan Lester Atlas - przedstawił go Norman Paperman. - Pisałem pani o nim.

- Ależ tak! Jakże się pan miewa? - zapytała pani Ball i wyciągnęła dłoń do grubasa.

Paperman przestraszył się, że Lester skompromituje z miejsca ich obydwo, wybuchając stekiem najobrzydliwszych przekleństw. Nonszalancka pewność siebie i brytyjska, oszczędna wymowa pani Ball - jej wargi, gdy mówiła, prawie się nie wyginały - napełniły go najgorszymi obawami. Jednocześnie powziął nagle podejrzenie, że klub „Rafa Mew” jest prawdopodobnie miejscem, w którym nie powstała dotąd noga Żyda.

Lester Atlas ujął dłoń pani Ball i niczym urodzony dżentelmen strzelił obcasami i wyprężył się szarmancko.

- Czy naprawdę jesteśmy tu mile widzianymi gośćmi?

- Oczywiście! Jakże mogłoby być inaczej? - odparła przez zęby Amy Ball.

- Widzi pani, po prostu nie pojmuję, jak ktoś może naprawdę chcieć sprzedać tak uroczą posiadłość.

Angielka otworzyła już usta do śmiechu, po czym natychmiast zacisnęła wargi.

- Przyznaję, musiałam chyba posthadać zmysły. Ale to długa histohia. Na co panowie mieliby najpiehw chęć? Drzemka po podobłocznej podhóży? Śniadanko? Dhink? Kapiel w morzu?

- Kapiel, to brzmi cudownie! - zachwycił się Paperman. - Zacznijmy od kapieli.

- Chciałbym najpierw rzucić te ciuchy! - powiedział Atlas - a potem omówić nasze sprawy. Jeżeli oczywiście - dodał, obdarzając panią Ball zaskakująco miłym uśmiechem - nie ma pani nic przeciwko temu, żeby tak z miejsca przystępować do interesów.

- Ani thochę. To nawet bahdzo po amehykańsku - odrzekła.

Poprowadziła gości przez trawnik do otynkowanego na biało domku, stojącego na przeciwległym brzegu wąskiej wysepki. Było tu znacznie chłodniej; lekki wietrzyk przynosił zapach kwiatów. Nad łukowato sklepionymi drzwiami wisiał spłowiały szyld w kształcie rulonu z zawiniętymi rogami, na którym widniało tylko jedno słowo: „Pożądanie”.

- To jest Biały Domek. - Pani Ball wyjęła klucz i otworzyła drzwi. - Młodzieńcy, którzy phowadzili ten klub przede mną, Lahy Thompson i Tony Withehs, byli,

obawiam się, choćę zbzikowani. Przemili młodzi ludzie, ale zupełnie jak dzieci. Codziennie zabieham się za zdjęcie tych idiotycznych szyldów i jakoś nie mogę się zabrać.

W momencie, gdy pożegnawszy się, zamykała już za sobą drzwi, nadszedł gondolier. Postawił na podłodze obie walizki gości i wymknął się z pokoju, zanim zdążyli mu wręczyć napiwek.

- A więc tak wygląda klub „Rafa Mew”. - Przekrwione oczy Atlasa przesunęły się po wnętrzu domku. Pachniał pleśnią i środkami owadobójczymi. Cztery duże łóżka zasłano czerwonymi, zmechaconymi narzutami z wełny. Pomalowane na biało chropowate ściany ozdabiały akwarele w ramkach, przedstawiające palmy, kwiaty oraz ryby. - Całkiem pojemne domki, trzeba przyznać. W sezonie każdy pomieści bez trudu dwie rodziny. - Trącił zsunięte pod ścianę czerwone harmonijkowe przepierzenie z plastiku, po czym rzucił na łóżko marynarkę, porwał walizkę i wszedł do łazienki. - Muszę natychmiast wziąć prysznic. Cuchnę jak ścierka do podłogi.

Oszołomiony zmęczeniem i podnieceniem, Paperman otworzył swoją walizkę i pociągnął prosto z butelki łyk szkockiej. Nie lubił w ten sposób pić, nie miał takiego zwyczaju, ale nic tak nie łagodziło kołatania serca jak odrobina alkoholu.

Był całkiem wykończony po całonocnej podróży trzęsącym jak dyliżans samolotem w towarzystwie Atlasa, który przez całą drogę na Amerigo żłopał dla ukojenia nerwów bourbona z papierowych kubków - najpierw na pokładzie wielkiej maszyny lecącej do San Juan, potem małego aerobusu, kursującego pomiędzy wyspami. Paperman od początku podróży nie wiedział, gdzie oczy podziąć ze wstydu. Atlas zwymyślał kasjerów na lotnisku Idlewild, potem nawrzeszczał na bagażowego, każąc mu prędeż ruszać dupą (w chwilę później uśmierzył gniew urażonego pracownika banknotem pięciodolarowym), a potem uparcie czynił sprośne propozycje stewardesie, ilekroć obok niego przechodziła. Ponadto wykonywał z lubością nieprzystojne gesty pod adresem rozkołysanego tyłeczka biednej dziewczyny, puszczając przy tym oko do przerażonej siwowłosej damy, siedzącej w sąsiednim rzędzie foteli, i rycząc na całe gardło: „Con permissio! Ha, ha, ha!” Ledwie zgaśł napis nakazujący zapięcie pasów, zaczął się szwendać po całym samolocie, zagadywał do pasażerów, częstował ich whisky i zanosił się chrapliwym śmiechem, wyrykując co chwila swoje „Con permissio! Con permissio!”. Portem docelowym samolotu była Wenezuela, podróżowało nim wielu Amerykanów latynoskiego pochodzenia, Atlas uznał więc częste wykrzykiwanie hiszpańskiego zwrotu, z dodatkiem charkotliwego „s” w słowie „permissio”, za znakomity żart. Paperman był człowiekiem wrażliwym, szczycił się swoimi dobrymi manierami i gustem co do ubioru. Wszystko, do czego doszedł w życiu, zawdzięczał wyłącznie samemu sobie. Mając piętnaście lat uciekł z rodzinnego domu, typowego gniazda klasy średniej (jego rodzice prowadzili sklep meblowy w Hartford w stanie Connecticut). Obecnie pracował jako agent prasowy na Broadwayu, do tego miał paru klientów z przemysłu. Dokładał wszelkich starań, by nie upodobnić się do żadnego z typowych dla show businessu typów: chama, pozera lub plotkarza. Równie odrażający wydawali mu się nieokrzesani przedsiębiorcy z gatunku Atlasa. Określenie „buc” należało w jego kręgu towarzyskim do najcięższych obelg. Podróżowanie w towarzystwie takiego prostackiego, wrzaskliwego, skończonego buca jak Lester Atlas stanowiło więc dla Normana Papermana nader bolesne doświadczenie.

Do grona jego przyjaciół należeli pisarze, aktorzy, dziennikarze, ludzie z telewizji, w ogóle „wielki świat”. Wielu z nich osiągnęło status prawdziwych znakomitości.

W takim towarzystwie spędzał większość wieczorów,

przesiadując w różnych restauracjach na Broadwaÿu, popijając kawę, paląc papierosy i prowadząc błyskotliwe rozmowy. W kręgu znajomych Papermana przywiązywano ogromną wagę do odpowiednich strojów i właściwych lektur. Prawdę mówiąc, Paperman i ludzie z jego otoczenia starali się robić - oprócz ściśle zawodowej - drugą, odrębną

karierę, której warunkiem było nienoszenie, niemówienie i nieczynienie niczego, czego nosić, mówić i robić nie wypada. Nie było to wcale łatwe. W Nowym Jorku moda, dyktująca co wypada nosić, czytać, myśleć bądź mówić, pochwałać lub ganić, nieustannie się zmienia. Bywa, że nieprzeczytanie choćby jednego numeru tego czy innego opiniotwórczego czasopisma pociąga za sobą opłakane skutki. Lekarze skarżą się na liczbę periodyków, które muszą przeczytać, chcąc nadażyć za postępowaniem wiedzy medycznej, jednakże ich wysiłek należy uznać za wręcz znikomy w porównaniu z mozołem, jakiego wymaga utrzymanie statusu nowojorczyka na poziomie - takiego jak Norman Paperman.

Trud z tym związany należał zresztą do głównych powodów, dla których Paperman znalazł się w Indiach Zachodnich; swe starania o utrzymanie się na tak wysokim piedestale przypłacił bowiem zdrowiem.

3

W jakieś pół godziny po przyjeździe Norman Paperman omal nie utonął. Włożywszy po raz pierwszy w życiu płetwy i maskę, zachwycał się podwodnym pięknem rafy. Podziwiał skubiącą różowe korale papugorybę, falujące delikatnie fioletowe wachlarzyki małych rybek, kałamarnicę o tragicznych, ludzkich oczach, osadzonych w małym galaretowatym cieple, która, gdy się zbliżył, oddaliła się susem odrzutowca, a nawet połyskliwą, czystą, różową barwę własnych rąk i nóg powiększonych przez wodne pryzmaty. Przejęty zachwytem gonił właśnie wzdłuż gigantycznych, pobrużdżonych niczym mózg koralowych półkul fioletową rybkę podobną do zwiewnej chmurki, kiedy w pewnej chwili przekręcił nieostrożnie głowę, fajka wyśliznęła się z obsady i maska napełniła się wodą. Zanim ją zerwał, nawdychał się przez nos i nałykał ciepłej, piekielnie słonej cieczy. Kaszląc i krztusząc się złapał tonącą fajkę i spróbował wetknąć ją z powrotem w maskę, odnotowując przy okazji, że odpłynął zbyt daleko od brzegu. Pływakiem co prawda był dobrym, kłopot polegał jednak na tym, że od czasu ataku serca łatwo tracił oddech, poza tym nie służyły mu gwałtowne ruchy, nadmierny wysiłek i miotanie się bez opamiętania. Naprawił maskę, włożył ją niezgrabnie - i ponownie wciągnął w płuca haust ciepłej wody. Dławiąc się i parszcząc zdarł maskę, nie na żarty już wystraszony, stwierdził bowiem, że nie może głębiej zaczerpnąć powietrza, a paniczne ruchy nie są w stanie utrzymać jego głowy nad powierzchnią. Poszedł pod wodę; po chwili wynurzył się znowu i mdlejącym głosem wykrztusił:

- Na pomoc!

Wpatrując się w pasek plaży, która wydała mu się odległa o całe kilometry, kopał wodę nogami, rozchlapując rękami i... gmerał się wciąż w tym samym miejscu. „Psiakrew, co za kretyńska śmierć”, przemknęło mu przez głowę. Pomyślał o żonie i córce oraz o tym, jak skończonym trzeba być idiotą, żeby przyjechać na wyspę, oddaloną o pięć tysięcy kilometrów od Nowego Jorku, utonąć i przepaść w morskiej otchłani jak dziurawa puszka po piwie. Serce waliło mu jak oszalałe. Raptem czyjaś silna dłoń chwyciła go za łokieć.

- Już dobrze. Tylko spokojnie!

Paperman ujrzał przed sobą nadzianą na ostrze harpuna wielką czerwoną i krwawiącą rybkę. Osobnik dzierżący kuszę miał gęste, czarne, kędzierzawe włosy,

ociekające teraz wodą. Twarz zakrywała mu gumowa, żółta maska płetwonurka, opatrzona rurą do oddychania.

- Niech się pan położy na plecach i unosi swobodnie - powiedział spokojnym i sympatycznym młodzieńczym głosem. Część supłów w mięśniach Papermana rozluźniła się; posłusznie usłuchał rozkazu. Wybawca puścił jego łokieć i ujął go pod brodę.

- W porządku?

Paperman zdołał kiwnąć głową, przełamując opór podtrzymującej mu szczękę mocnej dłoni.

Płetwonurek doholował go do brzegu, uwolnił jednak niedoszedłego topielca jeszcze na głębokiej wodzie, tak że Paperman mógł się odwrócić na brzuch i przepłynąć o własnych siłach kilkadziesiąt ostatnich metrów. Zerknąwszy z obawą w stronę hotelowego tarasu dojrzał Atlasa, pogrążonego w rozmowie z panią Ball i jakimiś dwoma Murzynami. Najwyraźniej nikt nie zauważył jego rozpaczliwej chlapaniny ani późniejszego ocalenia. Płetwonurek stanął na płyciźnie i podniósł maskę na czoło, odsłaniając pociągłą, opaloną twarz, wydatny garbaty nos, figlarne piwne oczy i męski, szeroki uśmiech.

Machnąwszy w stronę Papermana nabita na ostrze czerwoną rybą z wybałuszonymi oczami, zawołał:

- Myśli pan, że wystarczy dla dwojga? To mój obiad.

- Powiedziałbym, że nawet dla czworga.

- Złudzenie! Gdy się tej

bestii obetnie łeb i ogon, niewiele zostaje. Jest natomiast niewątpliwie świeża. Sądzę, że dla dwojga jednak starczy.

Jedwabisty i gorący piasek pod stopami wydał się Papermanowi niesłychanie gościnny, przytulny i przyjazny.

- Dla pana i kogo jeszcze? - zapytał, nawiązując rozmowę głównie po to, by pokryć zmieszanie.

W uśmiechu młodzieńca pojawił się odcień lubieźności.

- No wie pan... jednej laluni.

Jego wymowa wskazywała nieomylnie, że pochodził z Nowego Jorku bądź Jersey.

- No cóż, dziękuję, że mnie pan wyłowił.

Płetwonurek poklepał się po żebrach. Był szczupły, wzrostu Papermana. Spod postronków mięśni i miedzianej skóry sterczały guzy kości.

- Zmarzłem jak licho.

Zamierzam się poratować leczniczą dawką whisky. Co pan na to?

Wskazał taras klubu.

- Bardzo chętnie. - Paperman wciąż jeszcze drżał po spotkaniu oko w oko ze śmiercią.

Wyciągnęli się na plaży na drewnianych leżakach. Nagrzane słońcem szorstkie, czerwone poduszki podziały na Papermana kojąco niczym poduszki elektryczne.

- Chyba zgłupiałem na starość

- powiedział. - Dopiero co przyjechałem, w samolocie przez całą noc nie zmrużyłem oka, nigdy nie nurkowałem z fajką, szwankuje mi ostatnio zdrowie, mimo to hajda na morze, bawić się w człowieka-żabę!

Jego wybawca powiesił maskę na oparciu leżaka. Pierścionki mokrych czarnych włosów opadły mu na czoło.

- Czyli we mnie, bo ja jestem właśnie człowiekiem-żabą.

Paperman obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem. Jak każdy nowojorczyk bał się wyjść na durnia.

- Naprawdę? A gdzie to, w marynarce czy innej formacji?

- W DSP, czyli w drużynie saperów podwodnych. Trenujemy na tym akwenu.

- Jest pan oficerem marynarki wojennej?

- Tylko skromnym szeregowcem.

Pływak zapalił papierosa, wyjętego z kieszeni wiszącej na leżaku zielonej koszuli, i opowiedział swoją niezwykłą historię. W roku tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym, mając zaledwie lat siedemnaście, wstąpił ochotniczo do armii izraelskiej, ku przerażeniu swoich amerykańskich rodziców, którzy do Palestyny przyjechali w interesach. W następstwie tego kroku stracił obywatelstwo amerykańskie. Potem studiował w Anglii technikę lotniczą, z myślą o pracy w liniach „El Al”. Obecnie odbywał służbę w marynarce, aby w ten sposób odzyskać utracone obywatelstwo.

- Izrael to wspaniały kraj, przekonałem się jednak poniewczasie, że z młodzieńczej głupoty palnałem głupstwo - wyznał. - Z duszy serca jestem już Amerykaninem. Chcę odzyskać zielony paszport, który niebacznie straciłem. Na szczęście marynarka potrzebuje w dzisiejszych czasach wiele drużyn saperów podwodnych.

Podszedł barman, opalony na czekoladowo blondas. Chodził boso, miał błękitne jak lód oczy i potężne bary. U prawej dłoni brakowało mu dwóch palców. Płetwonurek wziął od niego pękata szklanekę z ciemną whisky i kostkami lodu i wskazał na martwą rybę.

- Jak sądzisz, Thor, czy Sheila mogłaby mi ją na poczekaniu oczyścić?

- Chcesz tu dzysz jeszcze? Ja bym zapytał pyrf Amy. Gubernador wydaje dzysz przyjęcze, boje sze, że mamy kompled.

- Dobra. Mimo to wrzuc ją z łaski swojej do lodu.

Barman skinął głową, zgrabnie zdjął rybę z harpuna i odszedł.

Paperman sączył whisky i czuł się z każdą chwilą lepiej. Główną plażę Rafy Mew stanowiła zakrzywiona połącz czystego bielutkiego piasku, wzdłuż której rosły palmy i sękate drzewa o okrągłych liściach, zwane „morskimi winogronami”.

Paperman leniwie przesypywał w dłoni ciepły jedwabisty piasek, rozkoszując się jego łaskotaniem. Jeszcze nigdy nie widział oceanu równie spokojnego; śnieżnobiałe obłoki odbijały się w niemal gładkiej wodnej tafli jak w zwierciadle. Na prawo od niego ciągnął się z północy na południe strzępiasty zielony garb większej wyspy, okraszony śmiałą karminową plamą fortu przy samym brzegu morza. Od portu na zbocza trzech kopiających wzgórz wspinały się białe domy o czerwonych dachach.

- Banalny obrazek - oświadczył Paperman i przeciągnął się ziewając.

- Amerigo? Boskie marzenie!

Byłem we Włoszech, na południu Francji, w Tangerze, gdzie tylko pan chce, ale uważam, że jest to chyba najpiękniejsze miejsce na ziemi.

- Jednak dziwne - zauważył Paperman.

- Dlaczego?

- Niech pan weźmie choćby tego barmana. Nigdy w życiu podobnego nie widziałem. Wygląda jak czwarta czy piąta kinowa wersja Tarzana.

- Thor właściwie nie jest barmanem. Przeplynał samotnie na żagłowiec ocean. To duch nieujarzmiony, Szwed.

- Dlaczego stoi za barem?

- Odkłada na nowy jacht.

Poprzedni rozbił na rafie w Zatoce Pitta.

Paperman wahał się przez chwilę, po czym powiedział:

- Zamierzam kupić ten klub.

Młody człowiek podniósł głowę, a w jego opalonej na brąz twarzy błysnęły białe, niezbyt równe zęby.

- Naprawdę? Więc „Rafa Mew” jest na sprzedaż?

- Przed trzema tygodniami ukazało się ogłoszenie w „New Yorkerze”.

- Ach tak? W „New Yorkerze”...

- Nie czytuje pan?

- Owszem, jeśli wpadnie mi w ręce. Dociera tutaj z sześcioletnim albo siedmioletnim opóźnieniem.

Ta ostatnia wiadomość nieprzyjemnie zaskoczyła Papermana. Miał zwyczaj rzucać się na „New Yorkera” w godzinę po dostarczeniu tygodnika do jego ulubionego kiosku na rogu Ósmej Alei i Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy. Tak samo łączywie rzucał się każdego wieczoru na nowojorskie wydanie „Timesa”, ledwo pojawiło się w ulicznych punktach sprzedaży; kupował też wszystkie bez wyjątku wieczorne i poranne gazety, choć przynosiły te same nowiny, różniąc się jednym co najwyżej nagłówkiem i to tylko po to - świetnie o tym wiedział - by tytuł lepiej się sprzedawało. Można by go śmiało nazwać uzależnionym od prasy codziennej. Nigdy dotąd nie powstała mu nawet w głowie myśl, że „New Yorker” może nie być natychmiast osiągalny na całym świecie - w najgorszym razie z parodniowym opóźnieniem, ale to już na ostatnich przystankach najdłuższych linii lotniczych.

- Można sprowadzać prasę pocztą lotniczą - zauważył.

- Za dolara od egzemplarza, skromnie licząc? A po co?

Paperman wrzucił tylko ramionami. Pytanie zdradzało wyraźnie kategorię mentalną pletwonurka: buc.

- Co pan sądzi o tym klubie? - zapytał, by zmienić temat. - Chodzi mi o jego wartość jako inwestycji.

- Nie znam się na inwestycjach. Dziwię się tylko trochę, że Amy go sprzedaje. Inna rzecz, że to bardzo zgodne z panującym tutaj duchem. - Usiadł zgarbiony, skrzyżowawszy po turecku nogi. - Trudni się pan w Stanach hotelarstwem?

- Nie.

Paperman przedstawił pokrótce człowiekowi-żabie swój życiorys, opowiedział o niedawnym ataku serca, o ciężkiej depresji, w jaką później popadł, wreszcie o swym rozczarowaniu Manhattanem.

Wygłosił filipikę przeciw rosnącym w zawrotnym tempie cenom, przeciw coraz gęstszym tłumom, przeciw brudowi, paskudnej pogodzie, marnemu i niewydolnemu transportowi, nasilającemu się bandytyzmowi, korupcji polityków, przeciw powstającym jak grzyby po deszczu drapaczom chmur, owemu prostopadłościennemu obrzydliwstwu ze stali i szkła, przeciw potwornemu ściskowi w nielicznych co lepszych restauracjach, przeciw fatalnemu pogorszeniu się obsługi nawet w

luksusowych hotelach, przeciw paskarskim cenom biletów na przebojowe przedstawienia i banalności tych gwoździ sezonu, wreszcie przeciwko niewyobrażalnie nużącej monotonii życia w Nowym Jorku w ogóle, a życia takiego drobnego pasożyta jak agent prasowy w szczególności. Paperman, nie oszczędzając miasta, nie oszczędził i samego siebie. Otarcie się o śmierć pokazało mu, krótko mówiąc, że pora podjąć ostatnią próbę znalezienia lepszej drogi życia. Odkąd przeczytał to ogłoszenie o sprzedaży klubu „Rafa Mew”, nie zaznał chwili spokoju, nie mógł spać po nocach, myśleć o niczym innym - i oto tu jest.

- I powiem panu coś jeszcze - dodał. - Nie miałem nawet pojęcia, jaką odrazą napełnia mnie moje dotychczasowe życie, dopóki dziś rano nie przybyłem tutaj. Przyjazd na tę wyspę to dla mnie coś w rodzaju powtórnych narodzin. Coś jak odroczenie wykonania kary śmierci. - Uśmiechnął się z lekkim zakłopotaniem. - Niemal jak odkrycie Boga...

Młody człowiek przysłuchiwał się tym wynurzeniom z krzywym uśmiechem, przytakując od czasu do czasu.

- No cóż, zgadzam się z panem w całej pełni co do Nowego Jorku, jednak przyjazd tutaj to ogromny przeskok...

- I o to właśnie chodzi! - podchwycił z zapalem Paperman. - Zmiana radykalna jak cięcie toporem. Obawiam się, że myśli pan sobie o mnie to samo, co moja żona, to znaczy, że upadłem na głowę.

Płetwonurek roześmiał się i wstał z leżaka.

- Nic podobnego! Mieszkać w takim miejscu, i to jako szef, właściciel tego wszystkiego - zatoczył ręką wokoło, obejmując tym gestem plażę oraz hotel - przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku? Toż to istny raj, jeśli człowieka na coś takiego stać. Nasza jednostka odlatuje na północ dopiero w marcu, a trzech chłopaków już teraz postanowiło się spóźnić na samolot.

Podniósł maskę i kuszę.

- Dzięki za drinka -

powiedział Paperman. - Proszę mi dać szansę do rewanżu dziś wieczorem. Zapraszam również lalunię.

- Byczo! Bob Cohn.

- Norman Paperman.

- A więc jesteśmy umówieni.

Spotkajmy się około siódmej w barze. Posłuchaj jeszcze dobrej rady, Norman, i nie wypływaj samotnie na głęboką wodę. Na morzu reguła bezpieczeństwa numer jeden.

- Ty też pływałeś sam...

Cohn włożył zieloną koszulę z szarą naszywką skoczka spadochronowego na kieszonce na piersi.

- Słuchaj, co mówię, a nie patrz, co robię. Reguła numer jeden dowodzenia w marynarce.

Uśmiechnął się sympatycznie i z kuszą w ręku ruszył biegiem przez plażę.

Wchodząc do baru po betonowych, pomalowanych na czerwono schodach, Paperman już z daleka usłyszał głos Atlasa.

- Po prostu mam zwyczaj walić ludziom prawdę w oczy - przechwalał się grubas. - Nie robię nic innego, mówię im tylko prawdę o stanie ich interesów.

Papermanowi ścierpła skóra.

Boże, znów ten stary numer

„Time'a” z Eisenhowerem na okładce! Jacyś dwaj Murzyni w granatowych garniturach, siedząc w niskich drewnianych

fotelikach, wlepiali oczy w tekst artykułu. Lester Atlas, ze szklanką piwa w jednej pulchnej dłoni i cygarem kształtu torpedy w drugiej, siedział rozparty na podobnym fotelu. Białe,

owłosione nogi rozstawił

szeroko, opasłe brzuszysko spływało mu na kolana, na mięsistym nosie tkwiły binokle pince-nez. Jego strój tropikalny składał się z pomarańczowej koszuli w szkarłatno-zielone arbuzy, kremowych płóciennych szortów - o wiele za krótkich, toteż wyglądały jak wystająca spod koszuli bielizna - brązowych półbutów i czarnych bawełnianych, opadających skarpetek.

- Halo! - Pani Ball pomachała szklanką piwa z kwadratowej sofy dla dwóch osób, na której siedziała z podwiniętymi nogami w pozie zanadto kociej jak na kobietę tak okazałej postury. - Haczmy się właśnie dhugim śniadankiem. Phoszę się do nas przyłączyć.

- Jestem cały zapiaszczony i słony. Wezmę najpierw prysznic.

- Nonsens! Thoh, podaj panu piwo. Jak tam pływanko? Dlaczego nas pan nie uprzedził, że pański pahtneh to taka wybitna figuha?

- Och, po prostu lubię rąbać ludziom prawdę prosto z mostu - uściślił rozpromieniony Atlas.

Paperman uznał, że pani Ball kpi sobie w żywe oczy. W artykule „Time'a” przypuszczono ostry atak na osobników okradających spółki akcyjne. Lester wypadł chyba najgorzej spośród dziewiątki cwaniaków, których chytre, brutalne gęby okalały wianuszkami tekst. Dla Lestera Atlasa liczyło się jednak tylko to, że jego podobizna ukazała się w piśmie o ogólnokrajowym zasięgu. W swoim biurze trzymał oprawny w skórę egzemplarz tygodnika, drugi podobny przechowywał w domu, ponadto miał cały stos zapasowych egzemplarzy, które spożytkowywał na przechwałki przed ignorantami.

- Przedstawiam panu Walteha Llewellyna, panie Papehman, phezesa naszego banku - odezwała się pani Ball niemal nie otwierając ust. - A to pan Neville Wills, mój księgowy.

Obaj Murzyni wyprężyli się na baczność. Paperman podał obu rękę i doświadczył omdlałego niepewnego uścisku dłoni mieszkańca Indii Zachodnich. Bankier był drobnym, siwowłosym mężczyzną o okrągłej twarzy, księgowy - pulchnym młodzieńcem, którego nieśmiały uśmiech pobłyskiwał kilkoma złotymi zębami. Skórę mieli obaj całkiem czarną; bankier, może z powodu swych siwych włosów, sprawiał wręcz wrażenie hebanowego.

- Norm, opowiadam właśnie Amy i panom, że jedynym towarem, jakim obracam, jest szczerłość. Żeby dać ci o tym jakieś wyobrażenie, Amy, przypuśćmy, że mamy korporację iks...

Paperman opadł z rezygnacją na krzesło. Lester nie należał do ludzi, którzy pozwalają się odwieść od tematu.

Norman musiał więc wysłuchać po raz kolejny tej samej nudnej opowieści. Korporacja iks robiła pieniądze produkując gumowe pasy i opony, ale traciła je następnie w przedsiębiorstwie filialnym, wyrabiającym baty do końskich zaprzęgów. Lester Atlas został akcjonariuszem spółki. Zbadał finanse korporacji iks, odkrył prawdę i ogłosił ją wszem i wobec na zebraniu rady nadzorczej. Należałoby się pozbyć fabryki batów, oświadczył, zainkasować grubszą gotówkę za sam budynek i grunt, skupić się na wytwarzaniu produktów cieszących się wielkim popytem, a potem podzielić krociowymi dywidendami.

Niestety, członkowie rodzinnego zarządu, stetryczałe niedołęgi, wystąpili przeciwko niemu, żywili bowiem sentyment do produkcji owych batów do końskich zaprzęgów. Nazwali go grabieżcą o wilczym apetycie i wyprosili za drzwi. Dopiero wtedy, nie wcześniej, Lester Atlas udał się do pozostałych akcjonariuszy i objawił im prawdę. Akcjonariusze podjęli legalną walkę, usunęli członków dotychczasowego zarządu i wybrali nową radę nadzorczą. Nowa rada sprzedała budynek fabryki batów i doprowadziła do tego, że korporacja zaczęła przynosić bajonkie zyski.

- No i widzisz, Amy, ci ludzie oferują mi teraz co jakiś czas stanowisko członka, a nawet przewodniczącego rady z czystej wdzięczności za ukazanie im prawdy. No cóż, gdybym mógł, przyjąłbym ich propozycję, ale jestem człowiekiem zapracowanym, więc moją jak zwykle jedyną nagrodą pozostanie satysfakcja, że po raz kolejny ocaliłem chorą spółkę, odsłaniając prawdę o stanie jej finansów. Niczym innym się w gruncie rzeczy nie zajmuję. To moje jedyne zadanie. Jeżeli czyni mnie to grabieżcą, proszę bardzo, szczyć się tym!

- So do mnie uważam -

przemówił bankier - ze oddaje pan nieocenioną usługę dobru publicznemu, panie Ot-los.

Głos miał ciepły, melodyjny i akcentował ostatnie sylaby wyrazów w sposób, który od dawna bawił Papermana, gdy słuchał płyt z nagraniami piosenek Calypso.

Norman nie potrafił zrozumieć, jak Lester ma czelność powtarzać do znudzenia tę samą prostą bajeczkę, kiedy w tym samym numerze „Time'a”, z którym się tak obnosił, opisano jego prawdziwe metody działania. Lester stał się na przykład ostatnio współwłaścicielem pewnej fabryki mebli z południa Stanów, od lat - to prawda - fatalnie zarządzanej. W zażartej walce giełdowej zdobył pakiet kontrolny, po czym sprzedał budynki i lasy i wycofał się z kapitałem ponad miliona dolarów gotówką. Rodzina właściciela również na tej operacji zarobiła, ale sama spółka popadła w ruinę. Około czterystu osób straciło pracę. „Time” cytował komentarz Lestera:

„Dobrze tylko coś, co i tak było skazane na zagładę. Te stare przyki zarządzające firmą mogły zostać bankrutami, a wyjechały z nabitymi portfelami do Palm Beach. Wyświadczyłem im chyba przysługę, czy nie?”. Na pytanie o czterystu zwolnionych pracowników, odpowiedział: „Ci ludzie byli właściwie na garnuszku państwa. Produkowali drogo kiepskie meble na rozlatujących się maszynach. Kiedy usuniesz darmozjadów z rządowej listy płac, zostajesz bohaterem. Kiedy zrobisz to samo w przemyśle, okrzykną cię grabieżcą”.

Opisując boje Lestera na giełdzie autor artykułu w „Time'ie” nakreślił portret spekulanta, który nie cofa się przed żadnymi metodami, wyjąwszy może tylko przestępstwa kryminalne. Posługuje się bez skrępowania łapówkami, pochlebstwem, groźbą, potrafi zacisnąć na szyi konkurenta pętlę finansową, podsunąć panienkę, a nawet uciec się do rękoczynów - gdy kiedyś adwokat strony przeciwnej obraził go słownie podczas jakiegoś burzliwego spotkania, Lester go po prostu znokautował. Trudno

było jednak dostrzec jakieś
oznaki tej bezwzględnej
brutalności w pocziwym
tłusciochu, który siedząc teraz w binoklach pince-nez, koszuli w arbuzy i
kremowych gatkach, ciepłym tonem - jaki Lester potrafił w razie potrzeby
przybierać - opowiadał o swym umiarkowanie altruistycznym usposobieniu. Ta
cukrzona chytryść połączona z cielesną powłoką jurnego goryla przydawała w
podobnych momentach Lesterowi Atlasowi pewnego swoistego prostackiego wdzięku.
- To jest absolutnie
fascynujące, co pan nam tu opowiada - oznajmiła pani Ball.
- A może odkhyłby nam pan hównież phawdę o naszym klubie?

Paperman odchrząknął,
zaniepokoiony.

- Czy nie przynosi dochodów?
- Ależ przynosi! - Pani Ball wskazała sążnistym palcem o długim pomarańczowym
paznokciu stos książek i zestawień rachunkowych w niebieskich okładkach, piętrzący
się na stole. - Powinien jednak przynosić dochód znacznie większy. Pojęcia nie
mam, czemu nie przynosi.
- Przyjrzałem się tym liczbom
- oświadczył Atlas - i miałbym do państwa kilka pytań.
- Ależ oczywiście! Neville i Walteh są tu właśnie po to, by wyjaśnić wszystkie
pańskie wątpliwości.

Co powiedziawszy, pani Ball wskazała barmanowi swoją pustą szklanekę. Thor dolał
jej piwa i wrócił do drzemki na barowym stołku. Nosił podarte szorty koloru
khaki i wystrzępioną niebieską koszulę, spraną niemal do szarości. W jego uchu
lśnił złoty kolczyk.

Paperman postanowił, że jeśli kupi hotel, zatrzyma tego ośmiopalczastego
barmana.

**Zmienił zdanie i uznał, że klub
„Rafa Mew” nie potrzebuje
modernizacji. Był co prawda
nieco podniszczony, ale być może**

- wzorem niektórych najlepszych hoteli w Anglii czy w Paryżu - należało go w
takim właśnie stanie zachować. Trochę zaniedbany wygląd dodaje czasem szyku. Ów
podobny do pirata, drzemiący na stołku barman przydawał lokalowi kolorytu. Bar
ozdabiały sieci, wielkie wachlarzowate korale -
pomalowane na białą, lecz z
lekka już poszarzałe - zielone
bojki rybackie z dmuchanego
szkła, zakurzone konchy i
zblakłe koralowe polipy. Na
murowanej ścianie jakiś
malarz-amator wymalował
wizerunki różnych ryb. Dachy z blachy falistej nie przesłaniało nic prócz kilku
uschniętych palmowych liści. Czerwony jaśmin zapuszczał do środka gałęzie usiane
gwiazdkami różowych kwiatów i każdy powiew wiatru przynosił bukiety
aromatycznych woni. Miejsce było niewątpliwie prymitywne, a jednak? - jak ocenił
Paperman - swojskie i przytulne.

Atlas wypytywał panią Ball i obu Murzynów o listę płac, wysokość podatków, ceny
w sezonie i poza sezonem.

- Powiedz no mi, Amy -
zagadnął w pewnej chwili obcesowo, zapalając kolejne cygaro - czym wy tutaj
handlujecie?

Angielka sprawiała wrażenie spłoszonej.

- No jakże... podajemy
oczywiście dhinki, jedzenie... Phóbowaliśmy sprzedawać biżuterię z kohału,
ale...

Atlas pokręcił przecząco głową.

- Handlujecie snem.
- Snem??

Głos pani Ball wzniósł się o dwie oktawy.

- Właśnie. Jak możesz zarabiać grubszą forszę, skoro nawet nie wiesz, czym handlujesz? Ludziska zjeżdżają tu zimą, żeby się trochę ogrzać. W nocy muszą się gdzieś położyć. Bar i jadalnia to tylko dodatki. Waszym prawdziwym towarem są łóżka. Łóżka do spania. Na tym robicie pieniądze. - Dwoma tłustymi paluchami, między którymi trzymał cygaro, postukał w księgi rachunkowe. - Z tych ksiąg wynika jasno, że sprzedajecie za mało snu. Jakiś tuzin łóżek więcej i interes powinien rozkwitnąć. - Odstawił zamasyżycie szklanke i dzwignął się z fotela. - Chodźmy!

Lester potrafił narzucać swoją wolę. Pani Ball i obaj Murzyni posłusznie wstali, podniósł się także Paperman. Barman przekrzywił opuszczoną na ramię głowę i otworzył jedno lodowato niebieskie oko.

- Och, już nie haz hozmawiałam o wybudowaniu nowych domków - zapewniła pani Ball. - Miejsca mamy dosyć, ale...

- Wybudowaniu? Tutaj? - Atlas zmrużył oczy i spojrział na bankiera. - Taka inwestycja kosztowałaby obecnie w Stanach jakieś osiemdziesiąt dolarów za metr kwadratowy. A ile tutaj? Wykonawcy obiecują ci się zmieścić w jakichś stu czterdziestu tysiącach, zgadza się? Summa sumarum zapłaciłabyś za to od stu osiemdziesięciu do dwustu z groszami, w zależności od tego, jak wielkimi okazałyby się naciągaczami.

Murzyni wymienili zdumione spojrzenia, po czym księgowy zaniósł się szczerym, hałaśliwym śmiechem. Odrzuciwszy w tył głowę, klepał się po udach i chwiał jak pijany, obnażając w uśmiechu złote zęby i czerwone dziąsła.

- Plafta, jak mi Bók miły!

Plafta! Tyle by to faśnie wyniosło.

Bankier zachował godniejszą postawę, ale i on się śmiał.

- Panie Ot-los, pan już robił interesy na Karai-bach?

Atlas odchrząknął i wsadził cygaro do ust.

- Mam po prostu zwyczaj rąbać prawdę prosto z mostu. Zobaczmy, czy nie udałoby się gdzieś wcisnąć dodatkowych dziesięciu łóżek.

Kiedy przechodzili przez hol, Norman dostrzegł dwie dziewczyny, które w ciemnym pokoju, zastawionym karcianymi stolikami, odbijały piłeczkę pingpongową. Choć padał ze zmęczenia, gorąco uderzyło mu do głowy, ponieważ jedna z pań miała na sobie kostium bikini i oglądana od tyłu była właściwie goła; mały zielony trójkącik na rozbujanych pośladkach tylko jej nagość podkreślał. Widok był zachwycający. Klub „Rafa Mew” prezentował się z każdą chwilą ponętniej! W pewnym momencie piłeczka potoczyła się do holu i dziewczyna pobięła za nią. Czar prysnął, kiedy jej rozchybotane nagie ciało zbliżyło się do Papermana. Miała wielki nos, piegowatą czerwoną twarz w kształcie gruszki i farbowane na różowo, karbowane włosy.

- Idziesz z nami, Norm?

Atlas z resztą towarzystwa wchodził na schody obok recepcji. Paperman podążył za nimi. Myślał o tym, że jeszcze dziesięć lat temu uroda dziewczęcej buzi nie miałaby dla niego istotnego znaczenia. Ten grający w pingponga maszkaron mógł być „lalunią” Boba Cohna. Ciało, musiał przyznać, miała pyszne. Paperman przypomniał sobie z melancholią zdrowy apetyt młodości, który pozwalał się cieszyć nawet taką miłosną strawą. Wstępując wolniutko na schody, zbyt strome i wysokie - schody bardzo mu się w ostatnich czasach dawały we znaki - doszedł do

niepochlebnego dla siebie wniosku, że tylko słabnąca potencja czyni go tak wybrednym.

W korytarzu na piętrze pani Ball otwierała kluczem kolejne drzwi, a Atlas zaglądał do pokoi.

- A gdzie są wasi goście?

- Większość w tej chwili

żegluje. Listopad w ogóle należy do gorszych miesięcy. Cała wyspa jest jakby wymahła.

- Trzeba przyznać, że na tym piętrze wykorzystaliśmy powierzchnię do ostatniego centymetra.

- Mogliby panowie wybudować soś na południowym krańcu Rify Mew - podsunął bankier.

Atlas pokręcił głową.

- Wykluczone, żadnych placów budowy! Szukajmy dalej.

Zeszli na dół. Atlas obrzucał taksującym spojrzeniem hol, kiedy podtoczyła mu się do nóg piłeczka pingpongowa, po czym z pokoju obok wypadło rozkolebane od szyi po kolana półnogie straszycło z różową fryzurą.

- Bardzo przepraszam -

zawołała z chichotem golaska.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odrzekł szarmancko Atlas i z uśmiechem satyra podał jej piłeczkę.

Dziewczyna wróciła do sali gier. Atlas odprowadzał wzrokiem rozkołysany tyłeczek, lecz jego zainteresowanie zgasło raptownie, dostrzegł bowiem w perspektywie przestronną, zastawioną stolikami salę.

- A to co takiego? Macie tu z pewnością ze sto pięćdziesiąt wolnych metrów kwadratowych!

- Nigdy nie mierzyłam -

przyznała pani Ball. - Niegdyś była to jadalnia, ale obecnie goście stołują się przeważnie poza hotelem, więc urządziliśmy tu pokój do gier, jednakże...

Atlas przykucnął i postukał knykiami w drewnianą podłogę.

- Ścianki działowe i

hydraulika - oznajmił bankierowi. - Pokoiki będą małe i skromne, ale ludziska potrzebują przede wszystkim kawałka miejsca, gdzie mogliby się przespać. Dodać osobne toalety, a powstaną całkiem luksusowe apartamenciki.

- Psy tym na parteze -

oświadczył rozglądając się po sali bankier, którego łagodna twarz przybrała naraz chytry wyraz. - Jagze wygodnie!

- To pomieszczenie nigdy nie było należycie wykorzystane, to phawda - przyznała pani Ball. - Chyba sama powinnam wpaść na ten pomysł, ale, jak powiedziałam, nie mam głowy do intehesów.

- Norman padnie nam tu za chwilę na twarz - zauważył

Atlas. Paperman istotnie wyglądał mizernie i chwiał się lekko na nogach. -

Utnijmy sobie teraz drzemkę, a potem wrócimy do naszej rozmowy.

W domku zwanym „Pożądaniem” Paperman zwalił się na łóżko jak ścięty. Szorstka narzuta urażała jego spoconą, przeżartą solą skórę, czuł jednak, że zasnąłby nawet na rozżarzonych węglach.

Tymczasem Atlas nalał sobie pół szklanki bourbona i zaczął się przechadzać po pokoju.

- Wiesz przecież, Norm, że traktuję ciebie i Henny jak młodszych kuzynów czy kogoś w tym rodzaju. Powiedz mi, czy ty rzeczywiście poważnie myślisz o tym interesie, czy miałeś tylko taką chwilową fantazję po wódeczce? Traktujesz to naprawdę serio? Jeśli tak, i jeśli nie zmieniłeś zdania obejrzawszy sobie lokal, powinieneś podjąć decyzję raz dwa.

Paperman z jękiem przewrócił się na bok. Nie miał najmniejszej ochoty rozmawiać teraz o interesach, jego organizm łapczywie domagał się snu. Jednakże Atlas zajął się tą sprawą z sympatii dla jego żony i niego samego, więc skoro stary drań miał ochotę gadać, Norman musiał się podporządkować.

Henrietta Paperman pracowała przed laty jako sekretarka Atlasa. Od tamtej pory łączyło Lestera z Papermanami coś w rodzaju przyjaźni, podtrzymywanej głównie przez skłonność Atlasa do zawierania znajomości ze sławami Broadwayu. Grubas żył samotnie, w separacji z żoną, darzony nienawiścią przez swe dwie dorosłe córki, chętnie więc od czasu do czasu zapraszał Papermanów na kolację i zwierzał się im ze swoich kłopotów. Najbardziej jednak lubił bywać w ich towarzystwie na premierach, a potem wysiadywać przy stoliku w barze restauracji Sardiego, gapić się na sławy show businessu, a jeśli nadarzała się okazja, dopadać gwiazdora, który miał nieszczęście przywitać się z Normanem lub Henny, zmuszać go, żeby się do nich przysiadł, wciskać mu wielkie cygara po dolarze sztuka i wlewać węń szampana.

- No cóż, Lester - wystękał Norman zanikającym ze zmęczenia głosem. - Tego się mniej więcej spodziewałem. Nie wiem jak to wygląda od strony finansowej, ale...

- Och, stroną finansową się nie przejmuj, Norm, to moja działka. Nieraz ci przecież mówiłem, że chętnie zainstalowałbym cię w jakimś interesie, lepszym niż te podejrzone reklamowe szwindle. Nie twierdzę, że ten hotel to żyła złota, ale nasza damulka wyciąga zeń jednak spokojnie te piętnaście kawałków rocznie. Przy sześciu dodatkowych izdebkach powinieneś zgarniać, lekko licząc, dwadzieścia pięć tysięcy rocznie. I to przy tych samych kosztach... no, może musiałbyś zatrudnić jedną dodatkową sprzątaczkę. Rozbudowa byłaby taniutka: stawiasz ścianki działowe i już. Jedyne poważniejszy wydatek stanowiłaby sieć kanalizacyjna. Frajer ze mnie, ale chcę zafundować każdemu gościowi oddzielny sraczyk. Skoro naprawdę myślisz poważnie o tym interesie, powinieneś tu jak najprędzej przywieźć Henny.

Paperman podniósł się ciężko na łokciu.

- A jakie jest twoje zdanie, Lester. Wchodziłbyś w to?

- To ty masz w to wejść, Norm.

- Ja nie mam pieniędzy na taką inwestycję, w tym cały szkopuł.

- Forsa nie stanowi problemu.

- Atlas westchnął i klapnął na łóżko obok Papermana. - W tej budzie jest gorąco jak w piekle. Ta wyspa to w ogóle jeden wielki piec. Niech sobie inni mówią, co chcą, ja tam zdania nie zmienię.

Rzeczywiście, w przestronnym, otynkowanym pokoju panowała nieznośna wilgotna duchota, choć otwarta weranda wychodziła na morze.

- Listopad jest najgorszy - przyznał Norman. - Przestają wiać pasaty. Natomiast w grudniu...

- Pasaty! Na miłość boską, człowieku, daj ty mi wreszcie spokój z tymi pasatami! Tu jest gorąco jak diabli! Gorąco! A że zimą ludzie pragną ciepła, tobie w to graj. Tego towaru masz w nadmiarze! - Atlas osuszył szklankę, po czym napełnił ją ponownie. - A wracając do naszej transakcji... Nie sądzisz chyba, że można kupić takie cacko jak klub „Rafa Mew”, z hotelem, fantastycznymi plażami i całą

resztą, za pięćdziesiąt pięć patoli, co? Ta nieruchomość jest warta od ręki ćwierć miliona, a i taką sumę, szczerze mówiąc, uznalibyśmy za śmiesznie niską.
- Ależ Lester, w ogłoszeniu była mowa o pięćdziesięciu pięciu tysiącach...

Atlas pokręcił głową,
wyrażając tym gestem
jednocześnie cierpliwość i wyrozumiałość.

- Ta wysepka należy od kilku pokoleń do jakiejś miejscowej rodзинki. Żeby w ogóle zacząć rozmawiać o sprzedaży, musiałbyś zebrać, na oko licząc, jakieś siedemdziesiąt parę osób, z których część ledwo potrafi czytać i pisać, część mieszka w Anglii, a reszta Bóg raczy wiedzieć gdzie. Nasz bankier zeznał, że w tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym jakimś Anglikowi udało się zgromadzić ich wszystkich do kupy, uzyskał dzierżawę na pięćdziesiąt lat i wybudował ten hotel, żeby zbijać szmal na amerykańskich turystach. W następnym roku wybuchł jednak Wielki Kryzys i facio poszedł z torbami. Wysepka wróciła na dwadzieścia lat z okładem we władanie kóz, szczurów i jaszczurek. Dlatego tak nędznie wygląda. Jakies osiem lat temu zjechało tu z Kalifornii dwóch pedziów, wykupili dzierżawę i urządzili tę spelunkę tak, jak ją dzisiaj widzisz, z gondolą i całą resztą. Niestety, w jakiś czas później jeden z nich zakochał się w Turku, który otworzył tu sklep z pamiątkami, a wtedy drugi kalifornijski cwel się wściekł i dźgnął Turka nożem. Opowiadał mi o tym ten bankier. Mahometanin przeżył, pedały się pogodziły, tyle że musiały zniknąć z wyspy, bo jednemu z nich groził wyrok za usiłowanie morderstwa, i wtedy właśnie nabyła ten interes nasza pani Ball. Podsumowując: kupujesz tylko ostatnie dziewięćnaście lat dzierżawy. Przez ten czas powinieneś jednak zgarnąć niezły szmal.

Paperman, mimo zmęczenia, parsknął śmiechem.

- A co z tym Turkiem?

- Też o to zapytałem. Nadal tu mieszka, jest jednym z najszacowniejszych obywateli. Prowadzi kasę zapomogową.

Paperman zaśmiał się jeszcze serdeczniej.

- Ten interes ma swoją drugą stronę, Norm. Powiedzmy, że siedzisz na tej rafie z dziewiętnastoletnią dzierżawą w kieszeni i pojawia się, na przykład, taki Sheraton lub Hilton, bo twoja wysepka wpadła mu w oko. To najlepsze miejsce w tropikach na postawienie hotelu, jakie w życiu widziałem. Te typki nie bawią się w detale. Wpakują lekką rączką sto tysięcy dolców w same opłaty sądowe, byle zdobyć tytuł własności. Są w stanie wybulić ci za prawo dzierżawy, ile zażadasz, powiedzmy ćwierć melona, trzysta tysięcy, bo ja wiem? Te cwaniaki nie przepuszczą podobnej okazji.

- Następną sprawą, Norm - ciągnął grubas. - Karaiby mają przed sobą przyszłość. Faceci z ciężką forszą, mam na myśli takich jak Rockefellerowie i kilka wielkich europejskich fortun, już teraz wykupują tysiące hektarów na różnych tutejszych wysepkach, których nazwy nawet nie obliły ci się o uszy. Ci ludzie patrzą pięćdziesiąt lat do przodu. Taki mają sposób działania: myślą o rodzinie dwa pokolenia naprzód.

Na Puerto Rico i Wyspach

Dziewiczych Nboom już się zaczął, ceny są niebotyczne. Amerigo też to wkrótce czeka. Nadal można tu kupić atrakcyjne działki po względnie umiarkowanej cenie, a gdyby zainwestować szmal w te dzikie nieużytki na północy wyspy, można by zrobić, jak twierdzi stary Llewellyn, naprawdę złoty interes. Ale w tym celu trzeba tu siedzieć, aby być na miejscu, kiedy któregoś dnia wykituje jakiś stary truteń na którymś z tych wzgórz i jego posiadłość znajdzie się na rynku.

Przemawia mi do wyobraźni pomysł, że ty i Henny siedzicie tu i wypatrujecie okazji, a gdy się nadarzy, ja przyjeżdżam i rzecz finalizuję. Oczywiście, gdyby coś takiego wypaliło, odpalam wam działkę. Premia dla znalazcy.

Paperman był już całkiem rozbudzony. Siedział skulony na łóżku i obejmował rękami nagie kolana.

- Les, ja się zupełnie nie znam na handlu nieruchomościami!

- Bo i nie potrzebujesz.

Musiałbyś tylko trzymać rękę na pulsie i wezwać mnie, gdyby trafiało się coś naprawdę ekstra. Nie, jednak wzięwszy wszystko pod uwagę, to było dobre pociągnięcie. - Lester Atlas ziewnął i cisnął cygaro za werandę. - Musisz teraz podjąć wyzwanie, jakie przed tobą stało. Naprawdę chcesz rzucić Nowy Jork i przenieść się na Karaiby? To nie będzie wcale takie łatwe, dobrze wiesz. - Zerwał narzutę z łóżka i wyciągnął się na prześcieradle, ziewając i postępując z rozkoszy. - Chryste, ale jestem skonany! Słuchaj, stary, a co powiesz o tej lali w zielonym bikini?

- Zakazana gęba - odparł Paperman.

- No i sam powiedz, czy nie można się wściec? - poskarżył się Atlas. - Te cholerne kostiumy zakrywają zawsze nie to, co należy. Zabawne, Norm, ale niewykluczone, że skończymy obaj jako plażowi podrywacze.

Zamilkł i po chwili już chrapał. Po jego porośniętej siwymi kłakami piersi ściekały strużki potu. Paperman siedział, obejmując rękami kolana, i gapił się w przestrzeń.

6

Zatłoczony bar rozbrzmiewał śmiechem i gwarem rozmów. Dochodziła ósma. Światło lśniącej nisko nad horyzontem gwiazdy wieczornej migotało wąską srebrzystą smużką na nieruchomym morzu. Murzyni i biali obsiedli balustradę i schody na tarasie. Największą troską Papermana było to, czy jest właściwie ubrany. Nie mógł się doczekać, kiedy będzie mógł włożyć nową, szytą na miarę, białą wieczorową marynarkę, ale z drugiej strony wprost nie cierpiał wszelkiej przesady w ubiorze. Zdecydował się w końcu na czarne bermudy, podkolanówki, marynarkę z madrasu i bordową muszkę. Wszedłszy do holu, zorientował się od razu, że niepotrzebnie się kłopotał.

Niektórzy mężczyźni byli ubrani podobnie jak on, inni przywdziali lekkie koszule i luźne spodnie. Panie miały na sobie sukienki koktajlowe, rybaczkę lub szorty. Tylko wokół niskiego okrągłego stołu pośrodku sali siedziało mieszane towarzystwo w strojach wieczorowych: Murzyni, biali, jakiś oficer marynarki w obszytym galonami białym mundurze, dwaj hebanowo czarni Afrykanie w czerwonozłoty togach i karmazynowych myckach, wreszcie pani Ball. Lestera na sali nie było; przepadł gdzieś, kiedy Paperman spał.

- Hej, Norman!

Od baru machał do Papermana Bob Cohn. W oliwkowym garniturze z gabardyny, w koszuli i pod krawatem, pletwonurek wyglądał niepokojąco: niski, raczej brzydki młodzieniec z wydatnym nosem. Obok niego, tyłem do Papermana, siedziała wysoka, ubrana na biało blondynka.

- Serwus, Bob. Tę kolejkę ja stawiam - zapowiedział Paperman, podszedłszy do baru.

Nieznajoma odwróciła głowę. Jeszcze zanim zobaczył jej twarz, wyczuł, że nie dozna rozczarowania. Brzydka kobieta nie trzymałaby tak głowy ani nie odwróciłaby jej w taki sposób.

- Zgoda. Pani Tramm,

przedstawiam pani mojego nowego kolegę, Normana Papermana z Nowego Jorku.

- Witam pana - odezwała się blondynka, zamrugawszy powoli wielkimi, czujnymi oczami orzechowego koloru.

- Siadaj z nami, Norm. - Cohn chciał się podnieść ze stołka.

Paperman położył mu rękę na ramieniu.

- A to co znowu? - zachnął się. - Szacunek dla siwych włosów? Siedź! Proszę o martini

- zwrócił się do barmana. -

„Bombay Gin” z wermutem „Boissiere” w proporcji dwa do jednego, do tego skórka cytryny. Tylko proszę dobrze oziębic szklanke.

- Coś podobnego! - zdumiała się pani Tramm. - Dokładnie takie martini, za jakim przepadam! Schłodzone i

smakujące jak martini. To idiotyzm wlewać butelkę wermutu na szklanke zwykłej wódki! - Zadzwoiła demonstracyjnie kostkami lodu w szklance. - Niestety, z chłodzenia szkła zrezygnowałam już dawno.

Zadowalam się lodem.

- Błąd, wielki błąd! -

oświadczył Paperman. - Jak grudy w owsiance. Zgniły kompromis. Należy walczyć o własne przekonania. Martini przed kolacją w oziębionej szklance to sakrament.

Ci, którzy wierzą, nie potrzebują dowodu. Tym, co nie wierzą, nie sposób dowieść niczego.

Pani Tramm parsknęła śmiechem.

- „Pieśń o Bernadecie”! Mój Boże! Ktoś to jeszcze pamięta! -

Podsunała swoją szklanke barmanowi. - Thor, przygotuj mi martini kropka w kropkę takie, jak dla pana Papermana.

- Sucham, proze pani.

- Na imię mi Norman.

- Iris.

Paperman podał jej rękę. Pani Tramm uścisnęła ją, nie przestając się śmiać. Dłoń miała szczupłą i chłodną. Na niezwykle długich palcach nie nosiła żadnych pierścionków, w jej uszach natomiast przy każdym ruchu głowy kołysały się i połyskiwały kolczyki. Platyna i diamenty, stwierdził Paperman, rzuciwszy na klejnoty okiem znawcy. Zrozumiał natychmiast, że wyrobił sobie z gruntu fałszywe pojęcie o „laluni” Cohna. Z jakiegoś powodu pozwoliła się pletwonurkowi zaprosić na kolację, ale należała do tych efektownych i wolnych kobiet, które nie zwracają sobie głowy młokosami.

Przyjrawszy się pani Tramm, Paperman ocenił, że jest chyba rozwódka po trzydziestce. Miała śliczną twarz o angielskiej, a może skandynawskiej urodzie, silnie zaznaczone kości policzkowe, mały zadarty nosek i piękne zęby. Podwinięty nieco ku górze jeden kącik warg przydawał jej ustom nieznacznej asymetrii, a oczy lśniły cudownie. Należała do tego typu kobiet, które Norman uważał za najbardziej apetyczne, choć nadal mu się podobały, co stwierdzał z odcieniem drwiącej nostalgii, ślicznotki z Broadwayu, z którymi przez całe lata się zabawiał. Zdawał sobie sprawę, że wolał obecnie ciemnowłosych młodzieńców i, szczerze powiedziawszy, był odrobinę zażenowany ich niedojrzałością, którą przypominały mu coraz bardziej jego dorastająca córka. Norman Paperman należał do wręcz nałogowych podrywaczy; od czasu ataku serca prowadził się jednak przykładnie, głównie przez wzgląd na zdrowie.

- Słuchaj, Norm - rzekł Cohn.

- Obejrzałem sobie dokładnie tę rybę. Dorodna sztuka, starczy dla nas trojga. Zjedz z nami kolację.

Paperman pokręcił odmownie głową.

- Dzięki, ale uważam, że troje to już tłum.

Kącik warg pani Tramm podwinął się nieco bardziej.

- Jakże to, Bob - zdziwiła się z teatralnie przesadną zalotnością - więc nie pragniesz zostać ze mną sam na sam?

Cohn uśmiechnął się od ucha do ucha.

- To doskonała ryba. Czemu mają ją zjeść kelnerki?

- Wyobraź sobie, że on się mnie boi - poskarżyła się Papermanowi pani Tramm. - Taki dzielny podwodny rycerz!

Barman postawił przed nimi dwie oszronione szklanki i nalał do nich martini.

- Wychyłam toast za zdrowie podwodnego rycerza - oznajmił Paperman, wznosząc jedną z nich.

- Gdyby się dziś rano nie zjawił i nie wyłowił mnie, spoczywałbym w tej chwili na dnie oceanu.

- Co ty gadasz, Norm, miałeś po prostu mały kłopot z maską!

Pani Tramm podniosła swoją szklankę.

- Za szczęśliwe spotkania.

- Za szczęśliwe spotkania - powtórzyli za nią Paperman i Cohn.

Norman dostrzegł spojrzenie, jakim go obrzuciła nowa znajoma znad krawędzi szkła, i ciarki mu przeszły po plecach, choć wyrażało ono jedynie taksujące zainteresowanie.

- Tak, to jest prawdziwe

martini. Wyborne! - oceniła. - Słuchaj, Norman, właściwie czemu nie miałbyś nam pomóc w zjedzeniu tej ryby? Skoro Bob lęka się, że mogłabym go schrupać...

Paperman zerknął na nurka i odrzekł z wahaniem:

- Sam nie wiem... poważną przynętę, państwo rozumieją, stanowi co prawda ten ichtiologiczny specjał...

Iris Tramm zrobiła coś zaskakującego. Wybałuszyła oczy, wessała policzki i kilka razy zacisnęła usta, bardzo udatnie naśladowując rybę. Trwało to tylko chwilę, po czym jej twarz wygładziła się, a kącik warg podwinął się w lekko kpiącym uśmiešku. Obaj mężczyźni wybuchnęli śmiechem.

- Myślę, że w tak uroczysty wieczór - powiedziała pani Tramm

- odstąpię od zalewania się czystą wodą i pozwolę sobie na drugie martini. Tych grud w owsiance, jakie piłam przed przyjściem Normana, nie liczę.

- Piliśmy też wino, Iris - przypomniał Cohn.

- Skarbie, piliśmy coś

mokrego, ohydnego i zawiesistego, co nam podano w butelce. Żadne przyzwoite wino na świecie nie dojedzie do tej wyspy. - Spojrzała na Papermana.

- Ciekawostka przyrodnicza:

Gwadelupa leży tuż za horyzontem, można ją dojrzeć z okien pałacu gubernatora, i wina mają tam przednie, co znaczy, że to nie Karaiby jako takie należy winić za podłość tutejszych win. Jak byś wyjaśnił tę zagadkę, Norm?

- Słyszałem o tym fenomenie.

Przypomina zjawisko zakwaszania mleka przez burze z piorunami - orzekł Paperman.

- Podobne osobliwości zdarzają się we wszystkich szerokościach geograficznych i strefach klimatycznych, lecz nie doczekały się dotąd wyjaśnienia.

Niewykluczone, że flaga amerykańska działa na wino jak zakwas.

Pani Tramm zaśmiała się tak serdecznie, że aż zakrztusiła się martini.

- Mój Boże, to niewiarygodne, ale prawdziwe! Wyobraź sobie, że zdarzało mi się pić wino właśnie w amerykańskich konsulatach. Masz absolutną rację. Przed bramą dostajesz doskonałe wina, przekraczasz bramę - podają ci ocet. Zanim kupisz klub „Rafa Mew”, radzę ci, pogadaj z gubernatorem i stwórzcie tu eksterytorialną enklawę dla prawdziwych amatorów wina.

- Kto powiedział, że kupuję klub?

- Przyjacielu, na Kinji tego rodzaju nowiny rozchodzą się natychmiast. Wszyscy wiedzą, że występujesz jako przykrywka dla miliardera, którego zdjęcie było na okładce „Time'a” i który ma zamiar wystawić tutaj trzydziestopięciopiętrowy hotel. „Sheraton Kinja” czy coś w tym guście.

Paperman śmiał się tylko i wzruszał ramionami słuchając tych nonsensów, aż pani Tramm zmieniła nagle temat:

- A co tam sływać w nowojorskich teatrach? Nie byłam w mieście od kwietnia.

Na ten sygnał Paperman skoczył jak pstrąg do sztucznej muchy i zaczął powtarzać ostatnie plotki z Broadwayu oraz najnowsze dowcipy z restauracji Sardiego; aż do obiadu nie zamykały mu się usta. Urodzony gawędziarz, nie posiadał się z zachwytem, że może prowadzić błyskotliwą rozmowę przy kieliszku martini z piękną kobietą o błyszczących oczach, która zaśmiewała się szczerze z jego żartów. Bob Cohn przysłuchiwał się temu, co mówili, z miłym uśmiechem na twarzy, ale wyglądał na nieco znudzonego.

Wielka czerwona ryba, którą podano upieczoną w całości, smakowała wybornie, a białe wino, wbrew wcześniejszym żartom na temat tutejszych win, również okazało się zupełnie niezłe. Paperman uznał, że restauracja na tarasie klubu „Rafa Mew” należy nocą do najpiękniejszych zakątków na ziemi. Na środku zasłanego białym obrusem stołu stał biały glazurowany wazonik z żółtymi i czerwonymi kwiatami, a płomyk glinianej lampki oliwnej migotał w powiewach chłodnego wiatru od morza. Z tarasu rozciągał się rozległy widok na miasto. Umieszczone pod wodą lampy przenikały blaskiem zielonkawą przybrzeżną płytką i rozświetlały białe grzywy załamujących się na skałach fal. Dalej, od krawędzi rafy aż po oświetlony reflektorami czerwony fort, złoto-białą wieżę zegarową i mroczne, nakrapiane punkcikami światła wzgórze, woda miała barwę czarną. Latarnie uliczne, biegnące wygiętą linią wzdłuż brzegu, wydobywały z ciemności sylwetki przycumowanych przy nabrzeżu szkunerów, fasady domów stojących wzdłuż uliczki Królowej i szarą bryłę starego kościoła.

- Zachodzę tylko w głowę - odezwał się w pewnej chwili Paperman - jak można chcieć sprzedać takie чудо? Gdzie człowiekowi może być lepiej niż tutaj?

Pani Tramm wydeła lekko wargi.

- No cóż, podejrzewam, że Amy Ball, podobnie zresztą jak każdy na Amerigo, ma jakiś wstydlivy sekrecik, który zmusza ją do wyjazdu.

- Ja też mam pewien wstydlivy sekrecik, psiakrew - mruknął Cohn. - Dziś po południu przerzynałem w karciecia dwumiesięczny żołąd.

Przy owalnym stole, wokół którego siedziało pogrążone w ożywionej konwersacji towarzystwo gubernatora, gruchnął nagle śmiech.

- Który z tych panów jest gubernatorem? - zainteresował się Norman. - Czy ten siwy?

- Ach nie! To Tom Tilson - wyprowadziła go z błędu Iris. - Gubernator Sanders to ten facet u końca stołu.

- Czy on jest kolorowy? Trudno to stwierdzić na pierwszy rzut oka.

- Owszem.

Paperman przyjrzał się siedzącemu przy dalszym końcu stołu mężczyźnie: był kościstej budowy, miał ziemistą cerę, pociągłą twarz o zapadniętych policzkach, prosty cienki nos.

- Czy ta pani od naszej strony to jego żona?

Miał na myśli czarną damę w czerwonej sukience wieczorowej, o gładko zaczesanych czarnych włosach, związanych wstążką wysoko na karku.

- Tak. Prawda, że śliczna? - zapytała Iris.

- W każdym razie oryginalna.

Przypomina mi Nefretete.

- Biurokratka z Waszyngtonu.

Jak niegdyś nasz pan gubernator. Pani Sanders zajmuje się mieszkalnictwem. Do nas zlatuje tylko od czasu do czasu w odwiedzinach do mężusia.

- Znasz, jak widzę, wszystkie miejscowe ploteczki, Iris.

- Kiedy przyjechałam tu po raz pierwszy, pracowałam jakiś czas w pałacu gubernatora.

W tym momencie pani Sanders odwróciła się, spojrzała w kierunku Papermana i uczyniła przyzywający gest. Zaskoczony, obejrzał się za siebie. Żona gubernatora kiwnęła potakująco głową i ponowiła wezwanie.

- Czy jej o mnie chodzi? - spytał pani Tramm.

- Na to mi wygląda. Idź i pokonwersuj z pierwszą damą. Tylko pamiętaj o światowych manierach!

Kiedy Norman podszedł do sąsiedniego stołu, gubernatorowa wyciągnęła do niego czarną, upierścienioną dłoń. Oczywiście miała wielkie i zielone.

- Witam. Jestem Reena Sanders.

Mam przyjemność z panem Papermanem, nieprawdaż? - Przemawiała w sposób typowy dla absolwentki college'u z zachodniego wybrzeża, dobitny i swobodny. - Chciałam pana prosić, żeby pan nie umknął zaraz po kolacji i przyłączył się do nas w barze. Mój mąż pragnąłby poznać pana.

- To bardzo uprzejmie z

państwa strony.

- Mam nadzieję, że mówi pan po francusku? Widzi pan, nasi goście pochodzą z Czadu.

- Na poziomie szkoły średniej w Hartford.

- A gdzie to się podziewa pański przyjaciel? Ten pan, który był na okładce „Time'a”?

- Obawiam się, że nie potrafię zaspokoić pani ciekawości. Jestem w towarzystwie tamtych dwójga osób...

- Tak, widzę. Iris i jednego z pletwonurków kapitana Wooda. Proszę poprosić ich w moim imieniu, żeby również do nas dołączyli.

Kiedy Paperman wrócił z tym zaproszeniem do stolika, Iris Tramm oznajmiła:

- Gubernator na pewno chce cię wysondować w sprawie tego trzydziestopięciopiętrowego hotelu.

- Nie mogę za długo siedzieć - powiedział Cohn. - Jutro skoro świt płyniemy wpław z Zatoki Rekinów na wyspę Mały Pies.

- Toż to z dziesięć kilometrów! - zdumiała się Iris.

- Istotnie. A to tylko wstęp do właściwych ćwiczeń. Przez następne dwa dni i dwie noce mamy prowadzić manewry wojenne wśród ciernistych krzewów. Potem ci, którzy przeżyją, mają przypłynąć z powrotem.

- Prawdziwy bohater z ciebie!

Przyprawiasz mnie o drżenie - wyznała Iris.

- To znaczy, że opłaca się wysilać - mruknął Cohn.

Paperman zamilkł. W postawie pletwonurka, mimo jego żartobliwego tonu, dała się odczuć niechęć. Błyskotliwe uwagi o teatrach Nowego Jorku należało więc chyba uznać za nie najszcześniejszą, w danym momencie, formę męskiego popisu.

W chwilę później zaczęła się produkować orkiestra stalowych

bębnow i wszyscy troje wyszli na taras. Jego część zajmował bar, resztę - wykładany czerwonymi kafelkami parkiet do tańca, na którym kręciły się już pod gołym niebem liczne pary. W rogu kilku szczupłych czarnoskórych chłopców w wystrzępionych żółtoczerwonych koszulach i wytartych spodniach podrygiwało, przytupywało bosymi stopami i wybijało pałeczkami dziwną rytmiczną melodię na pomalowanych jaskrawo beczkach po oleju, które zawiesili sobie na szyjach. Najpłytsze beczki, przycięte do głębokości rondli, wydawały dźwięki wysokie, głębsze dźwięczały niższymi tonami, jeden zaś chłopiec wybijał na trzech całych beczkach rytm basowego akompaniamentu. Paperman nie pojmował, jakim cudem na tych przykrojonych pojemnikach po oleju napędowym można było wygrać melodię, a jednak płynęła całkiem wyraźnie, posępna i monotonna; zaledwie kilka fraz w tonacji moll, powtarzanych w kółko. Ta natrętna, synkopowana monotonia niepokoiła, ale i porywała: bum-di-bum-bum, bum tam ta tam, bum-di-bum bum... Pary na parkiecie kołysały biodrami, poruszając się w rytmie, który nie był rytmem ani rumbi, ani samby, ani żadnego ze znanych Normanowi tańców. Murzyni i biali tańczyli razem, czarni mężczyźni z białymi dziewczętami, a biali z czarnymi. Paperman widywał już takie wymieszanie ras, co prawda tylko w zakazanych spelunkach Paryża i Nowego Jorku, w tej scenie uderzył go jednak przyzwoity wygląd tancerzy, zarówno czarnych, jak i białych. Wszyscy czarni mężczyźni mieli na sobie garnitury i krawaty, dziewczęta były ubrane w jaskrawe sukienki. Jedynie kilku białych pląsało w szortach i sandałkach. Na parkiecie kręciło się również kilka starszych par; jakaś ogromna Murzynka w brązowej atlasowej sukni obracała się i przeginała z wdziękiem słonicy w ramionach siwowłosego białego mężczyzny o wyglądzie duchownego na wakacjach. Iris Tramm trąciła Papermana łokciem i spytała:

- Rzadki widoczek, co?
- Psiakość, rzeczywiście!
- No, a teraz pędź do Jego Eksceleencji. Odańczymy z Bobem jeden kawałek i dołączymy do was.
- Umiesz to tańczyć? - zapytał pletwonurka ze zdziwieniem Paperman. - Te pląsy wydają się diabelnie skomplikowane.
- Cały dowcip polega na pracy kolan. Przyglądaj się uważnie.

Cohn chwycił Iris w ramiona i oboje odpłynęli kołysząc się rytmicznie; biodra pani Tramm kreśliły nad parkietem krzywą sinusoidalną.

Kiedy Norman podszedł do okrągłego stolika w barze, dokąd przeniosło się tymczasem grono gości gubernatora, Reena Sanders przywitała go ciepłym uśmiechem.

- Jakże się cieszę! Proszę usiąść tu, obok mnie. Altonie, przedstawiam ci pana Papermana.

Gubernator wstał i wymienił z Normanem krótki i krzepki, bardzo amerykański, uścisk dłoni. Pan Sanders miał twarz o owalu typowym dla ludzi białych, pociągła i zakończoną wydłużoną szczęką, pod nosem mały wąsik i dwie głębokie pionowe

bruzdy po obu stronach wąskich warg. Jego skóra wpadała jednak w odcień cytrynowożółty, a siwe włosy kędzierzawiły się wełniście.

- Mam nadzieję, że podoba się panu nasza mała wyspa? - zapytał z powściągliwym uśmiechem.

- Zdażyłem się już w niej zakochać.

- Słuchamy takich opinii z rozkoszą. Żałuję, że nie ma tu dziś z panem pańskiego partnera.

Gubernator zapalił papierosa; palce miał kościste i pokryte plamami.

- Przewiduję, że Lester

wkrótce się pojawi.

Pani Ball, która siedziała wyprostowana na krześle obok gubernatora (miała na twarzy dość wyrazisty makijaż, lecz nie było jej z tym do twarzy) obnażyła w uśmiechu zęby i powiedziała:

- Pan Atlas wphost thyska enehgią. Około piątej po południu zamówiłam dla niego taksówkę, postanowił bowiem zwiedzić wyspę.

- Słyszałem plotki, jakoby Lester miał zamiar wznieść na Amerigo wielki hotel. Zapewniam pana, panie gubernatorze, że nie ma w tych pogłoskach ani krztyny prawdy. To ja osobiście jestem zainteresowany kupnem hotelu „Rafa Mew”. Lester jest moim przyjacielem i przyjechał tu ze mną jako doradca w kwestiach finansowych. Do tego jego wizyta się ogranicza.

- Lubimy, kiedy odwiedzają nas finansiści, bez względu na powody - powiedział gubernator.

Paperman dał się wkrótce

wciągnąć w rozmowę z

Afrykańczykami. Mówił po

francusku znacznie lepiej, niż

się przyznawał: mając

dwadzieścia parę lat

przemieszkał rok w Paryżu. Za nie pozbawiony pikanterii uznał fakt, że ci czarni

mężczyźni w pstrych barbarzyńskich strojach posługiwali się z taką biegłością

tym wysmakowanym językiem. Okazało się, że jeden z nich jest lekarzem, drugi

inżynierem, przy tym obaj byli delegatami w Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Rozmawiali o problemach budownictwa mieszkaniowego, ale kiedy pani Ball

przedstawiła im Papermana:

„monsieur s'occupe ~a Brodvay”, okazali wielkie zainteresowanie jego osobą i

zaprezentowali mu ugruntowane opinie na temat najwybitniejszych dramaturgów

amerykańskich. Pozwolił im się wygadać, po czym wystąpił z błyskotliwym

wykładem, w którym wywiódł niezbicie, że prawdziwy teatr amerykański powstaje

obecnie na scenie musicalowej, a całe dramatopisarstwo po O'Neillu jest płaskie.

Słuchali z poważnymi minami osób, które pilnie notują sobie w pamięci każdą

zasłyszaną informację. Iris Tramm, dołączywszy wraz z Cohnem do towarzystwa,

była wyraźnie ubawiona tym persyflażem, wypowiedzianym we francuszczyźnie w

najgorszym razie przyzwoitej.

Siwowłosa jegomość, pan Tilson, którego Norman ocenił w pierwszej chwili jako

chamowatego, ograniczonego starego goja, w zaskakująco dobrej francuszczyźnie

wygłosił cierpki komentarz, krytykujący obscena i zboczenia seksualne w utworach

teatralnych. Pani Sanders broniła dramatopisarzy. Rozmowa nabrała rumieńców.

Stalowe bębny orkiestry grzmiały i dźwięczały, towarzystwo popijało kawę i

brandy, rozkołysane biodra i wirujące spódniczki tańczących pań dodawały scenie

pieprzyku i Paperman ocenił w duchu, że jeszcze nigdy nie zdarzyło mu się

uczestniczyć w bardziej egzotycznym i miłym wieczorze.

Nader zręcznie zmienił temat rozmowy, podejmując zagadnienie rzeźby

afrykańskiej. Cieszyła się ona właśnie przelotnym zainteresowaniem środowiska

Broadwayu, by więc sprostać modzie, nabył jakiś czas temu kilka dzieł twórców z

tego kontynentu i przeczytał parę książek z dziedziny afrykańskiej sztuki.

Dyplomaci byli oszołomieni jego ferowanymi od niechcienia ocenami rzeźby Sudanu

Zachodniego i Złotego Wybrzeża oraz zdradzającym prawdziwego konesera upodobaniem do masek plemienia Kifwebe z Kongo i abstrakcyjnych rzeźb Dogonów. Rozgadali się obaj, ożywili i uśmiechali. Gubernator, jego małżonka i pani Ball spoglądali na Papermana z rosnącym szacunkiem. Nawet pan Tilson i jego czerwona na obliczu połowica pozwolili sobie zadać wykładowcy kilka pytań. Jak zwykle w podobnym towarzystwie Papermana ani na chwilę nie opuszczała świadomość, że jest nowojorskim Żydem. Na szczęście już dawno nauczył się przewycięzać wynikające z tego faktu skrępowanie. Cała sztuka polegała po prostu na tym, żeby być sobą. To działało niezawodnie; podziało i teraz.

Nawet przemawiając w obcym języku podbił i oczarował słuchaczy. Rozmowa toczyła się między nim a obu Afrykańczykami; reszta towarzystwa stanowiła oniemiałą z zachwytu publiczność. Norman zaprezentował się jako dowcipny, kulturalny i wesoły facet, którego nie sposób nie lubić. Na twarzy Cohna, siedzącego obok jego sztywno wyprostowanego dowódcy, pojawił się wyraz chmurnego zamyślenia. Paperman był w swoim żywiole; prawie nie zauważył, kiedy ucichła orkiestra i tancerze zaczęli gawędzić między sobą, urwał jednak natychmiast, gdy ponad gwar rozmów wzbił się tubalny ryk:

- Con permissio! Cha, cha, cha!
Con permissio!

Rozległo się nieskładne bębnienie w metal i na taras wkroczył boso Lester Atlas z przewieszonym wokół szyi stalowym bębenkiem, który okładał dwoma pałeczkami, kręcąc przy tym na wszystkie strony rozłożystym zadem. Miał na sobie karmazynową marynarkę, obwisłe białe szorty, żółtą koszulę i czarny krawat, a na głowie przekrzywiony słomkowy kapelusz, ozdobiony dyndającymi wokół ronda czerwonymi małpkami. Za nim, niosąc w obu rękach drinki, postępowała, również boso, paniąka o różowych włosach, ubrana w zieloną sukienkę bez ramiączek, i śpiewała na całe gardło piosenkę Calypso:

**Karnawał taki słodki jest,@
proszę,@ nie przerywajcie
karnawału...@**

- Cha, cha! Otóż i on! Nasz chłoptaş od pasatów! Serwusik, Norm! Wiesz, zostaję na Kinji na stałe! Załatwiam sobie posadę w orkiestrze stalowych bębenków. Co ty na to? Con permissio!

Podszedł prosto do stolika gubernatora, a za nim podążyło dziewczę, którego urody nie poprawił bynajmniej makijaż, wyglądający tak, jakby brzydula nałożyła - w pewnych odstępach czasu - kilka warstw farby jedna na drugą. Normanowi przemknęło przez myśl, że powitałby z wdzięcznością drugi atak serca, gdyby w jego następstwie mógł się od razu zapaść pod ziemię.

- Widzisz, stary, nauczyłem się na tym grać! - wrzeszczał tłuscioch. - To cholernie łatwe, przysięgam ci. Pożyczyłem ten bębenek ledwie parę minut temu od jakiegoś bachora i posłuchaj!

„O tobie ja, mój kraju” -
zaryczał, grzmocąc w stalowy instrument - „wolności słodki raju, o tobie dziś”... gdzie, do pioruna ciężkiego, podziało się „śpiewam”? (Wydobył z bębna dźwięk wyjątkowo fałszywy.) Nie,

nie tak! „Śpiewam”! Cholerny świat! „Śpiewam”. A, już mam! „O tobie śpiewam dziś, o tobie śpiewam, śpiewam dziś.”»*

Paperman zerwał się na nogi i szarpnął grubasa za rękaw.

- Przestań!... Lester, to jest gubernator Sanders! Gubernator Amerigo!... Panie gubernatorze, przedstawiam panu pana Lestera Atlasa...

- Co proszę? Gubernator? Kpisz sobie ze mnie, czy co? Gubernator?

Sanders wstał i wyciągnął do niego rękę.

- Witam na Amerigo, panie Atlas.

- O, Chryste! Wcale się nie spodziewałem, że spotkam tak ważną figurę.

- Cieszę się, że podoba się panu nasza mała wyspa. Zechce pan dołączyć do naszego grona.

Lester oddał swej towarzyszce bębenek i karnawałowy kapelusz.

- Flossie, zwróć dzieciakowi te bambetle i przynieś mi moje sandałki.

Przedstawiam panu Flossie, panie gubernatorze. Flossie Jakośćtam. Flossie jest na zabój zakochana w pańskiej wyspie.

Zakłopotanie Atlasa trwało tylko chwilę; minęło jak ręka odjął, gdy wcisnął się z krzesłem na miejsce obok

gubernatora Sandersa. Zapalił ogromne cygaro i przejął rolę duszy towarzystwa. Najpierw poinformował delegatów z Czadu, że kiedyś omal nie zaangażował się poważnie w działalność przedsiębiorstwa zajmującego się uprawą bawełny w ich ojczyźnie, podobnego do firmy, jaką posiadał w Meksyku, projekt jednakże upadł z powodu przeszkód podatkowych.

Następnie podpowiedział gubernatorowi, jak uzdrowić gospodarkę Amerigo. Rozwinął szerzej temat owoców cytrusowych; chroniczny

niedostatek wody dałoby się rozwiązać, opasując góry pierścieniem tam. Następnie dowiedział, iż nie ma powodu, by biedacy mieszkali w nędznych lepiankach, skoro można od ręki zbudować pięćset bloków z prefabrykatów, bazując jedynie na pożyczkach federalnych. On sam byłby w stanie zagwarantować osobiście wykonanie takiej inwestycji i jeszcze by na tym zarobił. Pani Sanders objawiła zainteresowanie tym pomysłem i zasypała Atlasa pytaniami, na które odpowiadał mętnie, lecz ze swobodą. Znowu zagrała muzyka. Paperman natychmiast poprosił panią Tramm do tańca, a gdy się zgodziła, niemal zaciągnął ją na parkiet.

- Skąd ten pośpiech, Norm? - spytała z ironicznym uśmiechem.

- Lester nie jest postacią z moich marzeń.

- Uważam, że jak na skończonego buca jest całkiem milutki.

W zacienionym kącie tarasu zachwycającym gestem podkasała sukienkę do pól uda, żeby nauczyć partnera kroków tańca. Norman należał do sprawnych tancerzy, toteż wkrótce kołysał się nie gorzej od innych, może tylko cokolwiek niepewnie.

- Doskonale, złapałeś rytm! - pochwaliła pani Tramm i poklepała go po barku.

Trzymając ją w ramionach czuł falowanie jej gibkiego ciała. - Długo tu zabawisz?

- W tej chwili chciałbym stąd nigdy nie wyjeżdżać. Obawiam się jednak, że będę musiał wrócić do domu jutro lub pojutrze, gdy tylko dobijemy interesu.

- A może miałbyś ochotę

zobaczyć jutro wyspę? Naprawdę warto. Służę ci jako przewodniczka.

- Choćby dla tego jednego zostaną.

Podniecał go rytm, wybijany przez orkiestrę stalowych bębnów, gwałtowny i dziki, pobudzający krew do szybszego krążenia. Naraz jednak wściekły łomot ustał i muzycy zaczęli grać rozwlekłe, w niewłaściwej tonacji, melodię piosenki „Stardust”. W jednej chwili czar prysnął. Czarodzieje zmienili się w czarnych prowincjuszy, walących w beczki po oleju.

- Masz tobie! - mruknęła ze złością Iris. - Ci durnie gardzą jedyną muzyką, jaka naprawdę umieją grać. Potrafisz to zrozumieć? Marzą jedynie o tym, żeby przewyższyć Guya Lombardo»* okładając kijami metalowe puszki. Oto masz Karaiby!
- Wolałbym nie wracać już do stolika - wyznał Norman.

Tancerze sztywno szurali nogami w takt prymitywnej muzyczki. Iris Tramm poruszała się w ramionach Normana ciężko i ospale.

- Kicham na taki taniec!

Oderwała się od partnera i pociągnęła go za sobą w stronę stolika.

- Reena, głowa dosłownie mi pęka, wychodzę - oznajmiła szeptem, żeby nie przerywać dyskusji o górnictwie miedzi w Afryce, którą prowadzili Lester i Tom Tilson i której przybysze z Czadu przysłuchiwali się z przejęciem. Bob Cohn i kapitan marynarki opuścili już towarzystwo. Gubernator siedział na krześle osowiały. Spojrzał na panią Tramm, uniósłszy w górę jedną brew, po czym zwrócił się do Papermana.

- Czy i pan już nas opuszcza?

Pani Tramm zakołysała ręką Normana.

- Odprowadzi mnie tylko.

- Tylko proszę, żeby pan do nas wrócił - powiedział Sanders.

- Na ostatni kieliszek przed snem przenosimy się do pałacu.

- Smutas z tego twojego gubernatora - orzekł Paperman, podążając za Iris przez hol.

- Jego Ekscelencja Sanders nie jest moim gubernatorem. Pochodzę z Kalifornii, dokąd też zamierzam wrócić. Może nawet prędzej, niż się niektórym wydaje. Karaiby są rozkoszne, ale się po jakimś czasie przejadają, podobnie jak pochłaniane na okrągło ptysie.

- Czy mam rozumieć, że odradzasz mi nabycie tego hotelu?

- Nic podobnego! Wszystko wygląda zupełnie inaczej, gdy ma się tu coś do roboty. Ponadto zakładam, że sprowadzisz tu żonę.

- A ty nie masz tu nic do roboty, Iris?

- Och, trochę rzeźbię, ale tak naprawdę przyjechałam tu po to, żeby napisać książkę... przynajmniej tak sobie wmawiam. Trochę już nawet nastukałam. Sam jednak rozumiesz, że w tego rodzaju przedsięwzięciach nikt cię nie pogania, nikt nie sprawdza, czy wykonałeś dniówkę. Ponadto nieróbstwo na Karaibach bywa naprawdę rozkoszne.

Zeszli po kamiennych schodkach na trawnik, obłany księżycową poświatą i owiany zapachem jaśminu. Paperman umilkł. Iris zerknęła na niego z ukosa.

- Twoja żona powinna być

oczarowana tą wyspą. Jaka ona jest? Tędy. Mieszkam w „Różowym Domku”.

Szybkim krokiem ruszyła przez trawnik. Paperman szedł obok niej i myślał o tym, że rozmowa przybiera niepożądany obrót. Nie miał teraz najmniejszej ochoty na omawianie przymiotów Henny. Dochodzili już niemal do domku, kiedy Iris przypomniała z nutką drwiny w głosie:

- Prosiłam, żebyś mi opowiedział o swojej żonie.

Norm.

Nad drzwiami, pod żółtą lampą przeciwko robactwu, wisiał drewniany szyld w kształcie rulonu z podwiniętymi rogami, na którym wypisano tylko jedno słowo: „Kapitulacja”.

- Ta głupia nazwa przyprawiła mnie już tysiąc razy o rumieniec zmieszania - zaśmiała się Iris. Odwróciła się do Papermana, splotła ręce na piersiach i oparła się plecami o drzwi. Światło wiszącej nad jej głową lampy podkreślało czarnym cieniem jej ironiczny uśmiezek.

- Dziękuję za miły wieczór. Mam nadzieję, że ryba ci smakowała.

Norman, jak czyniłby chyba
każdy mężczyzna poniżej
siedemdziesiątki na jego
miejscu, rozważał, czy zostanie zaproszony do środka, a jeśli tak, co się
wydarzy później.

- Moja żona jest cudowną
kobietą, Iris - powiedział z rezerwą.

- Jest ładna?

- Tak mi się wydaje.

- Wysoka?

- Niezbyt. Niższa od ciebie.

Widzisz, ja lubię niskie kobiety. Henny uświadomiła mi to w dniu naszego ślubu. Od tamtej pory kilka razy mi o tym przypomniała.

- Z tego, co mówisz, wydaje mi się sympatyczna.

- Henny jest świetną kobietą.

- Może miałyby ochotę zajść na drinka?

- Z największą przyjemnością.

- Więc zapraszam. Nie znoszę kończyć wieczoru piętnaście po dziesiątej.

Otworzyła nie zamknięte na klucz drzwi i Paperman wszedł za nią do środka. Kiedy nacisnęła przełącznik ściennego kontaktu, usłyszał warknięcie.

- Spokojnie, to tylko ja z przyjacielem, więc bądź łaskaw zamknąć japę! - zawołała Iris, a niewidoczny pies zaczął warczeć i szczekać w odpowiedzi, szarpać łańcuch i drapać pazurami w drewno. - To mój obrońca, Norm. Po prostu stój i nie wykonuj nerwowych ruchów. Chyba nie boisz się psów, co?... No już, już idę! Zamknij wreszcie japę!

Wyszła na werandę, skąd dobiegły po chwili jakieś głuchoe odgłosy, łoskot gwałtownych podskoków, dzwonienie łańcucha i poszczekiwanie, po czym do pokoju wpadł wielki owczarek niemiecki i podbiegł prosto do Papermana. Ślepia miał równie czerwone jak jęzor, a kły lśniły mu w pysku niczym zębiska rekina. Norman zamarł w bezruchu, święcie przekonany, że gdyby cofnął się o krok, potwór natychmiast przegryzłby mu gardło. Wilczur stał tuż przed nim, ślinił się i patrzył złowrogo. Weszła Iris i końcami palców trzepnęła bestię po nosie.

- Powiedziałam przecież, że to przyjaciel, tępoto! Nie masz ochoty pobiegać po plaży? Plaża! Plaża!

Olbrzymi pies spojrzał na
swoją panią, zerknął na
Papermana, po czym jak
wystrzelony z katapulty
wyprysnął przez drzwi werandy.

- Jest bardzo mądry -

oznajmiła Iris - zresztą nie on jeden pod tym dachem. Wabi się Ziółko. Jak wróci, będzie już z tobą za pan brat. Siadaj. Czego się napijesz? Jeszcze brandy?

- Szkocka z lodem, jeśli nim dysponujesz. Uff! - Paperman był wściekły na siebie za westchnienie, które mu się wyrwało.

- Jest się czego wystraszyć, prawda? - zawołała z kuchenki gospodyni. - I o to właśnie chodziło. Kupiłam go dwa lata temu, po rozwodzie z panem Trammem, kiedy zostałam samiutka jak palec w wielkim domiszczu na wzgórzach w Santa Barbara.

Paperman mógł się teraz

przekonać, jak znacznie domek zwany „Kapitulacją” różni się od lokum jego i Lestera; nie było w nim standardowego hotelowego wyposażenia ani ruchomego przepierzenia. Umeblowanie stanowiły: wielka kanapa brzoskwiowego koloru, zarzucona czarnymi poduszkami, duża kolistą mata ze słomy, krzesło, sofy i nowoczesny szwedzki komplet kuchenny; na ścianach wisiały abstrakcyjne obrazy olejne o krzykliwych kolorach. Skryta w półmroku przeciwległą ścianę wypełniały, od podłogi po sufit, książki i płyty; resztę miejsca na regale zajmował zestaw stereofoniczny ogromnych rozmiarów. W tonącej w cieniu połowie pokoju stał ponadto wsparty na krzyżakach stół z desek, na którym Norman dostrzegł gliniane figurki, poplamione kitle i narzędzia rzeźbiarskie, obok otwartej walizkowej maszyny do pisania i pryzmy papieru na obrotowej podstawie. Wnętrze domku podzielono najwyraźniej na część studyjną, roboczą i mieszkalną; zapach tej drugiej stanowił osobliwą mieszankę delikatnych woni damskiego buduaru i ostrego odoru psiej budy.

- Proszę - powiedziała Iris, podając Papermanowi szklankę.

- Jak to, mam pić sam?

- Ja piję niewiele, Norman.

Wystarczy mi kawa.

Do pokoju wbiegł Ziółko, skwitował obecność Papermana krótkim warknięciem, po czym zwałił się u stóp swojej pani.

- Cześć, głupolu! Zachowywałeś się na plaży jak przystoi na grzecznego pieska?

Wilczur wlepił w nią pełne uwielbienia, rozpromienione spojrzenie.

Iris wyraziła zainteresowanie osobą Atlasa, więc Paperman opowiedział jej o interesach Lestera; temat był mało zajmujący, ale ponieważ Ziółko leżał nadal u stóp gospodyni, widoki na wieczorny romans raczej się rozwiewały. Po jakimś czasie pani Tramm naląła sobie drugą kawę, napełniła opróżnioną szklankę Papermana i przyniosła z kuchenki mięsistą wołową kość.

- Piesek pójdzie teraz spać - oświadczyła.

Ogromny wilczur podreptał za nią potulnie na werandę, skąd dobiegły wkrótce dzwoniące łańcucha i gruchane pieszczotliwie czułe słówka.

Norman obszedł mroczną część pokoju, przejrzał tytuły książek i płyt, rzucił też okiem na rzeźby swojej gospodyni - dłoń zaciśnięta w pięść, głowę murzyńskiego chłopca, śpiącego psa. Kiedy wróciła, zapytał:

- Jesteś rzeźbiarką?

- Ot, taka amatorska

dłubanina.

- Widzę, że czytujesz książki ciężkiego kalibru.

- Czytywałam.

Paperman wypatrył na najwyższej półce regału, ponad kilkadziesiątoma modnymi tytułami w miękkich okładkach i półką kryminałów, kilka podniszczonych tomów, w których sam się rozczytywał w dawno minionych czasach. W latach trzydziestych przekopywał się przez te grube marksistowskie traktaty z zaciekle uporem i - co dopiero obecnie sobie uświadamiał - bezwiednym żarem religijnym. Kiedy to było!... Pozbył się tych książek w epoce maccartyzmu, a potem się wstydził własnego tchórzostwa. Henny urządziła mu z tego powodu awanturę, ale wtedy taka przezorność wydawała się po prostu usprawiedliwiona.

- Jestem zaskoczony, że

obciążasz sobie tę piękną główkę ekonomią polityczną - powiedział.

- Spuścizna po pierwszym

małżeństwie. Cztery razy tyle tego chlamu mam w domu. Stare książki pozwalają odświeżać wspomnienia. Kiedy czytam Johna Stracheya, mam na powrót siedemnaście lat i jestem bez pamięci zakochana. Te stronicie pachną dla mnie żonkilami, które rosły w skrzynce na kwiaty w pewnym domu na Perry Street. - Wzięła do ręki

gitarę, która stała oparta o ścianę w ciemnym kącie pokoju. - Umiesz na tym grać?

- Nie.

- Obawiam się, że będę musiała zrezygnować z tego brzdąkania. Lubiłam muzykę kowbojską i piosenki ludowe znacznie wcześniej, nim stały się modne.

- Iris, to dotyczy dziś prawie wszystkiego w Stanach. Awangarda wlecze się w ogonie.

- Prawda? - Trąciła struny, wydobywając z nich bogaty akord.

- A więc umówimy się, udajemy, że nie brzdąka dziś na gitarze co drugi pętaś w college'u, dobrze? Kiedyś to była naprawdę frajda!

Zaśpiewała, wtórując sobie na gitarze, zabawną karaibską piosenkę, której Norman nigdy wcześniej nie słyszał: „Bal u żywych trupów”:

Plecy w plecy i brzuch w
brzuch,@ ale co mi tam, ja
duch!...@

Iris nie była wirtuozem gitary, raczej istotnie brzdąkała, niż grała, ale śpiewała zaskakująco dobrze. Paperman doznał nagle wrażenia, że kiedyś znał tę kobietę. Może występowała na scenie, może była żoną jakiegoś starego przyjaciela, może wreszcie - rzecz prawie nie do wiary - miał z nią przelotny romans w zamierzchłej przeszłości? Tylko czy mógłby zapomnieć kogoś takiego jak Iris Tramm? Siedząc na brzeżku kanapy ze skrzyżowanymi po turecku, fantastycznie zgrabnymi nogami, uderzyła niskie akordy i zaśpiewała „TB Blues”, potem „Streets of Laredo”, a potem „It makes no difference now”. Norman siedział w fotelu naprzeciwko niej, sączył drinka i pograżał się w melancholii. W pewnej chwili Iris zerknęła na niego figlarnie i trąciła struny, wydobywając z nich pierwsze takty następnej melodii, wolno, nuta po nucie:

Ting... tang... tong@ ting...
tang... tong@

Wyprostował się jak dźgnięty ostroga.

- Poznajesz? - zapytała.

- Boże, czy poznaję?!

Iris śpiewała:

Joe Hill tej nocy mi się
śnił,@ zdębiałem, w gardle koł;@
hej, Joe tys kopę lat już trup,@
a żyję, mówi Joe@a a żyję, mówi
Joe.@

- Skąd ja ciebie znam, Iris?

Oplakaliśmy już twój zgon,@
gliny cię krople, Joe.@ Bracie,
od kul nie ginieÅ człek,@ ja
żyję, gada on,@ ja żyję, gada
on.@"

Paperman nie słyszał „Joe Hilla” od z górą dziesięciu lat. Dobrze sytuowani eks-komuniści, jakich miał wśród swoich znajomych, nie śpiewali tej pieśni, nawet kiedy się porządnie spili. Mimo to ta piosenka, śpiewana przepełnionym smutkiem, gardłowym głosem Iris, przeniosła Papermana w zamierzchłe czasy, gdy był młody, silny i kipiał męską żądzą. Przypomniała mu ciekawe towarzystwo lewicowej młodzieży, spotykającej się na zebraniach organizowanych dla poparcia republikańskiej Hiszpanii, w kłębach papierosowego dymu, oparach alkoholu i atmosferze uniesienia, wynikającego z przekonania, że jest się częścią ruchu, który miał ocalić świat przed Hitlerem i zapoczątkować złoty wiek ludzkości. Przypomniała podniecający nastrój konspiracji przeciwko niegodziwym przywódcom, na rzecz prostych ludzi, naiwnych robotników, otumanionych przez kapitalistyczną prasę. Ale przede wszystkim była to pieśń młodości! Młodości! Czas kolacyjek złożonych z samego spaghetti popijanego czerwonym winem, pocałunków i uścisków różnych dziewcząt, a potem innych, namiętnych pocałunków małej Henrietty Leon, z którą przeżył gorący romans - jego tłem były marksistowskie spotkania dyskusyjne, marsze, pikiety, całonocne spory w kawiarenkach, wiece protestacyjne na Union Square i w Manhattan Centre, spotkania w nocnych klubach grupujących środowiska lewicowe, i w „zaangażowanych społecznie” kabaretach, wystawiających wesołe, wściekle kaśliwe przedstawienia, które pomagał reżyserować (marzył wtedy, że zostanie reżyserem), a w których Henny tańczyła; szli potem na późną kolację do jakiejś chińskiej knajpki, skąd mieniącym się światłami Broadwayem wracali pieszo do obskurnego pokoiczku Normana w tanim hoteliku na 48. Zachodniej Ulicy - tylko we dwoje, trzymając się za ręce i śpiewając z niepowtarzalną radością młodych kochanków, wracających na noc do domu, gdzie będą się czule i cudownie kochać:

Hej, Joe, tyś kopę lat już
trup,@ a żyję, mówi Joe,@ a
żyję, mówi Joe.@"

Ich śpiew promieniował takim szczęściem, że nawet zazwyczaj posępni przechodnie na Broadwayu uśmiechali się do nich przez strugi deszczu...
Paperman wstał i przyjrzał się uważnie twarzy swojej gospodyni.
- A niech mnie diabli... - wyszeptał ze zdumieniem. - Czyżbyś to ty była...?
Iris, czy ty to Janet West?

Rozdział drugi
Janet West

1

Nowy biały kabriolet, choć tylko chevrolet, wydawał się ogromny na wąskiej drodze na lotnisko, gdy wyprzedzał ze świstem małe europejskie autka i stare, przeżarte rdzą amerykańskie krążowniki szos.

Ziółko siedział dumnie
wyprostowany na przednim

siedzeniu. Atlas, ubrany w czarny jedwabny garnitur, rozwalał się na tylnym fotelu obok Papermana, który miał na sobie nowe sandałki z bawolej skóry, sportową koszulę w biało- różowe paski i białe szorty.

- Pędzimy setką, nie ma

jeszcze jedenastej, a żar, że można się żywcem ugotować! - poskarżył się grubas.

- Opowiedz mi jeszcze o pasatach, Norm.

- To słońce tak pali, Lester - powiedziała Iris nie odwracając głowy. - Mam podnieść dach?

- Nie, chcę się trochę

przypiec. Niech wiedzą, że byłem w tropikach. - Atlas otarł łysinę. - Co mam powiedzieć Henny, Norm? Kiedy zamierzasz wracać?

Spojrzenia Papermana i Iris spotkały się na moment w lusterku wstecznym.

- Jutro lub w piątek, Lester.

Zadzwonię do niej dziś
wieczorem.

Lotnisko, oddalone od miasta o dziesięć minut jazdy, okazało się płaskim polem, porośniętym prosem i krzakami jeżyn, przez które biegł ze wschodu na zachód wyasfaltowany pas startowy.

Terminal mieścił się w

pomalowanej na brązowo,
przestronnej drewnianej szopie,
otwartej z jednej strony. Prócz
kasy biletowej jakiejś nieznanej
linii lotniczej znajdowało się
tam blaszane stoisko, gdzie
można było nabyć zakurzone
słodyczne, nowojorskie dzienniki
sprzed tygodnia i pomięte
egzemplarze „Time'a”, poczynając
od wrześniowych. Na drewnianych
ławkach siedziało kilkunastu
jaskrawo ubranych turystów,
sądząc po minach rozpływających
się z gorąca i srodze
skacowanych. Z oddali, z
odległości jakichś kilkuset metrów, dobiegały odgłosy, przypominające harmider
ulicznych zamieszek. W betonowej skorupie na w pół skończonego budynku mrowili
się robotnicy, przygadując sobie wzajemnie wśród wybuchów hucznego śmiechu.
- Gubernator zdradził mi
wczoraj wieczorem, że „Panam” zamierza puścić tędy linię do Wenezueli, jak tylko
stanie ten terminal - rzekł Atlas. - Pomyśl tylko, jak to wpłynie na cenę
gruntów. Raptem trzy godziny lotu z Nowego Jorku!
Stali przy oknie, chłodząc się w lekkim przewiewie. Paperman przyglądał się
Iris, która nadchodziła od strony parkingu.
- Och, koniunktura musi
przyjść - odrzekł raczej machinalnie. - Któregoś dnia ta wyspa stanie się po
prostu tropikalnym Larchmont.
- Wczoraj wieczorem nieźle się zabawieś - zauważył z przekąsem Atlas.

Paperman przeniósł wzrok z postaci Iris na oblicze tłuściocha, na które wypełził
domyślny uśmiezek.

- Wcale się nie zabawiełem.
Powiedz mi, Les, gdybym się zdecydował zaangażować w ten hotel, w co ja się tak
naprawdę pakuję? Czy to pewny interes?
- Najpierw się zdecyduj, Norm.
- Ale pozostaje przecież
niebagatelna kwestia pieniędzy.
- Oczywiście. Jeśli chcesz wejść w ten interes, Norm, powiedz Amy, że stroną
finansową zajmę się ja. Skontaktuję się z nią. Dojdziemy do porozumienia, bez
niczyjej nadmiernej krzywdy. Sprawy finansowe zostaw mnie.
- Twój samolot za chwilę
ląduje! - zawołała Iris do Atlasa. - Pędź do wejścia, żebyś mógł zająć miejsce z
przodu. Te stare graty mają zwyczaj merdać ogonami.
Atlas stęknął żałośnie.
- Żeby na lotnisku nie było barku, słyszał to kto? Muszę się koniecznie zaraz
napić.
Nienawidzę latania! Zresztą wszyscy tego nienawidzą! Faceci, którzy kiedykolwiek
mówili coś innego, poczynając od braci Wright i Lindbergha, łgali jak najęci.
Przy wyjściu podał Iris rękę, przybrawszy postawę urodzonego dżentelmena. Mały
niebieski samolotik nadlatywał z rykiem silników.
- A więc do zobaczenia, Iris.
Dziękuję za podwiezienie, to było bardzo uprzejme z twojej strony. Bądź teraz
tak dobra i zaopiekuj się Normanem. Do zobaczenia, Norm. Baw się dobrze.
Nagły podmuch wiatru wzbiał z lotniska tumany kurzu i strzępy papierów. O
blaszany dach terminalu zabębniła rześista ulewa, a na cementowych płytach
rozkwitły gwiazdziste rozpryski. Słońce jednak nadal płonęło na niebie, a nad
górami wygięła się spłaszczonym łukiem tęcza. Głośnik zaskrzeczał i wezwał
pasażerów do jak najszybszego zajmowania miejsc w samolocie. Atlas zaklął
siarczyście, po czym grzecznie przeprosił Iris za swój niewyparzony język i

powlókł się do wyjścia na sieczone deszczem lotnisko. Wszedł po schodkach do maszyny, lecz w drzwiach odwrócił się jeszcze, pogroził Papermanowi pięścią i coś wykrzyczał, zapewne jakieś nieparlamentarne uwagi pod adresem pasatów. Ulewa trwała, dopóki samolot nie zaczął kołować, a wtedy na oczach Papermana ściana deszczu odpłynęła wzdłuż pasa startowego i przeniosła się nad morze - wydęta szara kurtyna pod samotną kłębiastą chmurą na czystym błękitnie nieba.

- Dziwny tu macie klimat - zauważył Norman.
- Nie jeden, a co najmniej kilka różnych naraz.
- A jaka pogoda zapowiada się na nasz piknik?
- W Zatoce Pitta nawet w porze deszczowej nie spada ani kropla deszczu. Nie powinniśmy narzekać.

Po odlocie samolotu lotnisko momentalnie opustoszało.

Zniknęli gdzieś bagażowi, mechanicy, kasjerki i kioskarki, jakby wyparowali bez śladu. Z istot żywych pozostały jedynie muchy i samotny bury kundel, który leżąc na środku hali terminalu walczył zaciekle z pchłami, czemu towarzyszyło posępne bębnienie ogona o podłogę. Wnioskując z odgłosów, dobiegających z placu budowy nowego terminalu, można by sądzić, że krew leje się tam strumieniami, tymczasem po wyjściu na słoneczny skwar Paperman przekonał się, że połowa robotników wykonuje ospale czynności o charakterze najzupełniej pokojowym, druga połowa natomiast, zamarłszy w bezruchu, przygląda się beznamiętnie tej pierwszej. Lotnisko leżało w najbardziej płaskim fragmencie wyspy, wśród ciągnących się nieprzerwanie łąnów trzciny cukrowej. Nad tą zieloną równiną sterczał brunatny, stożkowaty garb starej kamiennej cukrowni, jedynej budowli, wznoszącej się między lotniskiem a łańcuchem gór. Ciszę maciły jedynie krzyki ptaków oraz odgłos kroków Papermana i jego towarzyszek, idących po wysypanej popiołem ścieżce w stronę parkingu.

- Mam nadzieję, że Ziółko nie upiekł się żywcem. Muszę opuszczać dach i przemykać okna, żeby się nie wydostał i nie napędził ludziom strachu.

Wilczur był cały i zdrowy, co udowodnił szczerkając i miotając się w zamkniętym aucie. Miał przy tym najwyraźniej ochotę dosięgnąć Papermana obnażonymi kłami.

- Zamknij japę! - krzyknęła Iris, otwierając drzwi. Psisko posłusznie ucichło. - Więc dokąd jedziemy, Norman? Powiozłabym cię przez miasto, a potem okrężną drogą do Zatoki Pitta, żebyś mógł sobie obejrzeć całą wyspę. Chyba że masz jakieś specjalne życzenia.

- Czy nie moglibyśmy na przykład zwiedzić tej cukrowni?

- Tej niestety nie. - Włączyła silnik i wyjechała z parkingu. Prowadziła szybko i dość nerwowo, lecz pewnie. - Należy do jednego z naszych nadzianych pedałów. Przerobił ją na dom gościnny. Nawet uroczy: wiktoriańskie meble, płótna Corota i co tylko chcesz. Wymarzone miejsce na przyjęcia.

- Dużo tu mieszka pedałów?

- Całe watahy, skarbie.

Większość żyje z akcji amerykańskich stalowni, fabryk chemicznych, AT»»T i tym podobnych firm. Podatki, które płacą, stanowią lwia część budżetu Amerigo. Naturalnie, mamy tu i biedne cioty.

- Gospodarka zrównoważona - orzekł Paperman.

Jadąc szosą między wysokimi ścianami trzciny, minęli jakąś pomarszczoną Murzynkę, podróżującą na obładowanym ananasami osiołku. Ziółko zawarczał groźnie na ów widok.

- Amerigo kryje tajemnice niewidoczne dla oka - powiedział Norman.

- I to takie mnóstwo, że nie odkryłbyś wszystkich, choćbyś mieszkał tu do końca swoich dni. Pomyśleć: taka mała wysepka z dwunastoma tysiącami mieszkańców, a zalegają tu całe pokłady tajemnic.

- Przewidujesz powrót do

aktorstwa? - zapytał po chwili milczenia.

- Nie wydaje mi się.

- I czemu to? Byłaś doskonała.

Taki talent nie ginie.

- Cóż, bardzo jesteś uprzejmy, Norm, ale raz utraconą reputację niełatwo odzyskać, a poza tym...

- Wpatrywała się w szosę przed sobą; jechali bardzo szybko. - Do diabła, gdybym zdecydowała się kiedyś wystąpić, postaraj się nie pojawiać w pobliżu, tyle ci powiem. Opad radioaktywny zatrąwa zbiorniki wodne w promieniu setek kilometrów. O czym ja zresztą w ogóle mówię?

Próba powrotu na scenę musiałaby się skończyć dla mnie tragicznie. Absolutnie wykluczone!

Mówiąc o swojej karierze przypomniała Papermanowi dawną Janet West. Te same ruchy głowy, to samo odęcie warg, ta sama cudowna modulacja głosu, która pamiętał z jej filmów.

Przypomniał sobie, jaki był podniecony, kiedy podczas prób drugiej rewii na rzecz wolnej Hiszpanii zobaczył za kulisami tę młodą gwiazdę filmową, wzbijającą się jak rakieta na firmamencie sławy. Jej jasnokasztanowe wówczas włosy spływały falami na ramiona. Młodziutka, ledwie dziewiętnastoletnia, stąpała niczym indiańska squaw za swym mężem, Melvinem Swannem, którego podejrzewano o przynależność do partii komunistycznej, że jednak odnosił szalone sukcesy w rolach sympatycznych brutalnych łajdaków, Hollywood jakoś go tolerowało. Pewnie już nie żyje albo szwenda się gdzieś po Europie. Paperman nie miał ochoty pytać o niego Iris.

Wiedział, że się rozeszli, gdy zaczął się jej publiczny upadek

- niestety, na samym początku tak wspaniale zapowiadającej się kariery.

Boże, jak ona była wtedy piękna! Jak wzruszające były jej wysiłki, by mimo braku doświadczenia śpiewać i tańczyć w radykalnej rewii! Spotkana na tropikalnej wyspie trzydziestoparoletnia blondynka, Iris Tramm, nadal zachwycała urodą, która, niczym czerwone węgielki po hucznym ogniu, jakim rozblęśla Janet West, zachowała patetyczny, urzekający powab.

Wjechali do miasteczka. Nosiło nazwę Georgetown, co w miejscowym narzeczu brzmiało:

„Orcz tau”. Chevrolet zaczął się pięć źle brukowanymi, coraz bardziej stromymi, węższymi i krętszymi uliczkami, wzdłuż których biegły niebezpiecznie odsłonięte rynsztoki, stały nie malowane drewniane domki i szopy z cynkowych, wyklepanych młotkami puszek. Żadna z tych nędznych bud nie miała w oknach szyb. Ludzie mieszkali w labiryncie byle jak

otynkowanych, nie sięgających sufitu przepierzeń. Wnętrza tych klitek były jednak zadbane, a niektóre ściany pokrywały jaskrawe malowidła o treści religijnej. Wzdłuż ulicy rosły kwitnące krzewy, posadzone na małych spłachetkach ziemi lub choćby w puszkach po smalcu. Wszędzie kręciły się małe dzieci, odziane w najlepszym razie w kuse koszuliny.

Przeciskający się wąskimi zaułkami olbrzymi chevrolet witały na każdym kroku wstydlive uśmiechy i obnażone siusiaki.

- Nędznie mieszkają - zauważył Paperman.

- Jesteśmy na Karaibach.

- Nie wybuchają tu rozruchy?

Iris uśmiechnęła się ironicznie, kręcąc zapamiętałe kierownicą, żeby pokonać ostry zakręt na rogu jakiejś wąskiej uliczki.

- Nie zapominaj, skarbie, że ci ludzie nie przyjechali tu prosto z lotniska w Nowym Jorku. Oni nigdy w życiu nie widzieli Park Avenue ani Westport.

Dwukrotnie podczas wspinaczki zygzakiem na wzgórze musieli się zatrzymać, spotkawszy się z nadjeżdżającymi z przeciwka pojazdami. Raz Iris wycofała się za róg, żeby przepuścić taksówkę, następnym razem kierowca rozlatującej się, wypełnionej żywymi kozami ciężarówki, pomachał jej wesoło, uśmiechnął się promiennie, prezentując garnitur śnieżnobiałych zębów, i - mimo głośnych protestów przerażonych kóz - cofnął się w górę stromej i krętej uliczki, znikając za zakrętem.

- Oto prawdziwy džentelmen! - powiedział z uznaniem Paperman.

- Ach, oni w ogóle uwielbiają się cofać. To dobrowolnie przyjęty i ulubiony kierunek na Karaibach.

Kiedy wyjechali wysoko ponad miasto, na nieco chłodniejsze wyżyny, budy i szopy zaczęły się przersedzać. Wkrótce znaleźli się wśród zielonych pól i pomknęli nową dwupasmową szosą wzdłuż wyniosłego górskiego grzbietu; rozciągał się z niej wspaniały widok na leżące w dole port i miasteczko. Domy, wzniesione wysoko na stokach góry, należały do ludzi bogatych; niektóre zbudowano z cementowych, na biało tynkowanych bloków i nakryto dachami z czerwonej dachówki, inne z kamieni polnych; jeszcze inne stanowiły przemyślnie konstrukcje z drewna sekwoi i szkła. Wielkością wahały się od średnio dużych - stosując standardy amerykańskie - po szeroko rozsiadłe rezydencje, otoczone rozległymi ogrodami, w których rosły pnącza bugenwilli i szkarłatne wilczomlecze, krzewiące się pośród wysokich, obsypanych kwiatami żywopłotów z hibiskusa, lub ukryte w bujnych zagajnikach drzew bananowych.

- Istne Beverly Hills! - zawołał Paperman.

- Góra Sygnałowa. Na to samo zresztą wychodzi. Mieszkańców tych zboczy tubylcy nazywają „banda ze wzgórza”.

- Co to za ludzie?

- Paru właścicieli sklepów, stare rody plantatorów, zamożni emeryci, emerytowani wojskowi, parki homoseksualistów, różni pijacy, żyjący z dochodów z funduszy powierniczych.

Przeważnie biali, ale jest też kilka starych rodzin należących do kolorowej elity.

- Brzmi zachęcająco.

- Nie powiedziałabym.

Najkrótszy okres, po jakim „banda z góry” akceptuje nowych przybyszów, wynosi podobno dziesięć lat.

- A pan gubernator? Jest przez nich akceptowany?

- Powiedziałabym raczej:

tolerowany.

Przejażdżka była bardzo widowiskowa. Paperman zachwycał się zmienną panoramą miasteczka, lazurowego morza i zielonych wzgórz. Droga stawała się coraz bardziej kręta i biegła przez coraz dziksze okolice: lesiste wzgórza i doliny przechodziły w rdzawe urwiska, opadające stromo ku spienionemu morzu. Po którymś z ostrych zakrętów całkiem stracili z oczu Georgetown. Znajdowali się po przeciwnej stronie wyspy, w otoczeniu dzikich przepaści, wśród bujnej jak dżungla zielonej roślinności.

- Powiedz mi, Iris, co gryzie gubernatora? - zapytał Norman po dłuższej chwili milczenia.

Nagłym ruchem odwróciła ku niemu głowę, jeszcze szerzej otwierając wielkie oczy.
- Kilka moli, jak sądzę.

Podobno natyrał się jak osioł, żeby zdobyć dla Eisenhowera głosy kolorowych z Zachodniego Wybrzeża. W nagrodę spodziewał się Wysp Dziewiczych, a dostał Kinję. Po wtóre, jak się domyślam, chodzi o małżonkę, która siedzi w Waszyngtonie z ich dwoma synami i najwyraźniej ani nie myśli tu zjechać, żeby stworzyć mężowi

gniazdko rodzinne, ani nie zamierza się z nim rozwieść. - Urwała na chwilę. - Domyślam się też, że Jego Ekscelencja nigdy nie był zbyt zachwycony faktem, że przyszło mu nosić kolorową skórę. - Skręciła gwałtownie i zjechała z szosy na drogę gruntową. - Trzymaj się teraz mocno, Norm!

Pędzili w szalonym tempie przez gęsty las. Rosły w nim dzikie palmy, melonowce, drzewa mango, ale głównie jakieś wysokie, do brzoź podobne drzewa z nabrzmiałymi guzami na pniach, przypominającymi wielkie drzewne nowotwory. Iris powiedziała, że to gniazda termitów. Droga stawała się coraz bardziej stroma i kamienista. Zjeżdżali w dół stokiem jakiegoś wzgórza. Norman odniósł wrażenie, że przenoszą się w inny klimat, owiał ich bowiem gorący suchy wiatr, a koła samochodu zaczęły wzbijać tumany czerwonego, gryzącego pyłu. Niebawem pojawiły się nawet kaktusy, najpierw jeden, potem całe gromady: zagajniki strzelistych kolczastych tub i ciernistych gruch echinokaktusów. Grunt zmienił się w chrzęszczący kamienny tłuczeń. Drzewa coraz częściej ustępowały miejsca kaktusom, cierniom i olbrzymim lancetowatym agawom amerykańskim. W pewnej chwili Iris zatrzymała auto - polna droga się skończyła. Dalej między ciernistymi krzewami biegł tylko wąski, kamienisty żleb.

- Sama nie wiem - mruknęła. - Zjeżdżałam tędy wyłącznie jeepem, ale zejście tą stromizną byłoby diabło uciążliwe, szczególnie z naszymi piknikowymi bambetlami... No trudno, raz kozie śmierć, przekonamy się, jakie cojones mają dzisiejsze chevrolety!

Zwolniła hamulec i runęli na żleb na szyję w dół. Paperman spieszenie podniósł szybę w oknie, kiedy jakaś ciernista gałąź zadrasnęła mu do krwi policzek. Samochód stękał, podskakiwał, trząsał się i wibrował; jego resory i podwozie zgrzytały przeraźliwie o kamienie. Ziółko skomlał żałośnie. Iris z zawziętą miną kręciła kierownicą.

- Czego się spodziewałeś, ty cholerny sukinsynu z Detroit, samych gładkich autostrad pod kołami do końca swoich dni?

Szaleńczy zjazd trwał nieco ponad minutę, po czym wjechali na równy ubity piasek i pomknęli przez gaj palm kokosowych, gdzie jedyne zagrożenie stanowiły leżące na ziemi i pękające pod kołami zgniłe orzechy.

Przed nimi rozpościerało się morze.

- Uff! - odetchnął z ulgą Paperman. - A jak się wdrapiemy z powrotem pod górę?

- O to będziemy się martwili potem.

Wzdłuż bezludnej plaży, ciągnącej się szerokim łukiem bielutkiego piasku aż po oddalony od nich o jakiś kilometr skalisty klif z jednej, a gąszcz kaktusów z drugiej strony, na całej długości rosły palmy. Morze w Zatoce Pitta było gładkie niczym lustro. Przejrzysta woda z cichym szmerem spokojnie wlewała się na piasek i cofała z powrotem. W zielonkawej płyćźnie rysowały się ciemne, postrzępione wzory raf koralowych; za ich barierą wody zatoki były nieskazitelnie niebieskie. Znaczną część horyzontu wypełniała sporych rozmiarów wyspa, długa na jakieś pięć, sześć kilometrów. Nieco dalej i na prawo od niej wystawał z morza płaski, zielony guz mniejszej wyspy.

- Wielki Pies, Mały Pies - informowała Iris, wskazując najpierw jedną, potem drugą. - Bob właśnie gdzieś tam dokonuje teraz swoich czynów wojennych. Takich, jak pieczenie homarów nad ogniskiem na plaży i temu podobnych.

Wokoło panowała zdumiewająca, niczym nie zmacona cisza. Krażące nad wodą pelikany nie wydawały żadnych dźwięków. Cisza była tak doskonała, że kiedy jeden z nich rozciął błękitną toń daleko od brzegu, do uszu Papermana doleciał wyraźny plusk. Zakłócił ją dopiero Ziółko, który zaczął biegać po plaży i obszczekiwać nurkujące ptaki.

- Najpierw obowiązki gospodarskie, potem kąpiel i inne przyjemności - oświadczyła Iris, rozpinając suwak rozkloszowanej pomarańczowej spódnicy.

Wyłoniła się z niej w czarnym kostiumie z dżerseju, tak obcisłym, że Normana na ten widok przebiegł dreszcz podniecenia. Potem sam się rozebrał do czerwonych kąpielówek, szczęśliwy, że mimo swoich czterdziestu dziewięciu lat nie dochował się brzuszka. Iris spojrzała na niego z uznaniem znad kosza z przykrywką, który właśnie rozpakowywała.

- No, no! A gdzieś to się tak opalił?

- To fałszywa opalenizna. Pod kwarcówką na siłowni.

Iris rozłożyła sprzęt piknikowy na piasku w cieniu pochyłej palmy. Jedzenie, którego było stanowczo za wiele dla dwojga, ustawiła na składanym stoliku. W turystycznej lodówce chłodziło się piwo, na przenośnym grillu płonął węgiel drzewny.

- Gotowe - oświadczyła w końcu, odgarniając kosmyki włosów ze spoconego czoła. - Tu nawet w cieniu można się usmażyć. Teraz pół godzinki pływania, a potem drinki.

Piękno podwodnej scenerii wręcz zapierało dech w piersiach. Porośnięte jaskrawymi wodorostami mgliście zielonkawe i różowe korale tworzyły łukowate arkady, spiralne barokowe kolumny i przepaściste grotty. Ryby pływały tu większe niż w zatoczce na Rafie Mew.

Pierwsza ryba papuzia, jaka przepłynęła w pobliżu Normana, mierzyła co najmniej metr długości. Iris płynęła przodem i Paperman nie mógł oderwać zachwyconego spojrzenia od jej różowych, pracujących nożycowo nóg. Co pewien czas odwracała się, by wskazać towarzyszowi fantastyczną formację koralowców, podobną do poroża łośia, ośmiornicę wijącą się na koralowej półce czy wielkiego, czyhającego pod skałą strzępiela. Pokazała mu

zatopiony wrak okrętu, między którego wręgami przewijały się ławice różowych i fioletowych ryb. Paperman zawisł nad wrakiem i przyglądał się z podziwem tej grze kolorów, gdy raptem Iris dotknęła jego ramienia.

Obróciwszy się, ujrzał niecałe trzy metry przed sobą szare i płaskie stworzenie w kształcie diamentu o szerokości namiotu, białe cętkowane i zakończone czarnym kolcem ogona. Stwór przefrunął tuż obok Normana, opasując mu pierś wodnym wirem, po czym oddalił się majestatycznie. To spotkanie popsło Papermanowi całą przyjemność z kąpieli, ucieszył się więc, gdy Iris zawróciła wreszcie ku brzegowi. Kiedy znaleźli się na plaży, objaśniła go, że widział płaszczkę lamparcia.

- Nie są niebezpieczne -

dodała. - Bob poluje na nie z kuszą. Twierdzi, że to bułka z masłem. Co powiesz na kieliszek martini na uspokojenie nerwów? „Bombay gin” z wermutem „Boissi~ere” w proporcji dwa do jednego, w dobrze schłodzonym szkłe, do tego skórka cytryny?

- Nie znęcaj się nade mną! W zupełności wystarczy mi piwo.
- Ależ naprawdę służę ci martini!

Wyjęła z lodówki kieliszki, które w zetknięciu z upalnym powietrzem natychmiast pokryły się szronem, zagrzechotała shakerem, po czym napełniła kieliszki białym płynem.

- Jesteś zadziwiająca kobieta, Iris.

Piknik mieli pikantny i piwny. Na grillu skwierczały parówki i hamburgery, objadali się fasolą i kiszoną kapustą. Norman uległ pokusie i spałaszował nawet sałatkę z kartofli. „A niech tam!” - pomyślał. Siedzieli na słomianych matach, rozłożonych na dużym indiańskim kocu w czerwone, żółte i niebieskie zygzaki. Paperman nigdy w życiu nie widział piękniejszego i zaciszniejszego zakątka niż ta zatoka. Prócz ich dwojga nie było tu żywego ducha.

Iris odrzuciła od siebie puszkę po piwie i ziewnęła.

- Przenieś koc na słońce, Norm. Posprzątam, a potem utniemy sobie małą drzemkę, co? Później jeszcze jedno pływanko.

Po chwili położyła się na kocu twarzą ku słońcu, splotła ręce pod głową, podciągnęła kolana i uśmiechnęła się sennie. Paperman dopatrzył się w jej zachowaniu jawnego zaproszenia. Wyciągnął się obok Iris i podparł się na łokciu. Ziółko, pochłonawszy resztki lunchu, drzemał nie opodal w cieniu z łbem na przednich łapach.

1 1 64 0 2 108 1 ff 1 32 1

- Nie tylko urządziłaś

fantastyczny piknik, Iris - zaszeptał Norman - jesteś nie tylko wyjątkowo miła dla samotnego wędrowca, ale i urzekająco piękna.

- Co powiedziałaś? -

zamruczała. - W tej chwili jestem obżarta, ociężała i śpiąca.

- Powiedziałem, że jesteś urzekająco piękna.

Pochylił się i ujął ją delikatnie za ramiona. W tej samej chwili Ziółko zerwał się z piasku jak użądlny przez pszczołę. Z warczeniem i skowytom dopadł w czterech susach koca. Paperman cofnął w popłochu ręce. Zjeżony wilczur znieruchomiał po drugiej stronie swej pani, szczerząc czerwoną paszczkę i wydając mordercze pomruki.

Iris leniwie odwróciła głowę i burknęła:

- Och, zamknij się, Ziółko! Co za nudna bestia! Co mówiłeś, Norman? Nie zwracaj uwagi na tego durnia. Powiedziałaś...

- Słuchaj, Iris, rozumiem psie przywiązanie, podziwiam je nawet

- przerwał jej Paperman,

zniecierpliwiony i nie na żarty wystraszony - ale czy nie wydaje ci się ono odrobinę niezdrowe? Ostatecznie ten czworonóg nie jest twoim mężem, tylko psem!

- Prawda, że to zabawne? W jego obecności nie mogę nawet zatańczyć z mężczyzną.

Ziółko uważa taniec za rodzaj napaści.

Wilczur wpatrywał się w Normana ponad talia Iris, a z jego gardzieli dobiegał stłumiony pomruk.

- Ciekaw jestem, czy on tylko robi tyle hałasu, czy rzeczywiście gryzie?

- Szczerze mówiąc, nie umiem ci powiedzieć, skarbie. Jeszcze nikt tego nie sprawdził. Co prawda kiedyś, w Kalifornii, pokasał włamywacza, ale to się oczywiście nie liczy...

3 3 64 0 2 108 1 ff 1 74 1

- Nie uważasz, że byłoby mu lepiej w samochodzie?

1 1 64 0 2 108 1 ff 1 32 1

- Niewykluczone, skarbie.

Jestem tego nawet pewna. Więc zamknij go.

- Ja? Ja mam go zamknąć? Chyba żartujesz? Ten wilczur pożera mnie ślepiami jak hamburgera, któremu tylko jedno w głowie. Nie uszedłbym nawet połowy drogi. Wróciłby tutaj i wypluł moje sandaiki.

Iris parsknęła śmiechem, usiadła i pogładziła go po policzku.

- Czy mówiłam ci już, że dobrze się przy tobie bawię? Chodź, psiajucho!

Wilczur pobiegł za nią do samochodu i wskoczył do środka, sądząc najwidoczniej, że odjedzie ze swoją panią, pozostawiając Normana Papermana na łasce losu. Skamlał długo i żałośnie, kiedy zamknęła drzwi i wróciła na koc.

- Więc na czym to stanęliśmy?

- zapytała, usadowiwszy się na macie i zapalając papierosa.

- Układałaś się właśnie do drzemki.

- A ty już się pchałeś z łapami. Ziółko zna się na takich ziółkach. Tylko pozujesz na pedzia. - Zachichotała. - To było dowcipne, wiesz? Hamburger, któremu tylko jedno w głowie! Nie pisywałeś nigdy humoresek?

Sądziłam, że wszyscy agenci prasowi to robią. - Paperman milczał i z chmurną miną przesypywał piasek między palcami. - Och, nie naburmuszaj się, Norm! Chyba nie zamierzałeś naprawdę nurzać się w grzechu, co? Ja w każdym razie nie mam takiego zamiaru. Kiedy przywieziesz tu Henny, chciałabym się z nią zaprzyjaźnić.

Paperman wyciągnął się na plecach i podłożył ręce pod głowę. Iris zwichrzyła dłonią jego gęste siwiejące włosy.

- Norman się wścieka, widzę z daleka, co zrobić by się udobruchał? Dajcie mu wina, zblednie zła mina, i atramentu, szczególnie do szczętu, i Iris Tramm, by z nią gruchał.

Nie zdołał się oprzeć rozbawieniu. Odwrócił głowę i uśmiechnął się.

- Ostatni raz słyszałem ten limeryk, gdy miałem dziesięć lat.

- Sza! - Położyła palec na ustach i podniosła głowę. - Słyszę warkot samochodu. Kto to może być, u diabła? W powszedni czwartek? Na tym odludziu nawet w niedzielę nie uświadczysz żywego ducha.

Przez zagajnik palm kokosowych nadjeżdżał slalomem biały jeep. Kiedy zatrzymał się na skraju plaży, wysiedli z niego gubernator i dwaj dyplomaci z Czadu, wszyscy trzej w samych kąpielówkach. Kierowca - w koszuli, krawacie i czarnej czapce szofera - pozostał za kierownicą. Sanders pomachał z daleka pani Tramm i Papermanowi.

- Dzień dobry! Przepraszam, że zakłócamy państwu spokój. Miała pani świetny pomysł, Iris, żeby pokazać gościowi naszą najpiękniejszą plażę.

- Nie ma pan za co

przepraszać, panie gubernatorze, ostatecznie to pańska wyspa! - odkrzyknęła Iris.

Obaj Afrykańczycy byli doskonale zbudowani: szerocy w barach, wąscy w pasie, z węzłami mięśni pod czarną lśniącą skórą. Gubernator sprawiał przy nich wrażenie niepokażnej figurki o barwie serwatki. Dyplomaci pomachali wstydliwie rękami i

wykrzyknęli francuskie słowa powitania, po czym wbiegli za gubernatorem do morza i zaczęli chlapać się ze śmiechem wodą i pływać.

- Poczestujemy ich piwem, gdy wyjdą? - zapytał Paperman. - Sporo nam zostało.

- Mowy nie ma! To nasze

przyjęcie. Boże miłosierny, Murzyn powinien być czarny, nie uważasz? Porównaj naszego gubernatora z tymi dwoma hebanowcami. Żółty bocian! Na dodatek są od niego sprytniejsi.

On siedzi na tej durnowatej
skale wśród morza, a oni w
Narodach Zjednoczonych, które w
dzisiejszych czasach są
najelegantszym klubem
towarzyskim dla czarnuchów.

Choć Paperman nie określiłby już siebie mianem radykała, pozostał przecież przykładowym nowojorskim liberałem, więc komentarz Iris go uraził.

- Wiesz, dziwię się -

powiedział - że mając takie uprzedzenia wobec czarnych siedzisz na tej wyspie.

Odwróciła powoli głowę i
zmierzyła go wzrokiem.

- Oszalałeś? Ja i uprzedzenia?

Nie przepadam za ludźmi, to prawda, ale akurat czarnych zdecydowanie wolę od białych.

- Może się mylę, ale

wywnioskowałem z twoich słów...

- Istotnie, mylisz się.

- Więc nie ma o czym mówić.

Paperman uznał, że lepiej nie przedłużać tej cierpkiej, kaśliwej wymiany zdań. Położył głowę na rękach i wkrótce słońce, piwo i cisza ukołysały go do drzemki. Poderwał się, usłyszawszy okrzyk Iris.

- O, psiakrew!

- Taak? Co się...

- Skończyły mi się papierosy.

- Nie masz więcej w wozie?

- I to kilka paczek. Są w schowku. Leż, sama przyniosę.

- Wykluczone!

Wstał ziewając. Trzej Murzyni wychodzili właśnie z wody.

Podszedłszy do samochodu

Paperman zajrzał przez zamknięte

drzwi do środka. Ziółko spał na

tylnym siedzeniu snem

sprawiedliwego. Norman nacisnął

ostrożnie klamkę przednich

drzwi; zaskrzypiała, lecz

wilczur nawet nie zastrzygł

uchem. Paperman otworzył powoli

drzwi i nacisnął przycisk

skrytki. Odemknęła się z

trzaskiem. Ziółko poderwał się i

usiadł na zadzie. W następnej

chwili Norman leżał na wznak na

ziemi, a wilczysko, wydając

mordercze warknięcia, pędziło w

stronę trójki Murzynów,

położywszy po sobie uszy.

- Iris, Iris! - krzyknął

Paperman, spóźnił się jednak z ostrzeżeniem, pies dopadł już bowiem trójki mężczyzn, niczym kuguar skoczył do gardła gubernatorowi, powalił go na ziemię, po czym zwierzę i człowiek zaczęli się tarzać w tumanach piasku.

Iris usiadła na kocu i z obojętną miną przypatrywała się walce. Paperman rzucił się na pomoc gubernatorowi, krzycząc:

- Na litość boską, Iris, zwołaj to bydlę!...

Nagle urwał i stanął zdumiony.

- No co, Ziółko, co, pieseczku?... Ejże, chcesz mnie zjeść? Jak się masz, stary byku? Dawnośmy się nie widzieli.

Sanders leżał na plecach, trzymał wilczura za szczękę, a pies warcząc groźnie i targając łbem, machał jednak przyjaźnie ogonem. Afrykanie śmiali się i paplali barytonowo po francusku.

Ochłonawszy ze zdumienia Paperman podszedł do Iris.

- Zdziwiająca, prawda? - powiedziała z ironicznym uśmiechem. - Zaprzyjaźnili się zaraz pierwszego dnia, ledwo się poznali. Jego Ekscelencja mógłby bez trudu splądrować mi mieszkanie. Ziółko dreptałby tylko obok niego na paluszkach i usłużnie otwierałby przed nim szuflady.

Sanders już siedział i otrząpywał się z piasku, a wilczur tańczył wokół niego uszczęśliwiony.

- Niewiarygodne! - przyznał Paperman. - Czy oni się często widują?

- Ziółko codziennie chodził ze mną do pałacu gubernatora, kiedy tam pracowałam. Doszło do tego, że rozwalął się jak basza w gabinecie Jego Ekscelencji. Dość, Ziółko! - zawołała głośno.

- Starczy już tego dobrego!

Gubernator podnosił się z ziemi, a rozdokazywany pies skakał na niego radośnie.

- Mnie to nie przeszkadza, Iris! - zawołał Sanders.

- Ale mnie przeszkadza.

Ziółko!

Pies zawahał się i merdając ogonem podbiegł do swej pani, roześmiany i uszczęśliwiony. Z rozpędu skoczył nawet w przyjaznych zamiarach na Papermana.

- Leżeć, psiajucho! Nalej mi jeszcze piwa, Norm.

Iris wydała obydwu polecenia prawie tym samym tonem, ale natychmiast zdała sobie z tego sprawę i parsknęła śmiechem.

- Widzisz, do czego prowadzi życie tylko we dwoje z tym potworem! Nabieram manier tresera lwów.

Gubernator wskoczył do wody, żeby się opłukać, a potem podszedł do Iris i Normana.

- Udał się państwu piknik?

- Nadal się nam udaje,

dziękujemy. - Iris sączyła piwo, oparta plecami o ramię Papermana.

- Obawiam się, że deszcz go państwu popsuje.

Sanders wskazał burzowe chmury, wiszące nad wysepką Wielki Pies, lecz przesuwające się już powoli nad Amerigo. Norman istotnie poczuł na skórze pacnięcia kilku zimnych kropli.

- Niemożliwe! Deszcze zawsze omijają Zatokę Pitta, spadają dopiero na Górę Sygnałową.

- Jak się państwu udało
zjechać tu chevroletem?

Gubernator starał się być miły, czego mu Iris - mimo swych poprzednich zapewnień o sympatii dla Murzynów - najwyraźniej nie ułatwiała. Paperman uznał za bardzo dziwne, że nie poczęstowała Sandersa piwem. Zauważył, że gubernator popatruje co chwila na lodówkę turystyczną.

- Jakoś się udało -
odpowiedziała Iris.

- Zastanawiam się, czy uda się państwu wdrapać z powrotem na górę?
- Poradzimy sobie.

Gubernator wskazał swojego szofera.

- Może życzyście sobie państwo, żeby Ronald odprowadził wasz wóz? Z przyjemnością zabiorę państwa jeepem.

Iris odpowiedziała mu z uśmiechem wyjątkowo cierpkim.

- Nie, dziękujemy panu.

Gubernator uniósł gęste siwiejące brwi, schylił się i pociągnął wilczura za uszy.

- Zatem nie przeszkadzam

państwu dłużej i życzę przyjemnego pikniku - powiedział i oddalił się sztywnym krokiem.

Kiedy biały jeep ruszył wśród palm kokosowych w powrotną drogę, Iris rzuciła za nim puszką po piwie.

- Czemu się wściekasz? -
zaciekawiał się Paperman.

- Chcę tylko, żeby nie
traktowali nas z góry! Czy to nazbyt wygórowane żądanie?

Niespodziewanie przewróciła Papermana na plecy i przygwoździła mu ręce do koca. Wzburzone jasne włosy spadały kosmykami na jej błyszczące oczy. Paperman poczuł podniecenie i zachwyt, ale i lekkie zmieszanie. Wciąż słyszał warkot i chrzęst opon jeepa. Poza tym z nieba kapały coraz gęstsze krople. Nie ulegało wątpliwości, że nadciąga deszcz.

- Jak mam to rozumieć?
- Zamknij się, dobrze?

Przywarła ustami do jego ust w długim pocałunku, nic sobie nie robiąc z deszczu, który lunął nagle rzęsiстыми strumieniami, jakby ktoś odkręcił prysznic na pełny regulator. Iris podniosła ociekającą wodą głowę, roześmiała się i zawołała ku chmurom:

- Pomyłka, pomyłka, deszczu!

To Zatoka Pitta! Zatoka Pitta, głupi! Tu nigdy nie padasz!

Potem oplotła Papermana rękami i nogami i jak mały łobuziak zaczęła się z nim tarzać po gorącym piasku w strugach ulewy, podobnie jak wcześniej Sanders tarzał się z wilczurem. Nisko na niebie po wschodniej stronie zapłonął łuk tęczy.

- Chodź, Norm, wracamy do domu. Piknik skończony, zresztą na całe szczęście.
Wracaj do Nowego Jorku i nie pokazuj się tutaj bez żony!

3 3 64 0 2 108 1 ff 1 74 1

Fragment wiersza „Ameryka” (1831) Samuela F. Smitha, amerykańskiego poety i duchownego.

Muzyk amerykański
(1907-1977), kierownik
popularnej orkiestry tanecznej.

`tt
Część I
Największy cwaniak w Nowym Jorku (cd.)

Część pierwsza

Największy cwaniak
w Nowym Jorku (cd.)

Rozdział trzeci

Dopust

1

Henny oparła czoło o lodowatą szybę, zastanawiając się, czy samolot Normana wyląduje w taką pogodę.

Za oknem wirowały kłaczaste płatki śniegu. Przez szczeliny w futrynie, z której odpryskiwała farba, ciągnął ziąb – odrobina miłego wytchnienia od wilgotnego żaru kaloryferów. W tym domu już nic nie działało jak należy, nikt niczego nie utrzymywał w odpowiednim porządku. Centralne ogrzewanie wyczyniało istne brewerie. Od października do maja człowiek albo dygotał z zimna, albo oblewał się potem z gorąca. A jednak, przy kontrolowanych czynszach, mieszkanie w centrum Manhattanu stanowiło luksus i budziło zazdrość znajomych Papermanów. Biorąc pod uwagę ich dochody i skłonność Normana do szastania pieniędzmi – lubił mówić, że prowadzi „egzystencję kaszmirową” – mogliby się przeprowadzić tylko do niskich klitek w nowych blokach, gdzie słychać plusk spuszczonej w ubikacji wody i krzyki żon, wrzeszczących na mężów, cztery piętra wyżej, lub do domku na przedmieściu, co dla Normana równałoby się przeprowadzce dalej niż na Karaiby. Jego pokój – o powierzchni blisko pięćdziesięciu metrów kwadratowych, na trzy metry wysoki, z południową wystawą, bardzo słoneczny, może trochę ponury z powodu brązowych, dawno nie malowanych ścian – mieścił wielkie metalowe biurko ze stojącą na nim elektryczną maszyną do pisania, sporych rozmiarów bibliotekę i nową kanapę z czerwonej skóry, na której Norman ucinał sobie zalecane mu przez lekarza drzemki. Na ścianach znalazło się dostatecznie dużo miejsca na opatrzone autografami zdjęcia sławnych klientów Normana i oprawione w ramki, jaskrawe fisze, reklamujące przedstawienia, których promocją prasową się zajmował. Ponadto pomieściły się w tym przestronnym pomieszczeniu wszystkie meble gabinetowe, jakie zgromadził w ciągu ostatnich dwudziestu lat, w tym stary brązowy fotel i komplet wypoczynkowy, jeszcze z jego jednopokojowej kawalerki, w którym Henny już trzy razy zmieniała tapicerkę. Norman nie chciał się z nim rozstać, gdyż właśnie od niej go dostał, w tym przygnębiająco długim okresie narzeczeństwa, kiedy już żyli ze sobą, a jeszcze nie byli małżeństwem, dla czego znalazł racjonalne uzasadnienie: utrzymanie wynosiło mianowicie Henny dużo taniej, dopóki mieszkała u rodziców. Prawdziwy zaś powód był taki, że Normanowi najwyczejniej ten układ odpowiadał, gdy więc usiłowała go zmusić do oświadczeń, napotykała opór.

„Masz się ze mną ożenić,
słyszysz, co mówię, ty

skurwysynu!” – krzyczała zalana łzami. „Dość już mam tego pieprzenia się po cudzych kątach! Pięć lat zupełnie wystarczy! Przysięgam, że albo bierzemy za dwa tygodnie ślub, albo więcej mnie na oczy nie zobaczysz!” Od tamtej pory minęło dwadzieścia lat! Mimo całej ówczesnej udręki piękne to jednak były czasy! Henny usiadła w starym fotelu i oparła nogi na kanapie, zamierzając się oddać sentymentalnym wspomnieniom. W tym momencie zadzwonił telefon i wyrwał ją z rozmarzenia.

– Henny? Tu Lester. Właśnie wylądowaliśmy, zupełnie na oślep, powiadam ci. W życiu nie najadłem się większego strachu!

– Halo, Lester? A gdzie Norman?

– Został jeszcze na Amerigo.

Henny, mówię z ustami pełnymi krwi. Pojęcia nie mam, po cholere te dupeczki stewardesy dają człowiekowi przed lądowaniem gumę do żucia? Omal nie odgryzłem sobie języka. Obawiam się zresztą, że kawałeczek połknąłem. To nie była guma, to było mięso, Henny!

– A czemu Norman z tobą nie wrócił? Czekam na niego, przygotowałam wystawną kolację...

– Ma zadzwonić do ciebie

wieczorem. Widzisz, taka inwestycja wymaga rozważliwego zastanowienia...

– Boże drogi, Lester, miałam nadzieję, że ta eskapada wyleczy go z jego mrzonek!

– Wyjrzyj przez okno, kotku.

To ma być pogoda? Myślę, że Norman może się jeszcze okazać największym cwaniakiem z nas wszystkich. Ta wyspa to istny raj, hotel – palce lizać, bombowa okazja. Jeśli Norm przeprowadzi modernizację, jaką mu doradziłem, będziecie zgarniali dwadzieścia pięć, trzydzieści tysięcy rocznie, mieszkając w rajskim

ogrodzie. No, muszę kończyć, jada moje toboły. Bużka! Mam o czwartej spotkanie w wieżowcu Chryslera, a jestem pod dobrą datą.

- Słyszać to.

- Henny, w pierwszej klasie dają ci siarę za darmo. Grzech byłoby nie wypić i nie odbić sobie różnicy w cenie. Mnie tam Pan^uam nie okpi. Pa!...

- Halo, Lester! Lester!! Norm nie mówił ci, kiedy wraca?

- Powiedział, że może jutro.

Pa, maleńka!

Rozczarowana i zła, Henny siedziała ze słuchawką w ręku wpatrując się w wirujące za oknem tumany śniegu. Cały Norman! Dwudziestą rocznicę ich ślubu, przypadającą poprzedniego dnia, spędził na Karaibach, na tej szalonej wycieczce. A ona tu czeka z indykiem w piekarniku i butelką szampana w lodówce, bo sądzi, że spóźniona uroczystość jest lepsza niż żadna! Najwyraźniej należało się liczyć z jeszcze większą zwłoką...

2

Podmuch zimna od mokrej śnieżycy zmroził Papermana do szpiku kości, kiedy wieczorem następnego dnia wylądował w Nowym Jorku. Jego samolot spóźnił się trzy godziny. Na bezkresnej równinie lotniska Idlewild, pociętej kilometrowymi sznureczkami świateł wytyczających pasy startowe, panowały ciemność, ziąb i szalała wichura. Paperman musiał najpierw podjąć uciążliwą wędrówkę, po kostki w śnieżnej brei, do hali przylotów, potem przepychać się przez korytarze wytapetowane płachtami reklam, zatłoczone tłumem rozgorączkowanych, spieszących się pasażerów, do lady odbioru bagażu, potem wyczekać w dusznej i parnej sali, pełnej lodowatych przeciągów, kłusujących w kostki nóg i szyję, przy nie milknącym harmidrze głośników, jeszcze później wypadło mu walczyć o bagaż, gdy wreszcie nadjechał taśmociągiem.

Potem nastąpiło długie poszukiwanie bagażowego, którego znaleźć musiał, bo lekarz zabronił mu dźwigać ciężary, potem wyczekiwanie na zimnym, kłującym igiełkami mokrego śniegu wietrze w gromadzie innych rozwścieczonych i wojowniczo nastawionych pasażerów, walczących zaciekle o każdą podjeżdżającą taksówkę, później przeżyć musiał koszmarne jazdę oblodzoną szosą w ślimaczącej się rzece

ślizgających się na oblodzonym asfalcie samochodów z zapalonymi światłami i wdychać przy tym odór niedomytego ciała taksówkarza, który na domiar złego kopcił cuchnące cygareto i przez całą drogę na Manhattan wybuchał co chwila stekiem wulgarnych przekleństw.

Norman Paperman poczuł, że wrócił do domu.

- Tropiki najwyraźniej ci służą - wykrztusiła Henny.

- To źródło młodości -

zawołał. - Zobacz no te łokcie!

- Och, daj spokój, Norm! - Wyrwała mu się ze śmiechem. - Muszę wracać do mojego indyka. Ależ się opaliłeś! Jak to możliwe, że wcale nie jesteś zmęczony?

- Spałem trochę w samolocie, a poza tym... Wiesz, Henny, czuję się po prostu jak nowo narodzony. Gdzie Hazel?

- Na randce z Dopustem, jak sądzę. Ma go do nas przyprowadzić na kolację.

- O nie! Tylko nie to! -

Zgarbiony, zataczając się, powlókł się do swego bagażu. - Byle nie Dopust! Nie dzisiaj! Znowu poczułem się staro.

- Taki postawiła warunek: jeśli nie zaprosimy Sheldona, ona też nie przyjdzie. Co miałam robić?

- Rzeczywiście, obawiam się, że nie miałaś wyjścia - przyznał Norman i jęknął. - Nie uważasz jednak, że to źle wróży? Nigdy dotąd nie przyprowadzała tego bubka na kolację.

- Nie najlepiej, to fakt - zgodziła się Henny.

- No trudno, nie mówmy już o tym - burknął Norman, otwierając walizkę z cielecej skóry, kupioną u Marka Crossa. - Do diabła z Dopustem. Weselmy się, choćby się waliło i paliło. Mam tu dla ciebie banalną pamiątkę z tropików. Mały prezencik z okazji rocznicy ślubu.

Zarumieniona, rozwinęła złocisty papier.

- Cóż to takiego? Właściwie ja też powinnam ci coś kupić, ale... Norman!! - Henny wlepiała zdumione spojrzenie w leżącą na purpurowym aksamicie, wysadzaną brylancikami, zabytkową bransoletkę z florenckiego srebra. - Odnies to zaraz tam, gdzie to kupiłeś! - wyszeptała drżącym głosem.

- Ładna, prawda? - ucieszył się Paperman, zdejmując przed lustrem krawat. - Będzie pasowała do paru twoich rzeczy.

- Do paru? Do wszystkich! - Henny w charakterystyczny sposób zmarszczyła mały nosek, co upodabniało jej ładną buzię o nieco zaokrąglonym podbródku do mordki mopsa. - Gdzieś ty to wynalazł Norm? Przecież nas nie stać na taki wydatek!

- Ależ stać, stać.

Norman doszedł po dojrzałym namyśle do wniosku, że lepiej nie wspominać żonie o tym, iż to Iris Tramm zaprowadziła go do sklepu pewnego Turka_pedała przy ulicy Księcia Walii, odrzuciła kilka tandetnych bibelotów, jakie im pokazał wdzięczący się kupiec, i zmusiła go w końcu do zaprezentowania tej bransoletki, a następnie, targując się uparcie, do obniżenia proponowanej ceny do połowy. Bransoletka kosztowała Papermana dziewięćset pięćdziesiąt dolarów, czyli prawie tyle, ile wynosiły całe zasoby żywej gotówki, jakie posiadał. Ta rozrzutność wynikała po części z poczucia winy, wywołanego flirtem z Iris, po części z tropikalnego odprężenia i bez troski, głównie jednak ze szczerego uczucia, jakim darzył żonę, dziewczynę swojej młodości. Henny wytrzymała z nim tyle lat, mimo jego licznych romansów, właśnie dlatego, że o tym wiedziała; a także i dlatego, że miał poczucie humoru. Kilka razy w przeszłości była jednak bliska odejścia od męża.

Trzymając puzderko w dłoni przytuliła się do niego.

- Dziękuję - wyszeptała, rezygnując z oporu.

- Za co? To tylko nagroda za świadczone mi usługi. Wolno mi chyba oświadczyć, że oczekuję dalszych dwudziestu takich lat? Nie zmieniaj się ani na jotę.

- Ale co będzie z nami dalej, ty wariacie? Naprawdę przenosimy się na Karaiby? Prowadzić tam hotel?

- Tylko, jeśli ty tego zechcesz, Henny. Ale sama widzisz, co się tu, na Pięćdziesiątej Siódmej,

wyprawia. Kiedy opuszczałem Amerigo, świeciło słońce, wzgórza tonęły w zieleni, morze lśniło lazurem, temperatura dochodziła do dwudziestu sześciu stopni w cieniu, a wiatr pachniał perfumami „Arp~ege”.

W tym ostatnim punkcie nieco mijał się z prawdą. Perfumami „Arp~ege” pachniała Iris Tramm, gdy całowała go na pożegnanie na lotnisku.

- Mów dalej - poprosiła Henny

- a pewnie zmięknę. - Zerknęła na zegarek. - Gdzie, u licha, podziewa się to dziewczysko? Kolacja mi się zmarnuje!
Zadzwoń do Dopusta. Założę się, że siedzi u niego.

3

Henny dobrze zrobiła, że zatelefonowała. Hazel chichocząc oświadczyła matce, że właśnie malują z Shelem kuchnię i na śmierć zapomnieli o rocznicowej kolacji, ale już lecą i będą za kwadrans. Henny przezornie wyjęła indyka z piekarnika, a Hazel z Sheldonem istotnie zjawili się dopiero po godzinie.

Sheldon Klug spędzał sen z powiek obojga Papermanów.

Starali się ukryć strapienie, obracając je w śmiech. Shel był ostatnim z dość długiego szeregu chłopaków dziewiętnastoletniej Hazel. Barczysty i przystojny, choć odrobinę za tłusty i o wiecheć za brodaty, był wykładowcą literatury

angielskiej w college'u, do którego chodziła. Papermanowie nie wątpili ani przez chwilę, że ów młody człowiek przed kilkoma miesiącami pozbawił dziewictwa ich córkę i odtąd sypiał z nią stale przy różnych okazjach. Hazel nie zaszła dotąd w ciążę, zresztą nie zwierzała się rodzicom. Na tym też ich wiedza się kończyła. Henny, ciągle jeszcze wojująca wolnomysłicielka, co jakiś czas zapewniała męża, że nie ma nic przeciwko temu, by jej córka prowadziła satysfakcjonujące życie seksualne - była całą duszą za satysfakcjonującym życiem seksualnym, tak przed ślubem, jak i po nim - ale jak dziewczyna może znaleźć satysfakcję seksualną z takim dupkiem żółędnym?

Od początku romansu z

Sheldonem Hazel rzadko spieszyła się z powrotem do domu, kiedy zaś tam wreszcie docierała, jej matka odnosiła często wrażenie, że dziewczyna opuściła niedawno ciepłe łóżko. Tym razem jednak wyglądało na to, że naprawdę malowała kuchnię. Na jej potarganych, związanych czerwona wstążką włosach jaśniała nad uchem plamka białej farby. Poplamione nią były również szara bluza i wypłowiałe, połatanne dżinsy, sprane i celowo wytarte, tak że niemal pękały na zaokrąglających się biodrach Hazel.

Natomiast Dopust wyglądał

nader schludnie: ciemny garnitur, biała koszula z mankietami spiętymi srebrnymi spinkami, wyglansowane czarne półbuty. Rudawa spiczasta broda okalająca pulchnawą owalną twarz była porządnie przystrzyżona, a gęste ciemnorude włosy starannie przyczesane. Dopust nie zawsze nosił się tak wytwornie. Latem zjawił się kilka razy w mieszkaniu Papermanów w

obcisłych farmerkach, brudnych tenisówkach i podartym podkoszulku, z brodą zmierzwioną i zapuszczoną, cuchnący niczym kolejka podziemna w godzinie szczytu. „Dopustem Bożym” nazwała Sheldona Kluga matka Normana, która widziała go tylko jeden raz i to przez kilka minut. Właściwie opisała go wyrazem z języka jidysz: onszikenes. Najbliższym znaczeniowo temu określeniu angielskim słowem,

natychmiast podchwyconym przez Normana, było słowo „dopust”, z polem znaczeniowym obejmującym klątwę, karę niebios, prześladowania oraz plagi. Klug bynajmniej starszej pani nie zachwyił. Na jej obcesowe pytanie, czy jest Żydem, odpowiedział zawiłym wywodem na temat etnicznych korzeni, heretyckiej wiary, wyobcowania, żywej i martwej tradycji; krótko mówiąc, oboje jego rodzice byli Żydami, lecz on uważał siebie za egzystencjalnego poganina, którego religia jest sztuka. Babka zbyła to oświadczenie wzruszeniem ramion: szurnięty, ale przynajmniej Żyd. Młody człowiek budził jej zastrzeżenia z powodu brody oraz niechęci do poruszania tematu małżeństwa po blisko roku prowadzania się z Hazel. Co do Papermana, ten uważał młodych brodatych Amerykanów bądź za nadętych pozerów, bądź za wyzutych z zasad moralnych nicponi, toteż niepokoił się o córkę.

Hazel była atrakcyjną dziewczyną. Najpiękniejsze miała oczy - wielkie, niebieskie, szeroko rozstawione i wyraźnie skośne. Przydawały jej one, bez najmniejszego starania z jej strony, wyglądu zalęknionej sarny, jaki inne dziewczęta uzyskiwały dopiero dzięki pędzelkom i tuszom. Hazel zdawała sobie sprawę z tego waloru swej urody i często robiła „przestraszone oczy”, nawet gdy nie działo się nic, co by przestraszyć uzasadniało. Górną wargę miała wyjątkowo długą, a dolną bardzo pełną, toteż gdy się uśmiechała, jej usta przybierały kształt litery „V”. Najbardziej typowym dla niej wyrazem twarzy było spłoszone spojrzenie połączone z takim właśnie nieśmiałym uśmiechem. Miała szczupłą figurę i drobne piersi, skryte teraz pod upačkaną farbą bluza. Niejeden student starszych lat uniwersytetu nowojorskiego wzdychał nadaremnie do Hazel Paperman. Niewykluczone, iż właśnie ten przesyt sukcesami w sercowych podbojach spowodował, że zaczęła się interesować mężczyznami należącymi do kadry wykładowców.

Klug był nie tylko przystojny, dojrzały i inteligentny, ale i niebywale podnosił jej prestiż w środowisku braci studenckiej obojga płci. Nie była to wyłącznie jej własna opinia - status społeczny Hazel istotnie poszybował w ciągu ostatniego roku na niebotyczne wyżyny, Klug nie tylko bowiem uczył, ale i pisał, a to, co pisał, publikował, przeważnie w niskonakładowych radykalnych almanachach, kilka jego rzeczy ukazało się jednak w dodatkach literackich popularnych magazynów, łączących ambitną prozę z fotografiami gołych pańienek. W przeludnionym Nowym Jorku nic nie przydaje takiego blasku jak sława, każde wyniesienie - choćby najmniejsze - ponad szary tłum. Na uczelni Hazel nie zapomniano, że Thomas Wolfe, będąc jeszcze geniuszem zapoznanym, również chadzał po tych samych korytarzach jako wykładowca literatury angielskiej. Któż mógł wiedzieć na pewno, że dwudziestopięcioletni Sheldon Klug nie jest drugim Thomasem Wolfem u progu kariery? Klug nie pochodził co prawda z południa Stanów, lecz z Newark, nosił się jednak - a i wykładał - z ironiczną wyższością i pewnością siebie. Był niewątpliwie jedną z

najświeńszych postaci grona pedagogicznego. Kiedy późnym popołudniem, ubrany w koszulkę i wytarte dżinsy, podjeżdżał pod kawiarnię w pobliżu uczelni i Hazel Paperman wskakiwała na zapadnięte siedzenie zdezelowanego czerwonego jaguara, po czym na oczach przyjaciółek odjeżdżała z rykiem silnika, doznawała uczucia cudownego uniesienia, o jakim jej starzejącym się rodzicom nawet się nie śniło. A oni śmieli przezywać go Dopustem! Zasługiwali na wyrozumiałość. Byli naprawdę ślepi.

Również i tego wieczoru zachowywała się wobec nich bardzo uprzejmie, ignorowała kwaśną irytację z powodu jej niechlujnego wyglądu, spóźnienia oraz faktu, że przyprowadziła Kluga. Wpadła do mieszkania cała w skowronkach, wycalowała staruszków, śmiała się, żartowała na temat Karaibów i zachwycała się nową bransoletką matki. Rodzice dali się szybko udobruchać, była oczkiem w głowie obojga. Przy koktajlach z szampana Norman spróbował, co prawda bez przekonania, nakłonić Hazel, żeby się trochę ogarnęła przed kolacją, ale dziewczyna odrzuciła jego sugestie; zabrałoby jej to za wiele czasu, wszyscy umierali już z głodu, a zresztą po co? Wychylili po dwa koktajle - z wyjątkiem Dopusta, który wlał w siebie trzy - i Hazel zasiadła do uroczystej kolacji z okazji dwudziestej rocznicy ślubu rodziców wyglądając jak pomocnik murarza, obdarzony jednakże pięknymi oczami i uroczym uśmiechem z literą „V”.

Kolacja zaczęła się niezbyt fortunnie. Klug wykazał zadziwiający apetyt i z beztroską skwapliwością dopraszał się o kolejne dokładki. Zjadł większość maślanych bułek z krążącego wokół stołu koszyka, dwa razy napełnił sałatką salaterkę, wypijał wino duszkiem, kieliszek za kieliszkiem i poprosił o dodatkową porcję zrobionej przez Henny zupy. Jeśli chciał zyskać w ten sposób przychylność gospodyni, nie osiągnął celu. Henny gotowała znakomicie, bo wszystko co robiła, robiła dobrze, ale nie ceniła sobie sławy kucharki. Podczas gdy Klug pochłaniał kolejne porcje, państwo Papermanowie wymieniali porozumiewawcze spojrzenia. Nie uszły one, oczywista, uwagi Hazel. Nie istnieje w zasadzie żaden powód, dla którego wspaniały kochanek i genialny człowiek nie miałby być jednocześnie obżartuchem; jest przecież faktem, chociaż mało znanym, że Byron miał poważne problemy z nadwagą. Mimo to Hazel poczuła się nieswojo i zaczęła trajkotać jak najęta.

Najpierw wyznała, że jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak głodna. Malowanie pokoju to jednak bardzo wyczerpująca robota. Boże drogi, człowiek dostaje wprost wilczego apetytu! Możliwe, że pobudza go jakiś składnik terpentyny. Następnie oświadczyła, że obchodzą właściwie podwójną uroczystość, ponieważ wydawca przyjął właśnie do druku książkę Shela! Klug przerwał pochłanianie zupy na czas dostatecznie długi, by móc ostrzec przyjaźnie Hazel, że do chwili podpisania umowy niczego nie można być pewnym i trzeba jeszcze przezwyciężyć wiele przeszkód.

- O czym to będzie? -

zainteresował się Norman. - Nie wiedziałem, że pisze pan książkę. Jaki ma tytuł?

- Obawiam się, że to na razie tajemnica - odrzekł z uśmiechem Klug.

- A ja wiem! - pochwaliła się Henny. - „Homoseksualizm Balzaca”.

Norman, który właśnie rozlewał wino do kieliszków, z wrażenia aż wylał trochę na obrus.

- Balzaca? - spytał,

spoglądając z niedowierzaniem na Kluga. - Chyba nie chodzi panu o Honoriusza Balzaca?

Klug spojrział na Hazel z takim wyrzutem, że dziewczyna aż się zarumieniła.

- Tej informacji nie powinnaś była rozpowszechniać, kochanie. Rozprawa nie jest jeszcze w pełni dopracowana.

- Och, mammo! - burknęła z irytacją Hazel.
- Zdumienie moje wynika z faktu, drogi panie - wyjaśnił Norman - że Balzac przez całe życie nie robił prawie nic innego, jak tylko posuwał różne niewiasty, o czym panu z pewnością doskonale wiadomo. Podejrzewam zresztą, że od tego kofnął. Plus od obżerania się jak wieprz.
- Wykończyły go kobiety - przytaknęła Henny. - Za dużo ciupciał. Taka jest w każdym razie teoria pana Sheldona.

Klug, któremu wrócił dobry humor, uśmiechnął się i lekko wzruszył ramionami.

- Satyromania była wówczas w modzie. Wyrównanie kompensacyjne, plus ucieczka od rzeczywistości.
- Tak czy owak, idea szalenie interesująca - przyznał Norman.
- Balzac był już chyba ostatni na liście.

Uśmiezek Kluga zgasł, przechodząc w minę wyrażającą pobłażliwość i tolerancję. Przyglądając czuprynę, młody człowiek zwrócił się do gospodarza:

- Podobne odkrycia zawsze budzą początkowo sprzeciw. Proszę ponownie przeczytać choćby „Ludwika Lambert”.
- Piękne dzięki. Wolę poczekać na pańską rozprawę. Balzaca czytywałem jako młodzieniec dwudziestoparoletni. Więc powiada pan, że to dzieło zostanie opublikowane?
- Mam nadzieję skończyć moją książkę w przyszłym roku. Rzeczywiście, znalazłem już wydawcę.

Norman spojrział wymownie w sufit.

Henny wniosła przyrumienionego i pachnącego kuszaco indyka. Paperman pokroił mięso, a ona rozdzieliła je na talerze wraz z nadzieniem i warzywami, przy czym Klugowi nałożyła porcję obraźliwie wręcz kopiastą, jakby nie nakładała jej dla ludzkiej istoty, ale rzuciła górę mięcha dla doga. Klug nie obraził się jednak i najspokojniej w świecie przystąpił do jedzenia.

Ale chociaż on sam się nie obraził, Hazel poczuła się dotknięta. Spoglądała na przemian to na ojca, to na matkę wielkimi, posmutniałymi oczami z wyraźnym wyrzutem. Papermanowi zrobiło się żal córki.

Opancerzona lśniąca muszlą wiary w siebie, zbudowaną na bazie władzy, jaką sprawowała nad młodzieńcami, i przyrodzonego egoizmu jedynaczki, już od lat traktowała rodziców z pobłażliwością. I oto nagle stanęła przed nimi obnażona i bezbronna, ponieważ naprawdę zależało jej na tym mężczyźnie. Tego wieczoru przemknęło przez myśl Normanowi, musiała, chcąc nie chcąc, patrzeć na swego wybranka oczami rodziców, z tego zaś punktu widzenia Sheldon zdradzał w oczywisty sposób kompromitującą słabość - obrzydliwe obżarstwo.

Spojrzenie zbuntowanej sarny, które dostrzegł w oczach dziewczyny, zmiękczyło niechęć Papermana. Hazel była piękna; była jego najdroższą córeczką.

**Odczuwał dotkliwy ból na myśl o
tym, że ten tłustawy młody bufon
niemal na pewno bezczęści jej
dziewiczo niewinne młode ciało,
gdy tylko zechce, a on, ojciec -
spętany współczesnymi obyczajami**

- nie może na to nic poradzić, jest zupełnie bezradny. Wymiana strzałów między nimi wydała mu się tak anachroniczna, że nawet nie śmieszna. Niestety, musiał znieść obecność tego gwałciciela przy własnym stole, na swojej własnej rocznicowej kolacji! Znieść, a nawet uśmiechać się do niego!

- Włącz radio, Hazel -

poprosił córkę, by zagłuszyć te przykre myśli.

- Och nie, Norman! -

zaprotestowała Henny. - To zbyt przygnębiające!

Hazel skoczyła jednak skwapliwie do stojącego na kredensie tranzystorowego odbiornika, zadowolona, że uwaga rodziców skieruje się, choć częściowo, w inną

stronę. Właśnie minęła pełna godzina i spiker z wyraźną satysfakcją, a zarazem tonem zapowiadającym nadciągającą katastrofę, odczytywał ostatnie wiadomości:

„...wyspy przybrzeżne.

Prezydent Stanów Zjednoczonych oświadczył stanowczo, że stacjonująca na Formozie Siódma Flota jest przygotowana na każdą ewentualność w rozwoju wydarzeń.

Tymczasem przywódca sowiecki,

Nikita Chruszczow, ostrzegł, że

Związek Socjalistycznych

Republik Radzieckich dysponuje

rakietami z głowicami

termojądrowymi, zdolnymi

osiągnąć dowolnych celów na naszej planecie, nie wyłączając okrętów wojennych

na morzu, oraz dodał, cytując: „każda niesprowokowana napaść na nieustraszony

naród chiński spowoduje natychmiastowe zastosowanie wobec agresora środków

odwetowych o nieobliczalnej... sile...” Koniec cytatu.”

Zapadła cisza. Spiker ćwierkał radośnie dalej:

„Inne doniesienia:

zapowiedziany na czwartek ogólnokrajowy strajk kierowców całkowicie sparaliżuje gospodarkę kraju, oświadczył...”

- Ach, to już nieważne, wyłącz

- poprosiła Henny.

- Przepraszam, chciałem się tylko dowiedzieć, czy Chińczycy zbombardowali Siódma Flotę - mruknął Norman. - Zapowiedzieli, że to zrobią.

- Spiker nie wydał mi się aż tak podniecony - zauważyła Hazel. - Sądzę, że nie spełnili swej groźby.

- Bo i czym? Czy oni w ogóle mają jakieś bomby? - zaciekawiła się Henny. - Chyba tylko z chińską kuchnią.

- Mają rosyjskie -

poinformowała matkę Hazel.

- Wiesz, co mi się najbardziej podobało na Amerigo? - zwrócił się do żony Paperman. - Otóż oni tam w ogóle nie słyszeli o kryzysie chińskim. Nie mają telewizji. Najświeższe gazety, jakie możesz dostać, pochodzą sprzed pięciu dni.

Radio nadaje wyłącznie muzykę z płyt i reklamy. W ciągu trzech dni, jakie tam spędziłem, usłyszałem tylko jeden dziennik radiowy. Spiker zaczął nawet w pewnej chwili czytać jakąś wiadomość o tych chińskich wyspach, ale nie mógł wymówić ich nazw i wtedy wiesz, co zrobił? Zaczął chichotać, przysięgam, pośmiał się trochę, a potem pominął tę informację i przeszedł do następnej:

zawiadomienia o pikniku stowarzyszenia rodzice_nauczyciele!

Najdziwniejsze jest zaś to, że wcale nie wziąłem mu tego za złe. Sam chichotałem jak wariat.

- Mój Boże, przenieśmy się tam czym prędzej! - wykrzyknęła Henny.

Kług uporał się wreszcie z kopiałą porcją jedzenia zwaloną na jego talerz i rzekł:

- Z przeprowadzonych obliczeń wynika, że opad radioaktywny po pierwszej wymianie termonuklearnych ciosów uśmierci każdą istotę żywą na półkuli północnej powyżej dziewiętnastego równoleżnika. Na jakiej szerokości leży Amerigo?

- Czy ja wiem? - zastanowił się Norman. - W każdym razie gdzieś blisko równika. Miejsce na pewno lepsze od skrzyżowania 57 Ulicy z Siódmą Aleją.

- Niewątpliwie. Siedząc przy tym stole znajdujemy się prawdopodobnie dokładnie w punkcie zerowym wybuchu pierwszej bomby wodorowej - poinformował Dopust. -

Podniesiona do pionu na wyrzutni gdzieś w syberyjskiej tundrze, może zostać w każdej chwili wystrzelona i wylądować choćby tutaj, przeleciawszy nad biegunem północnym, po mniej więcej dwudziestu sześciu minutach. Całe sto megaton.

- Komu kawy? - zapytała Henny, zrobiwszy wyjątkowo mopsowatą minę.

- Ja bym się nie przejmował - powiedział ostrożnie Norman. - Nie sądzę, żeby miało dojść do wojny atomowej. Któż byłby tak szalony, żeby ją rozpocząć?

Klug uśmiechnął się do niego jak do studenta, który udzielił bystrej odpowiedzi.

- Postawił pan trafne pytanie.

Kto mógłby być tak szalony?

Niestety, cała historia

ludzkości jest historią

pogłębiającej się zbiorowej nerwicy, która obecnie osiągnęła stan - miejmy

odwagę spojrzeć prawdzie w oczy - wskazujący na bliskie a katastrofalne w

skutkach nerwowe załamanie całej ludzkiej rasy.

Norman wzruszył ramionami.

- Wydaje mi się, że Rosjanie są dostatecznie ograniczeni, mimo całego osobliwego makijażu ~a la Dostojewski, by porwać się na każde szaleństwo, ale nawet oni...

- Och, ze strony Związku

Radzieckiego nie zagraża nam

najmniejsze niebezpieczeństwo -

orzekł autorytatywnie Klug. - To

dziecięco optymistyczne

społeczeństwo, hołdujące

prostacko naiwnym mitom

marksistowskim, do szpiku kości pacyfistyczne. Światu zagrażają zniszczeniem

wyłącznie Stany Zjednoczone. - Uśmiechnął się z wyższością i wychylił duszkiem

kieliszek wina. - Stany Zjednoczone, widzicie państwo, osiągnęły

psychoneurotyczny ślepy zaułek cywilizacji przemysłowej. Stworzywszy

społeczeństwo obfitości, odkryliśmy, że mamy przed sobą miraż, ślepy zaułek

grożący paraliżem wszelkiego twórczego ducha. Żaden kraj w historii nie był tak totalnie przeniknięty instynktem Tanatosa ani...

- Czym? - zapytała Henny.

- Instynktem Tanatosa,

kochanie, pociągami do śmierci - wyjaśnił znękany głosem Norman.

- Instynkt Erosa: pociąg do życia, instynkt Tanatosa: pociąg do śmierci. Późny Freud.

Klug spojrział na Normana i uniósł ze zdziwienia jedną brew.

- Zgadza się. Późny Freud.

Notabene, prorocze ujęcie. wWeźmy nasze społeczeństwo. Budujemy wspaniałe

autostrady i zabójczo szybkie samochody, żeby zabijać się nawzajem lub popełniać

samobójstwo. Zamiast budować schrony, wznosimy na Manhattanie, czyli w punkcie

zerowym przyszłego konfliktu, otwarte na atak z nieba, gigantyczne, wysokie na

trzysta metrów budowle ze szkła, czyli zachowujemy się jak kobieta, która

rozbiera się przed gwałcicielem i jeszcze go prowokuje. Opasaliśmy Rosję

pierścieniem wyrzutni rakietowych, a potem podnosimy krzyk, że Rosja nam

zagraża. W całej historii nie znajdziecie państwo przykładu równie wyrazistych

masowych przejawów sado-masochistycznego instynktu Tanatosa jak obecne

postępowanie Stanów Zjednoczonych. W porównaniu z nami naziści przypominają

grzesznych skautów.

- Dopust ponownie podniósł brew i łypnął na Papermana. - Na pana miejscu nie

czekałbym ani chwili i zaraz jutro kupiłbym ten hotel w Indiach Zachodnich.

- Ciekawa jestem - odezwała się Henny - jaki jest wobec tego pański stosunek do małżeństwa i kwestii sprowadzania na ten świat kolejnych okrutnych i niecznych Amerykanów?

Marszcząc po łobuzersku czoło Klug odpowiedział:

- No cóż, z nową generacją wiąże się zawsze nowe nadzieje, a poza tym proces życiowy podlega sam w sobie imperatywowi kategorycznemu. Ja na przykład nigdy nie współczułem Russellowi, a sądzę, że i on nie widzi po temu powodów.

- Russellowi?
- Mojemu synowi.
- Pan ma syna? - Henny
zmarszczyła brwi i spiorunowała wzrokiem córkę.
- Oczywiście. - Klug również popatrzył na Hazel, której spojrzenie dziwnie zmatowiało. - Russell ma trzy lata. Mieszka ze swoją matką w Chicago. Rzadko go widuję, ale jestem do niego bardzo przywiązany.

Po tym oświadczeniu zapadła chwila ciszy.

- Jest pan rozwodnikiem - orzekł Norman.
- Nie.
- Zatem żonaty?
- Moja żona czy, podobnie jak ja. Rozwód to procedura skomplikowana i kosztowna. Nie mogę tak po prostu wszystkiego rzucić i jechać na sześć tygodni do Reno. Poza tym istnieje szereg nie rozwiązanych dotąd kwestii... Anne jest nadal w trakcie terapii psychoanalitycznej i oboje mamy nadzieję, że może kiedyś...

Hazel przerwała mu ostrym tonem:

- To jest twoja prywatna sprawa, Shel, i wyłącznie twoja, więc po co o tym mówić?
- Mam jeszcze pieróg z bakaliami - poinformowała gościa Henny głosem pełnym jawnego okrucieństwa - jeśli, oczywiście, zdoła go pan w sobie pomieścić.
Klug uśmiechnął się niepewnie.
- No cóż, może istotnie spróbowałbym oddać sprawiedliwość i temu przysmakowi...

Hazel odwróciła się porywczo w stronę matki.

- Ja nie przełknę już ani kęsa. Shel również nie, więc przestań go zmuszać! Chcemy zobaczyć ten francuski film na Pięćdziesiątej Piątej. Lepiej już chodźmy, jeśli mamy zdążyć, Shel.

Spróbowała wstać, lecz Klug położył jej rękę na ramieniu.

- Twoi rodzice sprawiają wrażenie zaskoczonych, Hazel. Myślałem, że powiedziałaś im o Anne...
- A cóż ich to obchodzi? Co im do tego? Idziemy!
- Chwileczkę, chwileczkę, uspokój się. - Odwrócił się z wyrozumiałą miną w stronę miażdżących go spojrzeniami Papermanów. - Mam nadzieję, że nie są państwo w istotny sposób zaniepokojeni. Nie widzę powodu, żeby usprawiedliwiać się przed wami z mojego sposobu bycia, podobnie jak państwo nie musicie tłumaczyć się przede mną ze swojego, ale mam swój kodeks, rzekłbym: honorowy, i trzymam się jego reguł, aczkolwiek rozumiem, że państwo kierujecie się innymi zasadami. Żyję w zgodzie z własnym autonomicznym wyborem. Ożeniłem się trochę za wcześnie, przyznaję, ale małżeństwo stanowi obecnie część mojego „ja”, którą w pełni akceptuję. Co nie znaczy, w żadnym wypadku, że powinienem się wyrzekać towarzystwa innych kobiet, takich jak Hazel. Moim naczelnym zadaniem jest odkrycie i akceptacja własnego „ja”, powiedzenie samemu sobie „tak!”. Jest to proces, do którego granic jeszcze nie dotarłem.
- Czy więc powie pan „tak” mojemu pierożkowi? - zapytała jadowitym tonem Henny i wstała z krzesła. - Już po niego biegnę, jeśli...
- Jeśli przyniesiesz ten pieróg - ostrzegła piskliwym głosem Hazel - rzucę nim w ciebie! IDZIEMY, Sheldon!!
- Może rzeczywiście powinniśmy
- przyznał Sheldon Klug, obdarzając Papermanów przepaszającym uśmiechem.

W chwilę później huknęły drzwi wyjściowe. W ten właśnie sposób dosyć często Hazel żegnała się z rodzicami.

4

Taksówka, którą jechali do restauracji Sardie'ego, utknęła na 54 Ulicy w korku aut wracającej z teatrów publiczności. Henny wciąż nie mogła uspokoić męża.

- Boże Przenajświętszy! - krzyczał, wymachując rękami - amerykański popęd Tanatosa! Homoseksualizm konia Pershinga! Hossa i glossa Athosa i Porthosa! Boże miłosierny, Henny! Moja córka wpadła w łapy jednego z tych brodatych patafianów! Do tego skurczysyn ma żonę i dziecko, a ona o tym od początku wiedziała! Ta dziewczyna jest psychopatką!

- Ależ skąd! Biedna kretynka jest po prostu zakochana. Przestań się tak miotać, zaraz dojeżdżamy. Zresztą i tak nie możemy nic zrobić w tej sprawie.

- Niby dlaczego? Dlaczego nie mielibyśmy przynajmniej spróbować? Chodziła przecież z paroma całkiem dorzecznymi chłopakami, prawda? Mieli jeszcze mleko pod wąsem, ale...

- Posłuchaj, Norm, jedyne, co mnie trzymało przy tobie przez tych pięć zaszranich lat naszego narzeczeństwa, to był sposób, w jaki toczyła z tobą wojnę moja matka. Na szali leżał cały mój szacunek dla samej siebie i... -

Norman skrzywił się z niesmakiem, więc Henny dodała spieszenie: Nie chcę was obu porównywać, ale... Próbuję ci tylko uświadomić, że...

- Ja byłem szczupły - obruszył się. - Byłem żyłasty, wesoły, robiłem głupie kawały, nigdy nie traktowałem siebie z tak śmiertelną powagą, jak ten nadęty, przemądrzały wieprz. Nie byłem aniołem, ale nigdy nie spałem z cudzą żoną i nigdy nie zdeflorowałem dziewicy, chociaż...

- Wystarczy, kochanie! -

przerwała mu cierpko.

- Przepraszam, nie chciałem cię dotknąć. Naprawdę byłem zadowolony, że miałaś przede mną jakieś doświadczenie i ja...

- Zamknij się!

Celowwała w niego szczęka mopsa, więc Norman pospieszenie zamilkł. Henny wlepiała wzrok w tumany śniegu wirujące za spotniałą szybą, a gdy po paru minutach odwróciła do niego twarz, zobaczył ze zdumieniem, że po jej policzkach spływają łzy. Ten widok natychmiast go otrzeźwił.

- To my powołaliśmy ją do życia, prawda? To nasza córka! Jeśli się pieprzy z jakimś nadętym palantem, kogo o to winić! Módlmy się tylko, żeby jak najprędzej wyzwoliła się spod jego wpływu.

- Słuchaj, a może Hazel

przeniosłaby się z nami na Karaiby? Na tym uniwerku i tak się niczego wielkiego nie nauczy, a co do lekcji baletu, przecież i tak nigdy nie traktowała ich serio...

- Wybij to sobie z głowy, Norm! Ona z nami nie pojedzie. Nie pojedzie, bo chce wyjść za tego skurwiela, dlatego przyprowadziła go na kolację. Bubek nie ma jak dotąd poważnego konkurenta. Jest w jej gronie najstarszy i najbardziej wyszczekany. - Trzepnęła pięścią w siedzenie taksówki. - Pozostawienie jej wolnej drogi to nasza jedyna szansa. Picwas jest całkiem zamożny. Myślę, że Hazel szybko się nim znudzi. Modlę się tylko, żeby nie zdażył jej za bardzo skrzywdzić!

Taksówka stanęła. Henny zażyłym gestem pogłaskała męża po plecach.

- No, jesteście na miejscu.

Słuchaj, skarbie, chcę się dziś wieczorem troszeczkę rozerwać, zrozumiano? Więc ani słowa więcej na temat Sheldona Kluga! Przynajmniej nie dzisiaj. Od tej chwili tylko wino, kobiety i śpiew.

- Umowa stoi - mruknął Norman, podając taksówkarzowi banknot jednodolarowy. - Wino, kobiety i śpiew.

W rozbrzmiewającej gwarem rozmów restauracji kłębił się popremierowy tłum, migotały klejnoty, czarne krawaty podkreślały biel gorsów, jaśniały ożywieniem inteligentne twarze. Szef kelnerów przywitał Papermanów pełnym uszanowania ukłonem i powiódł ich do jednego z najlepszych stolików pośrodku sali. Norman spodziewał się takiego przyjęcia. Bywał tu częstym gościem. Nie gdzie indziej, tylko w tym lokalu zabawiał klientów i recenzentów, tu wymieniał plotki i przerzucał się żarcikami z przyjaciółmi z Broadwayu. Jego rachunek w tej restauracji co miesiąc osiągał wysokość kilkuset dolarów. Cel tych wszystkich zabiegów był dość prosty - chodziło o to, by nazwiska jego klientów trafiły na łamy poczytnych gazet.

- Ciekawa jestem, czy premiera Oliviera okazała się sukcesem? - szepnęła Henny idąc obok męża za szefem kelnerów.

Rozsiani po sali przyjaciele Normana dawali mu od stolików ukradkowe kabalistyczne znaki: tu lekkie uniesienie ramion, tam drobny manewr gałkami oczu, ówdzie kolebkowe ruchy spoczywającej na blacie dłoni.

- Boję się, że nie - odparł. - Ale wiesz, co ci powiem? Guzik mnie to obchodzi!

Wszystko mi jedno, Henny, czy to przedstawienie okaże się przebojem sezonu, czy zrobi żalostną klapę. Naprawdę kompletnie mi to wisi. Obchodzi mnie to tyle, co wczorajsza premiera w jakiejś Kopenhadze.

- Więc coś z tobą niedobrze - orzekła.

Zamówiwszy drinki, Norman rozpostarł jutrzejsze wydanie „New York Daily News”, które kupił u ulicznego sprzedawcy, otworzył gazetę na rubryce teatralnej i z posępnym zadowoleniem znalazł w tekście nazwiska aż czterech swoich klientów. Zawsze pilnie przykładał się do pracy, nawet gdy nią pogardzał. Zajrzał na pierwszą kolumnę. Tytuł na całą stronę informował o śmiertelnym pobiciu jakiejś brunetki w jej własnym mieszkaniu. Z reportażu na stronie trzeciej Norman dowiedział się, że „brunetka” miała już pięćdziesiąt cztery lata; jeszcze jedna starsza się kobieta, zabita przez partackich włamywaczy. Nagle aż podskoczył.

- Spójrz, Henny!

Pokazał jej reportaż.

- Mój Boże! - zawołała z

przeżeniem. - Tak, pamiętam! Dziś po południu po drugiej stronie ulicy zebrał się spory tłum; karetka, gliny i w ogóle.

Myślałam, że zdarzył się

wypadek, a to tymczasem

morderstwo! Boże drogi!

- Pomyśl, Henny, po drugiej stronie ulicy! Niecałe sto metrów od nas!

- Nie musisz mi tego mówić.

Zastanawiam się, która dzielnica Nowego Jorku pozostała jeszcze bezpieczna.

- Cmentarze - mruknął Norman.

- Dla stałych lokatorów.

U wejścia na salę powstało zamieszanie, przybył bowiem sir Laurence Olivier w liczonym towarzystwie. Czasami po premierze zebrani w restauracji goście nagradzali gwiazdę wieczoru oklaskami, ale tego dnia, może dlatego, że Olivier zbyt wszystkich peszył, brawa nie wybuchły. Towarzystwo sławnego aktora ruszyło gęsiego do zarezerwowanego w głębi lokalu dużego stołu.

- Boże złoty, Henny! - zawołał nagle ochrypłym głosem Norman. - Czy mnie wzrok nie myli?

Henny wytrzeszczyła oczy, tak intensywnie, że jej twarz pokryła się siecią zmarszczek.

- Chryste, chyba nie!

- Ale jakim cudem?... Jak to możliwe? Co się dzieje w tym mieście? Ku czemu zmierza ten świat?

Wydarzeniem, które tak zbulwersowało Papermanów, było pojawienie się opasłej gorylowatej postaci, w białej w smoking i wytworną koszulę z żabotem, nad którym lśniła stożkowata łysina. Grubas zajął miejsce u boku sir Laurence'a Oliviera, objął go ramieniem, szepnął mu coś do ucha i zaniósł się huczonym rechotem, który słychać było w całej restauracji.

- Cha, cha, cha!!

Nie mogło być żadnej wątpliwości: w ścisłym gronie osób towarzyszących sir Olivierowi znalazł się Lester Atlas!

- Jasna cholera! - bełkotał Norman. - Naprawdę szlag mnie trafi! Pora się wynosić z tego świata.

- Kto był producentem tej sztuki z Olivierem? - zapytała Henny, z której twarzy nie znikły jeszcze zmarszczki. - Czy aby nie Dan Freed? To przecież Freed z nimi siedzi.

- Zgadza się, Freed.

- Więc wszystko jasne!

Przecież ty sam przedstawiłeś mu Lestera, jeszcze w marcu, nie pamiętasz? Tego wieczoru po premierze w „Boyer”? Lester wypytywał go wtedy przez godzinę o zasady finansowania sztuk. Na pewno włożył pieniądze w ten spektakl. Oto i masz wyjaśnienie!

- Ale żeby nawet się o tym nie zająknął! Jak zdołał się oprzeć takiej pokusie? Pomyśleć:

Olivier! Przecież Lester uwielbia się przechwalać jak pięcioletni smarkacz.

- Oto kolejny dowód, jak słabo go znasz - powiedziała Henny. - Przechwala się, kiedy ma ochotę, ale potrafi też milczeć jak grób. Gdyby przedstawienie zrobiło klapę, nie wspomniałby o swoim w nim udziale. Lester Atlas nie lubi przegrywać.

Paperman przyglądał się z posępną miną zaśmiewającym się wesoło Atlasowi i Olivierowi. Spędził życie w służbie talentu i sławy. Mało co liczyło się dla niego bardziej od blasku gwiazd sceny. Cała jego praca, przez całe życie, polegała na krzesaniu drobnych iskier tego blasku dla swoich klientów. I oto na jego oczach sir Laurence Olivier, najjaśniejsza gwiazda na firmamencie teatru współczesnego, obejmował się z Lesterem Atlasem, największym bucem spośród wszystkich buców! Co za upadek wszelkich wartości!

Znakomitość sięgnęła bruku.

Paperman znał powód tej degrengolady. Oto dolar święcił swój plugawy triumf. Wobec rosnących dramatycznie kosztów i

malejącej liczby widzów,

ŃBroadway musiał - chcąc

przetrzeć - paść na kolana przed różnymi Lesterami Atlasami. Lester Atlas zaś był gotów sypnąć forsa, czemu nie. Ceną był ów publiczny uścisk, to ordynarne rżenie do ucha wielkiego gwiazdora i najlepszy stolik u Sardiego.

Wyraźnie, jak się pamięta sen tuż po przebudzeniu, Paperman ujrzał w wyobraźni klub na Rafie Mew: ścieżkę księżycowej poświaty na czarnej tafli cieśniny, białych i kolorowych tancerzy na tarasie, szkarłatne kwiaty hibiskusa w blasku naftowych płomyków, paciorki świateł wzdłuż Uliczki Królowej i na tonących w ciemności wzgórzach, a w nozdrzach poczuł zapach czerwonego jaśminu, przywiany przez rześką oceaniczną bryzę...

Po dwudziestu latach małżeńskiego pożycia, plus pięciu na kocią łapę, Henny nauczyła się bezbłędnie czytać w twarzy męża.

- Powiedz mi, Norm - zapytała
- czy ty naprawdę serio myślisz o tym hotelu?

Porywczo i jakby ze skruchą, obrócił się w jej stronę i rzekł:

- Wydaje mi się, że tu, w Nowym Jorku, czekam już tylko na śmierć. Myślę, że jest lepszy sposób spędzenia tej reszty życia, jaka mi jeszcze została.

Henny bawiła się bransoletką.

- Czy to naprawdę taki raj na ziemi?

- No cóż, krajowcy mieszkają w walących się ruderach, przeważnie bywa tam za gorąco, ale to naprawdę miły zakątek. Widzisz, kochanie, znam co najmniej sześćdziesiąt spośród tu obecnych osób i każda z nich, ale to każda, wynosi się zimą na południe. Dan Freed przyjechałby na pewno na Rafę Mew, zresztą połowa tego towarzystwa uczyniłaby to samo. Ale nie o to już nawet chodzi, że ten hotel przynosi spore zyski, a nam przynosiłby zapewne jeszcze większe, lecz o to, że - moim zdaniem - byłaby to dla nas obojga szansa na...

- Cha, cha, cha! - huknął nagle nad ich głowami śmiech tak gromki i niespodziewany, że oboje aż podskoczyli. - Norman Hilton, jak się domyślam? Cha, cha, cha! Jakże się miewa nasz król pasatów?

Papermanowie tak byli
pochłonięci rozmową, że nie
zauważyli, kiedy Lester się do
nich podkradł. Pochylał się
teraz nad obojgiem w swym
wieczorowym stroju, binoklach
pince-nez na opalonym nosie, z
łuszczącą się w dziwne desenie
skórą na łysej czaszce. W jednej
ręce trzymał, jak zwykle, grube
cygaro, w drugiej wysoki
kieliszek z jakimś brunatnym
płynem. Jego koszula z żabotem
miała odcień jasnoblękitny. W
koszule takiego koloru ubierają
się ludzie, kiedy mają wystąpić
w telewizji. Papermanowi
wydawało się dotąd, że jeśli
Lester Atlas ukaże się
kiedykolwiek na szklanym
ekranie, to tylko w krótkim wywiadzie pod bramą więzienia Sing Sing.
Przywdzianie błękitnej koszuli było zresztą w stylu Atlasa.

- Cześć, Lester.

- No i jak znajdujesz naszego obieżyświata, Henny? Dwa dni w tropikach, a już ubyło mu dobrych dziesięć latek.

Przeminęło z pasatem, cha, cha, cha! Słuchaj, mówiłem właśnie Larry'emu o tym hotelu. No wiesz, sir Laurence'owi Olivierowi. Wprost umiera z pragnienia, żeby cię poznać. Powiada, że z tego, co słyszał, należy cię uznać za najsprytniejszego faceta w całym Nowym Jorku.

Henny poczuła zaciskające się ostrzegawczo na jej kolanie palce męża i powiedziała:

- Dzięki, Les, ale na nas pora.

Atlas jednak już wywlekał Normana z krzesła, krzycząc jednocześnie do kelnera, żeby rachunek przyniósł do stolika pana Oliviera. Paperman na myśl o tym, że zostanie przedstawiony takiej sławie przez Lestera Atlasa, poczuł jak cierpnie mu skóra, by jednak tej prezentacji zapobiec, musiałby stoczyć z grubasem walkę wręcz, z góry zresztą przegrana, pozwolił się więc prowadzić.

Gwiazdor okazał się bardzo uprzejmy. Sprawiał wrażenie szczerze zaciekawionego Rafa Mew i z lekka rozbawionego postacią Atlasa. Oprócz Dana Freeda i jego żony przy stoliku siedziało trzech znanych felietonistów.

Papermanowie znaleźli się więc w gronie starych znajomych, którzy szybko zrobili im miejsce wśród siebie. Pani Freed zachwycała się głośno bransoletką Henny, a felietoniści natychmiast zasypali Normana pytaniami o klub „Rafa Mew”. Paperman z wolna nabierał animuszu. Był wytrawnym uwodzicielem dziennikarzy, a do tego miał tym razem temat naprawdę świeży i oryginalny. Rozgrzał się szybko i zaczął barwnie opowiadać o Kinji, świadom, że przy okazji dostarcza zebranym pożądanej rozrywki w przygnębiającym oczekiwaniu na pierwsze recenzje po premierze. Opowiadał ze szczegółami o pelikanach, nurkujących z pluskiem w Zatoce Pitta, o „bandzie ze wzgórze”, o Turku homoseksualiście, o swobodnym mieszaniu się czarnych i białych na tanecznym parkiecie, o podwodnych światłach na przybrzeżnych skałach, o dyplomatach z Czadu, o barmanie z ośmioma palcami i złotym kolczykiem w uchu. Snuł opowieść z zacięciem urodzonego gawędziarza. Nawet Henny słuchała męża z żywą

przyjemnością, choć znała jego wszystkie narratorskie sztuczki, a nawet czasem je naśladowała: ciepły ochrypli śmiezek, unoszenie brwi, kpiarsko przymrużone oczy, plastyczna gestykulacja, od czasu do czasu przyprawa w postaci wtrąconego słówka w jidysz.

Najwdzięczniejsza słuchaczka Normana śmiała się i teraz na całe gardło, a jej twarz jaśniała radością.

Jakaś część gawędziarskiego uroku Paperman zawdzięczał dbałości o to, by nigdy nie znużyć słuchaczy. Wiedział, że wkrótce nadejdą recenzje, więc choć zainteresowanie siedzących przy stole jeszcze nie osłabło i wciąż wzbijał się pod sufit ich gromki śmiech, wstał, ujął dłoń Henny i oświadczył, że muszą już wracać do domu. Olivier wzbudził powszechną wesołość oświadczeniem, że zamierza od ręki zarezerwować domek zwany „Pożądaniem”. Jeden z felietonistów zapytał: - Powiedz, Norman, w jakim właściwie stadium znajduje się całe przedsięwzięcie? Czy ty i pan Atlas kupiliście już ten hotel? Czy w ogóle macie zamiar to zrobić?

Norman nie był jeszcze gotów do złożenia ostatecznej deklaracji, również Henny, sądząc po wyrazie zakłopotania,

jaki się pojawił na jej rozbawionej twarzy, nie potrafiłaby jednoznacznie odpowiedzieć na to ostatnie pytanie.

- No cóż, wybieramy się tam w każdym razie, prawdopodobnie już w przyszłym tygodniu.
- Żeby jeszcze raz obejrzeć sobie ten hotel, czy żeby go kupić?
- Żeby kupić - ubiegł Normana Atlas - kupić, oczywiście. Wszystko jest już zapięte na ostatni guzik.

Paperman zaczerpnął głęboko tchu, uściśnął ukradkiem dłoń żony i przytaknął:
- Kupić, oczywiście.

Rozdział czwarty

Transakcja

1

Henny zakochała się w Amerigo, ledwo za okienkiem roztrzęsionego samolociku lokalnych linii karaibskich ukazały się zielone wzgórza wyspy, zalane porannym słońcem. Norman obawiał się z kolei, że przy drugim spotkaniu z bajkową wyspą dozna rozczarowania, że wyda mu się ona tandetną i gorącą, zabita deskami dziurą, a jego pierwsze nią urzeczenie okaże się snem jednej nocy, utkanym z tęczy, promieni księżyca, wina, czerwonego jaśminu i błyszczących spojrzeń Iris Tramm; jego obawy okazały się na szczęście płonne.

Jechali land roverem pani Ball wzdłuż brzegu, wąską, popękana boczną szosą, z której rozciągały się wspaniałe widoki na wzgórza, morze i dzikie doliny z wyszarzałymi ruinami starych domów na byłych plantacjach. Te ruiny do reszty podbiły Henny, która wręcz uwielbiała wszelkie zwaliska. W Europie potrafiła godzinami, choćby w strugach ulewnego deszczu, błąkać się wśród niszczejących pod gołym niebem murów. Na widok tak miły jej sercu spytała nawet z nadzieją w głosie, czy i klub „Rafa Mew” obraca się już w ruinę, i okazała niejakie rozczarowanie, kiedy pani Ball uspokoiła ją, że budynki liczą sobie dopiero dwadzieścia dziewięć lat.

- Nie martw się, Henny - pocieszył żonę Norman - dynamit nie jest aż tak szalenie drogi. Wysadzimy tę chałupę w powietrze, żebyś miała co odbudowywać.

Pani Ball prychnęła śmiechem przez zęby i orzekła, że to świetny pomysł; następnie spoważniała i dodała, że ma dla Normana raczej niepomysłne nowiny. Zgłosił się mianowicie następny reflektant na zakup „Rafy Mew”; właściwie aż trzech współników z Chicago. Odwiedzili wyspę w ubiegłym tygodniu i zdecydowali z miejsca, że kupują. Pani Ball nie zawiadomiła Papermana, ponieważ umowa nie została ostatecznie przypieczętowana.

- Phawdę mówiąc, nie pothafię panu powiedzieć, dlaczego do tego nie doszło - wyznała głosem trzęsącym się w rytm podskoków auta na wybojach. - Jestem zupełna ignohantką w sphawach finansowych, a zdaje mi się, że na przeszkodzie stanęły właśnie tego typu kwestie. O ile mi wiadomo, klub jest nadal do nabycia. Szczerze mówiąc mam nadzieję, że to pan go kupi, ponieważ tamci panowie wydali mi się cokolwiek gbuhowaci, ale będzie oczywiście lepiej, jeśli pohożmawia pan o tym dzisiaj z moim adwokatem.

Norman rzucił Henny przerażone spojrzenie. Jeśli całą transakcję diabli wzięliby teraz, kiedy wiadomość o niej ukazała się w kilku pismach w Nowym Jorku i Hollywood, wyszedłby na idiotę!

- A może od razu podrzuciłaby mnie pani do biura swojego adwokata? - zaproponował. - Henny mogłaby sama pojechać z panią na wyspę.

- Nic phostszego. - Pani Ball wjechała do Georgetown i zaparkowała na ulicy Księcia Walii przed pasażem handlowym.

- Jego biuho mieści się na pierwszym piętrze - powiedziała.

- Pozwolicie państwo, że wskoczę na chwilkę na góhę i sphawdzę, czy jest wolny.

Ulica Księcia Walii biegła równolegle do nabrzeża, mimo to najsłabszy nawet powiew wiatru nie docierał do stojących wzdłuż niej jednopiętrowych kamieniczek. Z nieba lał się żar. Paperman poczuł, że zaczyna spływać potem pod garniturem z czesankowej wełny i tylko czekał, kiedy Henny zacznie narzekać. Tymczasem ona przyglądała się z cielecym zachwytem tynkowanym na różowo fasadom, cichej uliczce, po której prawie nie jeździły samochody, i kolorowym przechodniom.

- Boże, jaki tu spokój! - wykrzyknęła. - Albo będę najszczęśliwszą kobietą na świecie, albo zupełnie zwariuję. O, „Mały Konstantynopol”! - ucieszyła się i wyskoczyła z auta. - Muszę zobaczyć ten sklepik i podziękować panu Turkowi za piękną bransoletkę!

Kupiec, którego imię brzmiało Hassim, przywitał wchodzących Papermanów pożądliwymi spojrzeniami i przypadł do nich w lansadach i uśmiechach. Był to mały, pulchny, łysy człowieczek w pasiastej sportowej koszuli i pomarańczowych szarawarach, z cienkim wąsikiem, błyszczącą cerą koloru khaki i rozkołysanym po kobiecemu zadem. Osobliwym, ćwierkającym barytonem wygłosił pochwałę dobrego smaku Papermana i jego nieustępliwości w targach o cenę, dyskretnie nie wspominając ani słowem o Iris Tramm; przewracał tylko skromnie przed Normanem brązowymi wilgotnymi oczami i lubieżnie oblizywał wargi. Kiedy na chwilę wybiegł w podrygach na zaplecze sklepu, Henny szepnęła z przestraczem do męża:

- Słuchaj, boję się, że on ma wobec ciebie poważne zamiary!

**Wróciwszy, Hassim wcisnął jej
do ręki figurkę biało-szarego**

kotka z porcelany. Henny

wzbraniała się przyjąć prezent -

ładny okaz duńskiego wzornictwa

- ale kupiec był nieustępliwy.

- Kieruje mną czysty egoizm - wyjaśnił z czarującym uśmiechem.

- Zależy mi na tym, żeby

osiedlali się na naszej wyspie klienci tacy jak pani i pan Norman. We właściwym czasie wycygnię od pani dziesięciokrotną wartość tego drobiażdżeczku.

Po wyjściu ze sklepu, Henny powiedziała:

- Trzeba przyznać, że jest milutki. Zresztą jak wielu z nich.

Za jej plecami Hassim robił do Papermana obleśne miny, wiercił kuprem i puszczał perskie oko.

Pani Ball siedziała już za kierownicą land rovera.

- Adwokat Collins oczekuje pana! - oznajmiła. - Pójdzie pan tym zaułkiem, a dalej phosto po schodach. Fihma „Collins i Tuhnbull”.

Paperman przeciął zalany słońcem, tonący w kwiatkach dziedziniec i wszedł na stare schody ze spękanego, pomalowanego na czerwono betonu. W gorącym niczym piekarnik przedpokoju, którego ściany zastawione były po sufit prawniczymi księгами, czekał jakiś mężczyzna i wyciągał do niego mięsistą dłoń.

- Collins. Witam szanownego pana.

Adwokat miał okrągłą, roześmianą twarz, odznaczającą się dziecięco drobnym nosem i niebywale okazałym podbródkiem. Był ubrany w białą koszulę z krótkimi rękawami, krawat i ciemne spodnie.

- Proszę do środka.

Przepraszam za brak klimatyzacji. Nie pamiętam równie upalnego listopada. W moim gabinecie jest nieco chłodniej, orzeźwia nas morska bryza.

Norman nie poczuł powiewu żadnej morskiej bryzy w małym, bielonym wapnem, kamiennym pomieszczeniu; powietrze bełtał jedynie brzęczący wentylator.

Założywszy nogi na biurko, a ręce za głowę, adwokat poinformował gościa, że pochodzi z Filadelfii, grał na pozycji lewego obrońcy w drużynie futbolowej Penn State, w czasie meczu doznał kontuzji pleców, z której rozwinęło się zapalenie stawów, co zmusiło go do przeniesienia się do ciepłych krajów, to zaś z kolei okazało się najszcześniejszym wydarzeniem w jego życiu. Mieszka na Amerigo już od dwunastu lat i z każdym rokiem jest w tej wyspie bardziej zakochany.

- A wracając do klubu „Rafa

Mew”. Proszę, oto nowe okoliczności w tej sprawie.

Podał Papermanowi

czterostronicowy list od

adwokata trzech wspólników z Chicago. Norman przejrzał pismo i choć nie zrozumiał większości użytych sformułowań, stało się dlań jasne, że negocjacje są poważne i zaawansowane. Jediną kwestią do uzgodnienia pozostała pożyczka bankowa.

- Założmy, czysto

hipotetycznie, że wręczyłbym panu w tej chwili czek na określoną sumkę? -

Paperman oddał adwokatowi list, maskując rozczarowanie (skutecznie, jak mu się wydawało) nonszalanckim tonem.

Collins ssąc wygasłą fajkę zmrużył oczy i przez chwilę w milczeniu przypatrywał się Normanowi.

- Szanowny panie - rzekł w końcu - ci panowie z Chicago bardzo dużo mówili, przysyłałi listy i telegramy, ale jak dotąd nie oglądaliśmy ich gotówki. Moja klientka nie może zaś zrezygnować z transakcji pewnej na rzecz hipotetycznej.

- Na jaką sumę powinien

opiewać ów czek?

- Zwyczajowy zadatek wynosi około dziesięciu procent wartości transakcji, jeśli więc wręczy mi pan czek na pięć tysięcy dolarów, zanim uczynią to tamci panowie, klub „Rafa Mew” należy do pana.

- Czy mógłbym zatelefonować erką do Nowego Jorku?

Paperman wskazał stojący na biurku staroświecki, masywny telefon.

- Ależ proszę!

Okazało się, że na Amerigo zamówienie rozmowy międzynarodowej nie należy do łatwych zadań. Lokalna telefonistka nie zgłaszała się przez dobrych kilka minut, a międzynarodowa nie zgłosiła się wcale. Collins wysłał na jej poszukiwanie swoją sekretarkę, ładną Murzyneczkę w żółtej bawełnianej sukience. Dziewczyna odnalazła telefonistkę w pobliskiej lodziarni i po jakimś czasie w słuchawce odezwał się opryskliwy, zadyszany głos pracownicy telekomunikacji. Przyjęła zgłoszenie i po chwili oddzwoniła, komunikując, że w nowojorskim biurze „pana

Ot-losa" powiedziano jej, że „pan Ot-los” wyjechał do Butte w stanie Montana i ma się zjawić w hotelu „Capitol” około piątej po południu, czasu Amerigo.
- A więc nie ma pośpiechu - stwierdził beztrząs Collins - nie sądzę bowiem, by ci panowie z Chicago zgłosili się wcześniej z zadatkiem. Czemu nie miałyby pan pojechać do klubu, popływać sobie i odpocząć?

Norman zamówił rozmowę z
Montaną, informując

telefonistkę, że będzie czekał na połączenie w klubie „Rafa Mew”. Collins odprowadził gościa do przedpokoju i pożegnał na szczycie zalanych słońcem schodów, w drzwiach oplecionych pnączami żółtych kwiatów.

- Widzi pan, ta wyspa nie jest dla każdego. O tych panach z Chicago nic nie wiemy, tymczasem pan wygląda mi na prawdziwego Kinjanina.

- Tak? A to z jakiego powodu?

- To sprawa wartości

człowieka. - Adwokat wpatrywał się w Papermana zmrużonymi oczami zza kłębow błękitnego dymu z fajki, którą zaciskał w potężnych szczękach. - Nawet gdyby ci faceci z Chicago zjawili się tu dzisiejszego wieczoru, mamy przecież na zbyciu i inne posiadłości. Na rynku pojawiło się na przykład niedawno „Marzenie Hogana”. Coś panu powiem. A może byście tak państwo, pan i pańska narzeczona, spotkali się ze mną na drinku w „Marzeniu Hogana”? Powiedzmy o szóstej wieczorem? Zachody słońca w tym hotelu bywają bajeczne!

2

Henny machała do Normana wysokim kieliszkiem z jakimś czerwonym płynem, prawdopodobnie nie pierwszym, jaki wypijała, sądząc po jej rozanielonym uśmiechu. Siedziała przy stoliku w barze z panią Ball i jakimś szczupłym, opalonym na brązowo, nie ogolonym mężczyzną.

**Na stole leżały w nieładzie
szkice architektoniczne. Na
wysepce Rafa Mew i w barze
wszystko było takie jak dotąd -
ten sam błogi spokój, te same
przykurzone korale, ta sama
oślepiająca biała plaża, to samo
lazurowe morze i czerwony jaśmin**

- a nawet jeszcze bardziej urocze, ponieważ całości obrazu nie mąciła obecność Lestera Atlasa.

- Cześć, skarbie! - zawołała Henny. - Raczmy się właśnie drugim śniadankiem. To podobno stary zwyczaj w tym rejonie. Chyba polubię tropiki.

Przedstawiam ci pana Texa Akersa, przedsiębiorcę budowlanego. Tex, to jest mój mąż, Norman.

Nie ogolony mężczyzna zaczął się podnosić, rozkładać się niezbornie, aż osiągnął wysokość bez mała dwóch metrów. Miał rozczochrane siwiejące włosy, ujmujący uśmiech i wystająca, przepaścista jak u dziadka do orzechów szczękę. Wyciągnął do Normana długie, opalone na czekoladowo ramię, umazane żółtą farbą; żółta cętka plamiła również jego policzek. Strój Akersa sprawiał, że wyglądał on na jeszcze wyższego, niż był w istocie; miał na sobie koszulę khaki, upačkane farbą, urywające się wysoko nad kolanami takiegoż koloru szorty, z których wystawały gołe, na brąz opalone nogi, kuse białe skarpetki i ubłocone robocze buciska.

- Witam, panie Paperman.
Pańska kobitka naprawdę rozumie się na budownictwie, muszę przyznać.
Henny zaśmiała się hałaśliwie.
- Ale tylko po amatorsku!

Wrócili do przerwanej rozmowy i Norman zauważył wkrótce, że Henny się popisuje. Pani Paperman pomagała wszystkim swoim przyjaciółkom dekorować i przebudowywać ich mieszkania. W czasie kilku chudych lat (rzadko wracali obecnie pamięcią do tego przykrego okresu ich życia, kiedy Normanowi się nie wiodło na płaszczyźnie zawodowej) utrzymywała nawet rodzinę, pracując jako dekorator wnętrz, gdy on tymczasem wałęsał się po mieszkaniu, pogrążony w czarnych myślach, próbował pisać opowiadania dla „New Yorkera” bądź wychodził z domu i podrywał jakąś panienkę w Village, żeby się dowartościować.
- Niech się pan napije z nami piwa, Nohman.

Pani Ball pomachała do barmana, który przy barze pochylał się nad rachunkami u boku niskiego pulchniutkiego Murzyna, księgowego klubu „Rafa Mew”. Obdarty Wiking uśmiechnął się przyjaźnie do Papermana i migiem przyniósł mu piwo.
- Wytam ż powrotem, prozę pana.

Okazało się, że pani Ball powiedziała Texowi Akersowi o planie Lestera dobudowania w hotelu dodatkowych pokoi i budowlaniec zdażył już przygotować szkice. Henny była urzeczona klubem, Akersem, szkicami, całą wyspą i głośno dawała wyraz swemu zachwytowi. Norman nie miał pewności, czy te podlane rumem pochwały przetrwają solidniejszy lunch, tymczasem jednak jego małżonka sypała jak z rękawa pomysłami dotyczącymi rozwiązań kolorystycznych, rodzajów materiałów i dekoratorskich sztuczek, które pozwolą zaoszczędzić powierzchnię, i dosłownie pławiła się w podziw, jaki jej okazywali pani Ball i przedsiębiorca budowlany.

- ~a phopos, dogadał się pan z Collinsem? - zainteresowała się pani Ball.
- Owszem. Zamówiłem już nawet rozmowę z Atlasem.
- Dophawdy? To świetnie.
Przyzwoity chłop z tego
Chunky'ego. Najlepszy phawnik na wyspie. Nie phóbował panu wcisnąć „Marzenia Hogana”?
- Zaprosił nas tam nawet
wieczorem na drinka.

Pani Ball parsknęła śmiechem.
- Biedny Chunky! Nabył ten pensjonat zahaz po swoim tu przyjeździe i od tego czasu nie może się go pozbyć. Ale oczywiście jedźcie tam państwo na dhinka, zachody słońca bywają tam rzeczywiście fantastyczne. Tylko nie wkładajcie dhewnianych thepów ani niczego podobnego, bo tehmity je wam zjedzą.

Paperman zwrócił się do Texa Akersa:

- Ile w przybliżeniu
kosztowałyby mnie ta przebudowa hotelu?
- Trudno powiedzieć. Pańska kobitka szybko się rozprawia z dolarami.
- Ale tak z grubsza? Pięc, dziesięć tysięcy?
- No więc, panie Paperman, z grubsza szacuję tę robotę na pięć, ale myślę, że pańska kobitka z łatwością obniży tę sumę do trzech i pół.

Henny aż pokraśniała z dumy.

- Skoho ma pan ochotę omawiać te nudne przyziemne szczegóły, Nohman, czemu nie dołączy pan do Thoha i Nevilla? - zaproponowała pani Ball - hobią właśnie hachunki za ubiegły miesiąc. Miałyby pan okazję przyjrzeć się naszej księgowości.
- Dobry pomysł.

Barman i księgowy ochoczo przyjęli Normana do swojego grona. Słuchając z jednej strony wymowy rodem ze Skandynawii, a z drugiej Calypso, Paperman nie był co

prawda w stanie śledzić arytmetycznych wyliczeń, odkrył jednak wkrótce, że prawdziwym zarządcą klubu jest Thor. Cała gotówka przechodziła przez bar, w którym Thor miał mały kantorek obok kasy. Opuszczający hotel goście tu uiszczali rachunki; przybysze z zewnątrz, którzy pragnęli stołować się w klubie, kupowali kupony na obiady u barmana. System był nieskomplikowany i najwyraźniej łatwy do kontroli. Thor znał dokładnie cotygodniowe wpłaty od gości hotelowych, wpływy z baru i od stołowników. On prowadził księgi rachunkowe, on kupował alkohole i nadzorował wydatki kucharza na żywność. Obowiązki pani Ball, jak stwierdził Norman, ograniczały się do odpisywania na listy i telegramy z prośbą o rezerwację, prowadzenia księgi meldunkowej, roztaczania wdzięku i zaskarbiania sympatii gości. Norman był przekonany, że i on potrafi tę rolę wypełniać z powodzeniem, choć w nieco innym stylu.

- Niech mi pan powie, Thor - zagadnął Szweda - jak długo pan tutaj pracuje?

- Pudora rogu, czosz dak.

- Przypuśćmy, że klub

zmieniłby właściciela, czy byłby pan skłonny pozostać na posadzie?

Barman odpowiedział mu z

uśmiechem obłąkańca:

- Jeżly wogle zoszdane na Kyni, dzemu ne?

- A czy pan zostanie?

- Ne wym. Przyplynoem du łodzą i tylgo łodzą odpłynę.

- Przecież żaglowce stale stąd odchodzą?

- Ne pływam na żaglowczu, którego ne eszdem kapydanem.

Waszne dladego przeplynoem

oczean szamotny. Nykt że mnom ne

konkurowau do dego sztanowyszka

- odrzekł Thor i zarechotał ponuro.

- Czy wykonywałby pan tę samą pracę również dla mnie? Chodzi mi o buchalterię i temu podobne?

Barman zawahał się, a jego intensywnie błękitne oczy nabrały przebiegłego wyrazu.

- Amy marne płaczy. Przyszedem tu goy jak szwenty tureczky, bo rozbyem żaglówke, wienc zgodzyem sze na źle warunki.

- Moglibyśmy porozmawiać o podniesieniu pańskiego uposażenia.

- Bardzo chędny o dym

porozmawam - odrzekł Thor i wybuchnął śmiechem, a księgowy mu zawtórował.

Norman wrócił do stolika. Henny trzymała w jednej dłoni pustą już niemal szklankę, a drugą wskazywała jakiś fragment szkicu.

- A czemu by nie zburzyć całej tej ściany, panie Tex? - mówiła.

- Nie mógłby pan zrobić w tym miejscu otworu drzwiowego?

- Faktycznie, to mogłoby nawet nieźle wypaść, pani Paperman. - Akers zrobił ołówkiem poprawkę na szkicu.

- Co byś powiedziała na kąpiel w morzu, Henny? - zapytał Norman.

Wciąż miał na sobie swój nowojorski ciemny garnitur, więc ociekał potem i czuł się fatalnie.

Amy Ball zerwała się ochoczo.

- To mi się podoba! Intehesy przed lunchem przyphawiają mnie zawsze o mighenę. A co byście państwo powiedzieli na dhinki i hambuhgehy po pływanku?

Bezpośhednio na plaży?

Akers prychnął śmiechem.

- To dobre dla wałkoni.

Człowiek pracy musi zaraz wsiadać w samochód i jechać nad Zatokę Krabów.

Zwinął szkice i wręczył je Normanowi, oświadczył przy tym, że nie weźmie za te plany ani grosza. Z radością poszedłby na rękę Amy Ball, oznajmił, ale niestety nie może się podjąć tej budowy. Jest zbyt zajęty zagospodarowywaniem terenu nad Zatoką Krabów, gdzie wykańcza właśnie dwadzieścia pięć dużych domów. Przebudowa dawnej sali gier to drobna robótka, z którą poradzi sobie z łatwością każdy z

kilkunastu działających na wyspie wykonawców. Życzył Papermanom powodzenia i oddalił się niespiesznie, pokonując przestrzeń długimi krokami żyrafy.

- Jeśli się państwo za to weźmiecie, trzymajcie się Texa - doradziła Papermanom pani Ball.

- Podejmie się tej phacy, jestem pewna. To uhczy człowiek i najlepszy na wyspie budowniczy. Wybierzcie się nad Zatokę Khabów i obejrzyjcie domy, jakie tam zbudował. Istne чудо! Państwa bagaże złożyłam w Białym Domku. A więc za kilka minut na plaży.

Kiedy szli przez trawnik, Henny powiedziała do męża:

- Wiesz, Norm, zaczynam cię rozumieć. Ta przejażdżka gondolą! Ta boska plaża! Ten aromat w powietrzu! Ten egzotyczny barman! No i te poncze rumowe! Życ nie umierać!

- Naprawdę ci się tu podoba, Henny?

- A czy mogłoby mi się nie podobać? Boże Przenajświętszy! Drugie śniadanka! Muszę to sobie zakonotować w pamięci. Powiedz, skąd się biorą ci wszyscy przystojni mężczyźni? Choćby taki Tex! Palce lizać! Czy cała wasza płeć na tej wyspie tak wygląda? Głosuję za Karaibami, kochanie!

Paperman zapytał z odcieniem urazy w głosie:

- Nazywasz tę tykę chmielową przystojnym mężczyzną?

Zerknęła na niego z ukosa.

- No wiesz, kochanie, myślałam, że lubisz wysokich. Jakież urocze domeczki! I to tuż nad wodą! Kto mieszka w tym różowym?

Z Różowego Domku, obok którego właśnie przechodzili, dobiegało ujadanie Ziółka. W swych licznych opisach Amerigo Paperman nie wspomniał dotąd Henny o Iris Tramm, stosując się do swojej starej zasady, żeby w sprawach dotyczących kobiet zachowywać powściągliwe milczenie.

- Nie mam pojęcia, ale coś mi się wydaje, że jest wynajęty na stałe. A oto i nasze gniazdko, kochanie.

- Domek zwany „Pożądaniem”! - Henny wpatrywała się zmruczonymi oczami w szyld nad drzwiami. Splotła palce z palcami męża i kołysała jego ramieniem. - Boże, on naprawdę istnieje!»* Nie do wiary! Nie wierzę własnym oczom! Uszczypnij mnie szybko!

Aluzja do sztuki Tennessee Williamsa „Tramwaj zwany pożądaniem”.

„Marzenie Hogana” było drewnianą, rozpadającą się rezydencją kolonialną, zbudowaną na zachodnim stoku Wzgórza Gubernatora. Z tarasu, wyłożonego omszałymi kamiennymi płytami, roztaczał się wspaniały widok na leżące w dole miasto, nabrzeże, fort i wysepkę Rafa Mew. Sam taras obrastały kwitnące krzewy, palmy i jakieś zielone rośliny o wielkich liściach; rozstawione pod nimi stoliki ze szkła i żelaza zalewał w tym momencie różowy blask zachodzącego słońca. Ujrawszy wchodzących Papermanów, Chunky Collins zerwał się od stolika.

- Prędeży, prędeży!

Zdażyliście państwo w samą porę na zielony błysk!

W tej samej chwili Norman dojrzał Iris. Siedziała w towarzystwie gubernatora Sandersa przy stoliku pod palmami. Nie zauważyli go. Iris uśmiechała się kpiąco, drapała się w kostkę i coś opowiadała, a przygaszony gubernator przyglądał się jej z chłodnym rozbawieniem. Tyle Paperman zdażył zaobserwować, zanim adwokat zagarnął jego i Henny i pociągnął oboje w stronę balustrady.

- Jestem zwykłym mieszczuchem

- poskarżyła się Henny. - Co to takiego „zielony błysk“?

Niezmiernie podniecony Collins wyjaśnił, że nazywają tak niezwykle zjawisko atmosferyczne. W pewne pogodne dni skrawek czerwonej tarczy tonącego w oceanie słońca rozbłyskuje nad horyzontem jaskrawą zieloną poświata.

„Marzenie Hogana”, dodał

adwokat, to najlepszy na

Karaibach punkt do obserwacji owego fenomenu. Szeroko z tego słynie. Turyści ze szklankami w rękach stali rzędem wzdłuż balustrady i przyglądali się słońcu, z ożywieniem wymieniając spostrzeżenia. Papermana mniej interesował zielony błysk, jakiegokolwiek natury, niż para, którą dojrzał w cieniu palm. Nie mogąc jednak, rzecz prosta, odwrócić się i wlepić w nią oczu, wraz z pozostałymi gośćmi przyglądał się słońcu. Zapadało się coraz głębiej i wreszcie zniknęło.

- Zielony błysk! - wykrzyknął nagle Collins. - Widzieliście państwo?

Widzieliście?

Pierwszorzędny zielony błysk!

Paperman niczego nie dostrzegł. Henny przytaknęła; owszem, zdaje się, że mignęło jej coś zielonkawego. Turyści przy balustradzie podnieśli wrzawę; niektórzy widzieli błysk, inni nie. Collins poprowadził Papermanów do „najlepszego stolika na całym tarasie” i uparł się, żeby Norman zasiadł na krzesełku, z którego roztaczał się najpiękniejszy widok. W efekcie Paperman musiał usiąść plecami do Iris.

Wieczór zapadał szybko i zanim podano drinki, wszędzie dokoła mrugały już światełka.

Najpiękniejszym fragmentem

panoramy okazał się klub „Rafa

Mew”, z jego sznureczkami lamp i

reflektorów, których światła

odbijały się falującymi długimi

smugami w granatowych wodach

portu. Henny stwierdziła, że

klub wygląda jak Shangri_la.»*

Fantastyczna, rajska kraina z powieści „Zagubiony horyzont” Jamesa Hiltona.

- Istotnie - przytaknął

Collins. - Rafa Mew jest prawdziwym klejnotem Amerigo, co do tego nie ma wątpliwości. ~a propos, czy miał pan już może jakieś pomyslnie wieści z Montany, panie Paperman?

Norman odrzekł, że nie otrzymał jeszcze połączenia, zostawił jednak telefonistce wiadomość, że będzie w „Marzeniu Hogana”, i spodziewał się wkrótce - dosłownie w każdej chwili - telefonu od Atlasa.

Collins wyraźnie sposepniał.

- Mam nadzieję, że się pan doczeka. Ci panowie z Chicago telegrafowali do mnie dzisiaj po południu. Przylatują jutro, by sfinalizować interes. Istny rzut na taśmę na finiszu, prawda? - Jego zasępienie ustąpiło jednak szybko miejsca bez troskiej wesołości. Zatoczywszy ręką koło, oświadczył: - Lecz jeśli nawet oni wygrają w tym biegu, nasza wyspa oferuje bogatą gamę innych możliwości. Co by

pan na przykład powiedział na „Marzenie Hogana”? Transakcja bez żadnych komplikacji, nader dogodne warunki sprzedaży, a widok nieporównany!
- Niech pana ręka boska broni!

Ostrzeżenie to padło z ust Toma Tilsona. Ubrany w czarne szorty i hawajską koszulę, podpierając się sękatą laską, zjawił się niespodziewanie i nie proszony usiadł przy stoliku.

- Już pan wrócił, Paperman?

Wnoszę z tego, że zdążył już pan złapać bakcyła tej wyspy.

Pozwoli pan, że go ostrzeżę:

jest taki miejscowy dowcip, że gdyby termyty nagle przestały trzymać się za rączki, „Marzenie Hogana” runęłoby jak domek z kart.

- Tu nie ma ani jednego

termita, Tom. Najwyżej trochę mszyc z gardenii - zaproponował pan Collins, jednak bez śladu pretensji.

- To moja żona, Henrietta, panie Tilson - przedstawił małżonkę Norman.

Starszy pan wstał, zgiął się w skrzypiącym ukłonie, po czym opadł z powrotem na krzesło.

- Czy prowadził pan już

kiedykolwiek interesy w tropikach, Paperman? Zarządzał pan kiedyś hotelem?

- Nie.

- Widzi pan, Amerigo to nie Nowy Jork.

- Zdaję sobie z tego sprawę.

Odkryłem jednak, że klub prowadzi w istocie Thor, ten barman. Rozmawiałem z nim i wyraził chęć pozostania na posadzie.

- A więc jest pan

zabezpieczony - oświadczył pan Collins. - Na całej wyspie nie znajdzie pan drugiego takiego fachmana jak Thor.

- To żeglarz! - prychnął Tom Tilson i pogroził Normanowi laską. - A żeglarze to ludzie innej rasy, ostrzegam pana. Kompletni szaleńcy, jeden w drugiego. - Pochylił się do Henny i spytał zniżając głos, a jego pomarszczoną, piegowatą, jakby czerwonym liszajem pokrytą twarz rozjaśnił szczególny blask: - Pani Paperman, czy słyszała pani o gwiazdce filmowej nazwiskiem Janet West?

- Oczywiście! Była kiedyś sławna, ale skończyła, biedaczka, na oddziale dla deliryków.

- A teraz siedzi za pani

plecami, przy tamtym stoliku pod palmą.

Paperman nie mógł się dłużej powstrzymać, odwrócił się; to samo zrobiła Henny, Iris siedziała samotnie w cieniu palmy. Nie okazała nawet tikiem powieki, że go poznaje, choć patrzyła prosto na Papermana.

Henny odwróciła się i

powiedziała:

- Ależ ta kobieta jest

blondynką, a Janet West, o ile się nie mylę, była brunetką.

- Istotnie, dokonała pewnych retuszy - przyznał pan Tilson, wysuwając koniuszek języka w kącik warg i łypiąc okiem na Papermana.

- Nie może być! Więc to jest Janet West? - powiedział Norman.

- Ależ ja tańczyłem z tą panią!

- Wiem o tym - zawołał

triumfalnie pan Tilson tonem strojącego sobie żarty małego urwisa.

- Przedstawiła mi się jako pani Traum czy jakoś podobnie.

- Tramm, Iris Tramm. Tak, proszę pana, tańczył pan z samą Janet West, nie inaczej. Nie lubi się przyznawać do swojej tożsamości, ale to ona we własnej osobie.

- Tam do licha! - mruknął Paperman.

- Nie widzę dobrze z tej

odległości, ale wydaje mi się, że jak na starą alkoholiczkę nie wygląda najgorzej - orzekła Henny.

- Istotnie, wygląda całkiem ładnie - przytaknął pan Tilson.

- Nieprawdaż, panie Paperman?

- Rzeczywiście, zważywszy jej przeszłość...

- To miła kobieta - wtrącił adwokat Collins. - Wynajmuje różowy domek na Rafie Mew.

- Pamiętasz, Henny -

przypomniał żonie Paperman - mówiłem ci, że ten domek jest wynajęty na stałe. Choć Norman jedynie kilka razy pocałował Iris, nic więcej, poczuł narastające zakłopotanie. Wolałby znaleźć się teraz jak najdalej od tarasu „Marzenia Hogana”. Podejrzewał, że pan Tilson, jak przystało na złośliwego starca, chce się trochę zabawić jego kosztem.

- Zaprośmy ją do naszego

stolika - zaproponował tymczasem ochoczo Tom Tilson.

- Och, lepiej nie! -

zaoponował pan Collins, obrzucając dziwnym spojrzeniem Papermana.

Pan Tilson odwrócił się już jednak i pomachał laską.

- Iris, przysiądź się do nas!

- Naprawdę mogę? - odkrzyknął śliczny, zachrypnięty głos.

Tego wieczoru włosy Iris Tramm opadały swobodnie na uszy, wzburzone w artystycznym nieładzie. Zorza wieczorna z wolna przygasała. W blasku płomyka stojącej pośrodku stołu lampki naftowej Iris wyglądała młodo i zachwycająco. Miała na sobie mieniącą się odcieniami brązu i błękitu sukienkę bez rękawów z jakiegoś indyjskiego materiału.

- Witam - z chłodnym,

powściągliwym rozbawieniem przywitała Normana, kiedy Collins dokonał prezentacji, po czym usiadła obok Henny i uśmiechnęła się do niej serdecznie. - I jakże, czy urok naszej wyspy oczarował również panią? Czy może jest pani osoba trzeźwą i rozsądną?

- Sama nie wiem. W tej chwili nie czuję się jednak zbyt trzeźwa.

- To świetnie. Amy Ball mówi, że zamierza pani przebudować klub, kiedy pani małżonek już go kupi. Czy i domki pani przebuduje?

Henny, która przyglądała się Iris z żywym zaciekawieniem, wzruszyła ramionami.

- Jak dotąd wszystko pozostaje jeszcze w sferze planów.

- A jakie zmiany planuje pani w holu?

- Przyznaję, że mam już kilka luźnych pomysłów.

- Proszę mi je zdradzić!

Henny, która zdążyła już wypić kilka rumowych koktajli, nie miała nic przeciwko temu, by jeszcze raz zabłysnąć swym talentem dekoratorki wnętrz, szczególnie przed gwiazdą filmową, choćby i przygasała. Obie panie zaczęły omawiać kwestie dotyczące umeblowania i kolorystyki wystroju i już po kilku minutach gawędziły zażyłe jak stare przyjaciółki.

Wyglądało na to, że Iris jest równie dobrze jak Henny zorientowana w przedmiocie.

- Pan Pejpmam!? Szy jesz tu chtosz o żwiszku Pejpmam? - wołał przechodzący między stolikami wysoki czarny chłopak w czerwonej kelnerskiej koszuli z białymi lamówkami.

- Ja, chłopcze! Ja nazywam się Paperman.

- Loszmofa mięczynalotofa, ploszpana.

- O Boże, Lester! -

przestraszyła się Henny.

- Tak przypuszczam, kochanie.

No i co ty na to, co

postanawiamy?

Henny zadrżała i powiodła niepewnym spojrzeniem o twarzach zebranych przy stoliku osób.

- Boże kochany, Norman, więc musimy się zdecydować tak nagle?

Iris przyglądała się
Papermanom z bladym,
melancholijnym uśmiechem.

- Na to wygląda. - Norman nakrył dłonią dłoń żony. - No więc jak? Sądysz, że zdołasz ścierpieć Karaiby?

Henny wzniosła kieliszek w nonszalanckim geście straceńczej odwagi.

- Och, przecież mnie znasz, Norm, wiesz, że dla dobrej zabawy jestem gotowa sprzedać ojca i matkę.

- Więc klamka zapadła!

Telefon stał na pianinie przy barze. Głos Atlasa w słuchawce, niewątpliwie zachrypnięty i niewątpliwie pijacki, to wznosił się do ryku, to zacichał.

- Halo!! Walter!?! To ty,
Walter?

- Lester? Cześć, mówi Norman.

- Norman? Jaki znów Norman?

Nie znam żadnego Normana. Wyłącz się, kolego. Zastrane telefony! Paniusiu, czekam na rozmowę z Walterem Sandelsonem z St. Louis! Proszę mnie natychmiast z nim połączyć!

- Lester, to ja, Norman!

Norman Paperman!! Dzwonię z Amerigo!

Połączenie zostało na chwilę przerwane, a potem wznowione. W słuchawce rozlegał się nieartykułowany ryk Lestera, słyhać też było piskliwe nawoływania trzech krzyczących coś jednocześnie telefonistek. A potem zabrzmiał wyraźny i znacznie spokojniejszy głos Atlasa:

- Więc nie rozmawiam z St.

Louis?

- Na Boga, Lester, to ja, Norman!! - wrzasnął Paperman. - Norman Paperman!! Co się tam u ciebie wyprawia?

- A, Norman! Czemuś od razu tak nie mówił?

- Dzwonię z Amerigo, Les.

Henny się tutaj podoba. Ma ochotę spróbować. Musimy się jednak pośpieszyć.

Pojawili się jacyś nowi kontrahenci z Chicago...

- Cholera, Norm, nie rozumiem ani słowa z tego, co mówisz. Twój głos wciąż zanika!

- Musimy działać szybko,

Lester!! Prawdę mówiąc musimy zdecydować jeszcze dziś wieczorem, czy kupujemy ten hotel, czy nie.

Paperman prawie krzyczał. Klienci przy barze, kolorowy barman oraz turyści siedzący przy najbliższych stolikach przysłuchiwali się jego rozmowie z zacięciem, uśmiechając się wyrozumiale.

- Słuchaj, Norm, czekam

właśnie na pilną rozmowę z St. Louis... Phil, w tej czarnej walizce powinna być jeszcze jedna butelczyna... Oddzwonię do ciebie, Norm!

- Mowy nie ma!! Tutaj o

połączenie jest cholernie
trudno! W gruncie rzeczy sprawa

jest prosta. Jeśli jeszcze

dzisiaj złożę zadatek w

wysokości pięciu tysięcy

dolarów, hotel jest nasz.

Wymieniając kwotę, Paperman znacznie ściszył głos.

W odpowiedzi Atlas ryknął mu do ucha:

- W ogóle cię nie słyszę, Norm! W sąsiednim pokoju jest ze mną zastępca gubernatora Montany, więc... Phil, po diabła grzebiesz w moich rzeczach? tę butelkę bourbona znajdziesz pod termoforem... proszę cię, Norman, wyłącz się zaraz, dobra? czekam na pilną rozmowę z St. Louis!

- Chcę się tylko dowiedzieć, czy mogę im dać czek na pięć tysięcy dolarów! - wrzasnął Paperman.

- Pięć tysięcy? Za co pięć tysięcy? Daj no mi łyżeczek tego bourbona, Phil... Muszę się już rozłączyć, Norm.

- Chcę wiedzieć tylko jedno!!!

- ryknął Paperman. -Czy mogę im dać zadatek - zadatek!!! - na pięć tysięcy dolarów!?

- A, zadatek... Cholera, gdzie ty masz oczy, Phil? Otworzyłeś butelkę „Southern Comfort”! To ulepek dobry dla bab! Zastępca gubernatora się porzyga. Zabieraj to świństwo... Dobra, Norm, daj im ten zadatek, masz moje błogosławieństwo. To już wszystko?

Paperman zawahał się, podwójnie zmieszany: rozdrażnieniem Atlasa i tym, że sam wrzeszczał na cały taras. Nie miał na koncie w banku pięciu tysięcy dolarów ani nawet sumy do tej zbliżonej. Oczekiwał od Atlasa - po to właśnie do niego telefonował - że wystawi czek na wymienioną kwotę. Ale nie mógł przecież drzeć się tak, by wszyscy w „Marzeniu Hogana” słyszeli, że odczuwa palący brak gotówki.

- Rozumiem więc Lester, że skoro udzielasz mi pełnego poparcia, mogę im dać ten zadatek?

- Jasne, dawaj! Powodzenia, Norm. Niedługo wyprawimy na twojej wyspie wielki bal. Pozdrów ode mnie Henny. Czołem!

Papużka, która wisiała do góry nogami w klatce, stojącej na oblanym bursztynowym światłem kontuarze baru, zaskrzeczała zupełnie wyraźnie:

- Bywaj, brrrach!

Turyści parsknęli gromkim śmiechem. Wracając do stolika Paperman wyjął z kieszeni książeczkę czekową.

- Niech pan zatelegrafuje do tych facetów z Chicago i odwoła ich przyjazd - powiedział do Collinsa. - Dobijamy targu.

Prawnik zerwał się z miejsca i potrząsnął głową.

- Moje gratulacje!

- I nasze, jak tu siedzimy - dodała Henny. - I wszystkich zebranych, stąd aż do Puerto Rico.

Sprawiała wrażenie szczęśliwej, złej i podnieconej zarazem.

- Mam więc nowego gospodarza domu i nową gospodynię - powiedziała Iris, przechylając głowę z kokieterią, jaką Norman pamiętał z jej filmów. - Niezmiernie się cieszę!

- Pan Paperman wstąpił zarazem na nową drogę życia - rzekł pan Tilson. - Wypijmy po kieliszeczku i życzymy mu szczęścia. Ober!

Norman wypisał czek na pięć tysięcy i wręczył go Collinsowi.

- Jak długo potrwa, zanim czek dotrze do Nowego Jorku? - zapytał. - Będę oczywiście musiał dokonać uzupełniającej wpłaty.

- Och, od dziesięciu dni do dwóch tygodni - odparł adwokat.

- Nie ma pośpiechu.

Nazajutrz, przez całą drogę powrotną do domu, rozmawiali w samolocie o problemach, które się pojawiły w związku z nową sytuacją. Jak urządzić Hazel? Co z mieszkaniem, które zajmowali od siedemnastu lat? Co z agencją Normana? Jej aktywa składały się co prawda jedynie z listy klientów, przynosiła jednak stały dochód i była owocem dwudziestu lat żmudnego trudu. Odrzutowiec umykał z tropików z prędkością dwudziestu kilometrów na minutę, a w miarę ich przybywania Henny poważniała, bo rosły jej wątpliwości.

- Ta cholerna wyspa -

mruknęła. - Wolałabym przyjrzeć się jej jeszcze raz, lecz już trzeźwiejszym okiem. Dotąd widziałam ją tylko przez opary rumowych ponczów.

- Przekonałem się, że za

drugim razem robi jeszcze silniejsze wrażenie, kochanie. Zresztą i tak nie mamy już odwrotu.

- To fakt. Wystawienie czeku bez pokrycia to czysty kryminał, kotku.

- Lester pokryje należność.

- Czy aby na pewno? Czy

obiecał to jednoznacznie? Czy powiedział wyraźnie: „pokryję ten debet”?

- Nie martw się o pieniądze, Henny. To już załatwione.

Drogę z Idlewild na Manhattan przebyli w nie ogrzewanej taksówce, ciasno przytuleni. Panował przenikliwy ziąb, a niebo zasnuwały ciężkie ołowiane chmury.

- Mój Boże, jaki ten Nowy Jork jest zimny! - westchnęła w pewnej chwili Henny, dzwoniąc zębami niczym obłuzowaną sztuczną szczęką. - Jaki zimny, jaki ogromny, jaki brudny, jaki zatłoczony, jaki ponury! Jakież to straszliwie nieprzytulne miasto!

- Jesteś mało romantyczna - odparł Norman. - To eldorado, a wokół ciebie płoną urzekające światła ludzkiego mrowiska.

Henny zaklęła szpetnie.

Hazel krzątała się po mieszkaniu, nucąc coś sobie pod nosem. Sheldon zabierał ją na kolację, a potem na przedstawienie do jakiegoś teatryku off-Broadway.

- Bob Cohn, co to za jeden? - spytała w pewnej chwili. - Facet dzwonił już dwa razy i prosił, żebyś do niego przekreślił. Zapisałam numer.

Norman musiał się chwilę zastanowić.

- A, to ten pletwonurek! Jest w Nowym Jorku? Podszedł do telefonu.

- Pletwonurek? Ten gość, który wyciągnął cię z wody, ten Izraelita? - zainteresowała się Hazel. - Nawija jak brooklyńczyk i jest dość bezczelny.

Paperman zatelefonował najpierw do biura Atlasa i dowiedział się, że ten nie wrócił jeszcze z Montany. Potem zadzwonił do Cohna.

Człowiek_żaba oświadczył, że przyjechał do Nowego Jorku w związku ze staraniami o odzyskanie obywatelstwa. Rano wraca na Amerigo, zadzwonił tylko po to, żeby się przywitać.

- Zaproś go na kolację -

podszepnęła mężowi Henny. - Chciałabym go poznać.

Norman kiwnął głową.

- Chryste, ależ ochoczo się zgodził! - mruknął, odłożywszy słuchawkę. -

Podjeżdżam, że po to w gruncie rzeczy zadzwonił. Założę się, że jest bez grosza i umiera z głodu. To hazardzista.

- W jakim jest wieku? -
zainteresowała się Hazel.
- Hm, brał udział w wojnie arabsko-izraelskiej w tysiąc dziewięćset
czterdziestym ósmym.
Musi mieć co najmniej
trzydziestaka.

- O Boże!

Dziewczyna zniknęła w swoim
pokoju. W pół godziny później
wyłoniła się stamtąd wystrojona
stosownie do okoliczności
(randka w dzień powszedni),
zabójczo piękna, mimo komicznie
natapirowanych włosów. Jej
dekolt odkrywał większą połać
rozkwitającego biustu, niż się
to Normanowi wydawało
przyzwoite, nie wyraził jednak
ojcowskiego sprzeciwu, bo dawno
już zmęczyła go bezskuteczna
walka na tym polu. Hazel
wkładała właśnie palto z
futrzanym kołnierzem, kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi, poszła je więc otworzyć.
W progu stał Bob Cohn - bez kapelusza, w starym, ściągniętym paskiem płaszczu
przeciwdeszczowym. Był niewiele wyższy od Hazel, która miała co prawda na nogach
- trzeba dodać gwoli sprawiedliwości - buty na wysokich obcasach. Marynarska
fryzura na języka niezbyt pasowała do wydatnego nochała i opalanej na brązowo
twarzy o wyrazistych rysach.
- Cześć. Pani jest pewnie tą dziewczyną o zabawnym głosie? Serwus, Norm.

Norman przedstawił Boba żonie i córce. Zapinając guziki palta, Hazel
powiedziała:
- Proszę się nie gniewać, ale jestem umówiona. Cieszę się, że poznałam
człowieka, który uratował życie memu ojcu.

Cohn wzruszył ramionami, zdjął płaszcz i rzucił go na skrzynię. Miał na sobie
staromodny szary garnitur ze zbyt długą marynarką o zbyt szerokich i nadmiernie
błyszczących klapach.

- Pani staruszkowi nic tak naprawdę nie groziło. Na pewno nie był w takich
tarapatkach, w jakie ja sam popadłem nazajutrz.
- Odwrócił się do Normana i błysnął w uśmiechu białymi zębami. - Wiesz, Norm,
omal nie utonąłem wtedy na Małym Psie. Musieli mi robić sztuczne oddychanie.
- Co pan miał na myśli mówiąc, że mam zabawny głos? Co jest takiego zabawnego w
moim głosie?
- zapytała Hazel rozwierając oczy jeszcze szerzej niż zazwyczaj.
- Pani głos brzmiał tak, jakby z bolącym gardłem wbiegła pani przed chwilą na
siódme piętro. Teraz brzmi już lepiej.

Norman i Henny parsknęli śmiechem. Hazel miała zwyczaj odbierać telefon głosem
zdyszczanym i schrypniętym (w zamyśle: zmysłowym), co było w ich rodzinie
przedmiotem stałych żartów.

- I cóż ci się takiego
przytrafiło na tym Małym Psie? - zapytał Norman.
- Co to jest Mały Pies? - tonem rozkapryszonej panienci zapytała Hazel, oparłszy
się o drzwi salonu.
- Mała wysepka leżąca jakieś osiem kilometrów od Amerigo - wyjaśnił Cohn - na
głębokości mniej więcej dwudziestu, dwudziestu paru metrów opasana półką z
koralami. Widzi pani, to wymarzone miejsce do ćwiczeń łodzi podwodnych, bo

głębokość peryskopowa wynosi mniej więcej dwadzieścia metrów i na tej głębokości wykonujemy wszystkie manewry wyłączenia z łodzi i włączenia do niej z powrotem. - Hazel słuchała go z wyrazem oczu wpatrzonej w nóż gazeli, której za chwilę mają tymże nożem poderżnąć gardło. Cohn odwrócił się do Papermana i ciągnął: - Opuszczanie łodzi, kiedy spoczywa nieruchomo na dnie, i powrót do niej, to ćwiczenia najzupełniej rutynowe. Ale w walce łódź musi się oczywiście poruszać, w przeciwnym razie straciłaby równowagę - łodzi podwodne nie potrafią unosić się swobodnie - i na tym właśnie polegało tym razem nasze zadanie: ewakuowaliśmy się z łodzi płynącej na głębokości dwudziestu metrów, wypływaliśmy na powierzchnię, po czym z powrotem opuszczaliśmy się po linie i włącziliśmy przez właz. Właśnie wtedy omsknęła mi się noga i...

- Przyszedł pan do nas na drinka - przypomniała Henny. - Czego się pan napije?

- Szkocka z wodą, jeśli można prosić.

- Czy i ja mogłabym prosić o to samo? - zapytała Hazel, zerkając na zegarek. - Co pan ma na myśli mówiąc o opuszczaniu łodzi?

Przysiadła na poręczu stojącego przy drzwiach fotela, rozpięła palto i założyła nogę na nogę. Cohn opisał jej śluzę, małą komorę, otwierającą się z jednej strony do wnętrza okrętu podwodnego, z drugiej do morza, wyposażoną w system zaworów i pomp, dzięki któremu można wejść do śluzy, poczekać, aż napełni się wodą, po czym wypłynąć drugim wyjściem na zewnątrz. Rodzina Papermanów nie mogła uwierzyć, że przy nowej metodzie ewakuacji marynarze opuszczają łódź podwodną bez aparatów tlenowych i po prostu wypływają swobodnie na powierzchnię, powoli wydychając powietrze.

- I wystarczy wam powietrza na całą tę drogę? - zdziwiła się Hazel. - Przecież człowiek nie może robić wydechu dłużej niż przez kilka sekund.

Nadęła policzki i wypuściła powietrze. Cohn roześmiał się.

- Jedyne problem, to wydychać powietrze szybko i dostatecznie mocno. Widzi pani, pod wodą powietrze w pani płucach znajduje się pod ciśnieniem i rozszerza się w miarę, jak się pani wynurza. Rozsadziłoby panią, gdyby go pani nie wydmuchiwała. Pani usta działają jak zawór bezpieczeństwa.

**Człowiek otwiera je szeroko i
wydycha co ma sił, bo walczy o
życie. Na początku, w komorze
treningowej, bywa to trudne, ale
potem się człowiek przyzwyczaja-**

- To brzmi przerażająco! - Hazel wzdrygnęła się.

- Naprawdę trudny jest powrót na okręt podwodny, płynący z prędkością trzech, czterech węzłów na głębokości dwudziestu metrów. To naprawdę niełatwe zadanie, proszę mi wierzyć. Widzicie państwo, człowiek tak szybko nie pływa. Boja śmiga po powierzchni jak pociąg pospieszny i musisz ją złapać albo ci ucieknie. A potem trzeba schodzić po prującej wodę linie, czepiając się jej rękami. Na domiar złego to wszystko odbywa się w nocy. Nic nie widać, wszystko trzeba robić po omacku. Tak więc złazi człowiek po tej linie z powrotem do śluzy, na resztkę oddechu, jakiego zaczerpnął przed zanurzeniem, i...

- Wiesz co, Henny, niech licha weźmie klub „Rafa Mew” - przerwał mu Norman. - Oto robota, jaka mi naprawdę odpowiada!

Henny i Cohn parsknęli śmiechem, jedynie Hazel zachowała śmiertelnie poważną minę i wpatrywała się w płetwonurka jak zaczarowana.

- W tym właśnie punkcie skrewiłem za pierwszym razem - podjął Cohn. - Nawet nie wiem, co poszło źle, ale ratownik musiał mnie wciągać do śluzy i wypompowywać ze mnie wodę. Za drugim razem poszło mi już lepiej, a teraz robię to ćwiczonko nie gorzej od innych. Normalka.

- Dokąd się wybieracie na kolację? - spytała ojca Hazel.
- Jeszcze nie wiem, ale chyba do Sardiego.
- Nie mielibyście nic przeciwko temu, gdybyśmy do was dołączyli, Sheldon i ja? Mój przyjaciel jest pisarzem - wyjaśniła, zwracając się do Cohna. - Jestem pewna, że bardzo by chciał poznać płetwonurka. To, co pan opowiada, jest takie interesujące! Cohn zerknął na Papermana i wzruszył lekko ramionami.
- Jeśli jest pisarzem, poczuje się zawiedziony. Nie spotka mordercy o zimnym spojrzeniu i zasznurowanych wargach.
- Ależ oczywiście, kochanie, zadzwoń do Shela i zaproś go na kolację! - ucieszyła się Henny.

Hazel poszła do telefonu, a Norman wybiegł za żoną do kuchni.
- Na litość boską - syknął, zamknawszy za sobą drzwi - po co nam przy kolacji ten posępny bubek!? Zepsuje mi apetyt, a na dodatek zeżre za najmarniej dwadzieścia dolarów!
- Ten twój nurek stanowi taki kontrast w stosunku do Dopusta - powiedziała, wrzucając kostki lodu do wiaderka. - Przyszło mi do głowy, że powinniśmy to wykorzystać.
- Ależ Henny, to tylko inna odmiana świrusa!

Zmierzyła go drwiącym spojrzeniem.

- Chciałem powiedzieć - tłumaczył - że to, czym on się zajmuje, jest godne najwyższego podziwu, nie przeczę, tylko że, widzisz, normalni faceci raczej nie gustują w gonieniu okrętów podwodnych, płynących na głębokości trzydziestu iluś tam metrów.
- Rzeczywiście, masz absolutną rację. Normalni faceci gustują w emablowaniu gazetowych pismaków, żeby zobaczyć swoje dowcipasy w druku. - Wcisnęła mu do ręki wiaderko z lodem. - Przygotuj temu świrusowi następnego drinka, a ja się tymczasem przebiorę.

W salonie Hazel siedziała - już bez palta - na kanapie obok Cohna. Dłonie splotła na kolanach skrzyżowanych nóg, przechylała na bok głowę i wlepiała w gościa przeogromne oczy. Cohn opowiadał jej o Izraelu. Temat ów śmiertelnie Papermana nudził. Jego rodzice byli zagorzałymi syjonistami; matka nadal przewodniczyła kapitule Hadassy.»* Uciekłszy z domu w wieku piętnastu lat, Norman z niezmierną ulgą zostawił to wszystko za sobą, razem z rygorystycznymi praktykami religijnymi ojca. Mimo to odczuwał pewną dumę na wieść o nieoczekiwanych zwycięstwach Izraelczyków, a nawet składał datki na fundusze syjonistyczne, kiedy rozgorzały najzaciętsze walki. Wojna dostarczała mu również tematów do pysznych żartów, opowiadanych przy stolikach Broadwayu, na przykład o rozmowach między pilotami odrzutowców, prowadzonych w jidysz. Na ogół jednak Izrael był Papermanowi niewiele bliższy od Afganistanu.

Dobroczyzna organizacja kobiet żydowskich, utworzona w Nowym Jorku w 1912 roku.

Zdziwił się więc, spostrzegłszy, że Hazel wyglądała na żywo zainteresowaną tym tematem, przypisał to jednak, po zastanowieniu, atrakcyjności człowieka-żaby. Dziewczyna nie spotkała dotąd prawdziwych ludzi czynu. W nowojorskich kręgach klasy średniej tacy się przeważnie nie pojawiali. Co poniektórzy młodzieńcy, którzy do niej smalili cholewki, przechodzili co prawda szkolenie dla oficerów rezerwy i pięknie się nawet prezentowali w nowych mundurach, ale przecież nie wsiadali w biegu do łodzi podwodnych! Hazel była ciekawa, jak wygląda Jerozolima i jak się ubierają izraelskie dziewczęta. Zdumiała się usłyszawszy, że większość Izraelczyków nie

jest religijna; wyobrażała sobie dotąd, że wszyscy ubierają się równie cudacznie jak dziadek Paperman. Norman zdziwił się jeszcze bardziej niż jego córka, kiedy usłyszał, że Cohn unosi się nad krajobrazem Izraela, wyobrażał sobie bowiem tę ziemię jako podobną z grubsza do Miami piaszczystą, gorącą równinę, nadmiernie zatłoczoną sędziwymi Żydami. Tymczasem Cohn, popijając szkocką z wodą, opowiadał o kamienistych górach na północy, czerwonych wąwozach wokół Sodomy i suchych równinach Negewu, które, nawodnione, odziewały się bujną zielenią. Zważywszy na jego oschły sposób bycia, pletwonurek stał się całkiem elokwentny.

- Powinieneś pracować w

izraelskim biurze podróży - poradził mu Paperman.

- Nie zaszkodziłoby, Norm, gdybyś się tam kiedyś wybrał.

Paperman skrzywił się z niechęcią.

- Podczas wakacji dwa lata temu planowaliśmy nawet wypad do Izraela między wycieczkami do Francji i Włoch, lecz nie starczyło nam czasu.

5

Gdy się zjawili u Sardiego, Dopust już tam na nich czekał. Ujrzawszy go, Paperman zdumiał się nad nierozwagą swej małżonki, liczącej na korzystne efekty jego konfrontacji z pletwonurkiem. Shel był prawie o głowę wyższy od Boba Cohna i szerszy w barach. Postronki mięśni tego ostatniego skrywał znoszony workowaty garnitur. Elegancki i świetnie dopasowany garnitur Kluga, nienaganny aż po wąski niczym strzała granatowy krawat, pochodził natomiast wprost z „Esquire’a”. Szeroki i ciężki czerwony krawat Cohna był krzywo zawiązany i wystrzępiony na brzegu. Klug był przystojny, miał bujne, długie kasztanowate włosy - Cohn brzydki i ostrzyżony na krótkiego języka, jak więzień. Konfrontacyjny plan Henny z punktu zresztą spalił na panewce, Hazel przywitała bowiem Kluga z błyskiem niekłamane go i nie przygasłego uwielbienia w oczach.

Zgodnie z obawami Normana Dopust zamówił ostrygi i filet mignon, do tego kilka przystawek, bynajmniej nie najtańszych, takich jak świeże szparagi polane sosem hollandaise i bakłażan posypyany parmezanem. Odłożywszy z westchnieniem ulgi kartę dań, zwrócił się do Cohna:

- Hazel powiedziała mi, że jest pan pletwonurkiem marynarki wojennej. Uważam, że to fascynujące.

Cohn skinął głową, lecz nic nie odpowiedział.

- Czy może mi pan powiedzieć, jakie pobudki kierowały panem i pańskimi kolegami? Oto, co wydaje mi się naprawdę interesujące: wasze pobudki. Czemu to robicie?

- Pobudki? Każdym kierowały inne, jak sądzę.

- No tak, to oczywiste. Ale biorąc ogólnie?

- Biorąc ogólnie, motywy są dwa. Bieda i strach.

- Strach? - Klug uniósł brew, jego twarz przybrała sceptyczny wyraz.

- I bieda. Widzi pan, żołd za niebezpieczną służbę wypłacają podwójny i ta dodatkowa forsa cholernie chłopaków rajcuje, bo są to na ogół ludzie żonaci.

- Ale żeby strach, jak pan powiedział?

- Oczywiście. Przypuszczam, że większość moich kolegów z drużyny jest podszyta tchórzem, więc musimy sobie stale udowadniać, jacy to jesteśmy dzielni.

Klug roześmiał się.

- Ironista z pana! Choć może w tym, co pan mówi, jest coś z prawdy.

- A ja tam uważam, że jesteście bohaterami! - zapewniła Henny.

- Zupełnie się z panią nie zgadzam - zaprotestował Cohn. - Bohaterowie nie pchają się do takiej służby. Owszem, lubią skoki ze spadochronem, włożenie i wyłączenie z komory śluzowej łodzi podwodnych i temu podobne, ale w tej służbie jest stanowczo za dużo musztry. Praktycznie nie widać jej końca, nawet gdy człowiek już przejdzie przez szkolenie wstępne. Codziennie rano trzeba gnać szpurtem pięć kilometrów, a prawie dwadzieścia na tydzień przepływać, tym głównie się człowiek zajmuje. bohaterów szybko to męczy i odchodzą. Nie, idealny pletwonurek to tchórz bez wyobraźni z furą rachunków do zapłacenia.

- Skoki ze spadochronem? - zaciekała się Hazel. - Robicie i takie rzeczy?

- Trzeba, jeśli człowiek chce się dostać do drużyny. Naszym zadaniem jest wysadzanie w powietrze, a to łączy się z rozpoznaniem. Nie zawsze da się podpłynąć łodzią pod sam cel.

- Boże, co za wszechstronność!

- zawołała Hazel do Kluga, po czym z pałającymi oczami odwróciła się z powrotem do Cohna. - Czy uczycie się też karate i podobnych sztuk walki? Czy potrafiłby pan jednym ciosem w szyję zabić człowieka?

Cohn parsknął śmiechem.

- Proszę odpowiedzieć:

potrafiłby pan? Co pan w tym widzi śmiesznego?

- Niestety, Hazel, nie

potrafię pani odpowiedzieć na to pytanie, bo nie dają nam do ćwiczeń żywych ludzi.

- No i oto macie politykę oszczędzania na wojsku tego durnego Kongresu! - Norman skrzywił się z niesmakiem. - Co za przekłeta krótkowzroczność!

Cohn łypnął na niego z

błyskiem w oku.

- Zgadza się! To niewątpliwie wina Kongresu.

- Ależ pan ma już podobno trzydzieści lat! - zawołała Hazel. - Czy nie jest pan za stary na tak wytężony wysiłek?

Cohn zachłysnął się drinkiem.

- Ma pani zupełną rację,

Hazel! Ciągłe to powtarzam mojemu dowódcy, zgłaszając chęć odejścia. A ten drań, żeby mi dowieść, że jestem w błędzie, każe mi drałować dodatkowo pięć kilometrów.

Pojawienie się zamówionych dań położyło kres rozmowie, przynajmniej co się tyczy Kluga, który dosłownie rzucił się na ostrzygi. Hazel, skubiąc arbuza, zaczęła nalegać na Cohna, żeby opowiedział o swoich wojennych przeżyciach w Izraelu. Młody człowiek usiłował ją zbyć, twierdząc, że izraelskie siły zbrojne są najgorsze na świecie, toteż przydarzały mu się wyłącznie sytuacje jak z taniej farsy. Na dowód opowiedział historię drużyny pletwonurków, która z łodzi rybackiej popłynęła do portu w Aleksandrii mając za zadanie przyczepić miny do egipskich okrętów wojennych. W jego opowieści ekspedycja była pasmem komicznych wpadek; jej kulminację stanowił fakt, że z sześciu starych włoskich min desantowych, które udało się przytwierdzić do egipskich okrętów - w jednym wypadku przy pomocy egipskiego marynarza, który skwapliwie wykonał rozkazy, wykrzyżane mu po arabsku - pięć w ogóle nie wybuchło. Jedyna, która eksplodowała, zatopiła wszakże największy niszczyciel w całej egipskiej flocie.

- Ta, którą pan założył? - domyśliła się Henny.

- Niestety nie. Facet, który założył tę minę, jest obecnie komodorem w izraelskiej marynarce wojennej. Ja mojej w ogóle nie zdołałem przyczepić do kadłuba. Magnesy zardzewiały lub coś takiego. Rozważałem już, czy by tam nie zostać, przyciskając ją do burty, póki nie wybuchnie, ale, jak już państwu

mówiłem, służba w sabotażu przyciąga samych tchórzy, no i straciłem jedyną okazję doczekania się ulicy swojego imienia w Tel Awiwie, Alei Roberta Cohna.

- Wybierzmy się kiedyś do Izraela, kochanie - powiedziała Hazel do Sheldona. - Chciałabym poznać ten kraj.

- Z socjologicznego punktu widzenia to kraj istotnie frapujący - oświadczył Klug, który zmiotł już z talerza stek i przystawki, podczas gdy Cohn cały czas gadał i ledwo zdążył skubnąć płat łososia na zimno. Klug zapalił papierosa i rozparł się na krześle. - Oczywiście, napisano na temat tego fenomenu masę piramidalnych bzdur. Żydzi zainwestowali w Izrael kapitał wysokości około tysiąca dolarów na głowę mieszkańca. Włóżcie państwo porównywalny majątek w dowolny kraj na świecie, a ręczę, że uzyskacie równie efektywne rezultaty. Tymczasem na przykład w takich Indiach kapitał rozwojowy kształtuje się na wysokości około dwudziestu jeden centów na głowę.

- Miałby pan zupełną rację, gdyby nie jedna okoliczność - rzekł Cohn. - Otóż poziom gospodarki izraelskiej jest taki, że tysiąc dolarów tam wyłożonych przynosi mniej więcej taki sam efekt jak dwadzieścia jeden centów zainwestowanych w Indiach.

Klug uśmiechnął się z pobłażaniem.

- Jakże więc pan wytłumaczy zadziwiający postęp, jakiego dokonali?

Cohn wrzucił ramionami.

- Głupio mi o tym mówić, ale podejrzewam, że to wynik żydowskiego spisku.

Hazel wybałuszyła na niego oczy, a potem wybuchnęła śmiechem.

- Wiesz, on jest kompletnie stuknięty! - powiedziała do Kluga. - Ten gość to po prostu wariat.

Klug zerknął na zegarek.

- Bardzo mi przykro, ale obawiam się, że będziemy musieli zrezygnować z deseru, kochanie. Niełatwo będzie o tej porze dostać się na Sheridan Square.

Po wyjściu Hazel i Kluga Cohn wymienił z rodzicami dziewczyny niepewne spojrzenia.

- Podoba mi się ten facet - powiedział.

- Koszmarny bubek - odrzekła Henny.

- Beznadziejny idiota - dodał Norman.

- Kretyn - uzupełniła Henny.

- Czym on się zajmuje? -

zapytał Cohn. - Naprawdę jest pisarzem?

- Uczy literatury angielskiej

- wyjaśniła Henny. - Pisze rozprawę, w której udowadnia, że Balzac był ciotą.

- Co proszę, Balzac? - zdumiał się Cohn. - Mam brata, który wykłada literaturę porównawczą w Brandeis University. Napisał dysertację, w której wykazał, że Homer również był cwelem. Czy Hazel zamierza poślubić tego typka?

- Pewnie by chciała, szkopał tylko w tym, że on już jest żonaty - odpowiedziała Henny.

- I dzieciaty - dodał Norman.

- Rozumiem. Córnica dostarcza więc państwu znakomitej zabawy.

- Istotnie pysznej - przyznała Henny i poszła do damskiej toalety.

- Co byś powiedział na to, gdybyśmy tak pojechali do nas i napili się brandy? - zaproponował Norman.

- Dzięki, ale nie mogę.

Słuchaj, Norm, nie chciałbym żebyś mnie wziął za naciągacza, ale czy nie mógłbyś mi pożyczyć stowy?

Nieoczekiwana prośba do tego stopnia zaskoczyła Papermana, że aż się skrzywił, zupełnie mimo woli. Cohn parskała śmiechem.

- Dobra, zapomnijmy o tym.

Rzeczywiście, przecież prawie mnie nie znasz. Ładnie z twojej strony, że nakarmiłeś głodnego.

- Ależ źle mnie zrozumiałeś!

Chętnie ci pożyczę. Kłopot polega na tym, że nie mam tyle przy sobie. Sądzę jednak, że w restauracji zamienią mi czek na gotówkę...

- Okazałbyś się prawdziwym kumplem. Zaraz jutro odeślę ci z Kinji forszę. Jeden koleś wisi u mnie na dwie stowy.

Opinia Normana o Cohnie

doznała dramatycznego

uszczerbku, mimo to skinął na kelnera i wypisał czek. Cohn opowiadał tymczasem beztrosko:

- Widzisz, stary, nadziałem się na kilku oficerów z „Jerozolimy”. Poznałem ich jeszcze w izraelskiej marynarce. Cóż zrobić, praca na transatlantyku najwyraźniej przynosi ludziom szczęście w kartach...

Henny wróciła do stolika właśnie w chwili, gdy Norman, przyjawszy sto dolarów z rąk kelnera, wręczał je Cohnowi.

- A cóż to za ciemne interesy?

- zażartowała.

- Norm funduje mi bilet

powrotny na Amerigo - wyjaśnił Cohn, wpychając zwitek banknotów prosto do kieszeni. - Można by powiedzieć, że po trupie tej stowy wejdem na pokład samolotu.

- Uśmiechnął się od ucha do ucha. - Czy nie macie nic przeciwko temu, bym się już ulotnił?

- Oczywiście, że nie.

Jednakże...

- A więc do zobaczenia na Kinji. - Bob Cohn wstał. - Przywieźcie ze sobą Hazel.

Chłopaki z drużyny oszaleją na jej punkcie. Dzięki za wszystko, Norm. Pani także, Henny.

Odszedł od stolika.

Papermanowie przyglądali się, jak odbiera w szatni swój stary płaszcz przeciwdeszczowy i wychodzi z restauracji.

- I kto by pomyślał... -

mruknęła Henny.

- Tylko dlatego do mnie

zadzwoił - powiedział z niedowierzaniem Norman. - Potrzebował po prostu stówki.

- Jak to możliwe, że nie

buchnął mi bransoletki?

Następnego dnia, około wpół do

dziewiątej wieczorem,

przyniesiono Papermanom

wytapetowany znaczkami list polecony od Cohna. W kopercie oprócz banknotu studolarowego znajdowała się karteczka, na której nadawca nabazgrał ołówkiem:

„Henny i Norm! Iris przesyła pozdrowienia wam obojgu i zawiadamia przeze mnie Henny, że Hassim sprowadził już z Hongkongu te sześć krzeseł. Brzmi mi to jak szyfr szpiegowski, więc obawiam się, że skończymy wszyscy w kiciu. Przemyślałem sobie całą sprawę i założę się, że Balzac naprawdę był ciotą. Sheldon stanie się sławny, fartowni z was teściowie. O świcie wracam na Małego ĄPsa.

Bul, bul

Bob”

Minał tydzień. Sekretarka Lestera codziennie informowała Papermana, że pan Atlas wraca do Nowego Jorku następnego dnia. Norman próbował go złapać w hotelu „Capitol” w Butte, lecz nic z tego nie wyszło, a gorące prośby o telefon nie dały także żadnego efektu. Pod koniec tego tygodnia zdesperowany Norman odbył nieco dłuższą rozmowę z telefonistką hotelową.

- Ach, to znowu pan, panje Paperman! Owszem, pan Atlas nadal u nas zamieszkuje... Tak, jestem tego absolutnie pewna - powiedziała dziewczyna z akcentem charakterystycznym dla zachodniego wybrzeża, zalotnym głosem flirciary.
- Ale cjo zrobić, to człowiek prawie nieuchwytny, prawda?

Powiedziawszy to, zaniósła się niskim zmysłowym śmiechem i Norman ujrzał oczami wyobraźni wyuzdane orgie, jakie Lester urządzał z nią sobie prawdopodobnie w różnych porach nocy i dnia. Paperman poprosił telefonistkę, żeby pan Atlas do niego zadzwonił, a ona obiecała, że zrobi „cjo w jej mocy”. Lester nie zadzwonił.

Wieczorem tego samego dnia Henny i Norman wzięli udział w przyjęciu, wydanym na cześć sir Laurence'a Oliviera w mieszczącym się na najwyższym piętrze wieżowca apartamencie Dana Freeda. Freed, największy producent Broadwayu, drobny, bystry, krótko przystrzyżony brunecik o pomarszczonej twarzy, noszący się uparcie po studencku, był przed laty rywalem Normana w branży reklamowej. Pozostawali w przyjaznych stosunkach, ale ostatnio Freed zapraszał do siebie Papermanów tylko na mniej ważne przyjęcia. Obecne zaproszenie stanowiło jaskrawy dowód zmienionego statusu Normana - stał się teraz, choć zapewne na krótko - rozchwytywaną znakomitością. Ubierając się na ów wieczór Norman zdołał na chwilę zapomnieć o zgryzocie, o jaką go przyprawiał idący pocztą z Amerigo czek. Włożył elegancki, nabyty niedawno włoski smoking, a świadomość, że jest dobrze ubrany zawsze sprawiała mu dużą radość.

Na podobne przyjęcia

Papermanowie przybywali zwykle spóźnieni. Wiedzieli, że taka gwiazda jak Olivier nie zjawi się wcześniej jak w godzinę po ostatnim podniesieniu kurtyny. Kiedy weszli do długiego, podobnego do jaskini salonu, ścisk, gwar i gryzący w oczy dym papierosowy powiedziały im, że zjawili się w samą porę. Kłęby dymu były jeszcze gęstsze niż zwykle, ponieważ na dworze hulała wichura, zacinając deszczem ze śniegiem, więc otwarcie kogoś z wychodzących na park okien groziłoby - tu, na dziewiętnastym piętrze - odarciem kobiet z sukni. Dan Freed wynurzył się z oparów dymu i podbiegł do Normana, a pani Freed rzuciła się na Henny, już z daleka cmokając powietrze.

- Otóż i oni! - oznajmił

Freed, przekrzykując gwar rozmów, dźwięki fortepianu i świst wichury w szczelinach okiennych futryn.

Zebrani w pokoju goście odwrócili się jak na komendę i przywitali Papermanów oklaskami.

Gospodarze powiedli ich

następnie do bufetu, urządzonego pod oknem, w którym dzwoniły szyby, zapełnionego półmiskami wędlin i sałatek. Pośrodku tej zastawy stał ogromny tort, ozdobiony wykonanym z lukru widoczkim, wyobrażającym

mężczyznę, który tulił w
objęciach czekoladową
dziewczynę. Górą biegł łukowaty napis z różowego lukru:

„Norm plażowy podrywacz”

Okazało się, że Papermanom zrobiono kawał i zarazem przygotowano im niespodziankę - przyjęcie, wydane rzekomo na cześć Oliviera, okazało się w istocie pożegnalnym przyjęciem na cześć Normana i Henny. Wśród gości znajdowali się głównie znajomi Papermana z Broadwayu, choć obecne były również gwiazdy trzech wystawianych właśnie przedstawień Freeda. Norman zmiarkował natychmiast, że Dan wykorzystywał jego chwilową sławę dla oryginalnej w formie promocyjki własnych spektakli. Nie grymasił jednak i z miejsca wszedł w wyznaczoną mu rolę. Wygłosił nawet krótkie przemówienie, iskrzące się od stosownych żarcików, które wzbudzały salwy śmiechu. Szampan lał się strumieniami; na chwilę wpadł sir Olivier we własnej osobie; chwyt reklamowy Freeda okazał się sukcesem. Trzech różnych fachmanów z branży reklamowej podeszło podczas przyjęcia do Normana i zaproponowało mu odkupienie listy klientów, gdy tylko będzie gotów ją sprzedać. Jedyną osobą, nie licząc Papermanów, która skupiała powszechne zainteresowanie - pomyśleć: w takim gronie! - był pracujący dla Freeda inspicjent o imieniu Lionel, facecik mający pociągłą, zielonkawą twarz o drobnych nijakich rysach, bezbarwne włosy, nie znane nikomu nazwisko i sposób bycia sumiennego pracusia. Ludzie traktowali go zazwyczaj jak powietrze, chyba że czegoś od niego chcieli: żeby na przykład wyskoczył po kanapki albo przepisał na maszynie kontrakt.

Rozlegało się wówczas głośno:

„Lionel!”, a potem zdziwione

mruknięcie: „A, tutaj pan

jest!”, gdy okazywało się, że

wezwany stoi tuż pod bokiem

wołającego. Lionel miał dar

ubierania się w sposób, który

czynił go prawie niewidzialnym,

co wcale nie znaczy, że ubierał

się szaro. Tego wieczoru na

przykład miał na sobie garnitur

jaskrawozielony, tak się jednak

składało, że identycznego niemal

koloru były tapety w salonie

pani Freed, więc i tym razem

wtapiał się poniekąd w tło. Na

tym jednak przyjęciu znalazł się

wyjątkowo w centrum uwagi, a to

dlatego, że znał Amerigo. Choć

naciskano go ze wszystkich

stron, nie udawało się zeń

wydobyć ani jednego złego słowa

na temat tej wyspy. Według

Lionela, Amerigo była istnym

rajem na ziemi, wyspą

szczęśliwą, miejscem, gdzie on

sam chętnie by się pewnego dnia

osiedlił. Cudowny klimat,

przemiała ludność tubylcza,

urzekające krajobrazy,

fenomenalne plaże, Rafa Mew

wręcz nie do opisanego - w takich

tylko superlatywach wyrażał się

o Kinji. Ponieważ był tak

niepozorny, nikt go nie

podejrzewał o basowanie

Papermanom; Lionel nie miał we krwi skłonności do pochlebstw (jeśli w ogóle miał krew). Dano więc wiarę jego zachwytom i zanim przyjęcie dobiegło końca, Norman

otrzymał zapewnienia od niezliczonej liczby osób - co najmniej kilkudziesięciu - że wakacje zimowe spędzą w klubie „Rafa Mew”.

Nazajutrz z rana Paperman wysłał do Atlasa kolejny rozpaczliwy telegram z prośbą o jak najpilniejszą odpowiedź. Nadesłało ją w końcu towarzystwo telegraficzne „Western Union” i zaskoczyła go całkowicie: Atlas opuścił już hotel. Norman zadzwonił natychmiast do jego nowojorskiego biura i dowiedział się od sekretarki, że nic podobnego: Lester nadal przebywał w hotelu „Capitol” w Butte, rozmawiała z nim telefonicznie nie dalej jak dziś rano. Norman zadzwonił więc jeszcze raz do hotelu w Butte.

- Ach, to pan, panjcie

Paperman! Ależ tak, naturalnie!

- wykrzyknęła panienska z centralki telefonicznej. - Pan Atlas kazał powiedzieć, że gdyby pan zadzwonił, mam panu przekazać, że musiał wyskoczyć na krótko do St. Louis. Zadzwoni do pana stamtąd.

- Do St. Louis? A gdzie się tam zatrzymał?

- Tego nie powiedział. To taki żartowniś - zawołała i zaśmiała się gardłowo, prawdopodobnie do swoich wspomnień.

Paperman rzucił z wściekłością słuchawkę.

Wieczorem tego dnia odbyło się jeszcze jedno spotkanie pożegnalne, tym razem w gronie starych przyjaciół, przeważnie osób o przeszłości lewicowej, obecnie ustatkowanych, szanowanych obywateli w średnim wieku. Byli wśród nich: autor farsowych szlagierów, reżyser filmowy, kompozytor muzyki do popularnych piosenek; resztę stanowili przedsiębiorcy, lekarze bądź - jak Norman - ludzie działający w rozmaitych niszach show businessu.

Zebrał się wraz z żonami w mieszkaniu kompozytora przy Piątej Alei, spędzili razem wieczór żartując, pijąc alkohol i oddając się sentymentalnym wspomnieniom przy dźwiękach starych przebojów, wyśpiewywanych chóralnie z akompaniamentem fortepianu. Kiedy zrobiło się już późno, uronili nawet kilka łez, które osuszyło podanie ogromnej szynki z Wirginii, kręgu holenderskiego sera, bułeczek, kawy i ciastek. Gdy zaś - po wyjściu małżeństw z małymi dziećmi - ponownie skupiono się wokół fortepianu, gospodarz domu spojrzawszy chytrze znad klawiatury, po czym, ledwo muskając klawisze, zagrał melodię piosenki „Joe Hill”. Nikt z zebranych nie odczuł zapewne w tym momencie dreszczy równie gorących jak te, które przebiegły po ciele Normana Papermana.

W ciągu tego wieczora niemal każda spośród zebranych osób wyznała Papermanom, Normanowi lub Henny, przeważnie w cztery oczy i w zaufaniu, że to, co robią, jest czymś cudownym, krokiem godnym najwyższej zazdrości. Rosjanie odpalali właśnie na poligonach w syberyjskiej tajdze nowe potworne bomby, więc w Nowym Jorku panował nerwowy nastrój, Norman doszedł jednak do wniosku, że za tą nostalgią przyjaciół kryło się coś więcej. Wszyscy oni wkroczyli mianowicie w wiek, kiedy rutyna dnia codziennego skutecznie zabija nadzieje młodości. Przed sobą nie widzieli już żadnych perspektyw prócz wydeptywania dobrze znanych ścieżek aż do dnia, gdy zapadnia w postaci ataku serca, raka lub czegoś trudniejszego do przewidzenia, otworzy się pod ich stopami. Ich zdaniem, Papermanowie wyrwali się z celi śmierci i przenosili na piękne kwietniowe łąki; taki był zgodny ton, w różne tylko słowa ubranych opinii.

Przyjęcie, obficie zakrapiane alkoholem, trwało do późnej nocy, toteż dzwonek telefonu wyrwał rankiem następnego dnia Normana z głębokiego snu. Dzwonił dyrektor banku. Norman poprosił go niedawno, aby dał mu znać, jak tylko nadejdzie czek z Amerigo. Czek właśnie nadszedł, pięć tysięcy dolarów, płatne na

rzecz pani Amelii Ball, stan konta szanownego pana Papermana wynosi zaś czterysta siedem dolarów, co więc pan Paperman w tej sytuacji zamierza? Norman obiecał dyrektorowi banku, że odezwie się do niego jeszcze przed południem. Następne dwie godziny wypełniły mu rozpaczliwe próby odszukania Atlasa, Lester zaginął jednak w St. Louis podobnie jak odkrywcy biegunów przepadają bez wieści wśród lodów Arktyki.

Zaniechawszy w końcu bezowocnych starań, Norman spróbował po raz kolejny wymóc na Henny zgodę na sprzedaż mieszkania. Budynek, w którym się ono mieściło, uzyskał przed kilkoma laty status spółdzielni i Norman wykupił je za siedem tysięcy dolarów. Wiedział, że niejeden ze znajomych zapłaciłby obecnie za to lokum z pocałowaniem ręki dziesięć tysięcy, wystarczyło podnieść słuchawkę i zaproponować sprzedaż. Jednak Henny okazała się w tej sprawie nieugięta.

Pierwotnie zamierzali wynająć mieszkanie przynajmniej na rok, dopóki nie upewnią się, że ich karaibskie plany wypaliły, i Henny nie zamierzała od tego postanowienia odstąpić. Gdy Norman zaczął ją naciskać, warknęła ze złością, że mieszkania na razie nie sprzedadzą i basta. Nie ma nawet o czym mówić!

- A jeśli ci się to nie podoba, panie hotelarzu - zakończyła - pal cię diabli!
Norman zorientował się co prawda, że jest bliski zwycięstwa w tym sporze - Henny krzyczała zwykle najgłośniej na moment przed kapitulacją - w głębi duszy przyznawał jednak, że żona zajmuje rozsądne stanowisko. A gdyby coś się nie udało? Gdyby, na przykład, Atlas się wycofał? W tym akurat momencie wydawało się to aż nadto prawdopodobne.

Debet na koncie należało jednak pokryć. Norman znalazł się między młotem a kowadłem. Rozgoryczony i pokonany, zaczął w końcu wydzwaniać do owych konkurentów z branży, którzy na przyjęciu u Freeda wyrazili chęć odkupienia jego listy klientów.

O wpół do szóstej po południu, gdy siedział samotnie w swym biurze i wypijał trzecie martini, by złagodzić ostry ból serca, niespodziewanie zadzwonił Atlas. Powiedział, że miał zamiar zatelefonować z St. Louis, ale potem postanowił wracać w te pędy do Nowego Jorku i oto jest, zgłasza się do dyspozycji Normana. W czym rzecz? Po co te wszystkie telefony i telegramy?

Oświadczył, że finalizuje największy interes swojego życia, to przedsięwzięcie w Montanie, więc Norman musi mu wybaczyć, że trochę go zaniedbał.

- A co byś powiedział - wychrypiał - gdybym zaprosił ciebie i Henny na kolację do Sardiego, żebyśmy mogli sobie spokojnie pogadać? Zresztą i tak miałem ochotę zobaczyć się z Larrym.

Norman odmówił chłodno i opowiedział Lesterowi o kłopotach z czekiem bez pokrycia oraz o tym, jak sobie z nimi poradził. Odsprzedał mianowicie, za śmiesznie niską sumę siedmiu tysięcy pięciuset dolarów - w dodatku zupełnie żółtodziobowi w branży reklamowej, niejakiemu Spencerowi Warwickowi - listę klientów oraz logo firmy, czyli owoc trudu całego swojego zawodowego życia.

- Uważam, że dobrze zrobiłeś - pochwalił Atlas. - Zgoda na odstąpienie logo i klienteli w twoim kanciarskim fachu nie jest warta funta kłaków. Ten cały Warwick musi być kompletnym idiotą.

- Mów sobie, co chcesz, ja uważam, że moja lista klientów jest jednak coś warta - burknął Paperman.

- Co jest, Norm? Chyba masz muchy w nosie. Słuchaj, mogę ci dać te pięć patoli. Choćby jeszcze dziś wieczorem, gotówką. Wielka mi rzecz: pięć tysięcy dolarów! Do diabła, mogłeś poprosić moją sekretarkę, od ręki wypisałaby ci czek. Czyli rozumiem z tego, że sprawa posunęła się do przodu?

- Czyżby? Żeby dobić tego interesu trzeba jeszcze wyłożyć pięćdziesiąt tysięcy, Lester!

- Wiem, jakie kwoty wchodzi w grę, Norm. Kiedy możemy tam wyskoczyć i rzecz ostatecznie przyklepać? Co byś powiedział na wtorek? Nie, czekaj, we wtorek mam spotkanie w St. Louis... Więc może w środę? Jedziemy w środę!

- Mówisz o przyszłym tygodniu?

- zapytał z niedowierzaniem Norman, prawie całkiem już udobruchany. - Za sześć dni od dzisiaj?

- A po co zwlekać? Nie musimy ustalać tytułu własności ani niczego takiego, chodzi jedynie o dzierżawę. Podaj mi tylko nazwisko tego miejscowego adwokata.

- Słuchaj, Lester - muszę mieć w tej sprawie całkowitą jasność

- czy ty naprawdę jesteś gotów wyłożyć całe pięćdziesiąt tysięcy? Ja nie posiadam wolnej gotówki, którą mógłbym zainwestować. Ta resztką, jaka mi została, będzie Henny potrzebna na życie aż do...

- Powiedziałem ci chyba, że biorę na siebie stronę finansową, prawda? Wyłożę tę pięćdziesiątkę, dostaniesz też z powrotem tego piątała, którego zapłaciłeś. U mnie słowo to grunt, Norman! Jakże więc się nazywa ten adwokat? - Paperman podał mu nazwisko Collinsa. - Świetnie! Moje biuro wszystkim się zajmie, zamówi również bilety lotnicze dla ciebie, dla mnie i dla Henny. A więc w środę jedziemy na Amerigo, a we czwartek zaczynasz karierę hotelarza. Norm, jeśli ten projekt w Montanie wypali, zarabiam najmarniej cztery miliony. Bombowy interes! Tylko dlatego byłem ostatnio trochę nieuchwytny. Cztery miliony czystego zysku! Na dodatek bez żadnego ryzyka. Resztę opowiem ci we wtorek. Nie, czekaj, w środę... W środę! We wtorek muszę być w St. Louis. No to pa!

Norman odkrywał ze zdumieniem, jak liczne i głębokie więzy łączyły go z Manhattanem. Już coś tak pozornie błahego jak rozstanie z fryzjerem okazało się boleśnie trudne. Drobnym Włoch, który na Lexington Avenue prowadził obskurny zakład, odwiedzany przez słynnych aktorów, strzygł Papermana od siedemnastu lat. Co dziesięć dni przystępował do tego zadania z nerwowością artysty. Ilekroć Norman wracał z zagranicy z fryzurą zbeczeszczoną ręką obcego golibrody, Frank ronił łzy prawdziwego oburzenia. Wiadomość, że jego klient przenosi się na Karaiby, do głębi nim wstrząsnęła. Zbladł jak płótno i był bliski płaczu. Nie mógł się uspokoić, dopóki Norman nie zapewnił go, że przynajmniej raz w miesiącu będzie zjeżdżał służbowo do Nowego Jorku. Dopiero wtedy Frank otarł zaczerwienione oczy, opanował drżenie rąk, zebrał się w sobie i po raz ostatni ostrzygł Papermana.

Podobnie rozdzierające sceny pożegnania rozegrały się w sklepie z męską galanterią, u lekarza rodzinnego Papermanów, u kardiologa, u dentysty, u alergologa (Norman miał skłonność do astmy i kataru siennego), w księgarni, w kiosku z gazetami, prowadzonym przez pewnego ślepcę, u szewca (Norman szył sobie buty na miarę), u krawca oraz w kilku restauracjach, gdzie Paperman bywał stałym gościem. Każda nitka, jaka łączyła go z Manhattanem, brzęczała żałośnie, gdy ją zrywał. Odbyło się też kilka następnych przyjęć pożegnalnych - zakrapianych alkoholem wieczorów wypełnionych wspomnieniami, starymi przebojami, łzami, żartami i życzeniami pomyślności.

Papermanów żegnano w tych ostatnich gorączkowych dniach przed wyjazdem tak wylewnie i wystawnie, jakby udawali się rakieta na Księżyc.

W sobotę, wróciwszy do domu późną nocą z przyjęcia, Henny zaczęła się skarżyć na bóle brzucha. Początkowo winą za to Papermanowie obciążyli spożyte o północy krewetki w sosie curry. Nazajutrz Henny czuła się lepiej, ale po południu bóle powróciły, jeszcze silniejsze.

Henny wybrała się do lekarza domowego, który zbadawszy ją starannie zażartował, że gdyby on sam znalazł się w podobnej sytuacji - opowiedziała mu o ich

zamierzeniach - również dostałby kolki jelitowej. Plan przewidywał mianowicie, że Henny poleci z mężem na Amerigo, dopilnuje budowy i wykończenia nowych pokoi, potem wpadnie na krótko do Nowego Jorku, żeby załatwić sprawy związane z wynajęciem mieszkania i urządzić jakoś córkę, po czym wróci na dobre na Karaiby. Lekarz dał jej środek na nerwy. Tabletki wprawiły panią Paperman w stan wesołkowatego, przyjaznego ludziom zobojętnienia i uśmierzyły boleści. Jednakże w środę wieczorem, na kilka godzin przed wyjazdem na lotnisko, bóle wróciły. Henny uznała, że ich przyczyna jest z pewnością natury psychicznej. Wzięła dodatkową porcję pigułek, dostała po niej ataku chichotek i poczuła obezwładniającą senność. Ponieważ lało jak z cebra i wiał porywisty wiatr, Norman zadzwonił na lotnisko, mając nadzieję - słabą co prawda - że lot zostanie odwołany. Ależ nie, zapewniono go, lot się odbędzie; samolot, którym Lester wracał z St. Louis, również miał przybyć o czasie. Udali się więc na lotnisko Idlewild, trudna rada.

Ryk Atlasa dobiegł do nich zza dalekiego zakrętu korytarza na dobrą chwilę przedtem, zanim grubasa dojrzeli. Z nieustępliwością walca parowego parł przez zmoknięty, przygaszony tłum. Miał na sobie tweedową pelerynkę i kraciasty kapelusz; strój, wzorowany najwyraźniej na kostiumie Henry'ego Higginsa z pierwszej sceny „My fair lady”, wyglądał nieopisanie śmiesznie na jego wielorybiej sylwetce. Lester był porządnie wstawiony, tryskał humorem i nie sprawiał bynajmniej wrażenia zmęczonego, choć pod przekrwionymi oczami zwiślały mu wory przerażająco sine.

- Zarobię na tym interesie jakieś pięć milionów, Norm! - oznajmił głosem zgrzytającym niczym zdarta płyta. - Może nawet pięć i pół, jeśli nie skręcę sobie przy tym karku. Bombowy interes!

Z miejsca zaciągnął Papermanów do baru. Henny nie chciała pić. Siedziała osowiała i blada, podczas gdy Atlas, osuszając podwójnego bourbona, opowiadał chrapliwym głosem o wspomniałym planie, który przeprowadzał, a który polegał na przejęciu spółki kopalni miedzi, posiadającej ogromny majątek w ziemi. Jego walka o pakiet kontrolny zbliżała się do zwycięskiego końca. Kiedy tłuścioch zamilkł na chwilę dla zaczerpnięcia tchu, Henny oświadczyła nieoczekiwanie:

- Jedź sam, Norm. Ja wracam do domu.

- Co takiego? - wykrzyknęli jednocześnie obaj mężczyźni.

Choć nalegali, by zmieniła zdanie, okazała się głucha na ich prośby. Wraca do domu, i to zaraz, oświadczyła stanowczo, zbierając swoje rzeczy. Być może przyjedzie na Amerigo za kilka dni, ale w tej chwili wraca do domu i basta. Jej wykrzywiona bólem twarz tylko raz się wygładziła. Kiedy zawiodły argumenty apelujące do rozsądku, żarty i pochlebstwa, Paperman oznajmił w końcu:

- No cóż, w takim razie

wszyscy zwracamy bilety. Bez ciebie nigdzie nie jadę!

- Ależ ty musisz jechać, Norm

- powiedziała Henny, uśmiechając się w jakiś szczególny sposób. - Czy nie rozumiesz? Musisz zarobić na życie, mój hotelarzu.

7

W ciasnym gabinecie Collinsa panowała nieznośna duchota. Przez szczeliny w zielonych zasłonach wdzierały się oślepiające promienie słońca. Hałaśliwy wentylator rozwiewał dokumenty na biurku i obracając się na boki chłodził przelotnymi podmuchami spocone czoło Normana. Obaj nowojorczyści przyjechali późno i nie zdążyli się jeszcze przebrać. Norman nic nie jadł od samego rana, jeśli nie liczyć skurczonego ze starości pączka, który przełknął na sucho na lotnisku po przylocie. Czuł się fatalnie i zupełnie nie pojmował rzeczowegożywienia Lestera. Grubas siedział sztywno wyprostowany w skórzanym fotelu i błyskając szklami okularów uważnie studiował dokumenty; na jego obliczu, choć miał na sobie niebieski dwurzędowy garnitur z serży, nie dostrzegłoby się nawet jednej kropelki potu.

W pewnej chwili zwrócił się do siwego czarnego bankiera:

- Podany tu koszt obsługi bankowej jest skandalicznie wysoki!

- Taka jest nasza pesienta stawka, panie Ot_los.

- A więc zmienicie panowie tę stawkę na okoliczność niniejszej transakcji!

Tłuscioch przewrócił stronę dokumentu i oddał się znowu czujnej lekturze, zacisnąwszy wargi i pobłyskując szklami okularów. Palcami tłustej dłoni uderzał rytmicznie w blat biurka.

- Chciałbym zobaczyć weksle.

Collins podsunął mu niezwłocznie plik wąskich niebieskich karteluszków.

Adwokat przycupnął na twardym krzesełku po prawej stronie Atlasa, bankier na takimż krześle po lewej. Grubas zajmował miejsce za biurkiem na skórzanym fotelu Collinsa, w fotelach stojących przed biurkiem siedzieli Paperman i pani Ball, jedno obok drugiego. Angielka miała na sobie wzorzystą jedwabną sukienkę bez rękawów. Z jej twarzy nie schodził blady uśmiezek zakłopotania.

Norman nie miał zielonego pojęcia, co to takiego „koszt obsługi bankowej”. Nadal wczytywał się w kontrakt, usiłując rozgryźć warunki umowy. Wreszcie trzymał w rękę tę zamazaną, niewyraźną kopię tekstu, napisaną prawniczym żargonem na sześciu pelurowych kartkach. Zgodnie z zapowiedzią Atlasa, Paperman miał dostać czek na pięć tysięcy dolarów; przewidywała to klauzula na stronie czwartej; pani Ball winna otrzymać piętnaście tysięcy dolarów. Dalej następowały sążniste paragrafy, dotyczące jakichś weksli. Paperman nie potrafił jednak wyłowić żadnych konkretów z tej prawniczej prozy. Musiał polegać na Atlasie, że mu je objawi, teraz albo później.

Grubas rzucił tekst umowy na biurko.

- Poza kosztami obsługi, ten dokument nie budzi moich większych zastrzeżeń.

Bankier bezradnie rozłożył ręce.

- Panie Ot_los, radziłyśmy barco ująć panu na rękę.

- Zapewniam pana - wtrącił Collins - że na naszej wyspie tyle właśnie wynosi opłata za ryzyko pierwszego kredytu.

Atlas spiorunował bankiera wzrokiem i warknął tonem niespodziewanie brutalnym i szorstkim:

- Panie, nie dalej jak w

zeszłym tygodniu zażądał pan telegraficznie raportu o mojej wiarygodności kredytowej!

Llewellyn łypnął na niego spod oka.

- No suś, ja... my mamy swoje zasady, to rutynowa praktyka sy dużych transakcjach z uciałem nowo sybyłych...

- Co pan powie? A czy Nowy Jork nie uświadomił panu, że mogę pożyczyć milion dolarów bez zabezpieczenia, na samo moje nazwisko?

- Ales... - pan Llewellyn rozejrzał się wokoło zmieszany i kiwnął głową.

- Więc jakim prawem obarcza pan kosztami obsługi w wysokości czterech procent pożyczkę dwudziestu tysięcy dolarów, którą ja żyruję?

- Pożyczka udzielana jest właściwie panu Papermanowi - zauważył adwokat Collins.

- Doskonale! W takim razie usuwamy z umowy moje nazwisko!

- Panie Ot-loss, jeśli

można... bank nie uciela stawek specjalnych... osywiście, ze pocebujemy pańskiego zyra... Atlas zerknął na zegarek i podniósł się z fotela.

- To już trąci farsą, Norm.

Jeśli chcesz, możesz wracać ze mną lotem czarterowym. Nie będzie żadnego interesu.

Wychodzimy!

Adwokat i bankier poderwali się z miejsc i przytrzymali Atlasa za ramiona.

Norman był tak oszołomiony, że nie zdążył się nawet ruszyć, zaś pani Ball spoglądała na Lestera z wyrazem komicznego zdumienia. Paperman powziął nagle podejrzenie, że Atlas skorzystał z pierwszego lepszego pretekstu, żeby się wycofać z całej sprawy. Byłoby to do starego drania nader podobne!

- Panie Atlas, mówi pan o koszcie obsługi, który wyniesie raptem osiemset dolarów - przypomniał płaczliwym tonem Collins - a więc sumie całkiem nieznaczej wobec...

- Nieznaczej? W takim razie niech ją pan sam wyłoży! Idziemy, Norm.

Ruszył w stronę wyjścia.

Collins, który odznaczał się posturą gracza futbolowego, zastąpił mu drogę.

- Miałem na myśli - wyjaśnił - że to kwota całkiem nieznacząca wobec transakcji na kwotę pięćdziesięciu pięciu tysięcy dolarów!

- To, o czym panowie mówicie, jest dla mnie istną abhაკadabhą

- wyznała głośno pani Ball - ale jeśli ustępstwo z naszej sthony dotyczące tych ośmiuset dolahów zdołałoby zapobiec niepohozumieniu, nie uzależniałabym od tej kwoty powodzenia całej thansakcji.

- A więc, panie Atlas -

Collins zareagował błyskawicznie

- czy usatysfakcjonuje pana, jeśli to my pokryjemy koszta obsługi?

Atlas opadł z powrotem na fotel, a jego gniewna mina roztopiła się w przyjaznym uśmiechu.

- Byle Norm nie poniósł tych kosztów, nie obchodzi mnie, kto je pokryje. Dobra, stary, podpisujemy te papierzyska, jestem już trochę spóźniony. Widzicie panowie, mam po prostu organiczny wstręt do zawyżonych opłat manipulacyjnych.

Rozpoczęła się ostateczna ceremonia składania podpisów. Paperman sygnował wszystko, co mu podsunęto; za każdym razem zerkał na Atlasa i składał podpis dopiero wtedy, gdy tłusćcioch skinał aprobuszując głową. Należało podpisać wiele kopii licznych dokumentów. Pani Ball podpisywała tylko niektóre z nich, podobnie

jak Atlas i bankier, Paperman natomiast sygnował wszystkie bez wyjątku. W pewnej chwili bankier wręczył mu czek na pięć tysięcy dolarów i rechocząc przyjaźnie uściśnął mu dłoń.

- No suś, teras mogę już

naprawdę powiecieć: witamy na Amerigo, panie Pejpejmon.

- Pozostaje jeszcze

drobnostka, której nie zdążyliśmy sobie do końca wyjaśnić w trakcie naszej telefonicznej rozmowy - zwrócił się Collins z uśmiechem do Atlasa. - Mianowicie kwestia tych weksli. Rozumiem, że podpisujecie je panowie obaj?

- Ani mi się śni! Nie mam zamiaru podpisywać żadnych weksli - oświadczył kategorycznie Atlas.

Końska szczęka Collinsa opadła w wyrazie bezgranicznego zdumienia.

- Jak to, przecież panowie działacie wspólnie?

- Nabywcą jest Paperman. Ja zajmuję się tylko, z przyjaźni, pożyczką bankową. Poza tym ten cały interes nic mnie nie obchodzi.

Ton głosu Atlasa stał się ponownie szorstki i twardy. Przestraszony, że w ostatniej chwili mogą się pojawić jakieś nowe przeszkody, Norman zapytał:

- O jakich dokładnie wekslach mowa, Lester?

Atlas spojrział na niego z bezbrzeżnym zdziwieniem, po czym zdjął okulary.

- Nie czytałeś kontraktu, Norm?

Paperman roześmiał się nerwowo.

- Nie jestem prawnikiem ani finansistą, nie bardzo się na tym rozumiem...

- Rzecz jest dziecinnie prosta

- oznajmił Atlas pocierając oczy. - Do zapłaty przypada suma wysokości pięćdziesięciu tysięcy, prawda? Amy otrzymuje piętnaście patoli z banku i akceptuje weksle własne na pozostałe trzydzieści pięć tysięcy. Ot i wszystko.

- Ale przecież ja również dostałem pięć tysięcy - przypomniał Norman, powiewając czekiem.

Czuł się jak idiota, odsłaniając własną ignorancję, ale musiał koniecznie poznać fakty dotyczące tej kwestii. Stawało się to dla niego sprawą życia i śmierci.

- Rozumie się, Norm. Właśnie dlatego pożyczka bankowa wynosi dwadzieścia tysięcy

- wyjaśnił Atlas uprzejmie, tonem pełnym wyrozumiałości. - To zadatek, jaki wniosłeś, pojmujesz? Dostajesz go teraz z powrotem, jak ci obiecałem. Ten piątał będzie ci potrzebny na rozpoczęcie budowy. Masz dwa lata na spłacenie bankowi zadłużenia. Weksle Amy będziesz musiał wykupić dopiero po tym terminie; masz na to następne cztery lata. W sumie więc masz jakieś sześć lat na spłacenie całego długu, łącznie z procentami.

Papermana ogarnęła prawdziwa trwoga. Z przerażenia zrobiło mu się słabo; w końcu przejrzał kombinację Atlasa.

- Lester, zdaję sobie sprawę, że nie należę do najbystrzejszych biznesmenów na świecie...

- Podobnie jak ja, Norm.

Jestem tylko starym człowiekiem, który rąbie ludziom prawdę prosto z mostu i jakoś próbuje wiązać koniec z końcem.

- Pozwól, że się upewnię, czy dobrze to zrozumiałem. - Paperman zdał sobie sprawę, że mówi głosem dziwnie zachrypniętym. - Mam spłacić bankowi dwadzieścia tysięcy dolarów, a potem pani Ball następne trzydzieści pięć tysięcy, czy tak?

- Zgadza się. Plus procenty.

Przystależ na taką cenę, Norm.

- Ale to przecież oznacza, że będę musiał płacić... niech policzę... prawie tysiąc dolarów miesięcznie, czyż nie? Miesiąc w miesiąc przez sześć kolejnych lat!

- Zgadza się. Klub przynosi jakieś tysiąc czterysta, tysiąc pięćset miesięcznie, więc nie odczujesz specjalnego obciążenia.

Norman robił ołówkiem gorączkowe obliczenia na odwrocie jednego z dokumentów.

- Ależ, Lester, spodziewałem się, że taką sumę będę miał na życie! Może jestem kiepskim matematykiem, ale w tej sytuacji zostanie mi na życie w najlepszym razie pięć tysięcy rocznie dla całej mojej rodziny! Dotąd wydawaliśmy rocznie dwadzieścia i więcej tysięcy!

- Otóż właśnie, bracie, właśnie dlatego musisz zbudować te nowe pokoje, jasne? Dopiero na nich zarobisz. Paperman osunął się na fotel, wziął do ręki kontrakt i utkwiał w nim wzrok, nie po to, by czytać, lecz po prostu by uniknąć pełnych niedowierzania i rozbawienia spojrzeń bankiera, adwokata i pani Ball, do których dotarła oto jego zupełna ignorancja w przedmiocie transakcji, jaką zawarł.

- Prawdę powiedziawszy, to świetny interes - pocieszał go adwokat Collins. - Z tymi nowymi pokojami wyciągnie pan spokojnie piętnaście tysięcy rocznie, a po spłacie długu będzie pan spał na pieniądzech. Panie Atlas, nasze telefoniczne pertraktacje prowadziliśmy jak dżentelmen z dżentelmenem. - Położył przed grubasem, który przypatrywał mu się chłodno, plik niebieskich weksli. - Zapewniłem moją klientkę, że jest pan człowiekiem honoru i podżyruje zawartą transakcję. Jestem pewien, że tak pan postąpi.

Atlas spojrzął na zegarek, po czym przysunął gruby owłosiony paluch do nosa pana Collinsa, niemal go dotykając.

- Słuchaj pan, zaczyna mnie już wnerwiać to wszystko - powiedział twardo, głosem, od którego Paperman aż zadrżał, podobnym do warkotu pracującego na pierwszym biegu ciężkiego spychacza. - Amy zapłaciła za klub tej parze ciot sześć tysięcy. Myśli pan, że tego nie wiem? Ustaliłem to w pierwszej godzinie pobytu na tej wysepce. A dzisiaj odjeżdża z czternastoma kawałkami czystego zysku w gotówce. Do tego ma jeszcze weksle jako dodatkową premię. I pan się spodziewasz, że ja, Lester Atlas, te weksle podżyruję? Myślisz pan, że mógłbym pożyczać półtora miliona dolarów na samo nazwisko, gdybym szedł na takie interesy? Powiedz pan, a ile pan możesz pożyczyć na samo swoje nazwisko, cha?

Adwokat wpatrywał się w wycelowany w siebie palec, oblizywał wargi i przełykał ślinę.

- Jak panu wiadomo, szanowny panie - wybąkał - ceny nieruchomości na Karaibach poszły od tego czasu w górę...

- Jasne, że mi wiadomo, inaczej nie pozwoliłbym Normanowi pakować się w ten interes. Gwarantuję pożyczkę bankową, żeby mógł podjąć działalność, która mu odpowiada. Jeśli padnie, umoczę na dwadzieścia tysięcy. To moje ryzyko. Głębiej się w ten frajerski interes nie zamierzam angażować. Pan o tym wiedziałeś, panie Collins, więc dajmy już spokój tym bredniom! Podpisuj te weksle, Norm, bo muszę wracać do kraju. Mam kupę spraw na głowie.

Adwokat odwrócił się do pani Ball i rozłożył bezradnie ręce. Angielka wyprostowała się i powiedziała z uśmiechem do Normana:

- Mam całkowite zaufanie do pańskiego podpisu, panie Papehman. Jestem przekonana, że najzupełniej wystarczy, więc...

- Wskazała skinieniem leżące na biurku niebieskie karteluszk.

Collins wyjął pióro z podstawka na biurku i wyciągnął je w kierunku Papermana. Norman spojrział na plik niebieskich kartoników, a następnie przeniósł wzrok na Atlasa. Odchrząknął, lecz nie poruszył się.

- Mam to podpisać, Lester?

- Jeśli zależy ci na klubie „Rafa Mew”...

Papermana ogarnęła panika. Zupełnie inaczej wyobrażał sobie tę transakcję. Teraz zrozumiał, że wyszedł na ostatniego naiwniaka. Ślepo wierzył, że Atlas wypłaci mu pięćdziesiąt tysięcy dolarów, i wyobrażał sobie mgliście, że zwróci je kiedyś, w bliżej nieokreślonej przyszłości. Tymczasem Lester Atlas działał zupełnie inaczej, nie na ślepo. Kierował się jasno określoną, żelazną regułą: nie rozstawać się niepotrzebnie z ani jednym dolarem. Zaaranżował tę transakcję i zainstalował Papermana w branży hotelarskiej, nie wydając przy tym złamanego centa. Udało mu się nawet sprawić, by Norman z własnej kieszeni zapłacił za nowe pokoje, sprzedając swą listę klientów. Pięć tysięcy, które mu teraz zwrócono, to była jego własna forsa, zdobyta w desperacki sposób dla pokrycia czeku; obecnie pożyczal ją znowu od banku. A mimo to, czyż mógł zarzucić Atlasowi, że nie dotrzymał słowa?

Osiem par oczu wpatrywało się uważnie w Papermana. Wentylator szumiał i terkotał w ciszy, jaka zaległa w niemiłosiernie dusznym pokoiku. Norman poczuł nieprzepartą chęć, żeby czmychnąć stamtąd, póki czas. Serce waliło mu jak oszalałe, pot ściekał strumyczkami spod pach, w ustach mu zaschło, na domiar złego wciąż czuł w nich ohydny smak zjełczałego tłuszczu, na jakim usmażono pączka, którego zjadł na lotnisku. Czyż mógł się teraz wycofać? Miałby wrócić do Nowego Jorku i szukać nowych klientów?

Miałby stanąć twarzą w twarz z przyjaciółmi, którzy tak radośnie fetowali jego wkroczenie na nową, wspaniałą drogę życia? Jak zdołałby spojrzeć w oczy Henny po tak sromotnej porażce?

- Nie tego się spodziewałem, Lester - wykrztusił w końcu napiętym głosem.

Atlas zmierzył go drwiącym spojrzeniem.

- A czego, kolego? Jałmużny?

Paperman wstał i wyjął pióro z przepoczonej wewnętrznej kieszeni marynarki. A potem podszedł do biurka i złożył swój podpis na wszystkich niebieskich karteluszkach po kolei.

`tt
Część II

Część druga

Mój panie gospodarzu

Rozdział piąty

Dzień pierwszy

1

Atlas opuszczał Amerigo w doskonałym nastroju. Ostatnie polecenie, jakie wydał Papermanowi z okna taksówki, brzmiało:
- Miej oczy otwarte na każdy apetyczny kawałek ziemi, jaki się pojawi na rynku, rozumiesz? Oto na czym zbijemy na tej wysepce prawdziwą forszę!

Nie okazał ani śladu skruchy za to, że wywiódł w pole i skrzywdził Normana. W swoim mniemaniu odegrał rolę świętego Mikołaja, podzwaniającego wesoło dzwoneczkami i pohukującego dobrodusznie „ho, ho, ho!” Norman doszedł do wniosku, że Atlas jest po prostu gruboskórnym nosorożcem w ludzkiej postaci, więc nie ma sensu tracić nerwów złościąc się na niego. Zawiózł swój bagaż na Rafę Mew i wprowadził się do Białego Domku, bowiem pani Ball dopiero nazajutrz rano miała opuścić apartament w głównym pawilonie. Wziął rozkoszny prysznic, po czym ubrał się jak przystoi hotelarzowi w tropikach: różowa koszula, czarne szorty, czarne podkolanówki, czarne klapki, wszystko niezobowiązujące, nieskazitelne i eleganckie. Idąc przez trawnik poczuł, że jego zdruzgotany duch zaczyna ożywać. Cokolwiek miało nastąpić, kroczył po własnym trawniku! Po raz pierwszy w życiu jego stopy dotykały ziemi, której był pełnoprawnym właścicielem. Z trawiastej powierzchni koralowej wyspy wlewało się w jego żyły poczucie władzy i znaczenia. Niewątpliwie, znalazł się w trudnej sytuacji, najtrudniejszej, z jaką spotkał się w całym swoim życiu, a Lester Atlas postąpił jak ostatni, kuty na cztery nogi łajdak, ale czyż można się było po nim czego innego spodziewać? Zresztą co za różnica, czy był winien pięćdziesiąt pięć tysięcy bankowi i pewnej Angielce, czy Atlasowi? Chyba nawet lepiej mieć za wierzycieli tych pierwszych. Lester potrafił być bezwzględny. Na tarasie jadalnym panował tłok. Zbliżał się pierwszy grudnia i wstrętna pogoda na północy nagoniała już rybki do nowo nabytej sieci Papermana. Ta sieć mogła się okazać czarodziejską siecią. Klub był uroczy, panujący na wyspie klimat - prawdziwie rajski. Paperman usiadł samotnie przy małym stoliku koło balustrady

i zamówił martini i pstrąga. Thor, z miną typową dla Europejczyka witającego nowego właściciela, wyszedł z baru w swych malowniczych łachmanach, żeby podać szefowi martini.

- Lycka till, proze pana. Do po żwiedzku: wszyzdkego nalepszego.
 - Lycka till, Thor. Zdaje się, że mamy dziś ruch w interesie.
 - Owżem. Może chcałby pan po połudnu rzuczycz okem na kszażki rachunkowe? Zyszdko panu wyaszne, do nedrudne.
 - Świetnie! Powiedzmy o czwartej w biurze.
 - Dobrzy, o czwardy.
 - Doskonałe martini, Thor.
- Jedną ze spraw, o których powinniśmy pomówić, jest podwyżka twojej pensji.

Oczy barmana zabłysły.

- Dżemu ne.
- Przy okazji, nie widziałeś dziś przypadkiem pani Tramm?
- Ne, proze pana, chyba

dy pany du ne ma.

Pstrąg okazał się wyborny, kawa odpowiednio gorąca, polana sosem Roquefort, sałata chrupiąca i świeża, obsługa szybka i sprawna. Dwie skromnie uśmiechnięte, niebrzydkie czarne kelnerczki w beżowych mundurkach stały nad Papermanem gotowe na każde skinienie. Norman zaczynał sobie cenić zalety szefowania; jeszcze nigdy nie obsługiwano go z takim oddaniem. Druga popołudniu, pomyślał ziewając, pora pobyczyć się z godzinkę na słońcu przed Białym Domkiem; potem pływanko i drzemka, a potem przejrzymy sobie księgi rachunkowe. Jak dotąd żyć nie umierać! Nie dalej jak kilka godzin temu miał wrażenie, że świat się kończy, tymczasem wcale niewykluczone, że dla niego dopiero się zaczyna!

2

Kiedy Paperman wszedł do biura, Thor już na niego czekał, rozłożywszy na obu biurkach księgi rachunkowe; ścigał właśnie gumki z grubych zwitków rachunków i paragonów. Biuro, mieszczące się na tyłach recepcji i centralki telefonicznej, wypełniało ciasną przestrzeń pod schodami na piętro, więc sufit opadał tu stromo uskokami schodów, a okien wcale nie było. Poskrzypujący i grzechoczący wentylator w nieznacznym tylko stopniu łagodził zastygły nieruchomo żar. Sufit, ściany i podłogę pomalowano niedbale na kolor jadowicie zielony. Umebłowanie składało się z dwóch pokrytych kurzem starych biurek, pary starych krzeseł, małego sejfu, wielkiego zardzewiałego sumatora na korbkę oraz zabytkowej maszyny do pisania. Na stoliku obok stosu czystych formularzy jadłospisów stał ponadto cuchnący tuszem powielacz. Walcząc z nudą, która - ledwo ujrzał ten pokój, te urządzenia i papierzyska - błoną otępienia powlekła mu mózg, Paperman, wciąż rozespany po popołudniowej drzemce, zasiadł do swej pierwszej lekcji z hotelowej buchalterii. Zaczął od pytania, dlaczego w biurze nie ma klimatyzacji. Thor odpowiedział, że Amy zrobiła nawet kosztorys takiego usprawnienia; wyniosłoby z górą trzysta dolarów. Wiadomość ta nieco ostudziła Papermana. Ujrzawszy jednak w wyobraźni

siebie i Henny, spędzających długie godziny w tej skośnej, dusznej zielonej dziurze, zdecydował:

- Trudno, to niezbędna inwestycja! Instalujemy!

Thor skinął głową i wyszczerzył w uśmiechu zęby.

- Dobrzy. Będzie wygoda.

Następnie przedstawił nowemu pryncypałowi listę płac hotelowego personelu. Szefowa kuchni, Sheila, kierowała kuchciami i sześcioma kelnerkami. Ponadto klub „Rafa Mew” zatrudniał sześć pokojówek; ich przełożoną była „da czężarna”, niezamężna panienska imieniem Esm~e. Paperman wyraził zdziwienie liczbą personelu. Hotel wraz ze wszystkimi domkami mieścił zaledwie czterdziestu czterech gości, a posiłki wydawał jedynie siedemdziesięciu stałym stołownikom. Thor zgodził się z Normanem, że zatrudnienie jest absurdalnie wysokie, dodał jednak, że Paperman zrozumie przyczyny tego stanu, kiedy dłużej pobędzie na wyspie. Kinjański pracownik zarabiał mało, ale i robił niewiele. Następnie Szwed pokazał Normanowi wiszącą na ścianie korkową tablicę; podzielono ją na miesiące i dni, a przypięte do niej kolorowe paski tektury informowały o rezerwacji poszczególnych pokoi. Każdy pasek był opatrzony nazwiskiem przyszłego gościa, a jego długość oznaczała przewidywany czas pobytu. Norman przekonał się, że styczeń i luty na tablicy były już niemal całkiem pokryte tekturowymi paskami.

- Doskonały pomysł! -

powiedział z uznaniem. - Jedno spojrzenie i widzisz cały sezon jak na dłoni.

- Czo ne? Do mój pomysł - pochwalił się Thor. - Do dzałkym dobrze dżala. Grudżyn y marcz sze wypełnayom na oszdadku, ale do deż dobre meżacze.

Następnie zaczął wprowadzać nowego szefa w tajniki księgowości. Pokazywał mu księgi główne i pliki kwitów, wskazywał poszczególne kolumny liczb, a terkotał przy tym jak karabin maszynowy. Norman już po kwadransie zrezygnował z ambicji rozumienia, co do niego mówią. Od czasu do czasu z odmetów skandynawskiej angielszczyzny wypływał jakiś znajomy termin; inwentarz, bieżący bilans, księga gotówkowa. W takich momentach Paperman kiwał ze zrozumieniem głową i oznajmiał:

- Tak jest, inwentarz, rozumiem.

Lekcja była dziwaczna, lecz pokrzepiająca. Wszystko wskazywało na to, że Thor w pełni panuje nad rachunkowością. Poinformował Normana, że w każdy poniedziałek do klubu przychodzi czarny zawodowy księgowy, by sprawdzić i zbilansować księgi. Norman pojął, że jeśli o księgowość idzie, nie ma powodu do zmartwień. Odsiedział jednak jeszcze godzinę w tej łaźni parowej pod schodami, uśmiechając się i potakując cierpliwie, gdyż pragnął, by Thor poczuł się należycie doceniony.

- Widzę, że to wszystko działa bez zarzutu - oświadczył, gdy barman, ku jego nieopisanej uldze, zamknął wreszcie księgi i jał opinać gumkami zwitki kwitów. - Niczego tu nie zmieniajmy. Jestem bardzo zadowolony, Thor. Czy mamy coś jeszcze?

- Dylko edno. Kończy nam sze woda.

- Jak to? Tu, na wyspie?

Thor parsknął śmiechem.

- Woda z morza dla nasz nydobra.

Następnie wyjaśnił - zwolniwszy tempo wypowiedzi i wyraźniej wymawiając słowa - że opady deszczu na Amerigo, podobnie jak na większości karaibskich wyseppek, są bardzo nieregularne; czasem bywa tu potop, ale częściej susza. W Georgetown działają publiczne wodociągi zasilane przez tradycyjne studnie, a w porze suchej wspomagane dodatkowo raz w tygodniu dostawami wody, przywożonej barką z francuskiej wyspy Gwadelupa. W domach stojących za miastem zbiera się deszczówkę na dachach i gromadzi w cysternach specjalnie do tego celu budowanych, i taki też system funkcjonuje w klubie „Rafa Mew”. Przestrzeń dachowa jest tu rozległa,

cysterna mieści blisko sześćset tysięcy litrów, ponadto każdy domek przy plaży ma własną cysternę i pompę, a wszystkie połączone są wspólną siecią z instalacją wodociągową głównego pawilonu. Łączna pojemność zbiorników jest ogromna - prawdę mówiąc nikt nie zna ich dokładnej kubatury - więc zwykle nie miewają z wodą kłopotów, ale obecnie, w następstwie wyjątkowo długiej suszy, zapasy wody skurczyły się tak bardzo, że wystarczy jej zaledwie na dwa dni.

Skwitowawszy uśmiechem wyraz konsternacji, jaki pojawił się na twarzy Papermana, Thor zapewnił, że w gruncie rzeczy nie ma powodu do obaw. Barka powinna przyplłynąć nazajutrz, a Francuzi zawsze do tej pory zaopatrywali klub, kiedy poziom wody niebezpiecznie spadał. Po prostu ktoś będzie musiał stanąć o jedenastej na molo, kiedy będzie wchodziła do kanału, i energicznie machać rękami, kapitan barki jest bowiem zazwyczaj zbyt pijany, by mógł dostrzec subtelniejsze znaki.

- Czy musimy mu za tę wodę płacić? - zaciekawiał się Paperman.

- Ne, do rządowa woda.

- A więc płacimy rządowi?

- Ne. Nycz ne musimy

płacycz. - Thor przeczesał palcami gęstą blond czuprynę. - Muże už wracacz do baru. Zaczyna sze duży ruch...

- Chwileczkę, Thor. Wyjaśnij mi, jak to możliwe, że przywożą nam wodę z Gwadelupy za darmo? To zastanawiające.

- Wydźy pan - Thor ściszył głos. - Lorna szeszt dziewczyną szenatora Pullmana.

- Słucham? Jaka Lorna? Jakiego znów szenatora Pullmana?

Senator Evan Pullman, wyjaśnił barman, jest jednym z siedmiu członków parlamentu, przywódcą partii i przewodniczącym podkomisji usług komunalnych. Zanim zaczął stanowić prawa, prowadził bar w klubie „Rafa Mew”. Z kolei Lorna pracuje tu jako recepcjonistka i telefonistka. (Norman zauważył już, ma się rozumieć, olśniewającą młodą Murzynkę, zasiadającą za kontuarem recepcji). Thor wyjaśnił z uśmiechem cokolwiek obleśnym, że hotel płaci jej grubo więcej, niż wynosi obecnie stawki dla kobiet, ale znacznie mniej, niż musiałby płacić za blisko dwa miliony litrów wody, dostarczanej w ciągu roku przez barkę. Taki układ trwa już od kilku lat. Wszyscy są zadowoleni, więc nie ma powodu do obaw.

- Muszy pan dylko dopylnowadź

- dodał Thor - żeby żłapacz dom barkę, gdy będzie wpływacz, bo wypływa puszcza i drzeba by czekacz do naszdępnego razu.

- A ty sam nie mógłbyś tego jutro dopilnować, Thor?

Norman był zarazem oszołomiony i rozbawiony rewelacjami, które usłyszał.

- Dobrze, oczywyszcz. Chczałem dylko, by pan o dym wydżał.

Drzwi otworzyły się i do biura zajrzała kochanka szenatora Pullmana, uśmiechając się zalotnie; był to zapewne wyraz twarzy, jaki Lorna przybierała zawsze w chwilach wytchnienia. Ubierała się w delikatne białe koronki, miała piękne rysy, skórę czarną, gładką jak aksamit, i szare, ogromne oczy.

- Ci chcie pan lośmawiać ś Nowim Jolkiem, panie Pejpelom? Dośtałam właśnie połączenie.

- Doskonale. Zostań jeszcze chwilkę, Thor, chciałbym z tobą omówić kwestię twojej podwyżki.

- Ne ma poszpechu - odparł barman i wyszedł z biura.

Po kilku przeraźliwych trzaskach rozległ się w

słuchawce głos Henny, w którym Norman dosłuchał się tonu przygnębienia.

Powiedziała, że bóle na razie ustały, ale lekarze podejrzewają - „ni mniej, ni więcej, wyobraź sobie!” - kamienie żółciowe. Chcą ją poobserwować przez dwa, trzy tygodnie.

- Dlaczego aż trzy? Co tu jest do obserwowania? - zdziwił się Norman. - Jeśli masz kamień, wykaże to zwykle prześwietlenie.

- Otóż nie! Prześwietlenie niczego nie wykazało, ale lekarze twierdzą, że istnieje rodzaj kamienia niewidoczny dla promieni rentgena. Czy to nie zabawne? Wygląda na to, że mój organizm wytwarza brylanty.

- To by rozwiązywało nasze problemy. Taka żona jak ty to prawdziwy skarb.

- Nie mówmy już o tym. Jestem wściekła z powodu tej zwłoki, więc jeśli przez kilka dni nic mi nie będzie dolegało, wyjeżdżam i niech diabli wezmą lekarzy razem z ich przezroczytymi kamieniami! Opowiedz mi lepiej o hotelu. Załatwiłeś wszystko?

Nie szczędząc ostrych słów pod adresem Atlasa Norman opowiedział żonie o przebiegu transakcji. Henny zaprotestowała, kiedy nazwał Lestera starym łobuzem i kłamcą.

- A niby w czym cię okłamał?

Powiedział, że bierze na siebie stronę finansową i zrobił to, prawda? Masz hotel, za który nie zapłaciłeś gotówką złamanego centa.

- Jak to? A te pięć tysięcy?

- Dostałeś je z powrotem.

- Owszem, lecz muszę je zaraz wydać na nowe pokoje.

- A nie potrzebujesz nowych pokoi?

- Posłuchaj, dla mnie jest istotne, że to Lester nie wydał złamanego centa.

- Nie dziwię się! W tej

konkurencji jest niekwestionowanym mistrzem świata. Ale czemu cię to boli, skoro załatwił ci ten klub?

- Załatwił mi również dług w wysokości pięćdziesięciu pięciu tysięcy dolarów, do spłaty w ciągu sześciu lat! Oto, na czym polega istotna różnica.

- Taka była cena za ten hotel, skarbie. Spodziewałeś się, że Lester ofiaruje ci „Rafę Mew” w prezencie chanukowym?»*

Chanuka - ośmiodniowe żydowskie święto, upamiętniające zwycięstwo Machabeuszów.

- Spodziewałem się, że

będziemy współnikami lub kimś w tym rodzaju. Spodziewałem się, że on da forszę a ja... że tak powiem... - urwał.

- Swoje doświadczenie hotelarskie - dopowiedziała kpiąco.

- Dobrze, już dobrze! -

burknął gniewnie.

- Widziałeś się z tym

oryginałem Cohnem? Hazel wciąż wspomina o tym szurniętym nurku. Zaczęła nawet przebąkiwać o spędzeniu Bożego Narodzenia na Amerigo.

- Nie może być? Lepiej

sprawdź, czy i ten facet nie ma już żony.

- Bo ja wiem? Na weekend nasza córka wybiera się z Dopustem do Asbury Park. Podobno na jakiś festiwal muzyki ludowej.

- Do Asbury Park? Na litość boską, dlaczegoś jej na to pozwoliła?

- Po prostu pojechali tam i zarezerwowali miejsca. W hotelu „Pine Grove”.

Zabawne, swoją drogą, nie uważasz? To ten sam hotelik, do którego myśmy się swego czasu wymykali. Wyobraź sobie, wciąż stoi.

- Powiedz Hazel, że

kategorycznie zabraniam jej tam jechać! - wykrzyknął Norman.

- Powiem - obiecała Henny. - Dziewczyna chodzi ostatnio przygaszona, zresztą

podobnie jak ja, więc niech się trochę rozerwie. Będę dzwoniła, gdyby zaszło coś pilnego, jeśli się nic nie zdarzy, ograniczajmy się raczej do listów.

Astronomiczne rachunki za telefon to nie najlepszy wstęp do spłaty pięćdziesięciu pięciu patoli.

Lorna obrzuciła wychodzącego z biura Papermana spojrzeniem łaszczącej się kotki.

- Siedemnaście minut -

poinformowała. - Pieńdziesiąt ziewnięć dolarów plus podatek.

Po zatęchłym zaduchu klitki pod schodami Paperman z ulgą odetchnął chłodnym, przepojonym wonią kwiatów powietrzem holu. Zaczął się nawet zastanawiać, czyby nie uwzględnić w projekcie przebudowy przestronnego nowoczesnego gabinetu, ale po namyśle zrezygnował z tego pomysłu. Jedynym celem podejmowanej modernizacji winno być powiększenie przynoszącej dochód powierzchni mieszkalnej.

Wchodził do baru z nadzieją, że spotka Iris, której jeszcze po przyjeździe nie widział, tymczasem ujrzał siedzących przy małym stoliku adwokata Collinsa, Texa Akersa i bankiera Llewellyna. Wszyscy trzej nosili ciemne garnitury i krawaty. Akers, umyty i ogolony, wyglądał zupełnie inaczej niż w roboczym ubraniu, niemal dystygnowanie. Trzeba korzystać z okazji, postanowił Paperman i z kieliszkiem martini w ręku podszedł do ich stolika. Trzej mężczyźni siedzieli nad nie tkniętymi szklankami piwa, pogrążeni w jakiejś poważnej rozmowie.

- Czy mogę panom na chwilę przeszkodzić?

- Ales prosimy! - Bankier podsunął mu krzesło.

- Proszę pana - zwrócił się Paperman do Texa Akersa - może jednak zmieniłby pan zdanie i zbudował dla mnie te nowe pokoje? Zanim moja żona będzie tu mogła przyjechać, upłynie pewnie trochę czasu, a chciałbym je mieć gotowe przed Bożym Narodzeniem. Henny podobały się pańskie plany, więc czemu nie miałby pan od razu przystąpić do pracy? Zadanie nie wydaje mi się trudne, jestem pewien, że zdoła pan wykroić dla mnie parę dni w swoim kalendarzu.

Akers zerknął na towarzyszy, uśmiechnął się i poskrobał w rzednącą czuprynę.

- To zabawne, że zgłasza się pan z tą propozycją właśnie teraz - oświadczył swoim ciepłym, rozluźnionym głosem. - Mam akurat chwilowy przestój w Zatoce Krabów. O tym żeśmy właśnie z panami rozmawiali. Prawdę mówiąc, mógłbym już jutro przerzucić tu ekipę i wziąć się do roboty. Przyznam, że nawet mi to na rękę.

- Ma pan szczęście - zapewnił Papermana Collins. - Tex jest w stanie zbudować panu te nowe pokoje w tydzień.

- Bez trudu - potwierdził budowniczy.

- Oszacował pan koszt

całkowity na circa trzy tysiące pięćset dolarów - przypomniał Paperman.

- No cóż, żeby nie było potem żadnych nieporozumień, wolałbym powiedzieć cztery. Policzę panu wyłącznie za materiały i robociznę. Jeśli wyjdzie taniej, znakomicie. Przynajmniej ludzie mi nie zardzewieją. - Roześmiał się i wzruszył ramionami. - To za drobna robótka, żeby nastawiać się na zysk. Jeśli wypadnie poniżej trzech i pół tysiąca, postawi mi pan skrzynkę szkockiej i będziemy kwita.

- Dziękuję, to bardzo

uprzejmie z pana strony, ale uważam, że powinien pan osiągnąć jakiś zysk.

Chciałbym ponadto dostać od pana kosztorys na piśmie dla księgowości.

- Nie ma sprawy.

- Cy będzie pan posebował

pozycki budowlanej? - spytał bankier. - Z radością panu... i panu Ot_losowi, zec jasna... takiej ucielimy.

- To drobna robótka -

oświadczył Paperman w przypływie grandezzy. - Załatwię rzecz gotówką.

Akers podał mu rękę.

- A więc jutro w południe stawiam się z moimi ludźmi do roboty.

Norman poszedł spać wcześniej

- zmęczony, ale dobrej myśli.

Sala jadalna była wypełniona do ostatniego miejsca, kasa przy barze dzwoniła co jakiś czas zachęcająco, taneczne pary kręciły się na oblanym poświata księżycyca

parkiecie na tarasie, a Thor wręczył mu już płócienny woreczek z dziennym utargiem, żeby go schował do starego sejfu w biurze, a rano złożył w banku. Ten najbardziej doniosły dzień w życiu Papermana zaczął się fatalnie, ale kończył nader pomyślnie. Normanowi było nie w smak, że musi spać sam w Białym Domku i jego ostatnie myśli przed zaśnięciem błąkały się wokół Henny i jej przezroczystego kamienia żółciowego. Zastanawiał się też, gdzie się podziała Iris. Zapadał już w sen, gdy dobiegł go odgłos otwieranych, a potem zamykanych drzwi Różowego Domku, i usłyszał radosne szczekanie Ziółka, ale był tak zmęczony, że nie chciało mu się nawet palcem ruszyć.

3

Obudziło go natarczywe dobijanie się do drzwi.

- Panie Pej-pom! Panie Pej-pom! Jeś pan tam?

Kolejna seria łomotaniny.

Paperman z wysiłkiem rozkleił powieki, usiadł i zamrugał oczami; blask słońca na wodzie zupełnie go oślepił. Minęła dłuższa chwila, nim zdał sobie sprawę, gdzie się znajduje i co tutaj robi. Spał snem sprawiedliwego i śnił o Nowym Jorku.

- Tak? Kto tam?

- Sieja! Sieprasiam, sie pan buce.

- A, to ty, Sheilo!

Chwileczkę.

Sheila pracowała w klubie jako szefowa kuchni. Norman poznał ją kilka tygodni temu w czasie pierwszej wizyty na Rafie Mew. Ta wielka niczym góra, kłótliva Murzynka o czarnych jak węgle oczach i gęstych nastroszonych brwiach, nieustannie ociekająca potem, panowała niepodzielnie w ciasnej, cuchnącej kuchni, komenderując wrzaskliwie dwiema uwijającymi się jak w ukropie, wiecznie nadąsanymi kuchtami. Paperman nie pojmował, jak to możliwe, by tak wyborne dania, przygotowywane dla tak wielu gości, mogły powstawać w tej piekielnej, cuchnącej dziurze, a jednak niezaprzeczalnie tam powstawały, więc musiał uznać ten fenomen, postanowił tylko nie przestępować nigdy progę królestwa Sheili. Tymczasem to ona zjawiła się u niego.

- Która godzina, Sheilo? - zawołał, zwlókłszy się z łóżka i sięgając po szlafrok.

- Fadrans po.

- Kwadrans po której?

- Siesiomtej.

Ledwo otworzył drzwi, podała mu pokryty jakimiś bazgrołami, poplamiony krwią papier. Miała na sobie obszerny fartuch, a na głowie czapę szefa kuchni, i jak zwykle pociła się obficie.

- Co to jest?

- Jahunek Maria ś rynku. Mario nie daje kredyt. Cieką ś mięsio w gufni budinek na ziapłat.

- Więc powiedz Thorowi, żeby mu zapłacił.

Cior wisied, a ja musie mnieć mięś na obiad, prosiepan.

- Ile ci potrzeba?

- So jętnaście tolalów.

Paperman westchnął z rezygnacją, wyjął książeczkę czekową i wypisał czek. Sheila odeszła, wachlując się czekiem i burcząc coś gniewnie pod nosem.

Norman ubrał się i powlókł przez trawnik w stronę głównego pawilonu, w połowie drogi zatrzymał się jednak jak wryty, uderzony niezwykłym widokiem. Przy pomoście przystani cumował ogromny czerwony jacht, na którego pokładzie odbywało się wesołe przyjęcie, przeznaczone najwyraźniej wyłącznie dla białych. Do uszu Papermana dolatywał gwar rozmów i strzępki wyśpiewywanych na całe gardło piosenek. W najwyższym stopniu zdumiony, podszedł do żaglowca - pięknego nowiutkiego statku: kadłub pomalowano lakierem na kolor jasnoczerwony, strzeliste maszty na żółto, ich mosiężne okucia lśniły w słońcu.

- Kogo ja widzę! Nohman

Papehman! Skah-bie! Otóż i on, mój dohoczyńca kochany! Chodź na pokład, kochanie, i wypij z nami kieliszek szampana!

Phędzej!

Ponad głowami stłoczonych gości pani Ball machała do Normana muskularnym brązowym ramieniem.

Wszedł na jacht po wyłożonym gumowym chodniczkiem trapie. Angielka, z kieliszkiem szampana w ręku, ubrana w elegancką białą plisowaną suknię, umalowana jak lalka, przedarła się przez ciżbę; jej czekoladowe ramię objęło Normana.

- Witaj na pokładzie „Poświaty Księżycy“, skahbie! Zdażyłeś w samą pohe, odpływamy za kwadhans. Napij się z nami. Czyż to nie piękny jacht? Należał do Toma Tilsona, a tehas należy do mnie. W całych Indiach Zachodnich nie znajdziesz mu hównego, zapewniam cię...

Paperman zorientował się od razu, że otacza go tłumek „bandy ze wzgórza“: pewni siebie, opaleni ludzie w średnim wieku albo nieco starsi, ubrani z niewymuszoną elegancją, sami goje, swobodnie wyniośli, uśmiechnięci, w zażyłej ze sobą komitywie, większość o błyszczących źrenicach pijaków bądź z podkrążonymi oczami nałogowych alkoholików. Tu i ówdzie widziało się parki wytwornych pedałów, znakomicie ubranych, z krótko przystrzyżonymi siwymi szczecinami.

- Szampana, skah-bie?... Och, mój Boże, czyżby się już skończył? Nie, niosa następne butelki. Koniecznie skosztuj kawiohu.

Na małym barku na kółkach stały otwarte puszki szarego kawioru z nalepkami w języku rosyjskim, obok tac z krakersami i plasterkami sera pleśniowego.

- Czy ja wiem, Amy... Jest jeszcze wcześniej...

- Ach, otóż i on! Phędzej, kapitanie! Szampan dla mojego dhogiego kapitana!

Z luku wyłonił się rosły mężczyzna o czerwonej twarzy, ubrany w czapkę kapitańską, dopasowaną białą koszulę z długim rękawem, białe spodnie z cienkiego żaglowego płótna i tenisówki.

- Aho! pane Paperman! -

ryknął, rozkładając szeroko ramiona i wymachując, niczym hantlami, dwiema oszronionymi butelkami szampana. - No y mam! Mam szwoą ucz! Y czo pan na to? Strój tak go zmienił, że

Norman nie rozpoznałby w kapitanie Thora, gdyby się ten nie odezwał.

- Moją łódź, khóliczku, moją!

- zawołała pani Ball. Przytuliła się do barmana i zatopila w jego oczach zwilgotniałe spojrzenie.

- Chto du ezd kapydanem, chałera? - ryknął Thor, wyciągając korek z butelki, czemu towarzyszył huk i wytrysk piany. - Kapydanem „Poszwady szężycza”, nalypszego achdu na dych wyspoch! Płynemy dżysz do Panamy! Do Panamy, chałera! Szedem waszne do Panamy, żanym sze różbyem! Pane Paperman, panu do żawdżeczam! Żampan dla pana!

Kompletnie oszołomiony,

Paperman wziął do ręki

kieliszek, podniósł go i zdobył się na uśmiech.

- Lycka till, Thor - powiedział. - Dobrze to wymawiam?

- Hy, Amy, szyszałas? Lycka till, bardzo dobrze, pane Paperman! Chałera, napye sze sz panem, równa sz pana goszcz.

Spełnili we trójkę toast. Pani Ball wpiła się następnie wargami w usta Szweda, przywierając do niego niczym niecierpliwa rozkochana panna młoda, trochę niepewnie trzymająca się na nogach po suto zakrapianym weselnym śniadaniu. Thor oddawał jej pocałunek, spozierając kątem oka na Papermana.

- Amy, żdae my sze, że żorzył nam wyżyde pan gubernador - oznajmił, zdoławszy się oderwać od jej ust.

- Gubehnato! Pędź zahaz, khóliczku, przynieś nową butelkę i kieliszek.

Pani Ball przedarła się przez

tłum gości z furia

rozgrywającego w meczu

futbolowym. Thor pożeglował uczynionym przez nią kilwaterem, posławszy Normanowi porozumiewawczy męski uśmiezek.

- Paperman, wygląda mi pan na nieco zbitego z tropu. - U boku Normana pojawił się Tom Tilson. Nakładając kawior na krakersa, wpatrywał się weń badawczo z przebiegłą miną na czerwonej, piegowatej twarzy, która składała się jakby z samych tylko kości i skóry.

- Jestem istotnie zaskoczony.

- Nie odebrał pan żadnych sygnałów ostrzegawczych?

- Żadnych.

Pan Tilson przełknął kęs kawioru i potrząsnął przed nosem Papermana swą sękatą laską.

- Próbowałem pana przed nim ostrzec, no wie pan, przed Thorem. Wtedy, w „Marzeniu Hogana”. Nie mogłem wyrażać się jaśniej, bo siedział z nami Collins. O wszystkim wiedziałem. „Poświata Księżycza” była moją łodzią. Amy wahała się już od roku, czyby jej nie kupić. Myślałem, że to pusta gadanina, że chodzi tylko o utrzymywanie Thora w dobrym nastroju, tymczasem wczoraj po południu - grom z jasnego nieba! Kupiła! Postąpiła zresztą bardzo nierozsądnie, jeśli chce pan znać moje zdanie. Dopóki tylko nosiła się z zamiarem nabycia tej łajby, miała gagatka w ręku. Teraz on trzyma ją w garści.

- Zgaduję, że są ze sobą blisko.

Pan Tilson parsknął ochryplym lubieżnym chichotem.

- Zgaduje pan? Proszę pana, od dnia, w którym ten nygus roztrzaskał się na Karaluszej Skale półtora roku temu, miał w życiu tylko jeden cel, jeśli chce pan znać moje zdanie: stanąć na pokładzie jakiegoś jachtu. Biedna Amy nie zna żeglarzy, ale ich jeszcze pozna.

- No cóż - powiedział z

westchnieniem Norman - wygląda na to, że nie mam zarządcy hotelu.

- Ależ ma pan! - zawołał staruszek. - Nazywa się Paperman.

Pokład zadrżał i zachybotał się.

- Co u licha? - przestraszył się Norman. - Czyżbyśmy odpływali? - Jacht istotnie odpływał na silniku od przystani. - Czy on jest aż takim wariatem, by porwać nas wszystkich do Panamy?

Pan Tilson prychnął śmiechem.

- Proszę się nie obawiać, tylko do nabrzeża w miasteczku. Ta pańska gondola to potworny przeżytek, jak sam się pan wkrótce przekona. - Łypnął spod oka na Normana. - Obawiam się, że czekają tu pana ciężkie chwile.

Przełknął kolejny wielki kęs kawioru i oddalił się kuśtykając.

Thor szedł wzdłuż pokładu torując sobie drogę łokciami i wyrzaskiwał rozkazy czarnemu chłopakowi w kokpicie. Na widok Papermana zatrzymał się zmieszany, ale już w następnej chwili odrzucił do tyłu głowę, zaniósł się wariackim śmiechem i objął za ramiona niedawnego szefa.

- Cosz panu powym, pane

Paperman, drochy gupo sze wobycz pana czue, rożumy pan?

- Nie widzę powodu. Uprzedził pan przecież lojalnie, że zostanie pan u mnie dopóty, dopóki nie będzie pan miał własnej łodzi, a teraz ją pan ma.

- Szążky są w żupełnym

porządku, na beżaćco, pokażаем panu. Do eszt proszdy żysztem, mygem pan żałapesz. Guowa do góry, hak do sze mówy. Dżylberd może panu poprowadżycz bar. Szyuczycem go. Roby dobry drynky. Pokażаем mu dyż, gdzie są gówne żawory, beżpecznyky y dak daly. Poradży pan szobe.

- Kto to jest Gilbert?

- Żewożnyk. Uczczywy chłopak y wcale ne taky gupy, tylko lepy go obserwowacz, nym sze go przyuczycy do roboty, rożumy pan? Pan będzie tylko muszał prowadżycz kszęgy i żamowacz sze reżyrywaczą. Do ładwe. Szyla bardzo dobrzy prowadży kuchne, do nalypsza kucharka na Kyny.

- Thor, ja się kompletnie nie znam na księgowości!

- Wylke rzyczy! Tyż sze nie znaem, kedy du przyjechaem. Szybko sze pan szyuczycy.

Pan żadzwny do Newyla Wyllsza, nech przychodży czodzynnne przeż tyżden i szpawdża po panu. Do nalepży kszęgowy na wyszpe... Chałera, Artur! Wolny, chcesz nasz wpakowacz na plaż? - Thor wyciągnął do Normana rękę. - Ne ma pan do mne żalu? Szczyrze pana polubyem, pane Paperman.

Dylko, wydży pan, esztem

żeglarzym.

Paperman odwzajemnił krzepki uścisk dłoni i Thor pobiegł dalej.

- Uwaga! Zausz relyng

sztyrburta!

Norman zszedł z jachtu na

nabrzeżu Georgetown wraz z

„bandą ze wzgórze” i stał teraz

w tłumie ludzi - wielu z nich

trzymało papierowe kubki

wypełnione whisky -

wyrzykujących słowa pożegnania. Wiał silny wiatr i Thor od razu postawił

żagle, nie zniżając się do przejścia przez kanał portowy na silniku. Odpływający

od falochronu jacht prezentował się imponująco; powoli nabierał prędkości i przechylał się na burtę, w miarę jak kolejne białe żagle podnosiły się z łopotem i wydymały wiatrem. „Banda ze wzgórza” zaśpiewała „Auld Lang Syne”.»* Amy Ball stała na rufie, trzymała się wanty, kołysała się wraz ze szkarłatnym kadłubem „Poświęty Księżyc”, śmiała się i jednocześnie zalewała łzami. Jacht musiał w pewnej chwili wykonać manewr skrętu, by ominąć płynącą prosto na niego wielką, płaską, ciężko sapiącą barkę, pokrytą rdzą od tępo ściętego dzioba, po małą nadbudówkę na rufie. Thor wyminął tę nieforemną krypę, niemal się o nią ocierając, co widzowie na nabrzeżu skwitowali wiewatami.

„Dawne czasy” - tradycyjna pieśń szkocka, śpiewana na zakończenie spotkań towarzyskich, zwłaszcza w noc sylwestrową.

Paperman spostrzegł nagle, że zardzewiałe straszycło płynie pod francuską trójkolorową banderą i domyślił się, że ma przed sobą ani chybi barkę z Gwadelupy. Mijała właśnie przystań na Rafie Mew, a nikt nie przywoływał jej machaniem! Norman Paperman zaczął biegać w tę i z powrotem po nabrzeżu, wymachiwać rękami i wrzeszczeć w stronę nadpływającej barki:

- Stój, stój! Non, non! Stać!
Arr~etez_vous!
A_rrrr~etez_vous!!

Brylasta, rozklekotana barka telepała się spokojnie przed siebie. Na pokładzie nie było ani żywej duszy. Francuski sternik z pewnością nie mógł dosłyszeć wrzasków Papermana w ogłuszającym łomocie silnika.

Norman przestał się miotać i krzyczeć, bo zdał sobie sprawę, że paczka ze wzgórza przygląda mu się w niemym zdumieniu. Zamarli również przygodni spacerowicze i ustał na chwilę handel na nabrzeżu.

Kilkudziesięciu Kinjan gapiło się z wielką ciekawością na oszalałego białego człowieka; sprawiali wrażenie nie tyle zdumionych, co gotowych do przyłączenia się do jego płasów.

Paperman wcisnął ręce w kieszenie spodni i pogwizdując oddalił się nabrzeżem; starał się wyglądać na człowieka przy zdrowych zmysłach. Barka zrównała się z nim i stanęła. Jakiś tłusty, wąsaty staruch w białych spodniach, spiczastej czapce i niewiarygodnie wyświechtanej niebieskiej kurtce z mosiężnymi guzikami wykuśtykał z nadbudówki, wyrzucił na ład dwie grube cumy z manili i wrócił do kabiny. Dwaj muskularni, nadzy do pasa Murzyni z ręcznie okręcili cumy na pachołkach, po czym weszli na pokład barki, wciągając za sobą gruby czarny szlauch.

Paperman wskoczył za nimi na pokład. Stalowe blachy poszycia oparzyły mu stopy przez gumowe podeszwy butów. Podszedł do nadbudówki i zapukał w otwarte drzwi. Kapitan barki siedział przy małym stoliku i lał do szklanki wino z pękatego dzbana. Miał obwisłe brzuszysko, a jego sumiaste wasy nosiły różowe ślady po winie i żółte od starej fajki, która leżała na stoliku w kupce rozsypanego popiołu. Nie zwracając uwagi na pukanie, wypił pół szklanki wina i zapatrzył się przed siebie zamglonym zadumanym spojrzeniem.

Paperman pomyślał, że człowiek ów ogłuchł pewnie od przeraźliwego łomotu silnika, więc ryknął co sił w płucach:
- Monsieur le capitaine!!

Francuz wysunął szufladę, wyciągnął zatłuszczony rejestr w zielonej okładce, położył go przed Papermanem i zapadł na powrót w melancholijne otępienie. Na otwartych stronach widniały słupki nabazgranych brązowym atramentem cyfr. Drąc się na całe gardło, Paperman wyjaśnił grubasowi w potokach wzburzonej francuszczyzny, że nie chce oglądać rejestru, nie jest urzędnikiem portowym, lecz „le nouveau propri~etaire” klubu „Rafa Mew” i potrzebuje wody. Kapitan nie

przestał wpatrywać się tępo przed siebie, parę razy westchnął głęboko, jakby oglądał oczami wyobraźni niemieckie kolumny maszerujące po Champs-Élysées, a gdy Paperman zamilkł, podniósł wzrok i wyskrzeczając gniewnie ochrypłym głosem kilka zdań w jakiejś dziwnej francuszczyźnie, rozkładając przy tym bezradnie ręce. Potem dolał sobie wina, westchnął, zagapił się w przestrzeń i wypił duszkiem. Nic, co Paperman wyrzekł od tego momentu, nie zrobiło na nim najmniejszego wrażenia.

Norman podszedł do dwóch Murzynów, którzy siedzieli w kuckach obok tętniącego, pulsującego szlauchu.

- Czy możecie mi panowie wskazać bar senatora Pullmana? - zagadnął. Spojrzeli po sobie ze zdziwieniem.

- Znacie przecież senatora Pullmana, prawda?

Zapadła cisza i trwała co najmniej minutę.

- Sena-tur Pull-mon? - zapytał w końcu jeden z czarnych z taką miną, jakby wymawiał frazę po chińsku.

Dygocząc z gniewu, Paperman zeskoczył z barki. Jeszcze nigdy w życiu nie stanął wobec problemu braku wody. Dla jego nowojorskiego umysłu woda była czymś, co po prostu płynęło z kranów. Jej dostawa była ciągła, nieograniczona i równie pewna jak zasób powietrza do oddychania. W hotelu i domkach wzdłuż plaży mieszkało trzydziestu ośmiu gości, tylko sześciu brakowało do kompletu. Jeśli przestanie ciec jednocześnie z wszystkich kranów i wszystkich spłuczek w ubikacjach... W pasażu handlowym naprzeciwko fortu, u wylotu Uliczki Królowej, Paperman dojrzał wiszący nad jakimiś drzwiami czerwono-biało-niebieski szyld baru „Spokój i Dostatek”. Pomyślał, że na tak małej wyspie właściciele barów z pewnością znają jeden drugiego, i puścił się biegiem przez brukowany kocimi łbami placyk. W barze siedziało kilku czarnych i paru białych pijaków, nigdzie jednak nie mógł dojrzeć barmana. Oparty o framugę drzwi stał niski młody Murzyn o twarzy jak księżyc w pełni, ubrany w niebieski, nie wymagający prasowania garnitur i czarny krawat z dzianiny. Palił cygaro, zmysłowo zaokrąglając wargi.

- Przepraszam pana - zagadnął go Paperman. - Czy nie wie pan przypadkiem, gdzie się znajduje bar senatora Pullmana?

- Ja jestem senator Pullman i to jest właśnie mój lokal! Czym mogę panu służyć? - odparł Murzyn, mówiący z wyraźnym akcentem kontynentalnych Stanów Zjednoczonych.

Paperman porwał go w objęcia.

- Pan jest senator Pullman!

Bogu niech będą dzięki!

Zaskoczony i rozbawiony senator pozwolił się wyściskać, po czym zapytał, w czym tkwi problem. Paperman wylał przed nim swe żale.

- A, więc to pan jest

Paperman! Lorna opowiadała mi o panu. Jest pan faktycznie prawie tak przystojny, jak zapewniała. Witam na Kinji.

- Dziękuję. Czy pan mówi po francusku? Czy mógłby pan pogadać z kapitanem tamtej barki?

- Pogadać o czym?

- O wodzie! Proszę mu

powiedzieć, żeby zachował trochę dla mojego klubu.

Senator Pullman zmarszczył nos i brwi, co go postarzyło, a jednocześnie nadało jego twarzy chytry wyraz.

- Niestety, widzi pan, on już zaczął wpompowywać wodę do wodociągów miejskich, więc musi wypompować cały ładunek.

Wyspiarskie pochodzenie senatora zdradzał leciutki nacisk, jaki kładł na ostatnią sylabę, gdy wypowiadał dłuższe słowa.

- Ależ nam starczy wody tylko na jeden dzień! Mamy komplet gości, panie senatorze!

- Hm, to istotnie stwarza zagrożenie dla ich zdrowia. - Senator Pullman podniósł oczy ku bezchmurnemu niebu i zmrużył jedno z nich, aż całkiem się zamknęło. - Sądzę, że możemy się spodziewać deszczu. Klub „Rafa Mew” dysponuje rozległą połacią dachową, więc przy obfitszym opadzie nałapie pan deszczówki na okrągły tydzień.

- A jeśli deszcz nie spadnie?

- Roztropne pytanie, ale nie widzę powodu do zmartwienia.

Jeśli nie spadnie, proszę się

zwrócić do Lorny. Powie panu,

jak uruchomić awaryjny zbiornik

wody. A przy okazji, gdyby miał

pan jakieś kłopoty z

elektrycznością, proszę

pamiętać, że mam dyplom wydziału elektrycznego. Prowadzę bar, bo u nas licencja na wyszynk alkoholu przynosi większe zyski, więc sam pan rozumie...

Puścił oko do Papermana i wrócił za kontuar.

Paperman pomknął przez plac na nabrzeże. Gondola stała przywiązana do pachołka,

ale gondoliera na posterunku nie było, zgromadziła się przy niej natomiast

grupka białych, sprzecząc się i pomstując. Znajdowało się wśród nich kilku

turystów w grubych, ciemnych ubraniach; stali wśród stert bagaży. Jeden z gości

poznał Papermana i poinformował go, że gondola od godziny nie kursuje. Stała

przycumowana do pomostu przystani na Rafie Mew, dopiero kilka minut temu kilku

gości hotelowych przeprawiło się nią o własnych siłach na tę stronę cieśniny i

pozostawiło ją przy pachołku.

Norman nie miał wyboru.

- Proszę wsiadać, przewiozę państwa na drugi brzeg. Najpierw te osoby, które dopiero co

przyjechały! - zawołał,

wywołując swą propozycją

przepychanki i szturm na

gondolę, który omal nie

doprowadził do jej wywrócenia.

Potem musiał jeszcze zataszczyć kilkanaście ciężkich waliz na bagażnik na dziobie, a następnie, machając zawzięcie wiosłem, przetransportować obciążoną chwiejną łódź na drugi brzeg cieśniny blisko trzystumetrowej szerokości, przycumować i pomóc pasażerom przy wysiadaniu. Tak wytężony wysiłek w palących promieniach stojącego w zenicie słońca sprawił, że Paperman spocił się jak mysz. Mimo to pomknął na przełaj przez trawnik do głównego pawilonu i przez hol wpadł do baru.

Przewoźnik, jak się tego zresztą spodziewał, urzędował za kontuarem. W wystrzępionych niebieskich szortach i nowej, choć już rozprutej chyba nożem koszuli, w kapeluszu gondoliera na głowie, potrzasał shakerem z wyrazem niezwykłego uniesienia na zwykle posępnej twarzy i rozplómięzionymi dumą zwykle chmurnymi oczami. Paperman przystanął zdumiony. W barze i przy stolikach na plaży raczyło się trunkami kilkudziesięciu gości. Oznaczało to pełną kasę.

- Oddaj mi ten kapelusz,

Gilbercie.

- To mój kapelusz, plosiepana - zaperzył się chłopak. - Pani Ball mi go dała.

- Ależ barmani nie noszą kapeluszy. To oznaka przewoźników.

- Naplawdę?

Gilbert szybko zdjął kapelusz, spojrział nań z niesmakiem i oddał Papermanowi.

- Widzę, że dobrze sobie

radzisz. Tylko tak dalej!

- Ja umim lopić sióstko to cio Thol. Umim opsiugiwać kasie.

- Doskonale!

Norman wypadł z budynku i podbiegł do mężczyzny, który strzygł żywopłot w pobliżu przystani. Na widok Papermana gromadka osób, czekających na przewóz po drugiej stronie cieśniny, wydała gromki okrzyk oburzenia.

- Dzień dobry - zwrócił się Norman do ogrodnika, przysadzistego Murzyna w roboczym kombinezonie khaki, zapiętym pod szyję dla osłony przed słońcem. - Jestem nowym właścicielem klubu.

- Joziumiem.

Ogrodnik przytknął dłoń do nakrycia głowy: torby z szarego papieru uformowanej na kształt czapki, uśmiechnął się smętnie i wrócił do strzyżenia.

- Jak ci na imię?

- Millard.

- Chciałbym, Millardzie, żebyś przez jakiś czas obsługiwał gondolę. Będiesz przewoził gości na drugi brzeg, dobrze?

- Pani Ball kazała w ćfartki scic ziwopłota.

- Tak, wiem, chcę, żebyś to robił tylko przez jakiś czas. Widzisz, mamy sytuację awaryjną.

Żywopłot może poczekać.

Millard obrzucił nowego szefa zakłopotanym spojrzeniem.

- Jestem ogrodnikiem, plosie pana.

- Oczywiście, wiem o tym, mimo to muszę mianować cię gondolierem. Tylko na krótko. Oto twój służbowy kapelusz.

Podał Millardowi płytki słomkowy kapelusz, ozdobiony żółtymi i czerwonymi wstążkami.

Ogrodnik wziął go z wahaniem do

ręki, zdjął swe papierowe

nakrycie głowy i włożył

słomkowe. W jego oczach

zabłyśnął na moment płomień wstydlivej radości.

- Ja umiem dobrze fiosiofać, plosie pana.

Wciąż uśmiechając się z dumą do Papermana pomaszerował do łodzi i odbił od przystani. Poruszał wiosłem niewprawnie, lecz z dużą siłą i gondola szybko dobiła do przeciwległego brzegu. Paperman przyglądał się, jak Millard pomaga wsiąść do niej gościom, gdy naraz pojawiła się w cieśninie nowa jednostka pływająca i przesłoniła mu widok. Od nabrzeża portowego w miasteczku nadpływała, sapiąc dychawicznie, poobijana, stara motorówka. Na jej dziobie Norman dostrzegł Texa Akersa, a za nim stała falanga robotników z narzędziami w rękach.

- Czołem! - zawołał dryblas. - Oto stawiamy się zgodnie z umową.

Wyskoczył z łodzi, nim dobiła do brzegu, przesadzając pas wody szerokości blisko trzech metrów, po czym jego długie gołe nogi pozwoliły mu znaleźć się w kilku susach przy Papermanie.

- Przywiózł mi pan całą

brygadę, jak widzę - powiedział z przekąsem Paperman.

Łódź stuknęła o molo i robotnicy wysiedli; było ich co najmniej dwudziestu kilku.

- Faktycznie, ale to już moje zmartwienie - odrzekł Akers, spoglądając na Normana przyjaźnie, choć z wysoka; był mniej więcej o półtorej głowy wyższy. - Ludzie muszą zarabiać. Przywiozłem całą ekipę z Zatoki Krabów. Po prostu machniemy panu te pokoiki trzy razy szybciej. Prawdę mówiąc przy tak zmasowanej akcji spodziewam się zakończyć robotę w niecały tydzień. Przewiduję, że będziemy pracowali również w niedzielę, ale zapłatę za godziny nadliczbowe biorę na siebie, pana one nie obciążą. Dobra, chłopaki, za mną!

Poprowadził swój zespół - w którym na oko przypadało dwóch czarnych na jednego białego - przez trawnik w stronę głównego budynku.

Stara motorówka odpłynęła posapując z wysiłku i minęła się z gondolą Millarda, tak zatłoczoną, że woda niemal przelewała się przez burty. Uśmiechając się nadal z dumą spod przystrojonego wstążkami kapelusza, ogrodnik pomógł wysiąść pasażerom, przy czym obyło się bez żadnych przykrych niespodzianek. Paperman kazał mu przenieść stosy bagaży, jakie spiętrzyły się na pomoście, do głównego budynku, i polecił, by następnym razem zabierał mniej pasażerów.

- Umiem fioślofać ś pełnom łocią - pochwalił się ogrodnik.
- Nie wątpię, ale nie chcę, żebyś potopił mi gości.
- Nie potopim! - zapewnił Millard i zaniósł się śmiechem.

Następnie, obładowawszy się niewiarygodną masą bagażu, ruszył na ukos przez trawnik.

Stojąc na oblanym słońcem pomoście przystani Paperman po raz pierwszy od chwili, gdy Sheila obudziła go łomotaniem w drzwi, wykonał spokojnie kilka głębszych wdechów. Wyglądało na to, że po katastrofalnej a nieoczekiwanej dezercji Thora odzyskał panowanie nad sytuacją. Teraz będzie musiał przyjąć księgowego do poprowadzenia ksiąg rachunkowych, zanim sam się tego nie nauczy, będzie musiał zająć się rezerwacją miejsc, odpowiadać na listy i telegramy oraz wykonywać tym podobne prace. Niewykluczone, że przez jakiś czas przyjdzie mu nawet pełnić rolę barmana. Jednak wytrwa. Tom Tilson dobrze to ujął: miał nowego zarządzającego. Nazywał się Norman Paperman.

Jego ubranie przesiąkło potem. Nowa, żółta koszula pokryta była czarnymi, wilgotnymi plamami; czuł strumyczki potu spływające po nosie i szyi i ściekające spod pach. Wrócił do Białego Domku i włożył kąpielówki. Idąc ścieżką ku plaży ujrzał w oddali na powierzchni morza jasną głowę pływaczki, Iris, w masce do nurkowania, płynęła szybko w jego stronę, zagarniając wodę pięknymi długimi pociągnięciami ramion.

- Hej, witaj, Norm! A może powinnam raczej powiedzieć: panie gospodarzu? - zawołała z daleka. - Co słyhać dobrego?
- Dobra wiadomość brzmi: - podwajam ci czynsz! - odkrzyknął.
- Och, wy Amerykanie! Szybko się uczycie. - Zdjęła maskę i odrzuciła na plecy ociekające wodą włosy. - No, no, widzę, że wszystko idzie dobrze, skoro możesz sobie pozwolić na kąpiel w południe. Słyszałam, że Henny jednak z tobą nie przyjechała.
- Przyjedzie za parę dni. - Wskoczył do cudownie chłodnej wody i podpłynął do Iris. - Miałem potworny ranek!

Z niedowierzaniem wysłuchiwała nowiny o ucieczce Thora.

Powiedziała, że spała do południa i nie zauważyła przypłynięcia ani odpłynięcia jachtu.

- Słyszałam, oczywiście, jak Amy mówiła, że zamierza kupić „Poświętę Księżycy”, lecz nie sądziłam, że naprawdę to zrobi. Jest strasznym skapiradłem, ale kompletnie straciła głowę dla Thora. Dokonali transakcji wiązanej, możesz mi wierzyć.

Wyszli z wody i wyciągnęli się obok siebie na indiańskim kocu Iris, w cieniu wysokich oleandrów obsypanych różowymi kwiatami. Norman opowiedział przyjaciółce o dolegliwości żony.

- Masz tobie, właśnie w takiej chwili! Wszystko się wali naraz!
- Iris pokręciła głową. - Ten hotel potrzebuje mężczyzny i kobiety, Norm. Albo pary pedziów, co zresztą na jedno wychodzi. Chłop prowadzi finanse, bar, zajmuje się remontami i różnymi grubszymi pracami. Baba siedzi w biurze, nadzoruje służbę i czaruje gości. Amy i Thor stanowili pod tym względem doskonale dobraną parę.
- Henny tak naprawdę nic groźnego nie dolega. Często miewa takie dziwne bóle i kłucia, kiedy jest czymś zdenerwowana. Przyjedzie za parę tygodni. Do tego czasu muszę po prostu jakoś sobie radzić.

Pani Tramm usiadła na kocu.

- Słuchaj, pozwól, że ja ci pomogę.

- Wykluczone! Dam sobie radę.

- Spłuczę tylko sól z włosów - powiedziała wstając - i trochę się ogarnę. Dla mnie to będzie rozrywka, wierz mi. Śmiertelnie się tu nudzę.

- Najgorsze mam już za sobą, Iris. Odtąd pójdzie z górki.

- Nie byłabym taka pewna! Ktoś musi na przykład skontrolować księgi. Gilbert to jeszcze dziecko. A więc za godzinę w biurze.

Machnięciem ręki oddaliła protesty Normana i odeszła plażą w stronę domu.

W tej samej chwili Paperman usłyszał z oddali jakiś łoskot, a potem do jego uszu dobiegły odgłosy burzenia czegoś: walenie młotami, głośny łomot, hurkot spadających kamieni, pokrzykiwania mężczyzn, brzęk tłuczonego szkła. Norman zamierzał się trochę zdrzemnąć, lecz dolatujące go dźwięki mogły oznaczać tylko jedno: ekipa Akersa przystąpiła do pracy. Ponieważ chciał się temu przyjrzeć z bliska, ubrał się szybko i ruszył w stronę głównego pawilonu, nad którego dachem, w tylnej części, unosiły się, prześwietlone słońcem, kłęby gipsowego pyłu.

W holu, w wejściu do dawnej sali gier, wydymała się na wietrze olbrzymia płachta zatłuszczonego brezentu. Łomot i odgłos osypywania się gruzu dochodziły właśnie zza niej; przez dziury w ciężkiej tkaninie wysnuwały się, niczym dym z ogniska, smużki wapiennego kurzu. Na całe szczęście trwała pora lunchu i hol świecił pustką. Paperman podniósł róg brezentu i wszedł za tę kurtynę. Jego oczom ukazał się widok żalosnej ruiny. Połowa tylnej ściany pokoju leżała na ziemi w stertach gruzu. W poszarpanym otworze o kształcie jaja niebieszczył się ocean, przez tumany kurzu wpadały do wnętrza promienie jaskrawego słońca. W chwili gdy Paperman wchodził za brezentowy parawan, dzwoniące uderzenia licznych młotów odłupały potężny kęs cementowej ściany, który runął na podłogę, dzięki czemu odsłonił się jeszcze szerszy widok na błękitne niebo, trawnik i morze.

- STAĆ!!! - ryknął Paperman, oślepiony kłębiącym się dokoła pyłem.

- Przerwać pracę, chłopcy! - usłyszał głos Akersa. - Odwiedził nas szef.

Potykając się i osłaniając rękami oczy, Paperman dobrnął na oślep do wyrwy w ścianie, przelazł przez nią i wyszedł na słońce.

- Co to ma znaczyć? -

wrzasał. - Roboty miały być prowadzone wewnątrz budynku! Po cholere burzycie tę ścianę?

Przedsiębiorca budowlany wyjaśnił, że zdecydował się na to z dwóch powodów. Po pierwsze, istnieje problem dostarczania na plac budowy materiałów i ludzi. Dzięki zburzeniu ściany wszystkie roboty będą się mogły toczyć za brezentem. Najgorsze hałasy do jutra ustaną, a wtedy goście będą mogli korzystać z holu nie narażeni na żadne niedogodności. W przeciwnym razie robotnicy przez tydzień kręciliby się po hotelu, wnosząc materiały budowlane, a wnosząc różne śmiecie. Po drugie, wielkie okno dawnej jadalni, które właśnie wyburzyli, byłoby całkiem nieprzydatne w nowych maleńkich pokojach. Taniej wyjdzie zburzenie całej ściany, a potem wymurowanie nowej, niż gdyby się ją rozbierało po kawałku, a potem odbudowywało.

- Wszystko idzie jak z płotka

- dodał. - Natknęliśmy się pod podłogą na kilka calowych rur z czasów, gdy była tu kuchnia. Wystarczy, że wypłuczemy rdzę i możemy podłączać zimną i gorącą wodę. Szacuję, że to obniży koszt hydrauliki nawet o połowę.

Odciągnął Papermana na bok, trochę dalej od swoich ludzi. Sześciu robotników, tych którzy burzyli ścianę, przerwało pracę: stali teraz nieruchomo, opierając się na ciężkich oburęcznych młotach. Reszta - dużo liczniejsza grupa - leżała kręgiem na trawie, popijając z puszek nektar owocowy, słuchając piosenek Calypso z odbiorników tranzystorowych i przerzucając się niezrozumiałymi żartami, po których wybuchały głośne salwy śmiechu.

- Jeśli to dla pana nie

problem - szepnął Akers - czy nie mógłbym już teraz otrzymać zadatku?

- Cóż, czemu nie... W jakiej wysokości?

- Zwykła stawka wynosi tyle co koszt tygodniowych prac, ale ponieważ w tym przypadku równałoby się to całej sumie, może zgodzilibyśmy się na połowę?

- Dwa tysiące dolarów? -

spytał z niedowierzaniem Norman.

Oblicze Akersa, zakończone końską szczęką z kępką okrytej kurzem ryżawej szczeciny, wykrzywił ujmujący uśmiech.

- Osobiście wolałbym policzyć się z panem po skończeniu pracy, ale miejscowi dostawcy nie chcą udzielać kredytu, za bardzo się nacięli na paru cwaniakach, którzy tu przelotnie gościli za mojej bytności. Tamci nabroili, a my, solidni rzemieślnicy, musimy teraz za to pokutować. Wszystkie materiały potrzebne do budowy zamówiłem w miejscowej Centrali Zaopatrzenia. Dotrą tu jutro, pod warunkiem, że jeszcze dzisiaj przed zamknięciem banku dostaną ode mnie czek. Takie tu u nas panują zwyczaje. Niech pan zadzwoni do Chunky'ego Collinsa i jego zapyta.

Ta sugestia wprowadziła Papermana w zakłopotanie.

- Dobrze - powiedział. - Ma pan oczywiście pełne prawo do zaliczki. Czy chciałby pan już teraz otrzymać czek?

- Byłbym wielce zobowiązany.

- Więc zapraszam do biura.

Kiedy przechodzili obok recepcji, zatrzymała Papermana Lorna:

- Waśnie wylądował popoutniowy siamolot z pięcioma naszymi gośćmi i nik po nich nie wisied.

- I cóż w tym złego? Goście, którzy przylecieli rano, dotarli do hotelu bez przeszkód.

- Psijechali oklopnie źli. Naś plośpekt leklamowy obiecuje, że wyjeżdżamy po naszych gości. Thol zawsze po nich wyjeżdżał.

- Wręczyła Papermanowi pęczek kluczyków z breloczkiem. - Kluciki od lovela. Thol kazał mi je panu odać.

Norman wziął kluczyki, wzruszył ramionami, wszedł do biura i wypisał Akersowi czek.

Przedsiębiorca budowlany chuchnął na blankiet i powiedział:

- Dzięki! Jeśli wybiera się pan teraz na wybrzeże, pojedziemy razem.

- Nie zostaje pan ze swoimi ludźmi?

- Mają tylko zburzyć tę

ścianę. Powiedziałem im, żeby na tym poprzestali, więc mam nadzieję, że nie rozbiorą panu całego hotelu.

Zaśmiał się i wsadził czek do zakurzonej kieszonki koszuli.

Nowy gondolier, chcąc się popisać przed swoim pracodawcą, pokonał cieśninę kilkunastoma długimi pociągnięciami wiosła, aż wstażki u kapelusza powiewały na wietrze.

- Widzę, Millardzie, że

odkryłeś swoje prawdziwe powołanie - powiedział Paperman.

Hebanowa twarz ogrodnika zajaśniała radością.

Akers pokazał Papermanowi, jak zapalić silnik land rovera, okazałej angielskiej maszyny, podobnej do krytego jeepa.

- To świetny wóz, sam kiedyś taki miałem - powiedział. - Bieda tylko w tym, że jak pan potrzebuje części zapasowej, przysyłają ją panu wlokącym się jak żółw okrętem aż z Anglii. Do zobaczenia rano! Pańskie pokoje zaczną jutro rosnać jak grzyby po deszczu!

Na lotnisku czekało na Papermana siedmiu rozsierdzonych turystów z kupą bagażu. Ich gniew kierował się zarówno przeciwko klubowi „Rafa Mew”, jak i przeciwko kierowcy taksówki, który spał za kierownicą stojącego nie opodal buicka rocznik 1938. Auto było co prawda świeżo pomalowane na kolor jadowicie żółty, ale spod farby wyłaziły rdzawe smugi, a połowa jednych drzwi przegniła. Okazało się, że gdy turyści poprosili taksówkarza o zawiezenie ich do klubu „Rafa Mew”, ten oświadczył, że jest zajęty, choć na wyludnionym lotnisku nie było śladu innych pasażerów, po czym najspokojniej pogrążył się w drzemce. Zorientowawszy się, że bez pomocy taksówkarza będzie musiał odbyć dwa kursy, bo land rover nie pomieści siedmiu osób i takiej sterty bagażu, Norman podszedł do taksówki i zastukał w szybę. Kierowca odemknął jedno oko, potem otworzył oba, wyprostował się z uprzejmym uśmiechem, sięgnął usłużnie do klamki tylnych drzwiczek i zapytał:

- Szucham pana, dokąd?
 - Klub „Rafa Mew”.
 - Szepraszam - burknął kierowca posępniejac. - Jeźdem zajęty.
- Rozparł się na siedzeniu i zamknął na powrót powieki. Norman nie miał czasu na zgłębianie przyczyn tak niepojętego grubiaństwa. Odwoławszy się do swego wieloletniego doświadczenia klienta nowojorskich taksówek ponownie zapukał w szybę, jednak tym razem trzymał w palcach banknot dziesięciodolarowy.
- Czy bardzo jest pan zajęty?

- Kierowca przyjrzał się banknotowi i głośno przełknął ślinę.
- Muszałbym ich wysadzić przy poczcie. Dalej muszom iszcz na piechotę.
 - Dobra. Niech pan zabierze ludzi, ja wezmę bagaże.

Żaden z przyjezdnych nie zaoferował Normanowi pomocy w załadunku waliz do rovera, a w pobliżu nie było oczywiście ani śladu bagażowych. Tak więc Paperman, któremu nie wolno było dźwigać ciężarów ani w jakikolwiek inny sposób się przemęczać, musiał własnoręcznie załadować do wozu siedemnaście ciężkich waliz, na dobitkę w piekących promieniach zachodzącego słońca, że zaś nie należał do ekspertów od załadunku, dziewięć z nich zsunęło się na lepki asfalt szosy przy pierwszym gwałtownym wstrząsie samochodu. Musiał wysiąść, przepakować bagaże i związać je sznurem, który znalazł się szczęśliwie na podłodze auta. Ocierając spoconą twarz, wyładował gniew na falujących łańcach trzciny cukrowej, które obrzucił stekiem najohydniejszych przekleństw. Potem wdrapał się za kierownicę, przydepnął pedał gazu i już go nie zwolnił. Było mu wszystko jedno. Trzęsac się jak zjeżdżający ze stromej pochylni wagonik diabelskiego młyna, rover pomknął szosą i w połowie drogi do miasteczka prześcignął ze świstem powietrza nadgniłego buicka.

W porcie czekała jak

poprzednio gromada

rozwścieczonych białych gości. Gondola stała zacumowana przy nabrzeżu, a Millard z tragicznym wyrazem twarzy siedział zgarbiony na ławeczce łodzi. Był bez kapelusza. Na pobliskim portowym pacholku rozsiadł się senator Pullman i to on trzymał w ręku słomkowy kapelusz gondoliera.

- Witam pana, panie Paperman!

Cieszę się, że pana widzę. Chyba oszczędziłem panu bardzo poważnych kłopotów, nie mówiąc już o trudnościach prawnych na niewyobrażalną skalę.

- Dlaczego? Co się znów stało?

Senator machnął kapeluszem.

- Czy pan świadomie zezwolił temu człowiekowi, który w tej chwili siedzi w pańskiej łodzi, obsługiwać ją?

Paperman wyjaśnił powody, które zmusiły go do zatrudnienia Millarda w charakterze przewoźnika. Twarz senatora przybrała wyraz jeszcze surowszej powagi. Zapalił cygaro, po czym dmuchnął na nie kłębem dymu ze stulonych warg.

- Niech się pan dowie, panie Paperman, że ten osobnik nie jest naszym obywatelem. To cudzoziemiec, robotnik sezonowy z brytyjskiej wyspy Nevis. Jego kontrakt zezwala mu wyłącznie na pracę na stanowisku ogrodnika, borykamy się bowiem z niedostatkiem kinjańskich pracowników tej profesji. Że zaś nie cierpimy na brak niewykwalifikowanej siły

roboczej, ludzi zdolnych do obsługi łodzi wiosłowej i uprawnionych do noszenia

tego kapelusza, musi pan zatrudnić na tym stanowisku obywatela Kinji.

- Uczynię to z największą przyjemnością, jednakże w tym momencie znalazłem się w sytuacji przymusowej, panie senatorze - powiedział Norman, wyciągając rękę po kapelusz.

Senator schował go za siebie.

- Usiłuję, kierując się

pobudkami szczerzej przyjaźni, ustrzec pana od poważniejszych kłopotów. Gdyby urzędnik imigracyjny, a kręca się tu stale, zorientował się, że ten osobnik wykonuje niedozwoloną pracę, mogliby panu z miejsca cofnąć pozwolenie na zatrudnianie cudzoziemskich pracowników. A trzeba panu wiedzieć, że wszystkie pańskie pokojówki i cała pomoc kuchenna to pracownicy kontraktowi z Nevis. Musiałby pan zamknąć hotel.

- Proszę mi tylko powiedzieć, senatorze, co mam zrobić, a zastosuję się do pańskiej rady - zapewnił Paperman. - Gdzie mogę znaleźć Kinjanina, który obsłuży tę łódź?

- Istnieje tylko jedno takie miejsce. Wydział Zatrudnienia Amerigo dysponuje aktualną listą Kinjan poszukujących pracy.

- Świetnie! A gdzie się mieści ich biuro?

- Naprzeciwko kościoła.

Niestety, w czwartki zamykają o trzynastej. Zresztą wątpię, szczerze powiedziawszy, by znalazł pan teraz kogoś chętnego do roboty. Mamy pełnię sezonu, więc na liście poszukujących posady nie ma zwykle nikogo aż do Święta Dziękczynienia.

Paperman utkwiał zdumione spojrzenie w spokojnej, poważnej twarzy senatora.

- Ależ panie senatorze... jeśli nie mogę zatrudniać pracowników kontraktowych ani znaleźć chętnego do pracy obywatela Kinji, kto mi obsłuży tę łódź?

Senator pokiwał z uznaniem głową.

- A więc zrozumiał pan powagę sytuacji. Ma pan istotnie twarde orzech do zgryzienia. Paperman aż jęknął.

- Może powinien pan po prostu powierzyć ponownie tę funkcję poprzedniemu przewoźnikowi. Widzi pan, nie możemy pozwolić, żeby cudzoziemcy zapobiegali przejściowym brakom na rynku pracy - oświadczył senator. - Wtedy bowiem nie powstawałyby nigdy żadne niedobory i na naszej wyspie zaistniałby problem bezrobocia. W obecnym stanie rzeczy nie znamy na Kinji tego zjawiska.

- Wierzę bez zastrzeżeń!

Poproszę o kapelusz. - Senator oddał mu kapelusz, a Paperman dodał: - Czy może mi pan powiedzieć, skoro już jesteśmy przy tym temacie, dlaczego kierowca taksówki nie chciał zabrać moich gości na lotnisku, a potem odmówił podwiezienia ich na samo nabrzeże?

Senator Pullman przetoczył cygaro w wargach, które wygięły się w wyrozumiałym uśmiechu.

- To wina pańskiej polityki.

- Mojej polityki? Przecież ja przyjechałem tu dopiero wczoraj!

- Klub „Rafa Mew” wysyła po swoich gości własny samochód. Związek Kierowców Taksówek jest zdania, że pozbawia to chleba obywateli Kinji. - Zmarszczył twarz, co postarzyło go lekko licząc o dwadzieścia lat. - Teraz, kiedy klub ma nowego właściciela, nadarza się okazja zmodyfikowania waszych reguł dotyczących odbioru gości z lotniska.

Paperman podszedł do gondoli.

- Millard!

Ogrodnik podniósł na szefa spojrzenie zbitego psa.

- Pomóż mi załadować te bagaże.

- Juś, plosiepana.

Millard ochoczo wygramolił się z łódki.

Paperman poczuł na ramieniu klepnięcie czyjejś dłoni i usłyszał głos senatora Pullmana:

- Noszenie bagaży również nie należy do prac, przewidzianych przez Urząd Zatrudnienia Amerigo dla pracowników napływowych. - Coś w twarzy Papermana, wyraz udręki zapędzonego w kąt szczura, sprawiło jednak, że dodał: - Nie dostrzegam w tej chwili na nabrzeżu żadnego inspektora z urzędu imigracyjnego. Mówię tylko o naszej polityce ogólnej.

- To, co robimy, pozostaje w całkowitej sprzeczności również z polityką klubu „Rafa Mew” - oświadczył Paperman. - Naładuj na bagażnik, ile się da, Millardzie.

- Widzę, że szybko się pan przystosuje do życia na naszej wyspie - pochwalił senator Pullman.

Norman Paperman już po raz drugi tego dnia napędzał wiosłem gondolę obciążoną ponad miarę bagażami i pasażerami, wśród których znajdował się także rosły zgnębiony ogrodnik, odprowadzany głośnym sarkaniem pozostawionej na nabrzeżu gromadki gości, którzy nie zmieścili się do łodzi. Nie mając gdzie położyć kapelusza, nasadził go sobie na głowę, i z ulgą powitał cień szerokiego ronda; dochodziła trzecia po południu i skwarne promienie słońca przyprawiały go o mdłości.

Rzucając wyzwanie inspektorom urzędu imigracyjnego, którzy mogli czaić się w krzakach, kazał Millardowi przenieść bagaże do głównego pawilonu, sam tymczasem popędził do baru i polecił Gilbertowi, by wracał na stanowisko przewoźnika. Chłopak był wstrząśnięty i próbował oponować.

- Ja lubię dobre dlinki, plosiepana! Mam zamówienie na sieć pońciów.

- Ja sam przygotuję te poncze, Gilbertcie. Zresztą mogą trochę poczekać. Teraz najważniejsza rzecz, to przywiezienie gości.

- Obsługuję kasie nie goziej niż Thol. Znam się na piniądzach.

- Jestem tego pewien. To tylko chwilowa zamiana, póki czegoś nie wymyślimy. Proszę cię, Gilbertcie, pędź teraz do łodzi. Na jednej nodze!

Oblicze chłopaka zachmurzyło się; odął grube afrykańskie wargi, oczy mu się zwężyły i przycisnęły.

- Siucham, plosiepana.

Paperman podążył za nim przez hol, bo nie miał wcale pewności, czy Gilbert posłucha polecenia; uspokoił się dopiero wtedy, gdy chłopak wsiadł do gondoli i odpłynął.

Lorna wpatrywała się w szefa zza pulpitu recepcyjnego i jakoś dziwnie chichotała, zasłoniwszy dłonią usta.

- Panie Pejpelom, pani Tlamm jest w biurze...

- Ach tak, rzeczywiście!

W natłoku wydarzeń - ten dzień mógł z powodzeniem kandydować do tytułu najdłuższego w całym życiu Normana - na śmierć zapomniał o tym, że Iris postanowiła mu pomóc.

Iris Tramm rozłożyła na obu biurkach księgi buchalteryjne i porządkowała rachunki - papierki różnych rozmiarów i kolorów - ze stołówki oraz baru. Duże ciemne okulary nadawały jej wygląd oschłej urzędniczki. Nie była w biurze sama; oparty o ścianę, skromnie splótłszy ręce za plecami, stał tam jakiś biały brodaty młodzieniec lat mniej więcej dwudziestu, z bujną strzechą prostych kasztanowych włosów. Miał na sobie czerwone kąpielówki i spłowiła niebieską bluzę z kapturem.

- Cześć, zbijamy dziś majątek!

- obwieściła Iris. -

Rozpracowałam system Thora. Jest świetny!

Zdjęła okulary, spojrzała na Normana, w jej oczach zamigotał przestraszony, ale w następnej chwili zaniosła się śmiechem.

- Boże, jak ty wyglądasz!...

Aha, przedstawiam ci pana Churcha Wagnera. Church jest artystą. Tam stoi kilka jego obrazów. Chciałby zapytać, czy może je wystawić w holu. Wydają mi się całkiem niebrzydkie.

Uśmiechając się wstydliwie, Church zaprezentował swoje oleje i akwarele; przedstawiały palmy i morze, walące się domy, tańczących tubylców (dzieła te mogły aspirować co najwyżej do miana tandetnych jaskrawych plakatów). Sam malarzyna był natomiast niezwykle przystojnym młodzieńcem o pociągłej twarzy, której poważny wyraz łagodziły niemal dziewczęco łagodne piwne oczy.

- Pan pędzlem zarabia na życie?

- Byłem nauczycielem plastyki w szkole średniej, proszę pana, lecz nie bardzo mi to wychodziło, więc... Przepraszam za mój wygląd, ale dopiero co przyplłynąłem moim katem.

- Pańskim czym?

- Katamaranem, proszę pana. Tą niebieską łodzią o dwóch kadłubach, przycumowana do pańskiego pomostu, tą z niebiesko-złotymi żaglami.

- A, „Nierozłączka”!

Paperman musiał manewrować gondolą, żeby ominąć ów dziwny statek.

- Właśnie, proszę pana -

przytaknął Church.

Niczym tonący, gotów chwycić się choćby brzytwy, Paperman zapytał:

- A nie potrafi pan przypadkiem przyrządzać drinków?

Natchnione oblicze Churcha ozdobił ujmujący uśmiech.

- Tak się składa, że na

ostatnim roku college'u zarabiałem na życie jako barman na przyjęciach.

- Chce pan dostać posadę?

- Jeszcze jak!

- Od ręki?

- Im prędzej, tym lepiej, proszę pana.

- Chodź ze mną, chłopcze.

Paperman zainstalował Churcha Wagnera w barze, pokazał mu wyposażenie, kasę, wprowadził w system rachunków za obiady, po czym pozostał jeszcze chwilę, aby popatrzeć, jak młodzieniec przygotowuje poncz.

- To świetnie wyposażony bar!

- zawołał uszczęśliwiony Church mieszając trunki i grzechocząc shakerem. - Nie jestem tylko odpowiednio ubrany...

- Wyglądasz doskonale.

Egzotycznie.

- Muszę przyznać, że

dzisiejszy dzień okazał się dla mnie szczęśliwy! Prawdę powiedziawszy, miałem już pustki w kieszeniach i w oczy zaglądał mi głód.

- O twoim wynagrodzeniu

pomówimy później. Tymczasem możesz się u nas stołować.

- Ogromnie panu dziękuję. To dla mnie prawdziwy dar niebios!

- To żeglarz, podobnie jak Thor - powiedział Paperman do Iris, wróciwszy do biura. - Brakuje mu więc z pewnością którejś klepki. Musimy tylko trochę poczekać, by się przekonać której. Ostatecznie mogę go poobserwować i sprawdzić, czy nie ma aby lepkich palców. Tymczasem dosłownie spada mi jak z nieba...

Możesz mi powiedzieć, dlaczego tak chichoczesz, u licha? Lorna też, nie wiem czemu, zaczęła rzeć na mój widok.

- Spójrz tylko w lustro - wykrztusiła Iris, powstrzymując śmiech.

Paperman odwrócił się i przejrzał w wiszącym na ścianie zabrudzonym okrągłym lusterku. Ujrzał twarz w smugach kurzu, usianą kropelkami potu, spieczoną słońcem, wymizerowaną; na czoło spadały mu kosmyki potarganych, pociemniałych od potu szpakowatych włosów, a całość wieńczył słomkowy kapelusz gondoliera, ozdobiony czerwonymi i złotymi wstążkami.

Norman odwrócił się do Iris i otworzył szeroko ramiona.

- O sole mio - zaśpiewał. - O sole mio!...

Iris parsknęła śmiechem, podbiegła i przytuliła się do niego.

Zaniepokojona Lorna wsunęła głowę w uchylone drzwi, po czym z domyślnym, dwuznacznym uśmiezkiem cofnęła się i zamknęła je za sobą.

5

Norman powłókł się do „Białego Domku”, by wziąć kąpiel i uciąć sobie drzemkę, tak wycieńczony, że nie miał siły na lunch, pływanie czy choćby na to, by napić się piwa. W jedno przedpołudnie tyle się nabiegał i odwalił tyle ciężkich prac - do tego w okropnym napięciu nerwów - że właściwie powinien był paść i wyzionać ducha. Serce sprawowało się jednak całkiem dzielnie, a jeśli nawet czuł jego kołatanie i bóle, był zbyt zajęty, by zwracać na nie uwagę. Miał wrażenie, że w swoim pokoju na wiele godzin popadnie w stan omdlenia, tymczasem wymoczywszy się w wannie - napełnił ją po brzegi gorącą wodą, wżgardliwym prychnięciem zbywając napis na ścianie: „Prosimy oszczędzać wodę! Prosimy brać krótkie prysznice!” - odzyskał w pełni siły. Po kąpeli poczuł się tak dobrze, że w ogóle nie mógł zasnąć. Nurtował go niepokój, ale jednocześnie odczuwał radosne podniecenie. Wiercił się i przewracał na łóżku, w końcu wstał i narzucił ubranie. Nie było sensu daremnie zmuszać się do snu. W głównym pawilonie mogły się wszak właśnie dziać różne straszne rzeczy, tam więc było miejsce właściciela hotelu. W głównym budynku hotelowym panował zupełny spokój. W ciągu ostatnich trzech kwadransów nie wydarzyła się tam żadna katastrofa. Goście swawolili lub opalali się na plaży. W zatłoczonym barku plotkowano przy kieliszkach, a w holu starsze osoby gawędziły półgłosem lub oddawały się lekturze czasopism. Ogromna płachta brezentu wydymała się i falowała, ale nie dobiegał zza niej żaden dźwięk.

Paperman wsunął się do sali, która była niegdyś jadalnią. Zewnętrzna ściana zniknęła bez śladu, bo nawet gruz usunięto. Prostokątny otwór, podobny do wielkiego okna widokowego, otwierał się na gładkie morze i czyste niebo, po którym płynęło kilka obiecujących deszczowych chmur.

Gdybyż wreszcie lunęło! Norman uświadomił sobie, że to lęk przed nagłym brakiem wody tak zżera mu nerwy. Należało bezzwłocznie zapoznać się z nagimi, surowymi faktami dotyczącymi funkcjonowania systemu wodociagowego. Przywołał z gondoli Gilberta.

- Gilbertcie, Thor pokazał ci podobno, jak działa sieć wodociagowa, czy tak?

Chłopak wpatrywał się w szefa chmurnymi, smutnymi oczami.

- Mam na myśli zawory,

cysterny, pompy - wyjaśnił Norman. - Rozumiesz: wodociąg!

Spod przepony Gilberta dobiegła burkliwa odpowiedź:

- Tak, plosiepana.

- Więc pokaż mi to wszystko.

- Dobrze, plosiepana.

Gilbert powlókł się przodem do głównego gmachu, przeciął hol i wszedł do korytarza wiodącego do kuchni. Do uszu Normana dobiegł w następnej chwili kłótny krzyk Sheili:

- A ti cio tu lobiś, Cilbelt?

Winocha ś moi kuchni! Tilko fu sieścaciaś, ti łazięgo. No juś, winocha!

- Pan Pejpan powieciał, ziebym mu coś pokazał - wymamrotał Gilbert.

- Istotnie, Sheilo -

potwierdził Norman, zbierając się na odwagę. - Nie zabawimy tu długo.

Pędząc przed sobą ospałe

pomocnice i burcząc coś

niezrozumiale, kucharka opuściła swój przybytek.

W ciasnej kuchni panował

nieopisany żar. Paperman ocenił,

że musi dochodzić do

pięćdziesięciu stopni. Z

pyrkoczącego na ogniu sagana buchał smrodliwy rybi odór. Gilbert wsunął żelazny

pręt w pierścień wpuszczony w podłogę, szarpnął i uniósł dużą klapę. Następnie

zjął z półki latarkę i oświetlił czarną kwadratową jamę piwniczki.

- To tiu - oświadczył.

Paperman podszedł do otworu, kucnął i zajrzał do środka.

- Widzę wodę i to całkiem sporo - powiedział głosem wzmocnionym przez pogłos z cysterny. - Ile jej tu się mieści? Nie masz jakiejś miarki?

Gilbert spuścił do cysterny pion sznurkowy. Kiedy wyciągnął ociekającą wodą linkę, okazało się, że jest sucha niemal na całej długości; ściemniało od wilgoci najwyżej trzydzieści parę centymetrów.

- No cóż, wobec wielkości tej powierzchni - rzekł Norman - nawet taka resztką oznacza tysiące litrów.

Gilbert pokazał palcem koniec mokrego odcinka.

- Pompa sięga tylko potąd.

- Chcesz powiedzieć, że całą wodę poniżej trzeba spisać na straty?

Chłopak przytaknął.

- Co za idiota buduje w ten sposób cysterny? Każę Akersowi spuścić pompę niżej.

Gilbert przesunął palcem po sznurku w dół.

- Niziej osiadzia się biut.

- Brud? Jaki znów brud?
- Biut ś dachu. Liście, ptasie ajno, boto, maltfe gąsienicie, nieziwi stonogi, nieziwi lopuchy dziewne, pajomki, tlochę mysy polnych i lózne lóžności.

Od chwili przybycia na Rafę Mew Norman nie przestawał pocić się obficie i zdążył już wypić ogromne ilości tej wody, poczuł więc teraz silne mdłości i cofnął się spiesznie od krawędzi lochu. Niewiele by pomogło dodawanie wymiocin do hotelowej wody pitnej zawierającej takie bogactwo niezwykłych składników. Słaniając się na nogach wyszedł z kuchni i oparł się o ścianę. Gilbert opuścił klapę nad cysterną i dołączył do pracodawcy.

- Mówiłeś poważnie, Gilbercie?

Jeśli tak, jak to się dzieje, że wszyscy, którzy tu przyjeżdżają, nie umierają na tyfus lub cholera?

- Bo woda jeś filtowana sieś wękiel dziewny.

- Czy tej cysterny nigdy nie czyszczono z tego... szlamu?

- Ofsiem, plosiepana.

- Kiedy ostatnio?

- Kiedy pękła po ciśnieniu ziemi i siętka woda wyciekła.

- Kiedy to było?

- Nie fiem. Hippolyte ja ciścił.

- Kto to jest Hippolyte?

- Taki jeten. Juś tu nie placuje.

Gilbert wyprowadził

osłabionego Papermana tylnymi

drzwiami na czyste, wonne

powietrze. Zeszli po

piaszczystym stoku pod

zarośniętą winoroślą pergolę, maskującą stalowe podpory pod barem. Pod ich

stopami chrzęścił piasek, a przez ażurowe ścianki pergoli mogli dojrzeć

połyskujące morze i rozbawionych gości. W pewnej chwili Gilbert schylił się i

zniknął w jakiejś dziurze w fundamencie budynku. Norman podążył jego śladem.

- Pan się nie plośtuje -

ostrzegł go chłopak, za późno jednak, gdyż Norman rąbnął właśnie w ciemności głową w jakiś metalowy przedmiot.

Promień latarki ujawnił, że uderzył się o zawór, pomalowany na czerwono, a

wystający z płataniny rur pod sufitem. W pobliżu sterczał podobny zawór, tyle że pomalowany na zielono. W tej niskiej dusznej piwnicy cuchnęło zgnilizną,

pleśnią, ściekami i smarem maszynowym.

Wypełniały ją hotelowe rupiecie:

połamane krzesła, jakieś dziwaczne graty, puszki zaschłej farby, zardzewiałe

pokrywki, stosy misek, bele pomiętego papieru. Obiekt dominujący stanowiła

jednak ogromna, dzwoniąca, sapiąca i świszcząca maszyna, ustawiona na betonowej

platformie. Na wszystkie strony, niczym macki ośmiornicy, wybiegały z niej

promieniście rury, pokrywały ją narośla dziwnych gałek, przyrządów pomiarowych i cylindrów.

Paperman odczuwał od dziecka zabobonny lęk przed wszelkimi mechanizmami. Ten,

który miał przed sobą, sprawiał wrażenie bardzo starego, zużytego i do tego złośliwego.

- Pompa - oświadczył Gilbert.

- Na co ona chodzi? Na

benzynę?

- Na lelektyčnoś. - Chłopak wskazał dwa pokrętła zaworów, jedno zielone, drugie

czerwone, oraz kilkanaście mniejszych, szarych i zardzewiałych, wystających na

wszystkie strony z monsturalnej maszyny. - Pan nie żwłacia uwagi na te mniejsie.

To ziawoły od domkuf. Ten cielwoni to ziawul guwni. Zieloni to ziawul

źbiolnika awalyjnego. Myślę, zie telas juś włócę na uć.

Zwrócił się w stronę wyjścia.

- Chwileczkę!

Choć Norman trwał skurczony w bardzo niewygodnej pozycji, uznał, że jeśli od razu nie zgłębi tajników systemu wodociągowego, nie pozna ich już nigdy. Skulony jak górnik w tej cuchnącej wilgotnej i ciemnej norze, zarzucił chłopaka pytaniami, jakby stukał młotkiem w pancerz jego milkliwości, po czym własnoręcznie włączył i wyłączył pompę i pokręcił oboma kolorowymi zaworami. Stwierdził, że zbiornik awaryjny mieści mniej więcej dzienny zapas wody, więc gdyby wyczerpała się główna cysterna, pozostawał mu jeden dzień na jego uzupełnienie. Paperman uznał, że to pomyślnie odkrycie jest dostateczną nagrodą za tak nieprzyjemne i niewygodne badanie. Koszmarna wizja czterdziestu nie splukanych sedesów rozplynęła się i przestała go dręczyć, przynajmniej na jakiś czas.

- Dobrze, Gilbercie. Możesz już wracać na łódź. Dziękuję ci.
- Tak, plosiepana.

Paperman wrócił do holu. Lorna była bardzo zajęta przy centralce; manipulowała zręcznie wtyczkami, sama dzwoniła i odpowiadała na telefony. Musiał zaczekać, aż będzie miała chwilę przerwy.

- Lorna, senator Pullman powiedział mi, że ty wiesz, jak zdobyć wodę w razie nagłej potrzeby, gdyby zbiorniki nam wyschły.

- Sienatol Pull-mon? - Oczy Lorny zaokrągliły się i wyglądały zdumiewająco niewinnie, ale język zastrzygł spomiędzy warg wygiętych w uśmiechu tak rozpustnym, że przyprawiłby o wstrząs paryską dziwkę. - Sienatol Pull-mon tak powieciał?

Dopiero po długich naleganiach z zastosowaniem niezawodnego środka - przypochebnych słówek

- udało się Papermanowi wydobyć z niej prawdę. Okazało się, że Lorna ma brata imieniem Anatone, który dysponuje samochodem-cysterną i zarabia na życie rozwożąc wodę po domach utracjuszowskiej paczki ze wzgórza. Anatone czerpał wodę ze zbiornika miejskiego. Mógłby przywieźć jej zapas również do klubu, ale to by drogo wyniosło, ponieważ na Amerigo nie było węża dość długiego, by mógł sięgnąć od nabrzeża portowego aż na Rafę Mew. W porcie stał stary okręt desantowy z czasów wojny, używany do wywożenia komunalnych śmieci na pełne morze, gdzie je zatapiają. Anatone mógł go wypożyczyć, mógłby więc wjechać swoją cysterną na pokład okrętu i w ten sposób dostarczyć wodę do klubu. Paperman musiałby zapłacić za wodę, za wypożyczenie okrętu desantowego oraz za nadgodziny Anatone'a.

- Coś panu powiem, panie

Pejpelom - zakończyła Lorna. - Niech pan motli się lepiej, zieby spadł deść.

- Jak, powiedziałaś, twojemu bratu na imię, Anatole?

- Anatone - zachichotała. - Siscy je tak siekręcajom! Anatone.

Wyglądało na to, że Anatone może się okazać dla Normana ostatnią deską ratunku. Odwołanie się do jego pomocy należało co prawda uznać za krok rozpacz, ale jednak było to jakieś wyjście, lepsze niż żadne. Paperman doszedł do wniosku, że pożytecznie spędził ostatnią godzinę. Co się tyczy wody, wiedział już wszystko, co wiedzieć należało.

Iris wciąż pracowała w biurze; zajęta była właśnie układaniem ksiąg i rachunków.

- Cześć! - przywitała

Papermana. - Odpocząłeś trochę?

Wciąż wyglądasz na lekko oszołomionego.

- Naprawdę?

Kontent z siebie, Paperman objął i pocałował Iris, co najwyraźniej sprawiło jej przyjemność.

- Na Boga, czy drzemka zawsze tak na ciebie działa?

Szczęściara z tej Henny! Wiesz, Norm, te książki to żadna wielka abrakadabra.

Wystarczy codziennie trochę nad nimi poślęczyć. Jutro razem się tym zajmiemy.

- Świetnie! A teraz proponuję długą kąpiólkę w morzu, po której wypijemy kilka kieliszków martini, powiedzmy sześć do siedmiu, które nam poda Church Wagner w zaciszu „Białego Domku”. Potem obiad.

Iris zaiskrzyły się oczy.

- Cudowna propozycja i zgadzam się na wszystko z wyjątkiem obiadu, Norm. Obiadu zjeść z tobą nie mogę. Bierzmy się do dzieła!

6

Kiedy napływawszy się do syta znaleźli się oboje na werandzie domku Normana, od wschodu nadciągnęły burzowe chmury i spadały do morza szarymi kurtynami rzęsistej ulewy.

- Spójrz - zawołał radośnie, wskazując na niebo. - Żegnaj, suszo!

- No i czy nie cudowne

zrzącenie losu? Musisz rzucać na pogodę jakieś czary. Sheila twierdziła, że nie zmieni się aż do Bożego Narodzenia. Gdzie nasze martini?

Usiadła na wiklinowej kanapce, podciągnęła pod siebie i oparła na czarnych poduszkach gołe nogi, utykając pod uda różową płócienną spódnicę.

- Church zaraz je nam

przyniesie.

Iris zapaliła papierosa i przyglądała się w zamyśleniu ścianie deszczu, odległej teraz od brzegu o niewiele ponad kilometr.

- Co się tyczy tego młodzieńca... - zaczęła.

- Tak?

- Norm, barman to niemal

kluczowe stanowisko w twoim hotelu. Cały utarg przechodzi przez tę kasę w barze.

Tam się też wymeldowują goście. To sprawia, że prowadzenie rejestracji jest dziecinnie łatwe i za Thora wszystko funkcjonowało znakomicie, ale...

- Uważam, że ten dzieciak jest równie bystry jak Thor. Zresztą będę miał na niego oko - zapewnił beztrąsko.

Wolałby, żeby ta godzina,

ozłocona promieniami

zachodzącego słońca,

wystrzelającymi zza deszczowych chmur, upłynęła w bardziej intymnym nastroju.

Biało-różowa Iris, siedząca na czarnych poduszkach, wyglądała ślicznie i bardzo ponętnie.

- Widzisz, skarbie, pomyślałam sobie, że strzeżonego Pan Bóg strzeże i zatelefonowałam do jego dawnego gimnazjum...

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Church, wnosząc w wiaderku z lodem butelkę martini i dwa kieliszki.

- Dobry wieczór, pani Tramm - przywitał Iris, uśmiechając się do niej nieśmiało.
- Mamy w barze ogromny ruch, proszę pana. Goście siedzą też na całej plaży, a właśnie zaczyna kropić. Dziewczeta rozpięły na tarasach markizy. Zapytały mnie o pozwolenie, a ja powiedziałem, żeby oczywiście rozpięły.

- Church, czy prowadzenie rachunków nie sprawia ci kłopotu?

- W żadnym razie, proszę pana.

W barze, jak pan wie, jest dziennik przychodów. Staram się prowadzić go na bieżąco.

Sprzedaliśmy szesnaście abonamentów na obiady dla gości spoza hotelu. Będziemy mieli komplet.

Powiedziawszy to, zakręcił się na bosych stopach i zniknął.

- Ten chłopak to istny dar niebios! - oświadczył Paperman. Nalał martini do kieliszków i skosztował. - Prawdziwy skarb! A co powiesz o jego martini?

- Wyrzucili go z tego

gimnazjum - powiedziała - bo zmajstrował dziecko dyrektorce.

W oczach Normana odbiło się zdumienie, ale i rozbawienie.

- Patrzcie państwo, samej dyrektorce! Takie niewinne chłopię!

- Wyobraź sobie, pannie Lydii Pullman, kuzynce senatora, czterdziestotrzyletniej starej pannie z dziewiętnastoletnim stażem pracy w szkolnictwie.

- Boże drogi!

- Rozmawiałam z kilkoma

nauczycielkami, Norm. Rozpętała się dzika awantura. Niezameżna nauczycielka, która zajdzie w ciążę, traci posadę i przepada jej wysługa lat. To się nieraz zdarza, ale jeszcze nigdy nie przytrafiło się żadnej dyrektorce. Churcha z miejsca wylali na zbity pysk.

- A ona?

- Dostała w nagrodę stypendium na roczny kurs zarządzania szkolnictwem, przyznane w trybie dość nagłym, i wyjechała do Stanów.

- Już widzę w wyobraźni tę scenę - rzekł Norman. - Zebranie rady oświatowej o północy, za zamkniętymi drzwiami.

Pedagogiczne walory kandydatki prezentuje miejscowy ginekolog. Nie przestaję wciąż od nowa zakochiwać się w Kinji! Co powiesz na dolewkę?

Roześmiała się, lecz pokręciła odmownie głową.

- Pytanie brzmi, czy uważasz za dopuszczalne, by ten deprawator szacownych pedagożek zajmował się finansami klubu?

- A czemuż by nie? Jeśli jego wadą jest pociąg do pań w pewnym wieku, nie będzie potrzebował pieniędzy, żeby realizować swe zachcianki. Tego towaru nie brakuje i za darmo.

- Bo ja wiem?... Są gusta i guściki. Co do mnie, nie mogłabym się zadawać z takimi ciepłymi kluchami jak pan Church...

Kropelki deszczu, niesione nagłym podmuchem wiatru, pacnęły Normana w policzek. Falująca kurtyna ulewy, spadająca do morza z nadciągającej ciemnej chmury, szumiała w oddali jak wielki wodospad. Ukąszenie zimnych kropel wprawilo Papermana w zachwyty.

- A mogłabyś się zadawać z takimi odwodnionymi i ciepłymi kluchami jak ja?

- Daj spokój, Norm! Norman Paperman, co za nazwisko, swoją drogą! - Przyglądała mu się, w zabawny sposób kręcąc z politowaniem głową. - Wiesz, zrobiłeś coś bardzo głupiego albo coś bardzo mądrego, sama jeszcze nie umiem powiedzieć. W każdym razie to zrobiłeś: przywiozłeś ze sobą Henny.

Norman potarł nerwowo kciukiem dolną wargę.

- Henny znajduje się w tej chwili daleko stąd - zauważył.

- Nie jestem już tą, którą byłam - powiedziała Iris - ale jeszcze nie upadłam tak nisko, aby zawdzięczać swoje przyjemności kamieniom żółciowym innej kobiety.

- To nie ma nic wspólnego z kamieniami żółciowymi Henny - mruknął ze złością. - Zresztą ona nie ma żadnych kamieni. Po prostu jesteś piękna i podobasz mi się.

- Henny jest szalenie miła.

Wiesz, poprosiła mnie, żebym rozejrzała się za odpowiednimi krzesłami i obiciami do waszego holu. Od pierwszej chwili przypadłyśmy sobie do serca, jak dwie bliskie kuzynki, które się dawno nie widziały. A zresztą...

- Westchnęła i jednym podrzutem zgiętej w łokciu ręki przechyliła kieliszek. - Wiesz o mnie wszystko. Nie będę ukrywać, że należę do osób, z którymi bezpieczniej się nie zadawać. - Wstała i obciągnęła na sobie sukienkę. - Hej, co się stało, Norm? Na miłość boską, na co tak wytrzeszczasz oczy? źle się poczułeś?

- To niemożliwe - wyszeptał. - To nie może się dziać naprawdę. Nie, nie wierzę...

Wyciągnął drżącą rękę w stronę morza. Ulewa obchodziła bokiem Rafę Mew! Biały Domek stał na cyplu najdalej wysuniętym na wschód, ale i on został zaledwie pokropiony. Zza czarnej chmury, która oddalając się, wlokła za sobą szare kurtyny deszczu, wyłaniało się czyste błękitne niebo, rozjaśnione złotoczerwoną łuną zachodu.

- Psiakrew! Ta pompa chyba nas istotnie ominęła - przyznała Iris. - Ale nie martw się, nadciągnie następna.

- Na litość boską, Iris, tylko spójrz na te masy wody, wlewające się do morza! Dziesiątki tysięcy litrów na minutę! Po co? Morze nie potrzebuje więcej wody. Ja jej potrzebuję!

- Trudno, skarbie, dopij lepiej swoje martini.

- Gdybym miał dłuższe ręce - narzekał Paperman - mógłbym wystawić wiadro i nałapać deszczówki, ile dusza zapagnie, tak była blisko. A teraz się oddala! Na Kubę albo cholera wie gdzie.

- Wedle mego rozeznania leje teraz nad pawilonem głównym - pocieszyła go Iris. - Na tej kretyńskiej wyspie takie właśnie mamy anomalie pogodowe.

- Chodźmy sprawdzić! - zawołał.

Wypadli z domku i pobiegli przez trawnik. Główny budynek świecił suchymi ścianami w różowych promieniach zachodzącego słońca. Za nim majaczyły, ledwo widoczne w strugach ulewy, kontury wyspy Amerigo.

- Chryste Panie, Iris - jęknął Norman. - Leje na zachód i na wschód od nas. Nie sędzę, żeby odległość między jednym a drugim oberwaniem się chmury była większa niż dwa kilometry, a jednak siedzimy tutaj pod bezchmurnym niebem jak pod jakimś cholernym namiotem! To się po prostu nie mieści w głowie! Chyba cierpię na halucynacje.

- Słuchaj, skarbie, wracamy do ciebie! Musisz usiąść i chwilkę odsapnąć.

Wzięła go stanowczo pod rękę, zaprowadziła do domku, posadziła na fotelu i naląła mu następny kieliszek.

- Właściwie nie widzę powodu, dlaczego nie miałbyś się dowiedzieć, że takie psikusy w tym klimacie to normalka.

- Mówisz poważnie? - Paperman podniósł ku niej wzrok jak zbity pies. - Naprawdę normalka?

- Taki wybryk natury, układ wiatrów. Winne są temu góry

Amerigo. Amy Ball niemal odchodziła od zmysłów z tego powodu. Deszczowe chmury bądź to opróżniają cały ładunek wody na ich grzbietach, bądź odbijają się od nich i zawracają nad morze. Dziesiątki razy obserwowałam z tego miejsca, jak obchodzą ten hotel bokiem niczym żołnierze, omijający trupa.

- Cholera jasna! - mruknął. - To szalenie ciekawe i byłoby nawet zabawne, gdyby nie fakt, że prawdopodobnie kofnę przez ten figiel natury na zawał.

- Och, nie podchodź do tego tak tragicznie, skarbie! Dowiedz się na pociechę, że co jakiś czas któraś z trzydniowych ulew jednak tu dociera, a wtedy cała wyspa

tonie w strugach deszczu. Masz tak wielką połąć dachową, że cysterna zwykle się przepełnia jeszcze przed końcem ulewy. Nieraz to już obserwowałam.

- Tymczasem jednak - odparł ponurym głosem - będę musiał jutro odszukać

Anatone'a i kupić od niego wodę. Nie ma innego wyjścia.

- Anatone'a? Jakiego znów Anatone'a?

Norman powtórzył jej swoją rozmowę z Lorną.

- Psiakostka, ależ ci ludziska tu noszą imiona! Anatone! To brzmi jak nazwa proszku od bólu głowy.

- Mnie nasunęło skojarzenie z niemarkowym japońskim radiem.

Roześmiała się i oznajmiła:

- Muszę już iść. Jeśli

będziesz pisał do Henny, napisz jej, że Hassim sprowadza z Hongkongu tę złoto-czarną wykładzinę, którą wybrała do holu. Powinien ją mieć w przyszłym tygodniu.

- Pochyliła się nad Papermanem i musnęła wargami jego policzek. - A jeśli jeszcze raz będziesz się do mnie dobierał, poszczuję cię Ziółkiem. Te sprawy nie wchodzi między nami w grę, zrozumiano? Mam zamiar być ci siostrą.

Skulił ramiona i jęknął.

- Zawstydzasz mnie, Iris!

Odprowadził ją przed dom i patrzył, jak odchodzi po trawie w stronę przystani - gibka i zgrabna różowa postać. Deszczowe chmury odpłynęły bez śladu - i te z północy, i te z południa, ze wschodu i z zachodu. Klub „Rafa Mew” nakrywała sucha kopuła szafirowego nieboskłonu, ozdobiona dwiema iskrzącymi się na zachodzie gwiazdami.

7

Papermana wyrwały ze snu odgłosy dobijania się do drzwi i wołanie:

- Panie Pejpmam! Panie Pejpmam!

Jesz pan tam?

Głos był kobiecy, lecz nie należał do Sheili; był wyższy, piskliwy. Okno od strony morza wypełniała czerń nocy bez gwiazd i księżyca. Fosforyzowane wskazówki zegarka Normana wskazywały kwadrans po jedenastej.

- Hej! Panie Pejpmam!... Żdaje mi sze, że jego tam nie ma.

Inny dziewczęcy głos wyraził zdanie przeciwne:

- Na pefno jeszt!

Ponownie rozległo się łomotanie do drzwi, tym razem czterech pięści, i usłyszał krzyk dwóch kobiecych gardeł:

- Panie Pejpmam! Panie Pejpmam!

- Już, już, chwileczkę! Już otwieram!

Dziewczęta - kelnerki z baru - poinformowały Normana, że przed chwilą skończyła się woda. Zauważył to Church, myjąc szklanki, i natychmiast wysłał obie dziewczęta, by zawiadomiły szefa.

- W porządku - odparł Paperman z niejaką nawet satysfakcją; po raz pierwszy panował nad sytuacją kryzysową w klubie

„Rafa Mew”. - Powiedzcie Churchowi, że za dwie minuty będzie miał znowu wodę.

Dziewczęta wróciły biegiem do głównego budynku, a Norman poczłapał za nimi w szlafroku i słomianych klapkach. W holu napadło na niego kilku ubranych w piżamy gości. Uciszył ich krzyki gestem podniesionych do góry rąk.

- Proszę państwa, woda zaraz będzie! To tylko kwestia przełączenia instalacji z jednej cysterny na drugą. Przepraszam za powstałą niewygodę, ale zanim wrócićcie państwo do swoich pokoi, woda już popłynie.

Wiele osób, nieświadomych awarii, siedziało w barze w szampańskich humorach; jeszcze liczniejsza grupa tańczyła na tarasie przy muzyce zespołu stalowych bębnow.

- Church, weź z kuchni dużą latarkę i chodź ze mną.

Powinieneś i ty się nauczyć obchodzić z tym zabytkiem.

- Dobrze, proszę pana.

Paperman zaprowadził młodzieńca do cuchnącej piwnicy pod hotelem. Pompa pracowała z jakimś dziwnym suchotniczym charkotem. Norman powiódł promieniem latarki wzdłuż przewodu elektrycznego na ścianie. Odnalazłszy gniazdko, wyciągnął wtyczkę. W ślad za oboma bolcami wyskoczyły z dziurek tłuste niebieskie iskry. Pompa zakaszłała, zachrobotowała, zatrzęsła się, zgrzytnęła, zabrzęczała rozpaczliwie i zamilkła.

Paperman nie pamiętał już, czy zbiornik awaryjny otwiera czerwony, czy zielony zawór, uznał jednak, że to nieistotne. Musiał po prostu zamknąć otwarty, a otworzyć zawór dotychczas zamknięty.

Tak też zrobił.

- Proszę - obwieścił

triumfalnie i wetknął wtyczkę na powrót do gniazdka.

Pompa zareagowała jak żywa istota: dźgnięty szpada byk lub kobieta, która poczuła w ciemności chwyt nieznanym ręki. Zachrypiała, zatrzeszczała, niemal uniosła się nad betonowym postumentem, zadygotała całą swoją mocą, a wskazówki manometrów zaczęły się wychylać w obie strony. Po chwili machina uspokoiła się i zaczęła pracować głośno i miarowo.

- No i proszę - stwierdził Paperman, starając się nie okazywać ekscytacji, choć podczas konwulsji pompy zupełnie zaschło mu w gardle. - Leć i sprawdź, czy mamy już wodę, synku. Wystarczy krzyknąć, będę czekał na plaży.

- Już lecę, proszę pana.

- Nie ma! - zawołał po mniej więcej pół minucie Church, przechyliwszy się nad balustradą baru. - Nie ma wody, panie Paperman! Goście zbierają się w holu i klną na czym świat stoi.

- Wracaj tu migiem! - wrzasnął Paperman.

- Już lecę, proszę pana!

- O co tu chodzi, u diabła, jak myślisz, Church? - radził się chłopaka Paperman, przesuwając promieniem latarki po dudniącej maszynie. - Przecież pracuje, ciągnie wodę ze zbiornika awaryjnego, który był pełny, sam to dziś sprawdzałem.

Church dotknął rur.

- W tych rurach nic nie

plynie, proszę pana. Czułoby się wibrację i byłyby zimne. Nie wydaje się panu, że pompę trzeba by najpierw zalać? Większość pomp tego wymaga, kiedy się przesuszą.

- Wygląda mi na to, że się znasz na pompach. A więc do dzieła, synku, zalewaj!

Church poczochnął brodę i spojrział na chlebobawcę z niepewnym krzywym uśmiechem.

- W tym jednym nie jestem dobry, proszę pana. Maszyny przyprawiały mnie zawsze o gęsią skórę. Trzeba panu wiedzieć, że mam za sobą długą i raczej niechlubną historię zatarcia silników niezliczonych łodzi. Szczerze mówiąc wolałbym nie dotykać tej pompy.

Gapili się obaj na posapującą maszynę.

- Jasny gwint! - mruknął
Paperman. - Zielonego pojęcia nie mam, jak się zalewa to świństwo. O ten drobiażdżek zapomniałem Gilberta zapytać, a sam z siebie mi tego nie raczył powiedzieć. Obawiam się, że będę musiał poszukać tego nygusa.

Virgil, nocny przewoźnik, spał na rufie gondoli, nasunawszy na oczy kapelusz. Był to drobny, wyjątkowo kościsty mężczyzna, którego wieku Paperman nie był w stanie określić, bo Virgil nie miał przednich zębów i mocno zezował. Stale coś żuł, choć nie widziało się nigdy, by wsadzał cokolwiek do ust. Thor powiedział Normanowi, że Virgil jest sympatyczniejszy od Gilberta, mianował go jednak przewoźnikiem nocnym, ponieważ „dak dżywne wyglonda”.

Narzuciwszy na siebie koszulę, szorty i sandaalki, Norman pomknął na tonący w ciemnościach pomost i potrząsnął gondolierem.

- Virgil, nie wiesz przypadkiem, jak się zalewa pompę?

- Pompę? Nie, ploffę pana.

Miflę, że Gilbelt to wie.

Virgil usiadł i patrzył metr w lewo od postaci swego chlebobawcy.

- A może wiesz, gdzie on mieszka?

- Wiem! Tam łatwo tłafić.

Wymamlał kilka niezrozumiałych wskazówek topograficznych, wśród których powtarzały się słowa „Fkuże Mofkitów”.

- „Wzgórze Moskitów”, tak? W porządku. Jakoś go znajdę. Jedziemy!

Paperman wyskoczył z gondoli zanim dobiła do nabrzeża na Amerigo. Czekala tam na przewóz jakaś para; wyglądali na nowożeńców w podróży poślubnej, trzymali się za ręce i wpatrywali błyszczącymi oczami w dalekie światła klubu.

Dziewczyna zwróciła się do Papermana dziecięco cienkim głosem:

- Czy tam jest rzeczywiście tak bosko, jak zapowiada ten widok?

- Absolutnie bosko - zapewnił

- i niebiańsko tanio.

- Co pan powie? - zdziwiła się panienska, zachichotała i wsiadła do gondoli.

Paperman biegł ulicą Księcia Walii, dopóki nie znalazł taksówki.

- Wzgórze Moskitów - rzucił kierowcy, wskakując do środka. - Byle szybko!

- Jusz sze lopi, ploszepana. A gcze tokłatnie?

- Prawdę mówiąc nie wiem. Tam, gdzie mieszka Gilbert, przewoźnik z klubu „Rafa Mew”.

Taksówkarz skinął głową i nacisnął pedał gazu. Taksówka wystrzeliła jak z katapulty i pomknęła ciasnymi zaułkami. Jechali raz stromo w górę, to znów na łeb na szyję w dół; w pewnym momencie cofali się nawet w zupełnej ciemności, zgrzytając karoserią o ściany domów jakiejś wąskiej uliczki. Kierowca wyjaśnił, że dzięki temu skrótowi oszczędzą dziesięć minut, jadą zaś tyłem, bo to zaułek jednokierunkowy i jechać nim przodem nie wolno.

W końcu pojazd stanął.

- Jeszeszmy na miejszczu - oświadczył taksówkarz. - Fskusze Moszkitów. Tfa tolary.

Paperman wysiadł z wozu i stwierdził, że stoi pod najdłuższymi, najbardziej stromymi schodami, jakie w życiu widział, nie licząc może ruin Inków w Andach,

które znał z fotografii. Te schody, oświetlone posępnymi latarniami, oblepionymi chmarami ciem, zdawały się piąć do samego nieba i ginęły w ciemnościach nocy.

- Co to jest? Gdzie stoi dom Gilberta?

- Dżylbert mieszka tam, na górze ulicy Tysiąca Sztopni.

- Tysiąca?

Kierowca parsknął śmiechem.

- To tylko taka nazwa.

Naprawdę jesz ich twieszczesz. Dżylbert mieszka blisko szczytu, na Koziej. Pan żąpyta na meszczu, każdy panu powie.

- Nie mógłby mnie pan zawieźć na górę, żebym mógł raczej schodzić niż wchodzić?

- Mukbym, ale to by żąjiło dwaszczą minut więcejj. Czeba by objechacz Wzgórze Gubernatora, a potem sztary czmentaż żydoszki.

- Miło mi słyszeć o żydowskim cmentarzu - burknął Paperman. - Może się przydać jak znalazł. Proszę tu na mnie zaczekać.

- Jaszna szecz.

Norman przyjrzał się schodom. Na liście nadmiernych wysiłków, których lekarz nakazał mu unikać, wspinanie się na schody zajmowało pierwsze miejsce (punkt podkreślony wężykiem na czerwono); wyprzedzało nawet „nadmierną aktywność seksualną”. Paperman pomyślał, że jeśli już pisana mu jest śmierć, umrze przynajmniej z naprawdę ważnego powodu. Pompa w klubie „Rafa Mew” musiała zostać tak czy inaczej zalana. Zaczął się piąć w górę ulicą Tysiąca Sztopni.

Po obu jej stronach stały rudery z drewna i blachy, z rzadka tynkowane, które od biedy można było określić mianem budynków mieszkalnych; wszystkie one zwracały ku schodom ściany zupełnie ślepe bądź opatrzone wąskimi i wysokimi oknami.

Latarnie stały na skrzyżowaniach z mrocznymi zaułkami. Tabliczki na narożnych domach podawały nazwy tych uliczek: Zaułek Jensa, Starokościelna, Hiszpańska, Zaułek Szymona. Wzdłuż schodów ciągnęły się głębokie cementowe rynsztoki, wypełnione po brzegi śmieciami. Usuwanie śmieci, jak stwierdził Norman, pozostawiono na ulicy Tysiąca Sztopni deszczowi i padlinożercom. Przelotna ulewa, która przeszła nad miasteczkiem o zachodzie słońca, zmyła większość odpadków, tworząc z nich ogromne stopy, piętrzące się teraz u stóp schodów, a to, czego nie zmyła, walało się w cementowych rowach. Na całej długości schodów uwijały się przy tym szwedzkim ciele gromady kotów i psów, zeszło się też kilka czarnych kózek. Rynsztoki były zapchane potłuczonymi butelkami i dziurawymi puszkami po piwie, ugrzęzłymi w nieruchomej czarnej brei, która, w noc tak ciepłą jak ta, wydzielala cuchnącą gnilną woń. Wspinając się na górę Paperman starał się w miarę możliwości nie oddychać, uznał bowiem, iż mniejsze było prawdopodobieństwo, że poniesie śmierć z wysiłku, jakiego wymagała ta wspinaczka, niż że umrze zatruty wdychanymi wyciewami. Dla zaczerpnięcia tchu zatrzymał się na rogu jakiejś szerszej od innych uliczki o deprymującej nazwie „Dolna”. Stała tam mała knajpka z oknami bez szyb, w której przy nie malowanych stolikach siedzieli przekrzykując się, śmiejąc i pijąc piwo z puszek muskularni Murzyni w samych podkoszulkach. Trochę przestraszony Norman przyjrzał się uważnie ich twarzom, a oni przycichli i mierzyli go wrogimi spojrzeniami.

- Szukam Gilberta - wysapał. - Pracuje u mnie, podobno mieszka na Koziej.

Zmierzywszy go w milczeniu wzrokiem, jakiś stojący w drzwiach mężczyzna krzyknął w głąb lokalu.

- Chłopak, jesz tu Gilbert?

Otrzymał wiele wrzaskliwych odpowiedzi; wysłuchawszy ich, wskazał w górę schodów.

- Jeszt u siebie. Poszed jusz szpacz.

Paperman wspinał się jeszcze długo, aż zakręciło mu się w głowie i zaczęło mu dzwonić w uszach; wspinał się dopóty, dopóki jego zasnutym mgłą oczom nie ukazała się tabliczka z napisem „Kozia”, a wtedy stanął, złapał się za bok, bo coś go w nim kłuło, i łykał haustami powietrze, które tutaj, w pobliżu szczytu

wzgórza, pachniało czysto i słodko. Spojrzawszy w dół musiał się chwycić latarni, bo znów zakręciło mu się w głowie i mógłby spaść w to urwisko schodów, zbiegające do skarłajej taksówki. Przed nim rozstaczał się cudowny widok - na światła rozłożonego na sąsiednich wzgórzach miasteczka, wygiętą łukiem linię nabrzeża i klub „Rafa Mew”, lśniący niczym brylant po drugiej stronie cieśniny - ale Papermanowi ani było w głowie się nim zachwycać.

Uliczka Kozia tonęła w ciemności. Na zegarku Normana dochodziła północ. W głębi odchodzącego w lewo zaułka migotało samotne światełko. Paperman ruszył w jego stronę, dysząc jak wyrzucona na brzeg ryba, grzęznąc w lepkiej mazi i potykając się o niewidoczne blaszane puszki. W pewnej chwili nastąpił na coś żywego, co zaczęło mu się wić pod stopą, nie wydając przy tym żadnego dźwięku. W oświetlonym oknie siedziała jakaś tłusta kobieta i czytała zniszczoną kieszonkową Biblię.

- Gilbert? - upewniła się. - Gilbert mieszka po drugiej stronie schodów, w takim czerwonym domu.

W mętym świetle latarni żaden przedmiot po drugiej stronie schodów nie sprawiał wrażenia czerwonego. Paperman chodził od domu do domu i przy płomyku zapalniczki badał kolor ścian. W trakcie tego osobliwego zajęcia uświadomił sobie dobitnie, jak daleko odjechał od swojego domu w Nowym Jorku, od żony, córki i restauracji Sardiego. Błoto, wyjątkowo tu grzaskie, wciskało się ciepłą breją do sandałów.

W jednym z okien ktoś nagle zapalił latarkę, zupełnie go oślepiając. Nim zdążył odpowiedzieć, głos odezwał się powtórnie, lecz przyjaźniejszym już tonem:

- To pan, panie Pejpan?

- Gilbert?

- Tak, plosiepana. Panie

Pejpan, ja mogię obsiugiwać tom kasie tak siamo jak Thol.

- Jestem tego pewien - wysapał Norman - ale przychodzę do ciebie w innej sprawie.

Przyciskając rękę do łomoczącego serca, opisał Gilbertowi kłopoty z cysterną. Krąg światła latarki wydobywał go z ciemności zaułka jak reflektor sceniczny aktora w wodewilowym skeczu.

- Musi pan zalać pompę -

orzekł ziewając Gilbert.

- Domyślam się, tylko jak to zrobić?

- Wyciąga pan ftičkę, otwiera miskę, bieżie pan klucz, odkłęcia nakłętke ziawolu odpowieciacia, nalewa pan tłoškę wody ś butelki do...

- Posłuchaj, Gilbertcie, lepiej pojedź ze mną i zrób to własnoręcznie.

- To sištke ziajmie gula dwie siekundy, panie Pejpan. To ziupełnie łatwe...

- Możliwe, ale moi goście wzniecą tymczasem bunt. Nie mogę podejmować takiego ryzyka. Nie mam też zamiaru wdrapywać się drugi raz na te schody.

- Dobsie, plosiepana.

Latarka zgasła; Paperman stał w ciemności na wpół oślepiiony, wciąż zadyszany, po kostki w ciepłym szlamie. Z drzwi domu wyłoniła się po chwili mroczna postać i ruszyła w stronę schodów. Norman zauważył, że jego gondolier trzyma się ściany, żeby nie wpaść w błoto, i stąpa po wąskim kamiennym krawężniku.

Potykając się w mroku w powrotnej drodze ku ulicy Tysiąca Stopni, Norman pomyślał, że znajomość własnego otoczenia daje człowiekowi wielkie korzyści, z których zazwyczaj nie zdaje on sobie w ogóle sprawy.

Mniej więcej po kwadransie stanęli z Gilbertem w niskiej piwniczce i oświetlili latarkami milczącą pompę. Church został na górze, powstrzymując dwóch szczególnie rozsierdzonych gości i usiłując uspokoić wzburzony tłumek innych.

- Dobra, Gilbertcie, zobaczymy, jak ci pójdzie.

Gilbert przystąpił do działania. Nie minęła minuta, a z góry dobiegł radosny krzyk Churcha:

- Jest woda! Mamy wodę, proszę pana!

Czynności Gilberta ograniczyły się do odkręcenia nakrętki, wiania w otwór niewielkiej porcji wody z brudnej butelki, nakręcenia nakrętki i włączenia pompy. Maszyna ożyła, zdradzając objawy zwykłej hysterii, ale kiedy się uspokoiła, jej dudnienie stało się głębokie i miarowe.

Paperman na wszelki wypadek przeciwiczył pod okiem Gilberta wszystkie te czynności.

- Należy ci się zapłata za nadgodziny, Gilbercie - oświadczył, gdy znaleźli się na skąpanej w poświęcacie gwiazd plaży. - Otrzymaś ją. Bardzo ci dziękuję.

- Nie cieba, panie Pejpan.

Thol pokazał mi siąski i naucił obsiugiwać kasię. Umieć łobić dobre dlinki. Umieć łobić blendi „Aleksiandel”, panowie ze fskuzia lubią je, i musiuć dżin z talniny, i łózne inne.

Ponura zwykle gęba przewoźnika śmiała się i jaśniała blaskiem prawdziwej radości. Dobrze się widać czuł w roli wybawiciela. Oto młody człowiek, któremu naprawdę zależy na pracy, pomyślał Paperman, i który ponadto wie, jak sobie radzić z wielu niespodziewanymi pułapkami, w jakie obfitowało hotelarstwo na Kinji.

Przeciwko Gilbertowi przemawiało jednak to, że był ponurym czarnym mrukiem. Ze słowem mówionym rozstawał się tak opornie, jakby każde było warte co najmniej dziesięć dolarów. Mieszkał na szczycie ulicy Tysiąc Stopni, na Wzgórzu Moskitów, za Wzgórzem

Gubernatora i cmentarzem

żydowskim. Stanowisko barmana należało do najważniejszych w hotelu. Church był biały, przewidywalny i posłuszny. Ponadto, wobec rządzącego na Amerigo dziwnego prawa pracy, znalezienie nowego przewoźnika graniczyło z cudem.

- Zobaczmy, Gilbercie,

zobaczmy. Tymczasem niech wszystko zostanie po staremu.

Grube wargi Murzyna zacisnęły się, a potem całkiem zniknęły. W jego oczach błysnęła jakaś mroczna iskra, po czym spojrzenie mu przygasło, stając się na powrót chmurne i nieprzeniknione. Gilbert odwrócił się i oddalił plażą.

Paperman zostawił w recepcji notatkę dla Lorny: „Proszę skontaktować się pilnie z Anatone'em. Proszę mu powiedzieć, żeby napełnił zbiornik zapasowy i wlał zapas wody na trzy dni do głównej cysterny”.

Napisawszy tę kartkę Norman Paperman powlókł się do łóżka. I tak minął pierwszy dzień nowego właściciela klubu „Rafa Mew”.

Rozdział szósty

Dzień drugi

1

Jak dotąd żadne z przebudzeń nowego właściciela „Rafy Mew” nie należało do przyjemnych.

Kolejny ranek nie przyniósł zmian pod tym względem, różnica polegała tylko na tym, że nie obudziło go łomotanie do drzwi, ale duszący smród, tak przeraźliwy i odrażający, że w umyśle Papermana zrodziło się obłądne podejrzenie: fale musiały wyrzucić na plażę gnijącego wieloryba! Krztusząc się podskoczył do okna, lecz nie dojrzał na plaży trupa morskiego kolosa. Podbiegł do okna wychodzącego na trawnik,

konstatując po drodze, że wciąż ma na sobie ubranie z ubiegłej nocy: koszulę, szorty i ubłocone sandały. Zupełnie nie pamiętał, co robił po napisaniu karteczki dla Lorny. Był tak zmęczony, że nie zdziwiłby się wcale, gdyby świt zastał go śpiącego na podłodze w holu.

Za trawiastym pagórkiem, który zasłaniał widok na przystań, sterczał obły mostek okrętu desantowego, pomalowany w mocno już wyblakłe wzory kamuflażowe. Norman uświadomił sobie, że musi to być zapewne ów transportowiec do wywozu śmieci - przywiózł, jak zapowiadała Lorna, na Rafę Mew cysternę Anatone'a. Czyż jednak podobna, aby roztaczał tak szeroko smród równie potworny? Paperman wybiegł z domku. Od okrętu desantowego do głównego pawilonu wił się po trawniku czarny szlauch.

Skupieni na tarasie goście przyglądali się z chusteczkami przy nosach pracy dwóch Murzynów, krzątających się wokół stojącego na pokładzie samochodu-cysterny. Norman zacisnął palcami nozdrza i rzucił się biegiem ku przystani.

- Który z panów jest Anatone?

- zapytał nosowym głosem, przypominającym wymowę mieszkańców Nowej Anglii.

- Ja, prozę pana. -

Szczuplejszy i młodszy z dwójki czarnych, w brązowym meloniku na głowie, uśmiechnął się szeroko, błyskając złotymi zębami. - Wiatr mamy dżyszaj z niedobrej strony, szkoda gadacz.

Przepraszamy.

- Ile razy musicie jeszcze obrócić?

- Dżeszęcz.

- Co takiego? Ależ to potrwa do zachodu słońca! Do tego czasu nie zostanie mi w hotelu pies z kulawą nogą!

Anatone uspokoił go, zapewniając, że wiatr powinien się wkrótce odwrócić; z tego kierunku rzadko wieje dłużej, chyba tylko latem. Napełnili już zbiornik awaryjny, powiedział, i wpompowali prawie cały dzienny zapas do głównej cysterny.

- Jedziemy teraz po następny ładunek - oznajmił.

Kapitan desantowca uruchomił przeraźliwie hałaśliwy silnik i okręt odpłynął.

- Ile mnie będzie kosztować ta przyjemność? - wrzasnął za Anatone'em Paperman.

- Pięćdziesiąt dolarów od ładunku, szepena. Razem piętnaszcze ładunków.

- Siedemset pięćdziesiąt

dolarów za wodę?!!

- Tyle kosztuje wynajęcie tej łajby! - odkrzyknął przyjaźnie Anatone z rufy odpływającej barki desantowej.

Nagły podmuch wiatru przyniósł błogosławioną odmianę woni. Zwykły morski wietrzyk, a po odorze, rozsiewanym przez statek_śmieciarkę, zapachniał niczym zefir z ogrodu pełnego bzów.

W tej samej chwili wszedł na molo ogrodnik Millard w papierowej czapce na głowie, uginając się pod ciężarem kilku waliz, upstrzonych nalepkami podróżnymi. Za nim kroczył potężny mężczyzna w garniturze z krepy, o nalanej czerwonej twarzy, głęboko osadzonych oczach i siwych kręconych włosach; na jego ramieniu wspierała się drobna staruszka w żółtej sukience letniej.

- Dzień dobry, plosiepana - przywitał Normana Millarda uśmiechając się słodko.

- Otóż i on, Harriet! -

warknął mężczyzna. - Hej, panie, to pan jesteś nowym właścicielem tej budy? Piper czy jakoś tam?

- Paperman. Owszem, jestem nowym właścicielem tego hotelu.

- Słuchaj pan, moja żona i ja przyjeżdżamy tu od siedmiu lat, ale klnę się na Boga, że nasza noga więcej w pańskim klubie nie postanie! Moja żona właśnie zwróciła śniadanie. Gdzie ta gondola, do ciężkiej cholery?

- Proszę pana, istotnie,

mieliśmy pewne problemy z wodą, ale od tej chwili...

- Tere fere! Jasny gwint, to co się tej nocy wyrabiało z naszą toaletą, przekracza ludzkie pojęcie! Wykurzył nas pan smrodem, Paperman, a do wieczora wykurzy pan pozostałych gości, wspomnisz pan moje słowa. Jak się czujesz, kochanie?

- Już lepiej - wystękała

kobieta. - Odkąd ten straszny statek odpłynął...

Mężczyzna zamrugał powiekami i przyjrzał się uważniej Normanowi.

- Chwileczkę, powiadasz pan, że nazywasz się Paperman? To dosyć rzadkie nazwisko. Skąd pan pochodzi? Czy aby nie z Hartford w stanie Connecticut?

- Właśnie stamtąd.

- Masz sobie! Ale nie jest pan chyba synem poczciwego starego Ike'a Papermana, co?

- Otóż właśnie jestem.

- Coś podobnego! - Mężczyzna zmierzył Normana od stóp do głowy, poczynając od potarganych włosów, nie ogolonej twarzy, wymiętego ubrania, a na oblepionych zaschniętym błotem sandałkach kończąc. - Jaki ten świat jest mały! Zdawało mi się, że syn Ike'a został producentem na Broadwayu czy kimś takim. Trzeba panu wiedzieć, że z pańskim ojcem ubiliśmy niejednego interes. Sympatyczny był z niego gość. George Harmer, hurtownia sprzętu elektrycznego w Hartford.

Paperman podał mu rękę.

Mężczyzna uścisnął ją niezgrabnie.

- Słuchaj pan... Norman,

chciałem powiedzieć, nie mógłbyś czegoś zrobić z tym okrętem? Harriet to wykończy. Moja żona jest nerwową kobietą, do tego niedawno przeszła operację...

- Odwołam go, panie Harmer - przyrzekł Norman. - Natychmiast, obiecuję! Pana oburzenie jest absolutnie usprawiedliwione. Dopiero się obudziłem, gdyby nie to, już dawno bym ich odprawił. Mogą przecież przyjechać innego dnia, kiedy wiatr będzie bardziej sprzyjający.

- I co ty na to, Harriet? To chłopak Ike'a Papermana - zwrócił się Harmer do żony. - Czy ten świat nie jest mały?

Lorna sprawiała wrażenie zaskoczonej, a nawet trochę wystraszonej, kiedy starsi państwo wrócili do recepcji. Pan Harmer zawołał jowialnie:

- W porządku, kochaneczko, proszę z powrotem o klucz od numeru dwadzieścia siedem.

Nazywam Lornę „moją kochaneczką”

- wyjaśnił Papermanowi.

Dziewczyna uśmiechnęła się do niego niepewnie.

- Pan Ajkiels ciekaw na pana w stałej jadalni - zwróciła się do Normana. - Chcieś panem mówić.

- Zaraz tam idę. Zajmij się tymczasem państwem Harmer. Czy Church już się pojawił?

- Tak, plosiepana. Sisied o dziewiątej.

Norman wsunął się pod wydęty brezent i ujrzał stosy materiałów budowlanych - futryny okienne, ościeżnice drzwiowe, tarcicę, deski boazeryjne, jakieś rury, beczki, pudła, sedesy, umywalki, et cetera - a po drugiej stronie tej barykady ekipę robotników, siedzących lub leżących na skapanej w słońcu trawie. Sam Akers również leżał na trawniku i podparty na łokciu nalewał sobie kawę z termosy.

- A, jest nasz szefunio! - zawołał i wyprostował się niezgrabnie na całą swoją niezwykłą wysokość. - I co pan na to? Ma pan tu wszystko, czego potrzeba do remontu, po najmniejszy gwoźdźcizek i kafelek. - Podniósł z ziemi tekturową teczkę i pomachał nią.

- Mam tu również spis

inwentarza, gdyby chciał się pan z nim zapoznać, oraz kosztorys, o który pan prosił. Ta robótka wyniesie pana diabło tanio, biorąc pod uwagę same prima sort materiały, jakie sprowadziłem.

- Cieszę się, ale dlaczego pańscy ludzie nie pracują?

- Widzi pan, muszę z panem wyjaśnić jeszcze kilka kwestii. Rzecz w tym, że...

Nie dokończył, bo gdzieś na piętrze rozległ się nagle przeraźliwy, piskliwy krzyk przerażenia.

- A to co takiego? -

zaniepokoił się Akers. W tej samej chwili rozległ się drugi kobiecy krzyk, tym razem słabszy, a po nim dały się słyszeć basowe pomruki gniewu jakiegoś mężczyzny i tupot szybkich kroków. Paperman dał nura pod brezentową płachtą i wpadł do holu. Po schodach zbiegał ciężko George Harmer, podtrzymując małżonkę, która rzucała na boki przerażone spojrzenia.

- Spokojnie, Harriet, uspokój się! Już dobrze, już nic ci nie grozi.

- O, mój Boże! - jęczała

kobieta. - O, mój Boże!

- Paperman! - ryknął Harmer, podprowadzając żonę do kanapy. - Sprowadź lekarza, tylko migiem! Jeśli coś się stanie Harriet, czeka cię proces o odszkodowanie w wysokości pół miliona, koleżko!

- To było straszne, straszne!

- wystękała pani Harmer, kładąc się na kanapie i grzbietem dłoni zakrywając oczy.

- Na litość boską, co się stało? - zawołał Paperman.

- Nie pytaj mnie, co się

stało, bracie, bo i tak nie mogę ci tego powiedzieć przy ludziach, tylko wołaj mi zaraz lekarza!

Zamęt ściągnął tymczasem do

holu licznych gości. Z ich grona

wystąpił jakiś łysiejący

młodzieniec w czarnych

kapielówkach.

- Ja jestem lekarzem. Co się stało? W czym mogę pomóc?

- Moja żona omal nie umarła ze strachu, oto co się stało!

Pan Harmer odsunął się od swojej połowicy, a młody człowiek z poważną miną usiadł obok niej na kanapie i ujął delikatnie przegub jej dłoni.

- I cóż to ją tak przestraszyło?

- Tego nie mogę panu

powiedzieć. W każdym razie nie w tej chwili. - Harmer objął spojrzeniem krąg gapiów i zatrzymał wzrok na Papermanie.

- To było straszne, potworne!

- zajęczała starsza pani.

Lekarz odsunął jej dłoń, zasłaniającą oczy, i uniósł jedną powiekę.

- Ale co się stało, na Boga? - zapytał pana Harmera w najwyższym stopniu zaniepokojony Norman. - Czy zobaczyła skorpiona?

- Skorpiona? Słuchaj no pan, panie...

- Pańskiej żonie nic nie

dolega - przerwał mu lekarz. - Proszę jej dać odrobinę brandy i pozwolić trochę odpocząć. Proszę, żeby się państwo rozeszli i zostawili panią w spokoju - zwrócił się do grupki gapiów.

- Ja nie piję brandy -

wystękała pani Harmer i na powrót zakryła dłonią oczy. - Ostatecznie kropelkę „Cherry Heering”... ale naprawdę kropelkę.

Paperman rzucił się do baru. Spostrzegł ze złością, że Church gdzieś się zapodział. Buszując wśród różnych butelek znalazł w końcu „Cherry Heering” i wrócił do holu ze szklaneczką owego trunku. Harmer siedział obok żony i klepał ją po dłoni. Lekarz rozpędzał ciekawskich, machając żartobliwie rękami, jakby przeganiał stadko drobiu.

- Proszę usiąść - zwrócił się do pani Harmer - i wypić kilka łyżeków.

- Kiedy będę mógł zabrać stąd żonę, doktorze? - burknął pan Harmer.

Pani Harmer piła ze szklanki, którą trzymał przed nią lekarz, niczym małe dziecko.

- Ależ w każdej chwili! - zapewnił łysiejący młody człowiek. - Pańska żona jest zupełnie zdrowa.

Harmer, uspokojony, lecz nadal wściekły, złapał Normana za łokieć.

- Niech pan przy niej chwilę posiedzi, doktorze, dobrze? Tylko chwileczkę.

To powiedziawszy, pociągnął Normana przez hol do ciasnego biura za recepcją i z hukiem zatrzaskał drzwi.

- Teraz ci powiem, co się stało, bratku. Moja żona i ja wracamy na górę do numeru, otwieram drzwi i puszczam ją przodem. Wchodzi i nagle w krzyk! I leci mi na ręce jak martwa! Znasz tego swojego barmana? Tego chudego brodatego gnojka?

- Oczywiście - potwierdził Norman, pełen najgorszych przeczuć.

- Otóż widzisz, bratku, ten twój barman posuwał pokojówkę! W biały dzień, na naszym łóżku! I moja Harriet musiała na to patrzeć własnymi oczami!

Skurczysyn posuwał pokojówkę!

Zbyt zgnębiony, aby myśleć jasno, Paperman zapytał cokolwiek od rzeczy:

- Naprawdę? Jest pan tego pewien?

- Czy jestem pewien? - ryknął pan Harmer i twarz mu spąsowiała. - Co do ciężkiej cholery? Sądziś, że jestem już takim starym prykiem, że nawet nie pamiętam, jak to się robi? Widzieliśmy to oboje na własne oczy! Harriet z przerażenia o mało nie umarła. Musiałem ją znosić ze schodów. Dobrze sobie, czy jestem pewien!

Paperman jęknął i ukrył twarz w dłoniach.

Ta jego reakcja udobruchała nieco Harmera. Spokojniejszym już tonem dokończył swą opowieść:

- I powiem ci, że to nie było jeszcze najgorsze. Otóż ten gagatek wcale nie przestał jej dymać! Łypnął na nas przez ramię, uśmiechnął się jak jakiś wariat i mówi: „A, witam! Myślałem, że się państwo już wyprowadzili”, i dalej robi swoje! To wtedy właśnie Harriet drugi raz krzyknęła. Paperman, masz u siebie maniaka seksualnego!

Paperman wyjęczał przez złożone dłonie:

- Przyjąłem go dopiero wczoraj, w sytuacji zupełnie awaryjnej...
- Tak? No to teraz masz jeszcze gorszą sytuację awaryjną. Ten patafian jest kompletnie stuknięty! Na domiar złego dziewczucha już chodzi z brzuchem!
- Nie, błagam, tylko nie to!
Nie ta w ciąży! - kręcąc głową wyszeptał Norman. - Tylko nie ~esme!
- Owszem, tak właśnie ma na imię: ~esme.

Paperman opuścił dłonie, odsłaniając twarz zarośniętą, wynędzniałą, wychudzoną i bezbrzeżnie smutną.

- Panie Harmer, nie mogę mieć do pana pretensji o to, że opuszcza pan mój hotel. Nie będę pana odwoził od tej decyzji. A tego gagatka wyrzucę z miejsca na zbity pysk!
- Prawdę mówiąc - mruknął pan Harmer - nawet mi pana szkoda. Ale trudno i darmo, muszę stąd zabrać Harriet.
- Całkowicie pana rozumiem - wykrztusił Paperman przez ściśnięte gardło.
- Na Boga, człowieku, pan płacze? Niech pan przestanie płakać! Nie warto.
- Ja nie płaczę - wyjaśnił Norman. - Jestem po prostu alergikiem. Kiedy się zdenerwuję, natychmiast dostaję ataku. Proszę się nie obawiać, nic mi nie będzie.

Mówił prawdę. Silne obrzmienie kanałów nosowych, ostre pieczenie oczu, mimowolne intensywne łzawienie pojawiały się niespodziewanie. To był jego pierwszy alergiczny atak od zawału. Norman miał nadzieję, że te ataki należały do bezpowrotnie już minionej przeszłości, a oto teraz wróciły.

- Ano cóż, w takim razie w porządku. Życzę powodzenia, ale muszę stwierdzić, że wpakował się pan w niezłą kabałę, Paperman, ot co!

Harmer wyszedł i zamknął za sobą drzwi, tym razem cicho.

Norman zaczął szukać po kieszeniach chusteczek higienicznych. Że też musiało go to dopaść akurat w takim momencie! Nawet nie wziął ze sobą lekarstw na uczulenie; będzie musiał zatelegrafować do Henny, żeby przysłała je pocztą lotniczą... Rozległo się stukanie do drzwi; ktoś uderzał w nie energicznie kostkami palców.

- Proszę - zachrypiał

Paperman.

Schyliwszy się w drzwiach wszedł Akers.

- Cholernie mi przykro, że zwracam panu głowę, ale moi ludzie powinni już zacząć pracować.

- Jak to? Więc oni się wciąż wylegują? Cały ten pułk?

Przecież już po jedenastej! - Znowu chwycił go atak kichania.

- C_c_c_co znowu stoi na przeszkodzie?

W końcu znalazł w biurku zakurzoną paczkę poźółkłych chusteczek; wydmuchał nos i otarł oczy.

- Widzi pan, to właśnie usiłowałem panu powiedzieć, kiedy się zaczęło to całe zamieszanie - oznajmił Tex. - Mogę przysiąc? - Położył na biurku teczkę z kosztorysem. - Boże przenajświętszy, ależ typki zjeżdżają teraz na tę wyspę!

Niezgorsze ziółko z tego
pańskiego barmana, co?

- Słucham? A pan skąd o tym wie?

Akers uśmiechnął się skromnie.

- Cały hotel już o tym trąbi.

Za godzinę będzie wiedziała cała wyspa. Tam_tamy już nadają. Według wersji, jaka do mnie dotarła, czaruś miał w łóżku dwie pokojówki gołe jak je Pan Bóg stworzył i... - Akers opisał Normanowi najdziwaczniejszą pozycję miłosną, wybryk najdzikszej fantazji rodem z hinduskiej literatury erotycznej.

- Nie, to nazbyt śmieszne - obruszył się Paperman. - Nie sądzę nawet, by było fizycznie możliwe. Poza tym w łóżku była tylko jedna dziewczyna.

Zastanawiam się, w jaki sposób ukreścić łeb tym plotkom?

- A po co? Toż to darmowa reklama! Bractwo ze wzgórza zacznie teraz walić do pana drzwiami i oknami, żeby sobie obejrzeć pańskiego barmana. Ciekawscy będą przyjeżdżać nawet z Gwadelupy.

- Nie wątpię, że specjalnymi statkami wycieczkowymi. No cóż, spotka ich rozczarowanie, bowiem jak tylko skończymy naszą rozmowę, wyrzucę tego zboczeńca na zбитy łeb, brodą naprzód!

Akers pokręcił z dezaprobatą głową.

- Mam nadzieję, że zaangażował już pan następnego barmana. Jednym z najrzadszych rodzynków na tej wyspie jest biały barman, który nie goli gorzałki. Jeśli się taki trafi, jest na wagę złota. A wracając do naszych spraw...

- Właśnie? Jakże znów macie kłopoty?

- Ależ żadnych! Świetnie nam idzie.

Akers przedstawił Papermanowi kilka budowlanych koncepcji, które miały zaoszczędzić czasu i wydatków, ale Norman niewiele z tego zrozumiał. Potem przedsiębiorca zaczął opowiadać o zagospodarowaniu Zatoki Krabów. Jego wspólnik przebywał właśnie w Fort Lauderdale, gdzie załatwiał pożyczkę bankową w wysokości stu tysięcy dolarów na dokończenie robót, ponieważ trochę przekroczyli budżet.

Pomimo tych drobnych
przejściowych trudności

spodziewają się zgarnąć na koniec po dwieście tysięcy czystego zysku na głowę. Słuchając tej zawiłej opowieści Paperman odniósł w pewnej chwili wrażenie, że Akers prosi go, między wierszami, o wypłacenie jeszcze dziś kolejnego tysiąca dolarów. Ponieważ drażał rozwodził się jednak dalej na temat niebywałych zysków, jakie przyniesie przedsięwzięcie budowlane nad Zatoką Krabów, uznał, że widać się przesłusza. Akers urwał swą opowieść w jakimś przypadkowym momencie i jego twarz o końskiej szczęce rozjaśnił beztroski dobroduszny uśmiech.

- No więc jak? Pasuje to panu?

- Co mi ma pasować?

- No, te tysiąc dolarów.

- Jakże znów tysiąc dolarów? O czym pan mówi? Obawiam się, że trochę się zgubiłem.

- Hm, zdawało mi się, że

wytłumaczyłem panu jasno, że jeśli nie dostanę dzisiaj tysiąca dolarów, chłopcy nie podejmą pracy.

Następnie Akers powtórzył swój
wywód niemal in extenso, dodając
wszelako kilka istotnych
szczegółów. Mianowicie w

następstwie przekroczenia budżetu na budowie w Zatoce Krabów od trzech tygodni nie wypłacał pracownikom poborów. Rzecznik robotników - niejaki Emile, „byczy facet i najlepszy brygadzysta na wyspie” - oznajmił mu, że ludzie nie przystąpią do pracy, jeśli nie dostaną paru dolarów zaliczki.

- To uzasadnione żądanie i uważam, że powinniśmy je spełnić

- dodał Akers.

Paperman nie należał do kutyh na cztery nogi cwaniaków i miał tego świadomość. Ale nawet on zaczął czuć, że ta rozmowa przybiera dziwny obrót, a w beztroskich, wzbudzających zaufanie wynurzeniach przedsiębiorcy zaczynają pobrzmiwać fałszywe nuty; krótko mówiąc, sytuacja stawała się nieprzyjemna, wręcz podejrzana. Paperman nie miał bladego pojęcia, jak się w niej zachować, wykorzystał więc napad kichania i wydmuchał nos, pokrywając tą czynnością swe zakłopotanie. Nastąpiła dłuższa przerwa w rozmowie.

Przerwał ją Akers, odezawszy się tonem pełnym uprzejmej, wyrozumiałej cierpliwości.

- Proszę posłuchać, dlaczego nie miałby pan zadzwonić do Chunky'ego Collinsa i wypytać go o wszystko? Z pewnością potwierdzi moje słowa. Chunky to najlepszy prawnik na wyspie. Zostawię pana samego, może mu pan zadawać najbardziej krępujące pytania, bardzo proszę. Jeśli da mi pan tysiąc dolarów, zbuduję panu te pokoje w trzy dni, co więcej, nie wezmę od pana za robotę ani centa ponad otrzymane zaliczki. Co pan na to? Dam to panu na piśmie. Trzy patyki za całość, niezależnie od moich kosztów własnych. Czy można sobie wyobrazić uczciwszą umowę?

- Dobrze - wykrztusił

Paperman. - Zadzwonię do pana Collinsa.

- Chce pan, żebym wyszedł?

- Sam pan to zasugerował...

Akers zaśmiał się nieszczerze, potarł kościsty podbródek, ale wstał i wyszedł. Norman przekartkował w pośpiechu książkę telefoniczną Amerigo - zakurzona, zielono-brązową broszurkę, wszystkiego siedemnaście stroniczek, która stanowiła wyjątkowo zabawny kontrast z książką telefoniczną Manhattanu, opasłym tomiszczem - i wykręcił numer Toma Tilsona. Telefon odebrała służąca.

- Pańszcztwo są chyba nad baszeniem. Proszę chwylkę poczekacz.

Po jakimś czasie Paperman usłyszał w słuchawce skrzeczący reumatycznie głos Toma Tilsona.

- Słucham? Kto mówi? Proszę się streszczać, bo leje się ze mnie na dywan.

Paperman plątał się i jękał, lecz w końcu zdołał wyłuszczyć swój problem.

Zapadła długa cisza. W słuchawce słyhać było tylko sapanie starego człowieka.

- Paperman, dlaczego właśnie mnie zawraca pan tym głowę, do ciężkiej cholery? - krzyknął w końcu pan Tilson. - Kto panu doradził, żeby zadzwonić właśnie do mnie? Ja tu nie prowadzę żadnych interesów!

- Wiem o tym. Jestem na tej wyspie nowicjuszem i nie mam się do kogo zwrócić.

Pomyślałem, że pan mógłby mi szczerze doradzić. Nie znam nikogo innego, do kogo mógłbym się zwrócić z podobną prośbą.

- Postąpił pan głupio, biorąc się za prowadzenie hotelu w tropikach, ot co!

- Zapewne, ale co się stało, to się nie odstanie.

- Niewątpliwie. Niech pan nie daje Texowi Akersowi tego tysiąca, oto moja rada. Żegnam.

- Chwileczkę! Proszę jeszcze o chwilkę cierpliwości. Widzi pan, ja muszę zbudować te pokoje.

- Paperman, zadał mi pan

pytanie, a ja panu na nie odpowiedziałem.

- Istotnie, i jestem panu bardzo zobowiązany. Ale czy nie mógłby mi pan wyjaśnić, dlaczego miałbym mu nie dawać tych pieniędzy?
- Oczywiście! Ponieważ lepiej stracić dwa tysiące niż trzy. I jeszcze jedno: nie było między nami tej rozmowy, Paperman. Jeśli rozgłosi pan, że rozmawiał pan ze mną na ten temat, wyprę się i nazwę pana kłamcą.

Tom Tilson rzucił słuchawkę. Paperman otworzył drzwi biura i zobaczył Texa Akersa: pochylony nad ladą recepcji, wróżył Lornie z ręki.
- A potem urodzisz temu bogatemu mężowi szóstkę dzieci...
- Sief!...

Wyrwała mu rękę i obrzuciła Papermana wyzywająco obleśnym spojrzeniem.
- No i co? - Akers wyprostował się z uśmiechem. - Załatwione? Czas to pieniądz, zawsze to powtarzam.

Paperman zaprosił go gestem do biura, zamknął drzwi i oświadczył, że nie może mu dać tych pieniędzy. Przedsiębiorca budowlany zdębiał.
- Co takiego powiedział panu Chunky, że zmienił pan raptem zdanie? Zadzwońmy do niego jeszcze raz!
- Nie dzwoniłem do pana
Collinsa. Przejrzałem moje księgi rachunkowe. Nie mam więcej pieniędzy do wydania. W każdym razie dopóki prace nie zostaną zakończone.
Na twarzy Akersa pojawił się uśmiech odprężenia i ulgi.
- Co też pan mówi? Przecież pański wspólnik potrafi pożytyć miliony na sam mój podpis. Był na okładce „Time'a”.
- Atlas nie jest moim
wspólnikiem. Użyczył mi swego nazwiska, abym mógł kupić ten hotel. Teraz działam na własną rękę, a jestem człowiekiem niezamożnym. Proszę zadzwonić do pana Collinsa, a on to panu potwierdzi.
Promienne spojrzenie
budowniczego zgasło,
sepochmurniało i zmatowiało, a wokół jego oczu pojawiły się czerwone piętna.
- Nie chce pan chyba wycofać się z umowy? Chyba nie o to panu chodzi?
- Wycofać się? O czym pan mówi? Przecież zapłaciłem panu połowę uzgodnionej sumy. Całe dwa tysiące dolarów! To były pana własne warunki. Powiedział pan, że skończy prace w trzy dni. Niech pan zagoni swoich ludzi do roboty, a za trzy dni wypłacę panu resztę należności.

Oblicze przedsiębiorcy
wypogodziło się.

- Dobra - zawołał rażno. - Spróbuję pogadać z chłopakami!

Wyszedł, nucąc pod nosem „Walencję” i pstrykając palcami.
Norman pokręcił głową, zakaszlał i wydmuchał nos.
Spróbował pozbierać myśli.
Musi jak najprędzej przepędzić
na cztery wiatry Churcha
Wagnera, zanim ten młody
zбочzeniec wywoła nowy skandal, po którym hotel do cna opustoszeje. Faceta, który gustuje w starych pannach po czterdziestce i w ciężarnych pokojówkach, nie można zostawić samego pod jednym dachem z żadną żywą istotą. Paperman ruszył w stronę baru, układając w myślach tekst wypowiedzenia, składający się z kilku krótkich, stanowczych zdań.
Church siedział na stołku barowym, ulubionym miejscu drzemek Thora, i wpisywał wpływy z jadalni i baru do dużej czarnej księgi rachunkowej. Miał na sobie żeglarską koszulę w poprzeczne białe_czerwone pasy i białe spodnie, jakie noszą poławiacze krabów. Był boso. Ciemną brodę przystrzygł starannie, a bujną fryzurę przyczesał. Opalony, szczupły, wysoki, o twarzy zarazem subtelnej i surowej, wyglądał jak żywe wcielenie młodego, twardego, amerykańskiego żeglarza,

przystojniak rodem z Melville'a i Londona, bohater pism żeglarskich. Był Billym Buddem, który nie zawisł na stryczku. Przybysze z wyspy i goście hotelowi zaludniali bar i plażę, zajęci konsumpcją drugiego śniadania. Oto scena, godna spokojnego, luksusowego przybytku, tyle że pieczę nad scenografią sprawowało lubieżne monstrum! Ale kto będzie przyrządzał drinki, zaniepokoił się w duchu Norman, jeśli on to monstrum wyrzuci na bruk?

- Church?

Barman spojrzał na szefa i uśmiechnął się nieśmiało.

- O, dzień dobry panu! Pani Tramm pokazała mi, jak działa ten system. Myślę, że uda mi się codziennie przed południem zaksięgować wpływy, zanim zaczniesz się ruch przed lunchem.

- Słuchaj, Church - powtórzył Paperman i urwał. Siedzący w barze goście popatrywali na niego, pochylali ku sobie głowy i coś między sobą szeptali.

- Słucham, proszę pana?

- Hm, więc tak... Słuchaj, Church, musimy jeszcze dzisiaj odbyć poważną rozmowę. Nie będzie przyjemna, uprzedzam.

Brodacz zarumienił się jak panna, spuścił głowę i uśmiechnął się blado i żałośnie.

- Wiem, proszę pana - szepnął ze smutkiem. - Jest mi niezmiernie przykro.

- Za chwilę wrócę, zaczekaj tu na mnie - najsurowiej jak umiał, zapowiedział Paperman, po czym wypadł z hotelu i pobiegł na przystań, żeby omówić z Gilbertem kwestię przejścia stanowiska barmana.

Wiatr musiał zmienić zupełnie kierunek, barka desantowa do wywozu śmieci już bowiem wróciła, Anatone podłączył wąż, a do nozdrzy Papermana nie dolatywał żaden przykry zapach. Mimo to Norman miał szczerą ochotę odwołać Anatone'a, który sprzedawał mu cysternę wody w cenie średniej klasy wina „Chablis”. Po błękitnym niebie nie płynęła jednak ani jedna chmurka, stojące w zenicie słońce mocno przypiekało, a dziesiątki kranów, pryszniców i toalet szybko osuszały zbiornik. Hotelarz Paperman znalazł się w sytuacji przymusowej. Nie miał wyjścia. Gdyby nawet przyszło mu zapłacić za wodę trzy tysiące dolarów, musiał płacić, wyglądać powrotu barki z Gwadelupy i robić dobrą minę do złej gry. Do przystani przybiła gondola z kilkoma pasażerami. Przewoźnik siedział tyłem do Papermana, lecz gdy z cumą w rękę wyskoczył na pomost, Norman spostrzegł ze zdumieniem, że spod wstążek i słomkowego randa wygląda oblicze o bezzębnym uśmiechu i okropnie zezujących oczach.

- Dzień dopły, płołę pana.

Fłońce dziś mocno pfypieka...

Tędy, płołę państwa.

- Virgil?!

- Tak, płołę pana?

- Co ty tu robisz? Gdzie

Gilbert?

- Gilbelt kazał pofiedzieć panu, fe odchoci. Przepla-

fam płołę pana.

- Odchodzi? Dlaczego?

Virgil żuł coś w ustach i uśmiechał się do Papermana, ale spoglądał gdzieś w morze.

- Ja mogę prafować dzień i noc płołę pana.

- Mowy nie ma! Nie pozwolę, żebyś tyrał na dwie zmiany. Muszę porozmawiać z Gilbertem.

Zawieź mnie na drugi brzeg.

Wiesz, gdzie on jest?

- Płołę pana, ja mam pieniaće, ja fobie kupię fęby. Będę f ladością plafował na dwie zmiany.

Wymowa Virgila - przypominająca staroangielskie druki z tymi wszystkimi „f” zamiast „s” - przyprawiała Papermana o ból głowy. Wiadomość o odejściu Gilberta zupełnie go dobiła. Jeszcze nie ochłoniął po usłyszeniu rewelacji, gdy do jego uszu dobiegły odgłosy kroków maszerującej gromady; obejrawszy się, ujrzał zdążającą w stronę przystani brygadę Akersa.

Sam budowniczy sprawiał wrażenie nieco mniej wesołego niż zwykle, ale odezwał się dziarsko:

- Do zobaczenia panie

Paperman. Chłopcy na to nie idą, jak zresztą się obawiałem.

- Co takiego? Nie rozumiem. A co z robotą?

- Byłoby naprawdę lepiej, gdyby mi pan jednak dał ten tysiączek. Moglibyśmy wycisnąć z nich jeszcze trochę potu w to długie popołudnie.

Virgil odbił tymczasem od przystani, gdyż na nabrzeżu po drugiej stronie cieśniny czekała już na przeprawę grupka nowych pasażerów. W tym samym momencie zza rufy barki desantowej wyłoniła się dychawiczna motorówka, służąca do przewozu pracowników Akersa. Jej zjawienie się, dowodzące, że brygada budowlana naprawdę ma zamiar się wynieść, wywołało u Papermana atak wściekłej furii.

- Co jest, do jasnej cholery?!

- ryknął do Akersa. - Co to wszystko ma znaczyć? Co z pana za wykonawca? Wziął pan ode mnie zaliczkę, rozwalił mi pan ścianę, mój hotel stoi na oścież otwarty, hulają po nim wiatry, wszędzie walają się materiały budowlane! Nie może pan teraz odjechać! Przyzwoci ci ludzie tak nie postępują.

- Niech pan posłucha, panie kolego, przecież miałem zamiar brać się do roboty, no nie? Nie powiedziałem panu, że jak mi pan da ten tysiączek, wybuduję panu te izdebki w parę dni?

Robotnicy wchodzili hurmem na pokład motorówki, wymieniając kąśliwe uwagi.

- Wybuduje pan, już to widzę!

Słyszałem już tę śpiewkę! Prędeż mi kaktus wyrośnie. O tu, widzi pan?! - zawołał, podtykając Akersowi pod nos otwartą dłoń.

Akers przyjrzał mu się spod oka.

- Hm, wiem, że miał pan ciężki dzień. Do widzenia.

Nie przestając się uśmiechać, wszedł za swoją ekipą na pokład motorówki.

- Na litość boską, zaczekaj pan! Kiedy wrócicie? Co dalej z robotą? Co będzie z tą ścianą?!!

- No cóż, mam nadzieję, że pan sobie wszystko na spokojnie przemyśli. Decyzja należy do pana. Ja mogę przyprowadzić ludzi choćby zaraz po lunchu. - Silnik zaryczał i łódź odbiła od brzegu. Akers krzyknął jeszcze:

- Może mnie pan złapać w każdej chwili u Chunky'ego Collinsa!

Straszne podejrzenie zmroziło krew w żyłach Normana Papermana. Pobiegł czym prędzej do biura, zadzwonił do firmy zaopatrzeniowej na Amerigo i zapytał, czy Tex Akers zapłacił za materiały budowlane, dostarczone do klubu „Rafa Mew”. Odpowiedź brzmiała: nie.

Zaległości płatnicze pana Akersa wobec firmy zaopatrzeniowej wynosiły pięć tysięcy dolarów, lecz spadły ostatecznie do sumy trzech tysięcy.

- Ale mi jeścieśmy dolepiej miśli, panie Pejpejmon - oświadczył właściciel firmy, Moses Llewellyn, brat bankiera.

- Znami psiecieś tego pana, który bił na okładce „Time'a” i wiemi, zie on gwalantuje wypłacalność. Siślemi panu lachunek na koniec miesiąca.

Paperman wtulił głowę w ramiona i dał upust uczuciu wściekłości i rozpaczliwej zgrzytając głośno zębami. Następnie zadzwonił do adwokata Collinsa, którego sekretarka doradziła mu, by próbował złapać szefa w „Marzeniu Hogana”. Norman chciał pójść za jej radą, ale tymczasem telefonistka w centrali gdzieś się zapodziała. Na próżno stukał i pukał w widełki aparatu. A przecież Iris ostrzegała go przed podobnymi niespodziankami. Znikająca ni stąd, ni zowąd

telefonistka należała do stałych zagrożeń dla klienta telekomunikacji na Amerigo. Nigdy nie było wiadomo, co się popsuło ani kiedy telefonistka raczy się znowu odezwać. Mogła gawędzić ze swoim chłopcem, mógł się przepalić bezpiecznik w centralce, mogła obsługiwać wiele rozmów na raz, mogła uciąć sobie drzemkę, mogła wyskoczyć na piwo. Zamiast czekać na zgłoszenie telefonistki Iris wolała często przeprować się na drugi brzeg gondolą, a potem pisać się samochodem wysoko w góry, gdy chciała z kimś porozmawiać. Wielu tak robiło, powiedziała Papermanowi; na ogół oszczędzało się dzięki takiej praktyce i czas, i nerwy. Postukawszy więc jeszcze kilka razy gniewnie w widełki, Norman pobiegł na przystań i wsiadł do gondoli. Trudno, pomyślał, niech już Virgil popracuje na drugiej, dziennej zmianie. On sam nie miał dotąd czasu nawet na to, by umyć zęby, ogolić się, przebrać i zjeść śniadanie, musiał najpierw załatwić parę niecierpiących zwłoki spraw.

`tt
Część II

Część druga

Mój panie gospodarzu
(cd.)

Rozdział szósty

Dzień drugi (cd.)

Pan Collins bawił na tarasie swego pensjonatu w towarzystwie jakiejś młodej pary, którą dostatecznie charakteryzowały aparaty fotograficzne, płócienne torby linii lotniczej, koszarne pstrykoszule i także szorty, płomienne pasma świeżej opalenizny na bladych skądinąd twarzach i udach oraz wyraz cielęcego, choć nieco już przyćmionego przez zmęczenie zachwytu.

- Norman Paperman! O wilku mowa! - zakrzyknął adwokat. - Panie Normanie, przedstawiam panu państwa Jensen z Milwaukee. Opowiadałem państwu właśnie o znanym producencie z Broadwayu, który zakupił ostatnio klub „Rafa Mew”, i oto zjawia się pan przed nami we własnej osobie!

Dziewczyna radosnym kontrąstem zapoznała Papermana z planami obojga:

- Widzi pan, myślimy o kupnie „Marzenia Hogana”. Barry jest malarzem, ja tancerką. Marzymy o osiedleniu się w tych stronach. To istny raj! Wydaje nam się, że zdołamy poprowadzić ten uroczy pensjonacik. Ja mogłabym organizować tu kursy tańca, a Barry poświęciłby się malowaniu.

Oboje jesteśmy po prostu zakochani w tej wyspie.

Przepadamy też za Murzynami.

- W Milwaukee - dodał Jensen - kieruję komisem używanych samochodów w agencji Dodge'a, która należy do mojego papy. Zajęcie niezbyt inspirujące.

- No cóż, z rozkoszą o tym z państwem porozmawiam - zapewnił Paperman. - Tak się jednak składa, że mam bardzo pilny interes do pana Collinsa, gdyby więc państwo mogli wpaść tu później na drinka...

Jensenowie wkrótce odeszli, ciągnąc za sobą toboły bagaży i wyrażając głośne zachwyty nad pięknem roślinności, kipiącej wokół pensjonatu „Marzenie Hogana”, i Paperman niezwłocznie zasypał Collinsa skargami na podłe postępowanie Akersa. Prawnik wysłuchał go uważnie, wysuwając wydatną szczękę i uśmiechając się cokolwiek głupkowato.

- Widzi pan, to, co mi pan tutaj opowiada, nie jest dla mnie zaskoczeniem - rzekł. - Tex ze sześć razy telefonował do mnie dzisiejszego przedpołudnia. Był bardzo zatroskany. To równy gość, niepodobna go nie lubić, niby zawsze pogodny, ale tu - uderzył się w pierś - coś go jednak i gryzie. Wygląda na faceta, który nie wie, co to troski, tymczasem Tex ma wrzody żołądka i spore nadciśnienie.

- Chce pan powiedzieć, że nie zaskakuje pana, iż ten równy gość spłacił moimi dwoma tysiącami swoje stare długi? Ma pan chyba świadomość, że za coś takiego mógłbym go wsadzić za kratki?

Pan Collins zachichotał.

- No i ma pan, cały Moses Llewellyn! Stary zrzęda, mówiąc między nami. Tex powiedział, że te dwa tysiące to zapłata za materiały dla pana, tymczasem Moses zapisał je, prawem kaduka, na konto długu Texa! Jak tylko wspólnik Texa otrzyma pożyczkę bankową, wszystko się wyjaśni.

- A przy okazji, niech mi pan wytłumaczy, czemu on stara się o pożyczkę aż w Fort Lauderdale? Dlaczego nie pożyczył pieniędzy tu, na miejscu, jak ja to zrobiłem?

Collins zamrugał powiekami i odrzekł po chwili:

- Rozumie pan, tutejszy bank już udzielił kredytu hipotecznego na budowę w Zatoce Krabów. To jest już drugi zapis hipoteczny. Widzi pan, Norman - jeśli wolno mi się tak do pana zwracać - gdyby pan dał Texowi tysiąc dolarów, o które prosi, Tex miałby na tygodniówkę dla swojej brygady. Pozwoliłoby mu to przetrwać przejściowe trudności finansowe. Szczerze powiedziawszy uważam, że postąpiłby pan nader

szlachetnie, gdyby mu pan dał te pieniądze. On bardzo pana lubi, twierdzi, że jest pan prawdziwym dżentelmenem. Słyszałem to z jego własnych ust... co się stało?

Paperman oparł głowę na rękach, bo oładnęło nim nagle uczucie zupełnego przygnębienia. Wyszło bowiem na to, że jeśli nie da Akersowi tego tysiąca,

przestanie być dżentelmenem. Rozmowy handlowe na tej wyspie, pomyślał, przypominają do złudzenia dialogi z „Alicji w Krainie Czarów”. Jego rachunek bankowy kurczył się również w czarodziejskim tempie, tyle że na Amerigo działało się to naprawdę, a nie na niby.

- Czy mógłbym poprosić o piwo, panie Collins? - wykrztusił ochryplym głosem. - Czuję się trochę nieswojo.

- Oczywiście! - Adwokat

pstryknął palcami i zawołał: - Jeszcze dwa piwa, tylko migiem!

- Jusielobi, plosiepana - odkrzyknął jakiś głos, który wydał się Papermanowi znajomy. Norman wyprostował się i przez gąszcz listowia spojrział w stronę baru, za którym krzątała się postać w białej marynarce. - Boże przenajświętszy, Collins! - zawołał przez zaciśnięte gardło.

- To jest już szczyt

wszystkiego! Pan mi ukradł gondoliera!

- Gilberta? Co też pan mówi! - zaśmiał się adwokat. - Ja tego chłopca znam od lat. Zjawił się dzisiaj u mnie, oznajmił, że odchodzi z klubu „Rafa Mew” i chce spróbować szczęścia za barem. Spadł mi dosłownie jak z nieba! Mój poprzedni barman właśnie mnie porzucił. Został zastępcą komisarza robót publicznych, gdy jego wujka mianowano nowym komisarzem.

- Ukradł mi pan Gilberta - powtórzył z uporem Norman - więc go teraz panu odbieram, też bowiem miałem zamiar awansować go na barmana.

- No cóż, słyszałem, że pański to superogier. - Pan Collins opuścił kąciaki oczu i stulił wargi, robiąc łobuzerską, bardzo nieprzystojną minę. - Prawdę mówiąc, doszły mnie słuchy o nim i jakichś trzech pokojóweczkach. Hę, hę, hę! Ładny numer! Ktoś to powinien sfilmować.

- Suzie panom. - Gilbert

postawił na stoliku szklanki z piwem. Miał na sobie niedopasowaną białą marynarkę do pasa i czarne spodnie. Musnął Papermana przelotnym uśmiechem, a jego ciężkie powieki niemal się zamknęły. - Suzie, panie Pejpan. Ci pompa ziała? - Gilbercie, szukałem cię rano, żeby ci oznajmić, że mam zamiar dać ci posadę barmana.

- Powiedziałem Vilgilowi, że odchodzie, panie Pejpan. Psiklo mi, plosiepana.

- Tacy oni już są - wyjaśnił Papermanowi ściszym głosem

Collins, gdy Gilbert się oddalił. - Kinjanin bywa do przesady wierny. Nie cierpi zmian. Ale kiedy już jakiejś dokona, jego krok jest nieodwołalny. Nie skłoni go pan do powrotu ani prośbą, ani groźbą. Musiał mu pan niechcący wyrządzić jakąś przykrość. Gilbert kochał „Rafę Mew”. No cóż, przykra sprawa! - Pan Collins westchnął boleśnie, po czym zmienił ton na lżejszy, anonsując w ten sposób zmianę tematu rozmowy. - A więc jak?

Czy mam zatelefonować do Texa i

oznajmić, że daje mu pan ten

tysiąc dolarów? Byłby to z pana

strony gest prawdziwie

humanitarny. Poza tym

oszczędziłyby wszystkim fury kłopotów.

Paperman tak energicznie odstawił szklankę z piwem na szklany blat stolika, że ten aż niepokojąco brzęknął.

- Może pan oświadczyć Texowi Akersowi... - pohamował się, zrobił głęboki wdech i dokończył: - Jestem na tej wyspie nowy, ale przypuszczam, że są tu i inni prawnicy.

- Ależ tak, i to nawet kilku!

- A więc proszę oświadczyć panu Texowi Akersowi, że jeśli jutro do ósmej rano nie stawi się u mnie ze swoją brygadą i nie zabierze się ostro do pracy, o dziewiątej kieruję przeciwko niemu sprawę do sądu!

- Doradzam, by ustanowił pan swym pełnomocnikiem Turnbulla. Prowadzi w tej chwili kilka spraw przeciwko Texowi. Ma, by się tak wyrazić, ogład całości.

- Turnbull? Czy to aby nie pański wspólnik?

- On sam, we własnej osobie.

Najlepszy prawnik na wyspie! Zawsze to powtarzam. - Pan Collins uśmiechnął się idiotycznie.

Paperman otarł zwilgotniałe czoło.

- Sugeruje pan... Panie

Collins, czy chce pan powiedzieć, że na tej cholernej, zbzikowanej wyspie jeden i ten sam zespół adwokacki obsługuje obie strony procesowe?

- No cóż, to może wydawać się dziwne - przyznał Collins z bladym uśmiechem, bynajmniej nie urażony - ale tutejszy zwyczaj każe prawnikowi kontynentalcowi (tak nazywamy białych ze Stanów: kontynentalcami) dzielić biuro z prawnikiem lokalsiem (tak nazywamy krajowców: lokalsami). Mamy jedną sekretarkę i do tego się właściwie nasza współpraca ogranicza. Myślę, że Turnbull najlepiej poprowadziłby panu sprawę przeciwko Texowi.

- Proszę posłuchać, chcę

tylko, żeby pan Akers zbudował mi te pokoje.

- Tex docenia pańską postawę.

Cóż, kiedy jego ludzie już od trzech tygodni pracują bez wynagrodzenia. Ich cierpliwość się w końcu wyczerpała. Kinjanie to ludzie honoru.

- Chwileczkę, a czemu to ich cierpliwość wyczerpała się akurat dziś rano?

- Och, widzi pan, oni wiedzą, że pański wspólnik jest bogaczem. Miał nawet okładkę w „Time’ie”. Rozgłosiły to tam_tamy.

- Ale przecież pan doskonale wie, jak wygląda prawda! Wie pan, na czym polega moja umowa z Atlasem. Dlaczego nie wyprowadzi ich pan z błędu?

Collins w pierwszej chwili zbaraniał, ale potem uśmiechnął się i puścił do Normana oko.

- Ach, przecież każdy rozumie, że taki przedsiębiorca jak pan Atlas ma swoje sposobiki prowadzenia interesów!

Paperman wpatrywał się bezmyślnie w adwokata, na którego okrągłym obliczu zastygł chytry uśmieszek, jakby się zaciał kinowy projektor, który go wyświetlał. Przed Normanem otwierała się oto nowa otchłań zgrzyoty. Jak długo Kinjanie będą wierzyli, że jest tylko figurantem Atlasa, tak długo będą mu liczyli za każdą usługę jak milionerowi. Przyglądając się znieruchomiałemu na twarzy adwokata domyślnemu uśmieszkowi, Paperman zdał sobie sprawę, że rozwiązać ten fałszywy pogląd - przynajmniej gdy chodziło o Collinsa - mógłby tylko w jeden sposób: ogłaszając bankructwo. Choć prawdopodobnie i to zostałoby poczytane za kolejną sztuczkę przebiegłego nowojorczyka. Nawet gdyby się zastrzelił, Collins doszedłby z pewnością do wniosku, że jego samobójstwo było głęboko przemyślanym podstępem Atlasa, mającym na celu wyłganie się od podatków. Paperman podniósł się ciężko.

- Proszę mi powiedzieć, pytam przez czystą ciekawość, ile spraw toczy się w tej chwili w sądzie przeciwko Akersowi?

- W gruncie rzeczy tylko czterech poszkodowanych wniosło oskarżenie, Tex zaspokoi ich żądania za jednym zamachem w jedno popołudnie, jak tylko otrzyma tę pożyczkę. To najlepszy przedsiębiorca

budowlany na wyspie. Po prostu trochę przeinwestował. Czy mam mu więc powiedzieć, że dostanie od pana ten tysiączek?

- Nie, nie dostanie! Proszę mu powtórzyć, że nie dostanie ode mnie ani centa! I proszę mu zapowiedzieć, że jeśli wniosę oskarżenie, sprowadzę z Nowego Jorku takiego adwokata, który suchej nitki na nim nie zostawi!

- Dobrze, powtórzę mu pańskie słowa. Co by pan powiedział na jeszcze jedno piwo?

Paperman pokręcił odmownie głową i podszedł do baru, gdzie Gilbert wrzucał właśnie po czereśni do trzech szklanek ponczu.

- Wróć do klubu, Gilbercie.

Jesteś mi potrzebny!

Murzyn spuścił oczy.

- Nie mogie, plosiepana.

- Ale dlaczego? Przecież

doskonale wiesz, że nigdzie nie będzie ci tak dobrze, jak u mnie w klubie. Tam jest twoje miejsce, nie tu!

W spojrzeniu Gilberta mignął ów przelotny, szybko zgaszony błysk, jaki Paperman miał już okazję kilka razy oglądać.

- Panie Pejpan, pan woli białego chłopaka ś bloda.

3

Papman wrócił do biura w hotelu i posłał natychmiast po Churcha. W klitce pod schodami było duszno i gorąco jak w piekarniku. Norman przypomniał sobie mgliście rozmowę z Thorem, odbytą całe już wieki temu, a licząc w czasie kalendarzowym, przed dwoma dniami, na temat założenia w biurze klimatyzacji.

- Słucham, proszę pana?

W drzwiach stał Church - opalony, przystojny, uśmiechnięty, młody i nieśmiały.

- Zamknij drzwi i włącz wentylator, Church.

Młodzieniec zrobił, o co go proszono, po czym oparł się o ścianę, splótł ręce na plecach i skromnie spuścił wzrok.

Pokorna postawa barmana przypomniała Normanowi - nie okazało się to korzystne dla surowego tonu, jaki zamierzał przybrać - pewną scenę sprzed lat. W podobnej pozie on sam stał niegdyś przed biurkiem Jaya Frankela, swojego pierwszego pracodawcy na Broadwayu, od dawna już nieżyjącego agenta prasowego. Jay zmywał mu głowę za uwiedzenie pewnej panienki z biura. Dziewczyna była znaną puszczalską i sam Jay miał z nią przelotny romansik. Oczywiście przewinienie Normana miało zupełnie inny kaliber niż skandal z ciężarną czarną pokojówką, mimo to Paperman poczuł, że co najmniej połowa jego moralnego oburzenia na postępek Churcha Wagnera mogła w istocie pochodzić z zazdrości o wigor młodzieńca. Dobrze dotąd pamiętał, jak blisko trzydzieści lat temu on sam, jurny dwudziestolatek, słuchał z udaną skruchą pouczeń grubego pryncypała, a w duchu pokładał się ze śmiechu. Grzechy młodości, pomyślał, wyglądają zupełnie inaczej w zależności od tego, po której stronie biurka człek zasiada.

- Church - zaczął groźnie, w każdym razie taki miał zamiar - gdyby nasza rozmowa odbyła się pół godziny temu, wylałbym cię z hukiem na bruk. Wciąż zresztą biorę taką ewentualność pod uwagę. Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, że w obecnej sytuacji miałbyś spore trudności ze znalezieniem posady na Amerigo, może z wyjątkiem stanowiska asenizatora.

- Proszę mnie nie wyrzucać, błagam! Ogromnie mi na tej posadzie zależy! Coś takiego się więcej nie powtórzy.

Huncwot wlepiął w Papermana błagalne spojrzenie szeroko otwartych oczu.

- Czyżby? Skąd mogę mieć pewność?

- Proszę mi pozwolić się

wytłumaczyć. Widzi pan, pan Harmer oddał do recepcji tylko jeden klucz.

Poszedłem na górę, żeby poszukać drugiego, zastałem w pokoju Esm~e, no i tak jakoś... Chcę tylko powiedzieć, że niczego sobie z góry nie ukartowałem, proszę pana. To był w gruncie rzeczy czysty przypadek.

- Przypadek! Co ty wygadujesz, u licha ciężkiego? Czy przypadkiem wpadłeś na tę dziewczynę, przypadkiem przewróciliście się na łóżko, przypadkiem znalazłeś się na wierzchu i przypadkiem zacząłeś ją rypać? Czy nie dociera do twojego zakutego łba, że dopuściłeś się czynu bezecnego?
Czy ty sobie to chociaż uświadamiasz, Church?

- Daję słowo, że to się już więcej nie powtórzy, proszę pana!

- Niechby się tylko

powtórzyło! Nie mam zamiaru prawić ci tu kazań, ocena twojej postawy moralnej nie do mnie należy, ale obchodzi mnie twoje zachowanie, w każdym razie tak długo, jak długo mieszkasz pod moim dachem! Od jutra rana wysiadając na Rafie Mew z gondoli stajesz się wałachem, zrozumiano, Church? Eunuchem! Kapłanem! Rzezańcem!

Trzebieńcem! Kastratem!

- Tak jest, proszę pana - zgodził się pokornie Church, a jego białe zęby zabłyśły olśniewająco pośród czarnej brody.

- Ja wcale nie żartuję!

Jeszcze jeden taki numer, a wyleję na zbity pysk!

- Obiecuję, proszę pana, że to się więcej nie powtórzy.

- Daję ci szansę. Idę teraz do siebie. - Paperman kichnął, wydmuchał nos i podniósł leżący na biurku list od Henny. - Powiedz Sheili, żeby przysłała mi trochę jajecznicę na bekonie, tost i kawę.

- Tak jest, proszę pana.

- I dwie paczki chusteczek higienicznych.

- Chusteczki higieniczne.

Słucham, proszę pana.

Norman wykapał się, ogolił i jego nastrój poprawił się zdecydowanie. Niedomyty i zarośnięty czuł się zawsze jak wytarzany w smole kot. Zjadł śniadanie w łóżku, rozparty na poduszkach, odziany w naszywane złotem czerwone kimono, które kupił w sklepiku Hassima. Od strony morza dobiegało sapanie okrętu śmieciarki, odbywającej kolejne kursy z ładunkiem wody. Każdy z nich kosztował Papermana pięćdziesiąt dolarów, ale odkąd smród przestał docierać do hotelu i jego własnych nozdrzy, mało o to dbał; inna sprawa, że w tym momencie nie poczułby i najgorszego smrodu; narząd węchu miał zupełnie zablokowany. Nim skończył śniadanie, na podłodze obok łóżka walały się dziesiątki mokrych chusteczek, do których Norman dorzucał co chwila kolejną zużytą sztukę.

List od Henny przeczytał przy kawie. Jakby ją słyszał: relacja zwięzła, pełna ironii, czułości dla męża i jednocześnie drwiny, nade wszystko jednak złości na lekarzy, odrazy do Nowego Jorku i do własnego pecha. Bóle nadal okresowo powracały. Henny konsultowała się już u trzech specjalistów. Rozpoznawali przeważnie kamienie, alergię, „przezroczyste kamienie żółciowe”, wreszcie urojone nerwobóle, i poddawali pacjentkę serii przykrych badań.

„Przysięgam ci, że gdybyś dopuścił się wobec mnie któregoś z tych grubiaństw, jakich się dopuszczali ci całkiem obcy mężczyźni, dostałbyś po pysku! Tym wstrętnym dłubaczom się zdaje - tylko dlatego, że noszą białe kitle, gumowe rękawiczki i pachną jak peklowane żaby - że mogą robić z kobietą, co im się żywnie podoba. Cholernie mi to już dojadło! Jest taki punkt ludzkiej wytrzymałości, po którego przekroczeniu lepiej chyba nie żyć, niż znosić dalsze upokorzenia. Dałam konowałom czas do siedemnastego grudnia, tego dnia zaczynają się ferie Hazel. Dokonałam już rezerwacji na samolot i przylatujemy obie, niezależnie od tego, co mi naprawdę dolega.

Nasza córka aż się pali do tego wyjazdu. Czy wiesz, że ten typek Cohn znów się u nas zjawił? Kilka wieczorów temu zabrał dokądś Hazel. Od tego czasu nie dał znaku życia. Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, iż to pierwsza randka od Bóg wie jak dawna, na którą pannica umówiła się z kimś innym niż Dopust!

Biedulka zadała sobie masę trudu, zarówno przed randką, jak i po niej, by mi wytłumaczyć, że ten pan Cohn - który skądinąd jest w jej oczach takim samym starym wapniakiem jak ty, jej tatuńcio - po prostu ją zaciekawia, poza tym lubi jego poczucie humoru, gdyż przypomina jej twoje, koteczku. O ile dobrze pamiętam jej słowa, oświadczyła w pewnym momencie:

„Bob jest dla mnie w gruncie rzeczy substytutem ojca, z tą różnicą, że robi rzeczy ważne i ciekawe”. Uznałam, że ta opinia córki może cię zainteresować.

Swoją drogą, czy to nie dziwne, że facet nie robi nic innego, tylko wsiada pod wodą do łodzi podwodnych na Karaibach albo z nich wysiada? Spróbuj w wolnej chwili czegoś się o nim dowiedzieć. Przy naszym

szczęściu do kandydatów na zięciów powinien okazać się w najlepszym razie szulerem karcianym, przemytnikiem lub sabotażystą na usługach Sowietów.

Napisz mi, mój hotelarzu, jak spędzasz wolny czas? Imaginuję to sobie czasem i krew mnie zalewa. Widzę oczyma wyobraźni, jak wylegujesz się w słońcu na bieluśkim piasku i czarujesz przyjezdne damulki, szczególnie te co młodsze i urodziwsze. Wyobrażam sobie, jak tańczysz z nimi na tarasie przy świetle księżycy i tak dalej - moja wyobraźnia podsuwa mi różne wersje tego „tak dalej” - na co odpowiesz mi, oczywiście, że w ten sposób spełniasz po prostu swoje obowiązki gospodarza. Ostrzegam, że skroję panu gospodarzowi jego gościnna dupę, jeśli po przyjeździe wyczuję najłżejsze symptomy skoku w bok. Nie zaszkodzi, jeśli ci odkryję, że mam na Rafie Mew szpiega w osobie Janet West - pani Tramm, jak się nazwała. Dostałam od niej przemiły list, w którym mi donosi o obciach do holu i paru innych drobiazgach; zaraz po zaklejeniu koperty z listem do ciebie zabieram się do pisania odpowiedzi do Janet. Jeśli ten przystojniak Tex Akers wziął się już do pracy, może skłoniłbyś go, żeby postarał się skończyć to i owo do naszego przyjazdu?”

Henny wymieniła kilka detali dekoracyjnych, co wobec rzeczywistych postępów w budowie zabrzmiało jak gryząca ironia, sprawiając, że Norman aż się skrzywił. Zakończyła dość słodkim akapitem, w którym opisała, jak bardzo za mężusiem tęskni, i dodała:

„A więc, mój panie gospodarzu, baw się dobrze w tym rajku na ziemi, wszelako nie za dobrze - pamiętaj! - dopóki ja tam nie zjadę. Czuję się samotna, sponiewierana i upokorzona. Czyli tak jak dawnymi czasami.

Ucałowania!
Henny

PS. Czy kończysz już „Ulissesa”?”

Norman ponownie się skrzywił, przeczytawszy to postscriptum poniżej pasa. Podobnie jak wielu jego przyjaciół z Broadwayu był zaprzysięgłym czytelnikiem literatury ambitnej. Przechwalał się przed nimi, że na Karaibach, gdzie będzie miał jako hotelarz mnóstwo wolnego czasu, przeczyta wreszcie trudne arcydzieło Joyce'a. Tymczasem nie tylko ta powieść spoczywała nie tknięta na dnie jego walizki; Norman od przyjazdu nie przejrzał ani jednego czasopisma, żadnej gazety.

Podniósł słuchawkę telefonu przy łóżku i zadzwonił do biura.

- Mam zamiar uciąć sobie

drzemkę, Lorno. Proszę mi nie przeszkadzać, chyba że wyskoczy coś wyjątkowo pilnego.

- Dobrze, plosię pana.

Uwaziam, że jeśli pan zia baldzio źlachani. Musi pan odpocionć.

Paperman odstawił tacę ze śniadaniem, umościł się na poduszkach, przestał myśleć o wszystkich zmartwieniach - Akersie, pieniądzech, wodzie, barmanie i całej reszcie - i zapadł w sen. Tym razem nikt mu go nie przerwał. Spał snem sprawiedliwego, długo i smacznie. Kiedy spokojny i odświeżony odemknął powieki, słońce zachodziło już za krzewy bugenwilli. Uniósł leniwie głowę i zerknął na tarczę zegarka.

Była za kwadrans piąta. Pora pobyć „panem gospodarzem”, pomyślał, zresztą miał na to szczerą chęć. Przekręcił się na bok, ziewnął, przeciągnął się z lubością - i w tym momencie ujrzał na podłodze przy łóżku coś, co wyglądało jak czarny sweter. Nie przypominał sobie, żeby go tam rzucił, ale pamięć często płatała mu ostatnio takie figle. Machinalnie wyciągnął rękę, żeby podnieść sweter i wtedy stwierdził, że nie ma bynajmniej do czynienia ze swetrem. Część nie zidentyfikowanej czerni przyłgnęła do jego palców, a reszta pozostała na podłodze.

Znajdując się wciąż jeszcze w stanie półsennej otępienia potrzebował dłuższej chwili, by zrozumieć, że trzyma w dłoni kilka oblepionych mrówkami chusteczek higienicznych. Zanim zdał sobie z tego sprawę i z krzykiem przerażenia odrzucił je od siebie, stało się - jego prawe ramię aż po bark zaczerniło się mrówkami. Podobna przygoda wzbudziłaby odruch odrazy w każdym normalnym człowieku, ale odznaczający się niezwykle wybrednym gustem Paperman reagował zawsze wyjątkowo gwałtownie na tego rodzaju obrzydliwości. Odkrycie, że obłazi go jakieś czarne, ruchliwe, kłuszące robactwo przyprawiło go o trwogę tak wielką, jakiej nigdy jeszcze nie zaznał w całym swoim życiu, choć dobijał już do pięćdziesiątki. Zrywając w biegu kimono i wydając okrzyki bezgranicznego wstrętu rzucił się do łazienki, wskoczył pod prysznic i na cały regulator odkręcił oba kurki. Woda trysnęła strumieniem i zmyła mrówki z jego rozdygotanego ciała. Poczekał, aż spłyną co do jednej, po czym nagi, mokry, chwycił pojemnik z płynem owadobójczym w aerozolu i zmusił się do powrotu do czarnego mrowiska obok łóżka. Oto roilo się tam, odrażająco żywe i ruchliwe, zasilane, jak obecnie spostrzegł, czarną strużką, która przecinała pokój, wznosiła się na ścianę i zniknęła za akwarelą, przedstawiającą roześmianą mieszkankę Indii Zachodnich w kostiumie karnawałowym, przygrywającą sobie do tańca na bębenku. Norman wstrzymał oddech, zacisnął z obrzydzeniem usta i trysnął owadobójczym sprayem w sam środek ohydnej kopca.

Nastąpiło coś zupełnie niewiarygodnego, ale oglądał to przecież na własne oczy. Można by sądzić, że wrzucił kamień do sadzawki, jeśli nazwać kamieniem środek trujący w aerozolu, a sadzawką mrowisko. Zamiast paść i zdechnąć, mrówki rozbiegły się w popłochu na wszystkie strony czarnymi, coraz szerszymi kręgami. Na ten widok Norman dosłownie zmartwiał. Ucieczka dokonywała się tak szybko, że zanim pojął, co się święci, pierwsze dwa kręgi podmyły mu bosa stopy, a ruchliwy kłusający drobiazg wspiął się w okamgnieniu do jego kolan!

Norman Paperman najdosłowniej oszalał. Wrzeszcząc jak opętany, zupełnie nagi, wypadł z „Białego Domku” i pognął w stronę morza, nie bacząc na nic prócz mrówek, które lały mu w górę po udach i kasały dotkliwie. Kiedy sięgały już

krocza, Norman dał nurka do wody, a darł się przy tym i kwiczał jak człowiek obdzierany ze skóry. Tarł ciało i opłukiwał się histerycznie, chlapiąc i krzycząc, a potem zaczął płynąć najszybciej, jak umiał, by uciec od tonących mrówek.

Do opamiętania przywołał go Ziółko. Wilczur stał na brzegu i czekał niemal równie zapamiętałe, jak Norman się wydzierał. Ścieżką od swego domku biegła Iris w zielonym jedwabnym szlafroku, który furkotał wokół jej nagich nóg, odsłaniając różową bieliznę.

- Chryste Panie, Norman! - zawołała. - Co się tu wyprawia? Nic ci się nie stało? Chcesz, żebym cię wyciągnęła?

- Co? Nie, wykluczone, nie żartuj, nic mi nie jest! - załkał Paperman. - Czuję się wyśmienicie. Po prostu sobie pływam. Odejdź stąd, Iris, proszę cię!

- Coś mi się tu nie podoba,

Norm. Idę do ciebie - oświadczyła i zaczęła rozpinać szlafrok.

- Błagam cię, Iris, nie rób tego! Na litość boską, czemu nie odejdiesz? Jestem goły jak święty turecki!

Iris przestała rozwiązywać pasek szlafroka i spojrzała z niedowierzaniem na Papermana. Kucał w płytkiej wodzie.

Zakłopotany, zanurzył się głębiej, po szyję.

- Co takiego? Na litość boską, Norman, powiedz mi, co się stało? W biały dzień pływasz nagi, jak cię Pan Bóg stworzył? Nie odbiło ci czasem, kotku? I co miały znaczyć te wszystkie rozdzierające wrzaski?

Norman zdał sobie sprawę, że serce wali mu o wiele za szybko i za gwałtownie.

- Iris, kochanie - odezwał się mdlejącym głosem - czy mogłabyś mi przynieść ręcznik i dużą lampkę szkockiej albo innej wódki, jaką dysponujesz?

- Słuchaj, kotku, a czemu nie miałabym ci po prostu przynieść kąpielówek z twojego pokoju?

- Tylko nie to! Stanowczo zabraniam! Błagam cię, za żadne skarby nie wchodź do mojego pokoju! I nie zadawaj mi teraz żadnych pytań, Iris. Po prostu zrób, o co cię proszę.

- Idziemy, Ziółko.

Wróciła już bez psa, niosąc ręcznik hotelowy, różowy szlafrok frott~e i kryształową graniastą szklanę whisky.

- Powinien na ciebie pasować - powiedziała. - Proszę.

Rzuciła szlafrok i ręcznik na piasek i odwróciła się tyłem.

- Już! - zawołał po chwili, osuszywszy się naprędce ręcznikiem i włożywszy pachnący szlafrok. - Matko święta, pachnę zabójczo jak Hassim!

Iris odwróciła się i podała mu szklanę.

- Pachniesz jak ja, nie życzę sobie podobnych żartów! Żeby tak pachnieć, trzeba się nieźle wykosztować. Wyglądasz naprawdę bosko, przyznaję. W różowym ci bardzo do twarzy.

- Och, daj spokój, Iris! - Wypił połowę zawartości szklanki i osunął się na piasek. - Słuchaj, przydarzyło mi się coś niewypowiedzianie ohydneho!

Usiadła obok.

- Domyślam się. Opowiedz mi wszystko. Położył głowę na jej miękkich kolanach i opowiedział o strasznej przygodzie z mrówkami, o Akersie, Churchu, Gilbertcie, Collinsie, a także wodzie w cenie złota, którą mu barką desantową dostarczał Anatone.

- O wyczynach Churcha już słyszałam - odrzekła, głaszcząc go machinalnie po głowie. - Muszę jednak przyznać, że to, co słyszałam, brzmiało mało prawdopodobnie. Powiedziano mi mianowicie...

Norman zerwał się nagle, zaczął podskakiwać i trzepać się dłońmi po nogach.

- Mrówki! Mrówki! Iris,
wstawaj szybko! Ta plaża aż się od nich roi! Oblazły mnie całego! Czuję, jak
mnie kasaają!
Wbiegł do wody, niemal do pasa podkasując szlafrok i krzyząc:
- Precz! Precz!

Iris przyjrzała się własnym udom, a potem leżącym na plaży kamieniom. Nie
podniosła się, omiotła tylko ręką kostki nóg.

- Ty naprawdę masz nerwy na wierzchu, kochanie. To tylko muszki piaskowe!
Pojawiają się o tej porze dnia, gdy wieje wiatr z południa.

- Muszki piaskowe? Jakie znów muszki piaskowe?

- Biedaku! - Roześmiała się. - Naprawdę nigdy o nich nie słyszałeś? Muszki
piaskowe to wielka, wstydliwie skrywana tajemnica Karaibów. Mają tu wiele nazw:
piaśki, niewidziadełka, dokuczliwki. Maleńkie, kaśliwe licha! Nie stanowią
jednak prawdziwego zagrożenia, wystarczy popsikać nogi środkiem na owady. Robię
to równie często, jak myję twarz: rano, w południe i wieczorem.

- Miły Boże, to one są aż tak dokuczliwe? W ogóle ich dotąd nie zauważałem.

- Ukąszenia muszek piaskowych mogą doprowadzić nawet do zapaści na podłożu
alergicznym, Norm. Niektórzy ludzie są na nie uodpornieni, ty pewnie do takich
należysz, widywałam już jednak turystów, których wnoszono do samolotu na
noszach, właśnie z powodu ukąszeń tych niewidziadełek.

- Więc jeszcze i muszki
piaskowe! - jęknął głucho. - Muszki piaskowe!

- Wielkie rzeczy! W Nowym Jorku masz za to szcury i karaluchy. Prawda, że i
tutaj mamy własną odmianę karalucha, a wiedz, że karaibski karaluch może z
powodzeniem podjąć walkę z kotem.

- Wiesz, Iris - rzekł

Paperman, stojąc po kostki w wodzie z obwisłymi bezradnie pod różowym
szlafrokiem ramionami - dochodzę do wniosku, że kupno tego hotelu było
najpoważniejszym błędem mego życia. Niewykluczone, że popełniłem największy
błąd, jaki dane jest w ogóle popełnić człowiekowi. Naturalnie mam na myśli
skalę, w jakiej ja działał. Nie mówię o błędzie, jaki popełnił taki na przykład
Hitler, napadając na Związek Sowiecki. Nie byłbym, to jasne, w stanie popełnić
pomyłki takiego kalibru. Obawiam się jednak, że na miarę mych skromnych
możliwości mogę chyba rościć sobie prawo do tytułu największej ofiermy w całej
historii nowożytnej.

- Nonsens! Przyjdzie taki dzień, i to już niedługo, że będziesz się śmiał z tych
wszystkich drobnych potknięć. Idź i wystrój się pięknie, jak ty to potrafisz.
Zabierasz mnie na koktajl do pałacu gubernatora.

- Dokąd?

- Widzisz? Tu, na mojej

kostce. - Wyciągnęła zgrabną nogę, oblaną różanym blaskiem zachodzącego słońca.

- To jest właśnie muszka piaskowa.

- Ta kropeczka? Czy toto żyje?

- Ha! - Iris rozgniotła owada kciukiem. - Teraz już nie. Jego Ekscelencja
gubernator wydaje przyjęcie na cześć jakiegoś kongresmena. Kongres objawia
zwykle wielką troskę o amerykańskie interesy na

Karaibach, szczególnie po pierwszych obfitszych opadach śniegu w Waszyngtonie.
Potrzebuję męskiego towarzystwa i mój wybór padł na ciebie.

Paperman zaprotestował; jego głównym argumentem było to, że musi doglądać klubu.
Iris wyraziła odmienne zdanie. Wręcz przeciwnie: powinien koniecznie wyrwać się
na wieczór z „Rafy Mew” i trochę zabawić. Mogliby zjeść razem kolację, a potem
na przykład wybrać się do kina. Ruszyła ścieżką w stronę swego domku.

- Iris!

- Tak?

- Chodź ze mną na chwilę do mojego pokoju... Widzisz, te mrówki...

Uśmiechnęła się, zawróciła i chłodną dłonią dotknęła jego policzka.

- Miły Boże, ależ ty jesteś przewrażliwiony! Miesiąc na Karaibach z pewnością cię z tego wyleczy.

Ruszyli we dwoje ścieżką w stronę „Białego Domku”. Tworzyli barwną parę: ona w gładkiej zielonej podomce, on w różowym frotowym szlafroku. Stos mokrych chusteczek higienicznych nie był już ani ożywiony, ani czarny, zaledwie szaro nakrapiany licznymi truchełkami martwych mrówek. Reszta owadów zniknęła. Zniknął też czarny szlak ich karawany na ścianie. Paperman odchylił obrazek, zakrywający wrota, przez które tu wtargnęły, i ujrzał rysę w tynku długości kilku zaledwie centymetrów.

- Niewiarygodne, więc przez taką szczelinę wchodzi te miliardy potworów!? Czy to możliwe?

- Naturalnie. Teraz nie pokażą się jednak przez jakiś czas i to jest najważniejsze. - Zmarszczyła nosek i przyjrzała się stosowi chusteczek. - Lubią wilgotne „Kleenexy”, muszą to sobie zapamiętać. Hej! A gdzieś ty się podział?

Zza drzwi łazienki wysunęło się nagie ramię z różowym szlafrokiem.

- Oddaję twoją własność i dziękuję za pomoc. Brat Norman zajdzie po siostrę Iris za mniej więcej pół godzinki.

Uśmiechnęła się kpiąco.

- No, no! - mruknęła

odbierając szlafrok. - Miło mi słyszeć, że niedawne przeżycie najwyraźniej nie wywołało u ciebie typowego dla samców efektu.

- Jakie przeżycie?

- Mrówki w gaciach!

- Bo wyjdę! - zagroził.

- Ani mi się waź! -

powiedziała, zatraskując drzwi łazienki. - A więc za pół godzinki.

4

Kiedy Norman i Iris wyczekawszy się w kolejce gości, stojącej na trawniku przed pałacem, podeszli do gubernatora, pan Sanders zamrugał z niechęcią powiekami na widok Papermana i podał mu wąską, żółtawą dłoń.

- Witam! Cieszę się, że udało się panu wyrwać z klubu.

Rozumiem, że nie narzeka pan na brak kłopotów.

- Właśnie dlatego go wyciągnęłam, panie gubernatorze

- powiedziała Iris.

- Pani Tramm, pan Paperman... senator Finchley z Nebraski. Pan Paperman jest właścicielem klubu „Rafa Mew”, panie senatorze.

Gubernator Sanders wskazał senatorowi widoczny w oddali pawilon. Norman i Iris przyjechali na przyjęcie dość późno, toteż w klubie płonęły już światła, odbijając się falującymi biało_żółtymi serpentynami w fioletowych wodach cieśniny.

- O! - zachwycił się senator z Nebraski, elegancko ubrany, drobny, rumiany mężczyzna z szoną siwych włosów. - Zastanawiałem się właśnie, co to za cudenko! Wygląda jak kraina z bajki. Jestem pod wrażeniem, pani Tramm. - Pożerał Iris łakomym wzrokiem. Była ubrana na czarno, jej szyję ozdabiał naszyjnik z pereł, a oczy lśniły ożywieniem. - Pani mieszka na Amerigo?

- Chwilowo.

- Mam uczucie, jakbym już gdzieś panią widział... Nie pochodzi pani przypadkiem z Nebraski?

- Istotnie, panie senatorze, urodziłam się w Omaha, lecz kiedy miałam trzy latka, rodzice przenieśli się do San Diego.

- Teraz już wiem, czego mi w naszym stanie najbardziej brakuje - oświadczył szarmancko senator, poruszając krzaczastymi brwiami.

- Pomyśleć, prawdziwy senator!

- szepnęła Iris do Papermana w drodze do baru. - Chyba się pomyliłam. Zazwyczaj nie widzimy tu senatorów wcześniej niż w lutym. W Waszyngtonie musi być piekielnie zimno. Dla mnie bourbon z wodą, Norm.

Chłodny wilgotny wiatr podwiewał rogi białego obrusa na długim blacie, który służył jako bar, odsłaniając podpierające go kozły stolarskie. Wokół baru kłębił się tłum gości, więc zdobycie drinków zajęło Normanowi trochę czasu.

- O, dziękuję ci! - zawołała Iris. - Główne zadanie mojej eskorty, kotku, prócz pełnienia roli przyzwoitki, polega na wytrącaniu mi z ręki każdego drinka poza pierwszym i drugim. Najlepszego!

Pociągnęła długi łyk.

- Żartujesz!

- Ani trochę. Co więcej,

potrafię być pod tym względem bardzo nieprzyjemna. Po prostu daj mi klapsa, a jeśli to się okaże konieczne, porzuć mnie. Powlokę się za tobą, co prawda miotając przekleństwa, od jakich zwiędną ci uszy.

Paperman wpatrywał się uważnie w jej oczy, wciąż nie mając pewności, czy Iris mówi poważnie.

- Mówię serio, Norm -

zapewniła. - Na ogół znam umiar, znam swoje granice, ale pałac gubernatora sprawia nie wiedzieć czemu, że dostaję małego rozumu.

- Dziwna zbieranina - ocenił Paperman, rozglądając się wokół siebie.

Na pałacowym trawniku, w przyćmionym świetle

rozkołysanych papierowych lampionów, zgromadziło się mniej więcej dwieście osób, które, rozmawiając z ożywieniem, czyniły ogłuszający gwar. Większość stanowili ubrani zgodnie z najnowszą modą Murzyni. Dzięki zamięłowaniu czarnych kobiet do pstrych kolorów scenę ożywiały liczne jaskrawe plamy barwne. Jedynie ubrania kilku starszych Murzynów przypominały fason z minionej epoki. Jakiś przygarbiony siwy starzec miał nawet na sobie złoty hełm korkowy i niebieski dwurzędowy garnitur! Iris poinformowała Normana, że rodzina tego dziwadła posiada trzy tysiące akrów najlepszej ziemi na Amerigo, w tym cztery piaszczyste, bielutkie plaże, tymczasem on sam mieszka w nie malowanym dwupokojowym domku z kruszywa żuźlowego, na domiar złego z wygodką w podwórku. Wśród gości nie brakowało również białych o dziwnym wyglądzie, przeważnie potomków angielskich kolonizatorów. Tu i ówdzie rozpoznawało się przedstawicieli „bandy ze wzgórz”, mężczyzn w jaskrawych marynarkach i odziane według zeszłorocznej nowojorskiej mody panie.

Jakiś przystojny, wysoki i młody Murzyn, ubrany w jedwabny włoski garnitur, nie różniący się zbyt od garnituru Normana, podszedł do nich z kieliszkiem w rękę.

- Dobry wieczór, panie Pejpej.

- Dobry wieczór - odrzekł z wahaniem Norman.

- Pan mnie nie poznaje? - Młodzieniec obnażył w uśmiechu garnitur złotych zębów.
- Anatone. Dosztańczyłem wszystkie piętnaszcze ładunków. Rachunek zosztawym Lornie, bo powiedziała, że pan szpi.
- Zajmę się tym.

Anatone zerknął w niebo i parsknął śmiechem.

- Zabawne! Klyency sze żafsze wszczekaą, gdy czosz takiego sze żdarza. W zeszłym roku jeden faczet że żgórza każał mi wypompowywacz wodę sz powrotem ż jego czyszterny! - Anatone zaśmiał się hałaśliwie. - Żdae my sze, że czeka nasz w noczy rzęszyszta ulewa. Przyęcze czeba będzie kącycz pod dachem!

Po odejściu Anatone'a Paperman spojrział z wściekłością do góry.

- Nie chcę ci psuć wieczoru, skarbie - powiedziała Iris - ale czy czujesz ten wiatr? Nie widać też na niebie ani jednej gwiazdy.

- Wiesz co zrobię? Poślę Panu Bogu pozew sądowy.

Zaśmiała się i ujęła go pod ramię.

- Przynieś mi następnego drinka, dobrze. A ty sam czemu nie pijesz?

- Piję - odrzekł, nieco przerażony tempem, w jakim wychyliła dużą szklanekę mocnego burbona z wodą.

- Coś ci powiem - zaproponowała, kiedy wrócił z drinkiem - wejdźmy lepiej do środka. Chyba, że chcesz prowadzić socjologiczne obserwacje w trakcie przyjęcia na trawie w pałacu gubernatora. Jeśli zacnie padać, wybuchnie tu straszna panika, a ja fatalnie znoszę potracanie i poszturchiwanie przez Kinjan.

- Dobrze, chodźmy.

- Nie mają złych zamiarów, siebie nawzajem również tak traktują i nic sobie z tego nie robią, ale... - Poprowadziła Normana przez tłum gości do szerokich schodów, prowadzących do wnętrza pałacu. - Znam tu jedną ustronną komnatkę, gdzie będziemy mogli się napić w spokoju.

Parter starego kamiennego budynku urządzono na modłę typowo amerykańską - białe światło jarzeniowe, dźwiękoszczelne ścianki, rzędy lśniących stalowych gablot (mimo późnej pory dzwoniły tu liczne telefony, terkotał nawet powielacz) - co stanowiło rażący kontrast z oficjalnymi pokojami na piętrze, gdzie mieściły się wspaniałe salony, wypełnione starymi angielskimi meblami na wysoki połysk, o ścianach zawieszonych białą bronią i spłowiałymi rycinami, przedstawiającymi bitwy morskie, prowadzone w scenerii typowej dla Indii Zachodnich.

Ukoronowanie muzealnego przepychu tych zabytkowych pomieszczeń stanowił rozległy widok na wzgórze Georgetown i oświetlony latarniami port, jaki roztaczał się za wysokimi oszklonymi drzwiami. Iris pokazała Papermanowi półkolisty gabinet rady, zbudowany w roku 1740, cały w ciemnych mahoniach i zielonej skórce, w którym wciąż jeszcze odbywały się posiedzenia ciała ustawodawczego Amerigo, a stamtąd weszli do długiego, wysokiego, lustrzanego holu.

- Jesteśmy na miejscu -

oznajmiła pani Tramm, otwierając niewidoczne drzwi, ukryte za jednym z luster.

- O wilku mowa! - wykrzyknął Chunky Collins, ledwie Paperman przekroczył próg. - Czy pan zawsze zjawia się jak na zawołanie, Norman?

Adwokat i Tom Tilson siedzieli nad drinkami w komnatce, będącej wierną kopią salonu w staroświeckim domu. Łukowate, kremowe, drewniane sztukaterie, zielone adamaszkowe obicia ścian, meble o wrzecionowatych nogach, osiemnastowieczny kominek w stylu braci Adam z czerwonym sztucznym ogniem, żarzącym się za szklanymi węglami, bibeloty z porcelany i srebra, rzędy oprawnych w skórę tomów

- to wszystko stwarzało iluzję londyńskiego wnętrza, tak zupełną i przekonującą, jak doskonała, pieczołowicie skonstruowana dekoracja w teatrze na Broadwayu.

- Siadajcie państwo - zaprosił pan Tilson. - Serwus, Iris. To jedyne znośne miejsce w całym pałacu gubernatora, Paperman. Ostatni angielski gubernator na wyspie nie cierpiał tropików, więc urządził sobie ten pokój tak, by czuć się w nim jak u siebie w domu. Wieść niesie, że aż do przybycia Jankesów przesiadywał tu dniami i nocami, żłopał dżin, popijał piwem i kurował swoje zapalenie stawów. - Uroczy salonik! - zachwycił się Norman.

Szeroki uśmiech rozjaśniający okrągłe oblicze pana Collinsa zgasł, ustępując miejsca wyrazowi szczerzego zatroskania.

- Ach, Norman, chciałbym, aby pan wiedział, jak bardzo mi przykro z powodu Texa Akersa! Zdaję sobie sprawę, że to było nieuchronne, a jednak przeżyłem szok. Co za nieszczęście! Gdyby pan sobie życzył, żebym zebrał oferty od innych wykonawców...

- Co mu się stało? - zapytał z trwogą Paperman. - Popęłnił samobójstwo?

- Tex? Ależ skąd? Uciekł!

Ulotnił się z wyspy.

Zapowiedział, że wyjeżdża na tydzień do Fort Lauderdale, ale czekaj tatka latka! Kiedy w zeszłą sobotę odesłał stąd rodzinę, od razu zmiarkowałem, co się święci. To nieomylny znak.

- Niech no policzę... -

odezwał się pan Tilson - to już piąty wykonawca, który w tym roku dał drapakę z Kinji, prawda?

- Istotnie, czwarty lub piąty.

Jedni przyjeżdżają, drudzy wyjeżdżają, straciłem już rachubę - westchnął Collins. - Jednak Tex należał do wyjątków. Zbankrutował na kwotę circa stu czterdziestu tysięcy.

- Musiało do tego dojść,

Zatoka Krabów kompletnie go zrujnowała.

- Dziwne - wtrąciła Iris. -

Wydawało mi się, że to przyzwoite domy. Nigdy bym nie powiedziała...

- Bo to są przyzwoite domy - potwierdził pan Tilson. - W niczym nie przypominają zwykłej

kinjańskiej partaniny z

niesprawną instalacją

wodno_kanalizacyjną, z

elektrycznymi przewodami, które iskrzą i stają w płomieniach, i odpadającymi po miesiącu dachówkami. Te domy nie mają jednak ścian z nefrytu i platynowych rur, jak powinny przy cenie siedmiuset dolarów za metr.

- Obawiam się - westchnął pan

Collins - że Tex miał do pieniędzy stosunek cokolwiek infantylny. Już wcześniej dwa razy zbankrutował, raz w Acapulco i raz na Hawajach, choć zapewniał do znudzenia, że stało się to za sprawą nieuczciwych współników.

- No jasne! - prychnął pan Tilson. - Ale bo kto przy zdrowych zmysłach pcha się na to przeklęte zadupie, żeby próbować zarabiać na życie? I to teraz, gdy w Stanach panuje najlepsza w bieżącym stuleciu koniunktura?

Tylko dziwacy, głupcy i

nieudacznicy. - Obdarzył

Papermana krzywym uśmiechem. -

O obecnych nie mówiąc, rzecz

prosta. Większą część życia

spędziłem na wyspach

tropikalnych i wiem, że

dziewięćdziesiąt procent

przybyszów z kontynentu stanowią różnego rodzaju pomylenicy, którzy prędzej czy później prawie wszyscy stąd nawiewają... jeśli, naturalnie, nie zapiją się wcześniej na śmierć.

- A pan? - zaciekawiła się Iris.

Tilson podniósł żylastą,
czerwoną, piegowatą rękę.

- Międzynarodowa Korporacja Niklu uznała za stosowne posłać mnie na dwadzieścia jeden lat na placówkę w Nowej Kaledonii. Przywykłem do tropików. Nie zamierzam wracać, w moim wieku, do śnieżyc i ludzkich tłumów. Mój przypadek jest zupełnie inny.

Paperman myślał ze ściśniętym sercem o zburzonej ścianie, o składowisku materiałów budowlanych, o swoich długach, wreszcie o wydymającej się w holu obrzydliwej brezentowej płachcie.

- Pan tymczasem - powiedział z gniewem do Collinsa - nie dalej jak dziś rano namawiał mnie, żebym dał Akersowi następny tysiąc dolarów!

- No cóż, był moim klientem, rozumie pan - bronił się adwokat

- musiałem zrobić dla niego wszystko, co w mojej mocy. Prawdopodobnie dałby drapaka i z pańskim tysiąckiem. Z drugiej jednak strony, Tex był takim oryginałem, że może i faktycznie zbudowałby panu te pokoje, czort wie?

Oczywiście, postąpił pan wielce rozsądnie pozostając głuchym na moje argumenty.

- Dobrze panu doradzono - wtrącił pan Tilson z miną pokerzysty - wyjątkowo dobrze!

- Uznałem, że otrzymał pan instrukcje prosto z Nowego Jorku

- przyznał Collins - dlatego z czystym sumieniem pana namawiałem. Pan Atlas nie jest w ciemną bity.

- W ogóle z nim nie rozmawiałem o tej sprawie.

- Rozumie się, że nie -

zgodził się z nim pan Collins ze szklanym uśmiechem, który zawsze po podobnych zapewnieniach Normana pojawiał się na jego twarzy. - Rozumie się! Mimo to, jeśli wolno mi oceniać ludzkie charaktery, a to jest ostatecznie mój zawód, ma pan o wiele za miękkie serce, aby mógł pan sam z siebie odrzucić ofertę Texa. - O szyby okien od strony trawnika zabębniły krople deszczu i na dworze rozległy się okrzyki przerażenia i tupot nóg.

- No i proszę! przewidywałem, że lunie, prawda, Tom?

- Nareszcie! Bardzo nam już był potrzebny - zaopiniował pan Tilson.

- Mnie nie - rzekł Paperman. - Ja kupiłem sobie właśnie zapas wody za siedemset pięćdziesiąt dolarów.

Pan Tilson rozdziawił usta.

- Mówi pan poważnie? -

zapytał, z niedowierzaniem wpatrując się w Papermana. - Za tę sumę mógł pan przerobić „Rafę Mew” na hotel pływający!

- Istotnie, kwota dość

wygórowana - przytaknął adwokat.

- Czy miał pan może do czynienia z Anatone'em?

- Z Anatone'em i barką śmieciarką.

Collins pokiwał ze zrozumieniem głową.

- No cóż, może to pan

potraktować jako swego rodzaju inwestycję na przyszłość. Odtąd senator Pullman będzie do pana usposobiony nader ciepło.

- Miałbym dla pana małą radę, Paperman - rzekł pan Tilson. - Niech pan wraca czym prędzej do domu! Niech pan machnie ręką na straty, które już pan tu

poniósł, i niech pan stąd ucieka. Niech pan da nogę, jak Akers! Niech pan sobie powie, że przyśnił się panu koszmarny sen, z którego się pan szczęśliwie obudził. Niezależnie od tego, ile już pan utopił w tym hotelu, czmychając w porę oszczędzi pan fortunę, zapewniam pana.

Wysokie drzwi otworzyły się i ukazał się w nich gubernator Sanders w towarzystwie senatora z Nebraski.

- O! - zawołał, wzniosłszy swój kieliszek. - Mamy towarzystwo, panie senatorze. I to wyborne!

Starannie zamknął drzwi za sobą.

- Chodźmy, Norman -

powiedziała Iris i wstała. Za chwilę zaczęły się tutaj rozmowy oficjalne.

Senator podbiegł do niej, chwycił ją za łokieć, posadził na kanapie i sam usiadł obok.

- Wykluczone, Iris! Pani i ja jesteśmy jedynymi przedstawicielami Nebraski na tej wyspie! Niech pani mnie nie opuszcza!

Sanders rozsiadł się w fotelu i zapalił papierosa.

- Co to za historia z tym inwestorem z Zatoki Krabów, Chunky? Czy to prawda?

- Adieu, Fruziu - odparł pan Collins.

Gubernator pokręcił głową.

- Chodzi o tę budowę, koło której przejeżdżaliśmy po lunchu, panie senatorze. Pamięta pan te domy z żółtymi dachami w kształcie pagód.

- Zrobiły na mnie doskonałe wrażenie. Nigdy nie widziałem lepszej lokalizacji niż teren nad tą zatoczką.

- Hm, obawiam się, że nasi budowniczowie cierpią na szczególną dolegliwość - skonstatował gubernator - mają mianowicie chorobliwą skłonność do znikania jak kamfora.

- Biegunka dłużników -

zażartował Tom Tilson.

Senator Finchley uśmiechnął się.

- Wielkie zamiary przy

skromnych kontach w bankach. To już druga fala przedsiębiorców na terenach rozwijających się, która próbuje dojść do pieniędzy. Ktoś zgarnie te nie wykończone domy za półdarmo i zbije na nich majątek.

- Szczera prawda - rzekł

gubernator Sanders do adwokata Collinsa. - Przypuszczam, że bank nie czekając zlicytuje budowę nad zatoką za dług hipoteczny.

- Jak tylko zdobędziemy

orzeczenie - odrzekł Collins. - Prawdopodobnie już jutro będę w tej sprawie w sądzie. Jestem przedstawicielem banku - wyjaśnił Papermanowi.

- Rozumiem - przytaknął

Norman. - Proszę mi powiedzieć, czy jest pan również miejscowym przedsiębiorcą pogrzebowym?

Collins wytrzeszczył nań oczy.

- Słucham? Ach nie, tym się zajmuje Hollis. Hollis, nie Collins. Praktyka adwokacka pochłania mnie całkowicie. Ale Raiph Hollis jest doskonałym przedsiębiorcą pogrzebowym.

Iris parsknęła śmiechem, lecz gdy siedzący w pokoju mężczyźni odwrócili się w jej stronę, przywdziała natychmiast maskę powagi.

- Wiesz, Norm, wypiłabym

jeszcze kieliszek. No, może pół.

Paperman się zawahał, a tymczasem gubernator Sanders zagadnął go:

- A skoro już jesteśmy przy tym temacie, Zatoka Krabów powinna zainteresować pańskiego przyjaciela, Atlasa. Powiedział mi kiedyś, że ma zamiar nabyć u nas znaczne posiadłości.

- To prawda - potwierdził Norman, by podtrzymać rozmowę i nie spełnić prośby Iris o następną porcję alkoholu. - Napiszę mu o tej licytacji.

- Wymarzona okazja! -

zachwycił się Collins.

- Zatoka Krabów pochłonie jeszcze jakieś sto pięćdziesiąt tysięcy, zanim lokatorzy będą mogli się wprowadzić do tych domów. Jeśli pański przyjaciel dysponuje taką kwotą i zdoła znaleźć przedsiębiorcę budowlanego z prawdziwego zdarzenia, by dokończył budowy, może istotnie zbić na tym fortunę. Te domy po wykończeniu powinny się sprzedawać jak świeże bułeczki - i to po cenie dwukrotnie wyższej niż w Stanach. To właśnie jest takie pociągające w ...

Pan Tilson urwał i zerknął na sufit, a potem na zegarek. Salonem wstrząsnął basowy pomruk, niczym odległy ryk eskadry odrzutowców. Gubernator Sanders zwrócił się do Normana i poradził mu spokojnym, opanowanym tonem:

- Niech pan po prostu nie rusza się z miejsca.
- Co to takiego?
- Trzęsienie ziemi - wyjaśniła Iris i splotła dłonie na kolanach.
- Pierwsze od blisko roku - dodał Sanders.

Paperman sam już dostrzegł i poczuł dygotanie pokoju. Na podłogę spadł jakiś metalowy bibelocik, rozdzwonił się histerycznie kryształowy kandelabr.

- Bardzo ciężkie tu u was bywają? - zapytał senator podniesionym głosem, przekrzykując rosnący łoskot; trzymał się mocno oparcia kanapy, lecz poza tym nie sprawiał wrażenia zbytnio wstrząśniętego.

Odpowiedział mu Tom Tilson.

- Z reguły nie zanadto.

Żadnego porównania z południowym Pacyfikiem.

- Czy ja wiem... - rzekł

adwokat Collins. - Wydaje mi się, że to obecne trochę się przeciąga.

Nastąpił jeszcze gwałtowniejszy wstrząs i rozległ się głośny rozwibrowany hurkot. Na oczach Papermana złotoróżowa porcelanowa waza przechyliła się, stoczyła ze stołu i roztrzaskała na drobne kawałki. Podrygi fotela przyprawiły go o mdłości; musiał wyteńczyć całą siłę woli, by się nie zerwać i nie wybiec z pokoju. Nagle pan Collins dał nurka pod stół i wrzasnął, przekrzykując przeraźliwy hałas:

- Niech się pani schowa, Iris!

Najlepiej w drzwiach!

Tymczasem łoskot przycichł, a potem całkiem ustał; ustały też nieprzyjemne wstrząsy.

- Koniec - orzekła w zaległej ciszy Iris.

- Zmierzyłem czas - oznajmił pan Tilson. - Trwało czternaście sekund.

Za zamkniętymi drzwiami wszczęła się jakaś wrzawa. Adwokat wylazł spod stołu i otrząpał kolana.

- Bezpieczeństwo przede

wszystkim - oznajmił.

- Trzęsienie ziemi wstrząsnęło moim przyjęciem, panie senatorze

- rzekł gubernator Sanders. - Obawiam się, że musimy dołączyć do reszty gości.

- Zabawne, nieprawdaż? -

zwrócił się senator do Iris. - Pewnego razu na Hawajach przeżyłem naprawdę groźne trzęsienie. Zawaliło się nawet trochę domów. Do widzenia pani.

Wyszedł w towarzystwie gubernatora i pana Collinsa, który oświadczył, że jego małżonka boi się panicznie trzęsień ziemi, więc lepiej jej poszuka.

Tom Tilson wsparł się na lasce i dźwignął z fotela.

- Oto jeszcze jedna

przyjemność tropików, Paperman. Widzi pan, strefa umiarkowana to bujanie gości. Żeby się dowiedzieć, na jakiej planecie umieścić pana Stwórcę, trzeba się wybrać na biegun lub właśnie w tropiki. Nasza matka Ziemia potrafi być koszmarne niegościnna.

Norman odpowiedział mu głosem, który drżał, wbrew jego woli, dość wyraźnie:

- Ta wyspa pozostanie dla mnie mimo wszystko najpiękniejszym miejscem na ziemi.
- Nikt nie twierdzi, że nie jest piękna - zgodził się z nim pan Tilson. -
Powiedziałem tylko, że bywa, jak cała nasza planeta, diabło niegościnna. Co
więcej, również nieprzewidywalna. Wydaje się panu, że jest pan już przygotowany
na najgorsze, tymczasem ona prędzej czy później kompletnie czymś pana zaskoczy.
Obserwowałem to setki razy, Paperman. Nie straszę pana, po prostu uprzedzam.
- Mimo to nie zamierzam stąd wiać - oświadczył Norman - mimo trzęsień ziemi,
huraganów i tego wszystkiego, co Kinja chowa jeszcze dla mnie w zanadru.

Staruszek spojrzał nań spod półprzymkniętych powiek, odchyliwszy do tyłu
czerwoną, pomarszczoną twarz i wycelowawszy w Papermana żylasty podbródek.
- No cóż, wolna wola... Widzi pan, ja prowadzę żywot pustelnika. Wydajemy z żoną
tylko jedno przyjęcie w roku, na Boże Narodzenie. Dwustu gości, szampan, kawior,
o północy stek chateaubriand dla wszystkich. Mój dom jest na takie zabawy za
ciasny. Wydajemy je od lat w gospodzie Sir Francisa Drake'a. Czy podjąłby się
pan zorganizować mi takie przyjęcie w swoim klubie? Płacę dwadzieścia pięć
dolarów od każdego gościa, co daje razem pięć tysięcy. Oczekuję fachowej obsługi
i jestem, uprzedzam, klientem potwornie wymagającym.
- Chętnie spróbuję -
powiedział Paperman, rzucając spłoszone spojrzenie na Iris.
- Dostał więc pan zamówienie - oświadczył Tom Tilson, po czym pokuśtykał do
drzwi; w progu odwrócił się jeszcze. - Te wstrząsy rzadko nawiedzają nas
pojedynczo. W najbliższym tygodniu może się pan spodziewać jeszcze paru
następnych. Wstrząs o naprawdę dużej sile potrafi wywołać potężną falę
oceaniczną, zdolną zmyć z powierzchni ziemi wszystkie pańskie problemy. Niech
więc pan lepiej sprawdzi, czy ma pan ubezpieczenie od powodzi.

Ledwo staruszek wyszedł, Iris zawołała z przejęciem:
- Norm, jeśli przygotujesz przyjęcie Tilsonów jak należy, będziesz ustawiony! To
jedno z większych wydarzeń na wyspie. Muszę czym prędzej wypić jeszcze jednego
drinka i nie chcę słyszeć żadnych sprzeciwów! Trzęsienie ziemi to okazja
zupełnie wyjątkowa. Kusztyczek pod trzęsienie ziemi!

Prowadząc towarzyszkę przez lustrzany hol, Paperman zauważył ostrożnie:
- Bar jest już pewnie
zamknięty.
- W takim razie pozostaje zawsze prywatny zapas Jego Ekscelencji.

Goście tłoczyli się w salach recepcyjnych i ze śmiechem komentowali ostatnie
wydarzenia, ulewę i trzęsienie ziemi. Wielu skupiło się wokół bufetu w
największym salonie. Gubernator Sanders stał z założonymi na piersiach rękami w
oszlonych drzwiach i wpatrywał się chmurnym wzrokiem w strugi rześistej ulewy.
Iris podeszła wprost do niego.
- Gdzie jest barek, panie gubernatorze? Czemu nie stoi w kącie, jak zwykle?

- Ten na dworze zwinięto, kiedy zaczęło padać, Iris. Zrobiło się już trochę
późno.
Powinna pani coś zjeść.
- Dzięki za radę. Ufam, że mam jeszcze wystarczający kredyt u Terence'a, żeby
dostać drinka.

Zaczęła przeciskać się przez tłum.
- Ile już wypila? - zapytał Papermana gubernator.
- Dwa drinki.

Sanders zmarszczył czoło.
- Więcej nie powinna.
- Tak mi też zapowiedziała.

Norman dogonił Iris w wąskim mrocznym korytarzu, którego ściany były zawieszane fotografiami w ramach, mieczami i strzelbami.

- Dokąd idziemy?

- Do spiżarni. Terence jest moim dobrym kumplem.

- Jestem głodny, Iris.

Wypijemy jeszcze po jednym do kolacji. Dokąd się wybierzemy?

Spojrzała na niego wilkiem.

- Odwal się! Czuję się

świetnie i mam zamiar przed wyjściem wychylić jeszcze jednego drinka na koszt tego p... rządu.

Usłyszawszy tak wulgarnie słowo, Paperman aż zamrugał powiekami. Iris parsknęła śmiechem i odwróciła się do niego tyłem. Złapał ją za rękę.

- Odchrząń się, Norm!

- Ja jadę, Iris. Możesz zostać albo jechać ze mną, ale ja nieodwołalnie jadę.

Zaśmiała się i zmierzyła go szyderczym spojrzeniem.

- A jedź sobie! Szczęśliwej drogi!

Papermanowi nie pozostało nic innego, jak postąpić zgodnie z jej własnymi instrukcjami.

- W porządku. A więc do

widzenia.

Nie oglądając się za siebie, wrócił korytarzem do głównego holu, po czym tylnym wejściem wyszedł na parking. Deszcz padał nadal, choć już nie tak gęsty.

Paperman pobiegł do land rovera, wsiadł i zapalił silnik. Gdy cofał wóz, by zawrócić, dostrzegł na szczycie schodów panią Tramm; machała do niego ręką.

Zatrzymał samochód.

- Naprawdę byłeś gotów

odjechać? - zapytała, gramoląc się do auta. - Naprawdę miałeś zamiar zostawić mnie samą na tej ponurej stypie?

- Rozkaz kierownictwa -

odrzekł.

Obciągnęła gniewnie spódnicę wokół nóg.

- No tak, czego się można spodziewać po Żydzie! Nie spotkałam jeszcze Żyda, który miałby jakieś pojęcie o dobrych manierach.

- Dokąd chciałybyś się wybrać na kolację?

- W ogóle nie jestem głodna.

Żarcie na tej p... wyspie wszędzie tak samo śmierdzi. Jeszcze najlepsze jest w „Rafie Mew”, ale mam już powyżej uszu twoich idiotycznych problemów z tym klubem! Gdybyśmy usiedli na patio w gospodzie Francisa Drake’a, mógłbyś przynajmniej oglądać na własne oczy, jak twój p... klub staje w płomieniach albo spotyka go jakaś inna katastrofa, bo jakaś przecież spotkać go musi!

- A więc do „Francisa Drake’a”

- zdecydował Norman i nacisnął gaz.

Land rover zjeżdżał ze wzgórza, podskakując na wyboistej drodze.

- Dlaczego, na litość boską, czy raczej Mojżeszową, nie sprawisz sobie porządnego auta, tylko tłuczysz się jak epileptyk na kółkach? - prychnęła Iris.

Paperman patrzył prosto przed siebie i milczał. Podczas następnych dziesięciu minut jazdy w strugach zacinającego deszczu Iris wygłosiła zaczepnym tonem improwowaną filipikę przeciwko Żydom. Ręce splotła na piersiach, wpatrywała się natarcążywie w Papermana, a jej wargi wykrzywiały kaśliwy uśmiezek. Z nadzieją, że zamknie jej usta, Norman zapytał w końcu:

- Na jakiej podstawie sądzisz, że jestem Żydem? Całkowicie podzielam twoją opinię o tym narodzie. Uważam, że Żydzi dążą do opanowania Ameryki, co jest nikczemną podłością, zważywszy, jacy to nieudacznicy i zdechlaki.

- Cha, cha, cha, bardzo

śmieszne! Ale ja mówię serio. Nie znoszę Żydów, zawsze żałowałam, kiedy się z którymś nieopatrznie zadałam, a wiem, co mówię, bo Herb Tramm też do tej nacji należał. Wiesz, co ci powiem? Cała ta humanitarna gadanina to zwyczajne pieprzenie w bambus! Tak naprawdę wszyscy serdecznie Żydów nienawidzą, nawet kolorowi. Zobaczysz, ludzie przestaną przyjeżdżać na Rafę Mew tylko dlatego, że klub dostał się w ręce obrzezańca.

- Wystarczy, Iris, bądź już łaskawa się przymknąć! - mruknął Paperman i ostentacyjnie ziewnął.

- Nie waż się tak do mnie mówić, ty zniewieściała żydowski palancie! Patrzcie go, przeraził się śmiertelnie kilku mrówek! Założę się, że jakby przyszło co do czego spuściłabym ci manto!

Zamilkła jednak i nie odezwała się już ani słowem, dopóki nie zasiedli pod pasiastymi markizami na patio gospody „U Francisa Drake’a” i nie zamówili po kieliszku wina i porcji krewetek. Iris wychyliła duszkiem swój kieliszek, po czym spojrzała przyjaźnie na Normana posmutniałymi oczami i uśmiechnęła się z zawstydzaniem.

- Przepraszam!

- Nie ma za co.

- Czemuś mnie po prostu nie wyrzucił z wozu?

- No cóż, jak słusznie

zauważyłaś, mogłabyś spuścić mi manto. Poza tym rozpieklona kobieta to dla mnie nie pierwszozna. Mam za sobą jakieś dziesięć tysięcy godzin treningu i posiadam licencję starszego instruktora.

Roześmiała się.

- Henny nie może być aż taką heterą! Nigdy w to nie uwierzę!

- Oczywiście, nie pomstuje na Żydów, muszę też przyznać, że zazwyczaj bywa dotkliwiej sprowokowana.

- No cóż, jeśli to cię

pocieszy, dowiedz się, że jak na siebie zachowywałam się jeszcze całkiem przywoicie. Mam zresztą nadzieję, że nigdy mnie nie zobaczysz w naprawdę złym stanie.

Przez chwilę jedli w milczeniu.

- To nie moja sprawa -

zastrzegł się - ale skoro masz problemy z alkoholem, czemu nie zwrócisz się o pomoc do Aa?

Iris zagryzła wargę i

zapatrzyła się w zasnutę

deszczem światełka „Rafy Mew” po drugiej stronie cieśniny.

- To nie dla mnie, Norm.

Widzisz, Aa opiera się na idei religijnej. Mnie to odrzuca. Gdybym naprawdę uwierzyła, że jakiś inteligentny Bóg obserwuje moje wysoki, prawdopodobnie poderżnęłabym sobie gardło, jedynie po to, by odzyskać prawo do swobody. Na sama myśl o takim Bogu dostaję dreszczy! - Pociągnęła łyk wina. - Widzisz, skarbie, dla mnie źródłem stałej pociechy jest świadomość, że dla wszechświata znaczę nie więcej niż jedna z tych martwych mrówek na stercie twoich zużytych chusteczek higienicznych.

Jedzenie w gospodzie „U Francisa Drake’a” nie należało do najprzedniejszych - mięso było suche i żyłaste, warzywa rozgotowane, tort zbyt tłusty. Paperman zwrócił na to uwagę i dowiedział się od Iris, że jest prawdziwym szczęściarzem, mając taką kucharkę jak Sheila. „Rafa Mew” to jedyny lokal na wyspie, gdzie karmią rzeczywiście przywoicie. Gdy podano im kawę, Iris otarła usta serwetką i rzuciła ją na stół.

- Słuchaj, muszę to

powiedzieć, a potem o wszystkim zapomnijmy. Nie przepadam specjalnie za ludźmi, siebie nie wyłączając, mam jednak dziwną słabość do Żydów. Możeś to zresztą sam zauważył. Kiedy dostaję małego rozumu, potrafię mówić i robić potworne rzeczy, na ogół jednak nie przekraczam pewnych granic. Gdy wiem na pewno, że jakieś zachowanie nie ujdzie mi płazem, zwykle się od niego powstrzymuję. Tymczasem co się Ciebie tyczy, uznałam, że zniesiesz moje chamstwo i rzeczywiście się nie omyliłam.

Powiedz, czemu się nie wściekłeś?

- Dobre pytanie - przyznał Norman i zamyślił się chwilę nad odpowiedzią. - Coś ci powiem. Dawno temu, kiedy pracowałem na rzecz republikańskiej Hiszpanii, jeszcze przed poznaniem Henny, w moim otoczeniu pojawiła się pewna dziewczyna ze stanu Vermont, bardzo radykalna i stuprocentowa gojka; kombinacja, która w owym czasie pociągała mnie nieodparcie. Panienska była ponadto niebrzydka, choć trochę za wysoka i koścista; na dobitkę miała za szerokie usta. Tak czy owak sprawa po jakimś tygodniu zaczęła wyglądać poważnie. Dziewczkę opierało się trochę, dla samej przyjemności stawiania oporu. Nasz romans miał ostry podniecający smak, jak zresztą wszystko w tym wieku. Pewnego wieczoru, po jakimś przedstawieniu, piliśmy późną kawę i pochłanialiśmy ciastko z automatu na Pięćdziesiątej Siódmej. Plotłem, co mi ślina na język przyniesie, i w pewnym momencie palnałem: „Dziś po południu poszłem na zebranie do Joe'ego”, czy coś w tym guście. Nagle moja dziewczyna odwraca się do mnie i mówi: „Proszę cię, Norman, nigdy więcej nie mów przy mnie poszłem. Stale popełniasz ten błąd. Jest taki nowojorski, co gorsza typowy dla Żydków”! Tokowałem dalej, żartowałem, w końcu odwiozłem panienskę do domu, ale nigdy więcej się z nią już nie spotkałem. To, co powiedziała, nie było niczym strasznym, tyle że... widzisz, ona naprawdę tak myślała.

Iris kiwnęła głową; siedziała ze spuszczonej oczyma wpatrzona we własne dłonie.

- Jak długo już tak pada? - zainteresował się Norman, spoglądając na obwisłą pod ciężarem deszczówki markizę. - Chyba ze dwie godziny?

- Co najmniej. Jeśli ta ulewa jeszcze trochę potrwa, nie będziesz musiał przez dłuższy czas kupować wody ani ściągać barki z Gwadelupy.

- Zastanawiam się właśnie, może by warto przeprowić się na drugi brzeg i sprawdzić, czy trzęsienie ziemi nie wyrządziło jakiejś szkody „Marzeniu Papermana”. A może dać sobie spokój i machnąć na to ręką?

Iris parsknęła śmiechem.

- „Marzenie Papermana”, to dobre! Machnij ręką. Zapewniam cię, że trzęsienie ziemi nie wyrządziło żadnej szkody twojemu marzeniu. Chodźmy lepiej do kina!

Wąska, brzydka i niepozorna
reklama nad kinem przy ulicy
Księcia Walii anonsowała
filmidło „Młodzi zjadacze
trupów”. Iris zapewniła Normana,

że to wielka weekendowa
atrakcja, jedyny - odkąd pamięta

- tytuł, jaki kierownik kina uznał za godny reklamy.

- W weekendy idą zawsze

horror, jakiś przedpotopowy western - powiedziała - albo jeden z tych włoskich knotów, na których chmary Rzymian ćwiartują rzesze chrześcijan i gwałcą legiony nagich niewolnic. Kinjanie to uwielbiają! A dziś wieczorem idzie stary pocziwy Cary Grant.

- Z jakiej to okazji

dostaliśmy bilety wolnego wstępu? - zainteresował się Norman, kiedy wchodzili do chłodnej, obskurnej, na zielono pomalowanej sali z rzędami połamanych drewnianych krzesełek. Kierownik kina, niski Portorykańczyk, stojący przy wejściu obok biletera, uklonił się im uniżenie i uśmiechnął się melancholijnie.

- Och, bo mnie tu znają. U schyłku kariery nakręciłam kilka horrorów. „Córka Draculi” wciąż należy na Kinji do najulubieńszych. Stale ją powtarzają.

- Naprawdę? Nie widziałem tego obrazu.

- Uroczy filmik! Gram tam figlarną młodą dziewczynę, uwięzioną w starym zamczysku w

Dolomitach. Słodziutką ślicznotkę, która w pewnej chwili zmienia się na oczach widzów w ogromnego nietoperza i zaczyna wysysać krew z pięknego rumaka... Czemu się śmiesz? Mówię najświętszą prawdę! Niezapomniana scena! Na widowni zawsze zrywały się oklaski, kiedy koń, z którego wyssałam ostatnią kroplę, walił się z nóg.

- Łżesz aż się kurzy! - orzekł Norman śmiejąc się serdecznie, mimo że twarde listwy drewnianego krzesełka szczypały go w siedzenie.

- Bodaj tak było! Dużo bym dała, gdybym mogła wykupić ten negatyw. Sprośne filmiki dla panów to w porównaniu z „Córka” najwyższego lotu arcydzieła. Ten kicz robi teraz w Stanach karierę telewizyjną. Pomyśl: moja nieopierzona gęba sprzed blisko dwudziestu lat, ozdobiona uszami nietoperza, szczerzy wampirze kły, ociekając końską posoką! I taką mnie poznaje pokolenie młodych Amerykanów. Miałabym pewne trudności z comebackiem w roli Kandydy.»*

Bohaterka sztuki G.B. Shawa „Candida”.

Film zaczął się mniej więcej z półgodzinnym opóźnieniem; poprzedziły go krótkometrażowe reklamówki, zachwalające różne gatunki piwa i whisky, dezodorantów i farb do włosów. Obraz w najmniej spodziewanych momentach stawał się nieostry i na ekranie migały jedynie szare rozmazane plamy. Wentylatory dmuchały prosto w twarz Normana przenikliwym zimowym wichrem, a drewniane krzeselko wpijało mu się boleśnie w sempiternę, ale nawet i bez tych niewygód miałyby kłopoty ze śledzeniem akcji.

Film należał do gatunku

dreszczowców; okraszony szczyptą

humoru, zawierał dramatyczną

scenę śmierci i dwie czy trzy

względnie namiętne sceny

miłosne. Podczas tej pierwszej

Kinjanie zarykiwali się ze

śmiechu, podczas scen

komediowych siedzieli w nabożnym

milczeniu, natomiast ścieżkę

dźwiękową scen miłosnych

wzbogacali gwizdami, okrzykami,

pohukiwaniami, chichotami i

głośnym ciamkaniem,

przypominającym mlask

wydobywanych z gęstego błota kopyt muła.

- Jak ty to wytrzymujesz? - szepnął Paperman do Iris.

- Co mianowicie? A, tę gawieź! Przestałam ją nawet zauważać.

Po jakimś czasie również

Norman przestał zwracać uwagę na otoczenie. Film kończył się nocnym pościgiem po Times Square, na tle teatrów Broadwayu, restauracji, nocnych klubów, więc poczuł się tak, jakby wrócił na swoje śmieci. Wyjście z kina przyprawiło go natomiast o wstrząs. Deszcz przestał padać i przez otwarte drzwi klimatyzowanego budynku buchnęło gorące wilgotne powietrze. Parterowe sklepiki i tynkowane arkady domów wzdłuż ulicy Księcia Walii sprawiały w mętnym żółtym świetle groteskowo obce wrażenie.

- Wiesz co, Iris? - powiedział Paperman. - Zaniosło nas naprawdę daleko od domu.

- Zgadza się, kotku. Cholernie daleko!

Na widowni znalazło się tylko kilku białych i wszyscy oni sprawiali wrażenie poirytowanych i znudzonych, za to tłum młodych Murzynów zanosił się hucznym śmiechem, kipiał wesołością i przerzucał się żarcikami. Dziewczeta były ubrane w skromne bawełniane sukienki i starannie uczesane; chłopcy mieli na sobie koszulki z krótkimi rękawami i zwiężające się ku kostkom spodnie. Obie płcie wprost tryskały humorem. Norman zupełnie nie rozumiał ich trajkotania w rytmie Calypso, mimo że mówili najpewniej po angielsku. Uderzyła go natomiast wesołość tych młodych Kinjan, którzy nie byli tylko trochę brązowi czy tylko trochę żółci, ale niemal co do jednego czarni jak smoła i zachwycająco urodziwi.

- Skąd ta różnica między

Kinjanami a naszymi Murzynami z kontynentu? - zapytał Paperman w samochodzie. - Dlaczego ci pierwsi są o tyle przystojniejsi?

Skubiąc nerwowo perły naszyjnika Iris odwróciła głowę i przyjrzała mu się uważnie spod półprzymkniętych powiek.

- Tak uważasz? No cóż, to dokładnie ci sami ludzie. Po prostu na tej wyspie są u siebie, ot i wszystko! Na Amerigo nie ma miejsc, gdzie zabraniano by im wstępu, a białe człowiek mieszka tu w spokoju jedynie dlatego, że oni mu na to pozwalają. Oto i cała różnica.

Wracajmy do „Marzenia

Papermana”, skarbie. Mój

piesiunio czeka niecierpliwie na swoją kość. Mam nadzieję, że dobrze się bawiłeś?

- Ocaliłaś mnie! - przyznał Norman. - Wiadomość o ucieczce Akersa wstrząsnęła mną bardziej niż trzęsienie ziemi. Dzięki tobie zdołałem się pozbierać.

Church poinformował Papermana, że trzęsienie ziemi nie wyrządziło żadnych szkód, a ulewa podniosła poziom wody w zbiorniku o cały metr. Niektórzy goście w ogóle nie zauważyli trzęsienia, a inni potraktowali je jako świetny żart. W barze i na parkiecie tanecznym panował ścisk. Przechodząc przez hol Paperman wsunął się na chwilę pod brezentową płachtę i przyjrzał w blasku księżyca sedesom, szybom okiennym i mosiężnym klamkom złożonym na stertę drzwi. Zza brezentowej kurtyny dolatywał beztronski łoskot orkiestry stalowych bębnow. Norman Paperman przeszedł przez skapaną w księżycowej poświacie wielką wyrwę w ścianie swojego hotelu i poszedł spać.

Rozdział siódmy

Trzęsienie ziemi

1

Następne trzęsienie, niewiele tylko silniejsze od pierwszego, zdarzyło się po tygodniu. Ziemia zadrżała o wpół do jedenastej przed południem, gdy większość gości żeglowała, pływała w morzu lub bawiła się na plaży, toteż wstrząsy nie wywołały paniki. Norman i Iris siedzieli wtedy w biurze nad księgami rachunkowymi; Norman był dość zadowolony z opanowania, jakie wykazał podczas tych dygotów i dudnień. W pół godziny później w drzwi biura wsadził łąsą głowę jeden z gości hotelowych, noszący się z wielką godnością lekarz z Indianapolis, i oznajmił od niechcienia, że ze zbiornika wycieka woda.

- Dobrze, że pana zastaję, panie Paperman - rzekł spokojnie
- ponieważ wydaje mi się, że ma pan pękniętą rurę lub coś w tym rodzaju. Z fundamentów pańskiego hotelu obfitym strumieniem wypływa woda.

Po tych słowach ubrany w pomarańczowy plażowy szlafrok zwiastun katastrofy zniknął.

Norman złożył ręce na otwartej księdze rachunkowej, oparł na nich głowę i jęknął.

Już to, co wyczytał z ksiąg, nie nastrajało optymistycznie. W pierwszym tygodniu swej hotelarskiej kariery na Karaibach Norman Paperman zarobił na czysto trzydzieści siedem dolarów i czterdzieści centów. Oczywiście, istniały obiektywne powody tak szokująco niskiego zysku. Same pobory pracowników pochłaniały znaczne sumy: żadna spośród tych osób - kucharka, pokojówki, kelnerki, muzycy orkiestry bębnow stalowych, barman i ogrodnik - nie zarabiała co prawda dużo, ale w sumie ich pensje składały się na poważną kwotę. Do tego dochodził gigantyczny wydatek na zakup wody. Wreszcie należało odłożyć pieniądze na spłatę zadłużenia w banku. Norman uświadomił sobie ze zgrozą, że chcąc spłacić pożyczkę i wykupić weksle, będzie musiał ponosić takie wydatki przez mniej więcej trzysta tygodni! Potrzebne na to fundusze miały mu zapewnić

dochody z nowych pokoi,
tymczasem pokoi tych nie
zbudowano. W przekształconej w magazyn materiałów budowlanych dawnej sali gier
hulał wiatr, bez przeszkód zaglądały do niej księżyc i słońce, wpadały krople
deszczu - poza tym nic się nie działo. Zaczęły co prawda napływać oferty
dokończenia prac, ale rozpiętość cen zakrawała na kpiny. Najniższa wynosiła
tysiąc pięćset dolarów, najwyższa - dwadzieścia jeden. Wykonawcy z Ameryki
zasługiwali najwidoczniej na tyle zaufania, co stado przelotnych ptaków, i
odznaczali się niewiele większą wiedzą o budownictwie.
Główna przyczyna zmartwień Papermana tkwiła gdzie indziej - nawet istniejące
pokoje nie wszystkie miały lokatorów; daleko było do tego. Goście przybywali co
prawda licznie, gdyż na północy zaczęły się już zamiecie śnieżne, lecz hotel
„Rafa Mew” przypominał dziurawe sito, które zatrzymywało jedynie część
przyjezdnych. Reszta wyciekała, pomstując na rozmaite niedogodności: awarie
prądu, braki wody, kapryśne toalety. Od wyjazdu Thora każdego dnia zdarzało się
mnóstwo drobnych awarii.

- Pękła cysterna! - jęknął głucho Norman w zagięcie swego ramienia. - Jakby mało
było innych nieszczęść! Założę się, że pękła cysterna, bo już kiedyś się to
stało po trzęsieniu ziemi.
- No cóż, jeśli nawet pękła, została załatana, czyż nie? - odrzekła Iris. -
Można ją załatać i teraz.
- Wiem i będę walczył -
oświadczył Paperman. - Nie poddam się tak łatwo. UWIELBIAM tropiki! - Podniósł
głowę, otarł zaognione oczy, wydmuchał zaczerwieniony nos i rzucił chusteczkę
higieniczną do kosza.
- Obejrzyjmy ten przeciek.

W klubie przebywał właśnie senator Pullman, który próbował naprawić instalację elektryczną

- na skutek awarii od dwóch dni jedna trzecia część hotelu była pozbawiona
prądu. Niektórzy goście podeszli do tego z humorem i brali do swych pokoi lampy
naftowe, traktując takie oświetlenie jako romantyczny akcent. Inni wyjechali
wściekli, oburzeni na to, że ich elektryczne maszynki do golenia i suszarki do
włosów stały się bezużyteczne. Przyczyny awarii pozostawały tajemnicą. Nowe
bezpieczniki przepalały się z trzaskiem zaraz po wkręceniu, syjąc iskrami i
wydzielając dym. Najgorsze było to, że wyłączony z użytku obwód zasilał pompę,
więc brak prądu oznaczał brak wody. Próby przełączenia pompy na inny obwód
kończyły się przepaleniem korków w pozostałych obwodach hotelowej instalacji
elektrycznej, toteż Norman zabronił senatorowi dalszych tego rodzaju
eksperymentów, dopóki nie zlokalizuje uszkodzenia. Anatone wynalazł gdzieś,
wypożyczył za drogie pieniądze i przywiózł na wyspę wielki stary generator na
benzynę, który podłączył do pompy. Przedpotopowa prądnica dudniła teraz i sapała
na tyłach hotelu jak wjeżdżająca pod stromą górę ciężarówka z przyczepą,
wydzielając kłęby spalin (doprowadziło to do wyjazdu kilku kolejnych gości,
którzy zajmowali pokoje od tyłu), dostarczała jednak prądu pompie, a pompa
zaopatrywała hotel w wodę.

Senator i jego młody uczeń dołączyli do Normana i Iris i wspólnie obejrzelili
długą zygzakowatą szczelinę w ścianie zbiornika. Ilość wypływającej wody nie
była na razie wielka, liczne strumyki tryskały jednak pod sporym ciśnieniem i
spadały na ziemię połyskliwymi łukami.

- Pytanie brzmi - zastanowił się Norman - co teraz robić?

Senator poskrobał się w głowę. Miał na sobie garnitur w stylu Palm Beach i
złoty, elegancki krawat, ponieważ, jak wyjaśnił Papermanowi, o jedenastej
przerywa reperowanie instalacji elektrycznej, musi bowiem wziąć udział w
posiedzeniu parlamentu.
Paperman nie potrafił odgadnąć,

na czym polega wkład senatora w naprawę instalacji, Pullman bowiem stał przeważnie z boku i przyglądał się tylko, jak jego czeladnik wpełza w mroczny labirynt piwnicy, aby wzniecać w różnych jej punktach przerażające iskrzenia. Rozmawiali między sobą w wyspiarskiej odmianie angielszczyzny, zadziwiała przy tym umiejętność senatora do przeskakiwania wedle potrzeby na gładką, pełnosylabową wymowę kontynentalną.

- Kłopotliwe pytanie - orzekł Pullman. - Kiedy ostatnio przypływała barka z Gwadelupy?

- Wczoraj.

- Więc ma pan pełny zbiornik.

- Po brzegi. Mieliśmy ulewę, toteż potrzebowaliśmy wszystkiego trzysta pięćdziesiąt tysięcy litrów. Za radą Lorny dałem kapitanowi napiwek w wysokości pięćdziesięciu dolarów.

Senator kiwnął głową.

- Bardzo roztropnie, po

kupiecku. - Obrócił się do swojego ucznia i powiedział coś, co zabrzmiało jak: - Dżo u bobyecz dżo żbornyk szt terasz pełn?

Na co uczeń odpowiedział z błyskiem w oczach i wesołym śmiechem:

- Ak myszle. Ta czym sza ba busza wala kosza mug. Bera tera czysztor.

- Tak właśnie myślałem -

przypadł senator. - Panie Paperman, obawiam się, że musi pan natychmiast wypuścić ze zbiornika całą wodę.

- Co takiego? Dlaczego, na miły Bóg?

- Ta ściana jest poważnie uszkodzona. Mur ceglany jest szczególnie podatny na naprężenia statyczne. Masa zawartej w zbiorniku wody jest ogromna, istnieje więc niebezpieczeństwo, że wyważy ścianę. Gdy to zaś nastąpi, znaczna część pańskiego hotelu po prostu się zapadnie i zostanie pan właścicielem gigantycznej ruiny. Musi pan wypuścić wodę i jak najszybciej naprawić cysterne.

Do głębi wstrząśnięty Norman zdołał tylko wystękać:

- A nie wystarczyłoby

zatynkowanie jej od zewnątrz?

- Szy mega tynka tera kula a sztyba, co? - zwrócił się senator do swojego ucznia.

- Nie, kera tynka szura nycz neda.

- Nie, będzie dalej

przeciekał. Trzeba go zreperować od środka - rzekł senator do Papermana i wskazał na sterczący u podstawy muru ogromny kran. - Oto pański zawór bezpieczeństwa. Radzę, żeby go pan niezwłocznie otworzył, jeśli chce pan ocalić fundamenty.

Norman spojrział z rozpaczą na Iris, ale ona wzruszyła tylko ramionami.

Po wszystkich trudnościach, jakie miał z napełnieniem cysterny, zważywszy kwoty, jakie wydał na zdobycie tych kilkunastu tysięcy litrów awaryjnego zapasu, łatwiej by mu chyba było otworzyć sobie żyły i wykrwawić się na śmierć, niż odkręcić ten zawór. Uczeń senatora przypominał mu jednak swą potulnością i bełkotliwą wymową utraconego Gilberta. Ten chłopiec mógł się naprawdę znać na podobnych zbiornikach.

- Trudno! - powiedział

zbołałym głosem. - Otwieraj zawór, synku.

Zardzewiałe mosiężne kółko nie dawało się odkręcić. Uczeń senatora napierał na nie jednak z całej siły, aż pod lśniąca czarna skórą napięły się postronki mięśni, i nagle z rury trysnęła lśniąca struga grubości męskiego ramienia i poleciała nad plażą, by dopiero po jakichś siedmiu metrach załamać się i spaść

na piasek. W mgnieniu oka utworzyło się w tym miejscu bajorko, z którego woda pociekła dalej strużkami do morza.

Senator Pullman uśmiechnął się i mruknął z podziwem:

- Widzi pan, jak bucha?

Norman odwrócił oczy od tego straszliwego, huczącego marnotrawstwa i przyglądał się przez chwilę pękniętej cysternie. Naraz przyszła mu do głowy pewna myśl.

- Proszę spojrzeć, panie

senatorze! Niech pan zwróci uwagę, dokąd sięga to pęknięcie!

Wskazał szczelinę, przez którą wyciekała woda. Zaczynała się nie na poziomie ziemi, lecz w pobliżu szczytu ściany i biegła w dół przez mniej więcej dwie trzecie jej wysokości. Poniżej mur pozostał cały i nie naruszony, takie przynajmniej sprawiało wrażenie.

- Czy naprawdę muszę opróżnić cały zbiornik? Nie można by wypuścić wody tylko do tego poziomu, poniżej którego zbiornik sprawia solidne wrażenie? Zniknęłoby ryzyko runięcia całej konstrukcji, a moi goście mieliby wodę do czasu, aż ściągnę murarza. Opróżniając teraz cysternę, opróżniłbym i hotel.

Iris spojrzała na senatora Pullmana, senator Pullman popatrzył na swojego terminatora, ów zaś wlepił w Papermana spojrzenie pełne trwożnego podziwu, jakby ujrzał konia, który nagle otworzył pysk i przemówił.

- Szo dobra mysl! - orzekł następnie całkiem zrozumiale. - Powynno działać.

- Eureka! - zawołała Iris. - Genialnie proste!

- Oto prawdziwie pomysłowe podejście do sytuacji awaryjnej

- ocenił senator Pullman. - Oto sposób myślenia właściwy ludziom sukcesu na

Kinji. Moje gratulacje, panie Paperman! Tak się szczęśliwie składa, że Anatone jest dobrym murarzem. Gdyby sam nie mógł, w najgorszym razie kogoś panu znajdzie. Tak więc nie ma pan już zasadniczo żadnych kłopotów, jeśli nie liczyć przyczyny tego małego spięcia. Ja, niestety, muszę już państwa opuścić i udać się na posiedzenie izby.

Co powiedziawszy, senator oddalił się, zabierając ze sobą czeladnika, a Paperman i Iris zostali na miejscu i przyglądali się, jak woda tryska z szumem ze zbiornika i żłobi coraz głębszy kanion w piasku plaży.

- Muszę pamiętać, żeby w

odpowiednim czasie zakręcić ten zawór - mruknął Norman. - Niech policzę: przy czterdziestu litrach na sekundę, a z pewnością nie tracimy aż tyle, opróżnienie cysterny trwałoby dobrych kilka godzin.

- Wiesz, Norm, stałeś się takim zaradnym mężczyzną, że gdybyś tylko co chwila nie powtarzał „poszłem”, mogłabym się chyba w tobie zadurzyć.

- Zamilcz, okrutna! -

rozkazał. - Spotkajmy się u ciebie za kwadrans, co?

Popływamy sobie.

- Zgoda.

2

Lorna czekała na szefa w recepcji z plikiem listów w ręku. Większość kopert zawierała rachunki do zapłacenia; Norman wyszukał te ofrankowane znaczkami poczty lotniczej, i znalazł jeden od Henny i drugi od Atlasa.

- Pod dwudziestym siódmym siałała sie ubikacja - raportowała Lorna.

1 1 64 0 2 108 1 ff 1 32 1

- Boże! To już trzecia tego rana!

- Pani powieziała, że się wiplowadziom, jeśli nie żaćnie ziałać do dwunaśtej. Sipominam panu, że ma pan odeblać pięć gości ś południowego siamolotu.

- Tak, pamiętam. Coś jeszcze?

Może masz dla mnie jakąś dobrą wiadomość?

- Panna Buckley cieka na pana w biuzie.

- A kto to taki?

- Uziędnićka ś uziędu

imigracyjnego - wyjaśniła Lorna, zrobiwszy wyjątkowo nieprzyjemną minę.

Powietrze w ciasnym biurze stało się nieco znośniejsze, ponieważ uczeń senatora Pullmana wybił dziurę w grubej ścianie z cegły i zainstalował w niej grzechoczący, skrzypiący wentylator. Przedstawicielka urzędu imigracyjnego usiadła dokładnie na linii szumiącej strugi powietrza. Panna Buckley była młoda, dość korpulentną Murzynką o bardzo ciemnej skórze i całkiem niebrzydkiej twarzy, zeszpeconej jednak opuszczonymi kącikami złośliwie zmrużonych oczu i grubymi, pogardliwie wydętymi, uszmkowanymi na karminowo wargami. Ubrana była w fioletową sukienkę i czerwony żakiet. Otwarta teczka stała oparta o nogę krzesła, na którym panna Buckley siedziała, trzymając na kolanach założonych jedna na drugą nóg kilka skoroszytów i w jednym z nich pisząc coś długopisem. Nie zwróciła najmniejszej uwagi na przybycie właściciela. Ponieważ jej nogi tarasowały mu przejście, musiał czekać, aż skończy, tymczasem ona pisała i pisała, często wzdychając przy tym głośno i kręcąc głową.

- Przepraszam - bąknął w końcu.

Panna Buckley obrzuciła go wyniosłym, wsgardliwym spojrzeniem, jakby bluznął właśnie stekiem najobrzydliwszych przekleństw, cofnęła jednak stopy.

Prześliznął się obok niej i usiadł za biurkiem. Urzędniczka pisała dalej.

- Przepraszam - odezwał się Paperman po kolejnej długiej chwili oczekiwania. - Czym mógłbym pani służyć?

Panna Buckley zwróciła na niego surowe spojrzenie pełne najgłębszej odrazy.

- Ona wczają tu jeszt - warknęła.

- Słucham? Kto taki?

Urzędniczka machnęła tekturową teczką.

- Ona. Któż by inny?

- Czy mogłaby mi pani

wyświadczyć tę przysługę i wymienić z nazwiska osobę, o którą chodzi?

- Ta ciężarna dziewczyna z Nevisz. O niom mi chodzi. Esm~e Caroline de Quincy. Ona wczają tu szedży.

- Zgadza się. Czy coś jest nie w porządku z jej dokumentami?

- Nie chodzi o jej dokumenty, chodzi o nią szama. Esm~e Caroline de Quincy muszy sztađ wyjechacz albo jej praczodawcza ponesze czałą odpowiedzialnoszcz.

- Odpowiedzialność za co?

Muszę przyznać, że kompletnie mnie pani zaskakuje.

Panna Buckley wprowadziła go tonem wsgardliwego zniecierpliwienia w problem Esm~e de Quincy.

Esm~e była obcokrajowcem, poddaną brytyjską. Ciężarne cudzoziemki na Karaibach od dawna próbują za wszelką cenę dostać się na pierwszą lepszą amerykańską wyspę, żeby tam wydać na świat swe potomstwo,

ponieważ prawo automatycznie
nadaje takim dzieciom
obywatelstwo Stanów
Zjednoczonych. Narodowość
rodziców nie odgrywa w tym
wypadku żadnej roli; wystarczy,
że nowo narodzony wyjdzie z
łona matki na ziemi
amerykańskiej. Urząd
imigracyjny, który od lat
próbuje powstrzymać położnicze
omijanie kontyngentów
imigracyjnych, uważnie
obserwuje Esm~e i z jego
obliczeń wynika, że czas połogu się zbliża, więc panna powinna niezwłocznie
wyjechać.

Zmieniwszy ton na jeszcze groźniejszy panna Buckley oświadczyła, że nabywając
hotel Paperman podpisał dokument, w którym wziął na siebie pełną
odpowiedzialność za swoich cudzoziemskich pracowników. Jeśli Esm~e zdoła
urodzić dziecko na Kinji, jej potomek uzyska legalnego ojca w osobie Normana
Papermana. Spocznie na nim wówczas obowiązek utrzymywania dziecka i matki, by
nie stanowiły ciężaru dla budżetu wyspy, który to obowiązek wygaśnie dopiero
wraz ze śmiercią jego samego bądź członków nowej rodziny. Odtąd wszystkie
kontakty Esm~e i jej potomka, od kołyski po grób, z instytucjami rządowymi -
placówkami opieki społecznej, zakładem ubezpieczeń, szkołą, policją i armią -
będą odbywały się za pośrednictwem i z osobistym udziałem Normana Papermana,
który uczynił z mającego się narodzić osobnika pełnoprawnego obywatela Stanów
Zjednoczonych.

Ta zapowiedź śmiertelnie Normana przeraziła. Jeśli choćby tylko cząstka
usłyszanych gróźb była prawdą - a z pewnością nie wszystko należało uznać za
małostkowe urzędnicze szykany - Esm~e urastała niespodziewanie do rozmiarów
największego zagrożenia, jakie nad nim dotąd zawisło na Kinji. Paperman niemal
skulił się pod groźnym spojrzeniem panny Buckley i zapewnił ją, że niezwłocznie
podejmie wszelkie kroki, by takiemu niebezpieczeństwu zapobiec. Jego pokorna
postawa sprawiła, że pracownica urzędu imigracyjnego rozchmurzyła się, a nawet
rozpromieniła, jak po wypiciu szklanki mocnego wina. Jej oczy rozbłysły, a na
karminowych wargach zaigrał uśmiech. Schowała tekturowe teczki i oświadczyła
Papermanowi jak najuprzejmiej, iż urząd imigracyjny w jej osobie wita go na
Amerigo i jest zawsze do jego usług. Po czym oddaliła się, kokieteryjna i
uwodzicielska.

Paperman natychmiast po jej wyjściu wezwał do biura Lornę i poprosił, by
powiedziała mu wszystko, co jej wiadomo na temat panny Buckley. Odpowiedź Lorny
była krótka i pełna nie skrywanej pogardy.

- Ona się na nicim nie zna.

To śtłaśna jędzia, a gupia jak but. Niech się pan nią nić nie siejmuje. Niech
nią pan sobie nie zawlacia głowy, sienatol Pullman siśtko ziałatwi.

Następnie Lorna rozwinęła
temat. Okazało się, że panna

Buckley była dziewczyną
senatora Orrina Eastera,
głównego przeciwnika

politycznego senatora Evena Pullmana. Obaj senatorowie byli republikanami. Jeden
przewodził partii Orlich Republikanów, drugi Słoniowych Republikanów. Od czasu
wyboru Eisenhowera w roku 1952 wszyscy senatorowie na Amerigo zostali
republikanami. Za prezydentury Trumana jedna partia nosiła nazwę Liberalnych
Demokratów, druga Wolnych Demokratów.

Norman nie tylko tego w
polityce kinjańskiej nie
pojmował, zrozumiał jednak, że
w grę nie wchodziły żadne
istotne różnice programowe,

liczyło się naprawdę tylko jedno: który z dwóch rywalizujących klubów rozda rządowe posady. Obecnie władzę nieznaczoną większością głosów sprawowali Słoniowi Republikanie Pullmana, nie odżegnując się jednak od zawierania przyjaznych roboczych kontaktów z Orlimi Republikanami, dzięki czemu między innymi Christophine Buckley uzyskała posadę w Urzędzie Imigracyjnym, uważaną za szczególnie atrakcyjną, ponieważ należała do stanowisk federalnych. Christophine, ciągnęła z niechęcią Lorna, wydalono ze szkoły średniej, gdy mając lat czternaście powiła bliźnięta senatorowi Easterowi. Od tamtego czasu pełniła różne funkcje rządowe, pracowała w opiece społecznej, poradni życia rodzinnego i zdrowia psychicznego, aż dochrapała się obecnego stanowiska.

Tę chaotyczną opowieść doprawiono zbyt wielką dozą kobiecego jadu, by Paperman mógł dać jej wiarę bez zastrzeżeń. Jedyną pociechę znalazł w pogardliwym zapewnieniu Lorny, że Esm~e dzieli od rozwiązania jeszcze co najmniej sześć tygodni.

Skwapliwie uchwycił się tej wiadomości. Wygląd ciężarnej istotnie nie wróżył szybkiego porodu. Norman postanowił mieć na oku jej brzuch i wydalić ją z klubu zaraz po Bożym Narodzeniu. Na razie bowiem była mu bardzo potrzebna. Esm~e była dobrą, czystą dziewczyną, chyba najlepszą z całego personelu, nieformalną kierowniczką zespołu sześciu pokojówek z Nevis.

Paperman pozwolił Lornie odejść i zabrał się za lekturę listów z kraju. List od Henny zawierał, generalnie biorąc, wieści pokrępowane. Bóle ustępowały, a lekarze zgodnie przypisywali je obecnie nerwom.

Nowy Jork, ogarnięty przedświąteczną gorączką zakupów, był szkaradnie zimny, zatłoczony i brudny.

Postanowiła nieodwołalnie, że obie z Hazel przyjadą w przyszłym tygodniu.

Na ostatniej stronie listu znalazł jednak nowinę wstrząsającą.

„Nie wiem, jak ci to zakomunikować, ale przy twoich kłopotach sercowych taka niespodzianka mogłaby cię zabić, więc lepiej, żebyś został ostrzeżony. Na Boże Narodzenie na Amerigo wybiera się z nami pan Dopust! Nie pytaj mnie tylko, po co i dlaczego. Nie pytaj, co teraz robić. Sama jestem kompletnie roztrzęsiona. Hazel udaje uszczęśliwioną, ale głowę bym dała, że nawet ona jest lekko poirowana. Jak ci doskonale wiadomo, nasza kochana córuchna uwielbia zabiegać

o względy ukochanego. Znudzili ją ci wszyscy rówieśnicy z college'u, którzy wzdychali do niej nieszczęśliwie, wolała sama uganiać się za starszym od siebie. Kluźatko zapewnia co prawda, że w święta będzie kończył rozprawę o tej ciocie Balzacu, więc wątpi, czy w ogóle będzie się z Hazel widywał, wyjąwszy kapiólkę od czasu do czasu.

Lecz choć nasza córka jest patentowaną oślicą, nie przestała być przecież prawdziwą kobietą i nie da się nabrać na taką gadaninę. Twój kopnięty znajomy z Amerigo przyćmił nieco blask pana Dopusta. Hazel to czuje i daje to również odczuć Sheldonowi. A próżność pana Kluga, podobnie jak próżność każdej zakutej pały, która nosi spodnie, nie pozwoli na takie upokorzenie. Jego jedyną szansą byłoby udawanie obojętności, tymczasem ten przekłety głupiec zamierza za Hazel gonić! Wierz mi, kochanie, mam przeczucie, że zbliża się upadek Sheldona Kluga, więc zaciśnij mężnie zęby, bo ten jego wyjazd może nam przynieść ocalenie!"

List od Lestera został napisany na maszynie, na wyjątkowo grubym, kremowym, wytłaczanym papierze firmowym Spółki Inwestycyjnej Atlasa.

„Drogi Normanie!
Dzięki za uprzejmą informację o sytuacji w Zatoce Krabów na Amerigo. Byłbym tym zainteresowany. Zechciej powiadomić bank o moim stanowisku.

Z powodu wyczerpujących negocjacji w sprawie tego interesu w Montanie i częstych podróży samolotem jestem zupełnie wypompowany, postanowiłem więc spędzić święta w klubie „Rafa Mew”. Bądź tak dobry i zarezerwuj dla mnie najlepszy apartament.

Pozdrawiam cię
jak najserdeczniej.”

Ledwie Paperman, ugodzony niby strzałem z dwóch luf tak niedobrymi nowinami - Lester Atlas na przyjęciu Tilsonów sprawiał wrażenie czynnika równie groźnego jak lampa lutownicza w prochni! - przyszedł trochę do siebie, w drzwi biura wsadziła głowę Lorna.

- Plosie pana, ci naplawił pan juś siedes pod dwudzieśtkom sióśtkom?

- Słucham? O Boże,
zapomniałem! - Zerknął na zegarek. - Muszę teraz wyjechać po gości na lotnisko.
- Ci gosie sie oblaziom, i wyplowazio, plosie pana, a jes ich as ćwolo.

Paperman wypadł z biura i pognał po schodach na górę. Kiedy przed paroma tygodniami - to znaczy całe wieki temu - po raz pierwszy oglądał hotel w towarzystwie Lestera, te schody wydawały mu się śmiertelnym zagrożeniem dla jego zdrowia, przyrzekł sobie, że będzie zawsze wstępował po nich z największą ostrożnością.

Obecnie pokonywał je susami po dwa stopnie, niemal tego nie zauważając, rzadko bowiem zdarzało mu się wchodzić na górę w sytuacji innej niż nagła. Ilekroć to czynił, serce biło mu jak oszalałe, Norman był jednak zbyt zagoniony, by pieścić się ze swoim sercem, i w miarę upływu czasu palpitanie jakby stopniowo słabły.

Pobiegł do brudownika, chwycił przepychacz i puszkę z jakimś zabójczym proszkiem i wpadł do pokoju numer 26, otworzywszy drzwi kluczem uniwersalnym. Przelewający się sedes i łazienka przedstawiały obraz wyjątkowo obrzydliwy, cuchnęły zaś ponad wszelką miarę. Norman Paperman, wybredny, wyrafinowany esteta z Manhattanu, Norman Paperman, człowiek nawykły do „egzystencji kaszmirowej”, Norman Paperman, który do czasu gdy się przeniósł w tropiki, nie zniżał się nigdy do wykonywania jakichkolwiek czynności bardziej przyziemnych od otwierania otwieraczem konserw, tenże Norman Paperman taplał się teraz bohatercko w cuchnących kałużach, przez jakiś czas szturmował przepychaczem chlupiącą breję, po czym wrzucił do sedesu zawartość puszek ze żrącą substancją. Zagulgotało straszliwie, zakipiało, buchnęły jakieś opary i dym. Znosił mężnie wszystko, nawet porażający smród, póki nie upłynął czas wymieniony na opakowaniu, a wtedy spuścił wodę i uciekł do sąsiedniego pokoju. Nie usłyszawszy chlustu wybuchających nieczystości wrócił do łazienki, zajrzał do muszli sedesowej i ujrzał cicho szemrzący strumyczek czystej wody. Zawołał pokojówkę, polecił jej wytrzeć podłogę, po czym pojechał na lotnisko, dumny z siebie, jakby napisał najpiękniejszy sonet.

3

Należało się spieszyć. Nic bardziej nie wyprowadzało gości z równowagi ani nie nastrojało ich gorzej wobec klubu niż konieczność czekania choćby przez kilka minut na rozpalonym południowym skwarcie lotniska, zwłaszcza wtedy, gdy spotkali się już z niewytłumaczalnym bojkotem ze strony taksówkarzy.

Paperman chętnie by skapitulował wobec tego

związkowego ostracyzmu, ale na razie nie było sposobu na wycofanie prospektów reklamowych Amy Ball z fatalnym wstępnym zapewnieniem: „Od pierwszej chwili, od przylotu na lotnisko na Amerigo, gdzie powitam Państwa osobiście, wasze wakacje na Rafie Mew nie będą pobyt w zwyczajnym hotelu w tropikach, lecz wizytą w eleganckim i przyjaznym domu starych przyjaciół”.

Zobowiązanie podobne do doktryny Monroe'ego. Norman musiał, przynajmniej w tym sezonie, borykać się z błędami dawnej polityki.

Jechał przez senne, wyludnione w porze południowej sjeisty miasteczko. W polu widzenia miał tylko jeden pojazd: czerwoną taksówkę, sunącą ulicą Księcia Walii najpewniej również na lotnisko. Gdy zniknęła mu z oczu za rogiem, Norman przyspieszył, a pokonawszy zakręt zobaczył z przerażeniem, że czerwona taksówka zatrzymała się kawałek dalej w wąskiej uliczce, a jej kierowca gawędzi wesoło z jakąś ładną dziewczyną na chodniku. Norman nadepnął pedał hamulca, rover zaczął hamować z przeraźliwym piskiem opon i stuknął w kufer taksówki. Paperman uderzył głową w przednią szybę auta i stracił przytomność.

Kiedy ją odzyskał, leżał na rozpalonym słońcem chodniku w otoczeniu tłumku gapiów, wśród których wyróżniał się komendant policji w mundurze ozdobionym złotym łańcuchem, z ogromnymi pistoletami u pasa. Norman usiadł, a następnie chwiejnie dźwignął się na nogi.

- Ostrożnie, proszę pana - poradził komendant, biorąc go pod rękę.

Paperman zapewnił, że nic mu się nie stało, i chyba rzeczywiście tak było. Stracił przytomność po prostu w następstwie szoku. Samochód również nie został poważnie uszkodzony, mimo to Norman dopiero po kwadransie zdołał ruszyć w dalszą drogę, komendant policji uparł się bowiem, że należy sporządzić drobiazgowy protokół wypadku.

Łagodnie zbeształ taksówkarza za zatrzymanie się na środku jezdni dla odbycia pogawędki ze znajomą. Takie nagłe postoje należały na Kinji do powszechnego zwyczaju i Norman widział niedawno na własne oczy, jak komendant policji, siedząc za kierownicą srebrzystego, nowiuteńkiego wozu patrolowego, zachował się podobnie. Ponieważ jednak kodeks drogowy formalnie tego zabraniał, a taksówkarz przyznał, że zatrzymał się „na małą chwilunię”, żeby się przywitać z siostrą swej dziewczyny, komendant policji był zmuszony wlepić mu mandat; drugim ukarał Papermana za nieostrożną jazdę. Dopiero wtedy Norman mógł pomknąć dalej asfaltową szosą, ujętą w szpaler zielonej trzciny cukrowej. Jechał tak szybko, jak mu na to pozwalało odczuwane wciąż jeszcze oszołomienie, wdzięczny losowi za to, że przednia szyba land rovera jest tak gruba, dzięki czemu nie przeleciał przez nią, narażając się na poderżnięcie gardła. Oto jeszcze jedno małe, skrywane przed ogółem niebezpieczeństwo, jakiego trzeba się wystrzegać, przebywając w raj, pomyślał.

Rozdział ósmy

Lionel

1

Miły Boże, Lionel! -
wykrzyknął mimo woli Paperman
na cały dworzec lotniczy. W
natłoku wydarzeń związanych z
trzęsieniem ziemi i jego
następstwami, na śmierć
zapomniał, że jednym z
zapowiedzianych gości jest zielonolicy inspicjent Dana Freeda. Oto siedział tam,
w cienistym kącie, z jakimś starszym małżeństwem i dwiema paniami o wyglądzie
nauczycielek. Nie licząc tej gromadki, buchający żarem budynek portu lotniczego
ział pustką.
- Siemasz, Norm! Oto piątka kandydatów do klubu „Rafa Mew”!
Słuchaj stary, ty wprost
tryskasz zdrowiem!

Przybysze, mimo długiego czekania, byli w doskonałych humorach, ponieważ Lionel
umilał im czas opowiadaniem anegdot teatralnych. Nawet gdy już siedzieli w land
roverze, który podskakując i sapiąc na biegnącej wzdłuż wybrzeża szosie zmierzał
do Georgetown, zasypywali go pytaniami na temat gwiazd Broadwayu.
Wkrótce jednak zaczęli
wznosić - typowe dla
przyjezdnych - okrzyki zachwytu nad urodą Amerigo. Nawet Norman, choć tak
wyczerpany i wyzbyty złudzeń, patrzył z podziwem na zielone wzgórza,
błękitnoszmaragdowe morze, grę słońca i cienia na stokach dolin i zwaliskach
domów. Wręcz zdumiewające natomiast wrażenie wywarł ten krajobraz na Lionelu, w
którym trudno było wręcz poznać flegmatycznego robota zza teatralnych kulis.
Jego trupioblada twarz, niemal zielonkawa, niczym zgłiwiałały ser, pozostała nie
zmieniona, podobnie jak długie, proste i bezbarwne włosy oraz złożone w ciup
usta starej dewotki, ale jego zachowanie zmieniło się nie do poznania: śmiał się
uszcześliwiony, perorował piskliwie z radosnym ożywieniem i wskazywał pozostałym
cuda szczególnie godne zobaczenia, bowiem jako jedyny z całej piątki odwiedził
już kiedyś Amerigo.
- Wiesz, Norman, jesteś
największym cwaniakiem, jakiego w życiu spotkałem! Toż to istny raj, jak
stworzony dla mnie. Dla każdego zresztą, kto nosi pod czaszką choć jedną
półkulę. Proszę spojrzeć, pani StegÅmeyer. Popatrz, Susy! Widzicie tę ruinę?

To jest „Marzenie Charlotte'y”, rezydencja zbudowana rękami niewolników jeszcze przed narodzinami George'a Washingtona. A co powiecie na ocean? Widzieliście kiedyś podobne kolory?

Okrzyki zachwytu nad czerwonym fortem, arkadami domów, pomnikiem Ameriga Vespucciego wśród różowych i paśowych pnączy bugenwilii oraz żaglowcami w porcie, jakie wznosił Lionel na nabrzeżu, przypomniały Normanowi jego własne uniesienie, kiedy u boku Lestera Atlasa przemierzał po raz pierwszy ten brukowany plac. W opinii Lionela gondola była bajeczna, a co się tyczy Virgila, został uznany za postać bardziej malowniczą od ubranych w historyczne stroje strażników londyńskiego Tower.

- Powiedz mi, gondolierze - zapytał inspicjent Dana Freeda, gdy przeprawiali się przez cieśninę - czy umiesz śpiewać weneckie piosenki?

- Piofenki, płołę pana? Nie, płołę pana, nie umiem fpiewać piofenek - odrzekł Virgil, kierując uśmiech mniej więcej dwa metry w lewo od Lionela. - Ale prafuję na dwie fmiany.

- Co proszę? - Lionel

poszukał pomocy u Papermana. - Ach, już rozumiem! „Pracuję na dwie zmiany!” Cudownie! Dan zwariuje, kiedy to wszystko zobaczy. Wzleci do siódmego nieba i już tam zostanie. - Wyjaśnił, że producent wysłał go na jednodniowy rekonesans, żeby przyjrzał się klubowi „Rafa Mew” i, jeśli mu się spodoba, zarezerwował jedenaście miejsc na okres Bożego Narodzenia i Nowego Roku dla państwa Freedów i ich towarzystwa. - Już zdecydowałem! - oznajmił. - Hotel w porcie, bajecznie! Istne cud marzenie!

W czasie gdy nowi goście meldowali się w recepcji, Norman poszedł sprawdzić poziom wody w opróżnianym zbiorniku i stwierdził, że zostało jej jeszcze wiele. Wyciągnąwszy się na tłustej podłodze w kuchni i zajrzawszy przez szczelinę w klapie, mógł dojrzeć zygzakowate pionowe pęknięcia na wewnętrznej ścianie cysterny.

- Sheilo, bądź łaskawa

sprawdzać poziom wody co jakąś godzinę - poprosił kucharkę - i poślij kogoś, żeby zakręcił zawór, kiedy zbiornik opróżni się do mniej więcej jednej trzeciej.

- Topsisie, plosie pana. Panie Pej_pom, mam juś listę ziakupuf na psijencie pana Tilsona. Pomogła mi f jej ułożeniu kuchalka od Flancisia Drake'a. To balco dlogo wyjcie, plosie pana!

- Nie wątpię. Spotkajmy się w biurze po lunchu, Sheilo, a wszystko sobie omówimy, dobrze? Powiedzmy o trzeciej.

- Topsisie, plosie pana.

Lionel zjawił się wkrótce w barze i przysiadł do Normana. Z właściwym sobie darem do wtapiania się w tło zmienił szary garnitur i czerwony krawat, które upodobały go wcześniej do innych świeżo przybyłych, na krzykliwe szorty z madrasu i pomarańczową sportową koszulę, co upodobało go z kolei do typowego zasiedziałego na Rafie Mew gościa. Ramiona i nogi inspicjenta nosiły zwykły u nowo przybyłych szarawobiały odcień, jedynie jego oblicze wyróżniało się dziwnym zielonkawym tonem. Paperman podziękował w duchu losowi za to, że Lionel nie jest całkiem zielony, mógłby bowiem wzbudzić panikę wśród tubylczego personelu hotelowego, jako że w Indiach Zachodnich wciąż jeszcze, jak przed wiekami, dawano wiarę przesądom o żywych trupach.

Lionel poprosił Churcha o poncz rumowy i rozsiadł się na jednym z dwuosobowych barowych foteli.

- Ach, czuję się doprawdy bosko! - zawołał i z westchnieniem rozkoszy zapalił cygaro. - Wiesz, co ci powiem, Norm? Wciąż jesteś na ustach całego Nowego Jorku. Mówię poważnie. Żadna gwiazda żadnej hitowej sztuki nie wzbudza takiej zazdrości jak ty. Powoli przechodzisz do legendy. Stale o tobie myślałem przez ostatnie dwa tygodnie i cholernie się cieszę, że Dan dał mi okazję tu wyskoczyć.

Wiedziałem w ciemno, że twój hotel okaże się bombowy, ale Dan chciał, żebym się upewnił. Powiem ci prawdę: ja też dojrzałem już do porzucenia Nowego Jorku.

Dosyć się tam namieszkałem. Mam tego molocha powyżej uszu.

Dwadzieścia dziewięć lat, pięćdziesiąt trzy przedstawienia! Dosłownie już rzygam Broadwayem! Nie znasz tu jakiegoś pensjonaciku na sprzedaż? Niekoniecznie aż tak wytwornego jak twój, ale...

- Na miły Bóg, to niemożliwe!

Lionel??

Zbliżała się do nich Iris w białej bluzce z falbankami i niebieskich płóciennych szortach. Na mokrej głowie miała zielono_żółtą chustkę. W ręku trzymała szklanekę, której zawartość przypominała barwą coca_colę.

Lionel podniósł się, wlepił w nią wzrok i na jego twarzy rozlał się uśmiech prawdziwego szczęścia.

- Coś podobnego, Janet! Nie wierzę własnym oczom! Janet West! Boże złoty, co za niespodzianka!

Iris była prawie bez makijażu, więc mogła pocałować go w policzek, zamiast cmokać powietrze obok.

- Jak dawnośmy się już nie widzieli? Chwileczkę, kiedy się zdarzyła ta potworna kłapa z

Ibsenem? W trzydziestym dziewiątym? Norman, masz przed sobą najwybitniejszego inspicjenta na Broadwayu.

- Dziękuję, Janet. Boże

miłosierny, jesteś jeszcze piękniejsza niż kiedyś!

Iris usiadła na fotelu obok Lionela i zaczęli gawędzić jak starzy przyjaciele, choć Norman przypuszczał, że nie widzieli się od co najmniej dwudziestu lat.

- ~a propos - zwróciła się w pewnej chwili do Papermana - a co z naszym pływaniem? W końcu musiałam pływać sama jak palec.

- Przepraszam, Iris, ale

musiałem pojechać po Lionela. Wyobraź sobie, że ten człowiek jest na Kinji ledwo od godziny, a już chciałby tu kupić jakiś przytulny hotelik.

Iris parsknęła śmiechem.

- Czemu się śmiejecie? Mówię całkiem poważnie! - obruszył się Lionel. -

Sądzicie, że mnie na to nie stać? Żyłem oszczędnie. Ostateczne nie jestem aktorem.

- Powiemy mu - zwrócił się Norman do pani Tramm - czy pozwolimy mu nadal żyć złudzeniami?

- Co mi chcecie powiedzieć?

- Dalej - zachęciła Iris. - Powiedz mu!

Norman przystąpił do wyliczania plag, jakie na niego spadły; opowiedział Lionelowi o braku wody, awariach elektryczności, erotomanii Churcha, o Akersie, Anatone'ie, mrówkach i innych utrapieniach. Już niemal po pierwszym zdaniu jego opowieści Iris i Lionel wybuchnęli śmiechem. Ulegając instynktowi gawędziarza, Norman przedstawił swoje przygody, gwoli uciechy słuchaczy, od strony humorystycznej, której dotychczas jakby nie dostrzegał. Wkrótce Lionel zaczął pokładać się ze śmiechu na fotelu, rżał, kwiczał i ocierał oczy.

- Dosyć, Norm! Dosyć,

przestań, proszę cię! - wystękał podczas opowieści o przygodzie Papermana na ulicy Tysiąca Stopni. - Zmiłuj się, przestań, bo otworzy mi się przepuklina. Boże złoty, jeszcze nigdy się tak nie uśmieiałem! Norm, do końca życia będziesz miał o czym opowiadać w towarzystwie!

- No cóż, choć to może wydaje się śmieszne, ostrzegam cię, byś nie dał się zwieść urokom krajobrazu i woni czerwonego jaśminu. Życie tutaj nie jest usłane różami.

Lionel wyprostował się, jego zielonkawa, pomarszczona twarz przybrała zwykły, trochę przygaszony wyraz.

- Czy ja wiem, Norm... Zgoda, miałeś kłopoty, ale powiedz, wyjeżdżałeś kiedyś ze spektaklem na prowincję? Ja mam za sobą pięćdziesiąt trzy takie objazdowe trasy i muszę ci powiedzieć, że na początku zawsze wszystko się pieprzy. To, co ci się przytrafiło, musisz uznać za zwykłe, właściwe prowincji kłopoty, stary, ot i wszystko.

- Kinja jest straszną prowincją - oznajmił Paperman.

- Naprawdę straszną.

Gładząc z namysłem nos, inspicjent przyglądał się taksującym wzrokiem klientom baru.

- Pod jakim względem?

Przyznaję, że masz tu sporo ciot, Norm, ale poza tym...

Przypatrywał się właśnie grubemu Turkowi, który siedział przy sąsiednim stoliku w towarzystwie dwóch nadaśanych młodych mężczyzn; jeden z nich miał długie falujące, utlenione włosy, drugi - siwe, ostrzyżone krótko na jeża; jego fryzurę można by uznać za wyzywająco męską, gdyby nie była tak zadbana. Hassim był ożywiony i zachowywał się dość hałaśliwie. Norman rzeczywiście spostrzegł, że wielu przyjezdnych pedryli zawitało tego dnia na lunch do klubu „Rafa Mew”, zjechało też ze wzgórz paru miejscowych.

- Nie zauważyłem tego

wcześniej - rzekł. - Przyznaję, że wygląda to na jakiś popołudniowy zlot cweli. Czy dzisiaj nie przypadają przypadkiem urodziny Michała Anioła?

- Słuchaj, przepracowałem trzydzieści lat w show biznesie

- oznajmił rzeczowo Lionel. - Dla mnie takie widoczki to normalka.

Norman napotkał spojrzenie Hassima. Turek zerwał się od stolika i podszedł do nich tanecznym krokiem, przywodzącym na myśl entrechat w wykonaniu maciory.

- Witaj, Norman! Jak się masz Iris? Norman, ty wstręciuchu, coś zrobił ze swoją uroczą żoneczką? Odebrałem właśnie przesyłkę z Hong Kongu, pełną cudownych bibelocików, na które by się rzuciła jak wygłodniała wilczyca, jestem tego pewien.

Norman wyjaśnił, że Henny przyjedzie na święta Bożego Narodzenia.

- Cudownie, wspaniale! Już nie mogę się jej doczekać! - zawołał Hassim, składając wargi jak do pocałunku i zwracając je wymownie w stronę Iris. - Ty pewnie też, prawda, Norm? Ach, mój Boże, jakim okropieństwem jest kawalerski stan! - wykrzyknął i oddalił się w przegibach, przewracając wyłupiastymi oczami i podrygując w napadzie chichotek.

- O Chryste Przenajświętszy!

- zajęczał Lionel.

- Hassim ma naprawdę piękny sklep - oświadczyła Iris z poważną miną. - Można się też z nim cudownie potargować. Lubię tego Turka.

Następnie zaofiarowała się, że po lunchu obwiezie Lionela po wyspie i pokaże mu kilka pensjonatów. Inspicjent był wniebowzięty. Zapewnił, że przygnębiająca saga Normana ani trochę go nie zniechęciła.

- Nie pozwól mu tylko nabyć „Marzenia Hogana” - powiedział Norman do Iris.

2

- Wracając do tego zaworu, Sheilo... Mam nadzieję, że cysterna nie wyschła na wiór?

Sheila, ubrana w świeży biały fartuch, siedziała w chłodnym biurze ze skoroszytem pełnym dokumentów i rachunków w ręku. Zdjęła czapkę kuchmistrzynie, nie ociekała potem, a jej potargane zazwyczaj włosy były porządnie uczesane. Okazało się, że gdy jest wypoczęta, wygląda nawet ładnie, choć była stanowczo za gruba. W jej smutnych oczach błyszczała inteligencja.

- Ziawól ziaklęciłam około wpół do cieciej, plosiepana. Woda opuściła się poniziej ścieliny.

- Bóg zapłać, Sheilo! Jesteś moją prawdziwą ostoją. Słuchaj, zanim przejdziemy do omawiania przyjęcia państwa Tilsonów, chciałbym cię o coś zapytać. Pamiętasz Gilberta? Otóż Gilbert powiedział mi kiedyś, że po ostatnim trzęsieniu ziemi zreperował cysternę niejaki Hippolyte. Zdaje się, że ty już tu wtedy pracowałaś, prawda?

- Ofsiem, placiowałam, plosiepana.

- Znałaś tego Hippolyte'a?

Przytaknęła.

- Widzisz, przyszło mi do głowy, że zamiast najmować kogoś nowego, kto mógłby wszystko popsuć, byłoby rozsądniej wezwać ponownie tamtego fachmana.

Ku jego pełnemu zaskoczeniu oblicze kucharki zmieniło się nagle w groźną nieruchomą maskę, przywodzącą na myśl rzeźbę afrykańską. Podobnie kłopotliwe niespodzianki wciąż się zdarzały Papermanowi w relacjach z Kinjanami, lecz tym razem postanowił nie ustępować zbyt łatwo. Sprawa nie cierpiała zwłoki.

- Czy ten pan jest teraz na wyspie?

Potakujący ruch głowy.

- Czy jest rzemieślnikiem godnym zaufania?

Wzruszenie ramion.

- To sprawa życia i śmierci, Sheilo!

Żadnej odpowiedzi.

- Czym on się tu w klubie zajmował?

- Hippolyte lubił siśtko.

- Wszystko? Co to znaczy: wszystko?

- Siśtko naplawiał. Jak pan Tol. Umiał siśtko naplawić.

- Więc czemu, na litość

boską, nie zatrudnić go znowu?

Właśnie kogoś takiego

potrzebuję!

Patrzyła na niego groźna afrykańska maska.

- Hippolyte śmieśny.

- Śmieszny? Co to znaczy

„śmieśny”? Co w nim jest takiego śmiesznego?

Nastąpiła dłuższa pauza.

- Hippolyte jeś balcio śmieśny - rozwinęła swą opinię kucharka.

- Niech będzie, ale czy mogłabyś mi go znaleźć?

- Nie wiem, plosiepana.

- Czy sądzisz, że Gilbert potrafiłby go znaleźć?

- Nie wiem.

- Co on teraz robi?

- Ofi.

- Gdzie?

- Na moziu, plosiepana.

- Rozumiem. - Paperman

podniósł rękę w geście wyrażającym przyznanie się do porażki. Zresztą Kinjanie z reguły wygrywali w podobnych potyczkach. - Przejrzyjmy rachunki na to bożonarodzeniowe przyjęcie.

Drewniana maska zniknęła z twarzy Sheili, która zmieniła się w jednej chwili w zatroskaną, rezolutną kucharkę.

- Siłtko tu jeś ziapisiane, plosiepana. Rozmawiałam ś kuchalką ś gospody Flanciśka Dlake'a. Powiedziała mi, cio pan Tilsion bęcie pociebował.

Jadąc wzrokiem wzdłuż listy, Paperman zauważył przy niektórych pozycjach wielkie czerwone ptaszki.

- Co to znaczy, Sheilo?

- Te zięci bęcie pan musiał śplowadzić ś Nowego Jolku.

Leśtę dośtanę u nas na miejscu.

- Karczochy? Świeże truskawki?

- Żgadzia sie, plosiepana.

Takie lózne zięci. Plus ośtlygi i te wielkie śteki. Musiom być plośto ś Nowego Jolku, i to w najlepsim gatunku. Pan Tilsion jeś wielkim dziwakiem. Dał tej kuchalce śto tolarów napiwku - oznajmiła z nieśmiałym uśmiechem.

Następnie Sheila zapoznała szefa z własnymi planami na przyjęcie: zamierzała najać dodatkowe dziewuchy do kuchni, zatrudnić chłopców do obsługi.

Tilson lubi, żeby na jego

przyjęciach roiło się od

kelnerów. Łatwo będzie

zaspokoić te jego wymagania, dodała: połowa starszych uczniów miejscowej szkoły średniej posiada białe marynarki i czarne atlasowe spodnie w prążki i ochoczo korzysta z każdej okazji do ich przywdziania. Poza tym pan Tilson słynie z hojnych napiwków.

- A co zrobimy z gośćmi

hotelowymi, Sheilo? Przecież nie możemy nie podać im tego wieczoru kolacji. Poza tym na kilka godzin przed przyjęciem powinniśmy ich gdzieś przenieść, żeby nie płatali się pod nogami.

- Myślałam juś o tym, panie Pej_pom, i dośłam do wniosku, zie to duzi kłopot.

- I ja się nad tym

zastanawiałem, Sheilo. Co byś powiedziała na to, gdybyśmy zorganizowali dla nich osobne przyjęcie na wolnym powietrzu na tej zarosniętej małej plaży pod

„Błękitnym Domkiem”? Wiesz, tej, którą pani Ball nazwała „Plażą Zakochanych”?

Zorganizowalibyśmy tam bar,

serwowali za darmo drinki,

urządzili coś w rodzaju nocnego

przyjęcia na plaży? Czy

mogłabyś się tym zająć

niezależnie od przygotowań do przyjęcia Tilsonów?

Sheila wydeła w namyśle wargi, zmarszczyła czoło i gładziła podbródek.

- Myślę, zie to sie powinno udać, plosiepana. Myślę, zie to świetny pomys. Bęte pociebować więciej luci do pomoci, ale znam wielu, któzi się żgodzia. Plazia Ziakochanych jeś po długiej śtlonie Lafy.

- Dlatego właśnie o niej

pomyślałem.

- Topsisie, plosiepana, podejmę się tego. Powinno się udać.

Podczas rozmowy Norman robił naprędce obliczenia na marginesie spisu potrzebnych produktów. Według jego kalkulacji przyjęcie państwa Tilsonów powinno go kosztować ponad dwa tysiące dolarów. Oczywiście, jeśli wszystko poszłoby dobrze, odzyskałby te pieniądze z nawiązką. Tymczasem jednak tak znaczny wydatek miał pochłonąć niemal całe zasoby finansowe, przeznaczone na nowe pokoje, nie pozostawała żadna rezerwa na wypadki nagłe. Paperman posiadał nadal na koncie w Nowym Jorku około tysiąca stu dolarów, pochodzących z ostatnich wpłat od

klientów za wykonane usługi. Tamta suma stanowiła jednak niezbędne zabezpieczenie dla Henny i Hazel na najbliższe niepewne tygodnie.

Prawdopodobieństwo

niepowodzenia, gdy w grę

wchodziły dwa tak wielkie przyjęcia, było znaczne, a szanse na sukces zależały tymczasem od jednej tłustej Murzynki, o której Norman wiedział na dobrą sprawę tylko tyle, że była świetną kucharką.

Odczuwał ogromną wdzięczność wobec Sheili. Wolał sobie nawet nie wyobrażać, co by się z nim stało, gdyby wśród tylu złośliwości losu i wpadek, jakich doświadczył w czasie pierwszych dwóch tygodni hotelarskiej kariery, musiał się jeszcze martwić o wyżywienie swych gości. Dzięki Sheili mógł się w zasadzie w ogóle nie zajmować sprawami aprowizacji i wyżywienia. To ona kupowała produkty żywnościowe, ona kierowała kelnerkami, ona układała jadłospis. Paperman nigdy nie kwestionował przedstawianych przez nią rachunków, choć było ich wiele, a ich wysokość często wydawała mu się horrendalna. Wedle jego oceny, kucharka okradała go na potęgę, uznał jednak, że w ogólnym bilansie strat i zysków wychodził w najgorszym razie na zero. Nie umiałby powiedzieć, dlaczego ufa Sheili, Kinjance z krwi i kości, nieodgadnionej jak wszyscy tubylcy, ale jej jednak ufał. Co prawda nie miał innego wyjścia...

Pytanie brzmiało jednak, czy mógł na niej polegać w tej konkretnej sprawie, gdy chodziło o przeprowadzenie tak ambitnej i trudnej operacji? Aż za dobrze zdążył już poznać własną niekompetencję jako zarządcy hotelu i uznać gorzką prawdę zawartą w starym porzekadle o szewcu i kopycie. W ciągu minionych koszmarnych tygodni stał się dostatecznie uczciwy w ocenie samego siebie, by dojść do wniosku, że przenosiny na Karaiby były ekscentrycznym wybrykiem mężczyzny, przeżywającego kryzys wieku średniego, marzeniem na jawie, które umarłoby śmiercią naturalną nie wyrządzając nikomu szkody, gdyby nie podstępna zachęta ze strony Lestera Atlasa. Norman zabrał jednak w tę mrzonkę za daleko, by mógł się teraz wycofać. Już nigdy nie wrócić piękne chwile, jakie spędził na dowcipkowaniu w teatralnych restauracjach, jakie strawił w towarzystwie pięknych kobiet, których imion już nawet nie pamiętał. Nigdy nie zostanie kimś takim jak Atlas. Może w ogóle już nikim nie zostanie. Ale jest sobą, Normanem Papermanem, i musi opanować kryzys w klubie „Rafa Mew”. Czy miał zresztą inny wybór niż podejmować wciąż nowe ryzykowne kroki?

- Plosiepana, musiem juś

wlaciać do kuchni, ziebi się ziając ziupa.

Ocknął się i zdał sobie nagle sprawę, że Sheila przygląda mu się z zaciekawieniem; od dłuższej chwili wpatrywał się tępo w spis produktów spożywczych.

- Dobrze, Sheilo! Raz kozie śmierć! Zaryzykujemy.

Zorganizujemy dwa przyjęcia; państwa Tilsonów i drugie pod gołym niebem na Plaży Zakochanych!

- Topsie, plosiepana. -

Podala mu kolejną kartkę, którą

wyjęła spod spinacza

skoroszytu. - Puchalka ś

gośpody Flancisia Drake'a dała mi ten adleś w Nowym Jolku. Powieciała, zieby pan tam ziatelegrafował. Właśnie tam ziamawiała towal.

- To będzie udane przyjęcie, prawda, Sheilo? Wierzę, że wszystko pójdzie jak z płatką!

Kucharka zaniósła się tak serdecznym śmiechem, że aż zakolebała się na krześle.

- Ja teś w to wiezie, panie Pej_pom - zapewniła wstając.

Kiedy otwierała drzwi,
zapytał:

- A co z tym Hippolyte'em?

Spróbujesz mi go znaleźć? Nie pociągniemy długo na ćwiartce zbiornika, Sheilo... Jej wesołość rozwiała się jak dym.

- Hippolyte śmieśny - powtórzyła, zmarszczyła gniewnie brwi i wyszła.

Lionel wkroczył do baru tuż po zachodzie słońca. Dzięki swemu ubiorowi - szaro_różowej marynarce i jasnoniebieskim płóciennym spodniom - wtapiał się subtelnie w łunę zachodniej zorzy. Na zielonkawym obliczu inspicjenta, szczególnie na nosie i czole, wykwitły pasma opalenizny, co nadawało jego twarzy dziwny wygląd i czyniło ją podobną do niedojrzałego jabłka.

- Serwus, Norm! Jak na

człowieka tak zagonionego wyglądasz diabło spokojnie.

Klapnął na wolne krzesło obok Papermana, który siedział przy stoliku pod krzewem czerwonego jaśminu i gapił się na morze, obracając w palcach nóżkę kieliszka wypełnionego do połowy martini.

- Siemasz, Lionel. Miałeś udaną wycieczkę?

- Owszem. Janet pokazała mi pewne urocze miejsce popółnocnej stronie wyspy. Zatrzęsienie drzew mango i bananowców, a widok niewiarygodny! Tyle że wszystko zrujnowane, zarośnięte i aż roi się od pedryli...

- „Casa Encantada” -

stwierdził Norman.

- Zgadza się. Można by to jednak urządzić. - Skinał na Churcha i zamówił poncz rumowy.

- Ach, Norman, Norman, ta wyspa to istny raj! Prawdziwy raj na ziemi! Spójrz tylko na mnie! Widzisz tę opaleniznę?

Wystarczyły trzy godziny jazdy w kabriolecie z odsuniętym dachem! Lepszej nie dorobiłbym się nawet po tygodniu pobytu w Miami. A ten zachód słońca! Istne чудо!

- Przyznaję, że to miejsce ma swoje plusy - rzekł Norman. - Ostatecznie tu zamieszkałem.

- Plusy! Jesteś prawdziwym szczęściarzem, Norm - oświadczył Lionel. - Jesteś geniuszem w czepku urodzonym. Co za znakomity ruch! Nie znam nawet dziesięciu facetów w całym Nowym Jorku, którzy by się z tobą od ręki nie zamienili. Do licha, stary, od ciebie wręcz bije szczęście! Wyglądasz po prostu bosko, chłopie!

Norman uśmiechnął się lekko. Było istotnie prawdą, że tak dobrze jak w tej chwili nie czuł się od dnia przyjazdu. Wygrzał się na słońcu, popływał sobie trochę i uciał smaczną drzemkę. Oziębione martini, którego kieliszek trzymał w dłoni, zostało przyrządzone przez Churcha dokładnie tak, jak lubił. Wyglądało na to, że najgorsze już minęło; w każdym razie nikt nie obudził go rano łomotaniem drzwi, aby mu donieść o nowych katastrofach. Zazdrość Lionela przyjemnie Normana polechtała. Olbrzymi generator, dostarczający prądu pompie, rzeził i sapał na tyłach hotelu głośno jak ciężarówka Mack. Sama pompa dudniła miarowo pod podłogą baru. Podeszwy stóp Papermana stały się niemal jego drugą parą uszu lub oczu. Potrafił nimi wyczuć zatrzymanie się pompy, a nawet złowieszczy plusk wody ciekącej z uszkodzonego sedesu. Obecnie stopy donosiły mu, że wszystko funkcjonuje jak należy. W barze było gwarno i rojno. Podobnie w recepcji: tego dnia wpisało się na listę gości siedem osób, a żadna się nie wypisała!

- Powiedz mi, Norm - zagadnął go Lionel - czemu ktoś taki jak Janet West zaszywa się na Amerigo w ustronnym hotelu? Czy to nie dziwne?

Norman wzruszył ramionami.

- Ją samą o to zapytaj.

- Pytałem. Roześmiała mi się w nos i poczęstowała mnie bajeczką o zbieraniu materiałów do jakiejś książki. Srali muszki! Jaka tam z niej pisarka! A może w jednej z tych willi na wzgórzu mieszka jakiś bogaty facet, który ją utrzymuje albo czeka na rozwód?

Norman pokręcił głową. Co się tyczy Iris, miał chyba klapki na oczach, a w najlepszym razie był zaślepiiony, bo nie zastanawiał się nad takimi pytaniami, zaś w pierwszych gorących dniach po przyjeździe traktował jej obecność wyłącznie jako ulgę w strapieniu. Jego własne mętne domysły podpowiadały mu, że - podobnie jak Tilsonowie - po prostu „wycofała się” na Kinję i tylko dla pozorów opowiadała o pisaniu książki, co zresztą czyni tak wielu ludzi bezczynnych. Oczywiście była kobietą zagadkową. Często, szczególnie wieczorami w porze kolacji, znikwała gdzieś bez słowa. Norman odpowiedział więc Lionelowi z namysłem:
- Jedyne facet, jaki się koło niej kręci, to pewien płetwonurek z marynarki wojennej. Prawdę mówiąc to właśnie on nas sobie przedstawił. Ale to jeszcze żółtodziób; próbuje się zalecać raczej do mojej córki.
- Kto wie, może to właśnie stanowi rozwiązanie zagadki - rzekł Lionel. - W teatrze nauczyłem się jednego, że w tych sprawach nie ma rzeczy niemożliwych. Możliwe są absolutnie wszystkie konfiguracje, Norm. W dziedzinie odwiecznego ciupciana nic nie jest w stanie mnie zaskoczyć. Szczególnie gdy chodzi o tak ognistą klaczkę jak Janet... czy też Iris, jak ty ją nazywasz.

Lionel, który uwielbiał zakulisowe plotki, zaczął opowiadać o trzech mężach Iris, o jej szalonych wyczynach, z dwoma zamachami samobójczymi włącznie. Większości tych historii Norman dotąd nie znał. W ostatnich latach, ciągnął inspicjent, Iris podjęła rozpaczliwą próbę ułożenia sobie przykładowego pożycia małżeńskiego z Herbertem Trammem, nadętym, ponurym spekulantem na rynku nieruchomości w San Francisco. Niemożność zajścia w ciążę popchnęła ją jednak z powrotem w objęcia nałogu i Janet West na dobre zniknęła ze sceny. I oto teraz odnajduje się na Karaibach. Cholernie dziwne!
Jeszcze zanim Lionel skończył, Paperman położył mu dłoń na ramieniu i szepnął:
- Właśnie nadchodzą...
- Kto taki? - Lionel również ściszył głos do szeptu, a w jego wyblakłych niebieskich oczach zabłysła ciekawość.
- Iris ze swoim płetwonurkiem.
Inspicjent obejrzał się przez ramię.
- Hm, nie wygląda coś na supermena, prawda? Inna sprawa, że tego nigdy nie można wiedzieć, Norm, zapewniam cię. Czasami tacy drobni chudzielcy okazują się istnymi tygrysami na polu ciupciana.
Tamtych dwoje podeszło do stolika w rogu i Iris zaczęła coś mówić z gniewem, podczas gdy Cohn, który miał na sobie garnitur z gabardyny i zbyt jaskrawy niebieski krawat, siedział w milczeniu oparty łokciami o blat i palił cygaretkę. Ponieważ Norman gapił się na nich intensywnie, wyczuli jego wzrok. Iris rozchmurzyła czoło, pomachała z daleka ręką i uśmiechnęła się. Płetwonurek podszedł i zaprosił Lionela i Normana na kolację do ich stolika. Okazało się, że główne danie stanowi ryba, którą Bob własnoręcznie upolował - wspaniały graniec, upieczony w całości. Inspicjent był najwyraźniej niezwykle przejęty faktem, że spożywa rybę z ziejącą w boku raną po włóczni, Cohn zapytał go więc, czy nie

miałby ochoty wybrać się z nimi, to znaczy nim i Iris, nazajutrz rano na połów harpunem. Lionel omal nie krzyknął z radości. Do tego czasu zdążyli osuszyć trzy butelki wina, więc wszyscy sobie nieco podchmielili; w końcu wymogli i na

Normanie zgodę na udział w planowanej wyprawie.
- Jedziesz z nami, nawet nie ma o czym mówić - kategorycznie przesadziła sprawę Iris - choćby się tu jutro rano waliło i paliło!

Norman zdążył już niemal zapomnieć o pięknie podwodnej scenerii, jednym z cudów, jakimi uwiiodła go Amerigo. Nazajutrz rano Cohn wywiózł ich na środek Zatoki Pitta w gumowym pontonie, wypełnionym maskami do nurkowania i płetwami.

Karalusza Skała, do której przycumował, stanowiła w gruncie rzeczy czubek rafy koralowej, niemal niewidoczny nad powierzchnią morza.

Wysiadłszy na jej wierzchołku wyglądali śmiesznie, niczym ludzie, którzy daleko w głębi rozległej zatoki chodzą po wodzie. Za rafą zielonkawa toń wody zmieniała barwę na granatową, a dno oceanu, jak zapewniał Cohn, opadało stromym urwiskiem w otchłań blisko dwukilometrowej głębokości.

Rafa, zbudowana z różowych koralu w kształcie spiralnych kolumn i pieczar, była urzekająco piękna. Strzępiele, papugoryby i grańce z wybałuszonymi oczami przepływały przez arkadowe łuki wśród ruchliwych chmur maleńkich, jaskrawo kolorowych rybek. Lionela jednak te fantastyczne widoki nie całkiem satysfakcjonowały. Nalegał, by wypłynąć dalej, aby mógł opowiadać przyjacielom z Broadwayu, jak kapał się w wodzie głębokiej na prawie dwa kilometry. Normanowi nie uśmiechało się wypływanie na granatową, postrzępioną stromymi falami zatokę, nie myślał jednak zawracać, kiedy Iris śmigiała z gracją obok, a Lionel burzył wodę daleko w przedzie. Głębia przyprawiała Papermana o mdłości; czuł się tak, jakby spoglądał z dachu drapacza chmur, tyle że w dole nie było widać samochodów ani figurek ludzkich, nie widać było zresztą również ryb, dna morskiego, skał ani w ogóle niczego, prócz mrocznej granatowej otchłani, poprzecinanej zielonkawymi promieniami słońca. Nie minęło nawet pięć minut, gdy z lazuruwych mroków wyłonił się srebrzystoszary wrzecionowaty kształt i skierował się w stronę inspicjenta. Opalone na brąz ciało Cohna wystrzeliło naprzód. Burząc płetwami wodę, nurek wyprzedził Lionela i

zaczął dawać towarzyszom
gwałtowne znaki, by się
wycofali. Kiedy drapieźnik
podpłynął bliżej, Norman
dojrzał spiczasto zakończony
pysk, przerażające czujne
ślepie i skośne szczeliny z
boku szerokiej głowy. Potwór
przewinał się leniwie o metr od
Lionela i Norman dostrzegł
charakterystyczną
półksiężycowatą zębatą paszczę,
której opuszczone kąciki
nadawały wyraz wiecznego
rozczarowania. Oboje z Iris uciekli na Karaluszą Skalę i, ciężko dysząc,
wdrapali się na nią niemal jednocześnie.
Cohn ubezpieczał wracającego na rafę Lionela.

- Hej! I co wy na to? -

krzyknął rozemocjonowany inspicjent, jeszcze w wodzie zerwawszy maskę z twarzy.

- Rekin! najprawdziwszy

rekin, widzieliście? Chryste Przenajświętszy, ale się najadłem strachu! To było
absolutnie cudowne!

Widzieliście, jak blisko mnie
przepłynął? - Cohn wdrapał się
za nim na rafę. - Hej, dlaczego
pan tak krążył za mną z tyłu? -
zagadnął go Lionel. -

Słyszałem, że kiedy dać
rekinowi szcztka w nos, bestia odpływa.

- Faktycznie, ma pan rację - sapał Cohn. - Że też o tym zapomniałem! Mam kurza
pamięć.

Opanowując drżenie głosu Norman zapytał:

- Co on robił tak blisko

brzegu? Sądziłem, że rekiny trzymają się pełnego morza.

- To sprawa tutejszych

prawodawców - wyjaśnił Cohn. - Dawniej, jak słyszałem, zakopywano śmieci na
wyspie, ale kiedy Słoniowi Republikanie pokonali ostatnio Orlich Republikanów,
zarządzili w parlamencie dyscyplinę partyjną, przegłosowali ustawę nakazującą
wyrzucać śmieci do morza, i zakupili tę starą barkę desantową. Powinna wypływać
szesnaście kilometrów w głąb morza, ale facet, który nią dowodzi, cierpi na
chorobę morską, więc skręca tylko za Wielkiego Psa, żeby go nie było widać z
lądu, i tam wywala cały ładunek. Dziesiątki razy go na tym przyłapaliśmy, a ja
sam wielokrotnie musiałem płynąć przedzierać się przez dryfujące śmieci.
Wielkiego Psa opływa wschodni prąd, który niesie cały ten syf prosto do Zatoki
Pitta.

- Powinni więc zmienić
kapitana tej barki - zauważył Lionel.

- Nasz dowódca też im to

zasugerował - powiedział płetwonurek - na co usłyszał, że kapitan Pullman jest
niezastąpiony.

Po tym doświadczeniu Lionel
zadowolili się pływaniem przed
barierą rafy. Cohn dał mu
kuszę, po czym wszyscy troje
starali się trzymać jak
najdalej, gdy inspicjent

oddawał niecelne strzały w stronę niewzruszonych grańców. Po każdym strzale
Cohn przynosił harpun, nakładał go na kuszę Lionela i umykał z linii ognia.

Niefortunny myśliwy stał się obiektem złośliwych uwag swoich towarzyszy, ale w

końcu położył kres ich żartom, trafił bowiem najpierw rybę papuzią, a potem przyszpilił nieszczęsnego grańca, który przypadkiem zderzył się z harpunem. Przez całą drogę powrotną do hotelu Lionel trzymał zakrwawioną rybę na kolanach, zaklinając się, że zapakuje ją w suchy lód i spożyje tego samego wieczoru u Sardiego, choćby transport miał go kosztować nawet sto dolarów.

4

- Informuję was zatem,
kochani współobywatele, że
udało nam się wreszcie
zdemaskować gubernatora Altona
Aloysiusa Sandersa... -
usłyszał Norman dudniący w
głośnikach głos senatora
Pullmana, kiedy podjeżdżali z
Lionelem pod budynek portu
lotniczego. Nie był to pierwszy
znak, że dzieje się coś
niezwykłego. Na parkingu przed
lotniskiem stało co najmniej
kilkadziesiąt aut. Jeszcze w
Georgetown Norman zauważył, że
ulice miasteczka są dziwnie
wymarłe, doszedł jednak do
wniosku, że to pewnie z powodu
któregoś z licznych a
tajemniczych świąt państwowych
Kinjan: Matki Boskiej
Gromnicznej, Dnia
Przemienienia, rocznicy spisku prochowego bądź jeszcze innego.
- ... w osobie Altona
Sandersa, pod przebraniem
bezinteresownego
przedstawiciela naszego
wielkiego prezydenta, kryje się
- co do tego nie ma już żadnych wątpliwości - hipokryta, tyran o skłonnościach
dyktatorskich i reakcjonista działający ręką w rękę z tak zwaną bandą ze
wzgórza!

W głośnikach rozległy się oklaski.
Samotny bagażowy, który
pracował od przypadku do
przypadku, kiedy go naszła fantazja, podjechał wózkiem do land rovera i
postępując demonstracyjnie wyładował jedną małą walizeczkę Lionela.
Zroszonego tekturowego pudła, mieszczącego obłożoną lodem rybę, reżyser nie
chciał mu powierzyć; zaborczo tulił je do piersi.
- Co się tu dzieje? - zapytał Norman bagażowego.
- Sienator Pullman wyjeżdża na Floridę.
- Na Florydę? W trakcie sesji parlamentu?
- Mówią, że będzie
ekskładowany.

Nie bardzo wierząc w to, co usłyszał, Norman wbiegł do budynku portu lotniczego. Senator stał na ławce z okrągłym mikrofonem w ręku, a przed nim tłoczyło się ze sześćdziesięciu roześmianych, rozgadanych Kinjan, nie przysłuchujących się wszakże zbyt uważnie przemówieniu mówcy. Większość lizała lody lub popijała napoje gazowane.

- Przrzekam wam, bracia - grzmiał senator, a jego głos odbijał się echem w drewnianej, wyklejonej jaskrawymi reklamami ogromnej szopie - że podczas mojej chwilowej nieobecności Słoniowi Republikanie nie zaprzestaną walki w obronie ludu, walki o uczciwy i sprawiedliwy rząd, o niższe podatki, o wyższe zarobki dla marnie opłacanych pracowników sfery budżetowej, o pracę dla każdego, o zmniejszenie biurokracji rządowej, o większe szpitale i szkoły, o nowe drogi i preferencje dla budownictwa mieszkaniowego, o darmową opiekę medyczną i psychiatryczną. Ten niecny sojusz, jaki tworzą gubernator Alton Aloysius Sanders i Orli Republikanie, postawił sobie za cel walkę o to, by „banda ze wzgórze” mogła nadal opływać w dostatki w swych rezydencjach na Górze Sygnałowej, podczas gdy lud kinjański musi się gnieździć w nędznych lepiankach! Ale Słoniowi Republikanie, zapewniam was, bracia, nie zaprzestaną ani na chwilę swej szczytnej walki i nie spoczną, póki prosty lud nie zamieszka w pałacach, a „banda ze wzgórze” w lepiankach!

Kilku słuchaczy - głównie ci, co mieli wolne ręce, nie zajęte lodami i napojami - przerwało wesołe pogwarki i nagrodziło mówcę skąpymi brawami. Senator Pullman wykorzystał tę chwilę przerwy na pyknięcie z cygara, które chował jak zwykle w stulonej dłoni, po czym pomachał zebrany i podziękował im uśmiechem. Miał na sobie garnitur prosto z Palm Beach i słomkowy kapelusz w kontynentalnym stylu, o wąskim rondzie, a jego okrągła, przebiegła twarz jaśniała pogodą, wręcz wesołością.

Norman dojrzał gubernatora Sandersa, który ze splecionymi na piersiach rękami stał oparty o blaszany kiosk gazetowy i przysłuchiwał się mówcy.

Sprawa wrażeń tak kompletnie obojętnego na rzucane nań publicznie

oskarżenia, że Norman ośmielił się podejść do niego i przywitać.

- Jakże rad pana widzę! - ucieszył się Sanders i przez jego pociągłą twarz o cytrynowej barwie przemknął uśmiech. - Przyjechał pan popatrzeć na tę hecę?

- Czy senatora Pullmana naprawdę czeka ekstradycja?

- Obawiam się, że tak.

- I za jakież to przewinienia?

- Za bigamię. Odwlekaliśmy ten krok tak długo, jak się tylko dało, ale Floryda nie żartuje i Ministerstwo Spraw Wewnętrznych w końcu to na mnie wymogło.

Przykra sprawa. Ta pani z Florydy jest pazerna na mamonę. Chce dostawać więcej pieniędzy, niż Evan jej dotąd posyłał.

- Senator okropnie na pana pomstuje.

Sanders uśmiechnął się beztrąsko.

- Istotnie, ale taki już styl panuje tu w polityce. Dużo przypraw, pieprzu i soli.

Naprawdę mi przykro, że Evan musi nas opuścić. Przyjechałem tu tylko po to, by się z nim pożegnać. To bardzo inteligentny i rozsądny człowiek. - Gubernator

mechanicznym ruchem jednej ręki zapalił papierosa. - Zawsze dobrze mi się z nim współpracowało. Orrin Easter i jego chłopcy są tak bezdennie głupi, że jak tylko dorwą się do władzy, przegłosują podwyżki płac i tworzenie nowych miejsc pracy. Stan publicznej kasy w ogóle ich nie obchodzi. Evan był pod tym względem nader ostrożny, a przy tym jest inteligentny. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych coraz

częściej zżyma się na nasz deficyt budżetowy. Czeka nas w najbliższym czasie jedno weto za drugim, mam więc nadzieję, że Evan upora się z tą brzydką sprawą na Florydzie i prędko tu wróci.

- Szatański spisek Altona

Aloysiusa Sandersa i demokratycznego gubernatora Florydy - grzmiał Pullman - to bezczelny manewr, mający na celu spowolnienie walki o autonomię Amerigo...

- Czy on naprawdę popełnił bigamię? - zapytał Norman.

- O, co do tego nie ma

wątpliwości. Wie pan, zwykła młodzieńcza wpadka, przypadkowa przygoda, jakich wiele. Evan twierdzi, że nękająca go pani również zdażyła już zawrzeć drugi związek małżeński.

Spodziewa się zresztą dzięki tej okoliczności załatwić sprawę polubownie.

Kobietka najprawdopodobniej spuści z tonu, gdy on się tam zjawi.

Paperman zauważył, że Lionel ma jakieś trudności przy kasie biletowej, więc podszedł, aby mu pomóc. Za inspicjentem utworzyła się już kilkuosobowa kolejka pasażerów, wśród których Norman rozpoznał ku swemu zaskoczeniu Lornę.

Dziewczyna miała na sobie dopasowaną białą płócienną garsonkę, trójkątny biały kapelusik słomkowy, do tego buciki i torebkę w kolorze fiołkowym oraz przesłaniającą oczy woalkę tej samej barwy.

Wyglądała na modelkę lub

piosenkarkę. Ujrzawszy

Papermana wyraźnie się

speszyla, lecz jej

sPOCHmurniała twarz rozjaśnił wnet promienny uśmiech, który sprawił, że w policzkach ukazały się dołeczki.

- Dzień dobli panu! -

zawołała i pomachała mu drobną, upierścienioną dłonią.

- Dzień dobry - odrzekł. - Wybierasz się dokądś, Lorno?

- Wici pan, moja kuzinka z Miami jeś balcio chola.

Psiślała mi teleglam ś plośbom, ziebym sibko psijechala. Esm~e jeś najbiściejsia dziewcziną w klubie, panie Pejpelman.

Nauciałam ją obsiugiwać

cientlalkę, płowadzić

lezielwacie i wsiśtko.

- Esm~e niedługo już z nami zabawi.

- No cius, mam nacieję, zie do tej poly włócę.

Okazało się, że źródłem kłopotów Lionela jest ryba. Młody kinjański urzędnik za kontuarem, ubrany w czystą, choć rozchełstaną na piersiach różową koszulę, zgłaszał w niezrozumiałym wyspiarskim dialekcie jakieś zastrzeżenia wobec oszronionej paczki, tymczasem Lionel zaklinał się głośno, że osobiście upolował tę rybę i wobec tego nikt ani nic nie powstrzyma go przed wniesieniem jej do samolotu na rękach. Zażarta utarczka słowna trwała w najlepsze, kiedy na lotnisku z rykiem silników wylądował samolot, senator Pullman podszedł do kontuaru i zapytał Lornę z irytacją:

- Co to za zator?... A, witam pana, panie Paperman!

- To nie moja fina. Ten pan ma ze sobą jakąś lybę ci coś -

wyjaśniła Lorna, gestem

nadgarstka wskazując

inspicjenta.

- Norman - zwrócił się Lionel do Papermana - bądź tak dobry i znajdź mi kierownika lotniska i szefa celników, dobrze? Poruszę Waszyngton, a nie ustąpię! Na Boga, od czterdziestu lat walczę z kretyńskimi przepisami, zrobiłem sobie z tego niemal drugi zawód, i muszę powiedzieć, że rzadko przegrywam!

Senator uśmiechnął się do Normana i przetoczył w wargach cygaro.

- Ten pan jest pańskim

znajomym?

- Tak, i to bliskim.
- Nie znam szepisu -
tłumaczył się kasjer - któły pozwala blać do kabiny pasażelów maltfom lypę,
panie senatosze. To wblew szepisom sanitalnym!
- Więc pan nie powiedział ci, że to szklana ryba? - zdziwił się Pullman. -
Chińska szklana ryba z Hong Kongu. Pan właśnie dlatego chce ją wnieść na pokład
samolotu osobiście,
Aubrey. Takie ryby są przeraźliwie kruche. Pan kupił ją w „Małym
Konstantynopolu”.
Młody urzędniczek za kontuarem mrugnął do senatora porozumiewawczo.
- Lozumiem! Szglana lypa.
Szglane lypy wolno, nie wicę szeszkód.
Podstemplował bilet Lionela, a ten chwycił parującą oszronioną paczkę i
przytulił ją do piersi. Do kontuaru podeszła teraz Lorna.
- Dziękuję, panie senatorze - powiedział Norman - i życzę powodzenia.
- Zawsze do usług -
uśmiechnął się senator.
Norman uścisnął wolną dłoń Lionela. Zielonkawa w czerwone pasy twarz inspicjenta
jaśniała szczęściem.
- Matko Święta, Norm,
wyobrażasz sobie miny chłopaków dziś wieczorem u Sardiego? - zawołał poklepując
paczkę. - Do zobaczenia na Boże Narodzenie. Pamiętaj o mnie i miej oko na „Casa
Encantada”!
Kiedy Norman wyszedł z budynku lotniska, czekający na słońcu gubernator Sanders
skinał na długą czarną limuzynę z dwiema amerykańskimi chorągiewkami na
błotnikach.

- Podrzucić pana? - zapytał.
- Dziękuję, panie
gubernatorze. Mam wóz.
- Trudno. Chciałem pana
spytać, czy to prawda, że pan Atlas ma tu do nas zjechać na licytację tej budowy
nad Zatoką Krabów?
- Tak mi napisał.
- Niezmiernie się cieszę.

Uprzejmość gubernatora ośmieliła Normana do zadania jemu z kolei pytania:

- Czy wolno mi spytać,
dlaczego? Co to ma dla pana za znaczenie?
Sanders uniósł szpakowate brwi.
- Po prostu jestem
zainteresowany rozwojem wyspy. Zatoka Krabów pozwoli znacznie nakręcić
koniunkturę.
- I cóż stąd? Przecież nie jest pan nawet Kinjaninem, wszystko zaś wskazuje na
to, że pan stąd wyjedzie, zanim ta budowa zostanie ukończona.

Wąskie wargi gubernatora
Sandersa zadrgały.

- Przypuszcza pan zatem, że następny prezydent będzie demokratą?
- Nic mi o tym nie wiadomo, ale pan sprawia na mnie wrażenie człowieka, który
pnie się w górę. Kinja jest w pana karierze jedynie etapem.

Sanders zapalił papierosa od papierosa.

- Dziękuję panu. Polityka to na razie mój zawód, a wszystko się liczy w aktach,
rozumie pan. - Szofer otworzył tylne drzwiczki limuzyny, gubernator pożegnał
Papermana żartobliwym salutem wojskowym, wsiadł i zapytał przez okno: - A jakże
się miewa Iris? Nie zagląda ostatnio do kieliszka?
- Raczej nie. Proszę sobie wyobrazić, że dziś rano zaatakował nas rekin, kiedy
pływaliśmy koło Karaluszej Skały.

Twarz gubernatora
spochmurniała.

- Zamknąłbym Zatokę Pitta, gdybym wierzył, że ktoś będzie przestrzegał zakazu...
No cóż, czeka mnie teraz wesołe posiedzenie z senatorem
Easterem. Kiedy zmęczy pana hotelarstwo, panie Paperman, niech pan spróbuje
karaibskiej polityki.

`tt
Część II

Część druga

Mój panie gospodarzu
(cd.)

Rozdział dziewiąty

Mifki

Virgil przemknął przez cieśninę, jakby brał udział w wyścigu wioślarskim, aż furkotały na wietrze wstążki u jego kapelusza.

- Pfeplafam, płołę pana! - wydyszał, pomagając Papermanowi wsiąść do gondoli.

Paperman czekał na nabrzeżu dwadzieścia minut, nim zatelefonował do klubu; inni oczekujący twierdzili, że czekają na przeprawę już blisko godzinę.

- Feila powiedziała, febym wycifcił mifki, płołę pana.

- Co takiego? Mifki? Jakie znów mifki? O czym ty gadasz, u licha?

- Mifki, płołę pana. Mifki do wody.

- A, miski!

- Włafnie, płołę pana, Mifki.

Pieńdziefiat mifek. Mufiałem wejfc do piwnicy i wyciągnąć wfyftkie wiadra i mifki. Mifki fa frafnie zardzefiałe i Feila kazała mi je wyfifcić.

Paperman nauczył się już

przekładać w głowie na

współczesną angielszczyznę staroangielską wymowę Virgila, „mifki”, w kontekście całego zdania wypowiedzianego przez przewoźnika, zbiły go jednak z tropu. Sheila z jakiegoś powodu kazała Virgilowi wypolerować pięćdziesiąt misek. Norman zauważył w niskiej piwnicy, w której stała pompa, zasnuty pajęczynami wielki stos wiader, misek i dzbanów. Tylko dlaczego Sheila kazała je wyciągnąć właśnie teraz? Nim gondola przybiła do pomostu, wyskoczył na brzeg i co sił w nogach pognął do hotelu.

Podeszwy stóp poinformowały go

już w holu, że stało się coś

złego. Podłoga milczała; nie

czuło się wibracji pompy. Zza

hotelu nie dochodziły

postękiwania i dudnienie

generatora, który ją zasiliał. Ciężarna Esm~e, siedząca w zielonym kitlu

pokojówki na stołku za kontuarem recepcji ze słuchawkami na uszach, które

sprawały dziwaczne wrażenie, obramiając jej nieśmiałą, czarna jak węgiel, ładna

buzię, wyglądała niczym zwiastunka nowych kłopotów. Korytarzem od kuchni wyszły

trzy pokojówki, a każda z nich dźwigała po dwa pełne wiadra wody.

- Amaranthe! Faith! Dokąd wy idziecie z tą wodą? - zawołał Paperman.

Dziewczęta, jak zwykle, odwróciły w zawstydzeniu oczy. Pokojówki z Nevis były w obecności szefa ciche, potulne i płochliwe niczym dzikie zwierzątka, choć Norman słyszał nieraz, jak chichoczą i wesoło gaworzą między sobą w języku Indii Zachodnich, który przypominał bełkotliwy zlepek rozmaitych języków.

- Sheila kaszała ich nam

zanoszycz na górę - wymamrotała Amaranthe, brzydula z różowymi piętnami na twarzy, i rozchlapując wodę przemknęła obok Papermana.

Dwie następne pokojówki z czterema kolejnymi wiadrami wspięły się na schody w ślad za nią.

Paperman wpadł do kuchni. Kłapa w podłodze nad cysterną była podniesiona.

Millard, w papierowej czapce na głowie, spod której spływały strużki potu,

wyciągał z cysterny na sznurze wypełnioną po brzegi wodą dwudziestolitrową

puszkę po farbie. Kiedy znalazła się ponad otworem, chwycił ją Church i zaczął

napełniać rząd wiader. Pod drzwiami kuchni w zakurzonych stosach czekały już

następne wiadra. Sheila stała w drzwiach w czapie kuchmistrzyni, wydawała

dyspozycje i nadzorowała całą operację.

- Co to ma znaczyć, Sheilo? Co wy tu uprawiacie?

- To jedyny śposiób, plosie pana, zianim lusi pompa.

Wstawiamy po miście i pełnym wiadzie do każdego pokoju.

- A co z pompą? Dzwoniłaś po hydraulików do Georgetown?

- Nie choci o pompę, plosie pana, choci o gienelatol. Ziablali go nam.

- Co takiego? Kto się ośmielił zabrać? Pożyczyłem go od Anatone'a na całe dwa tygodnie. Kosztowało mnie to majątek!

Church wynosił napełnione wiadra do holu, a puste ustawiał rzędkiem wzdłuż krawędzi luku nad cysterną.

- Zaraz to panu wyjaśnię, szefie! Widzi pan, okazało się, że ta maszyna była awaryjnym generatorem ze szpitala East End. Pojęcia nie mam, jakim cudem Anatone ją zdobył, ale szpital jakąś godzinę temu przysłał barkę z brygadą robotników i oni go po prostu zabrali. Próbowałem protestować, ale...

- Tich ludzi po gienelatol siśłał sienatol Istel - wyjaśniła Sheila; z jej oczu wyzierał smutek zrodzony z nagromadzonej przez lata wiedzy o skomplikowanych prawach życia na wyspie. - Nie pozioštaje nam nić innego, tylko uzić tych wiadel, dźbanków i misiek, jak wtenciaś, gdy ciała wiśpa jest pozbawiona plađu. Na psikład po hulaganie lup po ośtatnim wybuchu elektłowni. Ludzie mija się w miśkach, a siedesi śpukują wiadłami. Można siwyknać.

Groza tej nowej katastrofy omal nie ścięła Papermana z nóg. Uświadomił sobie, do jakiego stopnia los klubu „Rafa Mew” zależy od wpływów Evana Pullmana. Rozległość tych wpływów umożliwiła Anatone’owi dopuszczenie się czynu tak niesłychanego, jak wypożyczenie, a następnie odnajęcie awaryjnego generatora szpitalnego! Ale teraz, gdy zabrakło senatora, Anatone spadł do rzędu zupełnie zwyczajnych Kinjan, przestał być czarodziejem, zdolnym - za słońa co prawda opłata - rozwiązywać wszystkie problemy. Takie myśli przelatowały przez głowę Normana, pozostawiając za sobą płonący, szkarłatny szlak trwogi, kiedy w drzwiach kuchni, trzymając w ręku puste wiadro, stanęła Amaranthe.

- Cielefon do pana Pejpej.

Na ladzie recepcji leżały porzucone słuchawki telefonistki, jedyny ślad po Esm~e, która gdzieś zniknęła. Słuchawka telefonu w biurze spoczywała obok aparatu.

- Halo?

- Pan Pejpelmon?

Trudno było nie poznać tego groźnego głosu surowej urzędniczki.

- Słucham? Panna Buckley?

- Tag. Lepiej, żeby pan żarasz przyjechał do naszego urzędu.

- Chętnie bym to zrobił,

proszę mi wierzyć, ale mam teraz w hotelu prawdziwe urwanie głowy. Byłbym wdzięczny, gdybyśmy mogli odłożyć nasze spotkanie do jutra rana.

- Urwanie głowy czeka też pana w naszym urzędzie, panie Pejpelmon. Jeszli chce pan czekacz do jutra, prozę barczo, mnie tam wszystko jedno, ale boję sze, że może pan żalowacz po niewczasze.

- Już jadę!

Paperman wkręcił arkusz papieru w starą maszynę do pisania, chwilę stukał w klawisze, po czym pobiegł do kuchni i wcisnął kartkę Churchowi. Pokojówki czekały w rzadku i odbierały pełne wiadra z rąk Sheili i ogrodnika Millarda. Church, którego koszula w czerwono_biało_niebieskie pasy pociemniała od potu, przebiegł oczami tekst, po czym uśmiecnał się do Papermana z zachwytem, a w owalu jego schludnie przystrzyżonej brody błysnęły nieskazitelne zęby.

- To jest wspaniałe, proszę pana! Dzieło prawdziwego natchnienia.

- Może znalazłbyś chwilkę i wykaligrafował to pięknie na afiszu?

- Postaram się, proszę pana. Z całą pewnością.

- Potem wywieś to jak najszybciej w holu. Kto obsługuje bar?

Church spuścił oczy i uśmiecnał się ze znużeniem.

- Ja, proszę pana. Zwijam się jak w ukropie.

- Poczciwy z ciebie chłopak!

Uważam, że pora najać ci kogoś do pomocy. Czeka nas pracowity sezon. Zajmę się tym jutro. Wiesz, Esm~e gdzieś zniknęła, pojęcia nie mam gdzie. Odszukaj ją, posadź przy centralce i spróbuj nakłonić, żeby na krok się stąd nie ruszała, dobrze? Powinienem wrócić za jakąś godzinę.

Urząd Imigracyjny mieścił się na pierwszym piętrze zabytkowego domu za kościołem, u szczytu bardzo stromych, gnijących, śliskich od mchu ceglanych schodów. W przedpokoju na twardych krzeselkach siedzieli kręgiem zgnębieni Murzyni, biednie, lecz czysto odziani, wszyscy z wystraszonymi, smutnymi oczami „psiwłoków”, pracowników sezonowych. Jakaś młoda Kinjanka w krochmalonym niebieskim fartuchu i fryzurze w stylu „boufĀfant” zapisała nazwisko Papermana u dołu leżącej na jej biurku długiej listy nazwisk.

- Panna Buckley powiedziała przez telefon, że pragnie mnie widzieć natychmiast - zauważył Norman.

Dziewczyna kiwnęła głową.

- Dobrze, dobrze, pan siadaj.

Norman usiadł. Czekał długo.

Co jakiś czas rozlegał się dzwonek, dziewczyna wyczytywała nazwisko i kolejna „psiwłoka” wchodziła w drzwi, pomalowane zieloną, łuszczącą się farbą, by po jakimś czasie wyłonić się z nich z jeszcze smutniejszym niż przedtem obliczem. Chcąc zabić nudę, Norman wstał i zaczął przechadzać się po poczekalni, czytając wiszące na szarej, porysowanej ścianie, upstrzone przez muchy obwieszczenia rządowe dotyczące przepisów imigracyjnych, warunków ubezpieczenia i kontroli

obcokrajowców. Gdy i to mu zbrzydło, usiadł z powrotem na krześle i zaczął przeglądać książkę, którą wybiegając z klubu wyciągnął na chybił trafił z zakurzonej biblioteczki w holu. Kiedyś często miewał do czynienia z urzędnikami niskiej rangi, więc wolał się przygotować na długie czekanie.

- Pan Pejpej_mon?

Sekretarka wskazała mu drzwi. Minał się w nich z posmutniałym potężnym Murzynem w postrzępionej koszuli i takichż spodniach, który skrobał się po głowie, wpatrując się w trzymany w rękę papier.

Osadzone w grubych murach okna

przestronnego pokoju o

skrzypiącej podłodze z

szerokich, popękanych starych desek, wychodziły na ulicę Księcia Walii. Pod

wszystkimi czterema ścianami stały metalowe szafki. Za takimż biurkiem pod

oknem siedziała i stukała na maszynie młoda sekretarka. Panna Buckley siedziała za okazałym mahoniowym biurkiem i również coś pisała. Miała na sobie ciemnoszara garsonkę, znakomicie uwydatniającą jej obfity biust.

Upłynęła dłuższa chwila, nim

okazała zainteresowanie stojącym

w drzwiach Papermanem. Spojrzała

nań spod ciężkich powiek, końcem

pióra wskazała stojące obok
biurka krzesło, po czym wróciła
do pisania. Wzbudzając
skrzypienie uginających się
desek podłogi, Paperman podszedł
do krzesła i usiadł. Zastępczyni
Kierownika Urzędu Imigracyjnego

- jak obwieszczała tabliczka na biurku panny Buckley - wciąż pracowicie wodziła piórem po papierze, Paperman otworzył więc książkę i zagłębił się w lekturze.
- Panie Pejpelmon, nasz urząd nie jest biblioteką publiczną!
- Zastępczyni kierownika gromiła go wzrokiem, wydymając w grymasie oburzenia uszmińkowane karminowe wargi. - Jest pan tutaj w sprawie urzędowej!
- Wiem - przytaknął Paperman - ale skoro jest pani zajęta, nie chciałem, aby pani choćby w najmniejszym stopniu mogła się poczuć ponaglana faktem mojej obecności. Całkiem dobrze mi się czyta tę książkę.
- Czo to za książka?
- „Moby Dick”.
- Proszę pokażacz!

Przejrzała powieść, przewracając kartki w taki sposób, jakby szukała między nimi paczuszek z heroiną.

- To jest długa książka. Pan lubi długie książki?
- Tę owszem. Czytam ją nie po raz pierwszy.
- Ach tak? Więc po co ją pan czyta? - spytała ostro panna Buckley, rzucając się drapieźnie na owo jawne przyznanie się do winy.
- Po prostu dla zabicia czasu.

Czy chciała się pani ze mną zobaczyć z powodu Esm~e, panno Buckley?

Z ciężkim westchnieniem osoby doprowadzonej do ostateczności panna Buckley wetknęła z irytacją pióro w podstawkę, wstała, podeszła do jednej z metalowych szafek, wysunęła, po czym wsunęła szufladę, potem powtórzyła tę samą czynność przy następnej i z kilkoma teczkami wróciła za biurko. Położywszy przed sobą teczkę oświadczyła Papermanowi, że za tydzień mija termin odnawiania pozwoleń na zatrudnianie obcokrajowców. Pozwolenia te należy odnawiać w listopadzie i w czerwcu.

Przydziela się je tylko tym pracodawcom, którzy przestrzegają prawa i wykazują się poczuciem odpowiedzialności. Tymczasem nie jest aktem zgodnym z prawem ani z poczuciem odpowiedzialności pomaganie cudzoziemkom w odbywaniu porodów na terytorium Stanów Zjednoczonych.

Norman zaproponował, że wezwie lekarza, aby stwierdził, że do rozwiązania Esm~e pozostało jeszcze wiele tygodni. Panna Buckley zbyła jego oświadczenie wzgardliwym prychnięciem.

Lekarze nie mają pojęcia o sztuczkach, jakich się imają te pannice z Nevis. Ściskają sobie brzuchy pasami, nie mówiąc już o tym, że są w ogóle dziwnie zbudowane. Esm~e może urodzić dosłownie w każdej chwili. Urząd Imigracyjny o tym wie, więc jeśli ta dziewczyna nie opuści wyspy w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, podanie klubu „Rafa Mew” o odnowienie pozwolenia - panna Buckley zaszurała plikiem teczek

- może zostać odesłane do Waszyngtonu celem weryfikacji. Procedura ta zajmuje zwykle pół roku i w tym czasie żaden cudzoziemiec nie miałby prawa pracować w

hotelu. Czy Norman Paperman, zainteresowała się, jest świadom braku na wyspie rąk do pracy, gdy chodzi o Kinjan?

- Proszę posłuchać, czy mogę coś powiedzieć otwarcie, nie do protokołu? - zapytał.

- To żadna różnicza, ale szkoro pan chce - westchnęła panna Buckley.

- Widzi pani, kiedy przed kilkoma tygodniami kupowałem klub, panna Lorna już tam pracowała. Z tego, co słyszę, senator Easter jest wybitnym politykiem, który sprawdzi się wspaniale jako przywódca, zaś...

Z rozszerzonych źrenic panny Buckley posypały się błyskawice.

- Evan Pullman pójdź na

Florydę za kratki na dziesięć lat! Ta czała Lorna nigdy tu nie wróczy! A jeszli wróczy, przekona sze, kto teraz rządzi na tej wyspie!

- Bez wątpienia. Chciałem tylko powiedzieć, iż odnoszę wrażenie, że klub „Rafa Mew” dostał się niechcący w ogień walki politycznej, więc gdybym mógł okazać się w czymś...

- Walki politycznej? Jakiej walki politycznej? - Panna Buckley zmiażdżyła grubym kciukiem przycisk dzwonka. - Wszyszczcy urzędniczy w tym biurze są mianowani przez władze federalne. Polityka! Proszę wejszcz, bardzo proszę! - zawołała do jakiejś wystraszonej dziewczyny, która ze spuszczoną głową wsunęła się bokiem w drzwi. - Proszę szadacz.

Polityka, też czosz!

Wskazała dziewczynie miejsce na kolanach Papermana i zaczęła coś pisać zawzięcie, postękując przy tym i wzdychając.

Norman wyciągnął z jej zachowania wniosok, że pozwolono mu opuścić biuro, toteż wstał i wyszedł.

3

Afisz Churcha Wagnera wisiał na centralnej ścianie w holu: czerwony tekturowy prostokąt o wymiarach półtora metra na metr, z wymalowanymi pędzelkiem ozdobnymi, czarnymi literami.

„Klub „Rafa MEW” zawiadamia z żalem o kłopotach z wodą. Prosimy o wyrozumiałość! Awaria zostanie jutro usunięta (taką mamy przynajmniej nadzieję!)

Tymczasem trwa jeszcze dzień dzisiejszy, więc bawmy się!

Zapraszamy na przyjęcie z szampanem - na koszt klubu! Można pić do woli - za darmo!!! Skoro nie płynie woda, niechaj poleje się wino. Muzyka, wino i śpiew! Co państwo na to? Robimy co w naszej mocy! A więc po kolacji spotykamy się na przyjęciu!

W imieniu klubu

„Rafa Mew”

Norman Paperman,

właściciel hotelu.”

Tekst ozdabiał wykonany złocistym atramentem fantazyjny ornament, przedstawiający strzelające z butelek w chmarach bąbelków korki, a także wiadra, miski, sedesy i ogromny kran, z którego ściekała pojedyncza chuda kropla wody. Norman był zdumiony zręcznością Churcha. Najwyraźniej wszystko, co ten młody człowiek robił, robił szybko. Takie już widać miał dziwactwo. Tłoczący się przed afiszem goście przywitali Papermana nadspodziewanie radośnie. W barze stwierdził, że przyjęcie z szampanem stanowi w hotelu temat dnia. Przebywający w hotelu goście przedstawiali barwną mieszalinę: byli wśród nich ludzie starzy i młodzi, przyjezdni ze wschodniego wybrzeża i przybysze z okolic Chicago, głównie goje, choć trafiło się kilka żydowskich wyjątków w osobach młodych, żądnych nowości, znudzonych rutyną Miami nowojorczyków. Niecierpliwe zrędy już dawno się z hotelu wyniosły. Ogłoszenie o przyjęciu połączyło tych, którzy wytrwali, w wesołe, ożywione grono dobrych znajomych. Church Wagner zaklinał się, że idea przyjęcia jest najlepszym pomysłem powstałym pod wpływem chwili, jaki kiedykolwiek się zrodził na jego oczach, i uznał Normana Papermana za geniusza tropikalnego hotelarstwa.

- To niewiarygodne, proszę pana! Przemienił pan klęskę w szalowy ubaw. Fantastyczne!

- Wszystko pięknie, Church, ale powiedz mi, gdzie się podziała Esm~e? Nie widzę jej w centralce.

Rozpromienione oblicze barmana przybrało wyraz powagi zabarwionej chytrym.

- Nie udało mi się jej

znaleźć, proszę pana. Dziewczęta mówią, że pojechała do domu. Podobno nie najlepiej się czuła. Przetawiałem jednak łącznicę, proszę pana, i wszystkie rozmowy odbiera się w barze. To żaden problem.

- Owszem, problem, i to

ogromny! Church, muszę koniecznie znaleźć Esm~e, i to zaraz. To kwestia życia i śmierci! Przypuszczam, że wiesz, gdzie mieszka?

- Jeśli się nie mylę, przy ulicy Tysiąca Stopni, proszę pana.

- Boże złoty, ona też? Dobra, posiedzę przez godzinę w barze, a ty pędź i sprowadź mi ją migiem.

- Uważam, że to nie najlepszy pomysł, proszę pana. - Na twarzy Churcha pojawił się autentyczny strach. - Ona mieszka z pewnym facetem... podobno z ojcem. Gość ma metr osiemdziesiąt pięć i jest piekielnie zazdrosny.

- Czy również pochodzi z Nevis?

- Nie, to Kinjanin.

Zatrudniony przy robotach publicznych.

- Co takiego? - Paperman

wybuchnął głośnym śmiechem ulgi.

- Tam do licha, więc niech za niego wyjdzie! Boże święty, co za proste wyjście. Cudowne! Zapłacę za pozwolenie na ślub.

Dam jej nawet posag!

Church pokręcił głową.

- On już od paru miesięcy próbuje się z nią ożenić, proszę pana, ale ona nie chce. Nie cierpi faceta. Mówi, że to religijny świr, nic tylko by w kółko czytał na głos Biblię, a wcina głównie owoce mango i marchew.

- Więc czemu, do diabła, z nim mieszka?

- Czysze w Georgetown są wysokie, proszę pana. Esm~e musi oszczędzać.

Paperman podniósł rękę do czoła, bo poczuł znowu znajome kinjańskie zawroty głowy.

- No trudno, sam po nią pójde.

Zaraz po kolacji. Wdrapię się po tych schodach na żydowski cmentarz.

- Słucham?

- Nic, nic, tak tylko gadam sam do siebie. A co będzie z wodą? Co się stanie, kiedy goście zużyją zawartość wiader?

- Millard ma zostać do

północy. Będzie czerpał wodę i dostarczał ją do pokojów. Sheila tak zarządziła. Niebo na wschodzie, gdzie nisko nad horyzontem zalegały gęste czarne chmury, przeciął w tej chwili zygzak błyskawicy.

Norman już od odjazdu Lionela

odnosił wrażenie, że od wschodu

postępuje zmiana pogody. Nie

były to tylko pojedyncze grzmoty

- nadciągała prawdziwa burza. Na razie znajdowała się jeszcze daleko; odgłos gromu dotarł do uszu Papermana dopiero po piętnastu sekundach, a przetoczył się słabym tylko, głuchym pomrukiem.

- Widział pan, proszę pana? - zapytał Church.

- Widzę: idzie na deszcz.

Teraz, kiedy mamy jedną trzecią zbiornika i nie możemy go napełnić!

- Millard mówi, że trochę możemy nałapać. Wiadro zaczyna już szorować po dnie.

- W takim razie nie ma

strachu: burza przejdzie bokiem! Zrób mi szklanekę szkockiej z lodem, Church.

Chciałbym trochę odsapnąć przed kolacją.

Deszcz spadł w chwili, gdy Norman kładł się do łóżka.

Rzadko zdarzało mu się słuchać

milszego dźwięku niż ten werbel

grubych kropli na cynkowanym

blaszanym dachu głównego

pawilonu. Paperman zajmował

teraz dawne mieszkanie Amy Ball

na pierwszym piętrze. „Biały

Domek” przynosił zbyt wysoki

dochód, więc nie chciał go

okupować. Mieszkała w nim

obecnie sześćoosobowa rodzina -

piętnaście dolarów dziennie od

łebka. Mieszkanko Amy było małe

i nieprzytulne, więc

przewidywał, iż Henny z

niechęcią powita tę zmianę, zakładał jednak, że rzut oka w księgi rachunkowe

położy kres wszelkim protestom. Mogą przecież i tę klitkę jakoś upiększyć i

rozjaśnić.

Leżał na wznak na łóżku w jedwabnym chińskim szlafroku, palił papierosa, saczył

szkocką i wsłuchiwał się z rozkoszą w głośnie bębnienie kropel. To nie była

drażniąca tylko mżawka, zdolna jedynie zmyć do cysterny pająki i ptasie

gówienka, to szumiał prawdziwy, rześisty deszcz! Ten szum napawał Normana wielką

otuchą, wydawał mu się zwiastunem odmiany na lepsze w jego losie. Paperman

odłożył papierosa i pozwolił się deszczowi ukołysać do drzemki. Zasnął na

zapadniętym żelaznym łóżku, pomalowanym białą łuszczącą się farbą, pod skośnym

sufitem wyklejonym spłowiałą od słońca tapetą w róże wielkie jak piłki do

koszykówki...

Champagne, si - aqua, no

1

Zszedłszy na dół, Norman zobaczył w barze gubernatora Sandersa z żoną. Nie wiedział, że pani gubernatorowa ponownie zjechała na Amerigo. Stojąc w drzwiach, przyglądał się rozmawiającym nad drinkami małżonkom. Rzucało się w oczy, że Reena Sanders, choć smoliście czarna, nie jest Kinjanką. Jej stylizowana na egipską fryzura, elegancka, dopasowana czarna garsonka z dużymi białymi guzikami stanowiły jedynie o części jej odmienności; resztę zapewniały sposób bycia, pewność siebie, przebijająca z pochylecia głowy, zwyczaj patrzenia rozmówcy prosto w oczy, wyraziste, choć oszczędne gesty rąk. Gubernatorowa demonstrowała autentyczny waszyngtoński i nowojorski szyk. Norman podszedł do państwa Sanders, żeby się przywitać, a oni zaprosili go do swojego stolika.

- Dziękuję, ale jestem pewien, że macie państwo tysiące spraw do omówienia między sobą.

Pociągłą twarz gubernatora sfałdował ironiczny uśmiezek.

- Reena powtarzała mi właśnie swoją starą śpiewkę; mianowicie, że nie znosi Kinji. W tej kwestii opowiedziałby się pan zapewne po jej stronie.

- Prawdę mówiąc, jak na razie nie.

Okazało się, że pani Sanders jest w drodze do Caracas, leci na konferencję Onz poświęconą mieszkalnictwu. Wyznała, że specjalnie wytyczyła trasę przelotu w taki sposób, by spędzić jedną noc na Amerigo; dłużej niż dzień lub dwa nie byłaby w stanie wytrzymać na wyspie, Kinja przyprawiała ją o mdłości. Zapytała Normana, z jakimi problemami zdążył się tu już zetknąć. Przeciwiczywszy przed Lionelem i Iris opowieść o swych przejściach, Norman nawet dość chętnie przystąpił do owej relacji. Nic nie sprawiało mu większej przyjemności, niż zabawianie słuchaczy przy stole, przy kawie i drinkach. W gruncie rzeczy tym głównie się w życiu zajmował. Już po chwili Reena Sanders pokładała się ze śmiechu, tym chętniej, że to, co mówił Norman, tylko potwierdzało jej własne uprzedzenia wobec Kinji. Po jakimś czasie nawet gubernatorem zaczął wstrząsać jakiś dziwny wysoki koński śmiech; można by sądzić, że z trudem wychodzi mu z gardła. Goście przy barze zaczęli się odwracać w ich stronę i szeptać coś między sobą.

Podczas opowieści o zburzonej przez Akersa ścianie, pani Sanders wyrzuciła ramiona do góry.

- O Boże, nie wytrzymam!

Norman, proszę natychmiast przestać! Umieram z głodu, muszę natychmiast coś przekąsić, ale chcę koniecznie usłyszeć koniec pańskiej przygody. Proszę zjeść z nami kolację. Gorąco pana o to proszę!

Deszcz bębnił o markizy nad zatłoczonym tarasem jadalnym, ale pochodnie naftowe i pomarańczowe płomyki lampek oliwnych na stołach niemal się nie chwiały. Wiatr wiał od przeciwnej strony hotelu, więc taras znajdował się na zawietrznej. Zacinająca ukośnie ulewa szumiała na oświetlonych reflektorami zielonkawych płyciznach przybrzeżnych.

- Jeśli coś lubię na tej wyspie - powiedziała małżonka gubernatora, spoglądając na zamglone światła na nabrzeżu w miasteczku i przyćmione światła willi na wzgórzach - to ten taras i widok, jaki się stąd roztacza. Inna sprawa, że nigdy w życiu nie widziałam niczego równie zwodniczego.

Norman wyszedł na chwilę do kuchni, aby omówić z Sheilą zestaw dań na kolację dla gubernatorstwa. Jadłospis hotelowy ograniczał się ściśle do table d'hôte, a Sheila zmieniała menu z dnia na dzień wedle wzoru, którego nie modyfikowała od siedmiu lat. Dla specjalnych jednak gości, bądź dla właściciela, była skłonna uczynić wyjątek. Spocony jak mysz Millard w postrzępionych ogrodniczkach i kapeluszu z papieru pakowego siedział w kącie na odwróconym do góry dnem wiadrze i pochłaniał kotlet schabowy.

- Jesteś w pracy już od tylu godzin, Millardzie. Ogromnie cię przepraszam.

Oczywiście zapłacę ci za nadgodziny.

- Dziękuję panu - odrzekł ogrodnik z błogim uśmiechem szczęścia - zię mogię siuzić pomocą panu i tim siśtkim simpaticńnym ludziom.

Wracając przez hol Paperman zauważył, że brezent wybrzuszył się na wietrze, wydając jakiś dziwny śpiewny ton i klaszcząc w górnym rogu. Norman nie zdawał sobie dotąd sprawy, że płachta jest tak luźna; brudna brązowa tkanina wydeła się, zajmując blisko połowę holu. Najwyraźniej wiatr wiał tego wieczora prosto w otwór wybity przez Akersa. Paperman wywołał z baru Churcha, żeby mu pokazać ten nieprzyjemny widok. Zza wydełego jak balon brezentu dobiegało jakies dudnienie.

- Nie chcę patrzeć na to, co się tam wyprawia - oświadczył Norman. Wypił już trzy drinki, czuł się świetnie i nie chciał psuć sobie humoru. - Zresztą i tak nie możemy nic na to poradzić.

- Wiatr nie może wyrządzić większej szkody materiałom budowlanym, proszę pana - uspokoił go Church. - Najwyżej je trochę poprzesuwa.

- Ale nasze przyjęcie diabli wezmą - mruknął Norman - jeśli ten koszmarny pęcherz będzie się nadal wydymał na pół holu niczym dupsko słońia!

Church szarpnął za mocujące brezent linki.

- Trzeba je tylko naciągnąć, proszę pana. Proszę się o to nie martwić. Akurat na takich płótnach troszeczkę się znam. - Napiął któraś linkę i łopotanie ustało. - Zaraz się tym zajmę.

- Poczciwy z ciebie chłopiec.

Sheila przysłała na stół gubernatorstwa wyborne steki. Paperman zamówił jedną, a potem jeszcze jedną butelkę „Beaune”, najlepszego wina, jakie miał w piwnicy, i podjął swą opowieść. Był w doskonałej formie; gubernator i jego żona wpatrywali się w niego jak zauroczeni. Sanders wykrztusił nawet między wybuchami piskliwego śmiechu, że Paperman powinien prowadzić notatki i któregoś dnia napisać książkę o swoich przygodach.

W momencie, który wydał mu się najodpowiedniejszy - złożył właśnie, mimo protestów Sandersa, zamaszty podpis na czeku, którym zapłacił za wspólną kolację, po czym zamówił jeszcze brandy i kawę - Paperman opowiedział gubernatorstwu o pannie Buckley i Esm-e. W duchu żywił oczywiście nadzieję, że gubernator wystąpi z propozycją jakiejś interwencji. Pozyskanie sobie jego względów było zresztą celem wszystkich narracyjnych starań Normana. Kiedy opowiadał o tym, jak panna Buckley ignorowała jego obecność, pisząc coś bez przerwy i pojękując przy tym boleśnie, małżonka gubernatora dostała drgawek ze śmiechu.

- Litości, nie mogę! Nadęta mała biurokratka i do tego Kinjanka! - wykrztusiła,
- Co za kombinacja! Istny Frankenstein.
- Bylibyście zdumieni -
wtrącił gubernator Sanders - jak sympatyczną osobą potrafi być Christophine Buckley. Zawsze uśmiechnięta, uprzejma, uczynna. Ilekroć miałem z nią jakąś sprawę do załatwienia, szła mi zawsze na rękę.
Reena Sanders osadziła papierosa w długiej fifce z kości słoniowej, a Paperman przypalił go jej zapalniczką.
- Dziękuję, skarbie... Wcale się nie dziwię, Altonie, że dla ciebie bywa sympatyczna.

Norman wyznał, że jak tylko skończy się kolacja i zaczniesz przyjęcie z szampanem, musi pożyczyc płaszcz przeciwdeszczowy i udać się na nocne łowy na ciężarną uciekinię w dżungli Tysiąca Stopni.

- W taką pogodę? - wykrzyknęła pani Sanders, wskazując strugi zacinającej ulewy.
- Na ulicy Tysiąca Stopni? Z pańskim sercem? Padnie pan tam trupem i pies z kulawą nogą się o tym nie dowie. Zjedzą pana szczury i bezpańskie kundle.

- Nie mam wyboru. Jeśli stracę pokojówki i ogrodnika, będę musiał zwinąć interes i wracać do Nowego Jorku. To dla mnie koniec przygody.

- Altonie, ty z pewnością mógłbyś coś pomóc w tej sprawie. Słuchaj, dla mnie to jest po prostu niepojęte, nawet jak na stosunki karaibskie, mówię poważnie! Miły Boże! Zrób tej pannie Buckley test dla analfabetów i pozbadź się jej! Wystarczy zresztą, że jej takim sprawdzianem zagroziysz, a zaraz spuści z tonu.

- Ona podlega rządowi

federalnemu - przypomniał gubernator, wzruszając ramionami. - Lokalna władza nie ma prawa ingerować w jej poczynania i decyzje.

- Daj spokój. Ja mówię serio.

Kogo ty chcesz nabrać?

Pani Sanders łypnęła na męża z groźnym błyskiem w roziskrzonych przez alkohol oczach. - Widzi pan, Norman, tego właśnie najbardziej u Kinjan nienawidzę! Tego drugorzędnego wodewilu i burleski, dosłownie niedobrze mi się od tego robi! Poza tym boję się, że Alton może się do nich upodobnić, jeśli tu dłużej zostanie. Co do mnie, staram się być dobrą żoną i matką, siedząc w Waszyngtonie i trzymając dzieci z daleka od tego bagna.

Wskazała gestem ręki wyspę Amerigo i Norman zauważył, że złoty kluczyk, dyndający u jej złotej bransoletki, to emblemat zrzeszenia studenckiego „Phi Beta Kappa”.

Gubernator coraz głębiej zapadał się w fotel, zerkał na boki i raz po raz zaciągał się głęboko papierosem, bębniąc przy tym w blat stołu palcami wąskiej dłoni.

- W innej sytuacji nawet chętnie szepnąłbym Buckley słówko - rzekł ściszym głosem

- ale teraz przeżywamy moment politycznie drażliwy. Usiłuję ułożyć sobie jakoś stosunki z Orrinem Easterem, a ta Buckley jest jego pupilką. Właśnie dlatego mój poprzednik wystarał się dla niej o posadę federalną, żeby ją usunąć z drogi, usunąć z lokalnej administracji rządowej. Wracajmy już lepiej do pałacu, Reeno.

Pani Sanders zaniósła się szczekliwym śmiechem.

- Ha, ha, ha! Też mi „administracja rządowa"! Alton, wystarczy mieć odwagę zająca, żeby rozpędzić te typki na cztery wiatry! Uważam, że powinienes coś zrobić w tej sprawie. Paperman podniósł się szybko.

- Przepraszam, muszę sprawdzić, jak się miewa moje przyjęcie na cześć suchych kranów. Proszę, niech państwo jeszcze zostaną i wypiją z nami kilka lampek szampana.

- Ja zostaję, a mój małżonek niech robi co chce - prychnęła Reena Sanders. - Przypuszczam, że będę się dobrze bawiła. Dziękuję za pyszną kolację.

Gubernator przyłączył się do podziękowań żony:

- Ja również panu dziękuję.

Uśmiechnął się mechanicznie i pograżył w smętnym milczeniu. Kiedy Norman odszedł od stolika, pani Sanders kłóttliwie rozpuściła język.

2

„Champagne, si - agua, no”

Church zdażył jakimś cudem ułożyć to hasło, wyciąć z czerwonego kartonu litery wysokości jednej trzeciej metra i przypiąć je w poprzek napiętego brezentu. Płótno przestało się wybrzuszać. Buczało tylko głośno jak wydęty wiatrem grot_żagiel, Paperman mógł się jednak przekonać, że zostało solidnie napięte. Przyjęcie już się zaczęło. Żeby utworzyć parkiet taneczny, meble odsunięto pod ściany holu, a słomiane maty zwinięto, odsłaniając szerokie czerwone kafle posadzki. Muzyka stalowych bębnów, która na dworze brzmiała żałobnie i brzękliwie, w zamkniętym pomieszczeniu huczała potężnie i grzmiała niczym tam_tamy, przyczyniając się znakomicie do podgrzania atmosfery. Church w asyście dwóch kelnerów stał na środku holu między dwoma stołami, zastawionymi rzędami kieliszków do wina, i wszyscy troje nalewali z dzbanów różowy poncz z szampana, podczas gdy tancerze, wielu z kieliszkami w rękach, wirowali wokół stołów. Z powodu deszczu do klubu przybyło tego wieczoru niewielu gości z zewnątrz. Jak zwykle, zjawiała się gromadka młodych Kinjan, którzy lubili tańczyć przy muzyce, którą grano w „Rafie Mew”, przyszła też mała grupka onieśmiałych marynarzy w białych mundurach z łodzi podwodnej, stacjonującej tej nocy na Amerigo. Norman polecił Churchowi, żeby wszystkim obecnym, gość nie gość, nalewał szampana za darmo. Jeśli kipiący w holu gwar, ruch i wybuchający co chwila śmiech można było uznać za pomyślny omen, przyjęcie zaczynało się pod szczęśliwą gwiazdą. Norman, jak nakazywał obowiązek gospodarza, wypił po szklance ponczu z obu dzbanów i stwierdził, że napój jest słodki, ale całkiem znośny. Pito go też w dużych ilościach, a o to właśnie chodziło.

**Następnie, znowu kierując się
powinnością pana domu, zaprosił
do tańca najmniej atrakcyjną
partnerkę, jaką zdołał wypatrzyć**

- tłustą młodą nauczycielkę z Yonkers pod Nowym Jorkiem, odznaczającą się odpychającym podwójnym podbródkiem. Norman Paperman był gotów do wszelkich poświęceń, byle przyjęcie zakończyło się sukcesem.

Po jakimś czasie wkroczył majestatycznie na parkiet gubernator Sanders z małżonką. Ciągnąc za sobą brzydulę z Yonkers, Norman podbiegł do niego ze szklanką ponczu. Gubernator wzniósł uprzejmie toast za powodzenie klubu „Rafa Mew” i za koniec kłopotów z wodą. Większość gości wiedziała, kim jest ten kościsty, szpakowaty Murzyn w czarnym garniturze, ale niewielu tylko zostało mu przedstawionych. Paperman, jako gospodarz, zaczął więc prezentować gości gubernatorowi; uformowała się długa kolejka chętnych do uściśnięcia mu dłoni, co Sanders zaakceptował z typową dla polityków przyjazną swobodą. Ta nieoczekiwana atrakcja dodała przyjęciu jeszcze żywszych rumieńców. Z baru i tarasu jadalnego nadciągali hurmem spóźnialscy, pragnący również uściśnąć dłoń gubernatorowi Amerigo. Sanders przypieczętował swój mały triumf zaproszeniem do tańca nauczycielki z Yonkers i przy głośnym aplauzie zebranych poprowadził ją

chwiejnie do merengue. Pani Sanders trafiła dzięki temu w ramiona Papermana. Tańczyła niezgrabnie, przypatrując się z pełnym rozbawienia zaciekawieniem gościom, afiszowi i brezentowej płachcie.

- Wie pan, pański lokal ma naprawdę swoisty zabawny urok! - wyznała. - Zmyłam mężowi głowę za tę ciężarną pokojówkę. Uświadomiłam mu, że jeśli najlepszy hotel na wyspie zostanie zamknięty z powodu kaprysu jakiejś durnej urzędniczki, w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych nie będą tą wiadomością zachwyceni. Sądzę, że ten argument trafił mu do przekonania.

W pewnej chwili dojrzała stojącą na uboczu w kącie grupkę marynarzy i oświadczyła, że widok mundurów budzi w niej wspomnienia z działalności w Organizacji Narodów Zjednoczonych, po czym podeszła i poprosiła do tańca jednego z nich, wysokiego, potężnie zbudowanego młodego Murzyna. Wybraniec wzbraniał się początkowo, uśmiechając się z zażenowaniem, ale jego koledzy, podekscytowani gestem pani gubernatorowej, dosłownie popchnęli go w jej ramiona. Pani Sanders, jak zauważył Paperman, obtańczyła następnie wszystkich marynarzy po kolei, najwyraźniej świetnie się bawiąc. Co do jej męża, ulotnił się po angielsku. Po prostu nagle zniknął jak kamfora.

Norman prosił do tańca wszystkie po kolei panie z grona gości, toteż w końcu trafiła w jego ramiona jedyna naprawdę ponętą dziewczyną w klubie „Rafa Mew” - wysoka, chuda blondynka o skośnych, brązowych, umalowanych oczach. Widywał ją wcześniej, jak ubrana w oszałamiające bikini i letnie sukienki pozowała do zdjęć na terenie klubu i w różnych malowniczych punktach wyspy łysemu kurdupłowi, fotografowi magazynów mody. Krasnal był najwyraźniej zupełnie nieczuły na wdzięki blondynki, traktował jej ciało jedynie jako obiekt do utrwalenia na światłoczułej kliszy. Wynurzał się spod czarnej kapy aparatu i przesuwiał nagie członki modelki z miejsca na miejsce, jakby miał do czynienia z manekinem, podczas gdy przyglądający się temu mężczyźni wytrzeszczali oczy i ślinili się z zazdrości. Modelka zachowywała w czasie tych sesji fotograficznych taką powagę, jakby nie przyjmowała właśnie prowokacyjnych póz, lecz rozwiązywała zadania algebraiczne. Paperman

oczywiście zwrócił na nią uwagę, ale w natłoku bieżących spraw nawet nie miał czasu zapytać o jej imię. Obecnie dowiedział się, że brzmiało Delphine. Dziewczyna, która nieźle wstawiła się już ponczem, z miejsca zaczęła Normana uwodzić. Wiedziała o jego przyjaźni z Danem Freedem. Najwyraźniej uznała Papermana za wpływowego faceta, więc Norman domyślił się od razu, że miałyby u niej szansę. W bieżącej gwarze Broadwayu Delphine została określona mianem „cizi do wyjęcia”, co oznaczało panienkę wolnego stanu skłoną do miłosnej przygody.

Odkrycie własnych szans przyniosło Normanowi umiarkowaną satysfakcję; jeszcze parę lat temu sprawiłoby mu nieporównanie większą radość. Obecnie uważał on „cizie do wyjęcia” za istoty raczej odstręczające. Zdobywanie łatwej dziewczyny przestało go jakoś podniecać. W jego wieku stanowiło raczej wątpliwą przyjemność, niewartą trudu. Ponadto, przy zaczynających się pojawiać problemach zdrowotnych wieku średniego, kwestia, kim byli jego poprzednicy - czy aby nie brudasami lub nosicielami zaraźliwych chorób - nabierała ogromnego znaczenia. Przede wszystkim zaś - choć nad tym aspektem Paperman wolał się nie zatrzymywać - nie miał już dostatecznej energii, by świadczyć usługi „ciziom do wyjęcia”.

Delphine sprawiła wszelako, że jego myśli pobiegły ku Iris. Dlaczego nie pojawiła się na przyjęciu? Zapragnął nagle rzucić okiem na „Różowy Domek”. Przekazał Delphine jakiemuś kawalerowi o gorących dłoniach i łuszczącym się czerwonym nosie, który włóczył się za nią po parkiecie niczym pies posokowiec, pożyczył od Churcha płaszcz nieprzemakalny i wybiegł na ulewny deszcz.

„Różowy Domek” spowijała ciemność. Kiedy Paperman

podszedł do drzwi, dobiegły zza nich groźne pomruki i powarkiwania. Głuche uderzenia ciężkiego cielska wskazywały, że wilczura nie przywiązano na łańcuchu, więc choć drzwi były solidne, Paperman wolał się spieszenie oddalić. Nie uszedł daleko, gdy dobiegł go rozespany głos Iris:

- Kto tam?... Ziółko, na litość boską, zamknij japę!... Kto tam?... Widzisz, pacanie, nikogo nie ma! Coś ci się przyśniło. Zamknij paszczę! Chcę spać.

- To ja, Iris! - zawołał

Paperman. - Norman!

- Norm? Czyś ty zwariował? Kto widział szwendać się po nocy w taką pogodę?

- Brakuje mi ciebie na

przyjęciu.

- Chyba jesteś troszeczkę wstawiony. Idź sobie, dobrze? Wyglądam okropnie.

- Przypięłaś swoje wielkie uszy gacka?

Parsknęła śmiechem.

- Prawie! Poczekaj chwilkę,

Norm. Nie mam ochoty wydzierać się przez zamknięte drzwi w taką ulewę.

Paperman skulił się pod kapiącym okapem i słuchał rozkosznego bulgotu wody w rynnach. Po chwili zapaliła się lampka nad wejściem i drzwi się uchyliły.

- Jesteś tu jeszcze? Wejdz na chwilę, a wyleczysz się na zawsze z pociągu do niejakiej Tramm. Terapia szokowa!

Iris miała na sobie jedwabny

zielony szlafroczek, włosy

opięte siateczką, twarz

zaróżowioną i błyszczącą

oleiście, jej nie umalowane oczy wydawały się mniejsze i zgaszone, a mimo to wydawała się Normanowi ogromnie ponętna. W pokoju paliła się tylko stojąca lampa ocieniona czerwonym abażurem. Wilczur siedział w kręgu światła, uszy postawił na sztorc, oblizywał jęzorem nos, a w gardzieli wzbierały mu złowrogie pomruki.

- Mój Boże, biedaku! -

wykrzyknęła Iris. - Ależ ty przemokłeś do nitki!

Norman otarł mokrą twarz.

- Chodź ze mną na przyjęcie.

Ziewnęła.

- Zwariowałeś? Doprowadzenie się do stanu oglądalności zabrałoby mi bite dwie godziny i wymagałoby ciężkiej pracy. Zresztą po co?

- Bądź człowiekiem! Nałóż trochę szminki, pudru i jakąś sukieneczkę. Pysznie się bawimy.

**Nie przestając ziewać,
pokręciła odmownie głową.**

- Wzięłam właśnie dwa proszki nasenne. Pędź z powrotem, skarbie, i zatańcz jeszcze raz z Reeną Sanders. - Uśmiechnęła się do Normana i pogroziła mu palcem.
- Mam tam szpiegów, widzisz. Zaskoczony, co?

Roześmiał się.

- Jadłaś kolację na tarasie?

Nie zauważyłem cię.

- Nie dziwię się, byłeś zbyt zajęty zabawianiem Jego Ekscelencji i pierwszej damy. Swoją drogą szalowy kociak, prawda? - Iris ponownie ziewnęła. - Słuchaj, za chwilę zwalę się na podłogę jak wór starych kości. Czy mogę przedtem coś dla ciebie zrobić? Może masz ochotę na drinka?

Norman zapiął płaszcz.

- No cóż, skoro się

nafaszerowałaś prochami, mówi się trudno. Wyruszam na wyprawę do dżungli Tysiąca Stopni.

- Dokąd? - Zamglone, przykryte ciężkimi powiekami oczy Iris rozszerzyły się i zabłyśły.

Opowiedział jej o Esm~e i pannie Buckley, a ona słuchała go oszołomiona i tylko kręciła głową.

- Ty jesteś stuknięty,

przysięgam! Ile to już szampanów wydudliłeś? Nie waż mi się wdrapywać dzisiejszej nocy na te schody, słyszysz? Nawet nie chcę o tym słyszeć! Wracaj do hotelu i urznij się jak bela. Dobrze ci to zrobi.

- Iris, jeśli urząd imigracyjny nie odnowi mi tych zezwoleń...

Pogroziła mu pięścią.

- Nie pojedziesz na ulicę Tysiąca Stopni, słyszysz mnie, Normanie Paperberg!... Paperman, chciałam powiedzieć. Swoją drogą, co za nazwisko.

Posłuchaj, Amaranthe czasem mi coś szyje. Prowadzimy ze sobą szczerą rozmowę. Zaprzyjaźniłyśmy się. Z samego rana odszukam ci przez nią tę twoją Esm~e. Zostaw to mnie. - Jej głos obniżył się i zaczął odpływać. Uwiesiła się Normanowi na szyi. - Obiecujesz? Żadnych wypraw do dżungli Tysiąca Stopni?

Objął jej miękkie ciało,
okryte gładkim jedwabnym

szlafroczkim. Iris nie była obiektem fotograficznym jak Delphine; nie miała już co prawda figury nastolatki, ale była atrakcyjną dojrzałą kobietą, nie zwykłą „cizią do wyjęcia”. Zawisła na Normanie, ciężka i bezwładna.

- Tylko mnie teraz nie zgwałć, ty brutalu bez zasad! - zamruczała. - Umarłam już dla świata, więc to byłaby właściwie... właściwie... nekrofilia...

Narzuta leżała już poza kanapą, poduszka była zmięta, cienki koc odrzucony na bok, wystarczyło zrobić tylko kilka kroków z lecącą przez ręce kobietą. Siedzacy na zadzie wilczur nie interweniował, ale nie spuszczał z Papermana spojrzenia jasnobrazowych ślepi. Iris pozwoliła, by Norman zdjął z niej szlafrok, z sennym bezwładem podnosząc ręce, jak Hazel, gdy była malutka. Na widok kusej i przezroczystej koszulki nocnej brzoskwiniowego koloru pożałował, że Iris poczyniła tę uwagę o nekrofilii i zaapelowała do jego honoru. Ułożył ją na kanapie i zgasił światło, a gdy wyciągnęła do niego rękę i zamruczała coś niezrozumiale, nachylił się i pocałował ją w usta, ale tylko raz. Potem wyszedł na siekący deszcz.

Zabawa trwała w najlepsze, hotel szumiał radosnym gwarem. Szczególnie hałaśliwie bawiło się towarzystwo w głębi holu. Dwaj marynarze trzymali równolegle nad ziemią długi kij, a ustawieni w kolejce goście hotelowi, marynarze i tubylcy przechodzili pod nim - a w każdym razie próbowali tego dokonać - posuwistym krokiem, twarzami do góry, przeginając do tyłu plecy. Limbo»* musiało trwać już długo, bo kij opuszczony był nisko i biali, którzy usiłowali pod nim przejść na nogach ugiętych w kolanach, z przegiętymi w tył korpusami, przeważnie padali na wznak, wzbudzając salwy śmiechu. Natomiast Kinjanie bez większego trudu przewijali się zręcznie pod drągiem. Sztuka ta udawała się również dwóm spośród marynarzy; choć nie tak płynnie jak krajowcy, przeciskali się pod kijem z szybkością znamionującą dużą wprawę. Okazało się jednak, że prawdziwą gwiazdą tej zabawy jest Delphine. Jej obcisła beżowa suknia nie pozwalała na swobodne ugięcie kolan, ale „cizia do wyjęcia”, gdy przyszła jej kolej, poradziła sobie z tą przeszkodą: podkasała mianowicie suknię aż do bioder i z odrzuconą do tyłu głową i wygiętymi w pałak plecami prześliznęła się pod kijem na szeroko rozstawionych, zgiętych nogach. Gdy zaś dokonywała tego wyczynu, oczom widzów ukazały się w całej okazałości jej nagie uda aż po ich naturalny punkt styczny, przesłonięty tylko cienkim pasemkiem różowego nylonu. Wyprostowawszy się po drugiej stronie przeszkody, obciągnęła suknię przy aplauzie widzów, po to wszak jedynie, by ją wkrótce znowu podkasać przy ponownej próbie przejścia pod jeszcze niżej opuszczonym kijem. Marynarze i goście hotelowi wybałuszili oczy i głośno bili brawo, kobiety, o dziwo, równie frenetycznie jak mężczyźni. Tylko Kinjanie spoglądali po sobie niepewnie i na ogół wstydliwie odwracali wzrok od tego darmowego striptizu Delphine.

Wywodzący się z Indii
Zachodnich taniec, w którym
przeięci do tyłu tancerze
próbują przejść na ugiętych
nogach pod coraz niżej
opuszczanym kijem.

Norman Paperman doznał nowego dla siebie uczucia: wstydu za całą białą rasę. Cokolwiek dałoby się powiedzieć o Kinjanach - a dość się wycierpiał przez ich skrytość, prymitywizm i dziwactwa - musiał przyznać, że ich skromność graniczyła z surowością moralną. Jedyna Murzynka, jaka pozostała w limbo, kelnerka z klubu „Rafa Mew”, kiedy przychodziła jej kolej, wciskała pomarańczową bawełnianą, nie rozpinaną spódnicę głęboko między uda. Gdy Delphine podejmowała swą kolejną próbę, dziewczyna zmarszczyła z niesmakiem nos, szepnęła coś do ucha czarnego chłopca, najzręczniejszego zresztą tancerza z całego towarzystwa, po czym oboje oddalili się. Norman podszedł do stołu i wypił duszkiem jedną po drugiej trzy szklanki ponczu. Po powrocie od Iris na to rozhukane przyjęcie dopadło go nieoczekiwane uczucie

samotności i tęsknoty za domem. Powziął także pewność, że zabawa we właściciela tego groteskowego hoteliku na Karaibach, w którym tłum obcych ludzi wił się, wył, pohukiwał i żłopał poncz do rytmu topornej muzyki, zakrawała na czyste szaleństwo. Norman Paperman swego czasu brał udział w wielu pijackich burdach i bywał świadkiem występów bez porównania bardziej wyuzdanych od tego popisu Delphine. Teraz jednak wiedział z całą pewnością, że tamten okres jego życia należał już do bezpowrotnie minionej przeszłości. Ta „cizia do wyjęcia” napawała go taką odrazą, jaką przejmowałaby z pewnością jego ortodoksyjnego ojca, bywalca synagogi. Ledwo to sobie uświadomił, jego beztroski nastrój bawidamka z Broadwayu rozwiął się, ustępując miejsca surowości mroźnej, zimowej nocy. Szampan robił jednak swoje. Norman nurzał się przez jakiś czas w smętnej melancholii, patrząc na rozhasanych spoconych tancerzy i rozmyślając o marności świata, kruchości i chwilowości ludzkiego bytowania na tym padole oraz podobnych otchłannych, niestrawnych przedmiotach, z wolna jednak świat – a w każdym razie hol klubu „Rafa Mew” – zaczął mu się mienić jaśniejszymi barwami. Norman Paperman wychylił kolejny kieliszek – i oto znalazł się na powrót w starym, dobrym świecie, któremu niczego nie brakowało. Uznał, że przyjęcie jest naprawdę boskie i zaczął żałować, że taniec limbo już się skończył i Delphine przeginała się przykładowie w ospałym twiście w parze z czerwono nosym kawalerem przy wielce niezdarnym łomocie zespołu stalowych bębnow. Normanowi wróciła chęć, nawet całkiem żywa, do oglądania bielizny modelki – niestety, okazja minęła. Wychylił więc jeszcze jeden kieliszek, „na drugą nogę”, i poprosił do tańca jedną z kelnerek. To, co nastąpiło później, zapisało się nader mgliście w jego pamięci. Dużo tańczył, wypił morze szampana i prawdopodobnie opowiadał mnóstwo niezwykle zabawnych anegdotek, ponieważ każdy, z kim rozmawiał, pokładał się ze śmiechu. Sam Paperman również śmiał się nieustannie. Zdał sobie sprawę, że bawi się tak wesoło po raz pierwszy od momentu kupna klubu „Rafa Mew”. Uznał, że wydanie przyjęcia z szampanem było wspaniałym pomysłem, i postanowił organizować podobne raz w tygodniu, bez względu na to czy będzie brakowało wody, czy nie. Tańczył z Reeną Sanders, a choć nie mógł sobie przypomnieć ani słówka z tego, co mówił, egzotyczna dama zaśmiewała się tak serdecznie, że stale gubiła rytm. W pewnym momencie odtańczył w kręgu klaszczących i wiwatujących balowiczów merengue w parze z Hassimem; pulchny Turek w pomarańczowych szarawarach, wcale nie odpychający, urzekł go jako nieodparcie śmieszna karykatura tłustej damy. W końcu zorganizowano nowe limbo i Paperman ustawił się ochoczo w szeregu tancerzy, padł jednak na plecy za pierwszą zaraz próbą przejścia pod kijem, co wywołało wybuch szalonej radości. Delphine hojnie raz po raz ukazywała figi ze skwapliwością małej dziewczynki, bawiącej się w doktora, a i kilka mniej apetycznych kobiet spośród gości odważyło się pójść w jej ślady. Podlewany szampanem śmiechom, żartom, krzykom i rozkoszom podglądactwa nie byłoby końca, gdyby nagle nie zerwał się brezent. Zaskoczenie było kompletne. Niczym grom z jasnego nieba przeleciała przez hol brunatna, rozłopotana ściana, zmiatając z drogi rozdokazywany tłum tancerzy, muzyków, stalowe bębny, krzesła i oba stoły z ponczem, po czym rzuciła całe to kłębowisko na jedną stertę, eksplodującą krzykami, stukotami, piskami i brzękiem tłuczonego szkła. Olbrzymie płótno chlasnęło o przeciwległą ścianę i osunęło się po niej z furkotem i łopotem, a do holu, przez dziurę na całą ścianę i ruinę dawnej jadalni, wpadł na pobożowisko wiatr, zacinając strugami ciepłej

tropikalnej ulewy. Materiały budowlane Akersa - okna, framugi drzwi, płyty sklejk, umywalki, skrzynie z kafelkami, żaluzje - leżały w skotłowanych, przesiąkniętych wodą stosach.

Niektóre skrzynie się rozpadły i na podłodze walało się kilkadziesiąt sedesów, setki mosiężnych klamek, krzyżowały się długie pasma rozwiniętych z rolek, rozmokłych i trzepoczących na wietrze srebrno_czerwonych tapet.

Wichura, osiagająca w porywach prędkość siedemdziesięciu kilometrów na godzinę, szeleściła aluminiowymi żaluzjami, miotała arkuszami sklejk i ciskała na swe ofiary w holu, które dźwigały się z ziemi i oszołomione rozglądały dokoła, krople deszczu, zielone liście, strzępki papieru i mokrą wełnę drzewną.

Na zniszczenie i bałagan nie zwracano początkowo uwagi, gdyż skupiał ją zaścielający pół holu i zmięty pod przeciwległą ścianą brezent, który kotłował się w sposób, którego przyczyną nie mógł być jedynie wiatr.

Szamotało się pod nim mianowicie kilka brylastych kształtów, wydając stłumione okrzyki protestu.

Marynarze, Church i Paperman rzucili się na ratunek uwięzionym. Mocno się napocili, nim udało im się odciągnąć i unieść niewiarygodnie ciężkie, nasiąknięte wodą brunatne płótno i wyswobodzić trójkę gości, wśród nich czerwonoosobego kawalera i nauczycielkę z Yonkers, która śmiała się historycznie i płakała na przemian. Potem brezent zafalował i wypełznął spod niego o własnych siłach drobny marynarzyk w białym mundurze, brudnym jak święta ziemia i na wskroś przemoczonym. Klęcząc na czworakach, rozejrzał się wokół siebie z gapiowatym uśmiechem i odezwał się z akcentem mieszkańca Południa:
- Ja cię kręcę, ale fajowy ubaw! Czy bar jeszcze działa?

Większość gości przyjęła to zapytanie wybuchem gromkiego śmiechu. Wyłopali dostatecznie dużo ponczu z szampana, by uważać wszelkie nieszczęścia i katastrofy za zdarzenia zabawne. Norman, który nie przestawał rzeć jak opętany, odkąd brezent odbył swój krótki, obłądny przelot przez hol, wrzasnął w przypływie natchnienia:

- Oczywiście, kolego!

Zapraszam wszystkich do baru! Od tej chwili aż do białego rana pijecie państwo na koszt klubu!

Wznosząc wiwaty całe towarzystwo - muzycy, goście, kelnerki i marynarze - runęło, przepychając się, do baru. Gubernatorowa Sanders kroczyła pod ramię z Papermanem i Hassimem i wszyscy troje ryczeli na całe gardło refren niewyszukanej piosenki:

**Karnawał taki słodki jest@
prosimy@ nie przerywajcie
karnawału...@**

Church zamknął drzwi do holu i dawnej jadalni i zasłonił w ten sposób całe pobojuwisko: skotłowany brezent, powywracane meble, odłamki szkła pobłyskujące na mokrych i śliskich kafelkach posadzki, spiętrzone w osypujących się

stosach zwały materiałów
budowlanych, burzonych
gwałtownymi porywami wiatru, wreszcie własnoręcznie przez siebie wycięte
czerwone litery, tworzące hasło „Champagne si, aqua no”, które pływało obecnie
na środku holu w kałuży deszczowej wody.

**Karnawał taki słodki jest@
prosimy@ nie przerywajcie
karnawału...@**

1 1 64 0 0 108 1 ff 1 32 1 śpiewał dalej za zamkniętymi drzwiami baru tercet
złożony z Papermana, Turka_pedała i czarnej małżonki gubernatora.
1 1 64 0 2 108 1 ff 1 32 1 Padało przez całą noc, więc poziom wody w cysternie
stałe się podnosił. Norman Paperman nie zawracał sobie jednak głowy podobnymi
drobiazgami. „Pan hotelarz” nareszcie wybornie się bawił.

4

Nie pamiętał, jak, ani kiedy, położył się do łóżka, lecz najwyraźniej to
uczynił, ponieważ obudził się w nim nazajutrz, w pokoju na piętrze, pod skośnym
sufitem w róże wielkie jak piłki do koszykówki. Obudził się z tak
przeszywającym bólem głowy, jakiego jeszcze w życiu nie zaznał - jakby w czaszce
tkwiła mu wielka kanciasta bryła o wielu ostrych krawędziach - do tego z ohydny
smakiem w ustach, z waleniem serca, z odrętwiałym aż po koniuszki drżących
palców lewym ramieniem, wreszcie z ogólnym okropnym samopoczuciem, wobec którego
śmierć wydawała się przeżyciem zgoła pożądanym. Doświadczał, jednym słowem,
kacenjamera po szampanie. Orientował się, posiadał tę wiedzę już przed
trzydziestu laty, że to najgorszy ze wszystkich gatunków kaca. Co go opętało,
żeby wyżłopać takie ilości podłego szampana, przyprawionego z piekielną
złośliwością syropem z granatów i posłodzonego cukrem? Na samo wspomnienie
wstrętnego ulepka chwyciły Papermana mdłości.

Usiadł z głuchym jękiem, w głowie mu huczało, oczy bolały od jaskrawego blasku
wlewającego się przez okno słońca. Pukanie do drzwi rozległo się ponownie, tym
razem głośniejsze i bardziej natarczywe. Norman uświadomił sobie, że ze snu
wyrwał go nie tyle opłakany stan, w jakim się znajdował, co normalna w klubie
„Rafa Mew” pobudka, czyli stukanie kostkami palców do drzwi, zwiastujące jakąś
nową katastrofę.

- Kto... O, Chryste Jezu!...

Kto tam?... Co się stało?

- Sieja, plosie pana. Musię ś panem mówić. Siklo mi, zie pana niepokoję.

- Daj mi dwie minuty, Sheilo.

Niezależnie od medycznych teorii i przestróg, klin był jedynym lekarstwem na tak
gigantycznego kaca. Norman powłókł się do łazienki i szklanką wody z kranu z
dodatkiem szkockiej whisky popił jedną z owalnych żółtych pigułek, które Henny
zażywała przeciwko migrenie, a które, co odkrył już dawno, działały na jego
organizm jak niezawodne tabletki od bólu głowy, rozjaśniając mu umysł na mniej
więcej cztery godziny, co prawda za cenę okropnych dreszczy, jakie nim następnie
wstrząsały zazwyczaj przez całą dobę. Po natarczywości, z jaką kostki Sheili
uderzały o drzwi, Norman odgadł, że nadchodzący ranek będzie odeń wymagał

przenikliwości umysłu i hartu ducha. Psiamać, po kiego licha wyżłopał takie ilości tej różowej lury! Uczesał się, umył zęby, przepłukał usta środkiem do dezynfekcji jamy ustnej, podszedł chwiejnym krokiem do drzwi i otworzył je bohatersko.

Najgorsza z wiadomości, jakie przyniosła mu kucharka, brzmiała następująco: wszystkie pokojówki

- w liczbie sześciu - porzuciły pracę. Amaranthe poinformowała o ich decyzji przez Virgila, nie dodając żadnych wyjaśnień. Już od siódmej rano dobiegały ze wszystkich pokoi rozpaczliwe wołania o wodę. Teraz dochodziła dziesiąta; Millard padał na nos ze zmęczenia od ciągłego biegania po schodach, mimo że Virgil mu pomagał. Goście pieklili się, a niektórzy zamierzali nawet opuścić hotel. Na razie nie było mowy o tym, by można się zająć zniszczeniami po nocnej przygodzie; hol i dawna jadalnia wciąż wyglądały - jak to ujęła Sheila - „jakby na nasz hotel spadł potop Noja”. Z urzędu imigracyjnego dzwoniło już trzy razy. Z Nowego Jorku przyszedł telegram z prośbą o przysłanie czeku na tysiąc osiemset dolarów, potrzebnych do zakupu prowiantów na przyjęcie Tilsonów. To już chyba wszystko, zakończyła Sheila.

- Sheilo, muszę natychmiast coś zjeść - ściskając skronie wystękał Paperman. - Zrób mi... omlet z grzybami. Tylko migiem!

- Topsisie, plosie pana. Odejdźcie pokojówek to poważna śplawa. Na Kinji blakuje pokojówek. Myślę, że one odešły ś powodu Esm~e.

- Czy kelnerki ze stołówki nie mogłyby zamiast nich posłać dzisiaj łózek?

- Wyklucione, plosie pana,

śfiąziek siulowo tego ziablania.

Pobojowisko w holu wyglądało tak strasznie, że Norman przemknął na taras jadalny odwracając oczy od tego widoku.

Wielu gości, wszyscy posepni,
ponuro milczący, z

zaczerwienionymi oczami,

guzdrało się jeszcze ze

śniadaniem. Iris Tramm w

jedwabnej niebieskiej bluzce w złote grochy i białych obcisłych szortach

siedziała przy stoliku w rogu tarasu. W skośnych promieniach słońca jaśniała

świeżością i urodą, a może tak się tylko przedstawiała oczom Papermana przez

miłosierzną przesłonę okularów słonecznych i oszołomienia, wywołanego klinem ze

szkockiej whisky z domieszką żółtej pigułki, która zaczęła już swe działanie

krzepiące ducha. Obok Iris, przywiązany smyczą do nogi stołu, siedział Ziółko, a

jego pani karmiła go resztkami bekonu.

- Proszę cię, nic nie mów - przywitała Normana, kiedy do niej podszedł. - Na

taras jadalny nie wolno wprowadzać psów, wiem o tym. Zaraz znikamy. Przemyciałam go ukradkiem, bo ma dziś urodziny.

- Nie odchodź. - Opadł z

jękiem na krzesło naprzeciwko pani Tramm. - Jestem złakniony towarzystwa.

- Wyobrażam sobie! Co za

tajfun przeszedł wczorajszej nocy przez hol?

- Pozwól mi najpierw coś

przekąsić. Potem ci wszystko opowiem - wystękał i ukrył twarz w dłoniach.

- Nie poszedłeś na ulicę

Tysiąca Stopni, prawda? Rano poważnie się o ciebie martwiłam.

- Tysiąc Stopni? Ach, nie! A Bóg mi świadkiem, że powinienem.

Przyniesiono mu omlet z grzybami. Słońce mile grzało Normana w plecy, ledwo zaś przełknął kilka kęsów, whisky i pigułka wzmogły swe dobroczynne działanie.

Poczuł się znacznie lepiej. Wiedział, że ten stan nie potrwa długo, ale na razie oddychał z ulgą. Kiedy wyliczał Iris nieszczęścia, jakie się zdarzyły w czasie

przyjęcia i o jakich dowiedział się z rana, zjawił się poszarzały na twarzy Church, aby oznajmić, że wymeldowała się właśnie już czwarta para małżeńska.

- Jakiś czas sam próbowałem nosić wodę, proszę pana, ale

tylu ich siedzi w barze,
próbując leczyć kaca po
wczorajszym, że...

- Trwaj za lada, chłopcze.

Przecierp to jakoś, póki nie znajdę Esm~e. Prosto stąd pędzę na ulicę Tysiąca Stopni. Kiedy Esm~e wróci, wrócą i pozostałe.

Church zagryzł wargę i skubnął bródkę.

- Obawiam się, że straci pan tylko czas, proszę pana. Sądzę, że Esm~e się gdzieś zaszyła. Zapowiadała, że to zrobi. Zajmę się tym bałaganem w holu, jak tylko znajdę wolną chwilę. Zdaję sobie sprawę, że jest w opłakanym stanie.

Church pokiwał ze smutkiem głową i odszedł wicherząc brodę.

Iris odwiązała wilczura od nogi stolika.

- Odprowadzę tylko Ziółko i biorę się za sprzątanie.

- Ty? Wykluczone!

- Podczas wojny pracowałam w szpitalu jako ochotniczka. Potrafię sprzątnąć dziesięć tych pokoi w czasie, gdy te ciućmy z Nevis sprzątają jeden.

- Słuchaj, skoro tak, lepiej, żebym ja się za to wziął.

- Istotnie, nie zawadziłoby,

gdybyś mi pomógł, Norm. Co dwie pary rąk, to nie jedna. Kiedy twoi goście zobaczą, jak skacowany właściciel hotelu osobiście sprząta pokoje, może obudzi się w nich współczucie i zdecydują się zostać.

- Ty też jesteś tu gościem, Iris, nie pokojówka.

- Chodzi tylko o dzisiejszy ranek. Kiedy uporamy się z tymi pokojami, odszukam Amaranthe, a ona sprowadzi z powrotem resztę dziewcząt. Znajdź sobie jakąś ścierę, wiadro, i uszy do góry!

Okazało się, że tak początkowo trudna do wyobrażenia czynność jak sprzątanie pokoi stała się dzięki towarzystwu Iris pyszną zabawą, gdy tylko Paperman nabrał trochę wprawy. Żartowali sobie oboje z bagaży gości, ich ubrań i fotografii, na jakie natrafiali. Norman nie zdawał sobie dotąd sprawy z tego, w jakim stopniu wolny dostęp do pokoi pozwala pokojówkom wnikać w prywatność ich mieszkańców, ani z tego, jak dokładnie charakteryzują goście takie drobiazgi, jak stan łazienki, sposób wieszania ubrań, czytane książki i czasopisma, oraz porozrzucane po pokoju bardziej intymne przedmioty; w największe jednak zaskoczenie wprawilo go odkrycie, jakimi bałaganiarzami była większość gości. Szybko odkrył w sobie smykałkę do słania łóżek, operacji, której nie wykonywał od czasów skautowskich, i odtąd oboje z Iris posuwali się szybko wzdłuż korytarza. Po jakiejś półgodzinie - trzepali właśnie prześcieradło w jednym z pokoi, zanosząc się ze śmiechu, bo wypadł z niego fikuśny damski dół od piżamy - podłoga zadrżała im nagle pod stopami, a do ich uszu dobiegł daleki hurkot, jakby wielkich gładów staczających się po stoku. Zamarli oboje w bezruchu i tylko patrzyli na siebie ze zdumieniem ponad rozpiętym w rękach prześcieradłem.

- To nie jest trzęsienie ziemi

- oświadczyła po chwili Iris zdławionym głosem. - To coś zupełnie innego...

- Cii!... - syknął Norman nasłuchując. Gwałtowny wstrząs, niepodobny do żadnego z odgłosów towarzyszących codziennemu funkcjonowaniu hotelu, targnął podłogę. Paperman rzucił prześcieradło, wyskoczył z pokoju, zbiegł po schodach i przez pobożowisko w holu wypadł na taras taneczny. Przez czerwone płytki parkietu na skraju tarasu biegło zygzakowate pęknięcie, a część balustrady całkiem zniknęła. Przechylając się nad jej ocalałym szczątkiem,

Paperman ujrzał strumień zielonkawej wody, buchający z fundamentów budynku niczym krew z poderżniętego gardła. Zbiornik pękł i woda chlustała zeń strugą szeroką na jakieś półtora metra. Goście stali na plaży i podziwiali to nowe widowisko, komentując je głośno wśród wybuchów śmiechu.

Paperman przyglądał się z góry tej nowej katastrofie, oznaczającej niewątpliwie kres jego karaibskiej przygody. Znieruchomiały ze zgrozy zaciskał palce na balustradzie, a do oczu napływały mu łzy. W pewnej chwili poczuł na dłoni ciepła

dłoń Iris, lecz wstydził się spojrzeć na swoją przyjaciółkę lub choćby do niej odezwać.

- Przykro mi, Norm - szepnęła ochryplym głosem pełnym szczerego współczucia. - Naprawdę ogromnie mi przykro...

Usłyszawszy w jej głosie ton babskiej rozpacz, Paperman poczuł przypływ świeżych sił. Odchrząknął.

- Trudna rada, trzeba zejść na dół i ocenić rozmiar zniszczeń. Hotel, jak widać, jeszcze nie całkiem runął. Podobnie jak sklepienie niebios...

Mniej więcej przez pięć minut woda wylewała się z pękniętej cysterny wyżłobionym w poprzek plaży głębokim rowem. Paperman stał nad rwącym potokiem w towarzystwie Iris, Churcha i Sheili. Miał dość czasu, by oszacować w pełni rozmiar totalnej porażki, jaką poniósł: ruina w dawnej sali gier, zburzona ściana tamże, nie naprawiona awaria elektryczności, unieruchomiona pompa, dezercja pokojówek, zerowe konto w banku, nie opłacone rachunki, nieunikniona ucieczka większości gości po tej ostatniej katastrofie. Nie mówiąc już o tym, że nie mógł przyjąć nowych. Do prowadzenia hotelu potrzebował niezbędnie wody.

Strumień w piaszczystym kanionie spowolnił bieg - saczył się teraz leniwie. Wyrwa w murze, wyraźnie obecnie widoczna od góry do dołu, miała kształt poszarpanej, pochyłej litery V. Jeden jej bok był niemal pionowy, natomiast drugi, skośny, biegł zygzakowatą linią od pęknięcia w tarasie aż do poziomu gruntu. Na plaży leżały wielkie kęsy muru, a z krawędzi wyrwy wystawały niebieskie i brązowe głązy.

Goście, stojący gromadką za plecami Papermana, już się nie śmiali. Stali w milczeniu lub szeptali coś między sobą z zakłopotanymi minami uczestników pogrzebu. Sheila płakała, ocierając fartuchem oczy.

- Nie siącałam, zie będzie tak lać - wychlipała. - Zieby tile wody spadło, zieby tile wody!...

Paperman poklepał ją po ramieniu.

- To nie twoja wina, Sheilo.

To ja powinienem był o tym pomyśleć i zawczasu odkręcić zawór. Nie zrobiłem tego, zbiornik pękł i tyle.

Nie zwracając uwagi na błotnisty piasek, wlewający mu się do butów, podszedł do wyrwy w murze i zajrzał do cysterny. Promień słońca oświetlał jej przestronne wnętrze. W przeciwległej ścianie lśniły wilgotne kamienie, na dnie zalegała gruba na wiele centymetrów warstwa brunatnego szlamu.

- Halo! - krzyknął Paperman, a echo powtórzyło głucho to głupie zawołanie.

Wrócił do Iris, Churcha i Sheili, którzy trzymali się razem, stojąc nieco na uboczu od gromadki gapiów.

- Tak, jak przewidywałem - rzekł. - Zbiornik jest pusty. - Odwrócił się w stronę gości hotelowych i rozłożył ręce. - Może ktoś z państwa ma ochotę na szampana?

Nikt się nie roześmiał.

Odpowiedziało mu milczenie.

Sheila przestała płakać, a na jej pulchnej twarzy pojawił się wyraz zaciętości.

- Włócię o pielsiej, panie Pej_pom. Obiad jeś na pieciu, musi pan tilko kazać ziewcinom go podać.

Odeszła, ocierając grzbietem dłoni oczy.

- Dokąd idziesz, Sheilo? - zawołał za nią Paperman. - Jesteś mi potrzebna!

Odwróciła okrągłe czarne oblicze i obrzuciła go pustym spojrzeniem.

- Ja włócie, panie Pej_pom.

Siśtko się tu u nas żbitnio pokiełbaśilo. Widzie, zie nie ma innego wijścia i cieba śplowadzić Hippolyte'a.

Część III

Część trzecia

Karnawał taki słodki jest

Rozdział jedenasty

Hippolyte Lamartine

1

W ciągu dziesięciu następnych dni zaszły w klubie „Rafa Mew” szokujące zmiany.

Cysterna została zreperowana,

taras taneczny na nowo wyłożony kafelkami, balustrada naprawiona. Pompa działała bez zarzutu. Wody nie brakowało i we wszystkich pokojach był prąd. Pokojówki, wśród nich Esme, wróciły do pracy. Christophine Buckley przestała wydzwaniać. Hol został doprowadzony do porządku i aż lśnił czystością. Co zaś najbardziej zaskakujące - do tego stopnia, że Paperman każdego ranka przecierał ze zdumienia oczy na ów widok - dawna jadalnia została przerobiona na pokoje sypialne! Na miejscu zburzonego przez Akersa muru wznosiła się surowa ściana z żużlowych bloków z czterema oknami żaluzjowymi. Większość ścianek działowych już stała, rury kanalizacyjne zostały doprowadzone i wszystko wskazywało na to, że pokoje

będą gotowe na wigilię. To wszystko stało się za sprawą Hippolyte'a Lamartine'a i jego dziwacznej brygady.

Hippolyte Lamartine był szerokim w barach, przysadzistym mężczyzną wzrostu nieco powyżej średniego. Miał okrągłą, bladą, pokrytą czerwonymi plamami twarz o łuszczącej się skórze i gęste, proste, czarne włosy nad niskim czołem. Nosił nieodmiennie grubą koszulę khaki, zapiętą pod szyją i wokół nadgarstków, także spodnie oraz słomkowy kapelusz z szerokim rondem, wystrzępionym i z przodu załamany ku dołowi. Chodził zawsze bosy. Podeszwy stóp i paznokcie u wielkich paluchów sprawiały wrażenie zrogowaciałych jak u zwierząt.

**Miał małe, blisko siebie
osadzone oczka - nadawało mu to
wygląd wiecznie zdziwionego,
zezowatego gamonia - czoło
poorane głębokimi zmarszczkami
zatroskania, zbiegającymi się u
nasady grubego krótkiego nosa,
usta stale zaciśnięte, opadające
u kącików, tak że warg nie było
niemal widać. Kiedy się odzywał**

- co się nieczęsto zdarzało - ukazywały się między nimi nierówne, brudne zęby. Wszędzie nosił ze sobą długą zakrzywioną maczetę z czerwoną drewnianą rączką; nazywał ją „szablą”. Kiedy nie miał nic lepszego do roboty, wecował tę „szablę” na gładkim kwadratowym kamieniu, czemu towarzyszył przeraźliwy zgrzyt ostrzonego żelaza. Pod wieczór chował się do szopy ogrodnika za kuchnią, wdrapywał na drewnianą pryczę, którą przybił nad łóżkiem Millarda zaraz pierwszego dnia po przyjeździe, i zasypiał, mając swą „szablę” u boku. Przed świtem brał się z powrotem do pracy.

Cysterne naprawił w ciągu kilku zaledwie dni, wspomagany przez dwóch białych mężczyzn, ubranych tak samo jak on i tak do niego podobnych jak rodzeni bracia. Wszyscy trzej porozumiewali się między sobą jakimiś barbarzyńskimi, gardłowymi chrząknięciami. Kiedy Paperman, chcąc się zaprezentować jako człowiek towarzyski, zapytał Hippolyte'a, czy ci pomocnicy są w istocie jego braćmi, ów pokręcił tylko głową i zaczął rozmawiać z tamtymi dwoma chrząknięciami, które z pewnością nie należały do żadnego z języków Indii Zachodnich. Zdaniem Papermana nie był to również język francuski, choć tak twierdziła Sheila.

Kucharka unikała skądinąd jak ognia rozmów o tym odmieńcu. Gdy Paperman zaczął ją naciskać, wydusiła z siebie, że Hippolyte jest Francuzem z Gwadelupy. Na zachodnim krańcu Kinji, za polami trzciny cukrowej, na skalistym nadmorskim brzegu znajduje się osada białych krajowców z Gwadelupy, którzy zajmują się głównie rybołówstwem i budownictwem. Norman spróbował zagadnąć Hippolyte'a po francusku, lecz tamten tylko spojrzał nań wilkiem, jakby szef wybełkotał coś niezrozumiałe.

Lamartine rozumiał po angielsku, choć zazwyczaj obrzucał Normana takim samym niechętnym spojrzeniem wyrażającym

kompletny brak zrozumienia, kiedy Paperman zadawał mu jakieś pytanie lub wydawał polecenie w tym języku. Prawdę powiedziawszy, nie zwracał zbytnej uwagi na nic, co się do niego mówiło. Wrócił do klubu „Rafa Mew” niczym właściciel, który po kilkuletniej nieobecności przystępuje do prac remontowych, aby naprawić to, co w tym okresie uległo zniszczeniu z winy niekompetentnych zarządców.

Nie raczył nikomu wyjaśnić, co spowodowało awarię

elektryczności. Zaraz po

przyjeździe zniknął po prostu w piwnicy pod hotelem, a kiedy się w jakiś czas potem stamtąd wyłonił, cały upiaszczony i umazany smarami, obwód elektryczny był już naprawiony, w całym hotelu paliły się światła, zaś pompa pracowała miarowo, ciągnąc wodę z zapasowego zbiornika. Paperman mozolił się nad księgami w biurze,

kiedy poczuł przez podłogę życiodajne tętno tego mechanizmu. Zbiegł czym prędzej na plażę, by podziękować wybawcy, który dopiero co wypełził z piwnicy, otrzepywał się z piasku i wycierał szmatą usmarowane ręce. Hippolyte z zatroskaną i obojętną zarazem miną wysłuchiwał radosnych gratulacji szefa, łąpiąc na niego zezem, po czym podniósł szpadel i oddalił się w milczeniu. Norman pospieszył za nim, zatrzymał się jednak, gdy Hippolyte wmaszerował przez wyrwę w ścianie do wnętrza cysterny, rozchlapując sięgające mu do kostek bosych stóp błocko, po czym najspokojniej w świecie zaczął wyrzucać łopata obrzydliwą brunatną maź.

- Niech pan posłucha -
krzyknął Paperman w dudniącą echem pieczarę zbiornika - chciałbym omówić z panem kwestię wynagrodzenia. Ile pan tu przedtem zarabiał?
- Sto dolarów na miesiąc.
- Na początek dam panu sto dwadzieścia pięć.
- Może bycz - burknął Francuz opryskliwym tonem.
- Jeśli wszystko pójdzie dobrze, podniosę panu pensję.
- Się sobaszy.

Później, jeszcze tego samego dnia, na Rafę Mew przyplłynęli dużą motorówką dwaj pomocnicy dziwnego Francuza. Przywieźli betoniarke, taczke, stos kamieni, sterty cegły żuźlowej oraz worki gipsu. Paperman zaniepokoił się nie na żarty o koszt całej operacji i próbował wypytać Hippolyte'a o cenę materiałów, koszt wynajęcia barki i pensję jego pomocników, lecz nie udało mu się uzyskać żadnej odpowiedzi. Wszyscy trzej przystąpili do rozładunku; wymieniając między sobą jakieś chrapliwe chrząknięcia bezceremonialnie zepchnęli Papermana na bok. W końcu Norman, zdesperowany, zastąpił Hippolyte'owi drogę, kiedy ten brnął po piasku, uginając się pod ciężarem dwóch worków gipsu.

- Niech pan posłucha, muszę wiedzieć choćby w przybliżeniu, ile to wszystko będzie kosztowało!
- Jeszcze ne wiem.

Hippolyte usiłował odepchnąć go barkiem, ale Paperman nie ustąpił.

- Nie chce pan zaliczki za wynajęcie łodzi, za materiały?
- Ne.
- Ile wyniesie dniówka pańskich ludzi?
- Się sobaszy.

Zszedłszy nazajutrz na dół, Paperman ujrzał jakichś siedmiu nieznanymych mężczyzn; sprząтали dawną jadalnię, układali w sterty porozrzucane płyty sklejk i sedesy, składali upaprane farbą ubrania i narzędzia elektryczne.

Znajdowało się wśród nich kilku białych podobnych do Hippolyte'a, resztę stanowili krzepcy Murzyni. Norman odniósł wrażenie, że rozpoznaje wśród tych ostatnich członków brygady Akersa, ale pewności nie miał. Po raz kolejny próbował rozmówić się z Hippolyte'em, który zdażył już zbudować znaczną część nowej ściany cysterny. Kiedy i tym razem milczek łąpnął nań tylko zezem, Paperman stracił resztkę cierpliwości i ryknął:

- Słuchaj pan, skąd pańscy ludzie wiedzą, co mają robić? Nie mają żadnych rysunków, projektów, żadnej dokumentacji, nic! Bo przecież nie mają, zgadłem? Kto nimi kieruje? Ile to wszystko ma kosztować? Doceniam znakomitą robotę, jaka pan dla mnie wykonuje, ale chcę wiedzieć, co tu się, u diabła ciężkiego, wyczynia!
- Przyjdę później do biurha.

W jakieś dwie godziny później istotnie zjawił się w biurze, ubielony od stóp do głów gipsowym pyłem, ostrząc swą wielką maczetę.

- Gdzie ma plany?

Paperman pogrzebał w biurku i wy dobył rulony szkiców Akersa oraz teczkę z dokumentacją techniczną. Francuz rozwinął arkusze i przycisnął je maczetą, po

czym obejrzał, karta po karcie, sunąc brudnymi paluchami wzdłuż planów sieci instalacji elektrycznej i wodociągowej; robił przy tym zatroskaną minę i marszczył nos niczym królik. Potem zwinął plany i wetknął je pod pachę razem z teczką.

- Ma dłuście dolahrów?

- Owszem, mam dwieście dolarów.

- Poczebuję dłuście dolahrów.

Późnej więcej.

- Ma pan zamiar wykonać całą robotę własnymi siłami?

- W zeszłym roku ja byłem

brhygadzistą pan Akers.

- Hm... A na jaką sumę szacowałby pan całość prac?

- Niedużo.

- Jak pan przewiduje, ile czasu to panu zajmie?

- Niedługo.

Paperman musiał niezwłocznie podjąć dramatyczną decyzję: albo zaufać temu ponuremu, zezującemu, nieprzeniknionemu dżinowi o niezdrowej cerze, albo wyrzucić go na zbity łeb z Rify Mew. Stało się oczywiste, że Hippolyte dyktuje własne warunki, Norman dał mu żądane dwieście dolarów. Francuz chrząknął coś pod nosem i odszedł, zamaszystym ruchem włożywszy na głowę kapelusz. Następnego dnia jego ludzie rozpoczęli prace budowlane i, na ile Paperman był to w stanie ocenić, robota szła im doskonale. Tymczasem Hippolyte ukończył naprawę cysterny. Wedle wszelkich oznak na niebie i ziemi problem wody po następnych obfitszych opadach deszczu powinien przestać istnieć raz na zawsze.

Pokojówki wróciły następnego dnia po zjawieniu się Hippolyte'a i przystąpiły do pracy jak zwykle o ósmej. Esm~e zajęła stanowisko w centralce telefonicznej; unikała wzroku Papermana i nie złożyła żadnych wyjaśnień na temat swojego zniknięcia. Norman próbował dociec, w jaki sposób udało się Hippolyte'owi sprawić taki cud, ale jeśli idzie o gotowość udzielania informacji w tej sprawie Sheila okazała się jeszcze bardziej powściągliwa, niż gdy chodziło o inne uczynki Francuza.

- Hippolyte umi zjedniwać sobie luci - brzmiała jej burkliwa odpowiedź.

Fakt, że nagle zaprzestała go nękać Christophine Buckley, stanowił dla Papermana kolejną zagadkę. Być może to pani Sanders zdołała w końcu namówić gubernatora do interwencji, ale może zadziałał tu znowu Hippolyte, może jego tajemnicze wpływy sięgały aż samego urzędu imigracyjnego. Norman postanowił, że nie będzie zadawał żadnych pytań i pozwole sprawom toczyć się własnym biegiem.

2

W jakiś tydzień po przybyciu Hippolyte'a, gdy Norman wciąż jeszcze z jednej strony cieszył się z nieoczekiwanej odmiany losu, a z drugiej czuł niepokój o jej trwałość, poznał w końcu garść faktów na temat Francuza. Pewnego dnia Church Wagner zadzwonił z baru do biura i zakomunikował Papermanowi, że czeka na niego Tom Tilson. Starszy pan i jego żona siedzieli w głębokich fotelach pod krzewem czerwonego jaśminu i raczyli się swoim stałym porannym napojem: podwójnym białym rumem z tonikiem.

- Witam! - wychrypiał pan Tilson. - Zechce się pan do nas przyłączyć.

- Z przyjemnością! Dla mnie piwo, Church.

Paperman usiadł w fotelu twarzą do Toma Tilsona. Starzec wychylił się do przodu, wsparłszy piegowate, powykręcane artretycznie dłonie na spiczastych kolanach, i utkwiał wzrok w twarzy gospodarza.

- Wygląda pan na trochę

złachanego, Paperman.

- Czuję się świetnie.

Potrzebuję po prostu paru wolnych od trosk tygodni prawdziwego odpoczynku na tropikalnej wyspie.

Tilson mrugnął do żony, drobnej staruszki o siwych, gładko do tyłu zaczesanych włosach i bardzo czerwonej twarzy, na której widniało kilka nigdy nie znikających dołeczków.

- A jak tam przygotowania do mojego przyjęcia? Nie zrezygnował pan z tego zamiaru?

- Czy nie zrezygnowałem? Ależ oczywiście, że nie! Zamówiłem już nawet wszystko, co potrzebne, w Nowym Jorku.

- Byłem jedynie ciekaw -

wyjaśnił pan Tilson, głośno i dobitnie, jak to miał w zwyczaju. - Nie dawał pan znaku życia. Gdzie pan zamierza zamówić steki? I co z ostrygami?

Kiwał głową, gdy Paperman wtajemniczał go w szczegóły planu przyjęcia.

- Hm, zapowiada się to

wszystko doskonale, byle tylko odbyło się zgodnie z pańskimi ustaleniami. Dużo już pan wyłożył? Może chce pan zaliczkę?

- Zaliczkę? Ach nie, nie

trzeba. Myślę, że sobie poradzę.

Paperman wolał nie zdradzać, jak bliski jest bankructwa, pożałował jednak swoich słów, ledwie je wypowiedział.

- No cóż, nie to nie. Nie będę na siłę wciskał panu forsę. Obliczyłem sobie po prostu, że musiał pan do tej pory wyłożyć dobrych kilka tysięcy dolarów, więc...

Pani Tilson uniosła się nagle w fotelu, tak gwałtownie, jakby za jej plecami huknął niespodziewanie strzał, i zacisnęła palce na ramieniu męża.

- Boże złoty!... Kochanie,

spójrz no tylko! Tam, koło baru

- powiedziała cichym, drżącym ze wzburzenia głosem. - To on, prawda, nikt inny?

Norman Paperman i Tom Tilson spojrzeli jednocześnie w stronę, którą wskazywał jej wzrok.

- Matko święta! - Pan Tilson tak się zmarszczył, że jego twarz upodobniła się do twarzy mumii. - Paperman, od kiedy?

- Od kiedy co? - powtórzył, nie rozumiejąc, Paperman.

- Od kiedy zatrudnia pan szalonego Hippolyte'a?

- Nawet nie wiedziałam, że już go wypuścili z domu dla obłąkanych! - zawołała pani Tilson.

- Ani ja. - Tom Tilson

obejrzał się i pogroził Normanowi laską. - Co to ma znaczyć, Paperman? Rekrutuje pan personel spośród pensjonariuszy domu wariatów? Nie uprzedzono pana...? Hej, Hippolyte!

Hippolyte! - Francuz, odwrócony do nich tyłem, grzebał coś przy skrzynce bezpiecznikowej w barze. Obejrzał się przez ramię, a potem podszedł do ich stolika; zdjął słomkowy kapelusz i przeczesał palcami gęstą czuprynę. - No i co u ciebie słyhać, Hippolyte?

Odmieniec przytknął palec do czoła i bawił się kapeluszem.

- Dzień dobrzy, panie Tilson.

Dzień dobrzy, pani Tilson.

Wpatrując się weń bacznie, pani Tilson powiedziała:

- Widzę, że wróciłeś do dawnej pracy, Hippolyte.

- Owszem. Tak jest - przytaknął Hippolyte i zaszurał nogami.
- A jak się teraz czujesz? - zapytał pan Tilson.
- Ne najgorzej.
- Słyszeliśmy, że ostatnio czułeś się nie najlepiej.
- Prhawda.
- Ale obecnie masz się już dobrze?
- Dobrze.
- No cóż, pracuj uczciwie dla pana Papermana, słyszysz? To mój przyjaciel! - krzyknął srogo pan Tilson, tak głośno, jakby się zwracał do głuchego dziecka.

Hippolyte uśmiechnął się szeroko. Norman po raz pierwszy miał okazję obserwować, jak twarz Francuza układa się w tym szczególnym grymasie. Wydawało się, że osypały się z niej rysy dorosłego człowieka, ustępując miejsca pofałdowanemu słodkiemu i pustemu uśmiechowi sześciomiesięcznego niemowlęcia, obnażającego garnitur wielkich zepsutych zębów.

- To dobhra phraca, dobhra!

Pan Tilson wydał kilka nie powiązanych dźwięków, na które Hippolyte zareagował przeciągłym głupekowatym rechotem i podobnym zestawem pomruków. Tym razem Paperman rozpoznał w nich strzępki języka francuskiego. Potem dziwak nasadził na głowę swój wielki kapelusz i wrócił do skrzynki bezpiecznikowej.

- Jak pan go znalazł? - zaciekawiał się Tom Tilson. - Czy sam się do pana zgłosił?
- Nie, Sheila go przyprowadziła.

Pani Tilson zaśmiała się tak serdecznie, że aż wokół stałych dołeczków na jej policzkach ukazało się kilka chwilowych.

- No tak, Sheila! I nic panu o nim nie powiedziała?
- Niewiele. Tylko tyle, że jest „śmieszny”.

Rozbawiło to Tilsonów niesłychanie; zaśmiewali się z odrzuconymi w tył głowami, spoglądając co chwila jedno na drugie. Staruszek aż się rozkaszał i z oczu pociekły mu łzy.

- „Śmieszny”, hę? No cóż, byle tylko nie było go w klubie w wieczór naszego przyjęcia, reszta mnie nie obchodzi. Ale tego jednego niech pan dopilnuje.

Paperman opowiedział państwu Tilson, jakim błogosławieństwem okazał się Hippolyte dla klubu. Słuchając owej relacji Tom Tilson w pewnym momencie postukał łaską w podłogę, aby zwrócić uwagę Churcha, i wskazał mu swą opróżnioną szklanę.

- Och, w to nie wątpię. Ten mruk jest wspaniałym pracownikiem, kiedy ma klepki w nieco lepszym porządku, przy tym zna się na pańskim klubie lepiej niż ktokolwiek inny. Pracował tutaj już za czasów Tony'ego i Larry'ego; prawdę mówiąc to on sprowadził Sheilę. Żyli wtedy ze sobą. Dwoje spośród jej dzieci jest jego... A może troje? - zapytał żonę.

- Nie wydaje mi się, kochanie, żeby sama Sheila potrafiła ci na to odpowiedzieć.
- Czy to normalne - zainteresował się Paperman - żeby Francuz żył z kolorową kobietą?

- Nic nie jest normalne na Karaibach - odrzekł pan Tilson.

- A już szczególnie krzyżówki między wyspiarzami francuskiego pochodzenia. Właśnie dlatego są do siebie tak podobni. Co się zaś tyczy Hippolyte'a, typek jest zdolny do każdego świństwa. Właśnie dlatego musiałem się go pozbyć. A szkoda, bo to dobry ogrodnik i prawdziwa złota rączka. Ale cóż było robić, skoro drań usiłował zgwałcić naszą służącą. Zagonił ją aż na drzewo.

- Co takiego?

- To było straszne - dodała pani Tilson, wygładzając włosy na tyle głowy. - Biedaczka darła się wniebogłosey na tym pięknym mango, a Hippolyte rąbał maczeta pień. Na szczęście byłam w kuchni. Wybiegłam i zdołałam uratować drzewo.

Nie wiedząc, czy wierzyć w te rewelacje, czy nie, Paperman spytał niby żartem:

- I nie bała się pani? Ta jego maczeta jest ostra jak brzytwa.

- Mój Boże, do dzisiaj dygoczę ze strachu. Ale to było moje najpiękniejsze mango. Zresztą ci tutejsi francuscy wyspiarze nie różnią się zbyt od tych, jakich zatrudnialiśmy w Noum~ei. Mieliśmy tam dom głęboko w górach, w pobliżu kopalń. Nauczyliśmy się, jak z tymi ludźmi postępować. Widzi pan, nie mieliśmy innego wyjścia. Byliśmy na nich skazani.

- Czy właśnie za to zamknięto Hippolyte'a w domu wariatów? Za molestowanie państwa służącej?

- Co też pan, na Kinji!? - zdumiał się Tom Tilson. - Gdyby miano tu z tego powodu zamykać ludzi w wariatkowie, nie nadażyliby z budowaniem tych przybytków. Nie mogłem nawet wezwać policjanta, żeby go zbeształ. Nie, po prostu Letty zadzwoniła zaraz po mnie, a ja w te pędy przyznałem do domu. Zapłaciłem obwiesiowi, co się należało, i powiedziałem, że zachował się nieładnie, więc żeby do nas więcej nie przychodził. Posłuchał. Widzi pan, mam w domu strzelbę, a ten gagatek wiedział, że zrobiłbym z niej użytek. - Tilson odwrócił się w stronę żony. - Za co to go właściwie zamknęli?

Zmarszczyła w namyśle czoło.

- Czy nie z powodu tego policjanta?

- Tego, któremu poderżnął gardło? Nie, przecież nastał do nas już po tym wydarzeniu, prawda? Jeśli dobrze sobie przypominam...

Coraz bardziej przerażony,

Paperman wreszcie nie wytrzymał.

- Chwileczkę! Czy państwo mnie czasem nie nabieracie? Poderżnął gardło policjantowi i nie został aresztowany? Na dodatek państwo zatrudniliście go u siebie, wiedząc o tym? Chcecie państwo, żebym w to uwierzył?

- No cóż, nigdy nie

dowiedziano, że to on poderżnął gardło temu glinie - wytłumaczył cierpliwie pan Tilson. - Ten policjant za często się kręcił na Francuskim Przyładku, pewno zalecał się do czyjejs żony albo próbował przyłapać rybaków na kontrabandzie. Tego też do końca nie wyjaśniono. Kiedyś wdał się w bójkę z Hippolyte'em w jakimś barze, po czym go aresztował i Hippolyte spędził tydzień w pudle. A w jakieś dwa tygodnie później ten policjant nie stawił się na służbę. Po paru dniach inni policjanci znaleźli go w chaszczach w majątku Hastingsa, tyle że, by tak rzec, pozabawionego jabłka Adama. Dokładniej mówiąc, cała głowa była literalnie odrąbana od tułowia. Hippolyte'a zapuszkowali, ale nie zdoławszy mu niczego udowodnić, po jakimś czasie wypuścili. Potrzebowałem ogrodnika, a że na tej wyspie co drugi to wariat, więc zaryzykowałem i przyjąłem go do pracy. Pani Tilson pociągnęła łyk ze szklanki.

- Wściekłam się, kiedy Tom go najał. Tymczasem Hippolyte przez długie miesiące chodził potulny jak baranek, aż do tego incydentu z drzewem mango. Najlepszy ogrodnik, jakiego mieliśmy. Jedyny, który potrafił mi wyhodować znośną sałatę na naszej podłej ziemi.

- A teraz pan jest jego

pracodawcą, Paperman - zachichotał Tom Tilson. - Zatrudnia pan szalonego Hippolyte'a! No cóż, gratuluję i życzę powodzenia. Tylko niech pan na wszelki wypadek, gdyby mu znowu odbiło, każe wyciąć wszystkie drzewa. Cha, cha, cha!

- Powinienem się być domyślić

- mruknął z goryczą Norman. - Cokolwiek dobrego spotyka człowieka na tej zatraconej wyspie, musi się okazać puszką Pandory.

- Och, Hippolyte jest teraz prawdopodobnie całkiem zdrow na umyśle - uspokoił go pan Tilson.

- Szpital wariatów na Gwadelupie cieszy się niezłą opinią. Nie sądzą, żeby wypuszczono go nie wyleczonego. Oczywiście - dodał uśmiechając się krzywo i odsłaniając szczerbę w mocno startych zębach - nie można wykluczyć i tego, że im uciekł.

- A czemu zabrano go do

szpitala na Gwadelupie? Więc on nie jest obywatelem Kinji?

- Ależ jest! Rzecz w tym, że na tej wyspie nie zbudowano jak dotąd podobnego przybytku. - Tilson wypił jednym haustem resztę rumu z tonikiem, - Przypuszczam, że nie chciano stwarzać pretekstu do drażliwej dyskusji wokół kwestii, kogo mianowicie należałoby tam zamknąć. Bóg raczy wiedzieć, do czego taka dyskusja mogłaby doprowadzić.

- Dlaczego? Nie widzę problemu

- powiedziała ze słodyczą w głosie pani Tilson, prezentując hojnie dołeczki w policzkach. - Kiedy władzę sprawowałiby Orli

Republikanie, w kaftany bezpieczeństwa pakowano by Słoniowych. Kiedy większość głosów w wyborach zdobywaliby Słoniowi, następowaliby po prostu zmiana miejsc. Tym sposobem każdy polityk byłby bądź to na rządowej pensji, bądź to na utrzymaniu rządu.

- Genialne! - wykrzyknął Tom Tilson. - Dlaczego oni sami dotąd o tym nie pomyśleli? To by rozwiązało raz na zawsze problemy karaibskiej polityki!

Rozległo się warczenie psa, poszczekiwanie, podzwanianie żelaznych ogniw, usłyszeli też gniewny, podniesiony kobiecy głos. Do baru weszła Iris Tramm, ciągnąc za sobą wilczura na łańcuchu. Ziółko rwał się w stronę holu, szarpiąc się co krok i wspinając na tylne łapy.

- Przestań, ty draniu! -

krzyczała Iris, z taką siłą grzmocąc wilczura po karku, że kurz z jego czarnej sierści wzbijał się gęstymi tumanami. - W tej chwili przestań, słyszysz? Żeby cię szlag trafił!

- Boże, ale w tych tropikach się kurzy! - westchnęła pani

Tilson. - Iris, powinnaś

wyczyścić tego psa

elektroluksem.

- Już ja go wyczyszczę! - warknęła Iris, nie przestając okładać wilczura. - Zatłukę drania! Leżeć, mówię! Leżeć, sukinsynu!

Pies uspokajał się stopniowo, ale nadal jeszcze warczał i ciągnął panią w stronę holu.

- Moja droga - odezwał się Tom Tilson - sukinsyn to dla niego żadna obelga. Tym przecież w istocie jest!

- Co się stało, Iris? -

zainteresował się Norman.

- Och, Ziółko po prostu

chorobliwie nie cierpi

Hippolyte'a! Przez wiele

miesiący zachowywał się

identycznie w stosunku do Bogu ducha winnego Millarda.

Nienawidzi nowych pracowników. Dałby się oćwiczyć - co by mu zresztą wyszło na

zdrowie - byle mógł ich dopaść. Leżeć, ty draniu! Dobry pies. Leż i nie waż mi

się ruszyć. Uff! - Opadła na krzesło. - Jest piekielnie silny. Ociekam potem

niczym poganiacz mułów.

- Hippolyte nie zrobi mu

krzywdy - powiedziała pani Tilson. - O Kinjanach da się powiedzieć jedno:

śmiertelnie boją się psów. Trzymamy cztery dogi i gwizdźmy na policję.

- To prawda - przytaknął pan

Tilson. - Inna rzecz, że wolałbym nie spotkać na moim terenie tutejszego gliny.

Ciemiegi noszą sześciostrzałowe pukawki, ale żaden z nich nie wcelowałby w krowę stojącą bokiem tuż przed jego nosem. Człowiek nie może się czuć bezpieczny w promieniu dwóch kilometrów od uzbrojonego kinjańskiego policjanta.

- Napij się, Iris - powiedział Norman.

- Nie mam ochoty, dzięki. Ale proszę, proszę: drugie śniadanko pana hotelarza! W tym lokalu naprawdę zaszły epokowe zmiany.

Paperman uśmiechnął się do niej blado. Wciąż jeszcze przetrawiał świeżą dlań nowinę, że nieoceniony Hippolyte był świrusem, pacjentem szpitala

psychiatrycznego, przejawiającym prawdopodobnie mordercze skłonności. Na domiar złego nie istniała żadna gwarancja, że został skutecznie wyleczony; sam fakt, że znajdował się na wolności, nie świadczył jeszcze o niczym.

Iris spojrzała w stronę plaży i ziewnęła.

- Piękny dzień! Znowu czysty błękit nieba i złocisty piaseczek. Gdyby tylko można się zająć czymś zabawnym... Miałam zamiar się uczesać, ale w taką pogodę zakrawałoby to na zbrodnię. Jednakże...

Pan Tilson włożył bez pośpiechu okulary słoneczne, wsparł się obiema rękami na lasce i spojrzął na morze.

- Sam nie wiem, Iris... Letty, czy nie jest za późno, żeby ruszyć starą balię i zjeść lunch na Wielkim Psie? Tylko nas czworo? Znajdzie się tam co w kubryku?

- Zawsze się znajdzie trochę sardynek, krakersów i innych różności. Nikt nie powinien głodować. - Pani Tilson zerknęła na zegarek. - Wybrałby się pan z nami, panie Paperman? Dla odmiany krótka przejażdżka łodzią, co pan na to?

- Pojadę, jeśli i ty pojedziesz, Norm - dodała Iris.

- Zgódź się, dobrze ci to zrobi!

Zapadła chwila ciszy.

- No więc cóż, powiem państwu

- odezwał się w końcu Paperman - że właściwie nie znajduję żadnego powodu, dla którego nie mógłbym z państwem pojechać. W banku już byłem. Z księgowym rozmawiałem. Odpowiedziałem nawet na listy w sprawie rezerwacji miejsc. A więc dobrze, jedźmy!

W godzinę później łódź Toma Tilsona, zbudowana w Hongkongu dwudziestometrowa kabinowa motorówka o nazwie „Tęcza II”, okrążyła wschodni cypel Amerigo. Tilson wynajął ją na cały sezon po sprzedaży „Poświaty Księżycy”. „Tęcza II” została wyposażona w dwie łazienki, sypialnię z pełnowymiarowymi łózkami i elektrycznym kominkiem, dwie dodatkowe kabiny gościnne i przestronny barek. Przy szybkości dwudziestu węzłów mknęła z cichym pomrukiem silnika po wysokich martwych falach, niemal bez wibracji czy kołysania. Norman, ubrany tylko w kąpielówki, wylegiwał się na rufie na rozkładanym fotelu z czerwonej skóry i okiem turysty podziwiał krajobraz. Dotąd oglądał te dzikie i urwiste wybrzeża Kinji jedynie z okna kołującego nad wyspą samolotu.

Były niewypowiedzianie piękne:

czerwone potrzaskane klify strzelały z czystych turkusowych wód oceanu. W zielonych dolinach kędzierzawiły się palmy, a tu i ówdzie bieleły bezładne plaże, ocienione pióropuszcami palmowych liści i sękatymi drzewami, zwanymi „morskimi winogronami”. Słona morska bryza przynosiła od łądu upajające zapachy kwiatów. Paperman ziewnął z rozkoszą. W tym samym momencie ziewnęła i rozprostowała nogi Iris, która ubrana w czarny twarzowy kostium kąpielowy z dżerseju leżała obok na bliźniaczym skórzanym fotelu. Wymienili spojrzenia i parsknęli śmiechem. Czarna ręka służącego wyjęła z dłoni Normana opróżnioną szklankę i zastąpiła ją pełną i zimną. Pociągnął długi łyk. To była już jego trzecia czy czwarta, nie pamiętał która, zresztą mało o to dbał.

- Chciałbym złożyć państwu małe oświadczenie - rzekł. - Nie będzie wstrząsająco odkrywcze. Być może uznacie je nawet za błahe. Mimo to zamierzam je wygłosić.

Iris przytknęła do ust złożone w konchę dłonie i wydała odgłos trąbki, doskonale zresztą ów dźwięk naśladowując.

- Dziękuję - powiedział

Paperman. - Panie i panowie, chciałbym wam oznajmić, że jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

- Mój Boże! Nietrudno pana zadowolić - mruknął Tom Tilson.

- Wystarczy mała przejażdżka śmierdzącą łajbą. Chciałbym, żeby i na mnie miała ona równie zbawienny wpływ.

Tilsonowie siedzieli obok Normana i Iris na sofce z bambusa i czerwonej skóry. - Wspomnianej łodzi, którą nazywa pan śmierdzącą łajbą, a która w istocie, jak to panu doskonale wiadomo, jest eleganckim jachtem - odparł Norman - nie mogę niczego zarzucić, wszelako ów korab tylko w bardzo nieznacznym stopniu przyczynia się do tego uczucia szczęścia, jakiego doznaję. Pierwszy oto raz od przyjazdu na parszywą skałę, noszącą nazwę Kinja, oglądam Karaiby w ich całym powabie i to piękno wzrusza mnie do łez. O krok ode mnie siedzi kobieta piękna, sławna i urocza.

Spoczywamy w ciepłym słońcu na kołyszącym się łagodnie pokładzie prywatnego, wytornego jachtu, rzeźwieni wonną bryzą. Nasi gospodarze to inteligentni, niezwykle, interesujący, bywali w świecie ludzie, którzy z niejednego pieca chleb jedli - to także spodziewałem się znaleźć w tropikach i dziś dopiero rzeczywiście znalazłem. Wszystkie problemy mojego hotelu rozwiązuje skutecznie jakiś Francuz, geniusz, wariat bądź i jedno, i drugie, dzięki czemu mogę skorzystać z zaproszenia do odbycia przejażdżki imponująca „śmierdzącą łajbą” państwa Tilsonów. Na zakończenie wreszcie muszę wyznać, że to jest najlepszy poncz rumowy, jaki w życiu piłem. Ergo: jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

- On jest bardzo miły -
oznajmiła mężowi pani Tilson.

- Raczej jest pod muchą - uściślił pan Tilson. - Cóż jest we mnie takiego niezwykłego czy interesującego? Jestem tylko emerytowanym inżynierem górnictwa, który nie miał dość oleju w głowie, żeby wziąć dupę w troki i wiać z tropików.

- Jest pan niezwykle.

Wyjątkowy! Mieszkał pan w Noum~ei, gdziekolwiek to jest, bawił pan w Afryce i Bóg raczy wiedzieć, gdzie jeszcze...

- W japońskim obozie jenieckim. I właśnie dlatego, tylko dlatego, potrafię jakoś znieść Kinję.

Widziałem bowiem miejsce, w porównaniu z którym ta wyspa prezentuje się dość nawet korzystnie. Niewielu ludzi mogłoby wygłosić podobną pochwałę... Lucien! Oddaj na chwilę ster Francisowi i podejdź no tu!

Kapitan, Francuz podobny z wyglądu do Hippolyte'a, tyle że z sympatyczniejszą i jaśniejszą gębą, ruszył w stronę rufy, zsuwając na opalone czoło swą żeglarską czapkę. Miał na sobie jasnobrązowe szorty i białą koszulę z długimi rękawami i podobnie jak wszyscy mieszkający na wyspie Francuzi nosił bokobrody sięgające niemal kącików ust.

- Lucien, ty znasz

Hippolyte'a, prawda? Hippolyte'a Lamartine'a?

- Hippolyte'a? Tak, znam

Hippolyte'a.

Lucien uśmiechnął się i ręką, w której trzymał czapkę, poskrobał się w gęstą czuprynę.

- Dlaczego lekarze wysłali go na Gwadelupę? Co się stało? Znasz tę historię?

- Tak. Byłem przy tym.

Hippolyte jest phrawie moim kuzynem.

Według relacji Luciena,

Hippolyte cierpiał na okropne bóle głowy, więc poszedł na wybrzeże, żeby pojechać do szpitala na Gwadelupie kursującym od wyspy do wyspy szkunerem. Kapitan szkunera targował się z nim o cenę i zdenerwował go. Wtedy Hippolyte wyjął trzysta dolarów, podarł banknoty, a strzepy cisnął kapitanowi w twarz. Następnie podarł swój paszport i również rzucił nim w kapitana, a potem zaczął zrywać z siebie ubranie, sztuka po sztuce, w biały dzień, na nabrzeżu pełnym ludzi, i rzucał nim w kapitana. Krzyczał, że popłynie na Gwadelupę wpław, i rzeczywiście wskoczył nagi do basenu portowego. Zanim dogoniła go straż przybrzeżna, znajdował się o ponad dwa kilometry od brzegu i płynął szybko dalej, nie zwracając uwagi na krążące wokół niego zaniepokojone rekiny.

- Hippolyte to silny chłop.

Rhówny chłop - zakończył Lucien.

- Tylko trochę śmieszny.
- Nie rozumiem, co jest takiego śmiesznego w fakcie, że ktoś ucina drugiemu maczetą łeb
- powiedział pan Tilson. - Nawet, gdy chodzi tylko o kinjańskiego policjanta.
- Ne, Hippolyte tego nie zrhrobił! - zaprotestował kapitan z dziwnym uśmiechem, mrużąc małe oczka tak, że niemal się zamknęły.
- Co więc twoim zdaniem przytrafiło się temu gliniarzowi, którego znaleźli wtedy w krzakach w majątku Hastingsa? Zaciął się przy goleniu?
- Pewnie się pobił z innym policjantem.

- Chciałbym tylko wiedzieć,

czy Hippolyte ma zamiar podrzynać ludziom gardła w klubie „Rafa Mew”? Jak ci wiadomo, znowu tam wrócił.

Francuz z najpoważniejszą miną pokręcił przecząco głową.

- Och, ne, prhoszę pana.

Hippolyte czuje się już znacznie lepiej. Na Gwadelupie podłączyli go do prądu.

- Przytknął po jednym palcu do każdej skroni. - Bzzzz! Bzzzz! Hippolyte mówi, że to bolało jak diabli, ale wyzdrowiał, więc go wypuścili.

4

„Tęcza II” zarzuciła kotwicę u brzegu Wielkiego Psa, w położonej od strony otwartego morza, niewidocznej z Amerigo zatoczce. Biały jacht motorowy był jedynym tworem rąk ludzkich w tej krainie morza, nieba i gąszczu zielonej roślinności, jeśli nie liczyć jakiejś zrujnowanej budowli na plaży. Słońce stało wysoko i piekło niemiłosiernie, więc czarny oficer pokładowy rozpiął nad pokładem markizę.

- Czy jesteście państwo bardzo głodni? - zapytała pani Tilson; wymawiała słowa nieco wolniej niż zwykle. - Mamy pod dostatkiem sera, tuńczyka i tym podobnych specjałów, ale chłopcy mogą się również wybrać na połów homarów.

- Na homary! - zakrzyknęli jednocześnie Iris i Norman, zaś pan Tilson zaproponował:

- A może jeszcze po jednym na powstrzymanie skurczów głodowych?

- Nie, dziękuję - powiedziała Iris. - Wyruszamy na wyprawę badawczą. Chodź, Norm. Nura przez burtę!

- Pani przodem - odparł

Norman, wkładając maskę i płetwy.

- Ach, młodzi, młodzi! -

westchnęła pani Tilson, odbierając z rąk kapitana kolejną szklanekę białego rumu z lodem. Po południu państwo Tilson zwykli całkiem rezygnować z toniku. Tom twierdził, że ów płyn zażywany w nadmiarze szkodzi na wątrobę.

Chłodna woda, równie czysta jak powietrze, przyniosła cudowną ochłodę rozgrzanej skórze Papermana. Głęboko w dole roiło się od różowych mózgowników, wśród kolonii koralu podobnych do wachlarzy pasły się głupkowato uśmiechnięte ryby papuzie, nie opodal śmigał spłoszony żółw, machając co sił zielono-białymi płetwami. Kapitan Lucien wyglądał nieco dziwnie, gdy zanurkowawszy za Normanem i Iris, odpłynął w stronę rafy w białej koszuli z długim rękawem i wystrzępionych jasnobrązowych szortach.

Iris skierowała się prosto ku brzegowi i wkrótce oboje z Normanem wyszli na biały piasek, miękki niczym puder. Po raz pierwszy w swym życiu Norman postawił

stopę na naprawdę dzikiej plaży. Wielki Pies był wyspą bezludną. Zrujnowany dom, zarośnięty pnącą winoroślą i nadmorskimi trawami, stanowił jedynie stertę gnijących desek pokrytych spłowiałą żółtą farbą. Pozwijane i zardzewiałe arkusze blaszanego poszycia dachu leżały rozrzucone w trawie i na plaży, zerwane - tak powiedziała Iris - przez huragan. Nikt nie wiedział, kto zbudował ten dom ani kto w nim mieszkał. Jedni twierdzili, że pewien francuski rybak, inni utrzymywali, że jakiś czarny fanatyk religijny, jeszcze inna wersja głosiła, że mieszkała w nim samotnie przez trzy lata, zanim nie zapiła się na śmierć, pewna piękna biała Kanadyjka.

- Chodź za mną. Tylko uważaj na ciernie! - ostrzegła Iris, wchodząc w zielony gąszcz krzaków.

Między drzewami wiła się na wpół zatarta piaszczysta ścieżyna. W ciszy, jaka panowała wokoło, szmer przemykających wśród suchych liści jaszczurek zdawał się brzmieć przeraźliwie głośno. Na rozwidleniach ścieżki Iris wybierała zawsze odnogę zbiegającą w dół zbocza.

- Jesteśmy na miejscu -

oznajmiła po chwili. - Jak ci się tu podoba?

Znajdowali się na polance

niemal idealnie kolistej,

średnicy mniej więcej dwudziestu

metrów, porośniętej sięgającą

kostek jedwabistą trawą, wśród

której czerniał krąg

obwiedzonego kamienną

cembrowiną ogniska, wypełniony popiołem i zwęglonym drewnem. Powietrze

przesycała jakaś przenikliwa, upajająca woń. Wokół rosły oplecione winoroślą,

obsypane białymi kwiatami karłowate drzewka, nad którymi unosiły się z

brzęczeniem chmary pszczół.

- Boże, co tak cudownie

pachnie? - zawołał Norman, wciągając w nozdrza upojny, słodki zapach.

- Kwiaty pomarańczy. Ten, kto zbudował ten domek na plaży, założył tu gaj

pomarańczowy. Drzewka, które od tamtego czasu zdziczały, rosną tu sobie

zaczisnie, osłonięte od wiatru, zraszane deszczówką. Podoba ci się to ustronie?

- Nucąc melodię marsza weselnego, Iris podeszła do jednego z drzewek i zerwała

dwie drobne, twarde pomarańcze.

- Nie wyglądają może imponująco, ale smakują całkiem znośnie - powiedziała,

podając jeden z owoców Normanowi. - Spróbuj!

Odgryzł skórkę i wyssał blady, usiany pestkami miąższ. Cierpki smak, wtopiony w słodycz pomarańczy, wykrzywił mu usta.

- No cóż, Wielki Pies nie zagrozi raczej plantatorom z Kalifornii - orzekł - ale przyznaję, że ten drobiazg smakuje jak pomarańcza.

- Rozumie się! - Iris ochoczo ssła owoc. - Chłopcy z Dsp je uwielbiają. Bob Cohn twierdzi, że tak właśnie smakują izraelskie pomarańcze.

Norman ułamał gałązkę z kwiatem pomarańczy i podał ją przyjaciółce.

- Z jakiejż to okazji? -

spytała.

- Och, bardzo wielu. Na

przykład w podzięcie za pomoc przy słaniu łóżek.

Kiedy zatknęła gałązkę we włosy, objął ją i pocałował. Odepchnęła go lekko, ale nie oderwał rąk od jej kibici.

- Więc kiedy przyjeżdża Henny, Norm? - zamruczała, a w jej oczach zamigotał smutek.

- Pojutrze.

Uwolniła się z jego objęć.

- Nazywam ten zakątek Siódmym Niebem. Nie pytaj mnie tylko, dlaczego, dotknij tej trawy. Pasa się na niej dzikie kozy. Zawsze rośnie tu świeża i miękka. Co robisz jutro, Norm?

- Kto, ja? Dzięki

Hippolyte'owi nic ważnego.

- Nie uważasz, że moglibyśmy pożyczyć jakąś łódkę - zapytała z tym swoim dziwnym, ironicznym uśmiechem - na przykład katamaran Churcha, i urządzić tu sobie jutro piknik? Tylko we dwoje? Nikt nie czekałby na jachcie i nie zachodził w głowę, dlaczego tak długo nie wracamy. Nie uważasz, że to dobra myśl?

5

Kiedy Norman i Iris wrócili z wycieczki, w klubie panował zupełny spokój, choć ruch był wzmożony. Church wyjaśnił, że goście, którzy w czasie kryzysu wodnego opuścili „Rafę Mew”, teraz wracali gromadnie z pensjonatów „Francis Drake”, „Casa Encantada”, „Marzenie Hogana” i „Apache Marina”, zniechęceni prymitywnymi warunkami, jakie tam zastali, i znęcani kuchnią, położeniem i plażami hotelu Papermana.

- Nasza „Rafa” nie ma sobie równych! - oznajmił barman. - Wcześniej czy później wszyscy to zrozumieją.

Norman zaniepokoił się nieco, zastał bowiem Churcha poza barem; młody człowiek siedział przy dużym centralnym stole w towarzystwie siedmiu rozszczebiotanych białych pań w eleganckich letnich sukienkach prosto z kontynentu.

Barman przedstawił je

Papermanowi dość nonszalancko: były to córki i wnuczki rodzin „bandy ze wzgórz”, które zjechały do domów na ferie zimowe. Okazało się, że założyły coś w rodzaju nieformalnej korporacji studentek; wszystkie wychowały się na Amerigo i nazywały same siebie „Piaskowymi Wiedźmami”. Rzucało się w oczy, że są zafascynowane brodatym, opalonym barmanem w szortach i pasiastej koszulce. Co się tyczy Churcha, po kilku tygodniach przykładowego zachowania, jakie upłynęły od awantury z pokojówką, spoglądał na młode ślicznotki łakomym wzrokiem jurnego ogiera.

- Chcę cię za pięć minut

widzieć u siebie w biurze, Church - powiedział Paperman, kierując się do wyjścia.

- Dobrze, proszę pana.

Leciutki drwiący ton w

pokornym skądinąd głosie

młodzieńca wydobył z siedmiu dziewcząt dźwięczny chórek chichotów, więc Norman oddalił się czym prędzej, zawstydzony, że wyszedł na starego zgreda.

Po drodze zajrzał za brezentową płachtę w holu. Robotnicy mieli tego dnia wolne. Hippolyte, ostrząc maczetę, przechadzał się po placu robót, sprawdzał nie zamurowane jeszcze rury i przewody elektryczne. Prace postąpiły już tak daleko, że Norman mógł sobie bez trudu wyobrazić, jak będą wyglądały nowe pokoje: sześć izdebek wzdłuż poprowadzonego z holu nowego korytarza, co prawda wąskich, lecz całkiem wygodnych, każda z oknem, łazienką i dużym sufitowym wentylatorem.

- No, Hippolyte, widzę, że robota wre.

Francuz łypnął na Papermana spod runda kapelusza.

- Ano.
- Kiedy przewidujesz zakończenie prac?
- Następnny wtorek, śrhoda.
- Już, tak prędko? Ile to mniej więcej wyniesie, jak sądzisz?
- Tysiąc. Może trhocę więcej.
- Tysiąc dolarów? Za wszystko?

- Może tysiąc czysta,

czterhysta. Sama rhobocizna. Bez materhiałów.

Jak na Hippolyte'a odpowiedź trwała wyjątkowo długo.

- To wspaniale! Znakomicie!

Zamierzam ci dać wysoką premię, Hippolyte.

- Ano - odburknał Hippolyte i kucnął, żeby się przyjrzeć plątaninie rur; przez cały czas wecował swoją szablę. - To niezła rhobota.

- Och, jestem o tym przekonany!

Norman myślał już o tym, że Henny będzie z pewnością wiedziała, jak sprawić, by wąskie klitki dzięki przemyślnemu użyciu tapet, luster i tkanin czyniły wrażenie luksusowych apartamentów. Dwanaście dodatkowych łózek do wynajęcia, po piętnaście dolarów za dobę, to dawało ponad tysiąc dolarów tygodniowo, czyli ponad pięćdziesiąt tysięcy rocznie! Ten stary chytrus, Lester Atlas, faktycznie wiedział, co mówi!

Iris, w samym kostiumie kąpielowym, stała oparta o ladę recepcji i czytała list, który wyglądał na pismo od adwokata.

- Cześć, Norm. Esm~e ma dla ciebie jakąś pilną przesyłkę.

Murzynka podała Papermanowi niebieską, ręcznie zaadresowaną i nie ofrankowaną kopertę. Nie była zaklejona; w środku znalazł papier listowy z wytłaczanym znakiem firmy „Cartier”. Na kopercie widniały tylko dwa wypisane niebieskim tuszem słowa: „Paradne Schody”.

- Iris, kto to jest Bunny Campbell?

- Bunny Campbell? Boże święty, to od niej?

- Owszem, jakieś głupie

przeprosiny za to, że zaprasza w ostatniej chwili, i pytanie, czy nie przyszedłbym dziś wieczorem na koktajl i kolację szwedzką.

- Norman, kotku, zostałeś oto pasowany na wybitnego mieszkańca Amerigo! - Iris sprawiała wrażenie jednocześnie zaskoczzonej i rozbawionej. - Musisz koniecznie iść! Nie wolno ci przepuścić takiej okazji.

- Czy ta Bunny należy do „bandy ze wzgórza”?

- Kiciu, Campbellowie są do tego stopnia „ludźmi ze wzgórza”, że nawet nie muszą na nim mieszkać. Posiadają własną zatokę, własną plażę, z rezydencją nad samą wodą na dodatek. Paradne Schody... widziałam to cudo tylko z łódki.

- Ty też zostałeś zaproszona?

- Ja? Coś ty! - Iris zaśmiała się i pokręciła głową. - Pędź pod prysznic. Tylko nie strój się przesadnie. To kolacja w powszedni dzień, więc obowiązują sportowe koszule i bermudy. Dopuszczalny deseń: bawoły indyjskie.

- Sądziłem, że kolację zjemy razem, Iris.

- Jestem już i tak umówiona, kotku. Interesy! - Pomachała trzymanym w ręku listem. - Pędź. Opowiesz mi wszystko jutro w Siódmym Niebie. Zapytam Churcha, czy nie pożyczylby nam swojego „kata”.

- Potrafisz prowadzić

katamaran? Ja nie mam o tym bladego pojęcia. Z równym powodzeniem mógłbym pilotować bombowiec B-52. Jeśli chcesz, żebym wynajął motorówkę...

- Katamarany na dobrą sprawę prowadzą się same, skarbie. Wykonanie zwrotu bywa czasem trudne, a żeglowanie pod wiatr uciążliwe, ale mam już w tym pewną wprawę. Baw się dobrze, złotko! Motorówki zbytnio śmierzają i robią za dużo hałasu.

- Nie mogę się już doczekać jutrzejszego dnia, Iris!

- Ja też, Normanie Paperman.

Było już ciemno, kiedy wyruszył na kolację do Campbellów. Hassim, który siedział w barze z jakimś młodzieńcem w wiśniowej marynarce bez klap, pochwalił się Normanowi, że swego czasu zaopatrywał rezydencję „Paradne Schody” w rozmaite bibeloty, dał mu też szczegółowe wskazówki, jak tam trafić. Mimo to Norman zgubił się już kilka kilometrów za Georgetown w plątaninie zbiegających do morza gruntowych dróg, i odnalazł miejsce, do którego zmierzał, dopiero wtedy, gdy skierował się w stronę bursztynowych, zielonych i żółtych światełek, migoczących w oddali wśród oświetlonych tylko poświata gwiazd odludnych pustkowi. Zaraz za zakrętem wyżłobionej w głębokie koleiny drogi ukazała się łukowato sklepiona kamienna brama, oświetlona zatkniętymi na słupach pochodniami, przed którą roiło się od volkswagenów. Paperman zaparkował rovera między dwoma wysokimi kaktusami i ruszył w dół po ujętych w ozdobne balustrady, wspaniałych kamiennych schodach, które w blasku bursztynowych lamp, osadzonych na wysokości kolan, sprawiały wrażenie marmurowych. U dołu schodów ukazała się jakaś kobieta o okrągłej twarzy z rozczochranymi blond włosami, figurze przypominającej pękata baryłkę i słoniowatych nogach, ubrana w białą koszulę i żółte szorty. W jednej ręce trzymała dużą kryształową szklankę, w drugiej pojemnik ze sprayem.

- Witam! Pan Paperman,

nieprawdaż? Jestem Bunny Campbell. Czy został pan stosowanie namaszczony? Muszki piaskowe tną dzisiaj niemiłosiernie. Oto rozkosze posiadania majątku nad morzem!

- Nie wydaje mi się, żeby mnie jakoś specjalnie nękały.

- Ha, czyżby należał pan do grona szczęśliwców, których one omijają? Żałuję, że z powodu tych egipskich ciemności nie może pan zobaczyć ogrodu. Te schody i ogród to jedyny w gruncie rzeczy walor naszej skromnej siedziby. Będzie pan musiał koniecznie, i to jak najrychlej, odwiedzić nas znowu za dnia.

Pani Campbell trajkotała chropowatym głosem, z afektacją, właściwą dla wyższych sfer Bostonu bądź Filadelfii - na ile Paperman, który nie rościł sobie pretensji do znawstwa w tym przedmiocie, potrafił to zidentyfikować - a on podążał za nią przez wykładany kafelkami z lastryko hol o ścianach zawieszonych obrazami, wśród których zwracał uwagę autentyczny niewątpliwie Degas, a potem przez szeroki prostokątny salon, umeblowany częściowo antykami, a częściowo solidnymi meblami z ratanu, o ścianach również obwieszonych obrazami i zastawionych szafami, mieszczącymi przesadnie wielkie, oprawne w skórę tomiska. Ścianę w głębi wypełniały w całości rozsowane drzwi, prowadzące na taras, który wychodził na oświetloną reflektorami plażę, wysokie palmy i rozciągający się w mroku ocean.

- Zjawileś się jednak, Nohman, skahbie! Jak to ładnie z twojej strony!

Z tłumu gości, popijających drinki na tarasie, wyłoniła się Amy Ball i ruszyła szybkim krokiem w stronę Papermana. Wyglądała imponująco w ciemnozielonej wieczorowej sukni z bardzo głębokim dekoltem, i upiętymi wysoko ponad głową rudymi włosami. Po chwili opasało Normana potężne ramię, grubo uszmkowane wargi cmoknęły powietrze obok jego ucha, owiała go woń różanych perfum i szkockiej whisky.

- Chodźmy się napić, skahbie.

Słyszałam, że przez panę tygodni miałeś istne piekło, ale tehas whócił Hippolyte i wszystko gha. Jak to cudownie, że udało ci się go ściągnąć! To phawdziwa pehła na tej wyspie. Gdyby ten skończony dhań Thoh go nie wyrzucił, phawdopodobnie do dziś phowadziłabym klub „Hafa Mew”. Nie miałam pojęcia, jaka tam byłam szczęśliwa!

W barze chwyciła nową pełną szklanę szkockiej, wzięła Papermana pod rękę, zaciągnęła go w kąt tarasu, zmusiła, żeby usiadł i wylała przed nim swe żale. Była pijana, ale mówiła całkiem wyraźnie, choć na jej twarzy wykwitał co chwila radosny szeroki uśmiech, nie mający żadnego związku z treścią wypowiedzianych akurat słów. Co więcej, kiedy pochylała się ku Papermanowi, by go uraczyć jakimś bardziej intymnym fragmentem swej opowieści, dekolt jej sukni odchyłał się tak bardzo, że zmieszany Norman mógł dojrzeć obwisłe i obfite, nagie piersi Angielki w całej okazałości.

Według Amy Ball Thor okazał się brutalem, potworem, oszustem i wampirem, który wyssał z niej krew do ostatniej kropli, a potem ją porzucił. Ledwo weszli na pokład „Poświaty Księżycy”, ich dwuletni romans skończył się jak nożem uciął. Ten drań kochał tylko jacht. Kochał go miłością tak namiętną, jaką nigdy nie darzył żadnej kobiety. - Którejś nocy wypchnął mnie siłą ze swojej kajuty - wyznała z uśmiechem pani Ball. - Hozumie się, byliśmy kochankami, skahbie, na pewno się tego domyślałeś, bo wcale się z tym nie khyłam.

Zranił ją do głębi serca, gdy oświadczył: „Tych fygly_mygly sze na achcze ny roby”, ale w Panamie nie chciał zejść na ląd, wynajdując wciąż nowe wymówki. Stale coś na pokładzie malował, przybijał, piłował lub reperował. Gdy wreszcie jednej nocy udało jej się zaciągnąć go do hotelu, upił się do nieprzytomności i całą noc przespał na łóżku w ubraniu, aby o świcie wrócić na jacht.

- Nigdy mnie nie kochał - poskarżyła się pani Ball, uśmiechając się promiennie i robiąc jednocześnie minę śmiertelnie tragiczną. -

Przenigdy! Tylko tak udawał przez dwa lata, żeby mnie skłonić do kupna tej łajby. I ja się na to nabhałam. - Podniosła w górę szklanę. - Lycka till! Skończony dhań!

- Dlaczego nie przepędziłaś go na cztery wiatry i nie sprzedałaś jachtu?

- Och, skahbie, chyba nie sądzisz, że o tym nie myślałam? Że o tym nie marzyłam? Ale ten łajdak namówił mnie do kupna jachtu na nasze oba nazwiska. Miał to być jakiś podatkowy khuczek, przynajmniej tak mi powiedział, a ja byłam tak zaślepiona miłością do tego potwoha, że uwierzyłam mu bez zastrzeżeń. I tehas masz: ostatni ghoosz, jak mi został na tym świecie, wpakowałam w tę obrzydliwą czerwoną khypę, a ten skończony łajdak przephowadził ją przez Kanał Panamski i pożegłował na Hawaje. Co miałam hobić? Whóciłam tutaj. Lycka till! Napijmy się jeszcze. Skończony dhań!

W barze nalewał sobie właśnie drinka Tom Tilson. Norman odniósł wrażenie, że staruszek ma na sobie tę samą koszulę, te same szorty i sandały, jakie nosił na jachcie. Amy chwyciła go w objęcia i cmoknęła powietrze obok jego ucha.

- Och, Tom, jak to cudownie, że przyszedłeś! Jestem oghabiona i porzucona staha maskahą, a Thoh okazał się skończonym dhaniem! Znajdźmy sobie jakiś kaćik, a wszystko ci opowiem. A gdzie podziałeś Letty?

- Mieliśmy cudowny dzień, Amy.

Letty odpoczywa w domu.

Norman został sam na kamiennej ławce na tarasie. Saczył drinka i zastanawiał się, po co go właściwie zaproszono.

Niewykluczone, że przyjęcie wydano na cześć Amy Ball, która była ubrana wyraźnie bardziej elegancko od reszty gości. Możliwe, że jej powrót na Amerigo stał się pretekstem do wydania tego przyjęcia, jeśli taki w ogóle istniał.

Niewykluczone również, że panią Ball trawiła po prostu ciekawość, jak Paperman radzi sobie na „Rafie Mew”, dlatego zagarnęła go dla siebie na całe pół godziny, choć w tym czasie mówiła na dobrą sprawę wyłącznie o sobie. Rezydencja „Paradne Schody” niewątpliwie zasługiwała na miano pięknej, więc obejrzenie jej, choć w tak dziwacznych okolicznościach, warte było z pewnością zachodu. Na środku tarasu szemrała mała fontanna, wokół której rosły begonie i geranium w kolistej ozdobnej donicy, wykładanej niebieskimi i białymi kafelkami; na jej krawędzi siedziało kilku gości popijając drinki.

Szerokie, ograniczone balustradą schody zbiegały na plażę, przechodząc na dole w wykładaną płytami chodnikowymi ścieżkę, która prowadziła do wielkiego, rzęsiście oświetlonego basenu z mieniącą się błękitem wodą.

Choć fakt, że był jedynym Żydem wśród obecnych gości, cokolwiek peszył Normana, czuł się w tej wytwornej rezydencji zaskakująco swobodnie, jak gdyby znalazł się z powrotem w domu, a przynajmniej na znajomym, niekinjańskim gruncie.

Zastanawiał się, czy nie działa się tak dlatego, że to otoczenie przypominało do złudzenia zamieszczone w „New Yorkerze” reklamy rumu i luksusowych papierosów, konsumowanych zwykle w tego właśnie typu wykwintnych tropikalnych dekoracjach. Siedząc samotnie na uboczu odgadł jednak rychło prawdziwą przyczynę swojego dobrego samopoczucia. Otóż z wyjątkiem dwóch barmanów oraz paru służących, przygotowujących szwedzki stół, w tłumie gości na tarasie nie było ani jednej czarnej twarzy!

Kiedy zaproszono wszystkich na kolację, Norman stanął wraz z innymi przy długim dębowym stole i nałożył sobie na talerz homara z ryżem, płat wędzonego indyka i plaster krwistoczerwonej pieczeni wołowej. Tom Tilson, który stał w kolejce za Normanem, wyszedł razem z nim na taras, gdzie usiedli obok siebie i zabrali się do jedzenia.

- Ależ cudownie tu ludzie mieszkają! - westchnął Paperman.

- Mhm. - Pan Tilson łyknął na niego z ukosa. - Przypuszczam, że to między innymi marzenia o takiej właśnie rezydencji sprowadziły pana na Karaiby. Tyle tylko, że aby wejść w jej posiadanie, trzeba być Campbellem, z tych Campbellów, z Columbus w stanie Ohio. Słyszał pan zapewne o łożyskach kulkowych Campbella?

- Oczywiście!

- Mimo wszystko wolę pańską Rafę. Pan ma przynajmniej w nocy widok na miasto i światła w porcie, a Freddy nie ma od frontu nic, tylko piach i ocean. Gdy nadciąga huragan, musi uciekać na wzgórze. Kiedy wiatr wieje ze złej strony, plażę pokrywa gruba warstwa ohydnych wodorostów, a muchy dosłownie chcą pana zjeść. Freddy musi najmować brygadę ogrodników, żeby to wszystko posprzątali. Oczywiście, dla niego to tyle, co spluć. Firma „Łożyska Kulkowe Campbella” płaci mu ćwierć miliona dolarów rocznie tylko za to, żeby trzymał się jak najdalej od Columbus w stanie Ohio. Freddy to uroczy facet, ale niezbyt bystry.

- Sądziłem, że Amy Ball też jest nadziana - rzekł Norman - a tymczasem dowiaduję się od niej, że jest bankrutką.

- Zawracanie głowy! - mruknął pan Tilson i przełknął spory kęs pieczeni wołowej.

- Amy zabierze po prostu trochę czasu odłożenie odpowiedniej sumki na palnięcie kolejnego głupstwa, ot i wszystko. Mąż zostawił jej kupę forsy, tyle że zamrożonej w jakimś truście, skąd dostaje tylko dywidendę, mimo że najęła połowę londyńskich prawników, żeby dorwać się do kapitału... O, Amy! Siadaj z nami, staruszek. Opowiedz nam coś więcej o tym „skończonym dhaniu”.

Pani Ball zachichotała i usiadła przed nimi na fotelu.

- Czy wiecie, że największą ulgę przynosi człowiekowi wypłakanie się na czyimś hamieniu? Mam wrażenie, że jeśli opowiem o tym jeszcze ze cztery razy, mnie samej wyda się to śmieszne i całkiem wydobrzeję. -

Rzuciła się łąpczywie na jedzenie. - Ciekawa jestem, Nohm, co słyhać na Hafie.

Czy Hippolyte jest rzeczywiście tak zahadny jak zwykle? Ten człowiek zna w klubie każdy centymeth, każdy dhucik, zawóh, dziuhę i przewód. Co tu dużo mówić: on i klub to jedno. Hippolyte jest duszą „Hafy Mew”. Nie śmiejcie się! Coś się w klubie skończyło, kiedy ten skończony dhań go wyrzucił, i to tylko za to, że Hippolyte haz jeden zamachnął się na niego swoją szablą.

- Mnie by to w najmniejszym stopniu nie wadziło - zapewnił Paperman. - Hippolyte nie jest zdolny do czynienia zła i nie dbam o to, ilu policjantów z obciętymi głowami znaję na swoim trawniku.

- To wszystko gruba przesada - wtrącił Tom Tilson. - Hippolyte Lamartine jest po prostu dobrym fachowcem i budowniczym. W Stanach znalazłoby się ze dwadzieścia milionów takich jak on. Różnica polega tylko na tym, że Hippolyte działa na Kinji. W zestawieniu z pracownikami, jakich tu można znaleźć, ten świr sprawia wrażenie geniusza z propelerem w tyłku.

- Nie zwracaj uwagi na to, co on mówi - poradziła Normanowi Amy Ball - i nie wypuszczaj Hippolyte'a z haka. Ten człowiek jest potulny jak bahanek, jeśli tylko

pozwoli mu się iść własną drogą. Ale naphawdę intehesuje mnie jedno - dodała zniżając głos - co słyhać u pięknej This? Jakże się miewa biedaczka?

- Doskonale - odparł Paperman.

- Najdhoższa This! Jest taka uhocza i taka athakcyjna, niephawdaż, Nohm? - Pani Ball westchnęła głęboko, roześmiała się, spoważniała i znowu się roześmiała. - Jaka szkoda, że ma taki phoblem, phawda, Tom?

- No cóż, my wszyscy na tej wyspie jesteśmy trochę zbzikowani, Amy, jeden bzik nie jest ani lepszy, ani gorszy od innego. Gadanie o tym nie na wiele się zda.

- To phawda, ale to taka

piękna kobieta, kiedyś phawdziwa gwiazda filmowa, zhesztą wciąż bahdzo, bahdzo piękna... Nie uważasz, że to jednak, smutne, Nohm?

Paperman pojął, że oto nadarza się wymienita okazja wywiedzenia się na temat Iris Tramm wszystkiego, co wiedzieć warto. Ta pijana baba zachęcała go wręcz do zadania choć jednego, jedyne pytania, a potem opowieść sama potoczyłaby się z jej ust. Już miał je zadać, przełamując wstyd, kiedy na taras wpadła z hałasem gromada młodzieży. Roześmiani, rozćwierkani, rozkrzyczani, rozszeptani stłoczyli się przy bufecie. Większość tej gromady stanowiły dziewczęta, ubrane na żółto, białe i na różowo; niektóre miały na sobie falbaniaste sukienki, inne wąskie spodenki - zaledwie cienkie błonki, opinające ich rozkwitające tyłeczki.

Znajdowało się w ich gronie

trzech młodzieńców o twarzach

niemowlaków, każdy powyżej metra

osiemdziesiąt wzrostu, w

czarnych garniturach o

groteskowo krótkich spodniach, z szopami bujnych włosów. Norman spostrzegł, że dziewczęta to Piaskowe Wiedźmy, nieco zeszepeczone przez wieczorowe fryzury, ale mimo to promieniejące przyrodzoną urodą siedemnastolatek. Amy Ball aż podskoczyła na ich widok.

- Miły Boże, spójrzcie tylko na te dzieciaki! Czy to aby nie „Piaskowe Wiedźmy”? Przecież to Maude Campbell! Ależ to już kobieta, choć hok temu to było jeszcze dziecko! Pamiętasz ciotkę Amy, Maude? A tamta pannica, czyż to nie Glohia Collins?

Pani Ball potoczyła się do dziewcząt, a one skupiły się wokół niej i zaczęły się do niej tulić.

- Godzina smarkul! - mruknął pan Tilson, wystukał z lufki niedopałek papierosa, i zrzucił go na plażę w dole. - Pora mi do łóżka, Paperman.

- Ja też już chyba pójdę - powiedział Norman i spiesznie odstawił talerz.

Pożegnał się z panią Campbell, która wyraziła zdawkowy żal, że gość musi ich już opuścić, po czym odwróciła się z powrotem do swego kółka plotkarzy. Norman był już w połowie szerokich schodów, kiedy dogoniło go wołanie:

- Nohman! Nohm, zaczekaj

chwilkę, skahbie!

Amy Ball wspinała się za nim na schody trasą cokolwiek krętą.

- Skahbie, nie ciehpię hozmów o intehesach na przyjęciach, ale bahdzo jestem hada, że Bunny cię zaphosiła, bo miałabym do ciebie jedną maleńką sphawę.

- Słucham?

- Chodzi o te głupie skhypty dłużne, skahbie. Jestem kompletną ignohantką w kwestiach finansowych, ale, o ile mnie pamięć nie myli, one są datowane i nie musisz ich wykupywać, dopóki nie spłacisz pożyczki bankowej, co pothwa zapewne najmniej kilka lat. Chyba się nie mylę?

- Nie mylisz się, Amy.

- Więc chodzi o to, skahbie - pani Ball uwiesiła się na ramieniu Papermana i zachwiała, więc musiał mocno oprzeć się na nogach, żeby nie stoczyć się razem z nią ze schodów - że za dwa lata może mnie już nie być na tym świecie, pojmujesz? Albo tobie może się coś przythafić, albo ci wsthętni Hosjanie wysadzą świat w powietrze. Hozumiesz mnie? Chodzi mi o to, że wolę dzisiaj dziesięć, powiedzmy, piętnaście tysięcy dolahów od jakiś khetyńskich kawałków papiehu, które mi obiecują trzydzieści pięć tysięcy, ale po mojej śmiehci.

Paperman wypił tylko odrobinę, a choć finansista był zeń żaden, pojał w lot, że trafia mu się niespodziewana gratka obniżenia ceny za klub „Rafa Mew” o blisko połowę. Zrozumiał też w jednej chwili, dlaczego został zaproszony na przyjęcie w rezydencji „Paradne Schody”.

- No cóż, Amy, będę to sobie musiał starannie przemyśleć.

- Hozumie się, skahbeńku. Chcę tylko, żebyście się nad tym zastanowili, ty i ten twój czahujący przyjaciel, pan Hehkules, ten z okładki „Time’a”...

- Chodzi ci chyba o Atlasa?

Pani Ball zatoczyła się i wybuchnęła śmiechem.

- Oczywiście, Atlas!

Powiedziałam Hehkules? Co za idiotka ze mnie! Mimo to jestem nim absolutnie oczahowana, jest taki bysthy. Więc jeśli bylibyście obaj zainteresowani takim układem, wiedz, że i mnie byłby on na hękę, skahbie. Dobhanoc.

Rozdział dwunasty

Siódme niebo

1

Nazajutrz o siódmej rano Norman i Iris w doskonałych humorach wyruszyli na wyprawę na Wielkiego Psa. Dzień wstał pogodny i piękny. Paperman wprost nie mógł się już doczekać obiecanych rozkoszy pomarańczowego gaju. Załadowali katamaran, wciągnęli żagiel i wypłynęli z portu, pchani rześką północną bryzą.

Dopóki żeglowali wzdłuż południowego wybrzeża Amerigo, katamaran sunął równo po gładkiej zielonej wodzie, ale za Przylądkiem Wieprza, zachodnim cyplem wyspy, ujrzeli toczące się z północy fale, które rozbijały się na czerwonych ostrogach skalnych, tryskając w górę dziesięciometrowej wysokości gejzerami pian.

Katamaran nabrał szybkości i zaczął przewalać się niezgrabnie z fali na falę. Czekająca ich ciężka przeprawa; żagle łopotały i klaskały, a fale obryzgiwały oboje pasażerów dwukadłubowej łodzi oraz koszyki z wałówką. Woda była jednak ciepła, toteż Iris i Norman, choć przemoczeni do nitki, witali te prysznice ze śmiechem. Mieli na sobie tylko kostiumy kąpielowe, więc traktowali ten dyngus jako część zabawy. Iris opłynęła przylądek przy nieporadnej pomocy Normana i katamaran pomknął na północ wzdłuż zachodniego brzegu wyspy, krojąc z sykiem piany błękitne wzburzone morze. Rozwijał spora prędkość, mimo to zbliżyli się tylko nieznacznie do Wielkiego Psa, choć płynęli tak ostro na wiatr, jak tylko to było możliwe.

Wysepka, zielona i ponętna w promieniach porannego słońca, jaśniała przed nimi na północnym wschodzie, a właśnie od tamtej strony dał wiatr. Iris zmieniała co

chwila hals, za każdym nawrotem tracąc nieco dobrego humoru i demonstrując coraz bogatszy zasób niecenzuralnych komentarzy, wygłaszanych głównie pod adresem niepomysłnego wiatru. Po kilku godzinach tych zmagani pomarańczowe kwiaty Siódmego Nieba dzieliło od nich nadal dobre pięć kilometrów otwartego morza. Słońce stało już wysoko i piekło niemiłosiernie. Nasilający się wiatr zrywał białe czapy z wierzchołków granatowych fal i przyskał pianą. Norman i Iris byli tak mokrzy, jakby na Wielkiego Psa płynęli wpław.

Przy jednym z kolejnych zwrotów Iris pośliznęła się i upadła na rozchybotany pokład, a przelatujący bom uderzył ją w głowę. Przez jakiś czas leżała na pokładzie i klęła jak szewc, po czym zaczerpnęła tchu i zawołała, starając się przekrzyczeć łopot żagla i szum fal:

- To był najgłupszy pomysł, jaki w życiu mi przyszedł do głowy! Pieprzę Siódme Niebo, Norm! Nie dam rady tam dopłynąć. Bardzo cię przepraszam.

- Mówi się trudno, Iris.

Prawdę mówiąc, odetchnął z ulgą, gdy zrezygnowała z dalszej żeglugi.

Teoretycznie uznał kochanie się z nią w Siódmym Niebie (na które liczył w duchu jako na główne danie piknikowego menu) za coś, co jest warte największych poświęceń, ale był już stanowczo zbyt przemoczony, spalony słońcem, zziębnięty, a wreszcie wystraszony tym, że płynie po wzburzonym morzu na stojącym dęba dwukadłubowcu, prowadzonym przez rozwścieczoną i zmęczoną kobietę; zaczął ponadto odczuwać pierwsze objawy choroby morskiej.

Po kolejnym długim halsie pełnym wiatrem wpłynęli w zaciszną strefę, osłoniętą od wiatru południowym brzegiem wyspy. Ociekali słoną wodą, byli oboje ponurzy i milczący. Żegluga powrotna, choć łatwa, niezmiernie się ślimaczyła. Kiedy wpływali do portu, syrena w forcie obwieszczała właśnie południe. Wyładowali kosze z prowiantem, sprzęt do nurkowania, przemoczone koce, ręczniki i ubrania i zanieśli to wszystko do „Różowego Domku”.

- Sprawdźmy, czy nie uda się czegoś uratować - powiedziała Iris otwierając koszyk. - Urządzilibyśmy sobie piknik na plaży.

Okazało się jednak, że choć zawinęła prowianty w nieprzemakalne płótno, morze się do nich dobrało. Jedzenie zmieniło się w gęstą papkę z morskiej wody, chleba, warzyw i mięsa, nie nadającą się nawet na obiad dla Ziółka. Iris zaczęła kopać głębiej.

- Do diabła, napijmy się przynajmniej martini! - zawołała, lecz nagle znieruchomiała, syknęła z bólu, wyciągnęła dłoń z koszyka i zaczęła ssać krwawiący kciuk. Szklany słoik, do którego wlali martini, pękł.

Stali w ciasnej kuchence Iris. Kostiumy kąpielowe obojga były przemoczone do nitki, skóra wysuszona, spalona słońcem, niebezpiecznie zaczerwieniona i obsypana solą. Normanowi włosy opadały na czoło utrwalonymi słoną wodą szpakowatymi kędziorami, odsłaniając placek łysiny na szczycie głowy.

- Cholera jasna!

Głos Iris zabrzmiał tak, jakby się miała za chwilę rozplakać, choć oczy jej błyszczały, uśmiechała się nawet lekko, patrząc na ciekącą z palca krew.

- Miarka się przebrała, co, Norm? Kompletna totalna kłapa, w dodatku zakończona rozlewem krwi. A sądziłam, że przeżyję jeden z piękniejszych dni mojego życia! Poczekaj chwilkę, obandażuję ranę.

Weszła do łazienki. Norman padł na kanapę, skulił nagie, białe od soli ramiona, a głowa opadła mu na pierś. Iris wyszła niebawem z łazienki ubrana w różowy szlafroczek. Przyklepiając plaster do kciuka, zerknęła w wiszące na ścianie okrągłe lustro.

- Spójrz tylko na mnie, Norm.

Córka Draculi jak żywa, prawda?

- Wyszczrzyła komicznie zęby i zwróciła się do odbicia Papermana w lustrze: - Biedny Norman! Nieboraczek też jest z pewnością ciupinkę złachany.

- Dojdę do siebie - zapewnił.

- Muszę tylko wziąć prysznic i wrzucić coś na ruszt.

Odwróciła się i podeszła do niego.

- Wykąp się u mnie, a ja tymczasem przygotuję coś do zjedzenia.

- Dzięki, Iris, ale będę

potrzebował ubrania i paru innych drobiazgów. Zawlokę się jakoś do siebie.

Wstał, a ponieważ znalazła się tak blisko niego, wziął ją w objęcia. Przytuliła się dość nawet skwapliwie.

- Tak mi przykro z powodu tego niepowodzenia, kochanie.

Wszystko przez ten cholerny północny wiatr! Katamarany po prostu nie chodzą na wiatr. Powinniśmy byli jednak wziąć motorówkę.

- Nic się nie stało, Iris.

Przeżyliśmy zabawną przygodę.

- Niewątpliwie! Ale to nie było dokładnie Siódme Niebo, prawda?

- No cóż, istotnie nie. Ale przecież nic straconego...

- Tak uważasz, skarbie?

- Oczywiście.

Wysilił się na optymistyczny uśmiech i pocałował ją. Przez chwilę stali przytuleni, a raczej opierając się jedno na drugim, złączeni pocałunkiem. Ze zmęczenia chwiali się oboje na nogach. Nagle Iris oderwała rękę od nagich pleców Normana i polizała palce.

- Psiakostka, Norman,

smakujesz jak obwarzanek! - zawołała. - Pędź zaraz pod prysznic!

- A ty?

- Marzę o długiej drzemce.

Potem postaram się poskładać stare gnaty do kupy. Obawiam się zresztą, że tym razem mi się nie uda i sprzątaczką znajdzie jutro rozrzucone w łazience osobne kawałki.

- Dziś wieczorem jesz ze mną kolację - oświadczył tonem znużonym, lecz stanowczym. - Jeśli masz umówione jakieś spotkanie w interesach albo inne tajemnicze bzdurstwa, niniejszym je odwołuję. Kolację jesz ze mną, zrozumiano?

W oczach Iris zabłyśły ironia i czułość.

- Och, ależ ty jesteś władczy, kotku! Widzę, że nie mam nic do powiedzenia.

Dobrze, bardzo chętnie umówię się z tobą na uroczą randkę. Słyszałam, że w „Marzeniu Hogana” mają nowego francuskiego kucharza, podobno wspaniały. Trudno mi w to uwierzyć, ale możemy sprawdzić.

- A więc umowa stoi. Jemy kolację w „Marzeniu Hogana”. A potem długa, pamiętna noc we dwoje. Podbijemy Kinję! - zapowiedział i wyszedł na chwiejnych nogach.

`tt

Część III

Część trzecia

Karnawał taki słodki jest
(cd.)

Rozdział dwunasty

Siódme niebo
(cd.)

2

O tej porze roku nawet w „Marzeniu Hogana” - gdzie pokoje były maleńkie i pozbawione łazienek, wszędzie wciskały się mchy i pleśń, a do tego jeszcze straszyły rozpanoszone szczury - nawet tu brakowało wolnych miejsc. Wszystkie stoliki na tarasie były zajęte, goście stali też tłumnie wzdłuż ozdobnej żelaznej balustrady i oglądali zachód słońca. Gilbert, ubrany w nową białą marynarkę i czarne atłasowe spodnie w prążki, wyszedł uśmiechnięty zza barowej lady, żeby powitać Papermana i panią Tramm i służyć im pomocą. Posadził ich przy małym żelaznym stoliku, który wnieśli w pośpiechu wraz z krzesłami i ustawili przy balustradzie dwaj kolorowi kelnerzy. Gilbert nawet palcem nie kiwnął podczas tej operacji, ograniczając się do wydawania dyspozycji i popatrując na Normana z nie skrywaną dumą człowieka na kierowniczym stanowisku.

- Nie, chłopci, nie tutaj, stamtąd państwo nic nie ziobaciom, pośtafcie go tutaj... o tak, telaś lepiej... Siżniam się panu, panie Pejpan, zie blakuje mi ciasiem Lafy. Sisie zie jeźle ansiapie elaźlaci.

Paperman odnotował z zadowoleniem, że coraz lepiej rozumie wymowę Calypso. Był w stanie przetłumaczyć bez większego trudu zdanie: „Słyszę, że nieźle pan sobie teraz radzi” i odpowiedzieć na zawartą w nim opinię:

- Nie najgorzej, Gilbercie. A radziłbym sobie jeszcze lepiej, gdybyś do nas wrócił.

Gilbert zaniósł się serdecznym śmiechem i z uciechy aż klasnął w dłonie.

- Ma pan telaś Hippolyte'a! To dobli chop, chociaś tloche śmieśny.

Przyjął zamówienie i wrócił do baru, nie przestając się trząść ze śmiechu. Przy stoliku pojawił się natomiast adwokat Collins, w brązowych bermudach, takichż podkolanówkach i żółtej marynarce w zielony rzucik, przypominający liszaj trądu.

- Witaj, nieznajomy przybyszu!

- zawołał, porywając Papermana w objęcia i owiewając go wonią męskich perfum o nazwie „Brawn” czy też „Thuggee”, których Norman szczególnie nie znosił. - Ależ mieli państwo nosa! Proszę spojrzeć na horyzont: niczym ostrze brzytwy. To dzięki temu północnemu wiatrowi, co wiał przez cały dzień. Ujrzyście państwo taki zielony błysk, że niech się wszystkie poprzednie schowają! Ale, ale, nie wiem, czy ma pan świadomość, że wyrasta panu konkurencja?

Przysunął sobie krzesło,

usiadł, opuścił w chytrym uśmiešku końską szczękę i wysunął język, a jego wyłupiaste oczy zamigotały szkliście.

- Mianowicie? - zaciekawił się Paperman.

- Czy wie pan, że ten pański przyjaciel, Lionel Williams, zjeżdża tu w przyszłym tygodniu z paczką państwa Freed?

- Oczywiście. Zatrzymują się przecież w „Rafie”.

- Istotnie, na jakiś czas. Ale potem pan Williams zamieszka w „Marzeniu Hogana”, stanie się bowiem jego właścicielem!

- Lionel? - Norman nie posiadał się ze zdumienia.

- Sądziłem, że chciał kupić „Casa Encantada”.

- Owszem, początkowo. Prawdę powiedziawszy, reprezentuję również interesy „Casa Encantada”. Próbowałem

sfinalizować tę transakcję, lecz pojawiły się różne niejasności i ostatecznie stanęło na tym, że pan Lionel kupuje „Marzenie Hogana”. Tak więc dwóch ludzi teatru z Broadwayu będzie teraz prowadziło hotele na Kinji. I co pan na to?

Zapoczątkował pan nowy trend w show-biznesie! - Nagle zerwał się z miejsca i wskazał na morze. - Widowisko się zaczyna, proszę państwa!

Słońce dotknęło właśnie horyzontu!

Kilkoro gości wstało od stolików i dołączyło do tłumu gapiów. Wieczór był wyjątkowo pogodny. Tarcza słoneczna, której dolna krawędź wsuwała się właśnie za spurpurowiały horyzont, jaśniała złocistym blaskiem. Płomienny dysk opuścił się do połowy, coraz bardziej czerwieniejąc i ciemniejąc. Zachodzące słońce zmieniało barwę na czerwono pomarańczową i z wolna, stopniowo malało. Wkrótce z oceanu wystawał jedynie lśniący pomarańczowy obrębek jego tarczy - i nagle Paperman dojrzał wreszcie osławiony fenomen. Znikając z oczu widzów, skrawek słońca istotnie zabłysnął zielonkawym blaskiem.

W tłumie zgromadzonym przy balustradzie, rozległ się głośny

szmer. Niektórzy turyści

zaobserwowali niezwykle

zjawisko, inni nie, lecz wszyscy dzielili się jednocześnie swoimi uwagami.

Dziwnie poruszony Norman

powiedział do swojej

towarzyszki:

- Więc to wcale nie bujda, jak się okazuje. Tym razem naprawdę to zobaczyłem.

- Ja również. Zresztą nie po raz pierwszy. Istotnie dziwne zjawisko.

Kelner postawił przed nimi kieliszki martini. Norman podniósł swój i zaproponował toast.

- Za nasz zielony błysk o zachodzie słońca, skarbie.

Jej oczy zmatowiały, a twarz spochmurniała. Długo wpatrywała się w Normana, zanim podniosła kieliszek, żeby spełnić toast.

- Proszę cię, Norman, uważaj dziś na mnie, dobrze?

- Sama na siebie uważaj. Nie chcesz się rozerwać? Bo ja mam na to cholerna ochotę.

- Ja również, Norm. -

Pociągnęła drobny łyk, odstawiła trunek i zacisnęła dłonie na kolanach. - Nie jestem święta, jak wiesz. Żałuję, że Henny jutro przyjeżdża, a jeszcze bardziej, że ją w ogóle poznałam.

Zacisnęła wargi i wpatrywała się w swój kieliszek. Diamentowe kolczyki połyskiwały w jej uszach. Miała na sobie letnią, głęboko wyciętą szarą sukienkę, gęste włosy zaczesana gładko do tyłu, co upodabniało ją do dawnej Janet West. Jej twarz i dekolt płonęły poranną opalenizną. Wydała się Normanowi jeszcze bardziej ponętna niż wtedy gdy zobaczył ją pierwszy raz w barze obok Boba Cohna. Wtedy było to tylko zmysłowe zauroczenie, instynktowne przyspieszenie tętna, jakiego każdy mężczyzna doznaje na widok pięknej nieznajomej, ujranej przelotnie gdzieś na lotnisku lub w pociągu. Teraz byli już z Iris na zażyłej stopie...

Potrząsnęła głową, jakby chciała rozjaśnić w ten sposób myśli.

- Powiedz mi, Norm, jakie to uczucie, kiedy człowiek ma dzieci? Chciałabym wiedzieć, jak to jest naprawdę, bez tego całego czułościowego ble-ble i tej wykrętnej paplaniny. Czy przeważają kłopoty? Nuda? Czy to jest przyjemne? Bolesne? Czy dla ciebie było to bardzo ważne?

- Ja mam tylko jedną córkę, Iris.

- Wiem.

Norman upił łyk i zamyślił się na chwilę.

- Jakie to uczucie? Dobrze, spróbuję ci wyjaśnić. Z całego swojego życia - mam na myśli lata dzieciństwa, czasy burzliwej młodości i uganiania się za aktoreczkami, potem okres małżeństwa z kobietą, którą kocham do dzisiejszego dnia, pysznych zabaw w towarzystwie najsympatyczniejszych i najdowcipniejszych ludzi w Nowym Jorku... - otóż ze wszystkich tych lat najmilej wspominam... trudno mi nawet myśleć o tym bez wzruszenia, takie to było cudowne, a teraz należy do bezpowrotnie minionej przeszłości... pierwsze pięć lat życia Hazel. Pamiętam, że żyłem wtedy w jakimś nieustannym zachwyceniu. Czułem się jak w niebie zmieniając jej pieluszki, byłem niewymownie szczęśliwy, kiedy ją rozśmieszałem i opowiadałem bajeczki, karmiąc ją tartą marchewką. Nawet niepokój, wywołany jej chorobą, przyjmowałem z wdzięcznością, bo dotyczył jej. Dla mnie żadne uczucie nie da się porównać z tą miłością... żadne na świecie... i nawet nie wiem, czy jestem pod tym względem wyjątkiem, czy inni też to tak przeżywają. Mało się czyta na ten temat, być może dlatego, że brak tu pozornie pierwiastka niezwykłości. Przenika cię po prostu całą czystą, doskonałą miłość... I jeszcze coś ci powiem: należę do zaprzysięgłych fanów seksu, ale w porównaniu z tamtą miłością, erotyka to dla mnie przyjemność zdecydowanie drugoligowa. To właściwie wszystko, co potrafię ci powiedzieć o doznaniach rodzica. Niestety, w tych sprawach moje doświadczenia nie są zbyt bogate.

Oczy Iris Tramm błyszcząły.

- Boże, ale relacja! A co czujesz do niej w tej chwili?

- Do Hazel? Naturalnie, nadal ją kocham, choć to już nie jest tamto ubóstwienie. Właściwie to po części z jej powodu przyjechałem na tę zwariowaną wyspę. Nie mogłem spokojnie patrzeć, jak dorasta i marnuje się przy jakimś nadętym tłustym palancie, więc po prostu zwałem.

- No i co powiecie? Zielony błysk paluszki lizać, co? Warto zapłacić za bilet, prawda? Tylko w „Marzeniu Hogana”! - Pan Collins, wręcz rozdęty radosnym podnieceniem, opadł na wolne krzesło. - Owszem, przyznaję szczerze, będzie mi brakowało tego lokaliku. Całej zresztą Kinji, ale tego tarasu o zachodzie słońca w szczególności.

- O? - powiedział Norman, najuprzejmiej jak potrafił. - Wyjeżdża pan?

- Szczerze mówiąc tak. Już od dłuższego czasu czekałem na podobną okazję - mam na myśli możliwość wycofania kapitału z „Marzenia Hogana”. Przenosimy się do La Jolla w Kalifornii. Uważam, że Amerigo to najsympatyczniejsza wysepka na całych Karaibach, ale widzi pan, Norman, przychodzi taki moment, że człowiek zaczyna tęsknić do kontynentalnych wygód. Do takich rozkoszy jak przyzwoite drogi, kina, w których wyświetlają przyzwoite filmy, a krzeselka nie kaleczą człowiekowi tyłka, do sklepów z przyzwoitym jadem, uprzejmej obsługi, fachmanów, znających się na swojej robocie... rozumie pan, takich jak hydraulik, elektryk, zwyczajnych rzemieślników, którzy przychodzą o umówionej godzinie i wykonują, co do nich należy, szybko i solidnie. Coś panu powiem. Po jakimś czasie tu spędzonym człowiek zaczyna po prostu usychać z tęsknoty za starymi pocziwymi Stanami. Chciałoby się również - mrugnął porozumiewawczo - nieco częściej oglądać blade twarze, choćby i opalone. Pojmuje pan? Tylko proszę mnie źle nie zrozumieć:

Kinjanie są cudownymi ludźmi, ale kiedy po raz setny nie może się pan dodzwonić do telefonistki, kiedy po raz setny jakiś taksjarsz rozwała panu wóz, a policjant nie jemu, a panu wlepia mandat, człowiek zaczyna mieć tego wszystkiego serdecznie dosyć.

- Sądziłam, Chunky - odezwała się Iris - że jesteś zagorzałym wielbicielem tej wyspy i wielkim przyjacielem czarnych.

- Bo jestem. Mój dom stoi otworem i przed lokalsami, i przed kontynentalcami bez różnicy, nie znajdziecie też na całej wyspie drugiego białego, który by mówił narzeczem Calypso lepiej ode mnie. Kinja jest rajem, to fakt, ale spójrzmy prawdzie w oczy, Iris: Norman już tu się osiedlił, tylko patrzeć jak dołączy do niego Lionel. To znaczy, że Nowy Jork odkrył Kinję. A chyba wiesz, jak to się skończy? Och, ceny nieruchomości niewątpliwie poszybuja w górę, ale czar tego miejsca szybko diabli wezmą. Za pięć lat na ulicy Księcia Walii handlarze będą sprzedawali bajgle i wędzonego łososia po żydowsku. Dziękuję, przeżyłem tu piękne chwile, ale teraz pora brać nogi za pas.

Adwokat wstał i poszedł do baru.

- Istnieje tylko jedno słowo na określenie Chunky'ego Collinsa - mruknęła Iris - a ja go już dziś rano solidnie nadużyłam.

- Najlepszy prawnik na wyspie

- przypomniał Norman. - Może zjemy kolację gdzie indziej?

- Nie, skoro już tu jesteśmy, zostańmy. Bob wyrażał się z takim entuzjazmem o tym nowym szefie kuchni. Słuchaj, Norm, musisz koniecznie odwiedzić Lionela od kupna „Marzenia Hogana”!

- Lionel jest w podobnych sprawach przebiegły ode mnie.

- Tak, ale zaraził się

miłością do wyspy, a ta choroba rzuca się na mózg.

Zamówili solę bonne femme,
danie, którym tak się zachwycił
Cohn, do tego chablis. Zmierzch
zapadał szybko. Przejrzysta
pomarańczowa poświata na
zachodzie przygasła, na
wzgórzach wokół Georgetown
zamigotały światełka, a na
ciemnych wodach w pobliżu portu
rozblęły refleksy lamp „Rafy
Mew”. Norman i Iris rozmawiali w
gęstniejącej ciemności o
minionych czasach, o
przedstawieniu na rzecz
republikańskiej Hiszpanii, w
którym Iris występowała, o ich
buntowniczej, radykalnej
przeszłości. Norman nigdy nie
wstał do partii
komunistycznej; czysty,

zwyczajny instynkt

samozachowawczy powstrzymał go przed tym - wyznał Iris - odwiódł też od tego kroku Henny, choć krzyczała, że zachowują się oboje jak śmierdzący tchórze. Omal zresztą nie zwyciężyła w tym sporze. Już prawie się zdecydowali zostać członkami, kiedy ostatecznie pozbawił ich złudzeń pakt Hitlera ze Stalinem. - Okazaliście się dupkami żołądnymi - prychnęła Iris. - Ja wstąpiłam. Należałam do partii aż do czasów powojennych. W co innego, psia mać, można było wtedy wierzyć? Ostatecznie to Rosjanie pobili nazistów. Zgoda, wysyłaliśmy im sprzęt, żeby mieli czym walczyć, Normandia również była wielką pomocą, ale przecież oni stracili dwadzieścia razy więcej ludzi niż my i położyli trupem prawdopodobnie dwadzieścia razy tyle Szkopów co my! Wiem, że wciąż nie wypada mówić o tym głośno, ale ja to czniam, bo to prawda! Bardzo długo wierzyłam w tę komunistyczną bzdurę, aż nagle przestałam w nią wierzyć. Zdałam sobie sprawę, że to po prostu jeszcze jedna religia więcej, tyle że bardziej fałszywa od innych, i na tym się skończyło. Nikt mnie nie zastraszył ani nie skłonił do wystąpienia siłą.

- A w co wierzysz dzisiaj, Iris?

- Ja? Że mam fajnego psa. Że byłam młoda i śliczna, a jestem stara i tłusta. Że naprzeciwko mnie siedzi uroczy żydowski głupol o całkiem ładnych włosach i że jutro przyjeżdża jego sympatyczna żonka.

Przyniesiono solę bonne femme:

skórzaste żółte grube płaty suszonej na słońcu ryby, przykryte bryłami grudkowatego ciasta.

- Masz tobie! - parsknęła Iris marszcząc nos. - To przecież ich stary specjał z owoców morza: suszony na słońcu strzępiel, jak te ryby, zdaje się, nazywa Bob. Ale cóż to za białe błoto go pokrywa? Sola bonne femme, też coś! Kelner! Proszę zawołać pana Collinsa.

Przydreptał adwokat; zacierał ręce i uśmiechał się promiennie.

- I jak, przyjaciele? Smakuje wam jedzonko?

- Chunky - natarła na niego groźnie Iris - czy ten twój francuski kucharz dostał dzisiaj wolne? Czy ty w ogóle masz francuskiego kucharza?

Pan Collins posmutniał w jednej chwili.

- Miałem, był naprawdę

doskonały! Pochodził z Panamy.

Okazał się jednak zbiegiem. Podobno prowadził jakiś pokątny handelek diamentami. Fbi z San Juan przysłało tu człowieka, żeby z nim pogadał, i następnego dnia Fran~cois ulotnił się bez pożegnania. Pracował u mnie wszystkiego pięć dni.

- No, no, to istotnie krótko, nawet jak na Kinję! - orzekł Norman.

- Cóż, przestępcy istotnie nie zabawiają tu długo - przyznał pan Collins. - Inaczej bywa z różnymi świrusami. Niektórzy się tu nawet osiedlają. Czyżby ryba państwu nie smakowała? Fran~cois przed zniknięciem pokazał mojemu nowemu kuchmistrzowi, jak się przyrządza solę bonne femme.

- Jest doskonała! Może nie byłoby jednak za późno na zamówienie dwóch steków? - zapytała Iris.

- Myślę, że nie. Ale chablis do steków nie pasuje - oświadczył Collins i z radosną miną zabrał oszronioną butelkę.

- No cóż, jak dotąd nic nam się dzisiaj nie udaje - zauważyła Iris. - Mówi się trudno. Nie sądzisz jednak, że byłoby lepiej, gdybyśmy odwołali tę randkę i rozeszli się każde w swoją stronę? Obawiam się, że jeśli z tobą zostanę, przytrafi nam się jakieś nieszczęście.

- Zabawimy się dzisiaj -

oświadczył Norman. - Byle się nie poddawać przeciwnościom losu!

- Zgoda. Jesteś odważnym człowiekiem.

- „Poluję na rudego lisa minionego szczęścia” - zacytował Norman. Twarz Iris rozjaśniła się.
- „Oswoić go czy zabić”... Ty również należysz do wielbicieli pani Millay,»* Norm? Ja znałam kiedyś tomiki jej wierszy na pamięć! Spróbujemy? „Moje ciało umrzeć powinno nad morzem”...

Edna St. Vincent Millay
(1892_#1950) amerykańska
poetka, laureatka nagrody Pulitzera za rok 1923.

- Niestety, nic z tego, Iris.
Wyleciało mi już wszystko z głowy. Od dwudziestu pięciu lat nie przeczytałem ani jednego wiersza Edny Millay. Pojęcia nie mam, skąd mi się nagle przyplątał ten wers. Henny nie lubiła Millay, twierdziła że to ciepłe kluchy. Moja żona była fanatyczną radyką. Czytywała „New Masses”»* i powieści o strajkach górników.

Radykalne pismo lewicowe,

założone w Nowym Jorku w r. 1926, związane z amerykańską partią komunistyczną.

- Jakoś po niej dziś tego nie widać.
- Istotnie, lecz do momentu kiedy mnie poznała, los całej ludzkości był dla niej głównym problemem osobistym. Od tego momentu natomiast stałem się nim ja.

Iris zaczęła deklamować:

Wino z tych gron wyciskać będe
póty,@ póki życia mi starczy i
sił...@

Wyrecytowała cały wiersz ochryłym, spokojnym głosem, ze wzrokiem utkwionym w morze, raz czy dwa zajrzała jednak Normanowi głęboko w oczy. Papermanowi przypomniał się fragment innego wiersza Edny St. Vincent Millay. Iris podchwyciła go natychmiast i wygłosiła do końca. Rozpoczęli swoiste zawody, przerzucali się całymi strofami, co bardziej znanymi wersami, wyrwanymi z kontekstu dwuwierszami zmarłej poetki. Norman zdumiał się, jak dużo z jej twórczości zdołał zapamiętać. Oboje unikali wyświechtanych linijek: o promie, o spalaniu się jak świeca, o lśniącym pałacu.
Recytacja obudziła drzemiące w pamięci Normana słowa; słodkie trele sławnej poetki lat dwudziestych, jej elegie poświęcone przygodom miłosnym w nowojorskiej Village, jej młodzieńczy bunt przeciwko konwenansom epoki, jej tęsknotę do natury, jej sonety rozpięte między erotyką a śmiercią. Delikatna melodia wierszy wytworzyła nastrój romantyczny, drżący miraż młodzieńczych zadrzeń. Norman zdażył już całkiem zapomnieć, co to znaczyło kochać, gdy się miało dwadzieścia trzy lata. Teraz to sobie przypomniał. Czar owładnął również Iris Tramm. Patrzyła na towarzysza takim wzrokiem, jakim patrzy na swojego chłopca zakochana dziewczyna. Dla Papermana

zaś Iris przeistoczyła się w dawną Janet West, olśniewającą gwiazdę, która pożerał wzrokiem zza kulis podczas przedstawienia na rzecz wolnej Hiszpanii. Nie potrafiłby powiedzieć, czy steki były smaczne, czy ohydne, wino podle czy doskonałe. Miał znowu dwadzieścia trzy lata i randkę z piękną aktorką, więc wszystko smakowało wybornie. Rozbawieni, wyczerpali temat Edny Millay i zaczęli wspominać dawne premiery, aktorów i aktorki z lat trzydziestych, duet Ethel Merman i Berta Lahra w „Du Barry was a lady”, zwariowane pomysły Eda Wynna w „Hooray for what?”, Leslie Howarda i Humphreya Bogarta w „Skamieniałym lesie...” Zapadła noc. Na niebo wzeszedł czerwony sierp księżycyca.

3

Kelner o nieruchomej twarzy postawił z brzękiem na metalowym blacie stolika dwie filiżanki kawy. Iris sięgnęła po torebkę.

- Wypijmy kawę gdzie indziej, Norm.
- Jak sobie życzysz. Gdzie?
- Zaprowadzę cię. W pewnym domu w mieście odbywa się właśnie przyjęcie urodzinowe. Obiecałam, że wpadniemy tam na chwilkę.
- U kogoś, kogo znam?

Pokręciła przecząco głową.

- Lokalsi, jak ich nazywa Chunky. Ale znają cię. Jesteś w ogóle obiektem żywego zainteresowania Kinjan.

Paperman miał szczerą ochotę wziąć udział w prywatnym przyjęciu, w którymś z tubylczych domów Georgetown.

Iris prowadziła rovera labiryntem oświetlonych

latarniami ulic i zaułków, najpierw zbiegających ze wzgórza, potem się na nie wspinających. Pośrodku jakiejś brukowanej kocimi łbami uliczki stał czarny policjant; Iris zatrzymała wóz obok niego.

- Cześć, Ray. Znajdzie się tam jakieś miejsce do zaparkowania?

Policjant dotknął daszka kapiącej od złota brązowej czapki.

- Myślem, że tak, pani Tlamm.
- Jeden wuś waśnie wijechał.
- Cudnie!

Skręciła w ozdobioną stiukami bramę i stromą betonową alejką, wzdłuż której parkowały liczne auta, pojechała w górę do kolistego podjazdu przed okazałym białym budynkiem, graniastym niczym forteca. Norman od razu go poznał. Z klubu „Rafa Mew” gmach ów był dobrze widoczny - stał w połowie Cukrowego Wzgórza, dominując nad nim, podobnie jak Pałac Gubernatora dominował nad wyższym wzniesieniem.

- Na litość boską, kto tu mieszka, Iris?
- Turnbullowie. Bardzo stara rodzina.

Norman usłyszał dźwięki muzyki

- nie zespołu stalowych bębnow, lecz jakiejś przyzwoitej orkiestry jazzowej - i gwar licznych głosów. Weszli do środka szeroko otwartymi, olbrzymimi drzwiami z

ozdobną kratą i zaczęli iść przez ogromne pokoje o marmurowych podłogach, umeblowane w dość szczególny sposób: różnokolorowe nowoczesne sprzęty, jakie oferuje się zwykle w sprzedaży wysyłkowej, sąsiadowały z ciężkimi ciemnymi meblami wiktoriańskimi. Połączenie to nie było efektem świadomego założenia artystycznego, jakie mógłby przyjąć na przykład dekorator wnętrz z Nowego Jorku, godzący styl współczesny z wiktoriańskim - dokonano go w sposób całkowicie przypadkowy i chaotyczny. Rezultat był mimo to nader interesujący. W pokojach tłoczyli się liczni goście, prawie sami Murzyni. Norman dostrzegł tylko kilku białych, z których żadnego jednak dotychczas nie spotkał. Zespół jazzowy grał w sklepionym korytarzu prowadzącym na rozległy taras, oświetlonymi kolorowymi lampionami. W foyer i na tarasie tańczyły dziesiątki par.

Iris poprowadziła Normana do jakiejś niezwykle otyłej czarnej kobiety w pomarańczowej atlasowej sukni, ze spiętrzonymi wysoko w wymyślnej koafiurze ciemnosiwymi włosami. Grubaska siedziała na tarasie w fotelu z drewna sekwoi, podpierała się laską i przypatrywała tańczącym parom. Na widok Iris Tramm uśmiechnęła się ciepło.

- Witaj, Iris!

- Wszystkiego dobrego z okazji urodzin, pani Turnbull.

Chciałabym pani przedstawić pana Normana Papermana.

- Słyszałam, słyszałam!

Dżentelmen z Nowego Jorku. Witam pana.

Nie wiedząc, jakie w tym środowisku panują zwyczaje, Norman podał niezgrabnie rękę gospodyni, a pani Turnbull uściśniła mu ją w typowy dla wyspiarzy omdlały sposób. Jest szczęśliwa, oświadczyła, że może poznać sławnego producenta z Broadwayu, i dumna, że wybrał sobie ich wysepkę na miejsce zamieszkania. Norman nie sprostował nieścisłości. Oba nieporozumienia: że on sam jest producentem teatralnym oraz że Atlas miał okładkę w „Time'ie” - najwidoczniej zapisały się już na trwałe w ludowych podaniach Kinji.

Racząc się wraz z Iris kawą i tłustym tortem kokosowym przy małym stoliku w foyer, Norman dojrzał i pozdrowił gestem dłoni kilku znajomych Murzynów - bankiera Llewellyna, Anatone'a, księgowego Willsa oraz miejscowego lekarza i dentystę, którzy leczą potrzebujących pomocy medycznej gości klubu.

Pozostali goście snuli się w pobliżu, najwyraźniej mając ochotę poznać osobiście sławnego producenta z Broadwayu. Nie podchodzili jednak pierwsi do Papermana, lecz czekali cierpliwie, aż Iris napotka ich wzrok i przywoła skinieniem głowy. Norman wymienił więc uściski dłoni z ministrem edukacji, ministrem finansów, wydawcą miejscowej gazety „Obywatel”, różnymi prawnikami i kierownikami wydziałów bankowych, właścicielami

sklepów, wreszcie kolejnymi członkami „bardzo starej rodziny”. Uderzyły go spokój i pogoda ducha tych przedstawicieli miejscowej kolorowej arystokracji - spośród których jedni byli całkiem czarni, inni tylko bladożółci - ich przyjazne nastawienie, zabarwione rezerwą, wolne jednak od służalczości, wynoszenia się czy niechęci. Paperman nie znał dotąd Murzynów z wyższych sfer. Ze swoją pewnością siebie, swobodą bycia, pięknymi strojami i staroświeckimi manierami stanowili czarne lustrzane odbicie „bandy ze wzgórza” zebranej na przyjęciu w rezydencji „Paradne Schody”, choć oczywiście istniały między tymi dwiema grupami pewne różnice. Murzyńscy arystokraci nie zadzierali nosa; choć sączyli trunki, nikt się nie upijał; nie zmuszali też Normana do rozstrzygania niepokojącej kwestii, czy jest białym, czy Żydem.

- Teraz widzę, że nic nie wiem o tej wyspie - powiedział do Iris. - Właśnie to sobie uświadomiłem. Od chwili

przyjazdu byłem więźniem „Rafy”. Ten hotel to dom wariatów z orkiestra stalowych bębnow. Tu jest prawdziwa Kinja!
Uśmiechnęła się lekko.

- To jest to, co Kinja posiada najlepszego. Masz przed sobą ludzi, dzięki którym ta tropikalna farsa jakoś funkcjonuje. Naturalnie, „paczka ze wzgórza” przyczynia się do tego w niemałym stopniu swoimi podatkami. Cieszę się, że poznałeś i tę stronę medalu. Myślę jednak, że powinieneś zobaczyć coś więcej. Masz ochotę? Wygląda na to, że czeka nas szalona noc.
- Prowadź!

Iris zabrała Normana na objazd nocnych lokali Kinji. Było ich tylko kilka - obskurna, pozbawiona wszelkich ozdób sala u szczytu uliczki Tysiąca Stopni, wypełniona po brzegi młodymi czarnoskórymi pedałami, tańczącymi w jaskrawym blasku elektrycznych lamp lub popijającymi piwo i napoje gazowane; wzorowana na barach nowojorskiej dzielnicy Greenwich Village, mroczna, oświetlona tylko lampami naftowymi knajpka przy ulicy Księcia Walii, gdzie paru bosych białych brodaczy, kilka dziewcząt o prostych jak strąki włosach i wielkich zadkach wylewających się z brudnych spodenek, kilku czarnych młodzieńców i białych kobiet w towarzystwie czarnych mężczyzn słuchało przy kawie, serwowanej z syczących ekspresów, folkowej śpiewaczki nadużywającej wulgarnych wyrazów; przydrożny zajazd na odludziu wśród łąnów trzciny cukrowej, z jednym, od lat nie używanym, zakurczonym torem kręgielni, fortepianem w pokrowcu, pustym parkietem tanecznym i oświetlonym na czerwono barem, w którym siedziało kilku białych mężczyzn w średnim wieku, bełkocząc coś po pijanemu i rechocząc; wreszcie lokal Francuzów za lotniskiem - żółta szopa o nazwie „Montmartre”, gdzie pod niebieskimi żarówkami, wiszącymi na długich przewodach, przy ogłuszającej muzyce szafy grającej zebrało się towarzystwo jak z upiornego snu, złożone z samych Hippolyte'ów w różnych odmianach: tłustych, chudych, wysokich, niskich, młodych i starych, którzy bawili się w kompanii paru rozkrzyczanych

białych i czarnych kurw,
mających na sobie lekkie
bawełniane sukienki i pstre kapelusiki.

- I to już prawie wszystko - oświadczyła Iris, gdy opuścili tę ostatnią spelunę, zaledwie umoczywszy w piwie usta. - Widziałeś całe nocne życie Kinji. Twoja „Rafa Mew” bije te wszystkie lokale na głowę, dlatego cieszy się takim powodzeniem. W niektórych pensjonatach mają co prawda bary, ale, generalnie biorąc, wyspa zamyka się o wpół do jedenastej jak brama cementarza. Z wyjątkiem, ma się rozumieć, „Casa Encantada”.

- I co tam oferują?

- Hulanekę do białego rana. Ale to jaskinia ciot, Norman.

- Jedźmy tam!

Pensjonat o nazwie „Casa Encantada” stał na szczycie wzgórza, z którego rozciągał się widok, dosłownie zapierający dech w piersiach, na skalne nadbrzeżne turnie i połyskujący w blasku księżyca ocean. Wokół barowego fortepianu, stojącego w głębokim oknie wykuszowym, tłoczył się tłum mężczyzn, obskurne pomieszczenie było jednak tak zadymione, że Norman z trudem tylko dostrzegał zarysy przedmiotów. Na widok Iris podniósł się radosny gwar powitań. Szczupły, przystojny biały młodzieniec, najwyżej dwudziestoletni, siedział przy fortepianie ze skupioną, zatroskaną miną i grał z nerwem i wprawą melodie z jakiegoś nowego musicalu. Miał na sobie zapinaną do samego dołu różową koszulę bez krawata i obcisłe spodnie. Jakiś brzuchaty, bosy mężczyzna w luźnych szortach, o dużej czerwonej twarzy, wylupiastych, przekrwionych oczach i przyszyżonych płasko na języka, groteskowo wyglądających włosach, wynurzył się z tłumu i objął Iris.

- Witaj, skarbie! A gdzie twój chłoptys z drużyny saperów podwodnych?

- Na służbie, Felix.

Przedstawiam ci pana Normana Papermana.

- O, Boziuniu, przedstawiciel konkurencji! No cóż, spóźniony dzieńdoberek w raj! Od jak dawna pan u nas bawi? Ze trzy tygodnie, prawda, sądząc po tym, że nie ma pan jeszcze na sobie kaftana bezpieczeństwa? Ha, ha, ha! Czy to nie pyszny żart, zabawa w hotelarza na Karaibach? Toż jesteśmy w niebie! W miejscu, gdzie spełniają się marzenia szarego człowieka!

- Kiedy siądziesz do

fortepianu, Felix? - zapytała Iris. - Nie możemy zabawić zbyt długo.

- Och, już wkrótce, maleńka.

Dopiero co się natankowałem.

Czyż ten malec nie jest świetny? Ma na imię Arthur, pochodzi z Minneapolis.

Wprost tryska talentem, a tymczasem jego starzy, wyobraźcie sobie, chcą żeby synek prowadził hurtownię jakichś tam urządzeń elektrycznych! Co za ohyda!

Siadajcie, proszę.

Zamówił drinki dla Iris i Normana i podwójną brandy dla siebie.

- Od kiedy pijesz, Felix? - zapytała Iris.

- Och, od jakichś czterech dni, skarbie, odkąd ten pieprzony adwokacina, Chunky Collins, zrobił mnie w konia.

Myślałem, że sprzedaje „Casa”

przyjacielowi Normana, panu

Williamsowi z Nowego Jorku, a co

się okazało? Że przez głupi

przypadek sprzedał mu zamiast

mojego pensjonatu swoje

„Marzenie Hogana”! - Felix

zachichotał ukazując wielkie i

pożółkłe zajęcze zęby. -

Oczywiście, każdy się może

pomylić. No i pech, bo chciałem

właśnie wziąć się za

podreperowanie zdrowia,

wyobraźcie sobie! Miałem zamiar pojechać do domciu w Toledo, odtruć trochę

organizm, zrzucić ze czterdzieści kilo, odzyskać posadę. Bo, proszę sobie

wyobrazić, moja biedna stara matuleńka cały czas trzyma dla mnie pokój, wciąż pali świeczkę w oknie! Boże miłosierny! Ale cóż, mówi się trudno, kotku. W Toledo o tej porze robi się diablo zimno, poza tym spójrzmy prawdzie w oczy: troska o zdrowie jest zajęciem tak potwornie nudnym, zgodzicie się ze mną? Przynajmniej dla mnie zdrowie byłoby w tym momencie czymś w rodzaju neurozy, kotuchno.

Wkrótce zastąpił przy pianinie chłopaka w różowej koszuli, zanucił dwa pieprzne kuplety, po czym poważnym, chrapliwym głosem odśpiewał kilka piosenek ludowych. Następnie zagrał melodie ze starych musicali. Okazał się w tym mistrzem. Wyglądało na to, że zna na pamięć setki melodii z lat trzydziestych i czterdziestych. Ktoś podrzucał mu tytuł bądź tylko jedną linijkę tekstu, a on oznajmiał:

„Aha: „Wszyscy na scenę”, rok tysiąc dziewięćset trzydziesty pierwszy!” i zaczynał grać i śpiewać, nie myląc się przy tym ani razu, a oczy błyszczały mu figlarnie, niemal lubieżnie, nawet gdy piosenka należała do najniewinniejszych. Iris bawiła się tym występem doskonale, a że sama znała niemało piosenek, więc ona i Felix improwizowali czasem małe duety, wzbudzając wesołość i wywołując oklaski zgromadzonych przy barze słuchaczy. Norman doszedł do wniosku, że właściciel „Casa Encantada” to zabawny gość i z przyjemnością słuchał przebojów z czasów swej młodości. Sam lokal natomiast wprawiał go w niemałe zakłopotanie. Wszędzie dokoła flirtowali ze sobą mężczyźni; niektórzy pieścili się namiętnie jak nastolatki w kinie. Chłopak w różowej koszuli obgryzał nerwowo paznokcie i rzucał wokół spłoszone spojrzenia; siedział przy stoliku z jednym z bogatych pedałów z Góry Sygnałowej, siwym facetem w szortach i ściśle dopasowanej oliwkowej koszuli, o młodych rysach opalonej twarzy, wyrzeźbionych zapewne przez chirurga plastycznego, i sztucznych zębach, w których trzymał cybuch fajki. Norman był szczerze rad, kiedy właściciel lokalu zakończył wreszcie wiązankę piosenek Noela Cowarda i wstał od pianina, tak że mogli oboje z Iris bez niczyjej urazy opuścić bar.

- Do domu? - zapytał Paperman zapalając silnik i wciągając haustami słodkie powietrze nocy, przesycone wonią kwitnącego jaśminu, bo pragnął jak najszybciej zapomnieć o

odrażającym zapachu, którego się nawdychał w „Casa Encantada”.

- Nie mamy już dokąd jechać, skarbie. Objechaliśmy całą wyspę! Amerigo to jednak nie Paryż.

Po kilku minutach jazdy w milczeniu w dół wzgórza, Norman zapytał:

- Policja się ich nie czepia?

Chodzi mi o tego chłopczynę w różowej koszuli... Zauważyłem też kilku miejscowych młodzieńców, którzy wyglądali i na uczniów szkoły średniej. Nikogo to nie obchodzi?

- Pięć czy sześć lat temu, o ile mi wiadomo, zrobił się szum w tej sprawie - odparła. - Paru chłopców o homoseksualnych skłonnościach, zamieszkałych na drugim piętrze w gospodzie „Francis Drake”, wszczęło burdę, jeden z nich wypadł nagi z balkonu i rozkwasił się na bruku, by tak rzec.

- Miły Boże! - mruknął ze zgrozą Norman.

- No i któryś z senatorów zgłosił w parlamencie projekt ustawy, przewidującej przepędzenie gejów z wyspy. Ale kiedy to sobie lepiej przeanalizowali, okazało się, że gdyby zastosować przepisy ustawy tylko wobec kilku ciot z Góry Sygnałowej... pięciu czy sześciu najbogatszych..., Kinja straciłaby pół miliona rocznego dochodu z tytułu podatków. A czy można sobie wyobrazić ustanowienie przykładowego moralnie prawa, które czyniłoby wyjątek dla miejscowych podatników? Przeważało więc zdanie chłodniejszych głów i obecnie restrykcje obyczajowe tego typu dotyczą wyłącznie marynarzy. Marynarka wojenna zawitała tu kilka razy, ścięła się ostro z rządem i teraz naprawdę nie dają im żyć. Żadnych pedałów w marynarskich mundurkach. Nigdy też nie widziałam marynarza w „Casa Encantada”.

- A Bob Cohn?

- Och, chłopcy z sabotażu podwodnego poza służbą nigdy nie paradują w mundurach. A zresztą Bob przychodzi tam zawsze ze mną.

Po chwili posępnego milczenia, wypełnionego grzechotem rovera Iris powiedziała:

- Czuję płynące od ciebie fale melancholii, Norm. Co się stało, skarbie?

Siedziała ze splecionymi rękami i przyglądała mu się z ironicznym domyślnym uśmiechem. Wpadający przez otwarte okno wiatr rozwiewał jej włosy; w blasku księżyca wyglądała przepięknie.

- Czy ja wiem? Chyba za dużo piosenek z lat trzydziestych. A może za dużo ciot.

- Od miesiący, jeśli nie od lat, tak dobrze się nie bawiłam, więc proszę cię, nie psuj mi tego.

- Naprawdę?

Spojrzał na nią ponownie; była zupełnie poważna.

- Naprawdę, przysięgam!

Ton jej głosu rozproszył przygnębienie Normana i sprawił, że krew zaczęła żywiej krążyć w jego żyłach.

4

Kiedy dotarli do „Różowego Domku”, Iris otworzyła drzwi i z uśmiechem zaprosiła Papermana do środka. Norman przypomniał sobie własne zdziwienie, jakiego doznał wszedłszy przed miesiącem po raz pierwszy do tego pokoju, na widok jego oryginalnego urządzenia, liczby książek i długiego stołu, zastawionego amatorskimi rzeźbami.

Charakterystyczny zapach buduaru kobiety światowej z domieszką odoru psiej budy - wydawał się tej nocy silniejszy niż zwykle, choć wilczura nie było w pokoju. Ciszę wieczoru ściął łoskot orkiestry stalowych bębnów, koncertującej na tarasie klubu:

Bum-da-bum-bum...

- Jasny gwint! - Paperman stanął jak wryty w drzwiach i zaczął się rozglądać po pokoju, oświetlonym blaskiem stojącej obok fotela lampy.

- Co się stało, skarbie?

- Toż to Siódme Niebo!

Iris zanosła się cudownym kobiecym śmiechem, głębokim i zmysłowym.

- Dość się już dzisiaj nabyłam grzeczną dziewczynką! Przygotuj mi teraz lekki dżin z tonikiem i plasterkiem limony.

- Z przyjemnością, zrobię zatem dwa. W kuchni usłyszał, jak Iris nakłada cały stos płyt na adapter. Po chwili rozległ się szum potężnego mechanizmu, a potem dały się słyszeć głośne chroboty i trzaski starego nagrania; Norman kroił w plasterki dużą soczystą limonę, gdy dobiegły go słowa:

Nad tymi ślicznymi brzegami@ i
w onych ślicznych dolinach@ kędy
słońce łąska się na Loch
Lomond...@

Wysoki, słodki głos, nieco

przytłumiony w przedpotopowym nagraniu, wstrząsnął Papermanem niczym głos zmarłej kochanej osoby, a po krzyżu przebiegły mu ciarki. Śpiewała murzyńska piosenkarka Maxine Sullivan, która przed ponad dwudziestoma laty cieszyła się ogromnym powodzeniem wśród młodych zakochanych bywalców nocnych klubów Nowego Jorku dzięki swym jazzowym przeróbkom szkockich pieśni ludowych. Instrumentacja wydała się Normanowi zdumiewająco wątła i staroświecka, ale głos Maxine nie zmienił się wcale. Zalała go fala wspomnień. Poczul na nodze ucisk miękkiego uda dziewczyny, siedzącej obok niego przy stoliku w zadymionej i zatłoczonej artystycznej piwnicy. Był na rauszu, był młody i szczęśliwy, kipiał chęcią życia, przepełniała go żądza i nadzieja. Z nożem i przekrojoną limoną w rękę wyszedł oszołomiony z ciasnej kuchenki. Iris nie było w pokoju. Opadł na kanapę i słuchał łakomie.

Ty w świat odleczisz, a ja
nieboga,@ sama do Szkocji się
wrócę,@ ino już tam miłego mego
nie zobaczę,@ już go nie zobaczę
na tych ślicznych brzegach@ i
ślicznych dolinach zielonych...@

Płyta się skończyła.
Zdumiewające, jakie krótkie były tamte stare krawki. Nie grały chyba dłużej niż kilka minut. Adapter zgrzytnął, szczerknął, zachrobotał i zabrzmiała muzyka z następnej płyty, melodia z jakiegoś starego musicalu, która nie poruszyła jednak w Papermanie żadnej czułej struny.
Siedział na kanapie, wdychał kwaśny zapach trzymanej w rękę limony, a po twarzy ciurkiem płynęły mu łzy. Nie myślał o żadnej z dziewcząt, z którymi niegdyś sypiał. Widział teraz Hazel, jak w różowej piżamce stoi w dzieciennym łóżeczku i uśmiecha się do niego. Piosenka Maxine Sullivan poruszyła jakąś sprężynę w jego sercu i wyzwoliła w nim strumień niezwykłego uczucia: czystej, absolutnej miłości. Płakał nad swoją małą córeczką, nad przemijaniem czasu oraz - bez rozczulania się nad sobą, zupełnie spontanicznie nad młodym Normanem Papermanem i nad tym, co się z nim stało. - Na miłość boską, Norman, skarbie, co tobie? - Adapter zamilkł. Iris podbiegła do Papermana i zaczęła głaskać go po twarzy. - Mój ty Boże, jesteś w jeszcze gorszej formie niż ja! Czy to Maxine cię tak załatwiła?

- Trafiała mnie przez zaskoczenie w splot słoneczny - odrzekł ochryple.
Iris odebrała mu nóż i limonę, zaniósła do kuchni, po czym wróciła, usiadła obok Normana i przyjrzała mu się uważnie.
- Masz ochotę się napić?
- Chyba nie. Nie teraz.
- To tak jak ja.

Przyciągnął ją do siebie. Leżeli na kanapie i całowali się, Iris pozostawała jednak zimna.

- O co chodzi? - zapytał.
- Sama nie wiem, Norm. Te łyzy... Doprawdy, taki duży chłopiec... - Uśmiechnęła się do niego, współczująca, serdeczna, piękna i przejmująco smutna.
- Po prostu mnie wzięło.
- Kogo sobie przypomniałeś?
- Nikogo.

Podparła się na łokciu.

- Wiesz, przyszło mi nagle do głowy, że to, co chcemy zrobić, to fatalny pomysł.
- To doskonały pomysł! -
zapewnił, przewracając ją na plecy. - Jedyny i niezastąpiony.
- Jesteś pewien? Ostatnią rzeczą, jakiej bym pragnęła, to uczynić cię nieszczęśliwym.
- Więc przestań tyle gadać.
- Norman Paperman -
zamruczała, obejmując go mocno.
- Też nazwisko, swoją drogą!

Kochali się czule, cudownie, jak zażyli kochankowie. Norman miał wrażenie, że Iris to Henny, choć była kobietą roślejszą, o nieco innych przyzwyczajeniach w miłości. Ich zbliżenie okazało się równie wzruszające i rozczulające jak tamta stara płyta. I podobnie jak ona trwało zbyt krótko, zbyt prędko się skończyło. Iris wyszła na chwilę, po czym wróciła w białym jedwabnym szlafroku, obszytym zieloną lamówką. W dłoniach trzymała dwie szklanki dzinu z tonikiem i plasterkami limony.

- Mam ochotę się napić, a ty?
- spytała głosem niskim i lekko drżącym.
- Z przyjemnością.
- Jak się teraz czujesz?
- Cudownie! Fantastycznie!
Jestem bardzo szczęśliwy i odrobinę śpiący.
Roześmiała się.
- Szalona noc! A jak tam wyrzuty sumienia?
- Najmniejszych! Mam w tym miejscu duszy zastarzały nagniotek.

Usiadła obok niego na kanapie, oparła się o czarne poduszki, podwinęła pod siebie nogi, zebrała szlafrok wokół ud i pociągnęła łyk alkoholu.

- Zresztą do diabła z sumieniem! Ja też jestem dzisiejszej nocy szczęśliwa, nareszcie bezgranicznie i absolutnie szczęśliwa! A tylko chwila obecna się liczy. To prawda jasna jak słońce, a jednocześnie najtrudniejsza do przyjęcia, zupełnie nie wiem dlaczego.
- Napiła się ponownie i spojrzała na Normana z chytrym błyskiem w oku. - Właściwie dlaczego Henny miałyby to zboleć? Czym ją skrzywdziliśmy? Ot, kolejna kromka z napoczętego bochenka, jak to mówią.
- Nie zaboli jej to, jeśli się nie dowie.
- Bóg widzi, że ja nie mam żadnych wyrzutów sumienia wobec Altona. Nic mu nie jestem winna i cieszę się nawet, prawdę mówiąc, że wreszcie stoję na własnych nogach. Bo i czas najwyższy... Co się znowu stało? Co to za śmieszna minka?
- Wobec Altona?

- Oczywiście! Jego Ekscelencji we własnej osobie, niech go gęś kopnie, chytruska! - Patrzyła na Papermana, a on gapił się na nią z takim niedowierzaniem, że aż parsknęła śmiechem. - Och, przestań, Norm! Słuchaj, doceniam twoją delikatność, wierz mi, ale uważam, że w tym momencie nie jest bynajmniej konieczna. Ty wiesz, że jestem przyjaciółką pana gubernatora, ja wiem, że ty wiesz, i naprawdę nie bola mnie żadne aluzje do tej sytuacji, byle nie były chamskie. Ostatecznie to stara historia, skarbie, więc miałam czas przywyknąć.

- Altona Sandersa

przyjaciółką? Naprawdę, Iris? - wybąkał, zbyt oszołomiony, żeby wysławiać się gładko.

- Oczywiście, kochanie!

Przecież wiedziałeś!

- Otóż nie, Iris! Wcale nie wiedziałem. Przypuszczam, że wykazałem się głupotą albo ślepotą, ale naprawdę nie miałem o tym pojęcia!

Zmieniła się na twarzy.

Spowaźniała i przyglądała mu się podejrzliwie.

- Nie mówisz tego przez

grzeczność? Bo powiem ci prawdę, Norman, że to całkiem zbędne, a nawet trochę irytujące, więc wolałabym, żebyś dał temu spokój.

- Nie nabieram cię! Prawdę mówiąc spodziewałem się raczej, że może ty i Bob Cohn... Kto wie... - Iris uniosła brwi i uśmiechnęła się z niedowierzaniem. - ... Iris, kochanie, uwierz mi na słowo, ja naprawdę nic o tobie nie wiedziałem! Zobaczyłem cię pierwszy raz w towarzystwie Cohna i... - Paperman, coraz bardziej zdenerwowany i zbity z pantofelku, starał się, mimo wstrząsu, jakiego doznał, zachować lekki ton i usilnie próbował przezwyciężyć wzbierającą w nim niechęć i uczucie niesmaku. - ...Ilekcroć widziałem cię z mężczyzną, był to zawsze Bob, więc...

- Ależ skarbenku, Bob to

jeszcze chłopiec! Jest inteligentny, uroczy, można na nim polegać, wypłakać się na jego ramieniu, to najsympatyczniejszy młodzieniec pod słońcem, ale...

Psiakostka, Norm, czy ty naprawdę masz mnie za jedną z tych podstarzałych bab, które pieprzą się ze szczeniakami?

- Słuchaj, umówmy się, że jestem największym głupcem na świecie i dajmy temu spokój, Iris.

- O nie, nic z tego! -

Odstawiła szklankę na nocny stolik, splotła ręce na piersiach i przyjrzała się Papermanowi badawczo. - Słuchaj, kotku. Wszyscy na tej wyspie, ale to wszyscy bez wyjątku, wliczając nawet twojego przewoźnika Virgila, wiedzą o mnie i Altonie. Przecież razem tu przyjechaliśmy, nocowałam w Pałacu Gubernatora! Miał się ze mną ożenić, przynajmniej tak mówił (w gruncie rzeczy nadal to powtarza), więc guzik mnie obchodziło, co ludziska sobie o mnie pomyśla. Zresztą w ogóle mało o to dbam. Więc jak to się stało, u Boga Ojca jedyne, że nikt ci o tym nie doniósł, Norm? Ani Tom Tilson, ani Chunky Collins, ani nawet Lorna, ta pierwsza naiwna dziwka?

- Nikt, Iris, zapewniam cię!

Nikt mi o tym nie bąknął ani słówka! Może sądzili, że wiem? Albo... właściwie pojęcia nie mam. W każdym razie nikt się nawet nie zająknął.

Paperman myślał o tym, na jak straszego wyszedł idiotę. Teraz wszystko zaczęło mu się układać w logiczną całość: jej dziwne zachowanie tamtej pierwszej nocy, kiedy Reena Sanders skinęła na niego uprzejmie, jej jawna wrogość wobec Altona Sandersa w Zatoce Pitta, jej wyraźnie demonstrowana w obecności gubernatora sympatia dla Normana, oczywista zażyłość Sandersa i Ziółka, jej pojawianie się od czasu do czasu w towarzystwie Sandersa, dziwny ton, jakim wyrażała się o jego murzyńskości, o wszystkich zresztą Murzynach. Nikt nie jest tak ślepy, pomyślał Paperman, jak ten, kto widzieć nie chce. Iris Tramm stała się dla niego ucieleśnieniem czarnej i powabu Kinji, olśniewającą blondynką ze snu o tropikalnej wyspie, więc nie chciał dostrzec, że jest kochanką czarnego gubernatora. Nie chciał, więc nie dostrzegł.

Badawcze spojrzenie, jakie Iris utkwiała w jego twarzy, wprawiało go w zakłopotanie.

- Jesteś pewien, że nie robi ci to żadnej różnicy? Tylko szczerze! Przecież to musiała być dla ciebie wstrząsająca wiadomość, jeśli istotnie była nowiną.

1 1 64 0 2 108 1 ff 1 32 1

- Oczywiście, że nie! Lubię taką Iris Tramm, jaką poznałem. Twoje życie miłosne jest twoją prywatną sprawą.

- Tak, ale ja kocham Murzyna, kotku! Postawmy sprawę jasno: kocham Altona od dwóch lat. Przez jakiś czas to uczucie było najpiękniejszym doznaniem całego mojego życia. Jednak nie da się ukryć, że to czarny!

- Wiem o tym i nie robi mi to najmniejszej różnicy, zapewniam cię!

Przyjrzała mu się bacznie i westchnęła ze smutkiem.

- Czy aby naprawdę? Przyznaj się szczerze, Norman... Cały ten Broadway i marksizm nie zapadły ci w duszę, tylko płyciutko pod skórę, prawda? W gruncie rzeczy pozostałeś sympatycznym nowojorskim żydowskim liberałem z klasy średniej i jesteś do głębi wstrząśnięty usłyszaną nowiną. To przecież widać! Mam tylko nadzieję, że nie czujesz również odrazy. Ponieważ jedno, wierz mi, chadza z drugim w parze.

Kompletnie zdeprymowany tym przesłuchaniem Norman wypalił bez zastanowienia:

- Słuchaj, Iris, ja sam spałem kiedyś z kolorową dziewczyną...

Uśmiech na jej twarzy stężał. Twardym, pozornie tylko lekkim tonem zapytała:

- Doprawdy? Opowiedz mi o tym!

Czy to było zabawne? Czy to prawda, co o nich mówią?

- Chciałem tylko powiedzieć, że dla mnie to są tacy sami ludzie jak...

Zerwała się z kanapy, stanęła nad nim i zmierzyła go ironicznym spojrzeniem.

- Biedny Norm! Płaczesz się i fatalnie deklamujesz swoje kwestie. Bóg widzi, że nie chciałam cię narażać na aż taki szok, kotku. Tak czy owak, to wyrównuje nasze dzisiejsze rachunki, prawda? Zresztą stoczyliśmy się już w przepaść.

Wstał i spróbował ją objąć. Wykręciła mu się obojętnie, poszła do kuchenki i wyjęła butelkę z szafki.

- A może byś tak już powłókł swoje posiniaczone i poobijane ego do swojego mieszkanka, co? Spodziewasz się jutro rano ważnego gościa.

- Wyolbrzymiasz to wszystko,

Iris! Nie chcę, żeby nasz wieczór skończył się w ten sposób.

- Wierzę ci, kotku, ale czy uda nam się wyciągnąć samochód z tak głębokiej przepaści?

- Co tam przyrządzasz?

- Bourbona z kranową. To, co piją ludzie, kiedy naprawdę piją. Nie pieprza się z limonami, kostkami lodu i temu podobnym barachłem.

Odebrał jej szklanekę i wylał brunatną zawartość do zlewu.

- No cóż, bardzo ci dziękuję - prychnęła ironicznie Iris. - Tym nieskomplikowanym gestem wybawiłeś mnie od mojego największego wroga.

- Posłuchaj, Iris...

- Wynoś się stąd, Norm!

Nagła brutalność w jej głosie odebrała mu ochotę do protestów.

Spróbował ją pocałować na pożegnanie. Nie bronila się. Stała sztywno wyprostowana, ale pozwoliła, by dotknął ustami jej warg. W chwilę później Norman opuścił domek o nazwie „Kapitulacja”.

Rozdział trzynasty

Powrót Atlasa

1

Kiedy nazajutrz o jedenastej zajechał na lotnisko, zardzewiałe metalowe żaluzje na szerokich, łukowato sklepionych drzwiach były jeszcze opuszczone. Norman specjalnie przyjechał wcześniej, żeby złapać kierownika działu frachtu lotniczego. Ponieważ przesyłana drogą lotniczą świeża żywność podlegała monstrualnym przepisom celnym, przywiózł ze sobą cały plik urzędowych zezwoleń. Nie pozostawało mu jednak nic innego, jak czekać. Żadna żywa istota nie kręciła się przed budynkiem dworcowym, jeśli nie liczyć zbłąkanego osła, który w skwarnym słońcu pasł się, ciągnąc za sobą zerwany postronek, na klombie czerwonych lilii przy alejce dojazdowej.

Po kilku minutach nadjechał szarą wojskową półciężarówką Bob Cohn, który jakiś czas temu nieoficjalnie zaproponował Normanowi, że - za nieoficjalną zgodą dowódcy - przewiezie mu jego dwieście steków chateaubriand do chłodni w Georgetown. Norman poprosił go o tę przysługę i Cohn ochoczo wszystko sam załatwił. Żaden z nich nie wspomniał jakoś nawet słowem, że tym samym samolotem co steki przylatuje Hazel.

- Cześć. - Cohn kucnął obok Normana, który w cieniu rovera siedział na pachnącym smołą rozgrzanym asfalcie szosy. Pod ciemną opalenizną na nogach pletwonurka uwypuklały się węzły mięśni. - A nie mówiłem ci, że jedenasta to za wcześnie?

Norman przyglądał mu się przez chwilę, po czym oznajmił obcesowo:

- Iris Tramm jest kochanką gubernatora Sandersa.

Cohn wytrzeszczył oczy na Papermana, a uśmiech na jego twarzy zgasł jak zdmuchnięty.

- Co takiego? Czemu tak sądzisz?

- Powiedziała mi.

- Powiedziała?

- Wyobraź sobie.

- Kiedy?

- Wczoraj wieczorem.

- Rozumiem. I co, zdziwiło cię to?

- Zbiło z tropu. Co ją z kolei doprowadziło do pasji.

Mała jaszczurka znieruchomiała na szosie i przyglądała się im, wydymając rytmicznie podgardle w groteskowy czerwony balon. Cohn pochwycił ją błyskawicznym ruchem ręki.

- Co jeszcze ci powiedziała?

- Niewiele. Właściwie wyrzuciła mnie za drzwi.

Płetwonurek otworzył dłoń tuż nad ziemią, jaszczurka wyskoczyła i uciekła. Bob uśmiechnął się do Papermana, aż w jego opalonej jastrzębiej twarzy błysnęły równe białe zęby. Miał na sobie podkoszulek, kuse szorty khaki, zakurzone buciory i białe skarpetki.

- Więc wściekła się, tak?

Kiedyś wściekła się na mnie, kiedy jej powiedziałem, że nie sędzę, abys się tego domyślał.

- Wnosząc z tego, jakim kosztem dokonałem tego odkrycia, możesz się nazwać szczęściarzem, skoro się tylko wściekła - mruknął Paperman.

Cohn parsknął śmiechem.

- Stałem się kimś w rodzaju powiernika Iris. W październiku tego roku pan gubernator poprosił mojego dowódcę, żeby sprawdził, jak pani Tramm radzi sobie w akwalungu, bo uparła się koniecznie nurkować. Szef mnie przydzielił to zadanie i w ten sposób się zaprzyjaźniliśmy. Okazało się, że akwalung wywołuje u niej klaustrofobię, więc zeszła pod wodę tylko dwa razy, ale jest dobrą pływaczką i w ogóle klawą babką.

- I nie próbowałaś się do niej przystawiać? Jest inteligenta i diabelnie ładna.

Bob wzruszył ramionami.

- Coś ty, stary, Iris traktuje mnie jak osiemnastoletniego smarkacza!... Widzę, że cię to ruszyło.

- Co mnie miało ruszyć?

- To odkrycie. - Cohn patrzył mu prosto w oczy i Paperman zrozumiał, że nurek domyśla się zasadniczych wydarzeń minionej nocy.

Chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią, po czym oświadczył stanowczo i dobitnie:

- Wcale. Ale ona mi nie uwierzyła.

Cohn pokiwał powoli głową, rozważał coś sobie przez moment podrzucając w dłoni kamyki, a potem zaczął opowiadać Normanowi o gubernatorze. Alton Sanders był republikaninem z Kalifornii, zawodowym politykiem drugiej kategorii, którego główny - według Cohna - atut stanowiła barwa skóry. Poza tym należał do typowych karierowiczów w aparacie biurokratycznym, był może tylko nieco bystrzejszy od większości mu podobnych. Tyrał jak wół, był dobrze wykształcony, ostrożny i przekonany, że zakończy karierę jako kongresmen bądź wiceminister, jeśli tylko nie popełni po drodze poważnego błędu. Takiego, na przykład, jak poślubienie białej kobiety, byłej gwiazdy filmowej, znanej z alkoholowych ciągów, na domiar złego byłej komunistki.

Prawdziwym problemem Iris, wyjaśnił Cohn, nie jest miłość do Murzyna; chodzi tu o sytuację bardziej pospolitą: romans z żonatym mężczyzną, który nie zamierza poświęcić małżeństwa i kariery dla nieodpowiedniej kobiety, w której się przypadkiem zakochał.

- Ty zjawileś się w momencie, gdy ona to sobie jasno uświadomiła - ciągnął Cohn.

- Pamiętasz? Właśnie zjechała na wyspę Reena. Prawdopodobnie na ostateczną

rozmowę z mężem, tymczasem do żadnego przełomu nie doszło. Kiedy zjawiłeś się wtedy w barze i zaczęłaś sypać żarcikami z Broadwayu, powitali cię jak wybawiciela. Nigdy nie widziałem Iris bardziej rozpromienionej jak tamtego wieczoru. Przypuszczam, że miała zamiar podjąć jakieś rozstrzygające kroki i pewnie by to zrobiła, gdybyś jej niechcący nie przeszkodził. Od tamtej pory troszczy się o ciebie i twój hotel. Polubiła cię, Norman.

- Ja też ją lubiłem -

stwierdził bez przekonania Paperman. - Chciałem powiedzieć: lubię.

Cohn skinął głową.

- Żeby to odkryć nie potrzeba rozpoznania walką. Nie rozumiem tylko, czemu byłeś taki zaskoczony, bracie? Gdybyś się chwilkę zastanowił nad pytaniem, co taka inteligentna, urodziwa kobieta porabia sama samiuteńka na wyspie w Indiach Wschodnich, doszedłbyś niechybnie do jedyne go słusznego wniosku: jej życie stało się istnym piekłem, w którym nie było już nikogo, na kim mogłaby się oprzeć.

Żaluzje na drzwiach wejściowych zaskrzypiały i z grzechotem uniosły się w górę. Paperman wstał.

- Jesteś nad wiek rozwinięty - powiedział do Cohna.

Zdażył już zapomnieć, jak drobna i szczupła jest Henny. Była pierwszą białą osobą, która wyłoniła się z samolotu i zeszła po wąskich schodkach za kilkoma krajowcami. Pomachała do męża radośnie, uśmiechając się przy tym w sposób, który uwielbiał, po czym szybkim krokiem, niemal biegiem, ruszyła w stronę wyjścia. Miała na sobie beżowy kapelusik i czarną, obcisłą garsonkę z przerzuconą przez ramię etolą i już z daleka pachniała Nowym Jorkiem niczym tygrys dzunglą. Tuż za nią wytarabanił się z samolotu Atlas, ubrany w niebieską marynarkę z mosiężnymi guzikami i białe flanelowe spodnie; perorował coś ochryplym głosem nad jej ramieniem. W rękę niósł małą płócienną torbę, z której wystawała szyjka butelki. Tyle Paperman zdażył dostrzec, zanim dopadła do niego Henny i objęła go z zachłannością dziecka, które się zgubiło, a teraz odnalazło. Zapach jej perfum był tak przyjemny i świeży jak jej powitalny pocałunek.

- Boże, ależ ty świetnie wyglądasz! - zawołała.

- A gdzie Hazel?

- Guzdrze się jak zwykle.

Przez ostatnie pół godziny robiła staranny makijaż, choć w samolocie trzęsło jak w dryndzie na wybojach. Serwus, Bob! Jejku, widzę, że mężczyźni na tej wyspie dosłownie rozkwitają! Chryste, ale mieliśmy lot! Istny koszmar! Przebijaliśmy się przez burze z piorunami. A tu taka pogoda!

- Serwus, Norm! Otworzyli już bar na tym zasranym lotnisku?!!

- zaryczał z daleka Atlas. - Mam dygotki. Muszę się zaraz napić!

Zgniółł dłoń Normana w uścisku wielkiej jak bochen spoczonej łapy. Był blady, nie ogolony, pod przekrwionymi oczyma wisiały mu czarne wory, ale poza tym nic się nie zmienił, nawet odór bourbona wiał odeń ten sam co zwykle.

- Witaj w domu, Lester.

Przykro mi, ale baru nadal tu nie mają. Zawieziemy cię szybciotko na Rafę, gdzie będziesz mógł zaspokoić pragnienie.

- Czy ten skubaniec nie

wygląda jak tryskający szczęściem okaz zdrowia? - zwrócił się do Henny Lester Atlas, którego głos, nawet nie natężony do krzyku, odznaczał się donośnością właściwą świniopasom, więc już po swoim pierwszym odezwaniu się grubas skupiał na sobie spojrzenia wszystkich osób znajdujących się na lotnisku. - Spójrz tylko na jego arogancką gębę. Kurczę blade, nasz koleżka odmłodził o dobrych dziesięć lat! Przyczyna może być tylko jedna: twój mążuś dmucha wszystkie babki, jakie przybywają do „Rafy Mew”. Ciupcianie wzmacnia!

- Och, przymknij się, Les! - szepnęła Henny.

- Niby dlaczego? Słuchaj,

jeśli Norman świadczy dodatkowe usługi tego typu, należy to szeroko rozreklamować. Mogłbym się poświęcić i pomóc mu obsłużyć szczyt świątecznego sezonu. Cha, cha, cha!!!

- Co z tą Hazel, do licha? - zaniepokoił się Paperman. - Zaczynają już wyładowywać bagaże.

Obok samolotu stał motorowy wózek, na który Murzyni w kombinezonach wyrzucali z luku w boku maszyny walizki i paczki. Kiedy wyładowali dwa oszronione, parujące tekturowe pudła, Cohn oznajmił:

- Twoje mięso, Norm.

- Jakie znowu mięso? -

zdziwiła się Henny.

- A oto i córka - powiedział Cohn. - Jesteśmy w komplecie.

Hazel stała na szczycie schodków, oparłszy dłoń w białej rękawiczce na obramowaniu drzwi, jakby pozowała niewidzialnym fotoreporterom. Bładoróżowa jedwabna garsonka opinała wyzywająco jej ponętą figurę. Była bez kapelusza; ciemne włosy uroczą staroświecką modą opadały luźno na ramiona. Z daleka wyglądała niewinnie i świeżo niczym pierwiosnek. Ledwo dostrzegalnie, iście po królewsku pomachawszy dłonią, który to gest mógł być przeznaczony równie dobrze dla ojca, dla Boba Cohna, jak i dla każdego na lotnisku, zeszła po stopniach. W drzwiach samolotu ukazał się tymczasem Sheldon Klug. Dźwigał płaszczyk Hazel z futrzanym kołnierzem, należące do niej pudło na kapelusze, kosmetyczkę, maszynę do pisania, rakietę tenisową, swoje własne palto oraz dwa aparaty fotograficzne. Hazel uścisnęła powściągliwie ojca i cmoknęła go w policzek, cały czas okrągłymi ze zdumienia oczyma wpatrując się znad jego ramienia w Boba Cohna.

- Nie wierzę! To ty?!

- A któż by inny?

- A cóż ty tu porabiasz, u licha? Czemu nie siedzisz głęboko pod wodą dusząc jakąś ośmiornicę?

- Dowództwo marynarki zwolniło mnie z powodu arteriosklerozy.

- Och, wcale się im nie dziwię.

Dopust dowlókl się do wyjścia zziąjany, spocony i blady.

- Zaglądałem pod wszystkie fotele, Hazel - wysapał. - Twój ołówek do brwi zniknął bez śladu.

- Trudno, kupię sobie nowy.

Pamiętasz Boba Cohna, prawda?

Klug obejrzał sobie Cohna od stóp do głów i mruknął:

- A tak, istotnie. Nasz

znajomy pletwonurek. Oczekuje pan kogoś?

Atlas zgarniał w gromadkę sześciu pasażerów, gości klubu, jak się okazało.

- Oto nasza trzódka, Norm!

Państwo mieli pierwszeństwo do mojej wódzi, w każdym razie dopóki jej nie brakło! Tym razem gościnność klubu „Rafa Mew” zaczęła się już w San Juan, co, dzieci?

- Dla mnie już na lotnisku Idlewild! - zachichotała jakaś siwowłosa paniusia, której ozdobiony piórami kapelusz przekrzywił się na ucho. - Ale cóż, wszystko ma swój początek, prawda? Nie wiedziałam, że tak lubię czysty bourbon w papierowych kubkach.

- Jesteś prawdziwą

rozpuśnicą, Millicent! - obwieścił tubalnie Atlas, obejmując damę w pól. - My oboje świetnie do siebie pasujemy. A więc do dzieła, seksbombo! Jesteśmy już w tropikach!

**Tu gdzie noce upojne i
gorące,@ a słońce śmieje się ze
szczytów gór...@**

zaśpiewał fałszywie, okręcając wokół siebie siwowłosa partnerkę w odpychającej parodii tańca calypso.

- Zabaw państwa przez chwilę, Lester - powiedział Paperman - bo muszę jeszcze zobaczyć, co z mięsem.

- Jakim znowu mięsem? -

zaniepokoila się powtórnie Henny. - Dokąd ty pędzisz?

Kierownik działu lotniczych przesyłek bagażowych, pulchny Kinjanin w oficjalnym garniturze (tabliczka na biurku informowała, że nazywał się Elias Thacker) pomachał plikiem dokumentów, kiedy Norman wszedł do jego biura.

- Szysztko gotowe. Ma pan szwój mięszo. Czeka w cieniu koło szklada towarowego. Wjedzie pan na lotnisko w szwój szamochód szesz druga brama i może je pan zabierać.

Odetchnąwszy z ulgą, Paperman uiścił niezbędne opłaty i podpisał stosowne dokumenty. Cohn czekał na niego przed biurem. Norman poprosił go, żeby załadował mięso do swojej półciężarówki i zawiózł je do miasta.

- Zrobi się - powiedział Cohn.

- Słuchaj, ta twoja córka wygląda naprawdę szałowo!

Norman wzruszył ramionami.

- Zawsze tak wyglądała. Jej chłoptaş sprawia natomiast wrażenie ciutkę złachanego.

- Nic podobnego! Wprost kipi energią. Zamierza jeszcze dzisiaj nurkować w akwalungu. Twierdzi, że pływał wyczynowo w barwach uniwersytetu chicagowskiego.

- Nie mógłbyś mu znaleźć jakiegoś nieszczelnego kompletu?

- zapytał Paperman.

Cohn roześmiał się i odszedł.

Norm wrócił do gromadki gości

klubu „Rafa Mew”, którzy

przycupnęli obok siebie na ławce

- jedyni pasażerowie, jacy pozostali w budynku portu lotniczego. Atlas, oklapnięty i osowiały, zmarszczył się groźnie na widok nadchodzącego.

- Co ma znaczyć ta zwłoka, Norm, do jasnej cholery? Czeka tu gromada spoconych i zmęczonych ludzi! O mnie już nie wspominając.

- Co to za mięso, które

powoduje tyle zamieszania? - zapytała z kolei Henny.

- Ależ nie ma żadnego

zamieszania. Wszystko jest w najlepszym porządku - uspokoił ją Norman i zaczął opowiadać o przyjęciu Tilsonów i stekach chateaubriand.

- Hej, Norm! - zawołał Cohn zza zamkniętej bramy, z odległości kilku zaledwie metrów. - Mówiłeś, zdaje się, o stekach, prawda?

- Oczywiście! O stekach

chateaubriand. Bo co?

- Chodź i sam zobacz. Tylko się lepiej pospiesz.

Norman podbiegł do bramy, wdrapał się po jej zawiasach i przeskoczył przez wysoki płot z drucianej siatki.

- Co ty wyprawiasz, Norm! - przestraszyła się Henny. - Wydaje ci się, że jesteś Tarzanem? Uspokój się!

- Co jest, u Boga Ojca? - ryknął Atlas. - Toż my tu pomrzemy!

Norman pobiegł za Cohnem do składu towarów. Stał tam na rampie stos sześciu oszronionych, związanych drutem kartonów, z których wyciekała krew. Okazałe zielone naklejki, widniejące na wszystkich kartonach, informowały:

„Hurtowa sprzedaż MIĘSA SAN JUAN. PIERWSZORZĘDNE KURZE SZYJKI i SKRZYDEŁKA”.

- Spójrz no tutaj.

Cohn przykucnął i wskazał na nalepki przewozowe, przyklejone na bokach pudeł. Widniał na nich adres odbiorcy:

„Grosvenor House Barbados, B.

W. I.

Wysłać niezwłocznie - towar łatwo się psujący.”

- Obawiam się, że zaszła

pomyłka, Norm - powiedział. - Prawdopodobnie wyładowali nie te paki, co trzeba.

- Ja zwariuję! - krzyknął Paperman chwytając się za głowę.

- Psiakrew, co za pieprzony idiota sprowadza na Barbados osiem kartonów kurzych szyjek i skrzydełek frachtem lotniczym?

Drgnął, usłyszawszy głośny pomruk uruchamianych silników.

- Samolot! Bob, moje steki muszą się jeszcze znajdować na pokładzie tej maszyny!

W biurze przesyłek mają na pewno list przewozowy!

Maszyna kołowała w oddali na pasie startowym. Wymachując rękami jak wariat, Paperman pognał ku niej przez porastającą lotnisko, wysoką do kolan trawę.

Samolot przemknął obok niego z rykiem silników, oderwał się od ziemi i począł z wolna maleć na niebie. Norman wrócił do Cohna i stwierdził z grobowym uśmiechem:

- Chodźmy do biura przesyłek bagażowych, może da nam się gdzieś znaleźć właściwe kartony.

Nie znaleźli innych kartonów. Pan Thacker obarczył winą pilota samolotu. Facet się spieszył, chciał jak najszybciej wystartować, i dlatego popędzał robotników. Zawsze tak robi, poskarżył się urzędnik.

Wyjątkowo niesympatyczny typek. Prawdopodobnie steki leżały pod stosem bagaży lecących na Barbados, do Trynidadu i Caracas, i pilot powinien był, oczywiście, dać pracownikom pana Thackera czas na dokładne przyjrzenie się przesyłkom, ale on nic tylko ich popędzał, no i naturalnie chłopcy, widząc paczki z mrożonym mięsem, uznali, że to przesyłka dla „Rafy Mew”.

- No dobrze, ale co będzie z moimi stekami? - pieklił się Paperman. - Lecą do Wenezueli i rozmrożą się po drodze!

- Prawdźywa bieda! - westchnął pan Thacker. - Wszysztko przez to nieszczęsne zamieszanie.

Do biura wpadł jak burza

Lester Atlas.

- Norman, co tu się wyprawia, do ciężkiej cholery? Zamykają już to pieprzone lotnisko!

Ogromnie wzburzony, Norman opowiedział mu, co się stało. Atlas obdarzył kierownika działu przesyłek bagażowych wyjątkowo ujmującym uśmiechem.

- Gdzie ten samolot ma

następne międzylądowanie, panie Thacker?

- Na Barbadosze.

- Na Barbadosie - mruknął

Atlas. - A gdyby pan tak zadzwonił na Barbados, panie Thacker, i powiedział im, żeby wyładowali te steki, wsadzili je do chłodni, pojmuje pan, i odesłali tutaj najbliższym samolotem? Nie sądzi pan, że to byłoby dobre rozwiązanie?

Urzędnik oświadczył na to beztrasko, że takie rozwiązanie stałoby w sprzeczności z regulaminem, nie wchodzi więc w rachubę. Powstałaby mianowicie kwestia opłaty za chłodnię, po drugie służby celne na Barbadosie musiałyby dysponować listem przewozowym, żeby mogły wyładować to mięso z samolotu, ponadto on, pan Thacker, nie jest upoważniony do zamawiania rozmów międzynarodowych, a zresztą cały bałagan powstał z winy linii lotniczej, której przedstawiciel niestety opuścił już teren lotniska i będzie przez cały dzień nieuchwytny, a wreszcie on, Thacker, już się spóźnił na lunch. Co powiedziawszy, kierownik działu przesyłek bagażowych wyszedł zza biurka.

Atlas zastąpił mu drogę, a przyjazny uśmiech na jego twarzy zmienił się w grymas krwiożerczej wściekłości.

- Słuchaj no, pan! -

zagrzmiał. - To lotnisko funkcjonuje dzięki subsydiom rządu federalnego, a tak się składa, że mam kilku znajomych w Waszyngtonie i przysięgam na Boga, że jeśli coś się stanie tym stekom, za tydzień zjawia się tu chłopcy z Federalnej Agencji Lotnictwa i sprawdzą kompetencje niejakiego Eliasa THACKERA, zrozumiano? - Nazwiskiem urzędnika plunął jak wyzwiskiem, po czym zerwał słuchawkę z widełek telefonu. - Więc kogo mam prosić na tym Barbadosie? Załatwię to, a zaraz potem dzwonię do mojego adwokata w Waszyngtonie, z tego aparatu, rozumiesz pan? Thacker przewracał oczami, aż błyskały białka.

- Czy to ta osoba z okładki „Time'a”? - wyjąkał spoglądając na Papermana.

- Ta sama - potwierdził

Norman.

Kierownik spedycji bagażowej sposepniał i posłusznie podniósł słuchawkę telefonu.

- Zobaczę, czo da się

zrobić... Mięzynarodowa?

Atlas stał nad kierownikiem spedycji, gdy ten zamawiał rozmowę, tymczasem Norman odszukał Cohna i poprosił go, żeby odwiózł gości do klubu land roverem; on sam wróci półciągarówką wojskową, jak tylko załatwi sprawę steków.

- W porządku - zgodził się Cohn. - Sądzę, że rover zdoła pomieścić całe towarzystwo, jednak z wyjątkiem tego przyjaciela Hazel. Facet ma cholerną kupę bagażu...

- Dobra. Tego gagatka ja sam zabiorę - rzekł Norman.

Na połączenie z Barbadosem trzeba było czekać pół godziny, mimo to panu Thackerowi udało się w końcu załatwić powrót steków, tak przynajmniej zapewnił Papermana. Norman powiózł następnie Atlasa i Kluga dłuższą drogą nad brzegiem morza. Ta trasa do Georgetown wywoływała zwykle głośne zachwyty nowo przybyłych, jednakże Klug pozostał niewzruszony.

- Ależ tu brudno! - zauważył kilka razy, ocierając spoconą twarz. Rzucił również uwagi w rodzaju: „Czy na tej wyspie nikt nie zajmuje się wywózką śmieci?” lub: „Jak wysoka jest zapadalność na choroby takie jak cholera i trąd? Przypuszczam, że każdy spośród tubylców musi na coś chorować”.

Paperman odkrył ze zdumieniem, że Amerigo istotnie tonie w brudzie. Zdażył już na tyle przywyknąć do widoku walających się przy drogach pustych puszek po piwie, rozmokłych kartonów i gazet, połamanych skrzynek, że przestał już te góry śmieci dostrzegać. Kierowcy na Kinji mieli zwyczaj beztróskiego wyrzucania podczas jazdy puszek po piwie i sokach owocowych przez okno. Mniej więcej co kilometr stały przy drodze wielkie metalowe pojemniki na śmieci, przepełnione ponad wszelką miarę bądź wręcz przykryte górami odpadków. Na poboczach rdzewiały wraki samochodów. Kiedy na Kinji wóz dożywał swoich dni, jego zwłoki porzucano po prostu przy drodze, i po kilku dniach zostawało z nich tylko nagie podwozie, które nadal leżało tam, gdzie je porzucano. Choć utleniało się szybko na słońcu i w słonym morskim powietrzu, mijało dobrych kilka lat, nim zupełnie przegniłe pochłaniała ziemia. Wraki aut w rozmaitych stadiach rozkładu stanowiły trwałe elementy krajobrazu wyspy.

W pierwszych dniach swego pobytu na Amerigo oczarowany Norman widział jedynie piękne wzgórza i olśniewające morze. Z czasem zaczął dostrzegać budzące odrazę zwały śmieci i rdzewiejące wraki, potem się znieczulił i na te widoki, odbierał je już po prostu jak jedną z irytujących plag tropików, taką jak muszki piaskowe i awarie elektryczności. Generalnie uważał nadal, że Amerigo jest zachwycającym zakątkiem świata, jeśli nie wręcz rajem. Klug najwyraźniej nie podzielał tej opinii, i Norman szybko wyczuł, że wybraniec jego córki nigdy nie polubi tropików. Za bardzo się pocił. Pot spływał z niego strumyczkami, jego koszula pociemniała od zacieków, a chusteczka do nosa przemokła i poszarzała.

Norman znalazł Henny w ich niewielkim mieszkaniu. Zdażyła się już uczesać, poprawić makijaż i rozebrać; miała na sobie tylko nowiutki przezroczysty kremowy negliż z koronek. Zauważył, że trochę zeszczupiała.

- Cześć - przywitała go lekkim tonem, zawiązując wokół wąskiej talii niebieską jedwabną chustę.

- Czy kryzys mięsny został już przewyciężony? Pomyślałam, że korzystając z okazji wezmę przed lunchem prysznic. Całkiem przyjemne gniazdko. W każdym razie przewiewne.

Wziął ją w ramiona.

- Słuchaj, Norm, co tu robi ta butelka szampana w lodzie, co znaczą te gardenie i czerwone lilie? Nie sądziłam, że potrafisz być taki romantyczny, staruszk. - Całował ją natarczywie, więc te uwagi rzucała w krótkich przerwach między pocałunkami. - Nie jesteś głodny...? Bo ja umieram z głodu...! Chodźmy na lunch... Słuchaj, Norm, jeśli napiję się szampana przed jedzeniem, za skarby świata nie zejdem z schodów... Ależ Norm, nie widzieliśmy się raptem trzy tygodnie...! Nie przesadzaj z tą namiętnością, bo nabiorę podejrzeń...

- A jak twoje bóle? - wydyszał w jej włosy.

- Bóle? Jakie znowu bóle? A, te! Wiesz, to śmieszne, ale w samolocie w Stanach męczyły mnie przez całą drogę jak diabli, zniknęły natomiast jak ręką odjął w tej trzęsącej awionetce. Lekarze mówią... Norman!... Chryste Panie! Coś ty taki wyposzczony?

- Cieszę się, że cię widzę, Henny.

- Miło mi to słyszeć -

mruknęła, a potem westchnęła z rezygnacją. - No dobra, niech już będzie.

Otwieraj szampana!

Cohn, Hazel i Klug kończyli lunch przy dużym okrągłym stole, kiedy Norman i Henny zjawili się na tarasie jadalni z rozanielonymi, cokolwiek głupimi minami. Hazel podpierała pięścią brodę i ostentacyjnie ziewała. Wyglądało na to, że obaj mężczyźni zawzięcie się o coś spierają.

- Co się z wami działo?

Siadajcie wreszcie! - zawołała do rodziców. - Wyobraźcie sobie, że ci faceci zaczęli się spierać o to, czym jest odwaga, a teraz są przy walkach byków. Ja chyba zaraz zemdleję!

Klug obrzucił Papermanów ironicznym uśmiechem.

- Temat brzmi: wdzięk w

obliczu niebezpieczeństwa.»* Zaczęło się wszystko od nurkowania z akwalungiem i rozwinęło...

„Grace under pressure” - sformułowanie E. Hamingwaya, użyte w wywiadzie dla „New Yorkera” w r. 1929.

- Dajcie mi tylko skończyć i już zaraz się zamykam - przerwał mu Cohn. - Oczywiście, przyznaję, że bałbym się zabić szpadą rannego byka.

Powiedziałem to już dziesięć minut temu. Nie jestem jednak pewien, czy taki wyczyn jest aktem odwagi, czy jedynie okrutną, ryzykowną formą dostarczania rozrywki gawiedzi? Przypuszczam, że ci faceci istotnie wykazują się „wdziękiem w obliczu niebezpieczeństwa”, cokolwiek to znaczy, odstawiając te stylowe plasy

w bezpośrednim sąsiedztwie rogów, ale uważam, że jedyną naprawdę odważną rzeczą, jaką można zrobić na arenie, gdzie walczą byki, byłaby próba przerwania tych jatek.

- Całkiem nieźle - zaopiniował Klug z niechętnym uśmiechem i aprobującym skinieniem głowy starszego asystenta. - Położył pan zatem nacisk na moralną stronę odwagi. Nie zadowala pana cudowny abstrakcyjny taniec męstwa w obliczu śmierci. Uważam, że mogłoby pan rozwinąć tę kwestię w interesującym eseju. Miałby on swoją wymowę, jako wypowiedź człowieka, wykonującego bądź co bądź niebezpieczny zawód.

- Ja? Toć ja ledwo się umiem podpisać! - mruknął Cohn.

- Och, zbytek skromności! - zaprotestował Klug. - A wracając do naszej poprzedniej rozmowy, czy zechce pan, a raczej czy będzie pan mógł, zabrać mnie na nurkowanie z akwalungiem? Czy też może nie pozwalają na to jakieś wasze przepisy i będę zmuszony wypożyczyć akwalung gdzie indziej? Tak czy inaczej chcę nurkować i będę nurkował!

- Przypuszczam, że może pan nurkować z nami, jeśli ma pan ochotę - odrzekł Cohn.

- Jutro skoro świt wyprawiamy się na homary na Karaluszą Skałę, a nasz dowódca nie ma w sobie za grosz formalisty.

- Świetnie! - ucieszył się Dopust.

- Czy i ja mogłabym z wami pojechać? - zapytała Hazel.

- Ty też chciałabyś nurkować, Hazel? - zainteresował się Cohn z błyskiem sympatii w oku.

- Jeszcze nie zwariowałam!

Chciałabym tylko zobaczyć, jak Shel się zanurza, a potem wynurza.

- Hm - mruknęła Henny - z całą pewnością zobaczysz, jak się zanurza.

- Reszta - dodał Norman - pozostaje kwestią „wdzięku w obliczu niebezpieczeństwa”.

Klug wstał.

- Czy nie wiecie państwo, gdzie mógłbym dzisiaj złożyć na noc głowę? Chciałbym się rozpakować i przebrać w lepsze rzeczy.

- Na Rafie Mew mamy niestety nadkomplet - zmartwił się Paperman. - Niech pan zatelefonuje do „Casa Encantada”. Może jakoś tam pana pomieszczą.

- Casa Encantada, zaczarowany dom - przetłumaczył od ręki Klug. - To brzmi intrygująco. Do zobaczenia, Hazel. Wrócę tu do was na kolację.

Pochylił się i pożegnał dziewczynę pocałunkiem pana i władcy, który ona przyjęła z widoczną przyjemnością, ogromnymi roziskrzonymi oczami wpatrując się przez cały czas w płetwonurka.

- „Casa Encantada”? - zwrócił się Cohn do Normana po odejściu Kluga i zmarszczył brwi. - Prawdę mówiąc uważam, że twoja supozycja jest niecelna, Norm.

- Coś jest nie w porządku z tym pensjonatem? - zaniepokoiła się Hazel, spoglądając podejrzliwie na ojca. - Wiem, jaki potrafisz być podły. Dobrze cię znam! Czy są tam szczury?

- Ciotki - odparł Norman i zerknął na zegarek. - Nie wiecie, gdzie się podziewa Atlas? Mamy niedługo spotkanie w banku.

- Poszedł popływać -

powiedziała Hazel. - Okropny człowiek! Przez całą noc udawałam, że go nie znam. A potem on podchodzi do mnie, obejmuje mnie czule, całuje i nazywa swoją kuzynką. Jego kuzynką, dobre sobie! „Cha, cha, cha, pocałuj wujka Lestera, Hazel! Con permiso!” A cuchnie jak zwietrzała whisky z wodą, do tego z rozmiękłym cygarem w szklance.

- Powinnaś być dla niego

bardziej wyrozumiała - pouczyła córkę Henny. - Lester jest bardzo samotny.

- Nie dziwię się! Biedaczek, samotny na świecie jak ten kołek w płocie.

Cohn zabrał Hazel na przejażdżkę motorówką marynarki wojennej - Lcp,»* jak ją nazywał - żeby zobaczyła port i bazę okrętów podwodnych. Henny oświadczyła, że jest zbyt podekscytowana, by móc jeść, więc podczas gdy Norman pożerał z wilczym

apetytem kanapkę z gorącą pieczenią wołową, ona oglądała hotel. Wróciła przepełniona entuzjazmem, w który ją wprowadził widok nowych pokoi.

Lcp - Personal Landing
Craft: barka desantowa piechoty.

- Coś podobnego, są prawie skończone, do tego całkiem ładne! Nie poznasz ich, kiedy je trochę ozdobię. Ale powiedz mi, Norm, kim jest, na litość boską, ten złowrogi dziwak z czerwonymi zmrużonymi oczami? Ten, który bez przerwy ostrzy jakąś wielką maczetę? Zmierzył mnie takim spojrzeniem, że aż mnie ciarki przeszły. Musisz się go pozbyć!

- Prędzej pozbędę się ciebie - ostrzegł żonę Norman. - To Hippolyte. Bądź dla niego miła. Jest trochę zwariowany, ale to istny geniusz. Nasza złota rączka. To właśnie on zbudował te pokoje. Potrafi wszystko naprawić. Potrafi wszystko zrobić. To mój zbawca. Człowiek niezastąpiony!

- Wierzę ci na słowo -

powiedziała Henny. - A gdzie się podziewa Janet West? Nadal mieszka w tym samym domku?

- Kto? Iris? Zdaje się, że tak. Ależ tak, oczywiście, że tam nadal mieszka. Nie wiem tylko, czy akurat w tej chwili jest u siebie.

- Chciałam ją zapytać, czy Hassim sprowadził dla mnie to, o co prosiłam - powiedziała Henny, wpatrując się w męża nieco podejrzliwie, tak mu się przynajmniej zdawało. - Jakże ona się miewa? Nie wpadła w ciąg?

- Janet? Nie, zachowuje się bardzo przyzwoicie, przynajmniej na terenie hotelu. Jak wiesz, jest bardzo skryta.

- Jak ty ją nazywasz? Janet czy Iris?

- Widzisz, Henny, tu na wyspie wszyscy nazywają ją Iris. Powiedziałem „Janet” tylko dlatego, że ty użyłaś tego imienia.

Zjawił się Atlas. Wyglądał bardzo wytwornie w szarym letnim garniturze i ciemnym krawacie.

- Rusz tyłek, Norm. Pora jechać do banku.

- Już idę. - Norman dopił kawę.

- Jak sądzisz, czy mogę wpaść do Janet? - zapytała Henny.

- Myślę, że tak - odparł

Norman ze sztuczną swobodą. - Przerwiesz jej najwyżej drzemkę, nic więcej.

Zwykle zjawia się w barze około piątej, szóstej po południu.

- Och, tylko się z nią przywitam - powiedziała.

W ciasnym i chłodnym biurze bankiera było szaro od dymu z cygar, który gęstniał z każdą chwilą. Atlas z Llewellynem przeglądali wielkie mapy okolicy z zaznaczonymi na nich nieruchomościami oraz wyciągi bankowe w niebieskich okładkach i zajmowali się jakąś finansową kabalistyką. Norman tymczasem myślał o spotkaniu Iris i Henny i martwił się nie na żarty. Iris powinna zachować dyskrecję, gdyby była trzeźwa, ale na jej trzeźwość liczyć raczej nie mógł. Bał się gniewu Henny. Niewykluczone, że wsiadłaby w najbliższy samolot i

natychmiast wróciła do domu; byłoby to do niej podobne. Ostrzegła go po jego ataku serca, że nie będzie dłużej tolerowała jego romansów. To ostrzeżenie dotąd dźwięczało mu w pamięci.

Atlas stuknął kostkami tłustej dłoni w wielką, wyrysowaną niebieskim tuszem mapę.

- Czy mógłbym to pożyczyć na jakiś czas, Llewellyn? Norman i ja chcielibyśmy się przejechać i rzucić okiem na tę posiadłość.

- Naturalnie, panie Ot-los.

- Czy będą jacyś inni

licytanci? - Atlas zwinął mapę.

- Słyszałem o jesce dwóch.

Atlas spojrzął na małego bankiera, który siedział za biurkiem sztywno wyprostowany, jakby kij połknął.

- Ta posiadłość powinna pójść za jakieś trzydzieści tysięcy - oznajmił jowialnym tonem. - Może trzydzieści dwa i pół.

Bankier uśmiechnął się.

- Obawiam się, że w takim razie w ogóle nie zostanie spsedana. Bank wyłożył już na nią cysta pięćdziesiąt tysięcy. Rozumie się, musimy psynajmniej odzyskać nas kapitał.

- Chryste Jezus, jak mogliście pożyczyć taką kupę forsy palantowi, który przedstawia takie zestawienie bilansowe?

Llewellyn zabębnił palcami po swym zawiązującym się brzuszku.

- Ostatecznie, stało za nim konsorcjum finansujące na sumę ćwierć miliona z Florydy, a cała kwota została wydana tu na miejscu.

- Ale te naiwniaki z Florydy już swoich pieniążków na oczy nie zobaczą - zawyrokował Atlas.

- Obawiam się, że zeczywiście nie. Ale widzi pan, budowa nad Zatoką Krabów została tymczasem prawie ukończona, cys nie? Ktoś zrestą doprowadzi ją do końca. A wówczas będzie to cysty zysk dla nasej wyspy.

Lester aż jęknął.

- Zgadza się, kurna. Co za szatański układ! Siedzi pan tutaj jak jakiś krupier, no nie? Zwabia pan jeleni, oskubuje ich do czysta, a następnego dnia siada do nowej gry. Kasyno nigdy nie przegrywa!

Bankier rozłożył ręce.

- Po to istniejemy, by służyć nasej małej, prężnej społeczności.

- Pan jest nie w ciemę bity, panie Llewellyn. Dogadamy się! - zapewnił Atlas. - Idziemy, Norm.

Plac budowy w Zatoce Krabów zrobił na Papermanie jak najgorsze wrażenie. Oglądane z drogi, te rzędy podobnych do pagód budowli odznaczały się nawet pewnym urokiem oryginalności, ale gdy patrzyło się z bliska, widać było, że domy są zupełnie nie wykończone, poniechane w połowie budowy, jakby robotników wytrzebił nagle jakiś pomór. Pośrodku salonów stały brudne sedesy i wanny, ze ścian wylażyły przewody, wszędzie walały się odłamki drewna i gruzu, a błotniste ścieżki między budynkami roiły

się od moskitów i much. Mimo to Atlas wydawał okrzyki niekłamanego zachwytu, biegając od domu do domu z mlaskaniem obuwia w błotnistej mazi, a potem stemplując podszewkami kafelki podłóg. Milkliwy czarny dozorca truchtał za nimi w asyście głupekowatego kinjańskiego kundla, składającego się z krótkiej zapchlonej sierści, owrzodzonej skóry oraz kości. Psisko ani na chwilę nie przestawało skakać i szczekać.

- Norman, to osiedle to istna kopalnia złota! - wykrzyknął Lester, zdobiąc tę wypowiedź jak zwykle sprośnymi słowami wyrażającymi entuzjazm. - Trzysta pięćdziesiąt patyków! Jasny gwint, mamy tu dwadzieścia pięć prawie skończonych domów! Włożyć w to jeszcze jakieś sto tysięcy i będzie tu pięknie jak w parku. Dobra, powiedzmy sto pięćdziesiąt. Więcej to nie powinno kosztować. Czyli za pół melona dostajesz dwadzieścia pięć domów na Karaibach, a takie domki można spylić jak nic po czterdziestu patyków sztuka! Trzy duże sypialnie, dwie łazienki, patio, grill, do tego własna plaża. Co ja mówię: czterdziestu! Dużo więcej! Wiesz, co należałoby tylko zrobić, Norm? Umeblować połowę z nich. Sprowadzić jakiegoś zdolnego pedała z Nowego Jorku, żeby wyposażył je w te wszystkie modne bajery z Japonii i Danii, które tutaj można sprowadzać bez cła, i masz wille palce lizać! Pomyśl tylko! W grę wchodzi zysk rzędu pół miliona, ręczę! Trzeba to tylko sprzedać. Znaleźć rodziny w Stanach, które pragną posiadać dom na Karaibach. A takich są tysiące! Floryda już się ludziom przejadła. Zimno i deszczowo, do tego aż się roi od tych pieprzonych meduz.

Na Papermanie zachwyty współnika nie zrobiły większego wrażenia. Atlas nie znał Kinji, więc nie potrafił wyobrazić sobie czyhających tu na każdym kroku podstępnych niespodzianek; nikt, kto nie pomieszkał na tej wyspie dostatecznie długo, nie był zresztą do tego zdolny. Nie wykończone, pachnące tynkiem domy nad Zatoką Krabów wydały się Normanowi siedliskiem mściwych złych demonów Indii Wschodnich, które omal go nie zrujnowały w klubie „Rafa Mew”, a Texa Akersa doprowadziły do pełnego bankructwa. Zaczął tłumaczyć Atlasowi, że jest zbyt zajęty, by brać się za handel nieruchomościami, ale grubas przerwał mu szybko.

- Słuchaj, Norm, nie mógłbyś tak wstrzymać się z protestami, dopóki nie kupię tego osiedla? Jeśli je wylicytuję, masz u mnie pięć tysięcy znaleźnego. Mało na początek? - Zerknął na zegarek.

- O, kurna! Dasz radę podrzucić mnie do klubu w dziesięć minut? Czekam na cholernie pilny telefon z Nowego Jorku.

Kiedy wracali do miasteczka wyboistą dziurawą szosą, ujętą w szpaler rozkładających się wraków aut, wyjawiał Papermanowi, że jego interes w Montanie się finalizuje. To największy interes jego życia, wyznał. Ale jak zwykle, czeka go zażarta walka. Zwiedzieli się o sprawie inni finansisci i również zaczęli wykupywać akcje i gromadzić pełnomocnictwa. Atlas spodziewał się pokonać ich w tym starciu, ale przewidywał, że zwycięstwo nie przyjdzie mu łatwo. Podstawowym problemem było ustalenie, kim są rywale. Działali za pośrednictwem pewnego figuranta, jakiegoś nie znanego nikomu adwokata z St. Louis, i Lesterowi zabrało kilka tygodni, nim zdołał ustalić, że jego konkurenci należą do jakiejś korporacji z Phoenix. Udało mu się poznać ich stan finansowy. Przewidywał, że padną wcześniej niż on, więc chwilowy wzrost cen na giełdzie nie martwił go zbyt, choć i jego środki były już na wyczerpaniu.

- W tej zabawie nie wolno tracić zimnej krwi, Norm - oświadczył. - Bywało się już w gorszych opałach, a raz otarłem się nawet o plajtę. To zwarcie nie jest ani w połowie tak niebezpieczne jak tamte.

Norman zostawił go przy telefonie w biurze, a sam wrócił do mieszkania. Popołudniowe słońce, mimo że okna były otwarte, nagrzało pokoje niemiłosiernie,

jak zwykle. Henny leżała na łóżku w samej halce i spała jak suseł. Na stoliku przy łóżku znalazł opartą o wazon z kwiatami kartkę:

Wypiłam parę drinków i dosłownie zważyło mnie z nóg. Obudź mnie, kiedy wrócisz. Musimy porozmawiać!!

Wiadomość była całkiem niewinna, lecz nie dla kogoś, kto miał nieczyste sumienie. Norman uznał, że z kartki wręcz bije wściekłość, i zastanawiał się już, czyby nie dać drapak.

Nie miałyby to jednak praktycznie sensu, więc zebrawszy się na odwagę potrząsnął Henny za ramię.

Westchnęła, przewróciła się na wznak i otworzyła oczy; z ich wyrazu Paperman zmiarkował w lot, że - przynajmniej na razie - nie zagraża mu

niebezpieczeństwo. Rozespana Henny wyciągnęła do męża rękę.

- Co to znaczy? - zapytał machnąwszy jej przed nosem kartką.

- A właśnie! - Henny usiadła i ziewnęła. - Norm, mówiłeś, że Iris nie pije, a tymczasem ona chleje na potęgę! Biedaczka źle skończy, jeśli jej nie wyciągniemy z tego domku. W jej pokoju dosłownie wszędzie walają się butelki. Bourbona z wodą popija piwem, a potem poprawia bourbonem z wodą, przy czym wodą raczej nie szafuje. Na razie jakoś się trzyma, tylko język jej się trochę płacze, ale myśli jasno. Powiedziała mi, że to jej dieta odchudzająca, czy to nie śmieszne? Mówi, że przez tydzień nic nie je, tylko pije, czyta, niczym się nie przejmuję i w rezultacie traci pięć kilogramów. Obłożyła się

zakurzonymi, pożółkłymi dziełami literatury marksistowskiej, książkami Stracheya, Mike'a Golda oraz im podobnych, a na adapter nałożyła stos starych płyt na siedemdziesiąt osiem obrotów. To niesamowity widok, Norm! Opowiadała mi w kółko o swoim pierwszym mężu, o Hollywood i partii

komunistycznej. Cofnęła się zupełnie w lata trzydzieste. Wygaduje szalone rzeczy, choć przyznaję, że fascynujące. Prosiłam, żeby zjadła z nami kolację, ale mówi, że nie chce nam przeszkadzać, a zresztą i tak pości. Może byś tak do niej zaszedł i przemówił jej do rozsądku? Ona cię lubi, choć uważa, podobnie zresztą jak ja, że bywasz komiczny. Omal nie umarłam ze śmiechu, kiedy mi opowiadała o tej przygodzie z mrówkami. Czemuś mi o tym nie napisał?

- Czy ona... Nie powiedziała ci, dlaczego zaczęła pić?

- Nie. Przypuszczam, że ma tutaj jakiegoś przyjaciela. Jestem prawie pewna. Założę się, że się pokłócili i ona tak to odreagowuje.

- Dobrze, spróbuję ją namówić, żeby przyszła na kolację.

Atlas palił w holu cygaro; siedział w fotelu pochylony do przodu, opierając się łokciem o kolano. Twarz miał obwisła, poszarzała i wpatrywał się przed siebie niewidzącym wzrokiem, choć przechodziły przed nim właśnie dwie roześmiane ślicznotki w kostiumach bikini, kołysząc krągłościami bladych ciał.

- Wszystko w porządku, Lester?

- zapytał Norman. - Odbyłeś tę rozmowę telefoniczną?

- Hę? Co proszę? A tak,

odbyłem, Norm. No cóż, wszystko będzie dobrze. Tak to już w życiu bywa, mówi się trudno. Chodź, postawię ci drinka.

Potrzebuję się napić.

- Chętnie. Dołączę do ciebie za kilka minut.

Norman poszedł do „Różowego Domku”, stanął pod drzwiami i nadstawił ucha. Z adapteru płynęły głosy Ethel Merman i Berta Lahra, śpiewających utwor pod tytułem „Przyjaźń”. Ziółko zaczął szczeekać i po chwili Iris otworzyła drzwi.

- Wszelki duch Pana Boga

chwali, toż to Joe Hill! - zawołała.

Paperman odetchnął z ulgą, stwierdził bowiem, że wygląda zupełnie nieźle.

Obawiał się, że zostanie rozczochrana, zataczająca się, niechlujną alkoholizką, tymczasem Iris była starannie ubrana, wyglądała schludnie i trzymała się całkiem prosto. Miała na sobie ładną kwiecistą podomkę, której dotąd nie widział. Tylko oczy zanadto jej błyszczały, wysławiała się w sposób zbyt emfatyczny, a drink, który trzymała w ręku, był zbyt ciemny.

- Cześć Iris.

- Wejdz, wejdz! Czego się napijesz? Zjawiasz się w samą porę na koktajlowe przyjęcie. A gdzie Henny? Twoja żona wygląda bosko, prawda? Cienka w talii jak osa. I mnie by się to przydało, kotku. Przestaję jeść, dopóki nie schudnę o co najmniej pięć kilogramów. Nie dosłyszałam: czego się napijesz? Zrzuc z łóżka te książki i siadaj. Sprawdzałam w nich to i owo...

- Chciałem tylko powiedzieć,

Iris... Czy nie miałabyś nic przeciwko temu, gdybym trochę ściszył ten gramofon?

- Sama to zrobię, kotku.

Jestem chyba stuknięta, lubię głośną muzykę, taka, żeby aż ściany się trzęsły. - Przekręciła gałkę. Nagła cisza, jaka zapadła w pokoju, wydała się Papermanowi jeszcze trudniejsza do zniesienia niż poprzedni hałas. - Słucham cię, Norman? Czym mogę ci służyć?

Norman Paperman nie mógł wprost uwierzyć, że minionej nocy kochał się z tą kobietą, tak wydawała mu się daleka, tak z gruntu obca.

- Uważam, że to zły pomysł, Iris, żebyś przez cały tydzień nic nie jadła.

Rozchorujesz się, przecież wiesz, i wylądujesz w szpitalu.

- Podobnie jak ty, kotku, niezależnie od tego, czy będziesz się obżerał, czy głodził. W gruncie rzeczy jesteś tylko na zwolnieniu warunkowym, prawda? Ale nie martw się, ktoś musi się zajmować tym kundlem, poza tym za skarby świata nie położyłabym się do szpitala na tej zakazanej wyspie. Potrafię o siebie dbać, Norm, mam w tym doświadczenie, a gdybym poczuła się gorzej, wsiadamy z moją psinką w samolot do San Diego, gdzie zajmą się swoją córuchną moi rodziciele. Zadowolony?

- Henny martwi się po prostu o ciebie. Podobnie zresztą jak ja.

- Henny ma złote serduszko.

Chcesz, żebym się wyprowadziła z mojej chatki? Obawiasz się, że mogłabym być dla ciebie kłopotliwą sąsiadką? Nie będę, zapewniam cię, ale nie chcę ci stwarzać kłopotów, kotku. Dobrze, wyniosę się, jeśli dzięki temu będziesz mógł poczuć się swobodniej. Znajdę sobie jakiś kącik.

- Daj spokój, Iris, chcesz, żebym się poczuł jak ostatnia szmata? W takim razie nie musisz się o to zbyt starać.

Dotknął ręką czoła. Stała blisko niego i złapała go za tę rękę.

- Ależ skąd, kotku! Nic

podobnego! Wcale tego nie chcę! Głuptasie, a z jakiego powodu ty miałbyś się czuć jak ostatnia szmata?

- Zjesz z nami kolację, Iris.

Bardzo cię o to proszę, naprawdę! To byłoby najlepsze rozwiązanie.

Puściła jego rękę i uśmiechnęła się; teraz już naprawdę wyglądała na pijaną.

- Wierz mi na słowo, Norman, że nie byłabym w stanie przełknąć ani kęsa.

Wstał i ruszył w stronę drzwi.

- Norman! - zawołała za nim zmienionym, nieśmiałym tonem.

Odwrócił się.

- Słucham cię, Iris?

- Słuchaj, chciałam tylko...

Psiakrew, widzisz, ja chyba naprawdę myślałam, że ty nie wiedziałeś! Byłam tego niemal pewna. Ostatecznie działałam zgodnie z tym założeniem. Ubiegłej nocy okropnie na ciebie naskoczyłam, kotku, kobiety czasem robią takie numery, ale to było świństwo. Przepraszam.

Nie był w stanie jej odpowiedzieć, bo coś ścisnęło go za gardło. Odwrócił się i wyszedł.

Rozdział czternasty

Dopust schodzi pod wodę

1

Kiedy nazajutrz rano rodzina Papermanów jadła śniadanie na oblanym słońcem tarasie klubu „Rafa Mew”, zjawił się Sheldon Klug w białych, bardzo krótkich, demonstracyjnie męskich spodenkach kąpielowych, szarej bluzie, nowych sandałkach z wołowej skóry i jasnym słomkowym kapeluszu. Ze świeżą, różową opalenizną wyglądał pulchniej niż zwykle. Biła od niego ostra przenikliwa woń, którą czuło się już z odległości kilkunastu metrów.

- Witam. Przepraszam za ten zapasek. Środek do odstraszania owadów. Czy słyszał pan o stworkach, zwanych muszkami piaskowymi? - zapytał Paperman, ucałowawszy Hazel w policzek i opadłszy na krzesło. - Nie widać ich gołym okiem, a żądła piekielnie!

- Owszem, słyszałem - odrzekł Norman.

- Ach, więc słyszał pan o nich? Ja nigdy. Już myślałem, że mam pierwsze objawy ospy. Nie byłoby to niczym zaskakującym na tej niebezpiecznej dla zdrowia wyspie.

- Na Amerigo wbrew pozorom nie jest niebezpiecznie pod tym względem - rzekł Paperman. -

Wydaje się, że słońce sterylizuje w jakiś sposób te zwałowiska śmieci. Tutejsi mieszkańcy są raczej zdrowi.

- Pokrzepiająca wiadomość.

Widzę, że państwo jeszcze jedzą.

Ja wypilem tylko kawę.

Właściciel „Casa” jest człowiekiem zachwycająco

szczerym, powiedział, że

jedzenie jest u niego pod psem, a tutaj doskonałe, więc zmieniłem lokal.

- Więc zamów coś prędko, misiu
- zawołała Hazel. - Bob czeka na nas o dziewiątej w Zatoce Pitta.
- Lepiej, żeby się pan nie objadał przed nurkowaniem - powiedziała Henny. -
Doradzałabym najwyżej garść sucharów.
- Omówiłem wczoraj tę kwestię z naszym pletwonurkiem.
Powiedział, że to przesada i radził mi zjeść normalny solidny posiłek. - Na jego
wezwanie do stolika podeszła kelnerka i Klug zamówił kantalupę, płatki owsiane,
jajecznice, kiełbaski wieprzowe, gorące angielskie bułeczki i kawę zbożową. -
Czarna kawa wywołuje u mnie przyspieszone bicie serca - wyjaśnił.
- Jak się panu podoba „Casa Encantada”? - zainteresował się Norman.
- Bardzo! Dziękuję, że
zasugerował mi pan to lokum. Fenomenalnie charakterystyczny pensjonat! Czuję,
że napiszę o nim co najmniej opowiadanie dla „New Yorkera”.
- Charakterystyczny dla czego?
- zaciekawiła się Henny.
- Dla każdego egzotycznego sub-środowiska. Homoseksualiści skupiają się z reguły
na peryferiach społeczeństwa. Prawdę mówiąc dokonałem minionej nocy
spostreżeń, które mają bezpośrednie odniesienia do mojej rozprawy. Ten
pensjonat jest wymarzonym miejscem do jej ukończenia!

Następnie Klug rzucił się chciwie na zamówione śniadanie, nabierając coraz
lepszego humoru z każdym kęsem, który mu spływał do żołądka. Oznajmił, że nie
podoba mu się Amerigo, ale musi przyznać, że krajobraz jest tu bardzo
interesujący, podobnie jak ludzie, zarówno biali, jak i kolorowi, Cieszy się, że
tu przyjechał. Znalazł nawet dobre słowo dla Cohna.
- Odbyliśmy wczoraj nader poważną dyskusję, kiedy ty położyłaś się już spać,
Hazel. To całkiem inteligentny gość.
- Dyskutowaliście i dyskutowaliście, dlatego machnęłam na was ręką -
powiedziała. - Ja miałam ochotę tańczyć!
- A wiesz, to ciekawe -
zastanowił się Klug. - Po twoim odejściu on się zupełnie zmienił. Jak wiesz,
lubi pozować na ignorantę, i bardzo starannie dba o utrzymanie tej fasady,
tymczasem ubiegłej nocy po paru głębszych zaczął cytować bardzo różne książki.
Oczywiście, popada w stereotyp, przybiera spopularyzowaną przez Hemingwaya pozę
na intelektualistę, który się ogranicza do słownika i sfery skojarzeń
niepiśmiennego gburę. W gruncie rzeczy ta poza jest pastiszem „Przygód Hucka”,
głównego dzieła amerykańskiego etosu antyinteligentnego, pełnej podejrzliwości
rezerwy wobec kultury, skojarzonej z gloryfikacją praktycznego działania,
prostej mowy, brudnych rąk i pociągu do niebezpieczeństwa. To wciąż bardzo
modne, ale do Żyda pasuje trochę jak pięść do nosa. Zresztą wszelkie pozy są
dosyć głupawe. Człowiek powinien być sobą, nawet gdy los przechera uczynił go
intelektualistą. Cohn całkiem nieźle zna Dostojewskiego i Joyce'a, do tego ma
nader szerokie horyzonty. Uważam, że właściwie mógłby wyklądać literaturę,
podobnie jak jego brat. On w istocie jedynie pozuje na twardego człowieka czynu,
to tylko taka maska.
- Hm, ten pozer wychodzi nocą z łodzi podwodnej na głębokości trzydziestu metrów
- przypomniała Henny. - Nie uważa pan, że to pewne przeciągnięcie struny w
pozerstwie?
- Klug aż się rozpromienił.
- Ludzie zawsze byli gotowi umierać dla pozy! Weźcie państwo choćby Lawrence'a z
Arabii.
- To nader błyskotliwe
spojrzenie, panie Sheldonie - pochwalił go Norman - ale powinien pan raczej
skończyć te kiełbaski. Spóźni się pan.
Dopust odparł ze spokojem:
- Jestem gotów. Chyba mogę już zadzwonić po taksówkę.
- Miałem nadzieję, że będę mógł odwiedzić pana osobiście - wyznał Paperman.
- O? To bardzo uprzejmie z pana strony.
- Ja też z wami jadę -
oświadczyła Henny. - Muszę to zobaczyć.

Lester Atlas rozmawiał w holu z dwoma panienkami w kostiumach bikini. Norman podszedł i zaproponował mu wycieczkę do Zatoki Pitta.

- Nie, dziękuję, Norm. Jedź i baw się dobrze. Ja przypilnuję interesu - wychrypiał grubas. - Przyjechał twój starszy partner, więc możesz się trochę rozerwać. Zasłużyłeś na małe wakacje.

Jedna z dziewcząt zaszczębiotała do Normana:

- Czy on rzeczywiście jest właścicielem tego hotelu i naprawdę pisali o nim w „Time'ie”?

- Możecie panie wierzyć

każdemu słowu Lestera Atlasa - rzekł Paperman. - Wystarczy spojrzeć na tę twarz. Panienki zachichotały, a Lester przyłączył się o nich tubalnym rechotem.

- Jedź się zabawiać, Norm!

Zostawiasz hotel w dobrych rękach. Rozerwij się trochę.

2

Mimo swoich wad wysłużony land rover nadawał się znakomicie na ciernistą drogę wśród kaktusów i kolczastych krzewów, porastających stromy i suchy kamienisty wąwóz, którym się zjeżdżało do Zatoki Pitta. Na plaży stała już wojskowa ciężarówka, a w jej cieniu leżeli na piasku szpakowaty tłuszcioch w przepoconym podkoszulku i spodenkach kąpielowych oraz jakiś młodszy wiekiem żołnierz w zielonym mundurze polowym; obok nich stały szare butle ze sprężonym powietrzem, ze zwisającymi rzemieniami mocującymi.

- Witam! Pamięta mnie pan, panie Paperman? Jestem dowódcą Boba Cohna. Kapitan Woods - przedstawił się mężczyzna w zielonym mundurze. - Spotkaliśmy się pierwszego wieczoru po pana przyjeździe na wyspę?

Norman przypomniał sobie wysoką postać w białym mundurze wyjściowym ozdobionym tęczowymi baretkami, tymczasem teraz miał przed sobą uśmiechniętego młodego mężczyznę o okrągłej twarzy i ostrzyżonych na jeża szczeciniastych włosach.

- To pan?

- We własnej osobie. Bob

popłynął już z chłopcami. Obecny tu pierwszy oficer Eller zawiezie pańskiego przyjaciela.

Papermanowie siedli na piasku i słuchali ciekawie, jak szpakowaty grubasek objaśniał Klugowi działanie regulatora maski i funkcjonowanie poszczególnych zaworów.

- Czytałem o tym wszystkim - powiedział Klug z uśmiechem lekkiego zniecierpliwienia, mimo to pierwszy oficer doprowadził wykuty na pamięć instruktaż do ostatniego słowa.

- Są jakieś pytania? -

zakończył.

- Na jaką głębokość schodzimy?

Oficer przyjrzał się krytycznie Klugowi - jego dużemu, tłustawemu ciału i jego skórze pokrytej różowymi plamami świeżej opalenizny na twarzy, piersiach i kolanach.

- Na jakieś dziesięć metrów, proszę pana.

- Co? Na dziesięć metrów

schodziłem w cieśninie Long Island w samej masce! Nie potrzebuję akwalungu, żeby zejść na taką głębokość.

- Zator powietrzny może

wystąpić i na głębokości trzech metrów - wyjaśnił cierpliwie pierwszy oficer. - Będzie pan oddychał sprężonym powietrzem, proszę pana. Taką stosujemy procedurę przy pierwszym zejściu pod wodę.

- Proszę popatrzeć! - Dopust wskoczył do morza, dał nurka i nie wynurzał się przez dobrych kilka minut. Wypłynął w znacznej odległości od ładu, pomachał widzom ręką, po czym stylowym kraulem dopłynął szybko do brzegu i wyszedł z wody nie bardzo nawet zdyszany. - Ja naprawdę umiem pływać! - zapewnił.

Pierwszy oficer wzruszył ramionami i spojrzał na swego dowódcę, który leżał wyciągnięty na piasku.

- Naprawdę imponujący pokaz,

proszę pana - pochwalił Woods, ale, widzi pan, będzie pan używał ekwipunku marynarki wojennej, więc czujemy się za pana odpowiedzialni. Jeśli wypożyczy pan butlę w sklepie morskim, jestem pewien, że Bob Cohn zejdzie z panem na trzydzieści, pięćdziesiąt metrów, na ile pan zresztą zechce.

- W porządku, ruszajmy -

mruknął Klug.

On i pierwszy oficer nałożyli nieporęczny sprzęt, poczłapali w płetwach do wody, zanurzyli się i zniknęli pod powierzchnią.

- Jestem śmiertelnie

przeżona! - wyznała Hazel.

- Jeszcze nie odpłynęli daleko

- uspokoił ją kapitan. Wyjął z ciężarówki nadmuchaną dętkę i zwój sznurka.

Pierwszy oficer wynurzył się po chwili o parę metrów od brzegu i Woods rzucił mu dętkę. Klug stanął w płytkiej wodzie i ściągnął maskę.

- Boże, co za wspaniałe

przeżycie, Hazel! - zawołał. - Czujesz się jak ryba. Płyniesz pod wodą i oddychasz! Nieopisane doznanie egzystencjalne! Musisz tego koniecznie doświadczyć. Obowiązkowo!

- Ani mi się śni! -

odkrzyknęła Hazel.

Tymczasem oficer spiał się z Klugiem dwumetrowej długości linką. Jego podopieczny głośno zaprotestował.

- Zapewniam pana, panie

oficerze, że jestem całym sercem za systemem partnerstwa, ale czy nie będziemy aby kopali jeden drugiego w twarz?

Grubasek nie zwracał uwagi na jego słowa. Sprawdził pasy i zawory akwalungu Kluga, jeszcze przez chwilę poprawiał linki, po czym obaj mężczyźni zniknęli pod powierzchnią morza. Dętka pomknęła po wodzie w stronę Karaluszej Skały.

- Poo-szli! - zawołał Woods.

Hazel westchnęła głęboko.

- Trudno! Stało się.

Miała na sobie luźne wdzianko z jasnozielonego materiału o żółtawym odcieniu. Teraz wstała i zdjęła je niedbale. Do uszu Papermana doleciał cichy gwizd kapitana Woodsa. Dwa wąskie pasemka żółtej tkaniny opinały praktycznie nagie kremoworóżowe piersi i jędrne pośladki dziewczyny. Hazel miała po matce talię wąską jak osa, a jej ciemne włosy opadały w ciężkich puklach na ramiona. Była już dojrzałą, niezwykle ponętą kobietą.

- Słuchaj, córuś, jak się nazywa to, czego na sobie nie masz? - zainteresował się Norman.

- Och, nie gderaj, tatku!
Zobaczyłbyś, jak się ubierają inne dziewczęta! To zwyczajny kostium dwuczęściowy.
- Aha, czyli coś dla zakonnicy i im podobnych skromniś?
- O Boże!... Idę szukać muszli. Muszę się czymś zająć do powrotu Sheldona, bo inaczej zwariuję. Odeszła wzdłuż plaży; Henny pobiegła za nią.
- Jest pan żonaty? - zapytał Norman kapitana. - Ma pan córki?
- Odpowiadam na oba pytania twierdząco. Trzy.
- Nie ma pan nic przeciwko temu, żebyśmy przez chwilę pogawędzili o niejakim Bobie Cohnie? Co pan o nim sądzi?
- O Bobie? - Kapitan Woods zsunął na tył głowy pomiętą furazerkę. - To indywidualista, można by rzec, ale w naszej jednostce takich właśnie potrzebujemy. Sprawdza się w działaniu. A czemu pan pyta?
- Moja córka ma dziewiętnaście lat, a Cohn się do niej zaleca. I co pan o tym sądzi?

Kapitan odchrząknął.

- Sądzę, że chłopak ma oczy na swoim miejscu - powiedział przesiewając piasek przez palce.
- Zabawny facet. Prawdę mówiąc jest kimś w rodzaju intelektualisty, wie pan? Stale coś czyta. Jego najsłabszym punktem jest to, że ubrdał sobie, iż jest wybitnym pokerzystą. Przepisy zabraniają hazardu, właściwie nie powinienem nawet o tym wiedzieć, ale z tego co słyszę, po każdej wypłacie żołdu podoficerowie oskubują go do czysta.
- Nie utrzyma rodziny - osądził Norman.
Woods roześmiał się i rzekł:
- Jego ojciec ma firmę importowo-eksportową, jak pan zapewne wie. Po odbyciu służby w marynarce Bob wraca do Izraela, żeby czuwać nad interesem od tamtej strony. Myślę, że z łatwością utrzyma rodzinę, jeśli tylko którejs nocy nie przegra całego interesu w pokera.
Do brzegu podpłynęła czerwona dętka i z morza wynurzyło się sześciu płetwonurków w maskach, z butlami tlenowymi na plecach.
Kilku z nich trzymało w dłoniach tnące szczypcami powietrze langusty. Hazel i Henny wróciły zaraz biegiem, po czym dziewczyna odegrała scenę śmiertelnego przerażenia, gdy Cohn wręczył jej cętkowane i machające ogonem zwierzę. Widok Hazel dosłownie poraził młodych pływaków. Kiedy ponownie oddaliła się plażą w poszukiwaniu muszli, ruszył za nią orszak, złożony z pięciu muskularnych młodzieńców, a ona spoglądała na nich spłoszonym wzrokiem sarny i obdarzała ich szczerze swoim sławnym uśmiechem. Cohn padł na piasek i wdał się w pogawędkę z Henny, Normanem i kapitanem Woodsem, co chwila jednak spoglądał w stronę morza.
- Jak długo ich nie będzie? - zapytała Henny po upływie mniej więcej pół godziny. Paperman opowiadał jej o rekinach w rejonie Zatoki Pitta, więc ogarnął ją teraz pewien niepokój. Nie przepadała za Dopustem, ale też nie życzyła mu źle.

- Nasz pierwszy potrafi
oddychać w taki sposób, że
starcza mu powietrza na prawie
półtorej godziny - odparł Woods

- ale początkujący zużywa zapas tlenu zwykle w trzydzieści, czterdzieści minut, więc powinni się wkrótce pojawić.

- Skąd wiecie, że wyczerpało się powietrze? - zapytał Norman.
- Nie zaczyna się chyba od razu tonąć?

Kapitan uśmiechnął się.

- Raczej nie. Dostaje się najpierw bardzo wyraźne ostrzeżenie. Jak tylko butla...
- Pokazał się pierwszy, panie kapitanie - raportował Bob głosem odrobinę za spokojnym. - Jest sam.
- W porządku. Nie kopnąłbyś się tam do niego? Za chwilę dołączymy do was z chłopakami.

Kapitan zerwał z grzbietu zieloną koszulę, ściągnął spodnie i został tylko w krótkich spodenkach khaki, u których paska wisiał nóż. Jeszcze nie skończył zdania, a już wyjmował z ciężarówki butle sprężonego powietrza i płetwy. Poruszał się bez widocznego pośpiechu, a mimo to robił wszystko zadziwiająco szybko.

- Do mnie! - krzyknął i pięciu młodzieńców z eskorty Hazel puściło się biegiem ku niemu.
- Co się stało? Czy pierwszy oficer nadał sygnał SOS? - zaniepokoił się Norman.

Cohn zdążył już włożyć maskę i płetwy i płynął szybko w stronę Karaluszej Skały.

- Nie sędzę - odpowiedział Papermanowi kapitan, zapinając sprzączki na rzemykach akwalungu. - Fisher, Davis, na ciężarówce są dwie pełne butle. Wygląda na to, że pierwszy stracił kontakt z klientem. Wynurzył się na chwilę i znowu zanurkował.

- Rozkaz, panie kapitanie!

Woods poczłapał do wody i zanurzył się, a w niecałą minutę później uczynili to samo dwaj jego podwładni. Pozostała trójka stała na brzegu z rękami na biodrach i spoglądała w stronę rafy.

Hazel nie była w stanie wykrztusić słowa, kiedy do nich dobiegła. Szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w rodziców, tym razem nie na żarty przerażona. Przez chwilę, która wydawała się przeraźliwie długa, nikt się nie odzywał.

- Jest pierwszy - oznajmił nagle jeden z żołnierzy i pomachał ręką.

Jego kolega, chudy i wysoki jak tyka młodzieniec z ogoloną głową, dorzucił:

- Jest Bob. - Pauza. - Holuje tego gościa.
- Dlaczego? - zawołała Hazel.
- Dlaczego go holuje? Nic nie widzę! Czy coś się stało?

Chłopak z ogoloną głową popatrzył na nią i uśmiechnął się.

- Jakby to powiedzieć, proszę pani... Pani przyjaciel prawdopodobnie się zmęczył, ot i wszystko. To się często zdarza za pierwszym razem. Ciało się wychładza, człowiek nie zauważa, że się zmęczył i nagle...

Jeden z jego kolegów powiedział:

- Wydaje mi się, że gość stracił przytomność.

Po tych słowach wskoczył do morza i popłynął w stronę Cohna, którego głowa widniała już wyraźnie na powierzchni.

Kiedy znalazł się na płytkiej wodzie, jego koledzy pomogli mu przenieść Kluga na plażę. Sheldon nie miał ani maski, ani butli na plecach. Kosmyki rudawych włosów oblepiały mu twarz, a głowa chwiała się bezwładnie.

- O mój Boże! - jęknęła Henny.

Hazel wczepiła palce w ramię ojca.

Żołnierze położyli Kluga na brzuchu, z głową zwróconą na bok. Ogolony na pałę młodzieniec siadł na nim okrakiem i jał rytmicznie ugniatać żebra. Oczy topielca były zamknięte, a z ust wyciekała strumyczkiem woda.

Zdyszany Cohn poinformował Hazel:

- Odpiał się od pierwszego i odpłynął.

Z morza wyszedł kapitan z resztą pływaków. Nie zdjawszy nawet płetw ani butli Woods ukląkł na piasku obok Kluga i podniósł jego powiekę, po czym pokiwał głową i podniósł wzrok na Papermanów.

- Wyjdzie z tego, jestem przekonany.

- Urwał mi się - tłumaczył pierwszy oficer. - W pewnej chwili obejrzałem się za siebie i zobaczyłem pusty koniec linki.

- Gdzie go znaleźliście? - zapytał Woods.

- Wisiał na rafie na

głębokości jakichś dwudziestu metrów. Przypuszczam, że rurą zaczepił o koral i zerwało mu maskę.

Kapitan zwrócił się do Papermana:

- Kiedy oprzytomnieje,

chciałbym go zabrać do szpitala.

Rutynowe badanie, nic więcej. Szybciej dojechałbym tam pańskim roverem, jeśli zgodziłby się pan wrócić z chłopcami ciężarówką.

- Oczywiście, proszę bardzo - powiedział Paperman.

- Poruszył powiekami - raportował Cohn.

- Dobra. Zobacz, może zacznie już sam oddychać - polecił kapitan.

Młodzieniec siedzący na plecach Kluga przestał go ugniatać. Po chwili Dopust wykonał gwałtowny świszczący wdech, a potem jeszcze jeden. Poruszył kończynami i otworzył oczy.

- Co, co? - wymamrotał. - Co pan powiedział?

- Zejdz z niego - polecił kapitan Woods.

Żołnierz wykonał polecenie. Klug poruszył się niespokojnie, przewrócił na plecy i usiadł, podtrzymywany pod łokcie przez dwóch płetwonurków.

- Ostrożnie, proszę pana - doradził kapitan.

- Nic mi nie jest - wymamrotał

Klug głosem zgrubiałym i chrapliwym. - Czy ja zemdlałem? Już mi lepiej.

Płynąłem za tą wielką rybą i... - Rozejrzał się wokół siebie i w jego oczach pojawił się błysk; raptem zdał sobie sprawę z tego, co się stało. - Czy oni musieli mnie wyciągać? Cholera!

Jeden z żołnierzy podetknął mu piersiówkę z brandy.

- Proszę, niech się pan trochę napije.

Ozdrowienie Kluga było

zdumiewająco nagłe. Wstał niemal

natychmiast, zachwiał się tylko

troszeczkę i gorąco

zaprotestował, gdy Woods

oznajmił, że zabiera go do szpitala.

- Ależ ja czuję się doskonale!

Naprawdę... chciałbym dokończyć to zejście pod wodę... To naprawdę absolutnie zbędne.

Nie zważając na te zapewnienia dwaj żołnierze wzięli go pod ręce i zaprowadzili do rovera. Wsiadając do samochodu wciąż jeszcze protestował.

- Hazel, czemu ty... -

zawołał, wytknąwszy głowę przez okno, ale w tej samej chwili wóz z rykiem silnika skoczył do przodu, wzbijając kołami tumany piasku.

Odstawiwszy resztę drużyny do bazy okrętów podwodnych, Cohn zawiózł Papermanów na nabrzeże. Hazel zamierzała wysiąść przy szpitalu, ale nie chciał się zatrzymać.

- Możesz być pewna, że nie wpuszczono by cię do niego. Jeszcze nie teraz. Jest przy nim mój dowódca. Będzie musiał sporządzić raport z całego zdarzenia. Pojadę tam i wywiem się, co i jak, a potem wrócę prosto do hotelu. Obiecuję. Twojemu przyjacielowi nic nie będzie, Hazel, zapewniam cię. Odprowadzę ci niedługo wóz, Norman.

- Czy twój kapitan będzie miał jakieś kłopoty? - zapytał Paperman.

- Nie takie, z którymi by sobie nie poradził.

- To w żadnym stopniu nie była jego wina - powiedziała Henny. - Sheldon zrobił wszystko, żeby się zabić.

- Winę zawsze ponosi oficer dowodzący - odparł Cohn. - Niedługo wracam.

Zanim się przebrali i zeszli na lunch, czekał już na nich na tarasie jadalnym, ubrany w polowy mundur.

- Położyli go pod namiotem tlenowym, ale to zwykłe rutynowe działanie. Mój dowódca zapewnia, że nic mu nie będzie. Właściwie mogliby go od razu wypisać. Prawdę mówiąc, pan Sheldon strasznie się awanturuje i żąda, by go niezwłocznie wypuszczono. To wszystko może jednak trochę potrwać. Co byście państwo powiedzieli na kolejkę dla uspokojenia nerwów?

- Dlaczego Sheldon nie może zaraz wyjść, skoro nic mu nie jest? - zapytała Hazel.

- Widzisz, Hazel, kiedy nastąpiła utrata przytomności, zawsze zachodzi obawa uszkodzenia mózgu. Twój

przyjaciel odzyskał świadomość na tyle szybko, że takie niebezpieczeństwo praktycznie nie istnieje, ale w tym szpitalu wolą dmuchać na zimne. W zeszłym roku wypuścili zbyt pochopnie pewnego turystę po wypadku identycznym jak ten i facet oskarżył ich potem o niedopełnienie obowiązków. Twierdzi, że nękają go od tamtej pory uporczywe bóle głowy. Dyrektor szpitala powiedział, że nie wypuści Kluga, dopóki nie uzyska niezbitą pewności, że nie doznał uszkodzenia mózgu.

- Boże drogi! - zawołał

Norman. - Więc biedny chłopiec do końca życia nie opuści szpitalnego łóżka!

- To prawda - przyznała Henny.

- Za każdym razem, gdy tylko otworzy usta, będzie się pograżał coraz bardziej.

- Och, przestań, mamó! -

wybuchnęła Hazel.

- Mówię poważnie, córeczko.

Lekarze z pewnością wezmą jego zwyczajne wypowiedzi za bełkot szaleńca. Widzisz, prawdę mówiąc, ja stale tak je odbieram.

- Mama ma rację, Hazel -

wtrącił Norman. - Wyobraź sobie, że lekarz go spyta, czym się ostatnio zajmuje, a on powie, że pisze książkę, w której dowodzi, że Balzac był ciotą! Jak nic zapakują go do izolatki.

- Albo zrypujemy, że zycznie głosić swe poglądy na temat popędu Tanatosa - uzupełniła Henny. - Naprawdę, kochanie, obawiam się, że twego przyjaciela wywiozą z tej wyspy w worku.

- Prawdziwy dopust boży! - uzaliał się Norman.

- Moi rodzice są parą najgorszych na świecie okrutników, pozbawionych zupełnie serca! - poskarżyła się Hazel Cohnowi.

W holu rozległ się jakiś chrapliwy, nieartykułowany ryk, po czym w polu widzenia pojawił się Atlas, za którym podążali Virgil i Millard, niosąc wielkie, oszronione paki.

- Hej, Norm, masz swoje

mięcho! Chryste Jezusie, osiem wielkich kartonów, zimnych jak lód i twardych jak kamień! Dobra, chłopcy, zanieście to do kuchni i lećcie po następne.

Dopał do ich stolika. Miał na sobie tak zwany zestaw kąpieliskowy: szorty i pasującą do nich koszulę w różowo-niebieskie pionowe paski; obie części garderoby były przepocone, wygniecione i nie różniły się wiele od piżamy. Z łoskotem zwałił się na krzesło i wyciągnął cygaro w kształcie torpedy.

- No i widzisz, Norm, starszy partner i tym razem uratował sytuację, co?

Opowiedz Henny, jak to było. Uratowałem, przyznasz? Gdzie byłyby teraz te steki, gdyby nie ja, hę?

Prześmierdłoby nimi całe

Caracas, cha, cha, cha!

Panienko! Podwójna szkocka z lodem.

- Już jej opowiedziałem - mruknął Norman. - Jesteśmy ci oboje niezmiernie zobowiązani.

Atlas zarechotał.

- No cóż, mam tylko nadzieję, że ta mała przygoda czegoś cię nauczyła. Ty jesteś słodki kochaś, a ja kawał sukinsyna, wiem o tym. Ale widzisz, Norm, na tym świecie kochasie zdobywają sobie przyjaciół, ale rozkazy wydają sukinsyny. Rzecz w tym, że teraz i pan musi wydawać rozkazy, panie ładny.

Usiłujesz prowadzić hotel, więc

musisz stać się odrobinę

sukinsynem. Prawdziwym

sukinsynem nigdy nie zostaniesz, to kwestia talentu, ale powinieneś starać się rozwijać w tym kierunku.

- Czuję się dotknięta -

powiedziała Henny. - Mój mąż jest prawdziwym sukinsynem!

- Henny wie, co mówi -

przypadł Paperman. - Nazwała mnie tak niezliczoną ilość razy.

- He, he, he, głaskała tylko twoją miłość własną, Norm! Dobrze wiesz, że mówię prawdę, Henny. Twój mąż jest urodzonym delikacikiem. Miły dla ludzi, ufny. Godzi się na ten cały chłam, jaki mu wciskają. Pewnie nie mógłby w nocy zasnąć, gdyby musiał wylać pracownika. W ten sposób daleko nie zajdziesz, Norm, ostrzegam cię. Rozejrzałem się trochę dziś rano po twoim gospodarstwie. Jak mogłeś na przykład, u Boga Ojca, tolerować choćby przez jeden dzień tego bosego gbura w słomkowym kapelusiku? Mówię o tym ponuraku z maczetą. Nie z takich typów powinien się składać personel przyzwoitego hotelu, Norm. Musisz zacząć dbać o swój wizerunek. Wyrzuciłem fagasa na zbitą mordę. Zapewniam cię, że w tej branży miła powierzchowność to warunek absolutnie pierwszorzędny... Co ci się stało? Ość ci stanęła w gardle? Walnąć cię w plecy? Wolę nie jeść tych cholernych pstrągów, nie mam ochoty...

Norm przestał się dławić i wykrztusił:

- Co? Co zrobiłeś? WYRZUCIŁEŚ Hippolyte'a? Jakim prawem? Jak mogłeś?

- Jak? Powiedziałem mu, żeby się wynosił i kropka. Początkowo nie miałem nawet takiego zamiaru. Powiedziałem mu tylko, żeby się obuł i schował w kącie kapeliner i maczetę, jeśli chce zachować posadę. I wiesz, co ten łajdak wtedy zrobił? Najpierw odszczeknął mi się po chamsku w jakimś barbarzyńskim języku, a potem zamierzył się na mnie tym tasakiem! Nie sądzę, żeby chciał mnie zarębać, raczej nastraszyć. Mnie! Mnie, który odbierałem noże makaroniarzom na Longfellow Avenue, zanim ten palant się urodził! Nie przestraszyłem się, ale się zdrowo wkurzyłem. Powiedziałem mu, żeby spieprzał z wyspy, zanim go sam nie wyrzucę. Znowu coś odszczeknął, ale poszedł sobie. Więcej go nie zobaczysz, zapewniam cię. Co on tu zresztą w ogóle robił? Wyglądało na to, że jest zupełnie bezużyteczny, snuł się tylko po hotelu jak smród po gaciach.

Norman wstał powoli i wykonał głęboki wdech, żeby zelżało straszne napięcie, jakie czuł w klatce piersiowej. Potem zaczął wyjaśniać tonem przesadnie grzecznym i opanowanym:

- Słuchaj, Lester. Powinniśmy sobie chyba coś wyjaśnić. Nie jesteś właścicielem klubu „Rafa Mew”. Ja nim jestem. Zrozumiano? Nie jesteś starszym wspólnikiem. Nie jesteś nawet młodszym wspólnikiem. Nie włożyłeś w ten hotel złamanego grosza. Masz prawo robić tu tylko jedno: Dobrze się bawić. Jesteś tu gościem, jasne? Niewykluczone, że wyciągnę kopyta, starając się, by ten hotel zaczął przynosić zyski, ale, przysięgam na Boga, będę to robił po swojemu! - zakończył Norman krzyżąc i grzmocąc pięścią w stół. Lester odparł na to zupełnie spokojnie:

- Norm, stałeś się właścicielem tego hotelu tylko dzięki temu, że ja złożyłem swój podpis na świstku bankowego papieru. Usiłowałem ci jedynie okazać pomoc. Przypuszczalnie nie miałem również prawa uratować tych steków, ale to jednak zrobiłem, bo taki już mam charakter.

- Kończcie państwo ten posiłek beze mnie! - zawołał Norman. -

Ja mam pilną rzecz do załatwienia. Ów „fagas” był moim najlepszym pracownikiem i muszę go za wszelką cenę sprowadzić z powrotem, choćbym miał się czołgać przed nim na kolanach!

- Dobra, trudno, leć skoro musisz, ale uważam, że tego pożałujesz. Sama widzisz, Henny. Nikt nie lubi ludzi, którzy rąbią prawdę prosto w oczy - poskarżył się Atlas. - Ale taki już jestem: kawa na ławę! Teraz też się tak zachowałem i Normanowi się to nie spodobało. W porządku, Norm, zgoda, umyвам ręce! Jeśli wyciągniesz kopyta, jestem do tyłu na dwadzieścia tysięcy. Ale dobrze, zgoda, jak chcesz! Od tej pory działaj po swojemu.

Grubas użalał się żałośnie nad sobą w sposób tak komiczny, że Norman zupełnie nieoczekiwanie odzyskał humor.

- Kochamy cię takiego, jaki jesteś, Lester! - zadeklarował.

- Nigdy się nie zmieniaj.

W drzwiach od kuchni stanęli Millard i Virgil z oszronionymi pudłami na głowach. Sheila wypadła za nimi, obrzucając ich stekiem przekleństw. Zobaczywszy Papermana, skoczyła ku niemu tak porywczo, że omal nie zbiła go z nóg.

- Panie Pej-pom! Plosie mi jetno pofiecieć. Kim jeś ta głuba osioba? Ta osioba nalobiła tu takiego ziamiesiania, zie nie moziemy się poźbielać! Oblaziła Hippolyte'a i Hippolyte pofieciał, zie otchoci, zieby nie ziabić tej glubej osioby. Ci panu cios o tym wiadomo?

Paperman zapewnił kucharkę uroczyście, że „gruba osoba” już nikogo i nigdy nie będzie nękała. Sheila uspokoiła się z wolna. Gdy jednak zapytał, gdzie mógłby znaleźć Hippolyte'a, na powrót wybuchnęła gniewem:

- O nie, panie Pej-pom! Jeśli chce pan, zieby Hippolyte wlócił, musi pan odeśłać głubą osiobę! W tym hotelu stanie sie cios śtłaśnego, jeśli Hippolyte telaś wlóci! On sisiet do mnie siet odjażdem i mówił balco śmieśnie. - Odwróciła się do Millarda i Virgila, którzy zastygli w bezruchu ociekając potem, i wrzasnęła: - Ci wyście powaljowali? Powiedziałam wam siecieś, ziebiście zianieśli to mięsio do lotówki! Ciego tu stoicie jak dwie niemoty?

Virgil uśmiechnął się czyniąc żalną próbę przypodobania się kucharce.

- Gruba ofoba powiedziała,

feby płynief mnięfo tutaj.

- To jeś moja kuchnia i ziadna głuba osioba nie ma tu nić do gadania!

Sisielicie, cio powieciał sief?!

- Róbcie, co każe Sheila - poparł ją Paperman. - Nie zwracajcie uwagi na „gruba osobę”. Od tej pory nie musicie wypełniać jej poleceń.

Millard i Virgil oddalili się z widoczną ulgą.

Norman zaczął błagać Sheilę, żeby odnalazła Hippolyte.a, przeprosiła go w jego imieniu, namówiła do powrotu i zapewniła, że „gruba osoba” już nigdy nie będzie

się do niego wtrącała. Kucharka stanowczo odmówiła. Nie chciała nawet powiedzieć Papermanowi, gdzie szukać Hippolyte'a.

- Panie Pej-pom, pan balcio poziałuje, jeśli Hippolyte tu wluci siet wyjazdem glubej osioby. Niech pan się modli, zieby on tu nie wlaciał, a nie go jeście plosi! Hippolyte jeś stlaśnie źły!

- Ależ Sheilo, pan Atlas

zostanie u nas jeszcze co najmniej dwa tygodnie!

- Telaś i tak nie ma ciego lepelować. Siśtko naplawione, mamy pląd, mamy wodę. Cioś panu powiem, plosie pana. Niech pan zioštawi na lasie Hippolyte'a w śpokoju.

4

Jakimś cudem - bo w oczach Normana istotnie zakrawało to na cud - klub „Rafa Mew” mimo odejścia Hippolyte'a funkcjonował całkiem dobrze. Jak powiedziała Sheila, wszystkie poważniejsze kłopoty mieli już rzeczywiście za sobą, a nowe jak na razie się nie pojawiły. Dziwaczna, milcząca brygada Hippolyte'a pracowała dalej i wykańczała nowe pokoje, godząc się posępnie na nadzór pani Paperman. Wyglądało na to, że robotę wykonano bez zarzutu. W sedesach spływała woda, działały krany, paliły się światła, drzwi otwierały się i zamykały, złoto_zielone japońskie tapety nie odłaziły od ścian. Henny ozdobiła pokoje przedmiotami z Indii i Hongkongu kupionymi w sklepie Hassima - krzesłami z wikliny, mosiężnymi lub porcelanowymi lampami, chińskimi akwarelami - rzeczami niezbyt drogimi, a wnoszącymi urok egzotyki. Choć nowe pomieszczenia były mniejsze od innych, stanowiły mimo to najlepsze pokoje, jakie „Rafa Mew” miała obecnie do zaoferowania. Przyjaciele Dana Freeda dosłownie się na nie po przyjeździe rzucili. Lionel, zieleńszy na twarzy niż zwykle, ale szczęśliwy niczym młodzieniaszek, oświadczył zaraz na wstępie, że zatrudni Henny przy zmianie wystroju wnętrza „Marzenia Hogana” dokładnie w tym samym stylu.

Broadwayowe towarzystwo Freeda

- jedenaścioro wesołych,

gadatliwych osób, w tej liczbie dwie znane aktorki - napełniło klub wytwornymi strojami i nowojorską paplaniną. Wśród pozostałych gości wytworzył się nastrój ekscytacji i nabożnego podziwu, tubylcy zaś dzień i noc tłoczyli się w barze, aby się gapić na sławnych aktorów i niskiego pulchnego producenta czterech bieżących przebojów scenicznych Broadwayu. Zachwył nowojorczyków nad Kinją i hotelem Papermana nie miał granic. Przybysze pływali, żeglowali, tańczyli, pili, rozbijali się po wyspie wynajętymi ryczącymi jeepami, zawierali znajomości z miejscowymi robotnikami rolnymi, barmanami i policjantami i zapewniali zgodnie, że w życiu się lepiej nie bawili. Normana znużyły w końcu serdecznie ciągle okrzyki wyrażające podziw dla jego kapitalnego pomysłu i zazdrość z powodu obecnego szczęścia. Istotne było, że klub zdobył sobie tak wielkie uznanie u tak wybrednej klienteli. Trudno było wątpić, że w przyszłym roku stanie się modny na Broadwayu.

Już teraz cieszył się nadspodziewanym powodzeniem. Zaczął się bożonarodzeniowy szczyt. Norman musiał odprawić dziesiątki chętnych, błagających o jakiegokolwiek miejsce do spania, choćby polówkę w holu. Każdego dnia już o dziesiątej rano limit zamówień na lunch i kolację był wyczerpany. Do pomocy Churchowi, któremu inkasowanie pieniędzy i wpisywanie wpływów do ksiąg rachunkowych pochłaniało większość czasu, trzeba było najać dwóch dodatkowych barmanów. Zawodowy księgowy trzy razy w tygodniu sprawdzał księgi i raportował, że Church prowadzi je rzetelnie i uczciwie, a zyski szybko rosną. Z kolei Atlas, który codziennie

przeoglądał księgi, mimo przyrzeczenia, że nie będzie się wtrącał do spraw „Rafy Mew”, oświadczył Normanowi, że najgorsze ma już za sobą i nie musi się troszczyć o byt na Karaibach do końca swoich dni. Dodatkowe pokoje, dodał, okazały się pomysłem zbawiennym. Pieniądze wydane na zakup hotelu zwrócą się teraz bez trudu, a „Rafa Mew” przyniesie dodatkowy dochód roczny - szacując z grubsza - w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów. Po spłacie długów Norman będzie po prostu opływał w dostatki.

Zapewnienia Lestera niezbyt Papermana uspokajały, bo aż za dobrze wiedział, jak łatwo na Kinji spokój przemienia się w bałagan i chaos. Życie bez katastrof, nie mówiąc już nawet o drobnych awariach, wydawało mu się zbyt piękne, by miało trwać długo. Żywił jedynie nadzieję, że zdoła jakoś doczekać do wyjazdu Atlasa, kiedy będzie mógł ściągnąć z powrotem Hippolyte'a. Modlił się również o to, by kres obecnego kruchego spokoju, jeśli ma nadejść, nastąpił dopiero po przyjęciu państwa Tilsonów, czyli po dwudziestym siódmym grudnia. W przygotowaniach do tej jednej imprezy zdążył już utopić blisko trzy tysiące dolarów. Mimo przejściowego powodzenia odczuwał katastrofalny wręcz brak gotówki. Jeśliby przyjęcie Tilsonów nie doszło do skutku lub okazało się niewypałem, nie tylko zyskałby złą sławę na wyspie, ale i runął pod ciężarem długów. Kiedy wspomniał o tym niebezpieczeństwie Atlasowi, ten skwitował jego obawy gromkim śmiechem.

Oświadczył, że Norman przypomina mu dziecko, które boi się ciemności. Co mogłoby się tu nie udać - chodzi przecież o zwykłe przyjęcie. Stary weredyk widział obecnie perspektywę hotelu wyłącznie w różowych barwach.

Usłyszawszy o złożonej Normanowi przez panią Ball propozycji wykupu weksli, Atlas wykazał takie podniecenie, jakie zwykle objawiał jedynie na widok dziewcząt w bikini. Chciał natychmiast spotkać się z Angielką i sprawę zaklepać. - Babsztyl zadowolili się

pięciora tysiącami, nie dawaj jej ani centa więcej! - doradzał radośnie. - Wzięła sobie nowego ogiera, oto wyjaśnienie zagadki. Chce kupić fagasowi diamentowe spinki i podobne barachło. Pięć patoli zamiast trzydziestu pięciu! Norm, to znaczy czternaście centów za dolara! Psiamać, należało od ręki zaklepać ten interes!

Norman zauważył spokojnie, że nie miał wówczas pięciu tysięcy, zresztą nadal takiej sumy nie posiada. Atlas odparł na to, że wystarczy, by Norman znalazł mu panią Ball, a on się już zajmie stroną finansową. Pani Ball nie było jednak tego dnia na wyspie, a Norman miał tyle innych spraw na głowie, że tę odłożył na później.

Powodów do zmartwień dostarczała mu przede wszystkim Iris Tramm, która tkwiła jak zamurowana w swoim domku. Raz udało mu się dojrzeć, jak pływa w pobliżu swojej plaży. Na jego machanie odpowiedziała niedbałym ruchem nadgarstka, po czym odwróciła się w drugą stronę. Esm~e doniosła mu, że pani Tramm nie odpowiada na telefony, choć pan gubernator często do niej dzwoni. Natomiast Sheila poinformowała Papermana, że pani Iris nie wpuszcza pokojówek, więc w ogóle nie noszą jej z kuchni jedzenia, nawet dla psa. Przechodząc obok „Błękitnego Domku” Norman słyszał muzykę z płyt i szczekanie wilczura, czasami też widział poruszający się zazasłoną cień Iris. Piątego dnia tego odosobnienia Iris wpuściła sprzątaczkę. Kiedy wychodziły, poprosiła, żeby przyniosły dla Ziółka jakieś resztki z kuchni. Dziewczęta złożyły Normanowi tak alarmujący raport na temat jej wyglądu, że przerażony ośmielił się zadzwonić do gubernatora. Odbyli krótką, bardzo niezręczną rozmowę.

- Chciałbym porozmawiać z panem w cztery oczy, panie gubernatorze. Chodzi o Iris... o panią Tramm. Nie czuje się najlepiej.

- Rozumiem. - W głosie

Sandersa zabrzmiał ton rezerwy.

- U mnie czy w pańskim hotelu?

- Wolałbym u pana.

- Proszę więc przyjechać.

Kiedy Paperman się u niego zjawił, Sanders siedział za biurkiem w samej koszuli, bez marynarki. Wyłączył telefon, zamknął drzwi, wrócił na fotel, założył ręce na piersiach i zapalił papierosa. Norman zaczął mu opowiadać o kryzysie, jaki przechodziła Iris. Mówił o niej w taki sposób, jakby Iris była siostrą lub była

żoną gubernatora, więc wszelkie wstępne wyjaśnienia mógł pominąć jako całkiem zbędne. Sanders milcząco to zaakceptował. Jego twarz nie zdradzała żadnych żywszych uczuć. Słuchając bębnił lekko palcami po stole, muskał cienki wąsik lub przyglądał szpakowate, kędzierzawe włosy.

- Uważa pan, że powinno się ją hospitalizować? - zapytał, kiedy Norman przerwał na chwilę swą relację.

- W każdym razie za wszelką cenę stamtąd wyciągnąć, panie gubernatorze. Próbowałem to zrobić, ale mi się nie udało.

- Rozumiem, że to dla pana kłopotliwa sytuacja. Ostatecznie siedzi panu na głowie, a pan musi przecież prowadzić hotel.

- Nie o to chodzi! Iris była dla mnie bardzo miła i szalenie mi pomogła. Nie przysparza żadnych kłopotów, ale obawiam się, że pijąc na umór, wpędzi się w jakąś groźną chorobę. Gdyby zdołał ją pan przekonać, żeby wróciła do rodziców w San Diego... - Sanders skrzywił się niechętnie. - Przepraszam, panie gubernatorze, wiem, że to nie moja sprawa, ale...

- Nie ma pan za co przepraszać. Zapewniam pana jednak, że pomyśl, by namówić Iris do powrotu do San Diego, nie należy do najszczęśliwszych.

- Sanders wstał zza biurka i zaczął krążyć po pokoju, powodując zawirowania w szarych warstwicach dymu. Klimatyzator brzęczał niemiłosiernie; Paperman doszedł do wniosku, że to najhałaśliwsze tego typu urządzenie na wyspie. Po jakimś czasie gubernator przysiadł na skraju biurka, tuż obok swego gościa, i spytał z kwaśnym uśmiechem: - Mówiła panu o nas?

- Trochę.

- No cóż, wydaje mi się, że nie ma sensu, bym przedstawiał panu moje stanowisko. Niewykluczone, że w ogóle żadnego nie zająłem, ale skoro, na co wygląda, ta sprawa leży panu na sercu... Krótko mówiąc, panie Paperman, otrzymałem tę posadę zamiast atrakcyjniejszego stanowiska w jakimś dużym mieście bądź nawet na Wyspach Dziewiczych. Mimo to Iris uparła się tu ze mną przyjechać. Nie mogłem się temu sprzeciwić, ponieważ ją kocham, panie Paperman, ale ona w tej zapadłej dziurze żyje jak pod kloszem, co źle na nią wpływa. Dlatego ja sam zasugerowałem jej kiedyś San Diego - do czasu, aż otrzymam lepszą posadę. Zareagowała na to wybuchem takiej furii, jaka panu, mam nadzieję, zostanie oszczędzona, po czym zaczął się ciąg podobny do obecnego. Od tamtego czasu stosunki między nami znacznie się skomplikowały.

- Sanders zapalił kolejnego papierosa i jał się przechadzać po pokoju, w jego głosie zaczął pobrzmiwać akcent czarnego

Amerikanina, o wiele atrakcyjniejszy od wystudiowanej wymowy śmietanki towarzyskiej. - Widzi pan, panie Paperman, sprawy mają się tak: gdybym był, powiedzmy, komikiem z nocnego klubu, mógłbym poślubić białą kobietę - nawet tak niezwykłą, jak Iris Tramm - i nadal występować, ale, niestety, nie mam daru komicznego. Jestem tylko urzędnikiem rządowym. Gdybyśmy się pobrali, Iris ocknęłaby się nazajutrz u boku pięćdziesięcioletniego niewykwalifikowanego tragarza lub gońca hotelowego. Rozumie mnie pan? Nie widzę wyjścia z tej matni, a jeśli pomoże mi pan takowe znaleźć, będę szczerze zobowiązany.

Popatrzyli sobie w oczy.

Norman rozłożył bezradnie ręce i wstał.

- Uznałem po prostu za swój obowiązek poinformowanie pana o sytuacji.

- Dziękuję. Chciałbym zapewnić pana przy okazji, że Iris należy do kobiet niebywale silnych. Prawdopodobnie jest w tej chwili zdrowsza niż my obaj. Psychoanalitycy określali ją jako jednostkę przejawiającą tendencje samobójcze, tymczasem w tej kobiecie tkwi nieprzeparta wola życia. Iris zawsze wychodzi z podobnych zapaści. Nieraz bywałem tego świadkiem.

Nauczyłem się, że im mniej się wtedy wtrącać, tym prędzej wszystko wraca do normy. Gdyby mógł ją pan dyskretnie obserwować i powiadomić mnie, w wypadku jeśliby zaszło coś złego, byłbym panu niezmiernie wdzięczny, choć sędzę, że wszystko się dobrze ułoży. Tak dobrze jak to tylko możliwe... Więc pański przyjaciel Atlas ponownie do nas zawitał - zmienił nieoczekiwanie temat, zmieniając jednocześnie akcent murzyński na wymowę człowieka z towarzystwa - i staje, jak słyszę, do przetargu na osiedle w Zatoce Krabów. Zaś na pańskiej Rafie, jak mi mówiono, radośnie jak na weselu! - Wyciągnął szczupłą, chłodną

dłoń, żółtawą na grzbiecie, a od wnętrza białą. - Dziękuję, że się pan do mnie pofatygował...

5

Hazel codziennie odwiedzała Sheldona w szpitalu, czasem nawet dwa razy w ciągu dnia. Zwierzyła się rodzicom, że stał się dziecinnie drażliwy. Wyrzekał na przykład gorzko na test na inteligencję, jakiemu go poddano. Pytania były wręcz obraźliwie banalne, co go tak rozzłościło, że dla żartu udzielił na nie z rozmysłem głupich, najbardziej bezsensownych odpowiedzi, jakie mu przyszły do głowy, i zaprezentował się w ten sposób jako analfabeta o ilorazie inteligencji trzydzieści, góra czterdzieści, czyli debilnym. Na nieszczęście lekarze szpitalni potraktowali wyniki testu najzupełniej serio, ponieważ nie odbiegały zbyt od rezultatów, jakie zwykle uzyskiwali na oddziale dla opóźnionych umysłowo Kinjan. Klug usiłował gorączkowo przekonać szpitalnego psychiatrę, że sobie tylko zadzwiał, i żądał by go poddano ponownemu badaniu, ale jego starania nie odniosły żadnego skutku. Dyrektor szpitala, doktor Tracy Pullman, zdecydował, że nie wolno dopuszczać do takiego nadużycia.

Wyglądało więc na to, że Sheldon Klug będzie jeszcze długo przebywał w szpitalu na wyspie Amerigo jako pacjent z uszkodzeniem mózgu, który od czasu do czasu popada w stan „roślinki”. Dopust pienieł się z wściekłości i groził, że napisze do Fundacji Forda z prośbą o przyznanie stypendium na zjadliwą sztukę o opłakanym stanie służby zdrowia na Karaibach. Niespodziewany obrót losu sprawił jednak, że przed upływem tygodnia został zwolniony. Klug od pierwszej chwili utrzymywał, że musiał sobie w trakcie swej podwodnej eskapady wywichnąć bark, ponieważ odczuwa ból w prawym ramieniu, w łokciu, nadgarstku i w stawie kolanowym prawej nogi. Sprowadzony przez kapitana Woodsa lekarz z okrętu podwodnego, który złożył właśnie wizytę na Kinji, stwierdził po dokładnym badaniu, że pacjent zdradza objawy choroby kesonowej. W jego stawach osadziły się pęcherzyki azotu, kiedy wynurzał się nazbyt szybko z głębokości trzydziestu kilku metrów do miejsca, gdzie zawisł na koralowcu. Pęcherzyki te nadal tam tkwią, więc Klug będzie odczuwał bóle, dopóki nie zostanie poddany dekompresji; jeśli nie nastąpi to wkrótce, może się u niego ponadto rozwinąć chroniczne zapalenie stawów. Najbliższa komora dekompresyjna znajdowała się w

bazie marynarki wojennej w San Juan. Zły jak chrzan Dopust zdecydował się wobec tego na powrót samolotem do Nowego Jorku, aby poddać się dekompresji w tamtejszej bazie marynarki w Brooklynie. Na tej podstawie szpital zgodził się go zwolnić.

Choć tak zajęty, Norman uparł się, że osobiście odwiezie chorego na lotnisko. Oczywiście, Hazel pojechała z nimi, a tak była słodka i wesoła, jak jej przyjaciel kwaśny i ponury. Scena pożegnania, jaką odegrała u wejścia do samolotu, mogłaby wzruszyć kamień. Pocałowała Kluga kilka razy, przytuliła się do niego czule, wielokrotnie też przytykała do oczu chusteczkę.

- Może jeszcze zmienisz

zdanie? - zapytała, gdy zapowiedziano przez głośnik odlot samolotu. - Proszę cię, Sheldon, obiecaj mi, że wrócisz tu natychmiast po przejściu dekompresji.

- Nie sądzę, abym mógł sobie na to pozwolić. Taka wycieczka objazdowa kosztuje majątek, Hazel, a poza tym, prawdę mówiąc, mam już serdecznie dosyć Indii Zachodnich. - Objął ją i stęknął. - Chryste, ale to ramię mnie boli! Mam wrażenie, jakby było wypełnione szklaną stłuczka. Do widzenia, myszko. Do zobaczenia w Nowym Jorku.

Tak więc nazajutrz po Bożym Narodzeniu Sheldon Klug odleciał z Amerigo. Norman patrzył, jak samolot z warkotem silnika odrywa się od pasa startowego, po czym uśmiechnął się i westchnął.

- Odtąd nikt mnie nie

przekona, że Święty Mikołaj ie istnieje - oświadczył. - Tyle tylko, że chadza krętymi ścieżkami. Ale działa wyjątkowo precyzyjnie.

- W życiu nie słyszałam

większej bredni! Wiesz, że cię chyba nienawidzę! - zawołała Hazel chowając chusteczkę. - Mam zepsute ferie i złamane serce.

- Gdzie to umówiłaś się z Bobem? W bazie okrętów podwodnych?

- Nie, ma czekać z łódką na przystani Starej Cukrowni. To bliżej. - Zerknęła na zegarek. - O Boże, pospieszmy się, jestem już spóźniona!

Norman przekazał Hazel Cohnowi oraz jego czterem opalonym na brąz towarzyszom, czekającym w motorówce marynarki wojennej, przycumowanej przy brzegu niedaleko lotniska, po czym wrócił do Georgetown. Jechał ulicą Księcia Walii w świetnym humorze, kiedy nagle, na tej zatłoczonej i wąskiej głównej arterii miasteczka jadąca tuż przed nim taksówka zahamowała gwałtownie, a jej kierowca wysadził głowę przez okno, żeby pogwarzyć z jakąś przechodzącą dziewczyną. Paperman przywykł już do owego powszechnego na Kinji obyczaju, więc zdażył w porę nadebrać pedał hamulca i spokojnie czekał. Trąbienie klaksonem uchodziło w podobnych okolicznościach za przejaw chamstwa.

- Panie Paper-mon. Co za

scęśliwy traf! - Bankier Llewellyn zatrzymał się obok niego na chodniku oparł się łokciem o okno rovera. - Spotykam pana na ulicy, a jus od godziny usiłowałem skontaktować się z panem i panem Ot-losem w klubie!

- Przecież Lester powinien tam być.

- Tak mi też powiedziano, ale najpierw prowadził długą rozmowę międzynarodowa, a potem nie mogłem go złapać. Chciałem panom pogratulować. Staliście się panowie szanownymi właścicielami Zatoki Krabów!

- Jak to: my?! - Norman był kompletnie zaskoczony tą nowiną;

Zatoka Krabów stanowiła w tym momencie ostatnią rzecz, o której mógłby pomyśleć.

- Dziś rano otwozono oferty.

Pan Ot-loss to sprytny człowiek! Zaoferował czysta seściesiąt pięć tysięcy, następna w kolejności oferta była tylko o dwadzieścia pięć tysięcy nissa! Byłem psekonany, że zaoferuje co najmniej cterysta tysięcy. To osiedle jest warte dużo, dużo więcej. Bardzo chytse, bardzo psenikliwie!

Za Normanem ustawiła się już długa kolejka aut. Przed taksówką pas ruchu był pusty aż do samego nabrzeża, tymczasem wyglądało na to, że pogwarka kierowcy z rozchichotanym dziewczęciem dopiero się na dobre rozkręca. Norman odważył się w tej sytuacji na naciśnięcie klaksonu i został natychmiast skarcony wrogimi spojrzeniami rozgadanej pary. Taksówkarz wrzucił jednak bieg i zaczął rozmawiać nieco szybciej i głośniej.

- Oczywiście, powiem Lesterowi
- zwrócił się Paperman do bankiera. - Powinien się ucieszyć.
- Proszę mu też powiedzieć, że byłoby niezwykle roztropnie, gdyby zjawił się jutro dla sponowania umowy. Jutro jest czwartek, więc pracujemy tylko do południa.
- Więc może dzisiaj? Zostało jeszcze sporo czasu.
- Ales dzisiaj mamy Drugi Dzień Świąt! W piątek paradę karnawałową, w poniedziałek i wtorek Nowy Rok, a w środę Dzień Kolumba, więc będzie ceba cekać cały tydzień, jeśli pan Ot-los nie zjawi się jutro o świcie.
- Dzień Kolumba? Tuż po Nowym Roku? Przecież to święto przypada w październiku! - zachnął się Norman.
- Wedle starej kinjańskiej tradycji - wyjaśnił bankier - Kolumb zacymał się tutaj drugiego stycznia dla uzupełnienia zapasów świeżej wody.
Kiedy Paperman na czele długiej kolumny aut ruszył wreszcie naprzód, wesoły śmiech bankiera wciąż jeszcze dźwięczał mu w uszach.
Dotarł do klubu w porze lunchu. Atlasa na tarasie jadalnym nie było. Telefon w jego pokoju również nie odpowiadał. Norman znalazł grubasa w barze: z głową wciśniętą w ramiona siedział oklapnięty na stołku, prawie nagi, w samych tylko kwiecistych kąpielówkach.
- Co się stało, Church? - spytał szeptem Norman.

Barman poskrobał się w brodę.
- Wydaje mi się, że on zasnął, proszę pana. Albo... albo zemdłał, licho wie. Wypił właśnie cztery podwójne bourbony pod rząd. Jeden po drugim.

Norman dotknął ramienia Atlasa. Grubas cuchnął okropnie whisky, cygarami i potem.
- Lester! Nie zjadłbyś ze mną lunchu? Przynoszę dobre nowiny, które powinniśmy uczcić. Otworzę butelkę szampana, co?

Lester dźwignął głowę i spojrzał na Papermana. Nabiegłe krwią oczy miał półprzymknięte, szczeka mu obwisła, wessał dolną wargę, a rysy jego poszarzałej, pooranej zmarszczkami twarzy pogłębiły się i zwiotczały.
- Dobre nowiny? Coś takiego jak dobre nowiny w przyrodzie nie występuje! Jakże znów dobre nowiny?
- Wygrałeś przetarg na Zatokę Krabów!

Atlas wytrzeszczył na niego oczy, a w jego spojrzeniu pojawił się błysk zrozumienia.
- Wygraliśmy? - Jego głos tylko nieznacznie różnił się od skrzeku. - Nie wiesz, jaka była następna w kolejności oferta?
- O dwadzieścia pięć tysięcy niższa od twojej.
- A to drań! - Na wynędzniałe oblicze starego weredyka wypełził blady uśmiech. - Naprawdę? A już miałem zalicytować cztery stowy!
- Wyprostował plecy. -
Przewidywałem, że nie znajdzie się na tej zaszrannej wyspie żaden facet dostatecznie łebski, by złożyć sensowną ofertę. Toż to zwykła kradzież. Zaryzykowałem i zaoszczędziłem dla nas trzydzieści pięć tysięcy. Dostaniesz swoje znaleźne, Norm, i będziesz mógł wykupić weksle pocziwej Amy Ball. Masz rację, przynosisz dobre nowiny. - Pokiwał ciężko głową, a jego smutny uśmiech nieco się rozjaśnił. - Dobre nowiny, naprawdę dobre! Trzeba to uczcić... Chłopcze! Przyniesz nam dwa drinki. - Ujął Normana pod ramię i potykając się zaciągnął go do narożnego stolika. Opadł na krzesło, zapalił niezdarnie cygaro i podparł głowę rękami.
Paperman jeszcze nigdy nie widział Atlasa w tak opłakanym stanie, a zdarzało mu się widywać, jak ów wypijał w jeden wieczór całą butelkę bourbona. Kiedy przyniesiono drinki, grubas wyprostował się, pociągnął łyk i westchnął melancholijnie.

- Starzeję się, Norm. Tracę wycucie, czy co? W sprawie Zatoki Krabów nos mnie nie omylił, ale z pewnością zawiódł w sprawie tego przedsięwzięcia w Montanie. - Pochylił się i objął

Papermana za ramiona, co sprawiało wrażenie kiepskiej parodii jego zwykłych uwodzicielskich zabiegów. - Opowiadałem ci o tej awanturze, prawda? Opowiadałem, jak skupowałem akcje, rywalizując z innymi cwaniakami o pakiet kontrolny, a ceny wciąż pięły się w górę?

- Opowiadałeś, ale zapewniałeś też, że nie obawiasz się ani trochę o ostateczny wynik tej rozgrywki, ponieważ jesteś silniejszy od konkurentów.

- Tak mówiłem i, co gorsza, tak rzeczywiście myślałem, Norm, i niech to będzie dla ciebie nauczka. Ci bankierzy i politycy z Montany są albo mistrzami w udawaniu głupków, albo istotnie niesamowitymi głupolami, albo najgorszymi na świecie kłamcami, albo tym wszystkim naraz. Czy wiesz, Norm, z kim ja naprawdę walczyłem o kontrolę nad tą spółką?

- Pojęcia nie mam.

- Z Korporacją Miedziową z Anacondy!»* - Grubas niezdarnie uścisnął Normana, po czym uwolnił go z objęć. Uśmiechał się przy tym głupkowato jak bokser po nokaucie. - Słyszałeś o nich kiedy? Miedź z Anacondy opanowali smarkacze z Longfellow Avenue. Właśnie doniesiono mi o tym z St. Louis. Wyrolowali mnie, Norm.

Miasto w stanie Montana, gdzie znajdują się największe na świecie huty miedzi.

- Dużo straciłeś? Czy masz poważne kłopoty?

Atlas roześmiał się chrapliwie.

- Kto, ja? Posłuchaj, stary, jeśli cała moja budowla się zawali, jeśli wszystko się spieprzy, każde najmniejsze przedsięwzięcie, w którym mam udział, otrzępuję się i odchodzę. Mam firmę w Północnej Karolinie, która szyje dziecięce ubranka, do tego zakład elektroniczny w Oregonie, nieduże przedsiębiorstwa, o których nigdy nie słyszałeś. Nigdy ich nie tykałem, z nich żyję i mogę doskonale żyć dalej. Nie, Norm, w tej chwili, można powiedzieć, wyszedłem na zero. A gdybym jutro kipnął, wielkie rzeczy! Trzy czy cztery miliony mniej w spadku dla dwóch córeczek, które i tak są już ustawione na całe życie, a do tego nie cierpią swojego tatuśka. Więc sam widzisz, nie zostałem zrujnowany. Zostałem wyrolowany.

- Wejdiesz w tę Zatokę

Krabów?

- Jasne, do ciężkiej cholery!

- Atlas huknął w stół, aż podskoczyły szklanki. - Podobne lanie dostałem w pięćdziesiątym drugim, a jednak się odkułem! Jednym ze sposobów na odkucie się są dzisiaj nieruchomości na Karaibach. Zwyciężymy, Norm. Zaczynamy pod szczęśliwą gwiazdą w Zatoce Krabów. Karaiby to dzisiaj wielka żyła złota, czy tam uranu, a my wciąż jesteśmy na czele stawki... Hej, chłopcze! Podwójny bourbon z lodem!

`tt

Część III

Część trzecia

Karnawał taki słodki jest
(cd.)

Rozdział piętnasty

Przyjęcie Tilsonów

1

W czwartek dwudziestego
siódmego grudnia Paperman
otworzył oczy dziwnie jakoś
podniecony i niespokojny. Czuł
się jak człowiek, który budzi
się rano mocno podenerwowany i
dopiero po jakimś czasie
uświadamia sobie, że to dzień
jego ślubu. Wstawał przełomowy
dla niego dzień przyjęcia
Tilsonów. Była ósma rano; Henny
spała smacznie obok
męża, ubrana w błękitną
koronkową piżamę jak dla lalki. Nawet we śnie jej twarz nosiła rozbawiony,
ironiczny, nieco cierpki wyraz, który go tak oczarował przed dwudziestu laty.
Norman rozważał przez chwilę, czyby nie przystąpić do miłosnych działań.
Rozespana Henny zwykle nie miała na nie z rana specjalnej ochoty, lecz z reguły
dawała się w końcu przekonać. Paperman pragnął odwlec moment, gdy będzie musiał
zejść na dół i stawić czoło licznym kłopotom i zagrożeniom związanym z wielkim
przyjęciem. Poprzedniego wieczora sprawdził wszystko dwukrotnie i stwierdził,

że niczego nie brakuje. Do hotelu napływały już dostawy i personel: krzesła od właściciela zakładu pogrzebowego, stoły z klubu Orlich Republikanów, steki oraz inne nowojorskie delikatesy z chłodni, z całej zaś Amerigo dodatkowe pomocnice kuchenne, kelnerzy oraz kelnerki.

Przypominało to inwazję w Normandii, której, raz wprawionej w ruch, nie można już odwołać. Uszczknięcie godzinki z napiętego programu tego przełomowego dnia na małe ciupcianko wydało się Normanowi pomysłem kuszącym, mimo to pozwolił Henny spać dalej, wstał z łóżka, ogolił się i ubrał. Sheila mogła go potrzebować przy jakichś drobiazgach, pospieszył więc na dół.

Już w holu rzucało się w oczy, że nie będzie to zwykły dzień w klubie „Rafa Mew”. Pod ścianą piętrzyły się stopy (dokładnie dwieście) czerwono_żółtych krzesel, które dostarczył przedsiębiorca pogrzebowy. Do kuchni zdążali przez hol jacyś obcy Murzyni, dźwigając na ramionach skrzynki z piwem i szampanem, pudła grzechoczących butelek wody sodowej, oszronione parujące kartony z chłodni i kosze świeżych warzyw. W drodze powrotnej ci czarni tragarze gawędzili między sobą, śmiali się i ocierali spocone twarze.

Na szerokiej centralnej ścianie wisiał afisz, wykonany w krzykliwym stylu Churcha

Wagnera. Czerwone, odręcznie wymalowane na złotym tle litery wołały:

UWAGA!! UWAGA!!

Przyjęcie na wolnym powietrzu
na plaży zakochanych!!!
(Północno wschodni kraniec
wyspy „Rafa Mew”)

Tylko dzisiaj,

wyłącznie dla gości Klubu!
Od godz. #/17#30 do...?

Stalowe bębny,

napitki, kurczaki

pieczone na węglu drzewnym
oraz steki
z różnymi dodatkami.
Wszystko na koszt firmy!

Obowiązujący strój: boso, bez krawatów, bez koszul, bez niczego na sobie, nago!
(No, może w spodenkach kąpielowych i kostiumach bikini przez wzgląd na policję.)

Dodatkowa super atrakcja!!!

Mrozący krew w żyłach popis sześciu nieustraszonych skoczków spadochronowych marynarki wojennej!!
Skok z samolotu z
wysokości 3000 metrów,

Prosto do morza u brzegu Plaży Zakochanych!
Punkt #/18#30! Nie przegapcie tego wydarzenia!

Przewidziane rozmowy ze śmiałkami. (Będą honorowymi gośćmi na naszym pikniku!)
Można prosić o autografy!

Państwa gospodarz
Norman Paperman

Poniżej, wypisane drobnymi drukowanymi czarnymi literami, widniały słowa:

(Stały bar i taras jadalny będą dziś zarezerwowane na przyjęcie prywatne.
Obsługa hotelowa wyłącznie na przyjęciu na wolnym powietrzu.)

Tom Tilson, zgarbiony i czerwony na twarzy, siedział w fotelu i wpatrywał się w plakat.

- Witam! - zawołał i pomachał laską w stronę Normana, a potem w stronę afisza. - Paperman, przyznaję, że miałem pewne wątpliwości co do pana, ale teraz, klnę się na Boga, zaczynam wierzyć, że ma pan prawdziwą smykałkę do hotelarstwa. To jest genialne!

- Musieliśmy coś wymyślić - rzekł skromnie Paperman.

- Doskonale! Jakim cudem, u licha ciężkiego, udało się panu namówić chłopców z Dsp, żeby wykonali dla pana ten pokaz?

- No cóż, widzi pan, moja córka... dziewczyna włóczy się z tymi gagatkami... doniosła mi, że chłopcy planują w tym tygodniu skok do morza na spadochronach. Zadzwoiłem do ich dowódcy i powiedziałem, że jeśli wylądaje dziś wieczorem w pobliżu Plaży Zakochanych, stawiam całej drużynie drinki i po steku na kolację. Był zachwycony moją propozycją i, prawdę mówiąc, wybawił nas z kolosalnego kłopotu. Główny problem związany z pańskim przyjęciem polegał mianowicie na usunięciu hotelowych gości, żeby się nie platali państwu pod nogami.

- Świetna myśl! Wylegną na plażę jak jeden mąż. Chytry zamysł! Rozmawiałem właśnie z Sheila i muszę przyznać, że chyba jeszcze nie miałem lepiej przygotowanej imprezy. Pomyślał pan o wszystkim, Paperman! Tam do licha, to będzie najlepsze przyjęcie, jakie kiedykolwiek wydano na tej przeklętej wysepce. Moje gratulacje!

- Dziękuję - bąknął Paperman.

- Ale nie mówmy hop. Przyjęcie się jeszcze nie skończyło.

Tilson zrobił przebiegłą minę i łypnął na niego okiem.

- A przy okazji, kto to jest „gluba osioba”?

- Proszę? Kto panu o tym powiedział?

Jednym z głównych zmartwień Normana związanych z nadchodzącym wieczorem była obawa, że Lester Atlas może się wdrzeć na przyjęcie Tilsonów i rozpędzić je niczym oszalały słoń. Od momentu gdy poznał prawdę o miedzi z Anacondy, pił na umór i trudno było przewidzieć, w jakim obecnie znajduje się stanie.

- Sheila powiedziała mi

właśnie, że jakaś „gluba osioba” wyrzuciła stąd Hippolyte'a. Doszły mnie również plotki na ten sam temat z baru „Montmartre”, gdzie zalewa pałę mój ogrodnik. Twierdzi on, że Hippolyte upija się tam noc w noc w trupa i odgraża się, że zakatrupi jakąś „ghrubom osobę” z klubu „Rafa Mew”.

- Chodzi o Lestera Atlasa - wyjawiał Norman, usiłując pokryć obojętną miną lęk, który z nagłą w nim wezbrał. - Pamięta pan, tego faceta, z którym tu pierwszy raz przyjechałem.

Zjechał do nas na Boże
Narodzenie.

- A, tę wielką szycę, gościa, o którym pisali w „Time’ie? Jasne, że pamiętam.

- Wsparłszy się oburącz na lasce Tom Tilson stękając dzwignął się z fotela.

- Mielibyśmy spotkanie, że ha!

Trafiłaby kosa na kamień. Chętnie bym to nawet zobaczył, byle nie dzisiaj.
Paniom by się to niezbyt spodobało.

- Czy Hippolyte zapowiedział,

że zamierza zjawić się tutaj dzisiejszego wieczoru?

- Nie, nie słyszałem, żeby podawał dokładny termin.

- Może będzie lepiej, jeśli poproszę policję o ochronę - zastanowił się Norman.

- Przed Hippolyte’em? - Pan Tilson zaniósł się śmiechem. - Kogo, kinjańskie gliny? Ten gagatek na rozgrzewkę odrąbałby któremuś łeb, a potem rozejrzał się za pańskim przyjaciele. Niech pan tylko dopilnuje, żeby pańscy ludzie pod żadnym pozorem nie przewozili Hippolyte’a gondolą, gdyby się pojawił. Drugie wyjście to odesłać Atlasa na główną wyspę i niech Hippolyte gania sobie za nim choćby i do rana. To go zatrzyma z dala od nas. He, he, he, niech pan to sobie rozważy, Paperman!

Pan Tilson ze starczym rechetem oddalił się kuśtykając. Norman, bynajmniej nie rozbawiony, poszedł do kuchni, gdzie Sheila komenderowała krzątającymi się pomocnicami i świeżo najętymi męskimi posługaczami. Kucharka była dziwnie spokojna i radosna wśród chaosu, jaki panował w jej królestwie. Prowizoryczne, ustawione na krzyżakach stoły uginały się pod ciężarem butelek, krwistych połci mięsa, skrzynek, kartonów, stert owoców i warzyw oraz lśniących nowością olbrzymich garów. W starych rondlach i saganach dymił już lunch, roztaczając wokół pikantne włoskie wonie.

- Jedno wielkie ziamiesianie,

plawda, panie Pej-pom? -

roześmiała się Sheila. -

Ziapowiada się, że siśtko dobrze pójdzie. Jak tylko dziewczęta śpsiątną po obiedzie, ziacinamy lobić kanapki, a potem...

- Czy przywieźli grill na Plażę Zakochanych?

- Tak, plosiepana, kucharka od Francisa Drake’a psiślała go ziaras’ z rana.

Ustawiamy też stoisko karnawałowe na napoje na sijekciu na wolnym powieciu.

Siśtko jeś w najlepsim poziatku, nie wiem tilko, gdzie się podział Cielć.

Powiedział, że psijdzie dzisiaj o sióstej rano, a jeście go nie ma. Miał ustawić bar na plazi. Najęłam mu ciech pomoćników i musiom ciekać beźcinnie.

- Poszukam go.

W hotelu Churcha nie było. Esm~e powiedziała, że nie miała od niego wiadomości, natomiast odebrała już trzy telefony ze szpitala. Doktor Tracy Pullman chciał pilnie rozmawiać z panem Papermanem.

- Chypa mówił coś o barmanie, ale dopsze nie zrozumiałam - powiedziała Esm~e, spuściwszy oczy i zatrzepotawszy powiekami. Gdy mowa była o Churchu, nadal odczuwała niejakie zakłopotanie.

- Połącz mnie z panem doktorem i przełącz rozmowę na biuro.

Norman uznał, że brzuch ciężarnej z Nevis jest już bardzo, ale to bardzo wzdęty. Nie powinien zwlekać, należało zaraz jutro odesłać ją do domu. Jak tylko skończy się przyjęcie Tilsonów, powinien uporządkować te wszystkie zaniedbane sprawy.

- Doktor Tracy Pullman, słucham?

- Witam pana, mówi Norman Paperman z klubu „Rafa Mew”.

- A, pan Paperman! Od rana usiłuję się z panem skontaktować. - Doktor Pullman miał tubalny barytonowy głos, bardzo podobny do głosu jego brata, nieobecnego senatora. - Proszę mi powiedzieć, czy miał pan wśród swego personelu młodzieńca nazwiskiem Wagner? Church Wagner. Przystojny biały brodac.

- Miałem? Nadal mam. Czy coś mu się stało? Nie stawiał się rano do pracy.

- Widzi pan, on... Hm, ten, tego... Panie Paperman, czy nie ma w tej chwili obok pana jakichś osób płci żeńskiej?

- Płci żeńskiej? Nie, jestem w biurze sam.

- Doskonale! Słyszał pan zapewne o gromadce dziewcząt, dokładnie siedmiu, należących do naszych najlepszych rodzin, które przyjechały obecnie do domu na ferie.. Same siebie nazwały, o ile się nie mylę, Piaskowymi Wiedźmami.

- Owszem, słyszałem.

- Tak? To wyśmienicie! Żeby się niepotrzebnie nie rozwodzić, panie Paperman, nagie fakty są takie: ten pański Wagner zaraził sześć spośród owych siedmiu Wiedźm tryniem.

Paperman jęknął, jakby go dźgnięto nożem.

- Tryniem?

Tryniem?

- Ścisły termin „rzeźaczka”,

panie Paperman, ale tak określają tę chorobę młodzi. Wciąż badamy siódma panienkę.

Zachowuje się bardzo frywolnie i nie stara się nam pomóc, wyznaję. Zależy nam bardzo na skomunikowaniu się z tym Wagnerem. Przede wszystkim on sam wymaga leczenia, a po wtóre policja może zechcieć zamienić z nim parę słów kierując się troską o jego własne bezpieczeństwo. Ojcowie

zarażonych dziewcząt są, czemu się trudno dziwić, bardzo rozgniewani. Spodziewam się również, że zechcą z panem porozmawiać inspektorzy Ministerstwa Zdrowia.

- Ależ mnie nic o całej tej sprawie nie wiadomo, panie doktorze!

- Church Wagner jest pańskim pracownikiem. No cóż, jeśli ten młody człowiek zjawi się w hotelu, niech go pan lepiej czym prędzej do nas przywiezie.

- Obiecuję!

Paperman poczuł ból w okolicy serca jak w pierwszych dniach pobytu na wysepce Rafa Mew; ponadto kanały nosowe zaczęły go swędzić i puchnąć.

- Zechce pan, oczywiście - ciągnął lekarz - zachować całą sprawę w najściślejszej tajemnicy. Przez wzgląd na dobro rodzin.

- Rozumie się. Naturalnie! - zapewnił Norman i kichnął jak z armaty.

Doktor Pullman westchnął.

- Na zdrowie. Lękam się, że największych kłopotów przysporzą nam same dziewczęta, które wcale nie mają zamiaru utrzymywać swojej przygody w tajemnicy. Chichoczą, robią sobie żarty i mówią, że trynio to dolegliwość niewiele groźniejsza od pospolitego przeziębienia. Obawiam się, że morale tutejszej młodzieży staje się ostatnio bardzo deka-denckie. I to młodzieży z najlepszych rodzin! Do widzenia, panie Paperman.

Oszołomiony i do głębi wstrząśnięty Norman odłożył słuchawkę. Strata Churcha Wagnera sama w sobie nie była dotkliwa. Od dnia przyjazdu Henny nieraz rozmawiali o dokonaniu drobnej korekty organizacyjnej, polegającej na tym, że

barman zajmowałyby się wyłącznie mieszaniem drinków, a oni przejęliby sprawy finansowe. O barmanów, którzy tylko przygotowują napitki, nie było wcale tak trudno. Norman najął właśnie trzech do obsługi przyjęcia państwa Tilsonów. Najboleśniej ugodziło Normana co innego: mroczne przypomnienie faktu, o którym wolałby tego ważnego dnia zapomnieć, że życie na Kinji balansuje stale na granicy tragedii i farsy. Epizod z Churchem, bynajmniej nie zaskakujący, oznaczał dla Normana nagłe, brutalne przywołanie do rzeczywistości. Poraził Papermana niczym zwiastun niepomyślnych zdarzeń. Norman nie zapomniał dotąd - choć się o to usilnie starał - ostrzeżenia Toma Tilsona, że Kinja prędzej czy później okrutnie go zaskoczy. Od wielu tygodni prześladował go lęk, iż fatalna owa niespodzianka dopadnie go na tym właśnie uroczystym przyjęciu. Wyczyn Churcha Wagnera, który wyszedł na jaw akurat w tym momencie, sprawiał wrażenie złowrogiego, groteskowego, typowo kinjańskiego preludium do większej katastrofy. Norman zaczął kichać. Kichał i kichał, aż zaczęły mu łzawić oczy, nos poczerwieniał, spuchł i rozboleł, a oddech stał się urywany i świszczący. Stary, zakurzony zegar wskazywał za kwadrans dziewiątą. Zaczynał się długi dzień.

2

Plaża Zakochanych, rzadko używana, bo położona daleko od głównego pawilonu i obrosnięta ciernistymi krzewami, była niemal równie piękna jak główna plaża wysepki, niewiele też od niej mniejsza, roztaczał się z niej jednak wyłącznie widok na morze, toteż budowniczości klubu mądrze usytuowali hotel na brzegu zwróconym w stronę miasta. Virgil i Millard wycięli w krzakach szerokie ścieżki i w ciągu jednego dnia powstało na odludnym dotąd terenie urocze miejsce piknikowe. Na sznurkach zawisły japońskie lampiony, a na bielutkim, świeżo zamiecionym piasku stanęły: grill, bar, leżaki z aluminium i czerwonego plastiku, pomalowane na pstre kolory stoliki i krzesła. Pogoda była nadal piękna. Normana dręczyła obawa, że deszcz zapędzi przemoczonych i zapiaszczonych gości hotelowych, odzianych tylko w skąpe stroje kąpielowe, z powrotem do hotelu, w sam środek uroczystego przyjęcia Tilsonów. Tymczasem o szóstej wieczorem, kiedy zgodnie z rozkładem miał wystartować samolot wojskowy ze spadochroniarzami, na niebie nie było ani jednej chmurki, a goście ustawiali się już ochoczo w kolejce do darmowych drinków, omawiając między sobą z ożywieniem zapowiedziane popisy skoczków spadochronowych. Przyjęcie na wolnym powietrzu uznano za wspaniałą atrakcję i nikt nie okazywał niezadowolenia z faktu, że usunięto go na ten wieczór z hotelu. Tymczasem w klubie drużyna przystojnych kinjańskich młodzieńców w atłasowych czarnych spodniach w prążki, białych smokingach i białych rękawiczkach trwała już w gotowości do spełniania kelnerskich obowiązków. Bar, oba tarasy, taneczny i jadalny, udekorowano girlandami z kwiatów, podobnie jak wielki stół z przystawkami, który - zastawiony półmiskami z wędlinami i kanapkami, kręgami serów, słoikami rosyjskiego kawioru i górami świeżych owoców

- ciągnął się przez całą długość parkietu do tańca. W kuchni czekały już na tacach gorące smaźone krewetki i setki koktajlowych parówek. Pod ścianami korytarza stały wiadra z butelkami szampana w lodzie. W holu urządzono prowizoryczny bar, zaś drugi podobny na tarasie tanecznym; i one, i bar główny pobłyskiwały tysiącami szklanek. Stanowiska za kontuarami zajęli młodzi barmani w czerwonych marynarkach, podnieceni niczym konie wyścigowe przed wielką gonitwą.

Sheila kazała wykopać na głównej plaży palenisko na węgiel drzewny i ustawić nad nim żelazne ruszta, żeby można było smażyć dziesiątki wielkich steków naraz. Ona sama, królująca w kuchni w świeżym białym fartuchu i czapie kuchmistrza, wyglądała na spokojniejszą niż była zazwyczaj; tłum nowych pomocników czekających na jej rozkazy oraz niesamowite stopy żywności, piętrzące się we wszystkich kątach kuchni, zdawały się nie robić na niej żadnego wrażenia.

- Wygląda to całkiem,

całkiem, panie Pej-pom - oceniła, udzieliwszy cierpliwie odpowiedzi na kilka nerwowych pytań szefa. - Nie ma się o cio martwić, to będzie udane sijęcie. - Dziękuję, Sheilo. Sam Bóg mi cię zesłał - powiedział Norman kichając, po czym wydmuchał nos i pobiegł na Plażę Zakochanych, by obejrzeć skoki spadochroniarzy, niemal pewien, że spodziewana katastrofa przybierze postać wypadku, który zakończy się śmiercią bądź kalectwem jednego z nich.

Goście hotelowi tłoczyli się na brzegu z kieliszkami w rękach i zadartymi do nieba głowami. W gwarnym, rozbawionym tłumie rozlegały się co chwila śmiechy, okrzyki i przyspiewki. Na błękitnym niebie jaśniały wełniste obłoki, zaróżowione luną zachodu. Kapitan Woods, w krótkich spodenkach khaki i podkoszulku, obserwował z uśmiechem niebo, ale u jego stóp na piasku leżały płetwy, a napięcie skrzyżowanych na piersiach ramion świadczyło, że gotów jest w każdej chwili skoczyć do wody. Kilku z jego żołnierzy krażyło nie opodal brzegu w wojskowej szalupie.

- Witam, panie Paperman, jest już samolot - oznajmił wskazując ręką niemal pionowo w górę. - Myślę, że osiągnęli już wymaganą wysokość. Teraz wykonują prawdopodobnie manewr poprzedzający zrzut.

Paperman dojrzał mały czarny krzyżyk na tle różowej chmury, który to znikał, to znów się pojawiał, przesuwał się przez klęby obłoku.

- Boże, ależ są wysoko!

Z tłumy gapiów wynurzyły się Hazel i Henny.

- W życiu się tak nie bałam!

- oznajmiła dziewczyna. - Skakać z takiej zawrotnej wysokości! Niesamowite!

- Dla moich chłopców to nie pierwszyna, proszę pani - uspokoił ją kapitan Woods.

- Skoczyl!! - krzyknął unisono tłum.

Wysoko w górze ześlizgiwało się po niebieskoróżowym nieboskłonie czerwone pasemko, niczym linia rysowana przez olbrzymi, wolno sunący ołówek.

- DRUGI! - krzyknęli jednym głosem gapie na plaży. - TRZECI!! CZWARTY!!!

W chwilę później po niebie spływało sześć wydłużających się równoległych smug - grubych i coraz szerszych szkarłatnych linii.

- Spadanie swobodne z flarami

- poinformował Woods, wpatrując się z napięciem w kolorowe smugi.

Wkrótce, mniej więcej w
połowie drogi do ziemi, u dołu
jednego z pasem rozkwitła
lśniąca pomarańczowo_biała
czasza spadochronu, a wnet po
niej druga, trzecia, czwarta i
piąta. Ostatnia czerwona smuga
ześlizgiwała się jednak dalej,
już znacznie poniżej
nieregularnej linii, wyznaczonej
przez punkty pięciu
spadochronów,

unoszących się na niebie w promieniach zachodniej zorzy. Opadała coraz niżej...

- Kto to jest? - zapytała przerażona Henny.

- Nie wiem - mruknął Woods z nutką gniewu w głosie i w tej samej chwili szósty spadochron się otworzył. Na plaży rozległ się radosny okrzyk ulgi. Skoczkowie opadali wolno ku płaszczyźnie morza. Ten, który tak przedłużył swobodne spadanie, chlupnął do wody znacznie wcześniej od pozostałych, kilkanaście metrów od brzegu.

- Cohn - orzekł kapitan Woods, choć Norman dostrzegł tylko opalone na brąz, niemal nagie ciało w uprzęży spadochronu. - Kto by się spodziewał?

Żołnierze na łodzi podpłynęli do skoczka i wyłowili jego falujący spadochron. Tymczasem on sam dopłynął do brzegu, przedarł się przez klaszczący tłum i podszedł do swego dowódcy.

- Przepraszam.

- Co u diabła? - warknął Woods. - Przecież uprzedzałem: żadnych ryzykownych popisów!

- Nie uwierzy pan, panie
kapitanie - powiedział Cohn,
ociekając wodą i dysząc z lekka

- ale zachwylił mnie widok, jaki się stamtąd rozciąga. Właśnie zapalają się światła w miasteczku. Bajkowy obrazek! Spóźniłem się tylko o parę sekund.

- O mało nie wybiłeś tyłkiem dziury w oceanie! - mruknął Woods.

Drugi i trzeci spadochroniarz osiedli tymczasem na wodzie. Hazel natarła z gniewem na Cohna:

- Nie powinni ci pozwalać na takie skoki! Jesteś już za stary, nie mówiąc już o tym, że kompletny szajbus!

- Widzi pan, panie kapitanie!

A nie mówiłem, że jestem już za stary na takie wyczyny? - powiedział Cohn do Woodsa. - Będę się musiał postarać o zwolnienie z tej jednostki.

- Prawie już tego dopiąłeś, do pioruna! - burknął Woods, nie spuszczać wzroku z łodzi, która krążyła od skoczka do skoczka. Wszyscy znaleźli się już w wodzie, a ich głowy podskakiwały na falach.

Po chwili podnieceni goście
otoczyli w barze całą drużynę
podwodnych saperów, dowcipkując
i zasypując ich pytaniami. Oczy
kobiet błyszczały, jakby ci
opaleny na czekoladowo,
nieśmiali, prawie nadzy

młodzieńcy byli gwiazdoram filmowymi. Zadowolony, że przyjęcie pod gołym niebem na Plaży Zakochanych rozpoczęło się tak pomyślnie, Norman oddalił się wraz z Henny, by się przebrać przed przyjęciem państwa Tilsonów. Hazel została oczywiście na plaży, rozkoszując się swoją nową rolą pszczelej królowej

płetwonurków. Cohnowi nie okazywała specjalnych względów, przynajmniej nie w obecności rodziców. Robiła maślane oczy do wszystkich żołnierzy po kolei, a oni sprawiali - co do jednego - wrażenie bez reszty przez nią podbitych.

- Trudno będzie po takim doświadczeniu wzbudzić w tej dziewczynie zainteresowanie dla sympatycznego, zamożnego lekarza czy prawnika - powiedziała Henny, kiedy wracali przez trawnik do głównego pawilonu. - Albo na przykład biznesmena...
- Lub profesora filologii angielskiej - dorzucił Norman.

Roześmiała się.

- Ha, to akurat dobrze się składa, choć z drugiej strony nie wszyscy wykładowcy anglistyki muszą być podobni do Dopusta. Mnie by tam profesor college'u całkiem zadowolił. Sheldon Klug był po prostu ohydny pozerem. Ale muszę ci się przyznać, że i ta historia z człowiekiem_żabą nie wprawia mnie w zbyt wielki zachwyt. Zgoda, człowiek czynu, to bardzo pociągające, sama, choć stara baba, chętnie bym takiego schrupała, ale jednak taki zawód to ciężki kawałek chleba. Ludzie patrzają na ciebie jak na szajbusa, a poza tym można sobie łatwo skrócić kark.

- Co więc proponujesz?

- A co mogę proponować?

Niczego nie proponuję. Wydaję tylko matczyne okrzyki niepokoju.

Kiedy wchodzili do holu, od strony baru dobiegł ich wściekły wrzask:

- Słuchaj, koleś, jestem

właścicielem tej budy, a ty mi gadasz, że nie wolno mi tu wypić drinka? No dalej, rusz tę swoją czarną dupę, bo...

Paperman wpadł do baru, pustego jeszcze, jeśli nie liczyć nowego barmana, Atlasa oraz dwóch dziewcząt w kostiumach bikini - nauczycielek ze stanu Maine, które grubas przyhołubił. Lester miał na sobie białą czapkę żeglarza, podkoszulek w białe i czerwone pasy, taki, w jakich gustował Church, i nowe, luźne dżinsy, których nogawki podwinął do kolan. Jego towarzyszkę odziane były wyłącznie w skąpe kostiumy bikini. Wszyscy troje byli straszliwie spaleni słońcem. Spuchnięta twarz Atlasa wyglądała jak wygotowana we wrzasku, tylko wokół oczu miał duże białe kręgi w kształcie okularów słonecznych.

- Spokojnie, Lester! Ten

chłopiec wykonuje tylko moje polecenia - wyjaśnił Norman. Nowy barman wpatrywał się w Atlasa z zaciśniętymi gniewnie wargami. - Ten lokal zarezerwowany jest dzisiaj na przyjęcie państwa Tilsonów. Przecież cię uprzedzałem! Drinki, jakie tylko chcecie, dostaniecie darmo na Plaży Zakochanych.

- A komu by się chciało

drałować taki cholerny szmat drogi!?! Dopiero co zeszliśmy z jachtu. Temu zasranemu kapitanowi skończyło się piwo, skończyła się wódzka, do tego omal nie usmażył nas na słońcu. Hatsy i Patsy, biedulki, gotowe mi zaraz zemdleć. Chcemy dostać trzy poncze rumowe, tu na miejscu, i to zaraz, do jasnej cholery!

- Daj im te trzy poncze - polecił Norman barmanowi.

- Ślicznie panu dziękujemy - pisnęła słabym głosem jedna z dziewcząt.

Barman z posępną miną przygotował poncz, z tą samą miną go podał, po czym odwrócił się tyłem do gości.

- Oto, od czego twardnieje człowiekowi kuśka, Norm! - obwieścił Atlas i wlał w siebie połowę szklanki. Potem objął dziewczyny i począł obmacywać ich spiekle na słońcu piersi. - No, teraz czujemy się bez porównania lepiej, prawda, dziewczęta? Teraz jesteście gotowi do szampańskiej zabawy!

- Wybieracie się na przyjęcie na wolnym powietrzu, prawda, Lester? - zapytał z nadzieją Norman. - Czekają tam na was darmowe steki i darmowe drinki - kusił.

- I wolna miłość na wolnym powietrzu? - zażartowała chichotliwie panienska imieniem Patsy.

- Co to, to nie! Za te

szpecyjały Norman pobiera słone opłaty! - ryknął Atlas. - Jest tak rozchwytywany przez panie, że musieliśmy mu założyć licznik. Cha, cha, cha! Con permissio! - Podrzucał w dłoniach zaognione piersi obu pańienek. - Jasne, że wybieramy się na przyjęcie na wolnym powietrzu, Norm. Trzej muszkieterowie: Hatsy, Patsy i Atsy!

Naoliw licznik, stary, a może i dla mnie jeden przygotuj. Con permissio! Cha, cha, cha!

Norman poszedł na górę, żeby się przebrać. Odetchnął z pewną ulgą: pijany potwór miał się znaleźć tak daleko od przyjęcia Tilsonów, jak to tylko na wysepce Rafa Mew było możliwe.

3

O dziesiątej przyjęcie Tilsonów rozkręciło się na dobre. Goście zjeżdżali się już od wpół do ósmej, a setka z górą zwała się tuż przed dziewiątą.

Paperman wynajął do ich przewozu trzy duże motorówki, toteż Virgil nie był nadmiernie przeciążony. Norman jeszcze nigdy nie widział na Amerigo tak licznych zgromadzenia, nawet w Pałacu Gubernatora. Tom i Letty Tilsonowie najwyraźniej spajali dwa odrębne kręgi towarzyskie Kinji. W komplecie stawili się członkowie „bandy ze wzgórza”; nie brakowało ani jednej twarzy spośród tych dumnych białych arystokratów, których Norman poznał w rezydencji Paradne Schody. Przybyli również wytworni, szacowni tubylcy z balu u Turnbullów i obie grupy mieszały się przy barze i na tarasie tanecznym w jedną przyjazną masę, nad którą unosił się gęsty, miły dla ucha gospodarza gwar udanego przyjęcia. Orkiestra - muzycy w srebrzystych marynarkach, nie żadna tam kapela stalowych bębnow - grała klasyczny jazz i sporo par tańczyło. Wieczorowym strojom zebranych trudno byłoby cokolwiek zarzucić; nawet tak wytrawni znawcy jak nawykli do nowojorskich premier Norman i Henny Papermanowie nie znajdowali rażących uchybień wobec wymogów elegancji. No, może sukni kilku białych pań nie dałoby się nazwać ostatnim krzykiem mody, może niektóre Murzynki dobrały kolory śmieiej, niż odważyłaby się to uczynić Henny, a niektórzy mężczyźni - częściej biali niż czarni - pozwolili sobie na pewne ekstrawagancje, gdy chodzi o

smokingi. Pomimo tych
nielicznych drobnych skaz był
to obraz, jaki rzadko się
widuje: śmietanka towarzyska
Indii Zachodnich bawiąca się na
rozległym tarasie, oświetlonym
rozstawionymi wokół naftowymi
pochodniami, pod oślepiajaco
białym księżycem, jaśniejącym
wśród mrowia niezliczonych
gwiazd. Mające w oddali,
upstrzone światełkami czarne
wzgórza wyspy Amerigo
przypominały teatralną
dekorację, rozstawioną za migotliwymi wodami cieśniny.
Na tak przygotowaną scenę, niemal równo z wybiciem dziesiątej, wkroczyła Iris
Tramm.

Była ubrana we fioletową, długą do ziemi, jedwabną, fałdzistą suknię, na której
lśnił srebrny meksykański naszyjnik. Stanawszy w drzwiach prowadzących na taras
taneczny rozejrzała się bacznie dookoła. Włosy miała upięte do góry w sposób
nonszalancko niedbały. Paperman ruszył w jej stronę i po paru krokach
dostrzegł, że Iris ma twarz bladą i opuchniętą, oczy błyszczące, a jej ręka, w
której trzymała srebrzystą torebkę, lekko drży. Idąc mu naprzeciw, raz jeden
zbczyła nieznacznie z linii prostej, ale poza tym trzymała się całkiem nieźle,
nie potykała się i nie zataczała.

- Zostałam zaproszona -

oznajmiła na wstępie. - Zapytaj Toma Tilsona, jeśli mi nie wierzysz. Zaprosił
mnie już parę tygodni temu.

- Ależ oczywiście, że jesteś zaproszona, Iris! Nie masz pojęcia, jak się cieszę,
że cię widzę!

- Naprawdę? - Obracała głowę na wszystkie strony. - Ale heca! A gdzie Henny?

- Kręci się gdzieś tutaj.

Słuchaj, zostały jeszcze całe góry przystawek. Steki nie tak prędko podadzą.
Chodź, przegryziemy coś.

- Jak się pan ma, Eksceleńco?

- zapytała Iris składając drwiący dyg. Choć wymawiała słowa wyraźnie i doskonale
nad sobą panowała, ten wyczyn przekroczył jej możliwości. Zachwiała się i
gubernator Sanders musiał ją podtrzymać.

- Witaj, Iris - rzekł głosem ciepłym, ale trochę smutnym. - Na co byś miała
ochotę? Na drinka? A może coś przekąsisz?

Spojrzała na niego przeciągle spod półprzymkniętych powiek.

- Hm, przygotuj się na sporą niespodziankę, Alton. Coś bym istotnie przekąsiła.

Iris osiągała czytelność
wymowy dzięki przesadnie
starannej artykulacji.

- Świetnie! - ucieszył się gubernator. - Sam umieram z głodu, dopiero co
przyszedłem. Pozwól.

Iris rozejrzała się uważnie dookoła, a potem odwróciła się do gubernatora i
wzięła go pod rękę.

- Na co, k..., oni wszyscy się tak gapią? Mam rozpięty rozporek czy co? Przecież
ta suknia nie ma żadnych rozporków. Rozporki mi w ogóle nie w głowie. Mam okres.

- To bardzo piękna suknia, dlatego wszyscy ci się przyglądają - wyjaśnił
Sanders.

- Stół jest tam. Serwują drinki i kawior, kochanie.

- Bywaj, Norm. Chętnie zobaczyłabym się później z Henny
- powiedziała Iris, odchodząc z gubernatorem. - Ciekawa jestem jej kreacji.

Pojawienie się kochanki gubernatora, wyraźnie co prawda „podciętej”, ale trzymającej się dość pewnie na nogach, sprawiło, że przyjęcie, już i tak udane, stało się prawdziwym sukcesem. Skandal wokół Piaskowych Wiedźm nieco się już ludziom przejadł (na ile było Normanowi wiadomo, ta sprawa stanowiła na Kinji tajemnicę poliszynela), odczuwano potrzebę nowego tematu i oto się znalazł; dostarczyła go Iris Tramm. Gwar wyraźnie przybrał na sile. Wszystkie oczy zapały blaskiem podniecenia, głowy skłaniały się ku głowom, gdy Alton Sanders kroczył do stołu z przystawkami pod rękę z kochanką, z tak skupionym wyrazem twarzy, jakby uczestniczył w jakiejś bardzo uroczystej ceremonii.

Do Normana podeszła Amy Ball i zarzuciła mu na szyję muskularne ramię. Cuchnęła rybami. Jej długa, czarna, naszywana paciorkami suknia była zapięta wysoko pod szyją, co Paperman skonstatował z niewymowną ulgą.

- Czy to nie przykhe, skahbie?

- zapytała przez zęby. - Uważam, że to niemal phawdziwa thagedia, zgadzasz się ze mną? Myślę, że za pięćdziesiąt lat nikt nie będzie sobie nic hobił z podobnych sphaw. Świat idzie z postęmem, kotku, Ale tymczasem biedni This i Alton są więźniami okhopnego zacofanego hoku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego dziewiątego. Ciebie to nie przygnębia?

- To nie moja sprawa, naprawdę Amy.

- No tak, oczywiście, ale This jest taka kochana! Ty hównieź ją uwielbiasz, niephawda?

Oczywiście, podobnie jak my wszyscy, tylko wtedy, gdy biedaczka jest trzeźwa. To sthaszne, gdy zachowuje się tak jak tehaz. Już kilka razy musiałam znosić podobne jej zachowanie. Okhopność! Jak długo to już tym hazem thwa?

Norman zignorował pytanie.

- A wiesz, Amy, bawi tu właśnie Lester Atlas.

Rozmawiałem z nim o twoich wekslach i jestem gotów wykupić je od ciebie za pięć tysięcy.

Promienny uśmiech pani Ball skurczył się w jednej chwili do krzywego sztucznego uśmiešku, przyklepionego do spowaźniałej twarzy.

- Och? Pięć? Widzisz, skahbie, powiedziałaś dziesięć, a zhesztą właściwie tak tylko plotłam. Byłam nieźle wstawiona.

Powiedziałaś dziesięć, phawda? Jestem pewna, że tyle powiedziałaś. Wtedy na schodach u Campbellów. Ale nawet i przy dziesięciu to czysty hozbój, Nohman, chyba zdajesz sobie z tego sphawę? Przecież jesteś mi winien trzydzieści pięć tysięcy, skahbie!

- I zapłacę ci trzydzieści pięć tysięcy, Amy, kiedy przyjdzie pora. Jeśli, oczywiście, będziemy jeszcze oboje na tym świecie. Sądziłem po prostu, że potrzebujesz gotówki już teraz. Ja sam nie mam jej wiele.

- Ale ma ją pan Atlas.

- Miałaś przecież okazję obserwować, jak pan Atlas załatwia sprawy finansowe...

- Istotnie! - Pani Ball

kiwnęła głową i zanosła się chrapliwym śmiechem. - Istotnie, miałam taką okazję. O, Douglas, jak miło z twojej sthony! Dzięki! Poznałeś już Nohmana Papehmana, phawda?

Douglas był wysokim, zwalistym mężczyzną z szopą rudawych włosów, sumiastymi wąsikami tejże barwy, czerwoną, przystojną twarzą i wylupiastymi oczami. W dłoniach trzymał dwa pełne kieliszki szampana. Amy przedstawiła go już wcześniej jako komandora porucznika - bodajże Scotta-Greshama czy Marple_Twayde'a - Norman nie zapamiętał nazwiska. Komandor z suchym brytyjskim akcentem opowiadał mu rozwlekłe o Amerigo, używając słów takich jak „zaiste”, „wspaniale” i „fantastycznie” w sposób nader podobny do tego, w jaki Atlas spożytkowywał wulgaryzmy. Wyjawił Normanowi, że rozważa otwarcie w Indiach Zachodnich nowej linii lotniczej.

- Co o tym sądzisz, skahbie? - Pani Ball przyjęła od komandora kieliszek szampana i natychmiast go opróżniła. - Ten wstęciuch Nohman chce mi dać za moje weksle tylko pięć tysięcy dolarów. Czy to nie jest ohydna grabież z jego sthony?

- Zaiste, ohydna grabież.

Zwracam ci wszelako uwagę, że to o pięć tysięcy więcej niż nic, koteńku - odparł ryży blondyn.

- Douglas jest moim nowym współnikiem w intehesach. - Pani Ball wzięła komandora pod ramię i przytuliła się do niego. - Wiesz, Nohm, niewykluczone, że założymy wspólnie na wyspie nową linię lotniczą. Powiedz, czy nie byłoby cudownie, gdybyśmy doczekali się na Kahaibach przyzwoitych samolotów i pilotów zamiast tych szaleńców, którzy wożą nas obecnie w tych potwornych przedpotopowych maszynach?

- Owszem, to byłby znaczny postęp.

- Perspektywy rozwoju są zaiste fantastyczne - przytaknął Douglas.

- Skądinąd, gdybym przyjęła tę żalną, obhaźliwą ofehtë Nohmana, kociu - zauważyła pani Ball - moglibyśmy wynająć w przyszłym tygodniu ten jacht Cullena i poszpendać się thochę po gheckich wyspach, phawda? Cóż za cudowna odmiana! Moglibyśmy wypłynąć dosłownie w każdej chwili.

- Zaiste, kiedy się nad tym głębiej zastanowić - zawyrokował Douglas - weksle to tylko weksle, a forsa to jednak forsa.

- Otóż to! - Pani Ball wyciągnęła, rękę do Papermana. - Ubijamy intehes, Nohman? To thochę śmieszne na przyjęciu, ale...

Paperman bez zastanowienia uścisnął jej dłoń. Amy Ball zrobiła chytrą minkę i wybuchnęła śmiechem.

- A więc umowa stoi! Wiesz, to zabawne, ale muszę ci się przyznać, że okpiłam ciebie i tego sthaszliwego Atlasa jak się patrzy! Wiedz, że zapłaciłam Tony'emu i Lahy'emu za dziehżawę tylko czterehy tysiące, a nie sześć, jak twiehdził ten twój ghubas. Ta suma zwhóciła mi się już w dwójnasób. Nie najgohszy intehes!

- Kapitalny! - orzekł Douglas ściskając ją w pasie. - Ta kobietka ma zaiste fantastyczną głowę do interesów!

Henny podeszła do nich i oświadczyła, że chciałaby zobaczyć przyjęcie na świeżym powietrzu i sprawdzić, jak sobie radzi Hazel. Pani Ball pogratulowała jej sukni, różowo_żółtego saronga nabytego w sklepie Hassima. Henny rzeczywiście wyglądała zachwycająco. Świeżo opalona na różowo, promieniowała podnieceniem, wywołanym przyjęciem i satysfakcją, którą jej sprawiało noszenie nowej, pięknej sukni, o numer mniejszej niż zwykle. Tajemniczy ból, który zresztą od dnia przyjazdu na wyspę ustąpił bez śladu, zmusił ją na pewien czas do ścisłej diety, toteż była teraz szczuplejsza od własnej córki. Kilka wypitych drinków zmiękczyło ironiczne zmarszczki na jej twarzy i przydało blasku jej oczom.

Papermanowie podeszli do państwa Tilsonów, którzy siedzieli w uroczystych pozach przy imponującym centralnym stole w otoczeniu grona przyjaciół, zarówno Murzynów, jak i białych.

- Przyjęcie jest wspaniałe,

Paperman! Cudowne! Co wy na to, przyjaciele? Czy obecna feta nie bije na głowę przyjęć, jakie wydawałem u „Francisa Drake'a”?

Zebrani przy stole zgodzili się ochoczo z tą opinią, rozległy się też lekkie brawa.

Bankier Llewellyn oświadczył:

- Panie Paperman, pan i pańska uroca małżonka ucyniliście klub „Rafa Mew” perłą nasej wyspy. Sycy mieszkańcy Kinji podziwiają oboje państwa i są państwu niezmiernie wdzięczni.

- Jest pan bardzo uprzejmy - powiedział Norman, po czym zwrócił się do Toma Tilsona. - Chciałem pana tylko zapytać, czy nie sądzi pan, że można już podawać steki chateaubriand?

- Zdaje się na pana całkowicie

- odrzekł pan Tilson. -

Przyjęcie nie mogło być bardziej udane. Niech pan po prostu prowadzi je dalej po swojemu.

Wykopana w piasku plaży podłużna jama jarzyła się poświacie księżycy żółto-białym blaskiem; na żużlach węgla drzewnego tańczyły błękitne i fioletowe płomyki. Steki leżały nie opodal na stole, owinięte w grube arkusze folii.

- Myślę, że pora już podawać, Sheilo! - zawołał Norman ze szczytu schodów na plażę.

- Dobrze, plosiepana. I ja tak myślę. Musią się śmazić prawie godzinę, takie siom glube. Dziewciężta! Sisiałyście, cio powiedział sief! Nakładajcie steki. A jeśli która upuści choć jeden na piasek, lepiej ziebi mi się więcej nie pokazywała na oci!

Dziewczęta za pomocą długich widelców rozłożyły na grillu czerwone półcie mięsa, które zaczęły natychmiast skwierczeć i wydzielać nęcące zapachy.

- Musimy je oblaciać, ogień jeś baldzo golący - roześmiała się Sheila. -

Naplawdę pięknie się udały, plosiepana! Ziostanę tu, zieby siśtkiego doglądać.

- Boże, co za zapach! -

westchnęła Henny. - Naprawdę Norm, odwalileś wspaniałą robotę!

- To zasługa Sheili - odparł skromnie. - Ta kobieta to prawdziwy dar losu.

Ruszyli przez zatłoczony hol. Roześmiani uczestnicy przyjęcia państwa Tilsonów, którzy stali w grupkach z talerzykami i drinkami w rękach, obsypywali przechodzących Papermanów gorącymi komplementami.

Na dworze Henny zapytała męża:

- Słuchaj, czy to prawda, co mówią o naszym małym barmanie?

- Niestety tak.

- Masz tobie! Rzeżączka? Cała siódemka? - Norman skinął głową.

- Gdzie on się teraz podziewa?

Co się z nim stało? Aresztowali go?

- Po prostu zniknął, Henny.

Obserwowali lotnisko, ale się tam nie pojawił. Jego katamaran nie cumuje przy naszym pomoście ani w basenie jachtowym.

Domyślam się, że pannice go ostrzegły, więc nasz przystojny żeglarz niechybnie odpłynął w siną dal, żeby zacząć wszystko od początku na jakiejś innej rajskiej wyspie. Na Gwadelupie, Barbadosie, St.Croix, Nassau, bo ja wiem zresztą gdzie? Przystojny młody biały barman jest wszędzie mile widzianym gościem. Karaiby to dla Churcha istna ziemia obiecana.

- Ten chłopiec wydawał mi się taki... taki milutki. Nieśmiały jak panienka.

- Był niewyżyty maniakiem seksualnym i ja o tym wiedziałem, musiałem jednak przymknąć oczy na jego wyuzdanie. Przymykanie oczu to pierwsza rzecz, jakiej człowiek się tutaj uczy.

Kiedy szli przez trawnik, mroczną enklawę ciszy i spokoju między rozgwarem dwóch hucznych przyjęć, Henny zerknęła na męża i powiedziała:

- Ludzie, z którymi

rozmawiałam, niejacy

Campbellowie, okazali się szalenie gadatliwi. Zdradzili mi między innymi, że Iris Tramm jest kochanką tutejszego gubernatora. To prawda? Czy to w ogóle możliwe?

- A czemuż by nie?

Sympatyczny, inteligentny facet, do tego całkiem przystojny.

- Ależ on jest kolorowy, Norm!

- Mówisz jak prawdziwa

entuzjastka liberalizmu, rybko.

- A więc jest czy nie jest jego kochanka?

- Jest.

- Ona sama ci to powiedziała?

- Owszem, sama mi to

powiedziała... Uważaj na ten krzak. Za tamtą pochodnią zaczyna się zabawa w ciuciubabkę.

Do ich uszu dobiegał już wesoły gwar i łoskot orkiestry stalowych bębnow koncertującej na Plaży Zakochanych.

- Wiesz,

Norm, że kiedy człowiek tu trochę pobędzie, czuje się tak, jakby przewrócił kamień i odkrył, co jest pod spodem.

- To jest druga lekcja

Karaibów. Ale tych kamieni wciąż przybywa, skarbie, i wyskakują spod nich coraz to nowe wstrętne niespodzianki. Niepodobna się tu nudzić.

Wzięła go za rękę.

- Co ci, kotku?

- Nic. Jestem po prostu trochę wytracony z równowagi... Powiem ci prawdę: kiedy zobaczyłem dziś Iris, zrobiło mi się smutno.

- Jest w kiepskiej formie. Nie sądzę, żeby dotrwała do końca wieczoru.

- Ani ja. Kiedy tam wrócimy, miej na nią oko, gdyby gubernator wypuścił ją spod swoich skrzydeł, dobrze?

- Oczywiście, Norm.

4

- Boże! - wyrwało się Henny, kiedy świeżo wycięta w krzakach ścieżką wyszli na Plażę Zakochanych. - Ta zabawa wygląda na jeszcze huczniejszą od tamtej!

Pośrodku plaży płonęło wielkie ognisko, buchając w niebo snopem czerwonych iskier. W kręgu światła łomotali w instrumenty muzycy z zespołu stalowych bębnow, ubrani w same tylko czerwone spodenki. Ich oczy pałały, czoła ociekały potem, bieleły wyszczerzone zęby, połyskiwała w blasku ognia hebanowa skóra. Wokół gięły się i podrygiwały niemal nagie ciała tancerzy, przeważnie białych; wśród kilkorga czarnych Norman rozpoznał parę co ładniejszych pokojówek z hotelu „Rafa Mew”.

Wiele osób tańczyło z drinkami w

rękach, rozchlapując zawartość

szklanek. Wzdłuż skąpanej w

poświacie księżycy plaży

uciekały z krzykiem dziewczęta,

ścigane przez pohukujących i

wyjących mężczyzn. Rozdokazywani

ludzie rzucali się z pluskiem do

morza, wskakiwali jeden drugiemu

na plecy, nosili się „na

barana”, baraszkowali i

mocowali, a wszystko to przy wtórze piskliwych protestów uszczęśliwionych

kobiet. Pewna liczba starszych wiekiem gości popijała drinki siedząc statecznie przy stolikach, wiele wszakże siwych i łysych głów można było dostrzec w ciżbie bosych tancerzy pływających na piasku.

Do Papermanów podbiegł Lionel Williams w wieńcu ze szkarłatnych hibiskusów na czole; na jego zielonkawej, pokrytej czerwonymi pasami oblicze padał niby luna odbłask od tych kwiatów.

- Norm, to jest istny szal!

Nigdy w życiu się tak nie bawiłem! Podobnie zresztą jak nikt z tu obecnych. Dan powiedział mi właśnie, żebym z punktu rezerwował miejsca dla wszystkich na trzy tygodnie na przyszłe Boże Narodzenie. Chłop ma niezłe w czubie. Jest w siódmym niebie. Twój hotel czeka wspaniała przyszłość, stary! Jest bajeczny! Bombowy! Lionel wyrykiwał te zachwyty przekrzykując ochryplym głosem muzykę, śpiewy, śmiechy i wrzaski.

- Cieszę się - mruknął z roztargnieniem Norman.

Wypatrywał Atlasa. O kilka kroków od niego kręciła żwawo poparzonymi przez słońce lędźwiami Hatsy, większa z dwóch nauczycielek z Maine, właściwie naga, bo tylko w kostiumie bikini, składającym się z dwóch wąziutkich białych tasiemeczek. Jej partnerem był jeden z młodych płetwonurków.

Lionel chwycił Henny za rękę.

- Chodź, mała! Nasza jest noc!

Zaszalejemy!

- Właściwie czemu nie? - Henny zrzuciła z nóg złote pantofelki i dała się porwać do tańca.

Obok Papermana przesunęła się, gnąc ciało w rytm muzyki, druga ze znajomych nauczycielek Atlasa, Patsy. Trzymał ją w ramionach jeden z czarnych barmanów, wynajętych na ten wieczór do pomocy.

- Gdzie jest Lester, Patsy? - zawołał do niej Norman.

- Pojęcia nie mam! Co mnie to zresztą obchodzi? Gdzieś mi przepadł. Boże, uwielbiam tańczyć na piasku! - obwieściła całemu światu i zniknęła w tłumie.

W tej samej chwili Norman dostrzegł Atlasa. Grubas siedział samotnie przy bocznym stoliku i podparłszy pięścią przekrzywioną na bok głowę, z łokciem opartym o kolano, przyglądał się tańczącym.

- Cześć, Lester. Dobrze się bawisz? - zapytał Norman podszedłszy do niego.

Znużony uśmiech rozjaśnił z lekka ponurą twarz Atlasa.

- Jasne, stary. To bombowa zabawa. Widzisz, po prostu nie mam dzisiaj swojego zwykłego wigoru. Chyba zjadłem za dużo tych darmowych żeberek. - Wzruszywszy tłustymi ramionami poszukał cygara na nagiej włochatej piersi, w miejscu, gdzie natrafiał zwykle na kieszonkę koszuli. - Poza tym wciąż nie daje mi spokoju sprawa tego miedziowego interesu. Jestem z tego powodu kapinkę nie w sosie. Uszło ze mnie powietrze. Widzisz, Norm, straciłem na tej awanturze kupę szmalu... A jak idzie tamto przyjęcie?

- Nie jest tak wesołe jak to.

- Może właśnie tego mi trzeba.

Tu jest za dużo szczęśliwych ludzi. Chyba przeniosę się do hotelu.

Opróżnił szklankę whisky. Norman gorączkowo szukał w głowie jakiegoś pretekstu, który by mu pozwolił w taktowny sposób odwieść Atlasa od tego zamiaru, gdy ów mruknął nagle:

- A, pal sześć! Nie chce mi się przebierać. Tu też mi jest dobrze. Hatsy i Patsy bawią się pysznie jak nigdy.

Trzymając pantofle w dłoniach podeszła do nich rozczochrana i rozbawiona Henny.

- Znalazłam Hazel, wyobraźcie sobie! Szaleje w samym środku tego piekła.

Szczerze mówiąc, uważam, że nasza córka powinna zostać aresztowana za nieobyczajność. Przekracza w tańcu wszelkie granice wyuzdania, Norm!

- A z kim tańczy? Z Cohnem?

- Właściwie trudno powiedzieć.

Dziewucha miota się we wszystkie strony jak szalona, a Bob stoi obok z dosyć niewyraźną miną. Jak się masz, Lester?

- Och, cudownie, Henny! Bosko!

- Właściwie chciałam tylko sprawdzić, czy Hazel nie została zjedzona przez rekina lub coś w tym rodzaju - wyjaśniła Henny. - Ale teraz widzę, że jeśli kręciłby się tu w pobliżu jakiś rekin, należałoby się martwić raczej nie o nią, ale o jej matkę.

Po bachanaliach na Plaży Zakochanych przyjęcie Tilsonów sprawiało wrażenie pompacyjnego i sztywnego, choć gości jeszcze przybyło i bawiono się wcale wesoło. Ludzie wypełniali hol, bar i taras do tańca. Większość stała z kieliszkami w rękach; wyglądało na to, że wszyscy mówią jednocześnie, przekrzykując melodyjny jazz, grany przez pięciu mężczyzn w srebrzystych marynarkach.

- Cześć Iris - powiedział Norman, gdy podeszła do niego w holu. - Dobrze się bawisz?

Pani Tramm minęła Papermana nie odwracając głowy, nie zaszczycając go nawet spojrzeniem. Sztywnym, mechanicznym krokiem, pochylona lekko do przodu, ze zwieszonymi bezwładnie ramionami zmierzała w stronę baru. Norman pomyślał w pierwszej chwili, że celowo wyrządziła mu afront, potem jednak uświadomił sobie, że w ogóle go nie spostrzegła. Wpadła na jakiegoś mężczyznę; inni goście schodzili jej z drogi, wymieniając między sobą szeptem złośliwe komentarze. Paperman zauważył, że gubernator Sanders, który z założonymi na piersiach rękami stał oparty o futrynę drzwi, bacznie Iris obserwował. Wyglądał nie najlepiej w przyciasnym jedwabnym smokingu i marszczącej koszuli. Minę miał posępną i zgnębiającą.

Norman podszedł do niego i spytał ścisłym głosem:

- Nie mógłby jej pan jakoś pomóc? Nie powinna więcej pić.

- Mogę zrobić tylko tyle: trzymać się od niej z daleka - odparł Sanders z bladym uśmiechem. - Oświadczyła mi dopiero co: „Jeśli nie chcesz, żebym wyrzuciła tę budę do góry nogami, przestań się za mną włóczyć, ty palancie!” - Sanders skrzywił wargi. - Powinien pan zrozumieć, że w jej ustach takie wyzwisko to jeszcze żadna obelga.

- Na co ją stać, proszę mi powiedzieć? Chodzi mi o to, do czego jest zdolna? Moja „buda” jest na szczęście zbyt solidnie zbudowana, by mogła ją wyrzucić do góry nogami.

- O, to zależy, panie

Paperman. Iris potrafi rozpędzić przyjęcie na cztery wiatry ograniczywszy się jedynie do podniesienia głosu. Widywałem już podobne sceny. Widzi pan, ona ma głos jak Charles Laughton i słownictwo bosmana. To bywa bardzo krępujące, szczególnie dla pań, które wolą w podobnych sytuacjach chwycić torebki i czmychać.

- Miałem okazję przekonać się na własne uszy, do czego jest zdolna.

- Może też podkasać spódnicę do pępka i zacząć tańczyć na środku sali. Albo dać komuś w nos. Wie pan, ona jest bardzo silna. Nałożyłem jej kopiasty talerz jedzenia, ale ona go po prostu odstawiła i sięgnęła po bourbona. - Sanders ogarnął spojrzeniem towarzystwo. - Ogromnie mi przykro z powodu tej sytuacji. Tom Tilson jest sympatycznym człowiekiem. Może zresztą do niczego złego nie dojdzie. Widzę, że Iris próbuje nad sobą panować.

Pani Tramm wracała właśnie z baru. Kroczyła tak samo sztywno jak przedtem, z utkwionym prosto przed siebie niewidzącym spojrzeniem. Wyglądało na to, iż nie zdaje sobie sprawy, że trzyma w ręku szklankę; niosła ją przechyloną, znacząc swój ślad na kafelkach posadzki strużką alkoholu. Na przodzie jej sukni widniała rozszerzająca się ciemna plama.

Tym razem zmętniały wzrok Iris spoczął na Papermanie.

- Serwus, Norm! Kapitalne przyjęcie - wybełkotała, układając starannie wargi przy wymawianiu każdego z osobna wyrazu. - Pierwszy raz w tym zaszranym roku dobrze się bawię. Chodź, zatańczymy.
- Jak najchętniej, Iris - powiedział i wyciągnął ku niej rękę, ona jednak przeszła obok niego i gubernatora, opadła na krzesło i pociągnęła ze szklanki długi łyk.

Ktoś delikatnie klepnął
Normana w ramię.

Rozdział szesnasty

Powrót Hippolyte'a

1

Stała za nim Sheila. Nie odezwała się ani słowem. Zrobiła tylko nieznaczny gest dłonią.

- Przepraszam - rzekł Norman do gubernatora i ruszył za kucharką.

Przeszli przez hol, przez bar, zeszli po schodach na plażę, minęli ustawiony nad jamą z płonącym węglem drzewnym ruszt, na którym skwierczały steki, i poszli plażą do miejsca, gdzie kończył się piasek, a zaczynały kamienie.

- Pan patsi - poleciła Sheila i wskazała pas mrocznej toni, rozdzielający przybrzeżne wody cieśniny, rozjaśnione z jednej strony reflektorami fortu, z drugiej światłami hotelu. Norman dojrzał w ciemności jakiś kształt; wyglądał na unoszący się na wodzie słomiany kosz.

-To? - upewnił się, wskazując ów przedmiot.

- Tak, plosiepana.

- To chyba kosz.

- Nie, plosiepana, to nie koś.

- Faktycznie, chyba
rzeczywiście nie, masz rację.

Kapelusz, prawda?

- Tak, plosiepana.

Był to w istocie kapelusz z rodzaju tych, jakie nosili mieszkający na Kinji Francuzi.

Paperman spojrział na kucharkę.

- Tak, no i co z tego?
- Ja miślem, że to kapelusz Hippolyte'a.
- Hippolyte'a? Przecież nie przepływałby cieśniny w kapeluszu na głowie! Do tego o północy!
- Hippolyte jest śmieszny. On ziawsie pływa w kapelusiu, bo nie lubi słońca.
- Przecież teraz nie świeci!
- Nie, plosiepana.
- Uważam, że to absurdalne, idiotyczne, żeby pływać w środku nocy w kapeluszu na głowie!
- Tak, plosiepana.

Norman obserwował poruszający się kapelusz.

- Naprawdę myślisz, że to Hippolyte?
- Tak miślem, plosiepana.
- Mogłabyś coś dla mnie zrobić, Sheilo? Biegnij na Plażę Zakochanych, znajdź kapitana Woodsa i sprowadź go tu jak najprędzej.
- Plosiepana, jeśli ja odejdę, dziewczyny zepsują śteki. One siom już prawie gotowe. Ja musię tam teras wrócić!
- Więc pošlij którąś z dziewcząt. Wybierz najbystrzejszą, na przykład Delię, i każ jej się pospieszyć.
- Dobrze, plosiepana. Poślem Delię. Jak siem naziwa ten kapitan?
- Woods. To kapitan marynarki wojennej. Dowódca Dsp, Drużyny Sabotażu Podwodnego.
- Kapitan Woods z deespi.
- Żłobi się, plosiepana. A gdzie jest teras gluba osioba, panie Pej-pom?
- Na Plaży Zakochanych.

- Ziaraś pošlem Delię,

plosiepana. Kapitan Woods.

Po odejściu Sheili Paperman nie spuszczał oka z kapelusza. Teraz mógł już dojrzeć pod jego rondem czyjaś twarz. Nieznajomy płynął stylem „na boku”, wyjmując z wody tylko jedną rękę. Norman zaczął skakać w ciemności po kamieniach, kierując się ku miejscu, gdzie pływak powinien wyjść na ląd. Skały oświetlał jedynie blask księżyca, przerywany łatami cienia, rzucanymi przez cierniste krzewy. Norman usiadł na pogrążonej w półmroku skale i czekał. W ustach czuł ten sam smak, jaki pamiętał z dawnych czasów, kiedy wypalał po trzy paczki papierosów w ciągu jednej nocy: kwaśny, piekący i gorzki. Z trudem oddychał, tak gwałtownie kołatało mu serce.

Hippolyte wyszedł z wody, potknął się i rozejrzał wokół siebie z groźnie nasępioną miną. Wyglądał komicznie, a zarazem przerażająco: prawie nagi mężczyzna w ogromnym słomkowym kapeluszu i przemoczonych bawełnianych szortach. W rękę trzymał ociekającą wodą maczetę.

- Cześć, Hippolyte.

Francuz odwrócił się i spojrział w stronę ukrytego w cieniu Papermana. Twarz milkliwego dziwaka nader rzadko nosiła jakiś wyraz, teraz jednak malowało się na niej wyraźne zaskoczenie.

- Szef? - burknął.
- Istotnie, to ja, twój szef.

Skacząc po Wielkich głazach, Norman wynurzył się z cienia. Miał na sobie szkarłatny smoking, czarny krawat, czarne spodnie i półbuty z lakierowanej skóry. Zestaw ten tworzył interesujący kontrast ze strojem Hippolyte'a.

- No i jak tam, stary, jakże się miewasz?

Wariat zmarszczył czoło.

- Nie najlepiej. Wchróciły mi bóle głowy.
- Byłeś w szpitalu? Daliby ci na to jakieś lekarstwa.
- Byłem. Dostałem zaszczyk.

Przyglądali się sobie w milczeniu.

- Czym mogę ci służyć, przyjacielu?

Francuz sprawiał wrażenie nieobecnego duchem; rękojeścią maczety podrapał się w nos. Po chwili rzekł:

- Przyszedłem po zegarek.
- Zegarek? Jaki znów zegarek?
- Zostawiłem budzik w szopie ogrodnika.
- Ach tak? Więc przyszedłeś po swój budzik.
- Tak.

- To świetnie! Chodźmy. Znajdziemy twój budzik.

Dał Hippolyte'owi znak, żeby ruszył przodem. Jak na nowojorskiego pacyfistę w średnim wieku, na dodatek z chorobą wieńcową, Norman wykazał już niemało „wdzięku w obliczu niebezpieczeństwa”, nie

zamierzał jednak przekradać się wśród nocy przez chaszczę, mając za plecami nieobliczalnego szaleńca z maczetą. Hippolyte potulnie posłuchał, wdrapał się po skałach i skręcił w krzaki. Na wąskiej ścieżynie panowały niemal egipskie ciemności, mimo to Paperman nie stracił Francuza z oczu. Po chwili znaleźli się na łączce za szopą ogrodnika - rozległej trawiastej polance, obrośniętej gęstymi krzakami, położonej z dala od hotelowych świateł, oświetlonej jedynie poświatą księżyca.

- Ta ścieżka to świetny skrót
- ocenił Norman.
- Chodzę nią na hryby.

Podeszli do zamkniętych drzwi chatki ogrodnika, zza których dobiegało głośne i regularne chrapanie Millarda.

- Millahrd spać - stwierdził Hippolyte. - Wchręcę dhrugim hrazem.
- Wykluczone! Skoro już tu jesteś, musimy koniecznie odebrać twój budzik. - Norman zastukał w drzwi. Chrapanie nie ustawało. Zastukał ponownie, głośniej.
- Ghm, ghm. Kto tam?
- Właściciel hotelu, Norman Paperman. Otwórz, Millardzie! Hippolyte chciałby odebrać swój budzik.
- Juś oftieram.

W środku rozległy się jakieś chroboty i stuki, po czym drzwi się otwarły i stanął w nich ziewający Millard, nagi do pasa, ubrany tylko w wystrzępione ogrodniczki. W rękę trzymał tani blaszany budzik bez szkiełka nad pogiętymi wskazówkami i poźółkłą tarczą.

- A gdzie Hippolyte? - ogrodnik podał Papermanowi budzik, nie okazując śladu zdziwienia czy złości.
- Jest tu ze mną. Przyszedł po swój budzik.

Norman wskazał gestem i spojrzeniem punkt obok siebie i aż jęknął ze zgrozy. W miejscu, gdzie przed chwilą stał Francuz, dostrzegł jedynie oświetloną księżycem murawę. Z pobliskich krzaków dobiegł za to wyraźny szelest.

- Hippolyte! - krzyknął

Paperman. - Hippolyte!

Hippolyte!... W porządku, Millardzie. Dziękuję.

Wcisnął ogrodnikowi zdezelowany budzik i pognał na Plażę Zakochanych.

Pierwszą niemal osobą, jaką dojrzał w wirze rozbawionych tancerzy, była pomocnica kuchenna Delia. Nietrudno ją było wypatrzyć dzięki nowemu biało-żółtemu kitlowi, w jakie Sheila przystroiła z okazji przyjęcia wszystkie podległe sobie dziewczęta.

- Delia! - Norman przecisnął się do niej przez tłum tańczących. Delia tańczyła z Lionelem Williamsem; głowę dziewczyny ozdobił jego wieniec z kwiatów hibiskusa. - Co ty wyprawiasz? Gdzie kapitan Woods?

- Nie mogłam znaleźć żadnego gapitana, plosiepan - odparła dziewczyna hamując śmiech i kręcąc biodrami niczym kołem zamachowym.

- Odejdź, Norm! - wtrącił się Lionel. - Delia jest moją dziewczyną. Nie ma mowy o odbijaniu. Co za bal, Święci Pańscy!

Paperman przeciskał się wzdłuż plaży przez rozhasaną ciżbę, aż w końcu dojrzał Woodsa. Kapitan siedział przy stoliku z Bobem Cohnem. Popijali piwo.

- Tu pan jest! - wysapał

Norman docisnąwszy się do nich.

- Co się stało? - zapytał wesoło Woods. - Wygląda pan na „złachanego”. Proszę siadać i pokrzepić się piwkiem.

Norman zaczął opowiadać, co zaszło. Zanim skończył, Woods, wciąż uśmiechnięty, lecz już czujny i skupiony, podniósł rękę i zwrócił się do Cohna.

- Jak dawno poszli chłopcy?

Dałbyś radę jeszcze ich dogonić?

- W każdym razie mogę

spróbować. - Cohn wstał i oddalił się biegiem.

- Słucham dalej - zwrócił się kapitan do Normana. - Proszę kontynuować. A więc gacie, słomkowy kapeluszek i maczeta, powiada pan? Swoją drogą, chciałbym to zobaczyć! A gdzie się obraca ów pański gruby przyjaciel, którego ten wariat ściga?

- Powinien być gdzieś tu, na plaży.

- W takim razie może należałoby najpierw jego znaleźć?

- Słusznie.

Przeciskając się przez ciżbę tańczących Norman obszedł kilka razy plażę. Kiedy wrócił do stolika Woodsa, zastał tam już Cohna i trzech jego kolegów z drużyny. Kapitan rozmawiał z podkomendnymi uderzając o dłoń uchwytem długiej latarki.

- Nie mogłem go nigdzie

znaleźć - wysapał Norman. - Nie ma go chyba na plaży. Nie ma go na tym balu.

Przynajmniej w tej chwili. Ale na pewno był!

- Prawdopodobnie wrócił do swojego pokoju i walnął się spać

- orzekł Woods. - Proszę to sprawdzić. Większość moich chłopców wróciła już niestety do bazy. Szkoda, bo działając w większym zespole szybko byśmy odnaleźli pańskiego stukniętego pracownika. To nieduża wysepka. W pięciu też go oczywiście potrafimy osaczyć, ale to potrwa już trochę dłużej.

- Ten człowiek jest

niebezpieczny - przypomniał Norman. - Był podejrzany o zabicie policjanta. Nie sądzi pan, że powinienem zawiadomić policję?

- Czy ja wiem? - zastanowił się Woods. - Jak na razie tutejsza policja ma z nim, by tak rzec, ujemny bilans bramek, prawda? Jesteśmy niezłe wyćwiczeni w unieszkodliwianiu uzbrojonych przeciwników, więc może pierwsi spróbujemy swoich sił?

- Jeśli macie panowie ochotę, byłbym wam niezmiernie zobowiązany. A czy nie powinienem przynajmniej ostrzec moich gości?

Woods zamyślił się nad tą kwestią. Cohn powiedział:

- Panie kapitanie, uważam, że prawdopodobieństwo, iż ktoś odniesie kontuzję, wzrośnie, jeśli ludzie rozbiegają się w panice opowiadając na prawo i lewo o buszującym na wyspie szaleńcu.

Kapitan skinieniem głowy przyznał mu rację i zwrócił się do Papermana:
- Zobaczmy najpierw, jak się nam powiedzie, dobrze?
Przypuszczam, że facet raczej nie będzie wychylał nosa z ciemności, więc nie powinien nikomu wyrządzić krzywdy. Z wyjątkiem, oczywiście, pańskiego grubego przyjaciela, jeśli tylko zdoła go odnaleźć. Więc niech pan najlepiej jego gdzieś ukryje. - Skinął na swoich podwładnych. - Dobra, każdy wie, co ma robić.
Ruszajcie!
Spotykamy się na schodach przed hotelem.
Żołnierze rozbiegli się we wszystkie strony.

2

Biegnać przez trawnik do hotelu Norman dojrzał Iris Tramm i gubernatora Sandersa; wychodzili właśnie z głównego pawilonu. Sanders obejmował swą towarzyszkę w pól, drugą ręką podtrzymując ją za łokieć. Kiedy postawiła stopę na najwyższym stopniu, nogi się pod nią ugięły i oboje stracili równowagę. Iris potknęła się, spadła ze schodów i rozciągnęła się jak długa na zwirowej ścieżce. Norman skoczył na pomoc. We dwóch z gubernatorem zdołali ją posadzić. Twarz miała podrapaną i okrwawioną. Podarta wybrudzona suknia podjechała do góry, odsłaniając otarte kolana. Iris przenosiła zmętniałe spojrzenie z jednego mężczyzny na drugiego; jej głowa chwiała się bezwładnie.

- A, Norman, ty stary Żydku!
Wiesz co, żal mi się Ciebie zrobiło. Tylko dlatego... nie wywróciłam tej p... budy do góry nogami... - wybełkotała i zasnęła w objęciach Sandersa. Gubernator wskazał na leżącą na trawie torebkę. - Proszę wyjąć klucz od jej domu.
Paperman podniósł torebkę.
- Zdoła ją pan tam zanieść? - zapytał.
- Nieraz to robiłem.

Sanders dźwignął Iris na nogi, zachwiał się pod ciężarem i niezgrabnie zarzucił ją sobie na ramię.
- Proszę mi tylko otworzyć drzwi. Cieszę się, że to się zdarzyło na dworze. Wie pan, ona naprawdę nie wywołała tam żadnego większego skandalu.

Norman otworzył kluczem drzwi „Różowego Domku”. Gubernator wtaszczył do środka nieprzytomną, dyszącą chrapliwie kobietę.
- Jej suknia jest i tak zniszczona - powiedział kładąc Iris na kanapie - więc nie widzę sensu, żeby ją zdejmować.

Podszedł do szafy, wyjął
zrobioną na drutach

czerwono-czarną narzutę, której Norman nigdy wcześniej nie widział, i nakrył nią
śpiącą. Potem przyniósł z łazienki zmoczony ręcznik i otarł jej twarz.

Wilczur skomlał, drapał pazurami w drzwi od ganku i szarpał się na łańcuchu.

- Może go spuścić? -

zapropozował Norman.

- Po co?

- Żeby jej pilnował. Dodatkowe zabezpieczenie. Kręci się tu dzisiaj sporo
pijanych typów.

Normanowi było pilno odszukać Atlasa, a nie chciał, żeby gubernator dowiedział
się o szalonym Francuzie - w każdym razie jeszcze nie teraz. Wciąż miał
nadzieję, że zdoła uniknąć paniki.

- Myślę, że to istotnie nie zaszkodzi. - Sanders wyszedł na ganek, a po chwili
do pokoju wpadł Ziółko i zaczął lizać swą panią po twarzy.

- Nie mamy tu już nic więcej do roboty - oświadczył gubernator.

- Będzie teraz spała jak zabita przez dobrych kilka godzin. Może się obudzić w
bardzo kiepskim stanie. Zawiadomi mnie pan?

- Przyślę do niej z samego rana żonę, a potem zadzwonię do pana.

Sanders popatrzył na
opuchniętą, podrapaną, ubrudzoną
rozmażanym makijażem twarz
kochanki, a potem utkwiał
niepokojąco przenikliwe
spojrzenie w Papermanie.

- Co pan sobie pomyślał, kiedy zobaczył pan tu Iris po raz pierwszy? Tylko
proszę powiedzieć mi prawdę. Jasnowłosa bogini na rajskiej wyspie?

- Coś w tym rodzaju.

Sanders uśmiechnął się smutno, przez chwilę przyglądał się śpiącej, po czym
odgarnął włosy z jej oczu.

- Myślę, że powinienem teraz wrócić do gości, żeby zapobiec plotkom. Pilnuj
pani, Ziółko!

Wychodząc z domku zobaczyli kapitana Woodsa, Cohna i dwóch innych pletwonurków,
którzy rozmawiali w pobliżu schodów do głównego pawilonu; czterej muskularni,
opaleni na brąz młodzi mężczyźni, niemal nadzy w tę upalną noc.

- Witam, panie kapitanie - zawołał gubernator. - Tak wcześnie opuszcza pan
przyjęcie?

**- Istotnie, proszę pana,
niebawem.**

- Słyszałem, że pańscy chłopcy wykonali dziś piękny grupowy skok. Gratuluję! -
pochwalił gubernator i wszedł do hotelu.

- Nasz ptaszek zniknął bez śladu - mruknął do Papermana kapitan Woods. -
Thompson nadal przeszukuje skały na północnym skraju wyspy. Znalazł pan już
swojego grubego przyjaciela?

- Właśnie idę na górę do jego pokoju.

- No cóż, jeśli ten żabojad nie potrafi lepiej niż my przecisnąć się przez
ciernisty gąszcz (jesteśmy w tym nienajgorsi, a on jest również nagi), pewnie
zaszył się w jakiejś mysiej dziurze albo włamał do któregoś z domków. Nie
chcieliśmy jednak przeszukiwać ich bez pańskiej zgody.

W krąg światła wbiegł przysadzisty pletwonurek, którego głowa miała kształt idealnej kuli, i rozłożył ręce, informując tym gestem, że jego poszukiwania zakończyły się niepowodzeniem.

- A zatem sprawa jasna -

orzekł Woods. - Nie pozostaje nam nic innego, jak zachować czujność. W każdym razie byłoby lepiej, gdyby udało się panu odnaleźć swojego przyjaciela.

- Jeśli znajduje się jeszcze wśród żywych - odparł ponuro Norman.

Woods uśmiechnął się.

- Naprawdę nie sądzę, by ten Francuz zdołał tak szybko go dopaść. Pytanie tylko...

- Chwileczkę! - Norman podniósł rękę i zaczął nasłuchiwać. Od strony hotelowego baru, a może tarasu tanecznego, dobiegały jakieś nieartykułowane krzyki i chrapliwe rżenie. Słów wprawdzie nie potrafił rozróżnić, ale dźwięk był tak charakterystyczny jak ryk łosia.

- Ło bo gro ror wo cha cha! - grzmiał głos, a potem ponad gwar przyjęcia wzbiło się już wyraźniejsze: - Con permissio!

- To Atlas! - zawołał Norman.

- Świetnie! - ucieszył się Woods - teraz przynajmniej wiemy, gdzie go szukać.

- Osobiście mało mnie to

cieszy - mruknął Norman, który poczuł jednocześnie wielką ulgę i jeszcze większe przerażenie. - Ten typ rujnuje moje przyjęcie, nie słyszycie? Jest pijany w sztok! Hippolyte z pewnością czai się gdzieś w pobliżu, więc prędzej czy później również go usłyszy. A co będzie jeśli w mokrych majtkach, wymachując maczetą, wpadnie między damy?

- No cóż, proszę pana, mamy tu świetny punkt obserwacyjny...

- Tak, tylko że ten obłąkaniec zna hotel jak własną kieszeń! A jeśli jakimś cudem się tam wślizgnie? Powstanie nieopisana panika! Goście Tilsonów powskakują do wody w strojach wieczorowych i wpław przedostaną się na drugi brzeg. Zostanę bankrutem, jak dwa a dwa cztery! Ten szalaniec jest zdolny dla czystej swawoli skrócić o głowę niektóre spośród uciekających z krzykiem osób. Wymieniłem jedynie parę potencjalnych zagrożeń...

Kapitan Woods położył mu rękę na ramieniu.

- Niech pan tylko zatrzyma tam swojego przyjaciela. Żabojad się tędy nie przemknie. Znajdziemy ptaszka!

- Uważam, że ten wrzask może go właśnie szybciej wywabić z kryjówki - rzekł Cohn. - Poproś swojego przyjaciela, żeby się darł jeszcze głośniejsze, Norm.

- Prośenie go o to jest absolutnie zbędne - oznajmił Norman.

- Nim się weźmiemy za

przeszukiwanie domków, chciałbym spytać, czy nie przychodzi panu do głowy jakaś dziura, gdzie mógłby się zaszyć? - zwrócił się kapitan Woods do Papermana. - Jakież miejsce jemu dobrze znane, a o którego istnieniu my nie wiemy?

Po chwili namysłu Norman przypomniał sobie niskie piwnice pod hotelem, gdzie pracowała pompa. Opisał je kapitanowi.

- To brzmi całkiem

prawdopodobnie. Bob, może byś tak na ochotnika przyjrzał się tej dziurze? -

Woods wręczył Cohnowi latarkę. - Masz krótką szyję, trudny cel dla maczety.

- Choć nieochotnie, zgłaszam się na ochotnika - zgodził się Cohn. - Gdzie się znajduje ta śmiertelna pułapka, Norman?

Paperman poprowadził go na tyły hotelu i wskazał piaszczystą skarpe.

- Tędy, za tą kratą.

Znajdziesz tam otwór w murze. Powodzenia, Bob. Tylko proszę cię, zachowaj szczególną ostrożność!

- Wiesz co, nie podoba mi się ta ojcowska troska. Ostatecznie i tak jestem dla Hazel za niski.

Zszedł w dół po skarpie i zniknął w ciemnościach.

Rykom

Atlasa, które dobiegały teraz wyraźnie z parkietu tanecznego, towarzyszyły oklaski. Przez korytarz kuchenny i hol Norman pobiegł na taras. Atlas tańczył z Sheilą merengue w kręgu śmiejących się i klaszczących gości. Miał teraz na sobie brązowy jedwabny smoking, błękitną „telewizyjną” koszulę wieczorową i czarne spodnie. W zębach trzymał ogromne cygaro, a na głowę nasadził czapę kucharską Sheili. Kucharka sprawiała wrażenie rozbawionej i rozdrażnionej zarazem, podrygiwała jednak z zapalem. Dwoje grubasów tworzyło parę prawdziwie monumentalną.

Norman znalazł Henny i panią Tilson w kręgu bijących brawo gości; chichotały obie jak najęte.

- Na litość boską, Henny, czemuś go nie powstrzymała? To straszne!

Letty Tilson, cała w dołeczkach i diamentach, w czarnej rozkloszowanej sukience do kolan, zawołała:

- Daj spokój, Norman, on jest taki zabawny!

- Próbowałaś kiedyś

powstrzymać Lestera? - zapytała ironicznie Henny.

Para tłuściochów przesunęła się w tańcu obok nich i Sheila wyróciła oczy na swojego szefa.

- Plosiepana, ta głuba osioba zmusiła mnie, ziebym tu siśla i tańczyła - usprawiedliwiła się. - Śteki siom już gotowe.

- Steki, fleki! Hej, Norm, ile masz dziś na liczniku, co? Cha, cha, cha! - ryknął Lester i oddalił się wirując jak fryga.

Muzyka ucichła wreszcie miłosiernie. Sheila zerwała czapę z łysiny partnera i uciekła, uśmiechając się wstydliwie i kiwnięciami głowy kwitując żarciki, jakie wykrzykiwali w jej stronę rozochoceni goście. Ociekający potem Atlas przytoczył się do Papermanów.

- Powiadam ci, Norm, to twoje eleganckie party rzeziło już ostatkiem sił - wysapał ochryple. - Spełniłem tylko swój obowiązek głównego współnika i podkręciłem trochę nastrój.

- Doskonale go pan podkręcił!

- pochwaliła pani Tilson. -

Jestem gospodynią tego przyjęcia, panie Atlas. Oboje z mężem jesteśmy panu bardzo wdzięczni. Jest pan tak pełen energii!

Atlas przybrał w jednej chwili postawę i maniery człowieka z towarzystwa; wyprostował się, uśmiechnął się przymilnie i przemówił aksamitnym głosem:

- Ach, jakże mi miło! Wiem, że nie zostałem zaproszony, przepraszam, uciekam zaraz na Plażę Zakochanych. Wpadłem tylko na minutkę, bo nie mogłem się oprzeć ciekawości.

- Ależ jest pan zaproszony!

Niech się pan nie waży nigdzie stąd uciekać!

Norman skwapliwie poparł panią Tilson.

- Oczywiście, Lester, zostań.

Konieczniesz! Przy naszym stoliku jest wolne miejsce. Chodź, za chwilę podadzą kolację.

- Och, to bardzo uprzejmie z państwa strony - rzekł Atlas.

Stolik Papermanów stał na obrzeżu równoległoboku, który tworzył wraz z pozostałymi stolikami na skraju tarasu jadalnego. Zanim Norman czy ktokolwiek inny poprosił go o zajęcie miejsca, Lester klapnął na krzesło plecami do opasującego taras niskiego murku. Od tej chwili Normana prześladowała jedna natrętna myśl: że Hippolyte może teraz z łatwością wdrapać się po chropowatej ścianie z polnych kamieni i celnym ciosem ukatrupić Atlas. Paperman uznał owo makabryczne wydarzenie nie tylko za prawdopodobne, ale za wręcz nieuniknioną następną atrakcję wieczoru. Lśniaca czerwona łysina Atlas stanowiła cel po prostu narzucający się oczom i łatwy do identyfikacji, na domiar złego Lester siedział tuż pod jedną z płonących pochodni. Norman wyobraził sobie wyjątkowo

plastycznie, jak Hippolyte wyłania się zza murku i jednym ciosem ostrej niczym brzytwa maczety przecina szyję Atlasa tak szybko i gładko, że głowa nie spada, spoczywa nadal na ramionach Lestera, nie pojawia się nawet kropla krwi, więc nikt się w pierwszej chwili nie domyśla, co zaszło. Zebrani konstatają jedynie, że Atlas nareszcie zamilkł.

Oglądając w wyobraźni te potworne sceny, Norman z roztargnieniem przyjmował dobiegające zewsząd komplementy. (Goście zachwycali się rozmaitością i ilością kwiatów dekorujących taras, pomysłowymi bilecikami wskazującymi miejsca przy stole dla poszczególnych osób - wymalował je akwarelami, zanim odpłynął w siną dal, maniak seksualny Church - gardeniami przy talerzach pań, ozdabiającymi stoły bukietami z orchidei; wyrażali też uznanie dla wielu innych upiększeń, o jakie Paperman zadbał.) Wezbrał w nim tak wielki niepokój, że gdy kelnerzy zaczęli wnosić na drewnianych tacach półmiski z sałatkami i stekami, obchodzić stoły i rozlewać burgunda, przeprosił towarzystwo i wyszedł na dwór, by porozmawiać z Woodsem.

Kapitan i jeden z jego żołnierzy stali w tym samym miejscu co poprzednio, u wejścia do głównego pawilonu.

- Witam - zawołał Woods na widok Papermana. - Sytuacja na razie bez zmian. Chłopcy ponownie przeczesują teren. Potem, jeśli da nam pan wolną rękę, przeszukamy domki. Jeśli nasz ptaszek dotychczas nie odpłynął, musi tu gdzieś być.

- Rozumiem więc, że Cohn powrócił żywy?

- Istotnie, umazany smarami,
ale żywy.

- Czy orientuje się pan, w którym miejscu siedzi Atlas?

- Jasne! - roześmiał się

Woods. - Gość niczego nie podejrzewa, prawda?

- Nikt niczego nie podejrzewa

- burknął z niespodziewaną irytacją Norman. - Bawią się w najlepsze, wydaje im się, że wszystko idzie jak po maśle, tymczasem ja lada moment doznam ataku serca lub wpadnę w histerię!

- Ależ panie Paperman,

dlaczego nie wróci pan do gości i też się nie zabawi? Jeśli nasz ptaszek się pokaże, capniemy go jak nic!

Norman wrócił na taras, zniósł cierpliwie utyskiwania Henny, że pozwolił wystygnąć wspaniałemu stekowi, po czym podjął bohaterski wysiłek zjedzenia go, udało mu się jednak przełknąć kilka ledwie kęsów. Wina nawet nie tknął. Od pojawienia się Hippolyte'a nie wypił ani kropli. Atlas jadł oczywiście i pił za trzech, przez cały czas dowcipkując głosem przypominającym syrenę przeciwmgielną.

Norman pomyślał, że nawet gdyby Hippolyte był ślepy, mógłby zadać morderczy cios kierując się tylko słuchem.

Do deseru podano różowego szampana. Chunky Collins wstał i trzymając kieliszek w jednej ręce, a srebrną łyżeczkę w drugiej, zaczął dyrygować gośćmi śpiewającymi „For He's a Jolly Good Fellow” dla Toma Tilsona. W połowie tej pieśni, wyrzaskiwanej dziarsko przez dwieście gardeł, Norman dostrzegł - w głębi tarasu, na granicy światła i ciemności - wetkniętą w drzwi głowę Cohna i jego brązową, kiwającą na niego rękę. Natychmiast zerwał się od stołu, ignorując pełen oburzenia okrzyk Henny:

- Norman, przestaniesz się wreszcie kręcić czy nie!? Natychmiast wracaj! Co cię znów opętało?

Cohn był cały umazany czarnym smarem i oblepiony piaskiem. Wyglądało jednak na to, że jest w przednim humorze.

- Zdaje się, że go mamy - wyszeptał. - Chował się przez cały czas pod pomostem na przystani. Ta twoja ciężarna telefonistka chciała wsiąść do gondoli, a wtedy on na nią wyskoczył. Omal ze strachu nie umarła. Narobiła wrzasku i gagatek dał nura w krzaki. Chłopaki go teraz gonia.

- A co z Esm~e? Nic się jej nie stało? - zaniepokoił się Norman. Odczuwał wyrzuty sumienia, nakłonił bowiem dziewczynę, obiecawszy jej dodatkową zapłatę, do dyżurowania przy centralce do północy, choć się wzbraniała, twierdząc, że jest śmiertelnie zmęczona.

- Chyba dostała ataku

histerii. Wciąż jeszcze jest na przystani. Kapitan radzi, żebyś rzucił na nią okiem. Żabojad jest w potrzasku. Zaszył się w krzakach między „Błękitnym Domkiem” a Plażą Zakochanych. Muszę tam wracać. Będziemy go wykurzać.

- Uważaj na siebie!

- Jasne!

Esm~e siedziała w gondoli i cicho jęczała. Virgil usiłował ją pocieszać. Dziewczyna ścisnęła rękami brzuch, oczy wychodziły jej z orbit.

- Ten faliat nicz na szobie nie miał! - wychlipała. - Tylko kapelusz. Skoczył na mnie s fielgom siablom, czałkiem goły! To faliat!

- Jak się czujesz, Esm~e? - zapytał Norman.

- Mam śtlaszne bóle, panie Pejpej - wykrztusiła kiwając się w przód i w tył. - Chwyciały mnie śtlaszne bóle!

- Zostań tu z nią, Virgil - nakazał Norman. - Na przyjęciu jest doktor Tracy Pullman. Zaraz go tu przyprowadzę.

- Dobsze, ploffę pana, foftanę.

- Sprowadzę ci zaraz lekarza,

Esm~e, samego dyrektora szpitala. Tylko się uspokój!

- Dziękuje, panie Pejpej - wyjęczała.

Norman wrócił biegiem do hotelu. Wypatrując lekarza przedzierał się przez taras jadalny i lawirował między kelnerami, którzy roznosili właśnie pieczone kraby. Henny zawołała do niego od stolika:

- Do licha ciężkiego, co się z tobą dzieje, Norm?

- Nic, nic...

- Więc czemu biegasz w tę i z powrotem jak kot z pęcherzem? Przyjęcie udało się znakomicie, więc siadaj na miłość Boską i baw się!

- Zaraz wracam.

- Norm, zarządzający hotelem powinien wyglądać na człowieka wyluzowanego - dodał od siebie Atlas. - Powinien sprawiać wrażenie, że panuje nad sytuacją. Stwarzasz niewłaściwy wizerunek samego siebie.

- Nic na to nie poradzę.

Wypatrzwszy doktora Pullmana przy stoliku pani Turnbull, Paperman podbiegł doń i nachylił mu się do ucha. Doktor odsunął nie dojeżdżoną porcję pieczonego kraba, rzucił na stół serwetkę i wstał z ciężkim westchnieniem niezadowolenia. Miał na sobie doskonale skrojony smoking; był wyższy i cięższy od swojego brata, senatora, lecz miał taką samą okrągłą ciemną twarz o przebiegłych oczkach.

- Służba nie druźba - mruknął.

- Państwo wybaczą.

Po drodze na przystań Norman poinformował go o sytuacji prawnej cudzoziemki Esm~e i z rozpaczliwą nadzieją zapytał, czy doktor nie mógłby dać dziewczynie czegoś, co opóźniłoby poród, aż do momentu gdy rankiem wsadzi ją w samolot na Nevis.

Pullman parsknął śmiechem.

- Panie, takiej pigułki
jeszcze nie wymyślono!
- Więc co zrobimy? Zawieziemy ją do szpitala? Tu przecież nie ma żadnych
niezbędnych instrumentów... Ja zapłacę...

Lekarz poklepał go po
ramieniu.

- Pozwoli pan, że najpierw rzucę na nią okiem.

Kiedy zbliżali się do przystani, podbiegł do Papermana pletwonurek Thompson, ten
z idealnie kulistą głową.

- Proszę pana, pan kapitan sądzi, że dopadliśmy ptaszka. Prosi, żeby pan zaraz
przyszedł. Może uda się panu przemówić mu do rozumu.

Norman pospieszył za młodym człowiekiem, ten zaś pobiegł truchtem przez trawnik
w stronę „Błękitnego Domku”, ostatniego z szeregu bliźniaczych pawiloników.
Woods i Cohn krążyli wokoło i przepatrywali krzaki.

- Witam! Nasz ptaszek jest tutaj - poinformował Woods. - Przez jakiś czas
siedział cicho, ale potem zaczął się ruszać, usłyszeliśmy go i otoczyliśmy. -
Kapitan skierował snop światła latarki w gąszcz krzaków; w jej blasku liście
sprawiały wrażenie tak zielonych, jakby były sztuczne. - Gdzieś tu się ukrywa...
Między tymi krzakami a brzegiem. Niech pan spróbuje z nim pogadać.

Norman zastanawiał się przez chwilę, po czym zawołał głośno:

- Hippolyte? Wyjdź,

przyjacielu, i wracaj do domu.

Nie doczekał się odpowiedzi.

- Nikt ci nie zrobi krzywdy.

Nie wezwał policji. Możesz po prostu wrócić do domu i o wszystkim zapomnieć.
Przyjdź tu jutro, a oddam ci budzik! - Urwał. Jedynymi dźwiękami, jakie mały
ciszę, były odgłosy hałaśliwej zabawy na Plaży Zakochanych oraz dalekie echo
orkiestry jazzowej, dolatujące z głównego pawilonu. Paperman porozumiał się
spojrzeniem z kapitanem Woodsem i krzyknął: - Hippolyte, oddam ci zegarek i
pieniądz, które ci jestem winien! Należy ci się, jak wiesz, około
siedemdziesięciu pięciu dolarów.

Odpowiedziało mu znowu
milczenie.

- Chyba jednak będziemy
musieli tam wejść - mruknął kapitan do Cohna.

- Czy jest pan pewien że on w ogóle tam jest? Może zszedł już w dół na skały -
rzekł Norman - i przekrada się za domkami w stronę głównego pawilonu? Hippolyte
zna na tej wyspie każdy kamień.

- Brzegu pilnuje Davis -
uspokoił go Cohn - a obok Davisa mysz się nie prześliznie.

- Fakt - przytaknął kapitan

Woods. - To co, Bob, zawiadamiamy chłopaków, że wchodzimy w krzaki? Krzyknę i
dam im hasło.

- Chwileczkę! Zadzwoń jednak na policję - oświadczył Norman.

- Nie widzę żadnego powodu, żeby pańscy ludzie się tak narażali.

- Jest chyba trochę za późno, żeby dzwonić na policję. Przerwie pan tylko
smaczny sen dyżurnemu - zauważył kapitan - a dla nas to świetna okazja do
odbycia nocnych manewrów. Ruszaj, Bob!

Cohn zniknął w krzakach bezgłośnie jak duch. Do uszu Normana nie docierał niemal
żaden szelest. Księżyc płonął na czystym czarnym niebie wysoko nad ich głowami,
przyćmiewając niemal wszystkie gwiazdy, prócz kilku najjaskrawszych. Przez
kontrast z dobiegającym z Plaży Zakochanych, stłumionym przez odległość gwarem,

cisza na trawniku sprawiała wrażenie wręcz cmentarnej. Po chwili przerwał ją kapitan Woods uderzwszy lekko latarką w otwartą dłoń.

- A zatem do dzieła! Pan niech zostanie tutaj, dobrze?

Wyprowadzimy go tędy i będzie pan mógł... A to co znowu, u licha?

W „Różowym Domku” po drugiej stronie trawnika zaczął się miotać, warczeć i wściekle ujadać Ziółko.

- Oto, gdzie jest teraz pański ptaszek, kapitanie! - krzyknął Norman. -

Prześliznął się jednak mimo pańskich straży!

Ostrzegałem, że okaże się do tego zdolny. Jest teraz w „Różowym Domku”!

Nie czekając na odpowiedź

kapitana, puścił się biegiem na

przełaj przez trawnik. Woods

wydał nowe rozkazy swoim

przetrzasającym krzaki

podopiecznym, po czym pognął za Papermanem, wyprzedził go i zniknął za „Różowym

Domkiem”, zamierzając najwyraźniej dotrzeć przez gęste zarośla do brzegu.

Tymczasem dogonił Normana Cohn. Wilczur wył i ujadał, a gdy zbliżyli się

bardziej do domku, usłyszeli, jak się miota i skacze na drzwi.

- Myślę, że mamy ptaszka - mruknął Bob. - Kapitan rozkazał, żebyśmy my obaj

zostali tu na trawniku.

Zza „Różowego Domku” dobiegały nawoływania pozostałych żołnierzy:

- Jest!... Widzę go!...

Uważaj, Fred, biegnie w twoją stronę! Nie, skręcił!... Tędy, Tommy, tędy!... Do brzegu...

Od zwróconej ku morzu strony domku doleciał nagle przeraźliwie głośny łoskot, jakby trzask łamanego drewna, a potem odgłos toczenia się czegoś drewnianego po kamieniach i brzęk żelaza. W tym samym momencie na oblany poświata księżyca trawnik wyskoczył z krzaków Hippolyte Lamartine. Poruszał się niezgrabnie, lecz szybko. Na widok Normana i płetwonurka znieruchomiał, wyszczerzył zęby i wydał odrażający, nieartykułowany ryk.

W parę sekund później zza węgła domu wypadł wilczur i pognął ku odwróconemu do niego tyłem Hippolyte'owi. Francuz usłyszał warczenie psa, odwrócił się szybko i podniósł maczetę. Ziółko skoczył mu do gardła, szalenie ciał straszliwie i pies z przeraźliwym skowytem padł na ziemię. Wykorzystując chwilę, gdy uwaga Hippolyte'a skoncentrowała się na zwierzęciu, Cohn rzucił się na niego, przywołując jednocześnie kolegów. Paperman, nie zastanawiając się nad tym, co robi, także runął na obłąkańca.

Bob złapał Hippolyte'a za rękę wzniesioną już do kolejnego ciosu, tymczasem Norman chwycił wariata w pól i wszyscy trzej zwałili się na mokrą od rosy, słodko pachnącą murawę.

Hippolyte wbił kolano w brzuch Normana, a ręką szarpnął go za ucho. Cuchnął jak zwierzę w zoo. Gwałtowna szamotanina na wilgotnej trawie trwała tylko chwilę. Nadbiegli koledzy Boba, przez moment po ziemi toczył się rozbrzmiewający głuchymi pomrukami kłęb ciał, po czym Norman został nagle uwolniony z uścisku szaleńca i czyjeś ręce pomogły mu wstać. Kapitan Woods chwycił zakrwawioną maczetę i we trzech podnieśli Hippolyte'a. Trzymali go krzepko, ale Francuz wcale nie stawał oporu. Zwiesił głowę i Norman mógł dostrzec, po raz pierwszy, kolistą łysinę na jego ciemieniu.

Wilczur kręcił się w kółko skamląc żałośnie z bólu, po czym ze skowytem padł na trawę i zaczął wylizywać futro. Kapitan podszedł do niego ostrożnie.

- Paskudne cięcie - stwierdził i poklepał psa po głowie. Krew tryskała z rany na lewym udzie Ziółka i spływała po nodze. - Trzeba to szybko zaszyć. Red, nie wiesz, gdzie mieszka ten weterynarz? Red ma psa - wyjaśnił Papermanowi.

Wysoki młodzieniec z ogoloną głową, który wraz z kolegami trzymał Hippolyte'a, odparł:

- Niedaleko mlecznej farmy,

panie kapitanie. Bieda tylko w tym, że facet nie ma telefonu.

- Czy to nie pies pani Tramm?

- zapytał Woods, po czym

przyklęknął i zaczął głaskać zwieszony łeb wilczura.

- Myślę, że powinno się ją zawiadomić. Możemy go zawieźć do weterynarza nasza ciężarówką, ale...

- Ja ją zawiadomię -

zaofiarował się szybko Norman. - Proszę, ruszajcie panowie od razu i zawieźcie go do weterynarza. Pani Tramm jest gdzieś na przyjęciu i może chwilę potrwać, zanim ją odnajdę. Jedźcie, jestem pewien, że będzie panom wdzięczna!

- Dobra. Myślę, że przy okazji odstawimy do fortu naszego przyjaciela - dodał kapitan biorąc się pod boki i spoglądając z drwiącym uśmiechem na Hippolyte'a. - A potem ogłoszę zakończenie tych ćwiczeń.

- Odda mi pan mój budzik, panie szefie? - zapytał Hippolyte bez śladu złości, wręcz z dobrodusznym uśmiechem, który jak zwykle okropnie wykrzywił mu twarz. Na rannego wilczura nawet nie spojrział.

- Naprawdę zależy ci na tym zegarku?

- To mój zegarek.

- W porządku.

Norman obszedł jednak najpierw od tyłu „Różowy Domek” i wszedł do środka przez moskitierę od strony ganku, którą wilczur wyważył. Iris leżała na kanapie w takiej pozycji, w jakiej ją zostawili. Oddychała ciężko, a jej opuchnięta, podrapana twarz lśniła od potu. Wściekle miotanie się wilczura

najwyraźniej jej nie obudziło. Paperman otarł jej twarz ręcznikiem, którym uprzednio posłużył się Sanders, i pospieszył do szopy ogrodnika. Łomotaniem w drzwi obudził Millarda, a ten wyniósł budzik nie okazując najmniejszych objawów irytacji.

Hippolyte przycupnął na rufie gondoli między kapitanem Woodsem a jednym z płetwonurków.

Żołnierz z ogoloną do gołej skóry głową siedział na dziobie z Ziółkiem na kolanach; głaskał psa i coś do niego szeptał.

Wilczur, którego sierść zlepiła krew, leżał z wywieszonym jęzorem, zrezygnowany i posmutniały. Cohn i Thompson, płetwonurek z głową w kształcie idealnej kuli, stali na pomoście. Norman zapytał Virgila:

- Co się stało z Esm~e? Gdzie doktor?

Virgil oświadczył, lejąc kaskady głoski „f”, że doktor Pullman nakazał mu natychmiast odesłać Esm~e taksówką do szpitala, a sam wrócił na przyjęcie. Esm~e jest teraz z pewnością w szpitalu.

- Efme jeft w złym ftanie - dodał od siebie Virgil. - Jeft ftlafnie przeflafona.

Norman wręczył budzik zubożniałemu na cały świat Francuzowi.

- Byłeś dziś bardzo

niegrzeczny, wiesz?

- Hrozbołała mnie głowa - wyjaśnił Hippolyte, zrobiwszy tajemniczego zęza.

- Sądzę, że nic tu już po nas

- stwierdził kapitan Woods. - Bob i Tommy zostaną jeszcze i wypiją kilka darmowych piw, jeśli pan pozwoli, a my się zmywamy.

- Czy pozwolę? - wykrzyknął Norman. - Panie kapitanie, chłopcy z pańskiej drużyny mają odtąd w moim barze stały darmowy abonament. Mówię zupełnie serio!

Woods roześmiał się serdecznie.

- Pan nie zdaje sobie sprawy, co pan proponuje, panie Paperman. Nie słyszałem pańskiej oferty. Smakowało nam piwo i steki, uważam, że jesteśmy co najmniej kwita. Pięknie dziękujemy za gościnę.

- Jak się mam panom odwdzińczyć?

- Za co? Mieliśmy udane

manewry. Chłopcy spisali się na medal, jak sędzę... pan również, pozwolę sobie zauważyć. Ruszaj, Virgil!

Gondola odbiła od przystani. Leżący na kolanach pletwonurka wilczur dźwignął łeb i ziając ciężko, spojrział w oczy Normana. Żołnierz nie przestawał go głąskać.

- Biedne psisko! Powiedziałaś Iris? - zapytał Cohn.

- Nie mogłem jej znaleźć. Ale powiem.

- Chyba wrócę na ten ubaw na plaży. Hazel gotowa sobie pomyśleć, że się na nią pogniewałem. Idziesz, Tommy? Dzięki, Norm!

- A za co znów ty mi, u licha, dziękujesz?

- W całym dzisiejszym

zamieszaniu był tak naprawdę tylko jeden trudny moment - wyjaśnił Cohn - kiedy ten wariat wyskoczył na nas z krzaków. Przyszedłeś mi wtedy z pomocą. Jeśli wiadomość o tym się rozejdzie, wyjdiesz na niesamowitego twardziela, Norm! Obaj pletwonurkowie oddalili się długim elastycznym krokiem, który wyglądał na ich normalny chód.

Norman spotkał doktora

Pullmana w holu; lekarz odkładał właśnie słuchawkę telefonu w recepcji.

- Oho, zjawia się pan w samą porę! Moje gratulacje! - zawołał

Pullman. - Właśnie się dowiedziałem. Przywieziono ją w ostatnim dosłownie momencie. Urodziła na podłodze w izbie przyjęć. Zdrowy, udany chłopaczek. Proszę przyjechać jutro rano do szpitala, panie Paperman, wypiszę panu akt urodzenia. O dowolnej porze, byle po dziewiątej...

- Jak to „mnie”, doktorze?

Przecież ja nie jestem ojcem tego dziecka!

- Wierzę panu na słowo, ale ten brzdąc jest obecnie obywatelem amerykańskim, a jego matka pańską pracownicą, więc musi pan wypełnić rutynowe formalności. -

Doktor Pullman uśmiechnął się do Normana porozumiewawczo i puścił do niego oko.

- Prawdę mówiąc, powinien pan rozdać gościom po cygarze. Ostatecznie powiększyła się panu rodzina. A przy okazji, to najlepszy bal, w jakim dotąd uczestniczyłem na tej wyspie. Pan ma prawdziwy talent!

Odrętwiały i otumaniony Paperman wrócił na przyjęcie. Nie mieściło mu się w głowie, że najgorsze minęło, katastrofa nie nastąpiła i już zapewne nie nastąpi. Nie mógł uwierzyć, że sprostął tej trudnej próbie, jaką było przyjęcie Tilsonów, że odniósł zwycięstwo nad podstępna, złośliwą Kinją. Taras jadalny z wolna pustoszał, choć niektórzy goście raczyli się jeszcze kawą i likierami. Henny siedziała samotnie przy stoliku ze złą, nachmurzoną miną.

- Czołem, kotku! - zawołała na widok męża. - Postanowiłam, że będę tu siedziała tak długo, aż sobie o mnie przypominisz, choćby do wschodu słońca. Gdzieś ty się do cholery podziewał? Zabawiałeś się z jakąś dziwą na tym przyjęciu na plaży?

Norman opadł na krzesło.

- Przepraszam, kochanie, ale było parę drobiazgów, których musiałem osobiście dopilnować. A gdzie się podział Lester?

- Poszedł się uchlać,

oczywiście. Parę drobiazgów! Jakich znowu drobiazgów, do diabła? Wszystko szło jak z płatka, tylko ty się miotałeś na wszystkie strony jak wariat! W życiu nie byłam bardziej wkurzona!

- Naprawdę dobrze poszło?

Mówisz serio? Nikt nie miał żadnych zastrzeżeń?

- A jakie mieliby mieć

zastrzeżenia? Że pies Iris parę razy zaszczeakał? Słuchaj, dlaczego ty masz taką wymiętą i mokrą marynarkę? Co ty, na miłość Boską, robiłeś?

Ktoś dotknął ramienia Normana.

Stali za nim Letty i Tom

Tilsonowie. Pan Tilson wyciągnął do niego rękę, więc Norman podniósł się z wysiłkiem i uściskał ją.

- Dziękuję, Paperman -

powiedział pan Tilson, patrząc mu głęboko w oczy. - Dziękuję za to niezwykle udane przyjęcie. Było wspaniale! Żadnych komplikacji, żadnych wpadek. I to gdzie? Na Kinji! Jestem pod wrażeniem tego niebywałego sukcesu, przysięgam panu.

- Wszyscy jesteśmy pod

wrażeniem - dodała Letty. - Jeśli chce pan wiedzieć, pan osobiście i klub „Rafa Mew” zostaliście niejako przyjęci do rodziny. Wśród osób, które się liczą na tej wyspie, nie ma ani jednej, która by nie uważała, że jest pan wybitnym organizatorem.

- Cieszę się, niezmiernie się cieszę. Przyjęcie się, oczywiście, jeszcze nie skończyło. Muzyka będzie dalej grała, bary będą otwarte do trzeciej nad ranem... Potem podamy ostatecznie przekąski...

- Wiem o tym. - Tom Tilson ścisnął dłoń Papermana i bacznie mu się przyglądał. - Powiedz mi, Norman, czy to było naprawdę aż takie trudne? Wyglądasz mi na lekko zmęczonego.

Fakt, że pan Tilson po raz pierwszy zwrócił się do niego po imieniu, nie uszedł uwagi Normana.

Nie od razu udzielił odpowiedzi.

- No cóż, nie przeczę, Tom.

Trochę trzeba się było sprężyć. Ale tak to już jest w tym interesie.

- Posłuchaj, przyjacielu - rzekł Tilson - ważne jest to, że w końcu dałeś łupnia Karaibom. Odtąd będą ci służyły na dwóch łapkach. Jesteś tu ustawiony, Norm!

Jeszcze raz uściskał dłoń Papermana, uśmiechnął się i odszedł.

- Chodź, Henny - powiedział Norman do żony. - Przykro mi, że cię tak zaniedbałem. To się już nie powtórzy. Zabawmy się trochę i my. Chodź, zatańczymy!

Rozdział siedemnasty

Karnawał taki słodki jest

Kiedy Paperman zszedł nazajutrz na dół, na tarasie jadalnym siedziało przy śniadaniu kilku osowiałych gości, a paru innych, grzejąc już stołki w barze, zaczynało dzień od najpopularniejszego lekarstwa na kaca. Obudził Normana telefon od Cohna. Ziółko miał się dobrze i weterynarz zapewniał, że noga wilczura się wygoi, choć zostanie mu szpetna blizna. Bob usiłował dodzwonić się wcześniej do Iris, ale nie podnosiła słuchawki.

W holu pracownicy z zakładu pogrzebowego ustawiali w stosy i zabierali krzesła. Pokojówki zamiatały podłogi, ustawiały meble, a kelnerki zdejmowały ze ścian girlandy i wieńce zwiędłych kwiatów. Ranek wstał piękny, nawet jak na Amerigo. Na niebie lśnił najczystszy, nieskazitelny błękit. Pachnący wiaterek ledwo marszczył powierzchnię morza, liżącego plażę drobnymi szemrzącymi falami. Słońce świeciło oślepiająco i piekło niemiłosiernie. Kiedy Norman wyszedł z cienia, ciepłe promienie podziały na jego zmęczone ciało niczym balsam. W nocy spał niewiele, podniecony swym nieoczekiwanym sukcesem. Doszedł do wniosku, że dostatecznie długa kąpiel słoneczna, parę piw, a potem pływanie to będzie właściwy program przygotowujący go do spotkania z rozpoczynającym się dniem. Wrócił do pokoju i wciągnął kąpielówki, poruszając się na palcach, żeby nie zbudzić Henny. Wróciwszy do baru zdziwił się, zastał tam bowiem Hassima w towarzystwie jakiegoś barczystego, ubranego na biało marynarza o blond kędziorach i niewinnie bezmyślnej rumianej gębie, który wyglądał na niecałe dziewiętnaście lat.

- Norman, ty cudotwórco! - pisał Turek. - To było najlepsze przyjęcie, w jakim brałem kiedykolwiek udział! Co za szyk! Co za wykonanie! Będzie się o nim mówiło na wyspie przez lata! Poznaj mojego przyjaciela Hennessy'ego, kotku. Hennessy zszedł na ląd z tej łodzi podwodnej, która dziś rano zawinęła do portu. Zabawią u nas tylko do południa. Kupił ode mnie boski zegarek dla swojej mamy, więc w rewanżu zaprosiłem go na piwo. Pokaż panu Papermanowi to cudeńko, Hennessy.

Marynarz z zawstydzeniem, ale i dumą wy dobył pudełko w opakowaniu sklepu „Mały Konstantynopol” i pokazał Normanowi wysadzany diamentami francuski złoty zegareczek.

- Czyż nie jest boski? - zachwycił się Hassim.

- Drogi chłopcze, czy aby na pewno może pan sobie pozwolić na taki drogi prezent? - zaniepokoił się Paperman.

Marynarz odstawił pudełeczko i oblał się rumieńcem.

- Bo widzi pan, proszę pana, to jest tak. Koledzy grają w karty, a ja nie biorę kart do rąk. Nie wyrzucam też pieniędzy na niektóre inne przyjemności, tak jak oni. Moja mama jest wszystkim, co mam, więc kupowanie jej prezentów sprawia mi wielką frajdę, proszę pana.

- Czy ten dzieciak nie jest rozkoszny? - zamruczał Hassim. - Tylko południowcy potrafią być tacy uczuciowi. Prawdziwy džentelmen!

Norman szybko się zorientował, że Hassim nie usiłuje uwieść młodego marynarzyka. Ten naiwny dzieciuch osłupiałby, gdyby Turek złożył mu jedną ze swych osobliwych propozycji, i w najlepszym razie parsknął mu śmiechem w nos, a w najgorszym pozbawił go przytomności uderzeniem pięści. Hassim przez jakąś godzinę napawał się po prostu z rozrzewnieniem słoneczną obecnością

Hennessy'ego, niczym samotny stary brzydal, który zabiera na kolację piękną dziewczynę, nie mając żadnej nadziei, że pójdzie z nią do łóżka; podobnie zresztą, jak to czynił Lester Atlas zabawiając nowojorskie aktoreczki, które znosiły jego obcesowość za cenę kolacji w „Colony” czy hotelu „Four Seasons”. Norman nie wpadł bynajmniej w zachwyt, ujrzawszy Hassima w klubie o tej wczesnej porze. Turek był taką okropną, hałaśliwą starą ciotą! Barwny i egzotyczny, ze swoim kwaczącym głosem i bezpośrednimi manierami przydawał hotelowi karaibskiego kolorytu, to fakt, ale bywał też bardzo męczący. Paperman musiał się jednak pogodzić z jego obecnością. Zostawił tłustego pedała w towarzystwie młodziutkiego marynarza, a sam zszedł na plażę, aby się smażyć na słońcu i orzeźwić piwem.

Gdy po jakiejś półgodzinie wylegiwania się na leżaku ociekając potem zapadał już w słodką drzemkę, wyrwał go z tego błogostanu krzyk nowego barmana:

- Pane Pejpelmun, panie Pejpelmun! Szisła policzka. Chcą pana szesuchać na okoliczność żesłej noczi.

Obok barmana stał u szczytu schodów prowadzących na plażę świeżo upieczony policjant o nazwisku Parris. Na jego mundurze khaki lśniły złociste galony, a wąską talię opinał pas z pistoletami i ładownicą.

- Witam, panie Parris! Mam wejść tam na górę do pana?

- Gdyby pan był tak toby, panie Paperman. Mamy dziś sztraszny upał.
- Już idę.

Kiedy Norman do niego podszedł, policjant oznajmił:

- Ten Franczus wciąż szedzi w forcie. Komentant mnie pszyszłał, żebym wzoł od pana pełne żeżnanie.
- Doskonale. Napije się pan czegoś?
- Właśnie zamówiłem puszkę „Seven_Up”, bardzo dziękuję.
- A ja poproszę o jeszcze jedno piwo, Cecil.

Norman znał i lubił Parrisa, wysokiego, kościstego, trochę nerwowego Kinjanina, który zaledwie przed kilkoma laty skończył szkołę średnią i nosił wąsik

przypominający szczoteczkę do zębów, co zapewne sprawiało, że wyglądał na młodszego niż naprawdę był. Parris traktował niezwykle poważnie własną osobę oraz mundur, który ją okrywał. Skrupulatny i uczynny, należał do najsympatyczniejszych kinjańskich gliniarzy, szybciej niż większość jego kolegów odbierał telefon, a korki uliczne likwidował bez zbędnych krzyków i gróźb. Teraz wydobyl wielki notes w skórzanej oprawie i zaczął spisywać zeznanie Papermana. Wielokrotnie prosił Normana o krótkie przerwy, które ułatwiały mu wierny zapis. Prawie nie tknął swojego napoju bezalkoholowego. Sprawiał wrażenie trochę rozproszonego i bardziej niż zwykle nerwowego; co jakiś czas spoglądał na Hassima i marynarza, którzy kończyli właśnie trzecią czy czwartą kolejkę. Marynarz miał zarumienioną twarz i zachowywał się dosyć hałaśliwie, a Hassim zgrywał się na potęgę. Nagle Parris zatrzasnął swój notatnik.

- Przepraszam na chwilę, prozę pana - powiedział i podszedł do ich stolika.

Norman wiedział doskonale o istnieniu niepisanego prawa, które chroniło na Kinji marynarzy przed zakusami

pedałów. Ponieważ jednak rzucało się w oczy, że Hassim ma wobec Hennessy'ego zupełnie niewinne zamiary, nawet przez moment nie pomyślał o tym prawie i sądził, że nie przyszło ono nawet do głowy tokującemu Turkowi. Ostatecznie chodziło o zwykłego porannego drinka!

Parris odezwał się do nich przyciszonym głosem i Norman dostrzegł wyraz konsternacji na obu twarzach. Hassim powiedział coś łagodzącego i wesołego. Marynarz również odpowiedział policjantowi żartem. Parris podniósł głos. Marynarz odburknął coś opryskliwie i policjant chwycił go za ramię, a marynarz stracił z białego munduru jego ciemną wąską rękę z taką siłą, że Parris aż się zatoczył.

- Hola, panie władzo, z łapami precz! Wypiję butelkę piwa, z kim mi się podoba. Ten pan jest moim przyjacielem, więc spadaj pan! Nikomu nie przeszkadzamy.

Parris odtoczył się jeszcze o parę kroków do tyłu i wyszarpnął z pochwy wielki pistolet.

- Pan sztawił opór władzy! - wykrzyknął. - Żdaje pan szobie z tego szprawę?

Marynarz rozwarł szeroko okrągłe niebieskie oczy, wstał i zrobił parę chwiejnych kroków w stronę policjanta.

- Hej, panie władzo, tylko spokojnie, dobra? Ta zabaweczka to spluwa. Założę się, że naładowana prawdziwymi kulkami. Czymś takim można zrobić człowiekowi krzywdę, mówię panu.

- Pan prozę z daleka ode mnie!

Pójcze pan ze mną do fortu - zawołał piskliwie Parris, wymachując pistoletem. Norman był zbyt zaskoczony tym zdarzeniem, by interweniować, ale Hassim zerwał się z krzesła i złapał Hennessy'ego za ramię, właśnie w chwili, gdy chłopak, przyjaźnie uśmiechnięty, ruszał w stronę policjanta. Parris cofnął się kilka kroków i dwukrotnie wystrzelił. Oba wystrzały zabrzmiały w otwartej przestrzeni baru cienko i fałszywie. Normana doleciał swąd prochu. Marynarzowi nic się nie stało, natomiast Hassim przycisnął rękę do piersi; przerażenie i ból odbiły się na jego twarzy.

- Och, Parris, ty głupcze!

Dlaczegoś ty to zrobił? To takie absurdalne... absolutnie absurdalne.

Powiedziawszy to, runął na twarz. Norman doskoczył do niego. Hassim przewrócił się na wznak i skrzywił głowę w stronę Papermana.

- Wiesz Norman, kochanie, nie mogę w to wprost uwierzyć! - wyszeptał ze skrzywioną miną i zakaszał. - Po prostu nie mogę w to uwierzyć. To jest zbyt głupie, a do tego...

Więcej już nic nie powiedział, bo wyzionął ducha. Oczy mu zgasły, stęknął i przestał oddychać, a szczeka mu opadła. Norman miał przed sobą nieboszczyka, co do tego nie mogło być wątpliwości. Jego pierś znieruchomiała, podobnie jak cała

postać, a otwarte oczy spoglądały w jeden punkt. Na jasnofiołkowej koszuli rosła ciemna plama.

Parris upuścił pistolet na podłogę, upadł na krzesło, zakrył dłońmi twarz i rozsłochał się.

Marynarz stał na szeroko rozstawionych nogach, jakby się znajdował na rozchybotanym pokładzie, spoglądał to na trupa, to na płaczącego policjanta, a wyraz jego kwadratowej twarzy kojarzył się bardziej ze zwierzęcym niż ludzkim zdziwieniem. Norman niezwłocznie zadzwonił na policję. Poruszony sierżant dyżurny obiecał natychmiast przyjechać i przywieźć ze sobą komendanta policji, jeśli tylko zdoła go znaleźć. Kłopot polegał na tym, oświadczył Papermanowi, że na ulicy Księcia Walii zaczęła się już karnawałowa parada i komendant pojechał tam wozem patrolowym, żeby osobiście doglądać porządku.

Nie pozostawało nic innego, jak czekać. Parris wziął się w końcu w garść i zabronił wszystkim dotykać ciała Hassima, gdyż policja - przypomniał - musi odtworzyć dokładnie przebieg wypadku. Zapisał nazwiska kilku osób, które siedziały w barze w posępnym otępieniu, kazał im pozostać na miejscach i zamknął drzwi do holu.

Śmierć Hassima nie wydała się Normanowi ani tragiczna, ani poważna - była jakby niezbyt realna. Oto kupiec leżał na czerwonych kafelkach, jego ostatni koktajl z whisky z cytryną stał nie dopity na stole, owiewała go morska bryza, za tło miał piękną scenę tropikalną, a ośmiu bożonarodzeniowych urlopowiczów, osłupiałych świadków mimo woli, siedziało nad jego zwłokami.

Normanowi przebiegały przez głowę myśli poszarpane i głupie - jak ten wypadek odbije się na frekwencji w czasie lunchu? Czy nie udałoby się stworzyć pozorów, że Hassim miał wylew? Jak daleko słychać było huk wystrzałów? Wydały mu się one niewiele głośniejsze od wybuchów dwóch kapiszonów.

W kwadrans po telefonie Normana zjawił się komendant policji, jaśniejac jak słońce złotymi galonami, w towarzystwie trzech innych uzbrojonych w pistolety gliniarzy w zwyczajowych pasach z nabojami. Norman znał komendanta policji jako jowialnego poczcivca, lubiącego poflirtować na ulicy, teraz miał przed sobą skupionego na swoim zadaniu zawodowca.

Komendant przesłuchiwał po kolei świadków, wyrobił sobie prędko pogląd na przebieg wydarzeń, po czym zabrał się w pośpiechu za obfotografowywanie miejsca zdarzenia i dokonywanie pomiarów. Przybyli dwaj pracownicy z domu pogrzebowego z podłużnym brązowym koszem - ci sami, którzy przed godziną usuwali krzesła - i stojąc pod ścianą czekali na pozwolenie odwiezienia Hassima do jego ostatniej siedziby. Normalną procedurą na Amerigo, nie dotyczącą jedynie osób mających rodzinne groby na jednym ze starych cmentarzy, było wrzucanie zwłok do morza w obciążonych balastem workach. Zbliżało się południe i goście zaczęli się dobijać do zamkniętych drzwi baru. Kilku próbowało dostać się od tyłu, od strony otwartego tarasu, ale komendant postawił tam jednego ze swoich ludzi, który nikogo nie wpuszczał. W pewnej chwili rozległo się wyjątkowo natarczywe łomotanie do drzwi, i jeden z

policjantów podszedł do komendanta, szepnął mu coś na ucho, a ten skinął głową, po czym przywołał Papermana.

- Hem, ploszepana, ta pani, która tu mnieszka, pani Tramm... hem, ta sijasiółka pana gubelnatola, wie pan... kce się dowiedzieć, co siem stało z jej psiem. Nie może go nikcie znaleźć i jest balco signębiona.

- Czy mógłbym wyjść i zamienić z nią dwa słowa?

Komendant skinął przyzwalająco głową.

W holu zgromadził się poszeptujący niespokojnie tłumek. Ku Papermanowi pobiegły zewsząd pytające spojrzenia. Lionel, który stał tuż przy drzwiach, złapał go za guzik.

- Co się stało, Norm? Jedni mówią, że wywiązała się tu jakaś strzelanina, inni, że kogoś zabito. Ludzie chcą sobie walnąć klina, rozumiesz. Zachodzą w głowę, co to za chryja z glinami i w ogóle.

- Lionel, powiedz im, że bar zostanie otwarty za jakieś dziesięć minut. Mamy mały kłopot. Nic poważnego.

Norman wyrwał się Lionelowi, dostrzegł bowiem Iris, która, stojąc w drzwiach, przyglądała się uważnie trawnikowi.

- Iris, ja wiem, gdzie jest Ziółko. Nie ma powodu do obaw! - powiedział podszedłszy do niej.

- Naprawdę? Bogu dzięki!

Wyłamał moskitierę na ganku i prysnął. A przysięgłabym, że przywiązałam drania na łańcuchu!

Inna rzecz, że byłam wczoraj w

pestkę pijana! - Kiedy odwróciła

się do Normana, przeraził go

widok jej zniszczonej, nie

umalowanej twarzy i wyraz

przerażenia w przekrwionych,

głęboko zapadniętych,

podkrążonych

oczach. Szara workowata podomka potęgowała tylko przykre wrażenie. - Gdzie on jest? Nic mu się nie stało?

- Nic. Wylize się z tego.

Zdał jej pospiesznie relację z przebiegu nocnych wypadków, zaczawszy od najświeższego, uspokajającego komunikatu Cohna. Twarz Iris wykrzywiła się boleśnie, kiedy powiedział o zranieniu psa. Wypytała Normana o szczegóły dotyczące doznanych przez wilczura obrażeń. Paperman starał się je w maksymalnym stopniu zbagatelizować.

- Muszę więc zaraz jechać i przywieźć go do domu! - oświadczyła. - Doktor Keller jest miły, Ziółko go nawet lubi, ale biedaczysko musi się czuć strasznie smutny i osamotniony!

Zaczęła zbiegać po schodach, zatrzymała się jednak w połowie drogi.

Paperman ocenił, że jest już prawie trzeźwa, szalenie tylko zdenerwowana.

Wyłamane drzwi i zniknięcie psa zupełnie wytraciły ją z równowagi. Wyglądało na to, że nawet nie zauważyła zamieszania w barze ani gromadzącego się w holu tłumu.

- Norman, jaki dziś mamy dzień? Czwartek czy piątek?

- Piątek, Iris.

- Cholerny świat! Więc zaczęła się już parada! Za diabła nie wyprowadzę teraz

auta z garażu! Stoi jak na złość na ulicy Księcia Walii. Będziesz mi musiał

pożyczyć rovera. - Podbiegła kilka stopni w górę i wyciągnęła drżącą rękę. - Daj mi kluczyki, błagam!

- Poczekaj chwilkę, a sam cię zawiozę.

- Ale kiedy ty będziesz wolny?

Zdaje się, że masz w barze jakiegoś turystę z atakiem serca czy inną cholerną przeszkodę.

Do Normana podszedł w tym momencie policjant i oznajmił:

- Pan komendant chce sz panem móścić, prosze pana. Chce, żeby mu pan coś podpisał.

- Już idę.

Iris poszła za Normanem do recepcji.

- Jak zdołasz się przecisnąć przez paradę? - zapytał. - Nabrzeże, o ile wiem, jest odcięte przez trybunę sędziowską. Lepiej idź pieszo na Tylną i tam złap taksówkę.

- Mowy nie ma! Jakoś sobie poradzę. Za trybuną jest zwykle wolny przesmyk. Nieraz już z niego korzystałam. Wszyscy taksjary będą się gapili na paradę. Żaden nie zgodzi się mnie zawieźć taki szmat drogi, aż za miasto, choćbym mu obiecała majątek lub przyrzekła, że mu się oddam. Błagam cię, daj mi kluczyki, Norm! Czuję się świetnie i muszę odebrać moją psinę.

Spełnił jej prośbę, a wtedy odetchnęła z ulgą.

- Czy bardzo wczoraj w nocy rozrabiałam, kotku? Kompletnie nic nie pamiętam. Jedyne to, że się ubrałam i przyszłam tu z zamiarem rozpieprzenia tego lokalu. Nie pytaj mnie tylko, skąd taki zamiar. Kiedy się dziś rano obudziłam, zobaczyłam, że wciąż mam na sobie wieczorową suknię, tyle że brudną jak święta ziemia. Co się stało? Czy kogoś zgwałciłam? Ktoś mnie zgwałcił?

- Zachowywałaś się całkiem przyzwoicie, Iris. Niestety, zasnęłaś i straciłaś kolację. Położyliśmy cię z gubernatorem do łóżka. Wcześniej potknęłaś się i upadłaś na zwirową alejkę. W ogólnie nie narozrabiałaś.

- Bogu dzięki! A jak się udało przyjęcie?

- Wszyscy twierdzą, że nie pamiętają równie udanego.

Uśmiechnęła się radośnie i cmoknęła Papermana w policzek.

- Ogromnie się cieszę, Norm!

Słuchaj, nie mów o nas Henny, zapomnijmy o tym, co się stało, muszę ci tylko wyznać, że chyba się w tobie zadurzyłam.

Tymczasem zamierzam odebrać moje psiatko i pierwszym samolotem wracam do San Diego. Mam dość Karaibów. Postanowione!

- To bardzo mądrze, Iris.

Będzie nam ciebie brakowało, ale uważam, że podjęłaś słuszną decyzję.

- Ale pozostaniemy w

kontakcie, dobrze? Będę ciekawa, jak sobie tu z Henny radzicie... I mam jeszcze jedną prośbę. Chciałabym, żebyśmy do siebie pisywali. Wystarczy kartka kilka razy w roku... Powiedzmy na Jom Kipur i na Wielkanoc, co ty na to? Pisujemy do siebie, aż zmienimy się w parę posiwiałych staruszków. A ile razy usłyszysz nagranie Maxine Sullivan, bądź tak dobry i pomyśl ciepło o swojej kochance z czasów młodości, gdy miałaś wszystkiego głupich pięćdziesiąt lat...

- Protestuję: czterdzieści dziewięć! - zdołał wykrztusić przez ściśnięte gardło.

- To też zresztą koszmarna liczba!

- Do zobaczenia, Normanie Paperman! - Rozejrzała się po zatłoczonym holu i pogładziła go po twarzy. - Spotkajmy się jak najszybciej w następnym wcieleniu, zgoda? Tylko już w miłszym miejscu, co, kotku? Na przykład w Siódmym Niebie... Chryste, jeszcze nigdy nie czułam się tak okropnie jak w tej chwili! Nigdy też, pochlebiam sobie, okropniej nie wyglądałam...

Uśmiechnęła się do niego trochę ironicznie, trochę boleśnie i wybiegła z holu. Drzwi do baru już otwarto i do środka wlewał się tłum gości. W miejscu, gdzie przedtem leżał trup Hassima, czerwieniły się jedynie kafelki posadzki. Norman dostrzegł dwóch pracowników domu pogrzebowego, znoszących z wysiłkiem z tarasu tanecznego brązowy kosz z zamkniętą pokrywą. Policjanci postępowali za koszem,

prowadząc między sobą Hennessy'ego. Komendant siedział przy stoliku i coś gryzmoilił. Paperman musiał podpisać jakiś zielony formularz, a potem jeszcze jeden, biały. Komendant zapowiedział, że któryś z policjantów wróci później i poprosi świadków o podpisanie przepisanych na maszynie zeznań.

- A co z Parrisem, panie

komendancie? - zapytał Norman. - Czy zakwalifikujecie to jako morderstwo, nieumyślne zabójstwo, czy jeszcze coś innego?

Tamten wzruszył ramionami i wsunął papiery do teczki.

- To szpawa do rozsygnięcia la szędziego, efentualnie la awy szysięgłych.

Parrisz jeszt dobrym policzjantem, pan Hassim był dobrym obywatelem, ale... - Komendant przewrócił znacząco oczami. - Widzi pan, to szystko szes jego szególne upodobania! Czy pani Tramm znalazła szwego psza?

- Tak, już wszystko w

porządku.

Komendant zamknął

teczkę i wstał.

- No cóż, szykro mi, że ten nieszyjemny wypadek zepszuł panu akaczje.

- Przeplaszam, panie

komendancie. - Podszedł do nich nowy barman i wskazał na stół, przy którym siedzieli Hennessy z Hassimem. - Czy już mogem... czy mogem go już śpsiatnać?

Parris powiedział, zieby niciego nie rusiać...

Na stole stała pusta szklanka po piwie Hennessy'ego oraz whisky z sokiem cytrynowym i cukrem, której Hassim nie zdążył dopić.

- Oszywiście! Już

szkońszyliśmy.

Barman zebrał szklanki i

przetarł stolik ścierką.

Natychmiast obsiadła go czwórka skacowanych gości i każdy z nich zamówił po drinku.

Przełamując skrępowanie komendant policji uściskał Normanowi rękę.

- Hem, czy może pan ciszaj wpaś do fortu, żeby zożyć zeznanie w szprawie Hippolyte'a Lamartine'a?

- Oczywiście. Jakże on się miewa?

- Och, nieźle. Ma w więzieniu dużo szyjaciół.

Norman przekonał się szybko, że jego obawy, iż śmierć Turka odbije się niekorzystnie na funkcjonowaniu hotelu, okazały się nieuzasadnione. W barze panował zwyczajny ścisk, a przy tym dało się zauważyć nadzwyczajne ożywienie. Strzelanina dostarczyła tematu do rozmów, a ponieważ niemal nikt nie wiedział, co się naprawdę zdarzyło, otwarło się pole dla dowcipnych spekulacji.

Absurdalna śmierć Hassima okazała się, prawdę powiedziawszy, pożądaną odtrutką na ogólnego kaca po przyjęciu na Plaży Zakochanych. Normana zasypywano gradem pytań, co stało się wkrótce tak męczące, że uciekł na plażę, gdzie znalazł żonę i córkę, które opalały się w kostiumach bikini, obie podenerwowane i niespokojne. Zaczął im opowiadać o tragicznym wypadku, ale już po chwili ze szczytu schodów ponownie zawołał go barman.

- Panie Pejpelmun, telefon do pana w biurze!

- O nie! - jęknął Norman. - Nie teraz, Cecil! Zapytaj o nazwisko i powiedz temu komuś, że oddzwonię.

- To komendant polici, plosie pana!

Norman obrzucił żonę i córkę zbolałym spojrzeniem.

- Obawiam się, że ta sprawa nie da mi spokoju przez kilka następnych dni. Zaraz wracam.

Powlókł się do biura, zamknął za sobą drzwi, włączył terkoczący wentylator, przysiadł na nie sprzątniętym biurku i podniósł słuchawkę telefonu.

- Słucham, panie komendancie?

- Szepaszam, że znofu pana niepokoję, panie Pejpermun. Ma pan dziś z nami naprawdę ciężki dzień.

- Nic nie szkodzi. Co się znowu stało?

- Panie Pejpermun, zielony land rover, numer tysiąc sześćset siedemdziesiąt sztery należy do klubu „Rafa Mew”, prawda?

- Istotnie - potwierdził

Norman.

W słuchawce rozległo się ciężkie westchnienie komendanta policji.

- Boję się, że roźbił się na ulicy Tylnej, w pobliżu Żaułka Granatu. Tuż za rogiem obok baru „Wielki Bambusz”... Syszy mnie pan?...

- Słyszę. Czy pani Tramm

odniosła jakieś obrażenia? Ona siedziała za kierownicą.

- Jesz trochę ranna.

- Ciężko?

- Wyleczyła się szednia

szybę. Uderzyła w takszówkę, która się zaczynała na środku ulicy. Wie pan, jak to zwykle...

2

Parada karnawałowa płynęła
ulicą Księcia Walii przy
ogłuszającym huku stalowych
bębnów, gęstym szpalerem
tłoczących się na chodnikach i
klaszcących widzów,
przyjezdnych i miejscowych,
którzy popijali piwo lub napoje
gazowane z puszek oraz tanie
wina prosto z butelek. Trasą
przemarszu jechały udekorowane
platformy, a nad głowami
maszerujących powiewały
transparenty różnych instytucji i organizacji.

Slogany na transparentach należały do typowych, wyjątkowy był natomiast zapal, bogactwo i sam rozmiar biorących w niej udział zespołów. Przed oczami Normana przetaczało się barwne widowisko z kowbojami i żywymi końmi na ruchomej platformie, za nią paradowały po ulicy dziesiątki płasających Indian w barwach wojennych i pióropuszcach, banda kilkunastu diabłów w czerwonych atlasowych trykotach i równie liczna grupa hurys z haremu odzianych w przejrzyste tiule. Przejechała platforma z wybudowaną sceną w chińskim stylu, kolosalnych rozmiarów, mieszcząca między innymi złoto_czerwoną pagodę z prawdziwym wodospadem. Dalej maszerowała horda bijących w gongi czarnoskórych Chińczyków, a za nimi klauni w białych maskach, wykonujący jakiś skoczny taniec i trzaskający z batów. Kosmonauci w hełmach próżniowych i srebrzystych skafandrach ciągnęli raketę z papier_m~ach~e, na której czubku siedziało pięcioletnie murzyńskie dziecko i powiewało amerykańską flagą. Szli tancerze z wesołych lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku i z epoki jazzu lat dwudziestych. W lukach między owymi tematycznymi grupami kroczyli mężczyźni na szczydach w kobiecych przebraniach, przeginając się w rozwiązłym tańcu pięć metrów nad ziemią, zagrzewani sprośnymi okrzykami widzów wyglądających z okien wyższych pięter. Norman Paperman nie miał czasu sycić oczu barwnym, hałaśliwym widowiskiem, chciał jak najprędzej dotrzeć do szpitala. Musiał się jednak przeciskać w górę pasażu handlowego, pod prąd gęstego tłumu gapiów pracujących ku wielkiej trybunie na

nabrzeżu, więc chcąc nie chcąc napatrzył się na paradę, szpital znajdował się bowiem trzy przecznice od portu. Wbrew sobie poczuł mimowolny podziw dla tej erupcji zdobniczej pomysłowości, dla włożonego w przygotowania trudu i dla radosnego entuzjazmu tych rzesz. Temperatura na ulicy Księcia Walii, rzadko chłodzonej wiatrem od morza, dochodziła w południe do czterdziestu pięciu stopni. W powszedni dzień o tej godzinie główna arteria Georgetown pustoszała, tymczasem w dniu parady Kinjanie hasali tłumnie po jezdni ociekając potem pod krzykliwie kolorowymi kostiumami i nie zwracając uwagi na lejący się z nieba słoneczny żar. Muzykanci dęli w lśniące trąbki i tuby lub bębnilili w stalowe bębny.

Widzowie klaskali i wachlowali się zapamiętali. Tancerze zatrzymywali się co kilkanaście kroków, by zacząć od początku wyuczoną błazenadę. Norman odniósł wrażenie, że Kinjanie, zarówno ci maszerujący, jak i widzowie na chodnikach, rozkoszują się tym potwornym upałem, pstrymi kolorami, strumieniami potu, zgiełkiem dysonansowych melodii, ścisaniem przebranych w dziwaczne kostiumy, rozpląsanych, rozpalonych ciał. Byli w tej zabawie nieznużeni; wydawało się, że mogliby się tak bawić i swawolić bez końca. Ich codzienna apatia zniknęła bez śladu, tryskali energią, kipieli życiem. Parada nie była podporządkowana żadnemu przesłaniu, to stanowiło jeszcze jedną jej szczególną cechę. Od Wielkiego Postu, kresu karnawałowych zabaw w innych krajach, upłynęło dobrych kilka miesięcy. Norman wiedział od Toma Tilsona, że tutejsi prawodawcy przenieśli przed laty termin corocznej parady na ostatni piątek roku, chcąc stworzyć dodatkową atrakcję dla turystów, a przy okazji sprawić, by bożonarodzeniowy tydzień stał się praktycznie w całości wolny od pracy. Z braku lepszej nazwy nazwali tę paradę „karnawałową”. Zwyczaj się przyjął i obecnie karnawał świętowano równie, a może nawet bardziej uroczyście jak samo Boże Narodzenie. Obserwując z bliska ową paradę, Norman pomyślał sobie, że ma ona jednak wyraźny sens, którego wyspiarze co prawda nie wyrażają wprost, który wszelako sprawia, że ten barwny korowód stał się najbardziej autentycznym świętem w kinjańskim kalendarzu. Główną ulicą tego portowego miasteczka maszerowała mianowicie tego dnia Afryka! Afryka buchająca czarną witalnością, kipiąca nieugaszoną miłością życia, odżywała oto na owej karaibskiej wyspie mimo trwającego od wieków oderwania tych ludzi od korzeni, mimo stuleci niewolnictwa, izolacji i ciemnoty. Karnawał na Amerigo był świętem czarnej Afryki!

**Karnawał taki słodki jest@
prosimy@ nie przerywajcie
karnawału...@
Karnawał taki słodki jest@
prosimy@ nie przerywajcie
karnawału...@**

Zespół za zespołem wygrywał ów refren, gorącą melodię calypso, powtarzając w nieskończoność ten jedyny kuplet, tradycyjną pieśń parady. Ilekroć zaś maszerujący muzycy ją intonowali, widzowie i uczestnicy parady podchwytywali słowa:

Karnawał taki słodki jest@
prosimy@ nie przerywajcie
karnawału...@

Paperman dotarł wreszcie w pobliże szpitala, musiał jednak czekać na chodniku po przeciwnej stronie ulicy, aż przeciwnie zespół w szekspirowskich kostiumach i przejedzie platforma z wiedźmami z „Makbeta”,

wielkimi chochlami mieszającymi w parującym kotle, zawieszonym nad prawdziwym ogniem, a potem jeszcze orkiestra dęta, prowadzona przez niebywale grubego Murzyna w wygniecionym słomkowym kapeluszu, który uśmiechał się promiennie, ociekał potem, szastał nogami i dał w tubę, wydającą ogłuszające tubalne pomruki: „tum-bum_rum”. Normanowi udało się w końcu przebiec przez jezdnię przed frontem maszerujących rzymskich niewolnic.

Labirynt obskurnych szpitalnych korytarzy przywitał go chłodem, pustką i woniami typowymi dla tego rodzaju przybytków. Ujrzawszy drzwi z tabliczką „Oddział Przypadków Nagłych”, Paperman otworzył je bez chwili zastanowienia. Młody lekarz o wschodniej urodzie - Filipińczyk lub Koreańczyk, jak ocenił Norman - usztywniał łubkami palec jakiegoś Kinjanina w pomarańczowej sportowej koszulce i czarnych luźnych spodniach, którego zboląłą twarz zakrywały częściowo nasiąkłe krwią bandaże.

- Owszem, zajmowałem się przed chwilą panią Tlamm - oświadczył lekarz, którego wyraźny obcy akcent zacierał różnice w wymowie „l” i „r” - leży na sali A #42. Zamierzam ją prześwietlić, jak tylko włóci z palady technik. Ten pan to właśnie taksówkarz, na którego wpadła.

- Jak ona się czuje?

- No cóż, jest niewątpliwie w szoku, ma lanę głowy i kilka brzydkich skaleczeń. Wolałbym, żeby ją przebadał doktór Pullman. Myślę jednak, że z tego wyjdzie.

Paperman zwrócił się do taksówkarza:

- Wie pan, to naprawdę głupi pomysł, żeby się zatrzymywać na środku ulicy na pogawędkę ze znajomym! Mam nadzieję, że ten wypadek czegoś pana i pańskich kolegów nauczy.

- Zaciąłem się tylko na chwilę! - usprawiedliwiał się taksjarsz. - Ta pani jechała za sisko, psiekrociła dozwoloną prędkość, a mandat wlepili mnie, choć to była sisko jej wina! No tak, ale to sijasiołka gubernatora! Nie ma

sprawiedliwości na tej wyspie, licia się tylko znajomości!

Pokój numer A-42 znajdował się na parterze. Norman musiał sam go odszukać, ponieważ w recepcji przy głównym wejściu nie było żywej duszy. Kiedy znalazł wreszcie salę, o którą mu chodziło, pomyślał w pierwszej chwili, że lekarz się pomylił. Przy drzwiach leżała jakaś gruba Francuzka, a na jej łóżku siedziało dwóch mężczyzn i trójka dzieci, wszyscy o twarzach będących wariantami oblicza Hippolyte'a. Cała piątka trajkotała głośno w swym niepojętym żargonie. Dopiero po chwili Paperman dojrzał ponad ich głowami dwa dalsze łóżka. Środkowe zajmowała pomarszczona biała staruszka, która spała na plecach z szeroko

otwartymi bezzębnymi ustami. Iris leżała na łóżku pod oknem. Sala, choć zatłoczona, była czysta, przestronna i przewiewna. Obandażowana głowa Iris jaśniała w słońcu. Oczy miała zamknięte. Spod koca wystawało okropnie spuchnięte zabandażowane ramię.

- Iris? - odezwał się cicho Norman, podchodząc do łóżka.

Podniosła powieki i
uśmiechnęła się blado, z
wysiłkiem. Oczy miała
zapuchnięte i podsiniaczone.

- O, Norman, witaj! Rozbiłam ci samochód, przepraszam.

- Jak się czujesz, Iris?

- Nieźle, zważywszy na okoliczności. No i znowu ci kretyni taksówkarze... Ale niedługo stąd wyjdę. Lekarz powiedział, że nie zostaną mi nawet blizny... najwyżej mały ślad na grzbiecie nosa... - mówiła głosem zgrubiałym i sennym.

- Co mogę dla ciebie zrobić, Iris?

- Czy ja wiem... Nie chciałabym sprawiać kłopotów Altonowi, jest sędzią na paradzie... może później...

- Uważam, że powinienem go natychmiast zawiadomić, jeśli nikt inny tego dotąd nie zrobił. Przede wszystkim powinnaś dostać separatkę, dopóki nie poczujesz się lepiej.

Iris spojrzała na pozostałych pacjentów na sali, skinęła głową i ziewnęła. Ożywiona paplanina Francuzów nie cichła ani na chwilę.

- Jestem nafaszerowana prochami, Norm, mogę ci zaraz zemdleć. Dzięki, żeś przyszedł...

**Karnawał taki słodki jest@
prosimy@ nie przerywajcie
karnawału...@**

1 1 64 0 0 108 1 ff 0 32 1 doleciał przez otwarte okno śpiew tłumu, któremu wtórował rytmiczny łomot orkiestry stalowych bębnow:
„bum_ba_bum_bam”.

- Słyszysz? - wyszeptwała Iris.

- Wygląda na to, że dobrze się bawią...

Norman podniósł jej rękę i pocałował. Była cała mokra.

- Zaraz wracam, Iris.

Zamrugnęła powiekami.

- Jesteś kochany. Zresztą jak zawsze...

Norman wrócił biegiem na oddział przypadków nagłych i oświadczył lekarzowi, że zapłaci każdą sumę, byle tylko Iris została natychmiast przeniesiona do separatki.

- Uważam, że jest w złym stanie i potrzebuje spokoju!

- Byłoby to niewątpliwie wskazane, ale ja nie mam takich plelogatyw. Musiałby wylazić na to zgodę doktór Pullman.

- Gdzie go mogę znaleźć?
- Jest jednym z sędziów na kalnawale.
- Pani Tramm jest bliską przyjaciółką gubernatora, panie doktorze.
- O, doprawdy? Jestem przekonany, że to bardzo ułatwi uzyskanie zgody. Przykło mi, że sam nie mogę podjąć takich kroków.
Norman ocenił, że będzie się poruszał szybciej, jeśli włączy się do korowodu maszerujących. Dołączył do grupy małych chłopców i już po kilku minutach dotarł do nabrzeża. Dopchanie się do głównej trybuny okazało się trudniejsze, ponieważ zespoły paradowców stłoczyły się na nabrzeżu, czekając na swoją kolej przed wystąpieniem na pustym placu pod udekorowaną flagami trybuną. W tym momencie trupa czarnoskórych Chińczyków śpiewała piosenkę i wykonywała chiński taniec z wachlarzami. Norman zaczął się przedzierać przez rozbawiony tłum diabłów, aniołów, Indian i klaunów, z których większość popijała piwo, colę bądź whisky i lizała lody. Choć miał na sobie tylko bawełnianą koszulkę, szorty i sandały, był tak mokry od potu, jakby wpadł do basenu portowego. Policjant pilnujący wstępu na trybunę flirtował z jedną z hurys, dzięki czemu Paperman zdołał przemknąć obok niego niezauważony. Przejściem między zatłoczonymi rzędami ławek wbiegł po schodach do najwyższego rzędu, w którym zasiadało jedynie trzech sędziów: gubernator Sanders, doktor Pullman i senator Easter. Docisnął się do nich przez przesmyk za oparciami krzeseł i nie pytając o pozwolenie opowiedział Sandersowi i Pullmanowi o wypadku Iris.

- Czy to coś poważnego? - spytał ściszym głosem gubernator. - Mówi pan, że z panem rozmawiała. Poszedłbym do niej zaraz, jeśli trzeba, ale, prawdę mówiąc, wolałbym to odłożyć o jakąś godzinę... Widzi pan, niezręcznie by mi było wychodzić w takiej chwili...
- Czy doktor Salas prosił o przybycie kogoś z nas? - zapytał Pullman.
- Właściwie nie.
- To bardzo zdolny młody człowiek - rzekł senator, zwracając się do gubernatora. - Jestem przekonany, że może pan bez obawy poczekać do momentu zakończenia parady. Sanders jednak wstał.
- Nie, Tracy, robię to z przykrością, ale chyba będzie lepiej, jeśli tam zaraz pójdę. Dopilnuję przynajmniej, żeby dostała oddzielny pokój. Wrócę za kilka minut. Włożył marynarkę od garnituru z Palm Beach, którą trzymał dotąd na kolanach, i ruszył w stronę schodów.
Na plac paradny wystąpiła właśnie trupa hurys w błękitnych, pobłyskujących cekinami trykotach i różowych szarawarach z tiulu. U ich kostek dzwoniły dzwoneczki, czarne ramiona falowały węzowato, kręciły się biodra.

**Karnawał taki słodki jest@
prosimy@ nie przerywajcie
karnawału...@**

1 1 64 0 0 108 1 ff 0 32 1

- śpiewały dziewczęta, ukazując w zachwycających uśmiechach białe jak śnieg zęby.
- Szkoda, że stracimy ten pokaz - rzekł Sanders i zaczął się przeciskać przez ciżbę uczestników parady, a następnie przez tłum widzów w górę ulicy Księcia Walii. Ludzie rozstępowali się przed gubernatorem, więc szybko dotarli do szpitala.

Norman już z daleka dojrzał trzy pielęgniarki, stojące przed drzwiami sali A-42. Z trudem nadażał za idącym długimi krokami Sandersem; z wysiłku i gorąca aż się zadyszał.

- I jakże ona się czuje? - zapytał gubernator, zbliżając się do grupki pielęgniarek. Pędził tak szybko, że zdążył je minąć, nie czekając na odpowiedź, kiedy jedna z sióstr, korpulentna siwowłosa Murzynka o miłej powierzchowności, złapała go za rękę.

- Psikro mi, panie

gubelnatorze, ale ta pani umalła.

- Umarła? - Sanders zatrzymał się, zachwiał i wlepił w nią wzrok. - Powiedziała pani: umarła?

- Wpadła w śpiączkę i sibko umalła.

Sanders potrząsnął głową i wbiegł do sali; Norman za nim. Doktor Salas pochylał się nad łóżkiem Iris.

- A, to panowie! - powiedział i machinalnie naciągnął prześcieradło na odsłonięty różowy sutek pacjentki. - Plóbowalem masażu selca, panie gubelnatorze, podałem jej adlenalinę, niestety, nie udało mi się jej ulatować. Jestem pewien, że sekcja wykaże lozległy wylew do mózgu. Oblaz kliniczny wstrząsu był łagodny i mało wylazisty. To musiał być klwotok. Nastąpiło plawdopodobnie złamanie kości czaszki i...

Z grona rozgadanych

Francuzów nie ubyła ani jedna osoba; starowinka na środkowym łóżku wciąż spała z otwartymi ustami.

- Nic się już nie da zrobić? - przerwał mu ochrypłym głosem Sanders. - Może wezwać doktora

Pullmana? Byłby tu za kilkanaście sekund w eskorcie motocyklistów.

- Ona już nie żyje od kilku minut, ploszę pana. Już na dobre odeszła z tego świata.

Z usianej kropelkami potu, posiniałej i posmutniałej twarzy Iris uciekło już życie; obandażowana głowa opadła na piersi. Iris Tramm była niewątpliwie martwa, a martwota uczyniła ją podobną do zastrzelonego Turka.

Gubernator Sanders osunął się na kolana przy łóżku, chwycił dłoń zmarłej i obsypał ją pocałunkami. Paperman położył mu rękę na ramieniu. Sanders podniósł na niego zогromniałe brązowe oczy, w których malowała się rozpacz okrutnie skrzywdzonego małego chłopca.

- Była jedyną kobietą, jaką kochałem - wychrypiał zdławionym głosem - a teraz nie żyje!

Jego „akcent z wyższych sfer” zniknął bez śladu.

Ulicą przeciągała kolejna orkiestra dęta i tłum podjął refren piosenki:

**Karnawał taki słodki jest@
prosimy@ nie przerywajcie
karnawału!@**

Henny zaczęła się już martwić o Normana. Nie wracał od ponad godziny. Siedziała z Cohnem, Hazel i Lionelem przy stoliku na plaży; jedli hamburgery i popijali piwem. Lester Atlas pluskał się w morzu w towarzystwie Hatsy i Patsy wśród wybuchów śmiechu, chichotów i głośnych okrzyków. Na plaży było wyjątkowo tłoczno. Wyglądało na to, że goście hotelowi woleli tego dnia przekąsić coś lekkiego nad wodą, niż spożywać solidny lunch. Lionel uspokajał Henny, przekonując ją ze swobodą, że śmierć Hassima nie wyrządzi klubowi „Rafa Mew” poważniejszej szkody. Nieliczni świadkowie zabójstwa zdążyli już wielokrotnie opowiedzieć reszcie gości przebieg wydarzeń, więc wszyscy wyrobili już sobie ogląd na okoliczności tragedii, nie brano przy tym w ogóle pod uwagę niewinności Hassima. Wedle powszechnej opinii Turek w biały dzień zalecał się lubieżnie do marynarza, policjant usiłował położyć temu kres i w następstwie wynikłej awantury Hassim został przypadkowo postrzelony ze skutkiem śmiertelnym. Przeważało zdanie, że była to kara cokolwiek może za surowa, ale ostatecznie policjant czynił tylko swoją powinność, a jedna ciota mniej na tym świecie to strata nie taka znow wielka.

- Prawdę powiedziawszy, Henny

- mówił Lionel, pałaszując kopiastego hamburgera - żał mi trochę tego biednego cwela. Znałem tysiące podobnych jemu pedziów i muszę przyznać, że w dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto są zupełnie niegroźni. Homoseksualizm jest po prostu chorobą i prywatną sprawą każdego z nich. Muszę ci powiedzieć, że kiedy byłem jeszcze małym szczyłem i pracowałem przy obsłudze sceny, sam miałem kilka tego rodzaju niespodzianek. Wierz mi, moja droga, że sporo na przykład ryzykowałem pochylając się, żeby zawiązać sznurowadło! - Roześmiał się oblesnie. Jego zielonkawa twarz płonęła dziwną miedzianą barwą, typową dla karnacji Indian amerykańskich. Sprawiał wrażenie rozluźnionego i szczęśliwego jak dziecko. - Prawdę powiedziawszy, Henny, choć to okropne, co powiem, uważam, że całe to wydarzenie może stanowić korzystny przełom dla waszego klubu. Założę się, że cioty przestaną tu się odtąd pojawiać.

- Jest Norman! - zawołała Henny, która ani na chwilę nie odrywała wzroku od schodów na plażę.

Norman stanął na ich szczycie i powiódł spojrzeniem po wesołej nadmorskiej scenie.

Miał zwichrzone włosy i posmutniałą twarz.

- Halo, Norm! - wykrzyknęła Henny. - Tu jesteśmy!

Spojrzał w jej stronę, pomachał niepewnie ręką i zszedł po schodach.

- Serwus, Bob - przywitał się i opadł na krzesło. - Cześć Lionel. Cieszę się, że was widzę, chciałbym z wami zamienić dwa słowa.

- Zamówić ci hamburgera? - zapytała Hazel.

- Nie jestem głodny, córuś, dziękuję. Może piwo.

Siedział zupełnie oklapnięty i przyglądał się reszcie towarzystwa zmęczonym, smutnym wzrokiem.

- Co się stało, Norman? - zaniepokoiła się Henny.

- Nabiegałem się, w mieście panuje potworny upał, więc sama rozumiesz...

- Czego chciał od ciebie komendant?

Norman popatrzył na nią, a potem przeniósł spojrzenie na rozbawionego, rozbrykanego Atlasa.

- Lionel, czy nadal nie

możecie dobić targu z Chunky Collinsem?

- Wyobraź sobie! Za bardzo się wycwanił, liczy sobie wyposażenie i różne tam

drobiazgi. Umówiliśmy się na dwadzieścia pięć tysięcy, a tymczasem wywindował już cenę na dwadzieścia siedem. Nie powiem, że bym był tym zachwycony.
- Więc może być kupił „Rafę Mew”?

Lionel parsknął śmiechem.

- No cóż, gdyby mnie było na to stać, a ty upadłbyś na głowę i chciał ją sprzedać, wtedy...

- Dasz radę wskrobać

trzydzieści tysięcy? Odstąpiłbym ci klub za tę sumę, bo wolałbym nie dokładać do tego interesu, a tyle mnie właśnie kosztował. - Norman powiedział to tak zdawkowym, obojętnym tonem, że ani Henny, ani żadna z pozostałych osób nie wiedziała, czy mówi poważnie, czy żartuje. Hazel przyniosła ojcu butelkę piwa i szklankę. - Dziękuję, córeczko. No i co ty na to, Lionel? Dobijamy targu? Jestem gotów załatwić sprawę natychmiast.

Wyciągnął dłoń w stronę Lionela. Ten poskrobał się w końską szczękę i powiódł wzrokiem po reszcie towarzystwa.

- Jak babcię kocham, to

najbardziej zwariowana propozycja, jaką ostatnio słyszałem! Mówisz serio! Co się stało, tak cię przygnębiła śmierć tego biednego pedała? Właśnie tłumaczyłem Henny, że to wam nie przyniesie żadnego uszczerbku. Uważam, że powinienes to sobie przemyśleć.

Jesteś tu już przecież

urządzony.

Norman opuścił wyciągniętą rękę i spojrział na Cohna.

- Bob, Iris Tramm nie żyje. - Na wszystkich twarzach odbiły się zdumienia i zgroza. - Pojechała moim land roverem po psa, wpadła na Tylnej na taksówkę stojącą na środku drogi i rozbiła sobie czaszkę. Leży teraz martwa w szpitalu. Właśnie stamtąd wracam.

- Mój Boże! - wyszeptał Cohn.

- Iris nie żyje? Iris? Co ty mówisz, Norm!

Paperman kiwnął

głową.

- Przypuszczam, że Sanders zajmie się wszystkimi formalnościami związanymi z odesłaniem ciała do domu. Zostawiłem go przy niej. Jest kompletnie załamany.

Henny przycisnęła rękę do piersi i zawołała:

- Mój ty Boże! Biedactwo! Czy była pijana?

- Nie, Henny, trzeźwa.

Kinjańscy kierowcy mają jedynie zwyczaj zatrzymywać się bez ostrzeżenia na środku drogi, żeby sobie uciąć pogawędkę z przechodzącym znajomkiem. Nie robią tego w złych zamiarach, są po prostu bezmyślni jak dzieci. Trzeba wyrobić w sobie nawyk czujności. Ja sam wpadłem kiedyś na takiego typka, na szczęście straciłem tylko przytomność. Ale biedna Iris była zdenerwowana, niepokoiła się o swojego psa i najprawdopodobniej zapomniała o potrzebie ostrożności. - Odwrócił się do Cohna. - A swoją drogą, co się stanie z Ziółkiem? Bardzo się martwię o to psisko. Pewnie dlatego, że Iris była do niego bardzo przywiązana, chyba bardziej niż do czegokolwiek i kogokolwiek.

- Och, zaopiekuję się nim z przyjemnością - odparł zachrypniętym głosem Bob. - Zresztą każdy z chłopaków chętnie by go wziął. To świetny pies. Mój Boże, Norman! Więc Iris naprawdę nie żyje?

Lionel pokręcił głową.

- Co za cholernie absurdalna i bezsensowna śmierć!

- Prawda? Jak śmierć Hassima - przyznał Paperman tym samym rzeczowym, znużonym tonem, jakim mówił o sprzedaży hotelu. - Czy to nie zabawne, dwa takie zgony w ciągu jednego dnia?

- Zabawne? Potworne! -

wybuchnęła Hazel, której twarz stała się niemal brzydka z przerażenia. - To wcale nie jest zabawne!

Norman spojrział na córkę z uśmiechem.

- Tak uważasz? A więc w

zupełności się z tobą zgadzam, córeczko. Widzicie, trzymałem się tu jakoś tylko dzięki poczuciu humoru. Wiem, że to, co się stało, jest absurdalne, wręcz komiczne, ale straciłem już ochotę do śmiechu.

Próbowałem tu żyć, bardzo się o to starałem, wiele się tu nauczyłem, ale teraz chcę wracać do Nowego Jorku. - Odwrócił się w stronę Henny. - Bardzo będziesz zawiedziona?

Oczywiście, jeśli, wolałabyś tu zostać... Uprzedzam cię jednak z góry, że ja nie zostanę i moja decyzja jest nieodwołalna.

Z niepokojem wpatrywała się w twarz męża.

- Jesteś tego absolutnie

pewien, Norman? Twój klub odniósł sukces, żyje się tu wesoło i barwnie. Masz wszystko, o czym marzyłeś, przyjeżdżając tutaj...

- Henny ma rację,

Norm - poparł ją Lionel. - Daj sobie przynajmniej tydzień na spokojne przemyślenie całej sprawy. To straszne, co się przytrafiło Iris, nie przeczę, ale takie rzeczy odchodzą w niepamięć, zapewniam cię, stary. Mój Boże, życie obfituje w podobne tragedie! Dobrze, wstrzymam się z ostatecznym przyklepaniem tej transakcji z „Marzeniem Hogana” na tydzień albo i dłużej, jeśli zajdzie potrzeba.

- W sezonie świątecznym

kursuje samolot o czwartej po południu, Henny - powiedział Norman. - Chciałbym nim dzisiaj odlecieć. Dzwoniłem już na lotnisko, mają wolne miejsca. Chcę jeszcze dzisiaj opuścić Kinję. - Ponownie wyciągnął rękę do Lionela. -

Trzydzieści tysięcy, zgoda? Dwadzieścia dla banku, pięć długu u ostatniego właściciela i pięć, które wyłożyłem w modernizację. Dobijamy interesu?

- To nie interes, Norm, to kradzież. - Lionel wpatrywał się w wyciągniętą dłoń, a na jego opalonej twarzy walczyły ze sobą w komiczny sposób pożądlivość z obawą.

- Jeśli się zgodzisz,

podziękuję ci jeszcze za przysługę - powiedział Norman.

Nagle Lionel zdecydował się i uścisnął wyciągniętą dłoń.

- Skoro nalegasz, Norm, pal licho!... To bajeczne miejsce, piszę się na to w ciemno! Byłbym durniem, gdybym nie skorzystał z podobnej okazji!

- Świetnie! Dziękuję, stary.

Stroną finansową zajmie się Lester Atlas. Wyjaśnię mu całą sprawę. Załatwi to lepiej, niż ja bym potrafił. Zostanie tu jeszcze trochę, nabywa na tej wyspie kilka nieruchomości.

- Czy i ja mogłabym zostać, tatku? - spytała nagle Hazel. Oczywiście wszystkich skierowały się na nią. Zarumieniła się i zaczęła poprawiać niewidoczną niemal górę kostiumu bikini. - To jest, chodzi mi o to - jąkała się - czy miałbyś coś przeciwko temu, gdybym nie pojechała z wami dzisiaj, ale wróciła dopiero w przyszły czwartek, prosto na zajęcia? Bo skoro już tu jestem... Ostatecznie mam jeszcze ferie, tatuśku, a ogromnie mi się tutaj podoba.

Cohn, którego szczupła twarz przybrała ziemisty kolor ciężko chorego człowieka, wtrącił:

- Jeśli to ma dla was jakieś znaczenie, deklaruję, że zaopiekowałbym się Hazel.

Norman zerknął na żonę i po jego wargach przewinęło się coś na kształt dawnego uśmiechu.

- Nie wątpię. Masz coś

przeciwko temu, Henny?

- Przeciwko? Ja? Baw się

dobrze, Hazel... Norm, jeśli mamy za dwie godziny wyjechać, muszę się brać za pakowanie.

- Pomogę ci - zaofiarował się.
- Stałem się tutaj trochę zaradniejszy.

Wyciągając walizy z szaf i upychając w nich rzeczy Papermanowie rozmawiali o Hazel i Cohnie. Trzymali się uparcie tego tematu, jakby bali się poruszać inne. Norman oznajmił, że Bob po skończeniu służby w marynarce ma wejść do interesu importowo-eksportowego swego Ojca, więc wszystko ułożyłoby się nie najgorzej, jeśli on i Hazel naprawdę myślą o sobie poważnie.

- Boże złoty, skończy się na tym, że chcąc zobaczyć wnuczki będziemy musieli latać do Izraela! - westchnęła Henny. - Czy to nie heca?

- Prawdę mówiąc - rzekł

posępnie Norman - ten gość spada nam jak z nieba. Mam szczerą nadzieję, że weźmie nas oboje na utrzymanie. Ktoś przecież będzie musiał.

- Ty nas utrzymasz, kotku, jestem o to spokojna.

- Jak? Moi klienci nie mogą do mnie wrócić przez najbliższe pięć lat, choćby się waliło, paliło. Taką zawarłem umowę i muszę jej przestrzegać.

- No cóż, masz parszywy zawód, zawsze tak twierdziłam i nie zmieniam zdania, ale uważam, że wykonujesz go znakomicie, więc z pewnością zdobędziesz nowych klientów.

Układała biżuterię w wyściełanym atlasem puzderku.

- Nie zamierzam się

sprzeciwiać twojej decyzji, Norm, ale mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, jaki w Nowym Jorku panuje teraz smród? Będziesz wstrząśnięty, zobaczysz.

Zdażyłeś się już odzwyczaić. Świąteczna gorączka, sam rozumiesz. Takich tłumów chyba nigdy nie widziałeś. Korki od Hudson do East River i od Pięćdziesiątej Dziewiątej do Trzydziestej Czwartej.

Spacerując Piątą Aleją można się zatruć dwutlenkiem węgla. A jeśli nawet wyjdiesz cało z trujących oparów, dopadnie cię jakiś bandzior. Rabują teraz ludzi w biały dzień. Do tego pogoda pod pseem. Prawda, iluminacje domów towarowych są śliczne, a drapacze chmur cudownie wyglądają w śniegu... Ba, cóż zrobić, kocham to przekłete miasto... Ale to piekło, nie oszukujmy się.

- Wiem o tym. Nowy Jork znam jak własną kieszeń. Mimo to tam właśnie wracamy.

Henny przyglądała się z drwiącą miną trzymanej w ręku bransoletce.

- Słuchaj, Norm...

- Tak?

- Czy to Iris wybrała to

cacko? - Uśmiechnęła się lekko na widok jego zmieszanej miny. - Wiesz, często się nad tym zastanawiałam. Bo widzisz, kotku, ten drobiażdżek nie jest w twoim guście. Coś takiego mogła wybrać tylko kobieta. No, przyznaj się! Iris ją wybrała?

Przyglądał się jej w milczeniu. Stali naprzeciwko siebie i Henny wpatrywała mu się z bliska w oczy.

- To już nieważne - zapewniła.

- Teraz już nie. Właściwie nigdy nie miało to dla mnie znaczenia. Uwielbiam tę bransoletkę. Ale przyznaj, Norm, to Iris ją wybrała, prawda?

- Prawda - przytaknął - i zbiła cenę Hassima o połowę. Więc to już bransoletka historyczna. Pamiątka po Iris i Hassimie. Piękna pamiątka z Kinji.

- Lubieś Iris, prawda?

- Prawda, Henny.

- Bardzo?

- Bardzo.

Cała reszta, wszystko, co było w tej sprawie do powiedzenia, zostało przekazane bez słów, samymi spojrzeniami.

Henny zagryzła wargę, a oczy jej pociemniały.

- Wiesz co? Tym razem dałam się nabrać. Nabrałam się kompletnie! A teraz ona nie żyje!...

- Kocham cię, Henny -
wykrztusił.

- Wiem o tym, ty żaloszny
amancie. Puść mnie! Musimy się pakować.

Siedzieli na zwałonym
ubraniami łóżku. Norman

pocałował żonę. Potem położył głowę na jej kolanach, a Henny głaskała go po
grubych, siwiejących włosach.

- Biedny Norm! - Poczula łzy na rękę i mocniej przytuliła męża. - No już, no
już!... Nie trzeba, kochanie... Przykro mi z powodu tego, co się stało,
naprawdę... Nawet żal mi Iris, wiesz? - Jej oczy również zwilgotniały, mimo to
ciągnęła tonem beztroskim, niemal wesołym: - Zmieniłeś tę budę w pierwszorzędny
hotel, kotku, zdajesz sobie z tego sprawę? Naprawdę tego dokonałeś! Jeszcze nic
straconego, wierz mi!... No i powiedz, czy nie dobrze zrobiliśmy, że nie
sprzedaliśmy mieszkania? Możemy teraz najzwyczajniej w świecie wrócić pod własny
dach.